



OSTATNI
WIECZÓR

Sarra Manning

Sarra Manning

OSTATNI
WIECZÓR

Przełożyła
Ewa Wojtczak

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

===al9v

V

Sarra Manning
Ostatni wieczór

ISBN: 978-83-65521-23-1

TYTUŁ ORYGINAŁU: After the Last Dance

Copyright © by Sarra Manning, 2015
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by
Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2016

Redakcja: Joanna Brodniewicz
Projekt okładki i stron tytułowych: Tobiasz Zysk
Projekt graficzny i opracowanie techniczne: Rafał Kłós

Wydanie I

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Spis treści

PODZIĘKOWANIA PROLOG ROZDZIAŁ I ROZDZIAŁ II ROZDZIAŁ III
ROZDZIAŁ IV ROZDZIAŁ V ROZDZIAŁ VI ROZDZIAŁ VII ROZDZIAŁ VIII
ROZDZIAŁ IX ROZDZIAŁ X ROZDZIAŁ XI ROZDZIAŁ XII ROZDZIAŁ XIII
ROZDZIAŁ XIV ROZDZIAŁ XV ROZDZIAŁ XVI ROZDZIAŁ XVII
ROZDZIAŁ XVIII ROZDZIAŁ XIX ROZDZIAŁ XX ROZDZIAŁ XXI
ROZDZIAŁ XXII ROZDZIAŁ XXIII ROZDZIAŁ XXIV ROZDZIAŁ XXV
ROZDZIAŁ XXVI ROZDZIAŁ XXVII ROZDZIAŁ XXVIII ROZDZIAŁ XXIX
ROZDZIAŁ XXX ROZDZIAŁ XXXI ROZDZIAŁ XXXII ROZDZIAŁ XXXIII
ROZDZIAŁ XXXIV ROZDZIAŁ XXXV ROZDZIAŁ XXXVI ROZDZIAŁ
XXXVII ROZDZIAŁ XXXVIII EPILOG KODA NOTA OD AUTORKI

*Wszystkim kobietom i mężczyznom,
którzy bywali w Rainbow Corner.
Dziękuję Wam za inspirację, odwagę i poświęcenie.*

PODZIĘKOWANIA

Wiele osób zanudzałam niemądrymi rozmowami o Rainbow Corner i opowiadałam, że pewnego dnia napiszę o klubie powieść. Dziękuję, że to znosiłyście, Julie Mayhew, Anno Carey i Sarah Franklin. Sam Baker — dziękuję za nasze epickie spotkania przy pizzy i winie Prosecco. Sophie Wilson i Sarah Bailey jestem wdzięczna za przyjaźń, Lesley Lawson — za literackie rozmowy przez ocean.

Tysiąc podziękowań dla mojej agentki Karoliny Sutton za wsparcie, a także dla Norah Perkins, Lucy Morris, Melissy Pimentel i wszystkich w Curtis Brown.

Bardzo dziękuję mojej redaktorce Manpreet Grewal za jej wnikliwą i czułą redakcję, która naprawdę nadała tej powieści pożądany przeze mnie kształt. (Nigdy nie wspomnę o dwudziestu tysiącach słów, które kazała mi wyrzucić).

I dziękuję Ci, Kate Hodges, za to, co nas łączy.

PROLOG

Londyn, wrzesień 1943 roku

Stacja King's Cross okazała się rozległa, wyższa niż katedra i zatłoczona ludźmi.

Była godzina dwudziesta, co prawdopodobnie nie oznaczało późnej pory w Londynie, w którym mieściły się nocne kluby, restauracje z pięknymi lnianymi obrusami i srebrnymi kubelkami na szampana, a mężczyźni w ciemnych garniturach i kobiety w etolach jadal kolację po spektaklu w teatrze. W Durham ludzie nie włączyli się po nocach, ponieważ nie mieli dokąd pójść — poza pubami, a ona, no cóż, nie знаła nikogo, kto bywał w pubach.

Tutaj, w Londynie, widziała jednak dziesiątki osób przemierzających się szybko z opuszczonymi głowami i zaciętymi, pozbawionymi uśmiechów twarzami. Żołnierzy. Marynarzy. Wszędzie, gdzie spojrzała, mundury khaki i granatowe. Starszy mężczyzna z walizką, gdy poczuł na sobie jej wzrok, uchylił kapelusza. Jakaś kobieta usiłowała sobie poradzić z licznymi bagażami, dwójką małych dzieci i niemowlęciem.

Jej uwagę przykuły dwie dziewczyny, niewiele starsze od niej, w mundurach WAAF¹, z nienagannie podwiniętymi włosami. Trzymając się pod rękę, energicznie maszerowały przed siebie. Ich niebieska serża była niemal w tym samym odcieniu co jej oczy, toteż pomyślała, że może mogłaby również dołączyć do WAAF, kiedy wiek pozwoli jej zgłosić się na służbę. Chociaż... Tym dziewczętom nie pozwalano latać samolotami. A szkoda, bo nauka latania wydawała się taka ekscytująca.

Im dłużej tam stała, tym częściej zamiast pędzącym przed siebie ludziom przyglądała się osobom, które się nie śpieszyły. Przeciągające się zbyt długo pożegnalne uściski: ręce z napięciem ściskające kurczowo czyjeś barki, szluchy nie w pełni zagłuszone przez odgłosy odległej orkiestry dętej i kakofonię zatraskiwanych drzwi pociągu. Odwróciła głowę od młodej pary — dziewczyna płakała w ramionach swojego kaprała, zasłaniając twarz chusteczką.

Nagle poczuła się tutaj bardzo mała i bardzo samotna. Zbyt wystraszona, by postawić jedną stopę przed drugą i wybrać kierunek, w którym chciałaby pójść. Nie miała się dokąd śpieszyć, nie było też nikogo, kogo mogłaby zegnać i rodziło się w niej podejrzenie, że jednak popełniła straszny błąd. Zawsze ją strofowano, że działa pod wpływem impulsu, chociaż coś więcej niż impulsywność kazało jej wskoczyć do pociągu do Londynu z „pogrzebowym” futrem matki na ramionach i wciśniętymi do walizki dwiema najlepszymi sukienkami siostry.

Do tej pory znaleźli już pewnie głupią, mściwą karteczkę, którą wsunęła za

zegar na gzymsie kominka.

Wcale nie całowałam Cedrica. To on usiłował pocałować mnie! Uważam za podłe, że nie zgodziliście się mnie spokojnie wysłuchać, a zamiast tego oczekiwaliście, że natychmiast po odebraniu świadectwa ukończenia szkoły uszczęśliwiona dam się wyekspediować gdzieś na koniec świata, gdzie przyłączę się do Land Girls².

No cóż, nie jadę. Gdy to przeczytacie, będę przeżywać najrozmaitsze przygody w Londynie, zamiast odgarniać do końca wojny świński gnój i spulchniać pola w sztruksowych pumpach i obrzydliwych, topornych buciorach.

Być może był to jej najbardziej pochopny, najbardziej impulsywny wyczyn. Och, gdyby tylko pomyślała o konsekwencjach swoich kroków...

— Hej, ty! Uważaj, gdzie tym machasz — wykrzyknął ktoś po lewej stronie.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła dwóch mężczyzn z workami marynarskimi. Byli w mundurach, lecz ich khaki wyglądały na wyjątkowo świeżo wyprasowane i szykowne, a czapki przekreślił zawadiacko. Jeden miał włosy jasne, drugi — ciemne, obaj jednak byli silnymi, postawnymi chłopiskami i ani trochę nie przypominali chudych, bladolicych brytyjskich towarzyszy.

Zrównali się z nią, a ona stała z rozdziawionymi ustami, ponieważ pochodzili z tej czarodziejskiej krainy gwiazd filmowych, Broadwayu, tancerek w mieniących się kostiumach i wszystkiego, co było dobre, wspaniałe i w cudownym technicolorze.

Przeszli tuż obok niej, zartując głośnymi, radosnymi głosami i nagle przestał się dla niej liczyć fakt, że jest sama, pozbawiona celu i tkwi po uszy w straszliwych kłopotach. Ruszyła za nimi tak szybko, że walizka obijała jej się o nogi.

— Przepraszam! Halo, przepraszam! — krzyczała, doganiając ich, aż mogła szarpnąć któregoś za rękaw munduru khaki. — Proszę! Musicie mnie zabrać do Rainbow Corner!

* * *

Londyn, wrzesień 2003 roku

Dziewczyna wysiadła na stacji King's Cross i stała przez chwilę ze spuszczonego wzrokiem.

Jakoś znalazła się w Londynie, chociaż zamiast Londynu równie dobrze mogła to być Afryka albo jakiegokolwiek inne miejsce na Ziemi. Nic z tego wszystkiego nie wydawało się rzeczywiste.

Jedyną realną rzeczą był plik banknotów, tak gruby, że ledwie mogła go objąć palcami. Trzymała je od tak dawna, że aż ścierpła jej ręka, a zewnętrzne banknoty od jej potu zmieniły się w papkę. Już nawet nie przypominały pieniędzy.

Nigdy zresztą tak o nich nie myślała. Od chwili, gdy je podniosła, były raczej tykającą bombą zegarową.

Usłyszała za sobą jakiś hałas i odsunęła się na tyle daleko, żeby mężczyzna w garniturze również mógł wysiąść z pociągu. Jej spojrzenie spoczęło na czubkach jego wyglansowanych czarnych butów; otworki w ich skórze tworzyły jakiś wzór. Buty lśniły tak mocno, że gdyby patrzyła wystarczająco intensywnie, mogłaby w nich dostrzec własne odbicie. Odwróciła od nich wzrok.

— Wiesz, dokąd zmierzasz? — Nigdy nie słyszała, żeby ktoś mówił w ten sposób. Jak gdyby każde słowo miało osobne, prawdziwe znaczenie.

A ponieważ słowa nigdy nie działały na jej korzyść, nie odezwała się.

Nie wiedziała, czego mężczyzna od niej chce. Miał piękny głos, buty i ubranie... Ale po mężczyznach w garniturach nigdy nie można się spodziewać niczego dobrego, tyle wiedziała na pewno.

— Dokąd chcesz pójść? — Tym razem spytał tak ostro, że aż się cofnęła. Objęła się ramieniem w pasie. Zauważyła na własnym podkoszulku smugi krwi, które nie były już czerwone, lecz zaschły do ciemnego, rdzawego brązu. — Znasz kogoś w Londynie? Rozumiesz, co mówię? — Przerwał na moment. — Mówisz po angielsku?

Wzruszyła ramionami.

— Boże, dopomóż — mruknął. Prawie położył rękę na jej ramieniu. Jednak się powstrzymał. — W takim razie lepiej chodź ze mną.

Nie miała wyboru. Potrafiła o siebie zadbać — o ile mogła się nigdzie nie ruszać i nie zdradzać żadnych tajemnic.

Nigdy wcześniej nie zastanawiała się, jak wygląda świat. Niemal nie myślała o życiu poza domem, poza pokojem z łóżkiem, pod którym znów dziś rano się obudziła. A jednak jakimś sposobem znajdowała się teraz w Londynie i nie miała zielonego pojęcia, jak tu trafiła.

I miała tylko tego mężczyznę, który prawie ją dotykał i mówił do niej jak do kogoś ważnego.

— Weźmiemy taksówkę — powiedział, po czym machnął ręką nad jej ramieniem, a wtedy ruszyła wraz z nim.

Jej palce, zaciśnięte na pliku banknotów, ponownie zadrżały.

WAAF — żeńska służba pomocnicza w Royal Air Force (przyp. tłum.).

[\[wróć\]](#)

Land Girls — młode kobiety zatrudnione w czasie wojny przy pracach rolnych (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ I

Czasy obecne

Nawet w Las Vegas, kiedy do baru weszła dziewczyna w ślubnej sukni, ludzie odwracali się i patrzyli. Panna młoda bez pana młodego chyba nie zdawała sobie sprawy z ich zainteresowania. Podeszła prosto do baru, postawiła walizkę i wspięła się na wysoki stołek obok stołka Leo.

Wtedy zrozumiał, że nie gapi się na nią z powodu jej szerokiej falbaniastej białej sukni, lecz ze względu na urodę. Lubił uważać, że uodpornił się na kobiece piękno. Spędził ubiegły rok w Los Angeles, gdzie nie sposób pójść po karton mleka do okolicznej bodegi¹ i nie spotkać co najmniej jednej kobiety, która wydała tysiące dolarów na poprawę swojego wyglądu. Tu trochę przyciąć, tam trochę dodać...

Ta dziewczyna była jednak naprawdę oszałamiająca; aż poczuł wdzięczność, że usiadła obok niego, dzięki czemu mógł się wpatrywać w idealne rysy jej twarzy i zachwycać się nienaganną całością, na którą się składały. Och, poprawiała urodę, tak, lecz ingerencje były bardzo dyskretne. Kilka ostrzyknięć botoksem, ot, odrobina, która wciąż pozwalała okazywać emocje.

Jej włosy w miodowym odcieniu blond były ułożone w fantazyjną fryzurę i przystrojone diademem. Z wyraźnego nawet w słabo oświetlonym barze błysku kamieni Leo wnosił, że diadem przyozdobiono sporymi prawdziwymi brylantami.

Więcej brylantów połyskiwało na jej palcu serdecznym, ale nie dostrzegł obrączki, co mogło wyjaśniać, dlaczego duże, kształtne usta ułożyły się w smutną podkówkę. Chociaż, kiedy przykuł jej spojrzenie, skwitowała jego zainteresowanie mało entuzjastycznym wydęciem warg.

— Witaj — zagaiła ze znacznie wyraźniejszym brytyjskim akcentem niż jego i rozsiadła się wygodniej, a wtedy pełne fałdy spódnicy białej sukni rozłożyły się wokół niej niczym płatki kwiatu.

— Cześć — odparł, lecz zanim zdążył cokolwiek dodać, gburowaty barman, który wcześniej, zanim go obsłużył, długo go ignorował, w rekordowym czasie stanął przed dziewczyną i niecierpliwie oczekiwał na jej zamówienie.

Niepewnie przyjrzała się kolekcji butelek za barem.

— Szybko opuściłaś męża, co? — spytał barman, a ona gwałtownie zamrugnęła powiekami.

— Nie jestem mężatką — stwierdziła obojętnie. Wskazała na metry tiulu i jedwabnej tafty. — Pozory mylą.

— Czyli uciekająca panna młoda? Stchórzyłaś w ostatniej chwili?

Być może w pierwszym momencie zamierzała się obruszyć i uciszyć

mężczyznę, zamiast tego jednak się uśmiechnęła.

Zanim to zrobiła, już była piękna. Ale kiedy wraz z jej szczerym uśmiechem błękitne oczy zamigotały równie mocno jak jej brylanty, zmieniła się w absolutny, cholerny ideał! Na ten widok Leo o mało nie pociekła ślinka.

— Och, kochany — zaszczębiotała do barmana, który teraz przestał udawać, że poleruje trzymaną w rękach szklankę. — To naprawdę strasznie nudna historia.

Chociaż dziewczyna wydawała się opanowana, ramiona wyprostowała tak sztywno, że Leo na samą myśl o tym poczuł bolesne współczucie — jak gdyby trzymała się prosto jedynie dzięki nadludzkiemu wysiłkowi, podczas gdy w rzeczywistości pragnęła się po prostu osunąć.

— Więc... zerwałaś czy...

Podniosła rękę na znak protestu.

— Proszę, żadnych pytań. Póki nie dostanę drinka.

— Co ci podać? Na koszt firmy, rzecz jasna — dodał barman, prawdopodobnie sądząc, że mimo tłustych, rzadkich włosów ułożonych w smutny mały czub, drżącego podbródka i faktu, że poleruje szklanki i serwuje drinki w jakiejś spelunie, ma u niej szansę. Ale przecież każdy ma prawo próbować.

— Poproszę kieliszek szampana.

Barman zagapił się na nią jak na kogoś, kto mówi po marsjańsku.

— Nie sprzedajemy szampana na kieliszki. W ogóle go nie mamy.

— Naprawdę? To niesłychane! — Odwróciła się do Leo i potrząsnęła głową, sugerując, że powinien podzielić jej niedowierzanie. Wzruszył ramionami, za co tym razem nagrodziła go konspiracyjnym uśmieszkiem, po czym znowu spojrzała na barmana. — No dobrze, kochany, co zatem serwujecie?

Zadowolona się drinkiem dirty martini. Kiedy wypła pierwszy łyk, zmarszczyła noseć, a wtedy barman wreszcie zrozumiał, że wcale, ale to wcale nie ma u niej szans, więc skupił uwagę na miseczkach z niespecjalnie świeżymi przekąskami i zostawił dziewczynę w spokoju.

Siedzieli we dwoje w milczeniu. Zwróciła się do Leo dopiero, gdy dopijała drinka.

— Jutro kończę dwadzieścia siedem lat — oznajmiła.

Nie był pewny, do czego zmierzała ani czy w ogóle chciałby się tego dowiedzieć. Kobiety, które wyglądały tak jak ona i które nosiły tej wielkości brylanty, na pewno oznaczały wyłącznie kłopoty. Ale czy kiedykolwiek wcześniej taka myśl go przed czymś powstrzymała?

— Wszystkiego najlepszego, z góry. — Podniósł szklaneczkę ze szkocką i lekko stuknął o ściankę jej kieliszka.

Przysunęła się, a on pomyślał, że mógłby zatonać w jej ciepłym, słodkim zapachu.

— Rzecz w tym, kochany... Złożyłam przysięgę, że wyjdę za mąż przed

ukończeniem dwudziestu siedmiu lat.

— Dwadzieścia siedem to nie tak znów dużo — zauważył. — Mnie się udało przetrwać bez ślubu znacznie dłużej.

— Z mężczyznami jest inaczej — upierała się, patrząc na swój pierścionek zaręczynowy. — Dla kobiety dwadzieścia siedem lat... No cóż, trudno to wyjaśnić.

Począł, aż dziewczyna przynajmniej spróbuje, ona jednak tylko nerwowo przekręcała na palcu ogromny kamień, który lśnił w świetle górnego reflektora tak mocno, że błyski oślepiały Leo.

— Słuchaj, najwyraźniej masz zły dzień, ale...

— Najgorszy ze złych. — Wyciągnęła dłoń przed siebie i wpatrywała się w pierścionek jak w obiekt odpowiedzialny za wszystkie jej obecne nieszczęścia. — Najgorszy, odkąd pamiętam.

— Wiesz — rzucił bez zastanowienia — mógłbym się z tobą ożenić. Jeśli chcesz.

Bogini zachłysnęła się łykiem martini.

— Ożeniłbyś się ze mną?! — spytała, kiedy już doszła od siebie. — Dlaczego, do diabła, miałbyś to zrobić?

Wzruszył ramionami.

— Kiedyś byłem skautem. Nadal lubię robić codziennie jeden dobry uczynek.

Przesunęła się na stołku i wpatrzyła w swego rozmówcę. Jej przypominająca ubitą pianę spódnica ocierała się o jego kolano w dzinsach.

— Nie jesteś żonaty, prawda?

— Nie. — Wyszczrzył zęby, widząc jej zmieszanie. Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem, a on uznał, że zaczyna lubić ich grę, nawet jeśli nie zna zasad.

— Masz narzeczoną albo dziewczynę, z którą dobrze się rozumiesz?

— Nie.

— Jesteś gejem? Nie żeby to w ogóle miało znaczenie, ale...

— Nie jestem!

Rozłożyła szeroko ręce.

— A jednak, kochany, zaskoczyłeś mnie. Podaj mi jeden dobry powód, dla którego powinnam za ciebie wyjść.

Istniało mnóstwo kiepskich powodów — na przykład, że małżeństwo należało do nielicznych rzeczy, których jeszcze nie spróbował. Poza tym to musiało być przeznaczenie: do baru wchodzi olśniewająca dziewczyna absolutnie gotowa powiedzieć: „ślubuję”, a brakuje jej tylko pana młodego. Przywołał barmana i zamówił dla niej kolejną whisky oraz wódkę z tonikiem, skoro dirty martini niezbyt jej zasmakowało.

— Podaj mi jeden dobry powód, dlaczego nie? — spytał.

Kiedy barman postawił przed nią drinka, pokręciła głową.

— Od czego by tu zacząć...?

— Do północy zostało ledwie kilka godzin. Myślałem, że ci się śpieszy.

Zrobiła kwaśną minę i poszukała wzrokiem bardziej odpowiedniego kandydata. Nie znalazła. Było tu tylko kilku starszawych gości, z których każdy przez ostatnią godzinę powoli sączył butelkę piwa, oraz mężczyzna w odległym rogu wpatrujący się w pustą szklankę z takim smutkiem, jakby dopiero co postawił oszczędności całego życia na czarne, a wypadło czerwone. Niemniej jednak dziewczyna zmrużyła oczy i rozważała dostępne opcje.

— Nie musisz za mnie wychodzić — powiedział Leo, czym znów przyciągnął jej uwagę. — Ale wypijmy po drinku i pogadajmy, a za godzinę czy dwie zobaczymy, co myślimy o tym pomysle. Umowa stoi?

Podniosła szklankę i posłała mu kolejny z tych uśmiechów, które sprawiały, że Leo chciał natychmiast znaleźć kałużę i rzucić na nią kurtkę, po której dziewczyna mogłaby przejść.

— Stoi.

Bodega — mały latynoski sklepik spożywczy (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ II

Wrzesień 1943 roku

Dwaj amerykańscy żołnierze przez jakiś czas się zastanawiali.

— Dlaczego musisz się dostać do Rainbow Corner? — zapytał jeden z nich.
— Któryś z naszych zrobił ci krzywdę i twój papcio czeka tam ze strzelbą?

— Co takiego? — Zadarła głowę i zagapiła się na niego. Miał oliwkową cerę i ciemne oczy, i w innej sytuacji może uznałaby go za atrakcyjnego, ale nie teraz, skoro podejrzewała, że sobie z niej kpi, gdy tak stała w futrze matki, solidnych sznurowanych butach i skarpetach do kostek, a kusicielską czerwoną szminkę zdążyła już niemal całkowicie zlizać z ust. Jednak nie miał powodu traktować jej jak latawicy.

— Och...! Och nie! Absolutnie nic takiego. Chodzi o to tylko, no cóż... Przyjechałam tu aż z Durham... Znacie Durham?

Pokręcili przecząco głowami i uśmiechnęli się do niej z pobłażaniem jak do dziecka, które zeszło życzyć dorosłym dobrej nocy.

— Oczywiście, że nie znacie, ponieważ jest to najbardziej żałosne, najnudniejsze miejsce w Anglii, a ja... Zbombardowano nas i teraz nie mam rodziny ani domu, więc zdecydowałam, że skoro brak mi środków do życia, równie dobrze mogę biedować w Londynie. Rainbow Corner zobaczyłam w jakiejś kronice filmowej, w której lektor powiedział, że klubu nigdy nie zamykają, bo wyrzucili klucz do drzwi wejściowych, żeby zawsze były otwarte dla wszystkich, którzy chcą przyjść...

Trochę się wstydziła z powodu głupot, które tak łatwo płynęły z jej ust. Jeśli jednak ktoś nie znał wszystkich okoliczności, które doprowadziły ją do ucieczki z Durham, mógłby ją postrzegać w bardzo kiepskim świetle. Wyższy, bardziej tyczkowaty żołnierz, ten z gęstą czupryną włosów w kolorze pszenicy, nie wyglądałby wtedy na aż tak zmartwionego.

— Biedne dziecko, to okropne — powiedział, chociaż przecież nie była już dzieckiem. Dwa tygodnie temu skończyła siedemnaście lat. — Nie masz jakiejś rodziny, u której mogłabyś się zatrzymać?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Zostałam zupełnie sama. — Westchnęła i wyobraziła sobie, że na pewno wygląda na całkiem opuszczoną. — Po prostu muszę się nauczyć jakoś sobie radzić sama.

Tymczasem jego przyjaciel patrzył na nią wzrokiem, który jej się nie spodobał.

— Zamiast się pchać do Rainbow Corner lepiej znajdź najbliższą siedzibę

YWCA¹.

Zrobiła zasmuconą minkę.

— Ale YWCA jest za bardzo chrześcijańskie i niedostatecznie młodzieżowe.

Tym razem obaj się roześmiali, a potem blondyn powiedział:

— Daj spokój, Danny. Minęły wieki, odkąd pomogliśmy damie w opałach.

— Ile masz właściwie lat? — spytał ów Danny.

— Dziewiętnaście — odpowiedziała natychmiast jak osoba, która wcale nie musi się zastanawiać nad takim pytaniem, gdyż ukończyła dziewiętnaście lat wiele miesięcy temu, jednak Danny prychnął, jak gdyby i w to jej nie uwierzył.

— W porządku, zabierzemy cię do Rainbow Corner, ale dość kłamstw, bo zacznę cię uważać za szpiega. A wtedy może cię raczej odprowadzę na najbliższy posterunek policji.

— Nie przejmuj się nim — rzucił drugi żołnierz, kiedy sapnęła z oburzeniem. — W zeszłym tygodniu opieprzył go dowódca naszej kompanii. Od tamtej pory jest w strasznym dołku. Mam na imię Phillip, ale wszyscy nazywają mnie Phil.

— Ja jestem Rosem... Rose — poprawiła się.

Blondyn błysnął w uśmiechu oślepiająco białymi zębami i podniósł jej walizkę. W metrze zapłacił za jej bilet i znalazł dla niej miejsce siedzące. I nawet mu nie przeszkadzało, że nie skupiała uwagi wyłącznie na nim, lecz również na wesoło oświetlonym wagoniku metra, siedzącej naprzeciwko niej dziewczynie w upragnionym, ekstrawaganckim kapeluszu na głowie, huśtających się wraz z ruchem pociągu przedmiotach, a nawet na ogłoszeniach. Tak wiele nowych rzeczy wzbudzało jej podziw.

Wszystko byłoby naprawdę fascynujące, gdyby tylko potrafiła przestać stale zerkać na zegarek i wyobrazać sobie, co dzieje się teraz w Durham. Na pewno już znaleźli karteczkę. Shirley powiedziała coś nienawistnego w stylu: „Nawet kiedy nie ma jej tutaj, i tak stanowi prawdziwe utrapienie!”, matka przypuszczalnie poszła do łóżka z typową dla siebie migreną, a ojciec zamknął się w swoim gabinecie. Odkryli już także, że zabrała futro i pożyczyła sobie czarną krepdeszynę Shirley oraz jej jasnoniebieską taftę, co tylko pogorszyło sprawę.

— O co chodzi? Jesteś zbyt ładna, żeby tak się smucić.

Zarumieniła się. Nikt nigdy przedtem nie nazwał jej ładną, chociaż uważała, że gdy zrobi jedną z min i nieco zmruży oczy, wygląda trochę jak Hedy Lamarr. To jednak nie wystarczy, żeby podobać się ludziom.

— To bardzo miłe, ale nie jestem...

— Byłabyś jeszcze ładniejsza, gdybyś się uśmiechnęła — naciskał Phil i wtedy posłusznie wykrzywiła usta, a on udał, że mdleje.

Danny w tym momencie chrząknął. Zdecydowała, że najlepiej go zignorować.

Następnym przystankiem był Piccadilly Circus.

Już samo wejście po schodach prowadzących ze stacji na ulicę podziało na Rose ożywczo. Z powodu zaciemnienia nie widziała oczywiście ani pomnika Erosa, ani sławnych bill boardów, lecz już po kilku sekundach kształty i zarysy w nieprzeniknionej nocy zmieniły się w przechodniów. Czekali na przyjaciół lub pałac papierosy, chronili się w progach domów albo wystawali w kolejkach przed restauracjami i nocnymi klubami. Zewsząd docierały odgłosy ich śmiechu i rozmów.

Z niecierpliwości i podniecenia aż trzęsły jej się dłonie i podwijała palce u nóg w sznurowanych butach. Odnosiła wrażenie, że wszystko, co dobre i wspaniałe, skupiło się w tym jednym miejscu, łącznie z gromadką wystrojonych dziewczyn, które zebrały się na rogu ulicy.

— Hej, panowie żołnierze, potrzebuje któryś partnerki do jive'a? — zawołała jedna z nich na widok Phila i Danny'ego.

— Dam całusa, jeżeli wprowadzicie mnie do Rainbow Corner — obiecała kolejna, trącając Rose biodrem, że aż się potknęła, zanim jednak zdążyła kopnąć dziewczynę lub szturchnąć ją łokciem, Danny chwycił mocno jej ramię i pchał ku wejściu.

— Lubisz się pakować w kłopoty, co? Dam ci pewną radę, dziecko: spędź noc na koszt Wuja Sama, a potem wracaj do domu.

— Ale powiedziałam ci, że mój dom zbombardowano. Nie mam już właściwie dokąd...

— Jasne, jasne. Bujać to my, ale nie nas! — wycedził, ciągnąc ją. Ponieważ tłum wokół nich gęstniał, przesuwali się coraz wolniej. — Wracaj do domu albo skończysz jak one.

Rose podążyła za jego spojrzeniem ku następnej grupie na przeciwległym narożniku. Wydawały się całkiem niewinne. Nawet ładne, chociaż wiedziała, że rzeczywiście istnieje pewne określenie dla tego rodzaju dziewcząt, które wystają na ulicznych rogach i wołają mężczyzn, których bez wątpienia nie znały. I pomyśleć, że właśnie ją ktoś nazwał rozpustnicą, gdyż rzekomo zachęcała do amorów syna dyrektora banku, okropnego tłustego Cedrica.

— Nie wydają się takie złe. Co ci się w nich nie podoba?

— W panienkach z Piccadilly? — odpowiedział z jakimś suchym chichotem, który był naprawdę dalekim krewnym śmiechu. — Dostatecznie szybko się dowiesz, jeśli nadal będziesz nagabywała amerykańskich żołnierzy na dworcach.

— No cóż, mnie się podobają! I wcale was nie nagabywałam!

— Przestań, Danny — syknął ostro Phil, otwierając wielkie szklane drzwi klubu. — Pani pierwsza.

Rose marzyła o tej chwili od bardzo długiego czasu, teraz jednak pochłonęła ją sprzeczka z tym pełnym nienawiści mężczyzną, a potem musiała się przeciskać

obok garstki hałaśliwych żołnierzy, którzy akurat wychodzili... A teraz znalazła się w środku...

Zostawiła za sobą szary, monotony świat — świat zajmujący się wyłącznie przetrwaniem, zaciskaniem pasa i oszczędzaniem rzeczy na lepsze czasy, które nigdy nie nadeszły. Chcąc przejść te drzwi i znaleźć się w niebie na ziemi, kłamała i kradła, uciekła i zaczęła obcych mężczyzn.

Rainbow Corner!

„Marzenia nie mają zupełnie żadnego sensu, jeśli ze wszystkich sił nie staramy się ich urzeczywistnić” — pomyślała, rozglądając się wokół siebie. Prawdę mówiąc, oceniając ogromny hol, poczuła lekkie rozczarowanie. Miała przed sobą tablicę ogłoszeń z tymi samymi, urzędowo wyglądającymi znakami, które widziała wszędzie. Chociaż była tu także strzałka wskazująca wschód z napisem: BERLIN — 600 MIL. I kolejna, wycelowana w przeciwnym kierunku, ze słowami: NOWY JORK — 3271 MIL. A z balkonu powyżej, do którego prowadziły imponujące schody, dumnie powiewała amerykańska flaga. Gdy Rose zastygła i starała się nie słuchać osób rozmawiających i krzyczących do siebie w ten szybki, łatwy sposób, który wydawał się typowy dla Amerykanów, wówczas dotarły do niej odległe dźwięki zespołu grającego jakiś swingowy, zaraźliwy utwór. Tu chciała być...

— Rosie?

Phil szarpnął ją delikatnie za rękaw i poszli do recepcji obsługiwanej przez dwie kobiety w ciemnoszarych mundurach. Trzymała się na uboczu, kiedy obaj żołnierze się meldowali i pytali, czy plotki o gorącym prysznicu są prawdziwe. Nadal słyszała muzykę zespołu; kołysała się w miejscu, jedną stopą wybijając rytm, aż zauważyła, że obie recepcjonistki patrzą na nią z lekkim zdziwieniem.

— Dzień dobry — odezwała się, miała nadzieję, że pewnym siebie głosem.
— Jestem z nimi.

— Uwierzycie, że to młodsza siostrzyczka Phila aż z Des Moines? — Danny posłał kobietom spojrzenie, którego Rose nie widziała, ale jedna z nich, brunetka wyglądająca na formalistkę, uśmiechnęła się.

— Nie będę sprawiać kłopotów — zapewniła Rose. — Naprawdę!

Druga kobieta, która wydawała się jeszcze bardziej nadgorliwa, nie dała się przekonać.

— Ma na pewno zabawny akcent jak na tamtą część świata — oznajmiła oschle.

— Tak, jest trochę pretensjonalna — przyznał Danny, a Rose syknęła przez mocno zaciśnięte zęby. „Jak on śmiał?”. — Podczas pobytu tutaj ma nadzieję upolować księcia.

Nagle wejście do Rainbow Corner nie było teraz aż tak ważne jak pchnięcie Danny’ego mocno między łopatki, na szczęście recepcjonistki się roześmiały.

— Zdaje mi się, że tam gra w bilard hrabia... Lepiej trzymaj siostrę z dala od niego.

— Dziękuję. Bardzo, bardzo wam dziękuję. Nawet nie dostrzeżecie mojej obecności tutaj — obiecała Rose Philowi, kiedy się oddalali. Uśmiechnęła się do niego szeroko. — Przez minutę było niebezpiecznie. — Odwróciła się do Danny'ego. — Dziękuję ci za pomoc — dodała chłodno.

— Nie ma za co, dziecko — odparł i dotknął czapki, udając, że salutuje. — Zobaczymy się później.

Poczuła ulgę, gdy odszedł. Phil również podniósł swój worek marynarski. Rose wiedziała, że da sobie tu radę, ponieważ wszyscy zgodnie twierdzili, że jankesi są bardzo przyjacielscy i nie robią ceregieli, a ponadto przebywała przecież pod opieką Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, więc nic złego nie mogło jej się przytrafić.

— No... Strasznie miło było was poznać i jeszcze raz dziękuję — podsumowała pogodnie i wesoło. — Na pewno wszystko będzie teraz w idealnym porządku.

— To świetnie, nie? — mruknął Phil, a jego dobra, otwarta twarz nieco posmutniała. — Myślałem, że się zaprzyjaźnimy.

— Zaprzyjaźniliśmy się. Naprawdę, równy z ciebie gość, ale nie musisz się o mnie martwić — zapewniła go z beztrząsą, w którą sama nie wierzyła. — Jestem pewna, że masz w klubie wielu przyjaciół, z którymi chciałbyś spędzić czas i nie chciałabym przeszkadzać.

— Raczej nie chcesz, żebym ja przeszkadzał tobie — odparował, trochę przesuując worek. — W Stanach takie jak ty określamy pewnym słowem...

— Wcale nie próbuję się ciebie pozbyć. Chciałam ci się tylko usunąć z drogi — tłumaczyła się. — Żebyś mógł swobodnie... hmm... porozmawiać z innymi dziewczynami.

Mocno się zarumienił.

— Wolałbym rozmawiać z tobą — rzucił pośpiesznie. — Wolałbym spędzić całe osiemnaście godzin, zanim wrócę do bazy, właśnie z tobą.

— Naprawdę?

Skinął głową i jego twarz rozjaśnił niepewny uśmiech.

— Tak, uwierz — oświadczył z przekonaniem i nadstawił ramię, a później poprowadził ją w górę, po schodach, które z bliska prezentowały się skromnie.

Zatańczyli na ogromnym parkiecie do muzyki swingującego zespołu. Oślepieni przez światła odbijające się od instrumentów dętych starali się nie wpadać na inne pary, których co najmniej dwieście poruszało się w rytmie na cztery czwarte.

— Tańczyłaś już kiedyś jive'a? — spytał Phil.

— Właściwie nie, ale chcę tego bardziej niż czegokolwiek innego — odparła

Rose, niestety na parkiecie nie było miejsca na nic więcej niż szybki fokstrot.

Tańczyła z Philem, aż stopy ją rozboleły i w gardle miała sucho, jednak kiedy się zatrzymali, zdyszani, wcale nie chciała przerywać tańca.

— Zostańmy na jeszcze jeden — poprosiła, lecz Phil tylko się roześmiał i potrząsnął głową.

— Słyszałem pewne pogłoski o tym klubie — stwierdził. — Jeśli są prawdziwe, odkryjesz coś lepszego niż tańce.

— Nie wierzę, że istnieje coś lepszego — odrzekła, kiedy wziął ją za rękę. Pospiesznie wyszli z sali balowej i zeszli po schodach. — Co to takiego? — naciskała.

— Nie mogę ci powiedzieć. To niespodzianka.

— Uwielbiam niespodzianki! — Właściwie, uwielbiała wszystko, co działo się w Rainbow Corner. Nawet niezręczną sytuację po wejściu — ponieważ dzięki tym kilku strasznym chwilom, podczas których sądziła, że wyrzucą ją z powrotem na srogą, bezlitosną noc, jeszcze bardziej doceniała pobyt tutaj. — Mam zamknąć oczy, żeby okazała się dodatkowo zaskakująca?

— Doskonały pomysł — zgodził się Phil, a ponieważ należał do osób, którym się instynktownie ufa, wiedziała, że bezpiecznie sprowadzi ją po schodach i w trakcie drogi na pewno nikt na nią nie wpadnie. — Jeszcze dwa stopnie. Ostrożnie, Rosie. Zaraz znajdziemy się na dole i... Hej, koleś! Uważaj, pani przechodzi. Kiedy powiem: „Teraz!”, będziesz mogła otworzyć oczy. Teraz!

Rose nie otworzyła ich od razu, ponieważ chciała jeszcze przez moment cieszyć się czekającą ją niespodzianką, potem jednak nie mogła się doczekać, uniosła powieki i...

— O rany... — Pomyślała, że zaraz zemdleje, wybuchnie łzami albo z podniecenia przydarzy jej się jedno i drugie. — O mój Boże, chyba śnię!

Jak wszędzie indziej w Rainbow Corner piwnica była maksymalnie zapchana; ludzie cisnęli się wokół małych stolików, tłoczyli się na brzegach sali, stali nawet na schodach. Wszyscy trzymali w dłoniach szklanki i kiwali się w rytm muzyki płynącej z szafy grającej, a pośrodku olbrzymiego pomieszczenia znajdował się bar z napojami. I prawdziwy saturator.

Widząc jej reakcję, Phil z dumy puszył się jak paw.

— Mamy taki sam w Des Moines. Więcej niż jeden.

— Jest absolutnie piękny — wykrztusiła Rose, a Phil zachichotał, sądząc, że sobie zażartowała, ona jednak nigdy w życiu nie była tak śmiertelnie poważna.

— Ejże! Łapmy ten stolik. — Pchał ją ku krzesłu, które niespodziewanie się zwolniło.

Wiedziała, że pieniądze, które miała w portmonetce, muszą starczyć, aż... o kurczę, aż znajdzie pracę, zdecydowała więc, że zadowoli się filiżanką herbaty i bułką. Z pewnością nie zapłaci za to więcej niż szylinga?

— Co zamówimy? — Phil rozglądał się za kelnerką.

— Nie jestem zbyt głodna — skłamała. — Niewiele jem.

— Zobaczysz, zgłodniejesz, kiedy przyniosą nam jedzenie — obiecał. Kiedy sięgała do torby, położył rękę na jej dłoni. — Jaki facet tańczy godzinami z dziewczyną, a potem oczekuje, że sama za siebie zapłaci? Ja stawiam.

— Jesteś bardzo uprzejmy — wymruczała Rose, gdy zjawiła się kelnerka.

Po jej odejściu Rose nie była pewna, o czym będą rozmawiali. Chłopcy nigdy nie mieli dużo do powiedzenia, chociaż ze swego niewielkiego doświadczenia pamiętała, że to nigdy ich nie powstrzymało przed gadaniem, co ślina przyniesie na język.

Phil wyłowił paczkę papierosów z kieszeni na piersi munduru.

— Chcesz?

— Tak, poproszę. — Nigdy wcześniej nie paliła, ale pozwoliła sobie zapalić papierosa, a potem skoncentrowała się bardzo mocno na nonszalanckim wypuszczaniu dymu kącikiem ust. Jakże pragnęła być nonszalancka! — A zatem...

— Jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką widziałem w Anglii — oświadczył nieoczekiwanie Phil. — Nie kadzę ci, to prawda.

Trudno zachowywać się nonszalancko, kiedy człowiek się rumieni. Na palce, w których niezdarnie trzymała papierosa, zaczęła nerwowo nawijać kosmyk włosów, aż usłyszała syczenie, a później poczuła swąd spalenizny.

— Och, nie wiem, czy jestem aż taka ładna — zauważyła z wahaniem, bo nie była całkowicie pewna, co znaczy „kadzić” i czy tego chciała. — Szczotka do włosów została w walizce, a na pewno wyglądam na okropnie rozczochraną...

Phil pokręcił przecząco głową.

— Nie. Wyglądasz prześlicznie. Naprawdę.

Wpatrywał się w nią tak bezwstydnie, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Ty również prezentujesz się bardzo przyjemnie — zdołała wydukać, co nie do końca było zgodne z prawdą.

Phil był wysoki i postawny, lecz raczej niezbyt przystojny i miał zatrważającą szczelinę między przednimi zębami, należał jednak do najmilszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała. Przypominał jej golden retrievera, którego miała przed wojną jej najlepsza przyjaciółka, Patience. Prince wyglądał na tak samo szczęśliwego i oddanego, kiedy ktoś zawołał do niego „dobry pies” albo poklepał go po łbie.

— I jesteś taki kochany. Wspanialszy niż wszystko, czego się spodziewałam, kiedy was zagadnęłam na King’s Cross.

Szczęśliwym trafem Phil nie miał szansy ponownie rozplęwać się nad jej urodą, gdyż w tym momencie wróciła kelnerka.

— Proszę — powiedziała, zestawiając z tacy załadowany talerz. — Nasza specjalność.

Ową specjalnością okazała się sterta zniekształconych, gorących pączków z dziurką w środku.

— Faceci z mojej bazy nazywają ten lokalik Kryjówką Dunkera² — wyjaśnił Phil. Podsunął jej talerz. — No dalej. Częstuj się.

Bała się dotknąć smażonych w głębokim tłuszczu, posypanych cukrem pączków na wypadek, gdyby miały zniknąć, a kiedy w końcu wyciągnęła rękę po jeden, okazał się tak gorący, że ją cofnęła i przez chwilę ssała w ustach poparzone palce. Język natychmiast oblepiły jej bardzo, bardzo słodkie kryształki i z rozkoszą zamknęła oczy.

Wtedy przestała dbać o pozory, rozerwała pączka i wepchnęła sobie połówkę do ust. Był gorący i tłusty, więc znowu zamknęła oczy w spokojnej, cichej błogości, a gdy je otworzyła, zauważyła, że Phil promienieje.

— Zjedz, ile zdołasz — zachęcał szczodrze. — Chcesz je czymś popić? — Kiwnął w kierunku dwóch szklanek, których wcześniej nawet nie spostrzegła. Były pełne nieapetycznego, pieniącego się płynu w kolorze brązowym.

— Czy to jest piwo korzenne? — zaryzykowała.

— Nie. — Phil uśmiechnął się, prezentując wszystkie zęby i dziąsła. — Zgaduj dalej.

— Nie mam pojęcia. Mogę?

— Proszę bardzo.

Podniosła jedną ze szklanek i ostrożnie powąchała. Gazowane bąbelki połaskotały ją w nos. Wypiła niepewnie mały łyk, a potem naprawdę użyła całej silnej woli, jaką posiadała, żeby się nie skrzywić i nie wypluć napoju. Smakował ohydnie, niczym najbardziej znieawidzony środek wykrztuśny.

— Wspaniały — mruknęła i chyba jej odpowiedź zabrzmiała przekonująco, ponieważ Phil głęboko sapnął, jak gdyby do tej pory żywił obawy, że Rose nie zagustuje w płynie. — Wyborny — dodała. — A co to jest?

— Coca-cola! — wykrzyknął. — Pomoże nam wygrać tę wojnę.

Być może armia amerykańska planowała wystrzelić ów płyn zamiast bomb między hordy faszystów.

— Amerykanie dużo tego piją? Niesamowite. — Podniosła szklankę i spróbowała wypić jak najwięcej, zagryzając kawałkami pączka, które miały stłumić okropny smak, chociaż uważała, że w ten sposób marnuje absolutnie pyszne pączki.

Gdy pochłonęła wszystkie pączki poza jednym i wypila pełną szklankę coca-coli, która teraz chlupotała jej w żołądku, poczuła, że odzyskuje energię, mimo że miała za sobą taki długi, obfitujący w wydarzenia dzień. Czuła wprawdzie jakiś niepokój, którego nie potrafiła rozproszyć i z powodu którego bębniła palcami o blat stołu; nie mogła też przestać szcząkać zębami, choć wcale nie zrobiło się nagle chłodniej.

— Chodźmy jeszcze potańczyć — zaproponowała. Wstała, zdjęła rozpinany sweter i zawiązała go sobie na ramionach. — To znaczy, jeśli chcesz.

Wiele, wiele tańców później zespół przestał grać i pary, trzymając się pod rękę, zeszły z parkietu. Phil powiedział, że o tej porze nie znajdzie już dla siebie kwatery, więc weszli po schodach i jak duchy krążyli po klubie, aż znaleźli pustą sofę wciśniętą w róg. Rose trudno było pamiętać, że powinna siedzieć sztywno z nogami elegancko skrzyżowanymi w kostkach, skoro nie mogła sobie przypomnieć, kiedy była tak bardzo zmęczona albo o tak późnej godzinie nie leżała jeszcze w łóżku.

Phil opisywał jej Des Moines w stanie Iowa — miejsce, w którym najwyraźniej było wiele krów i pól kukurydzy oraz dom towarowy o nieprawdopodobnej nazwie *Younkers*, czyli „panicze” — a ona z ogromnym wysiłkiem panowała nad ziewaniem i starała się otwierać oczy od razu, gdy je zmrużyła. Głos mężczyzny wydawał się dochodzić z bardzo daleka i Rose coraz trudniej było się uśmiechać i w odpowiednich odstępach mówić: „O rety, jakie to interesujące”, ważne jednak było, że próbowała.

W końcu oparła głowę na ramieniu Phila i nawet się nie przejęła, kiedy ostrożnie otoczył ją ramieniem.

— Możesz spać, jeśli chcesz — powiedział. — Nie mam nic przeciwko. Też czuję się trochę wypompowany.

Zacisnęła szczęki, chcąc się powstrzymać przed ziewaniem.

— No cóż, możemy się chyba trochę zdrzemnąć — zgodziła się. — Ale tylko troszeczkę, bo naprawdę chciałabym usłyszeć więcej o Des Moines. Jest takie urocze.

— To najładniejsze miejsce, jakie znam — przyznał, lecz nie brzmiał już tak dziarsko.

Kiedy przesunął się na sofie, żeby oboje mogli się położyć, zrobiło się znacznie wygodniej. Później zamknął oczy i zasnął nawet przed Rose.

YWCA — Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Dunker (am. ang.) — członek sekty baptystów German Baptist Brethren (przeciwnych służbie wojskowej) (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ III

Gdy dobili targu i mniej więcej się zaręczyli, przedstawili się sobie:

— Leo — powiedział on. Miał mocny uścisk dłoni; lubiła to u mężczyzn.

— Jane — odparła ona.

I kiedy mieli to już za sobą, mogli zacząć się poznawać.

Właściwie wszystko, czego Jane potrzebowała, wiedziała już od trzydziestu minut, które spędziła, siedząc obok Leo. Pod barowymi światłami wyraźnie widziała zmarszczki wokół jego oczu i ładne, niemal dziewczęce usta, na których stale błąkał się leniwy uśmieszek, jak gdyby prawdziwy uśmiech stanowił zbyt duży wysiłek.

Wprawdzie garbił się na bardzo niewygodnym stołku barowym, ale wyczuwała, że jest wysoki i smukły, chociaż mogła się też założyć, że pod podkoszulkiem z napisem „Ramonés” dostrzeżga początki brzuszyska — zapewne od nadmiernych ilości alkoholu i jedzenia na wynos kupionego w nocnym lokalu, nadal otwartym, kiedy Leo wykopano z baru, w którym się zaszył. Mężczyzna był jednak na swój sposób naprawdę seksowny. Może dlatego, że wyglądał na człowieka, który wiele już przeżył, a mimo to nadal jest gotów na następną przygodę. Gdyby mu skrócić potargane włosy (rozjaśnione końcówki aż się prosiły o podcięcie), odszykować go i ubrać w garnitur, sytuacja przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Było w nim coś mrocznego, a równocześnie prostolinijnego; w dawnych czasach nazwano by go awanturnikiem albo zawadiaką. Na dodatek bezwstydnie z nią flirtował.

— Nie wścibiam nosa, to nie mój styl, ale facet, za którego nie wyszłaś... jest dupkiem — oświadczył jej. — W oczywisty sposób na ciebie nie zasłużył.

— Nie wiesz tego — odparowała. Trochę bełkotała. Pili od godziny. A może raczej on ciągle kupował jej drinki, które wypijała, choć sam nadal sączył powoli drugą whisky. — Może jestem na liście najbardziej poszukiwanych przez FBI kryminalistek.

— Jesteś zbyt piękna na zawodową kryminalistkę — rzucił.

— Ile ich spotkałeś?

— Och, całe mnóstwo. Smutna minka również nie pasuje do tak pięknej dziewczyny — dorzucił cicho, lecz potrafił na nią patrzeć tak, że nie czuła się tylko kolejną cizią, lecz kobietą o sercu równie pięknym jak twarz. Aż pragnęła podzielić się z nim całym smutkiem, który miała w sobie. No cóż, oprócz czterech wódek z tonikiem.

— Spędziłam z nim trzy lata. Trzy lata! A potem w ciągu pięciu minut to się przestało liczyć! — Była niebezpiecznie blisko krzyku. Odsunęła szklanekę, wyprostowała ramiona i zrobiła parę głębokich wdechów. — Wszystko z powodu cholernego zgłoszenia patentowego.

Leo zmarszczył brwi.

— Możesz rozwinąć tę myśl?

— To zbyt nudne — sprzeciwiła się, ale jakieś szczegóły musiała podać. — On, Andrew, mój... Zawsze nienawidziłam takich określeń jak narzeczony, wybranek czy oblubieniec. Wszystkie brzmią tak... — Nie potrafiła znaleźć dziś odpowiednich słów.

— Do chrzanu? — podsunął Leo. — Będziemy go po prostu nazywać panem Eksem? To chyba trafne.

Kiwnęła głową.

— Pisał ten program do rozpoznawania twarzy i głosu, który ekscytował wszystkich... Google'a, Apple'a, chiński rząd... Nawet mnie nie proś o szczegóły, nie znam się na tym. Tak czy inaczej, inwestorzy nie mogli się doczekać. Proponowali miliony jako kapitał początkowy. A dziś, kiedy pięćdziesiąt osób z jego najbliższej rodziny i przyjaciół czekało na jednym z tarasów w THEHotel w Mandalay Bay, odebrał telefon i okazało się, że źle wypełnił formularz zgłoszenia patentowego. Przegapił parę płytek obwodu drukowanego, chipów czy wierszy kodu. A może zapomniał wpisać pełne nazwisko. Kto wie?

— To chyba nie koniec świata, co? — Leo najwidoczniej nie miał pojęcia, jak katastrofalne jest takie złe zgłoszenie patentowe.

— Och, ależ tak. Problem trzeba było rozwiązać natychmiast, nie można było poczekać nawet tych dwóch godzin, które zająłby ślub. Andrew musiał wyjechać od razu. Jestem bardzo wyrozumiałą osobą. — Położyła sobie dłoń na sercu, które nie łomotało już tak szaleńczo, jak wcześniej, gdy odnosiła wrażenie, że wyrwie się z jej piersi, przebije przez gorset sukni, upadnie na ziemię i będzie tam leżało, niemrawo bijąc. — Istnieją jednak granice, a on był taki chłodny, obojętny na moje uczucia...

— Mówiłem, że na ciebie nie zasłużył — wtrącił Leo. Ciągłe wpatrywał się w nią błękitnymi oczyma ze smutkiem, jakiego nie widziała nigdy wcześniej w żadnych innych błękitnych oczach. — Nie mogę uwierzyć, że bardziej niż ciebie troszczył się o Google'a czy o chiński rząd.

— Nie przeszkadzało mi, że z determinacją dążył do celu. Raczej mi się podobało. Jeśli ktoś interesuje się wyłącznie tobą... No cóż, to zbyt duża presja. Lecz ani przez chwilę się nie spodziewałam, że zostawi mnie przed ołtarzem albo, cholera, niedaleko. Powiedział, że musi lecieć do Nowego Jorku uporządkować sprawy i ślub nie jest już najważniejszy. Wyszedł bez słowa pożegnania. — Podniosła porzuconą szklanę i wysączyła zawartość. — Nie jest miło wiedzieć, że tak mało licysz się dla kogoś, z kim się planowało spędzić resztę życia.

— Och, teraz znowu wyglądasz na zaszępioną. Zamówię ci jeszcze jednego drinka — powiedział Leo. Przywołał barmana i wyciągnął z tylnej kieszeni kolejny pomięty banknot dziesięciodolarowy. Jane nie była nawet pewna, czy jej słuchał,

czy naprawdę jej słuchał. Może tylko lubił patrzeć, jak poruszały się jej wargi, kiedy mówiła.

Potem jednak odwrócił się do niej i zagapił się na nią z lekko rozdziawionymi ustami; może na moment zapomniał, że jej rysy — oczy, nos, wargi i reszta — dzięki naturze i staraniom dwóch bardzo dobrych chirurgów plastycznych ułożyły się w bardzo przyjemny układ.

— Boże, jesteś taka piękna. Chciałbym cię namalować.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Ponieważ jestem artystą — odparł i wyciągnął na dowód ręce upstrzone kropelkami niebieskiej i żółtej farby. — Zubożałym. Ale czyż istnieją inni?

Nie miała serca zaprzeczyć, powiedzieć, że знаła takich, którym płacono miliony funtów za marynowanie martwych zwierząt albo za wykonanie graffiti na ścianach domów gwiazd rapu, więc tylko skinęła głową.

— Trzeba długo głodować na mansardach?

— Tak. Żeby kupić farbę, muszę też sprzedawać swoje ciało — dodał i przysunął się bliżej. — Problem w tym, że nie jest zbyt dużo warte, a farba bywa strasznie droga. Widzisz? Wiedziałem, że potrafię wywołać u ciebie uśmiech.

— Staraj się dalej, a może zdołam wykrzesać z siebie chichot — zasugerowała, po czym naprawdę zachichotała, ponieważ nie potrafiła się powstrzymać.

Zerknęła na wąski pasek platyny na nadgarstku. Czas mijał. Co prawda, gdyby okoliczności nie zmieniły się tak drastycznie, na pewno nie wybrałaby Leo, nawet nie wzięłaby go pod uwagę, mogła jednak trafić przecież znacznie gorzej.

Miał poczucie humoru. To dużo znaczyło. Był niefrasobliwy. A zatem również niesolidny. Niezaradny. Nieodpowiedzialny... Nie miał jednak też cech, przez które mógłby zranić kogoś takiego jak ona.

— Jest jeszcze inny sposób, żeby mnie rozśmieszyć — zauważyła.

Przysunął się na tyle blisko, że po skórze przebiegły jej ciarki i poczuła bijący od niego zapach cierpkiej whisky.

— Jaki?

Miał lekko zachrypły, niski głos i umiał tak jakoś na nią patrzeć, że czuła się jedyną dziewczyną na świecie. Była pewna, że całkiem sporo kobiet, które zostawił, łąkało przez niego w poduszkę. Ona jednak nigdy nie była płaczką.

— Sądzę, że ciągle chcę wyjść za mąż. Jesteś chętny, kochany?

Przez chwilę wyglądał jak ogarnięty panicznym strachem chłopak, który chodzi z dziewczyną od liceum, od co najmniej pięciu lat z nią mieszka i teraz ona stawia mu ultimatum, pokazując pozytywny test ciążowy. Wziął kilka głębokich wdechów.

— W porządku. Tak. Sam to zaproponowałem, zgadza się? — Pierwsze słowa wypowiedział z wahaniem, ale ostatnie już z dużo większą pewnością siebie,

toteż Jane przestała się przejmować. — Trzeba choć raz wszystkiego w życiu spróbować, no nie?

— O tak, zdecydowanie. — Splotła dłonie. Będzie jego anegdotą z Vegas. Szaloną opowieścią o żonie, którą poznał w barze i poślubił godzinę później. Nie miała nic przeciwko. Przydarzyły jej się gorsze rzeczy niż opowiadana ku przestrodze historyjka o pospieszonym ślubie. — Masz przy sobie paszport, prawda?

Potwierdził i nawet zapłacił za taksówkę do urzędu stanu cywilnego hrabstwa Cook. Kiedy czekali w kolejce wraz z innymi parami (jedne pijane, drugie zupełnie niedopasowane; było też dwoje nastolatków, którzy być może wymknęli się ze studniówki), wypytywał o najlepsze kapliczki ślubne.

— Co myślisz o tym, żebym się przebrał za Elvisa? — zapytał, gdy Jane schowała do torebki zezwolenie.

Potrzaskała głową.

— Nic tak wyświechtanego — odparła stanowczo. — Nic tandetnego. Żadnych Hawajek tańczących taniec hula. Żadnego neonu. I kategorycznie żadnego udawania Elvisa. Poproszę coś gustownego.

Leo wpisał w wyszukiwarce Google na telefonie „gustowne kapliczki ślubne w Las Vegas” i ostatecznie znaleźli taką z altaną („podobno codziennie wymieniają tam lilie”) oraz możliwością anulowania ślubu.

Po dotarciu do kapliczki, chociaż do tej pory nawet nie omówili taktyki, pomaszerowali prosto do żującej gumę recepcjonistki w średnim wieku i Jane zaczęła się targować, ponieważ absolutnie wszyscy wiedzą, że nigdy nie płaci się żądanej ceny. Gdy już łagodnie wyjaśniła, że w pewnym sensie, pewnym ważnym sensie, oboje wyświadczają właścicielowi kapliczki przysługę, gdyż zapełnią puste miejsce, Leo jej przerwał.

— Przepraszam, że wpadamy tak w ostatniej chwili — powiedział. — Założę się, że ma pani dość patrzenia przez cały dzień na dziewczyny w białych sukniach. — Pochylił się nad biurkiem, dzięki czemu mógł ściszyć głos. Na chwilę zatrzymał wzrok na lekko pomarszczonym rowku między piersiami w wydekoltowanej bluzce w lamparci wzorek. — Proszę posłuchać, powiem pani coś w tajemnicy... Gdybym nie obiecał się już tej pannie, od razu ukląkłbym przed panią. — Posłał recepcjonistce ledwie cień znaczącego uśmiechu, którym do tej pory obrzucał Jane, a kobieta opuściła kolejne pięćdziesiąt dolarów z ceny, wręczyła im segregator i poleciła wybrać przysięgi małżeńskie.

Kilka minut później stali przed gładko wygolonym mężczyzną z pomarańczową opalenizną, niepokojąco białymi zębami i rudobrazową zaczeską, który kazał im się wziąć za rękę.

Dwie godziny temu nawet się nie znali, a teraz prawie obiecali sobie miłość i że się nie opuszczą aż do śmierci.

„Trzeba było poprosić o wyrzucenie tego fragmentu” — myślała Jane, kiedy

niczym papuga powtarzała za urzędnikiem słowa przysięgi.

Najpierw jednak Leo wziął jej ręce w swoje, więc przestała patrzeć na lilie oplatające balustradę altany i skupiła na nim wzrok.

Uśmiechnął się do niej i uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „No i załatwione”.

Uśmiechnęła się, tak jak obiecała wcześniej, lekko ścisnęła jego dłonie i może przez te kilka sekund rzeczywiście poczuli, że coś ich łączy; że coś ich ku sobie ciągnie.

— Proszę powtarzać za mną: „Ja, Leo William Hurst, biorę sobie ciebie, Jane Audrey Monroe”...

Wybrali tradycyjne przysięgi, chociaż na laminowanych kartach w segregatorze często wspomniano o rozmowie splecionych dusz i wzajemnym uzupełnianiu się małżonków. Ale małżeństwo to małżeństwo, a splecione dusze nie były częścią ich umowy. Teraz jednak, kiedy ten nieznajomy mężczyzna obiecał ją czcić swoim ciałem, sentymentalizm stojący za tym określeniem coś w niej poruszył. Nie na bardzo długo, lecz przelotnie te słowa miały dla niej prawdziwe znaczenie.

— Proszę powtarzać za mną: „Ja, Jane Audrey Monroe, biorę sobie ciebie, Leo Williamie Hurst”...

Leo nie spodziewał się, że jej głos będzie drżał. Jane odwróciła się do niego nieskazitelnym, doskonałym profilem, przełknęła ślinę, po czym z jej ust popłynęły słowa tak jasne i potoczyste jak krople szampana. Kiedy się do niego uśmiechnęła, przestał myśleć, że jest uczestnikiem potężnego żartu, zwariowanej nocy w Las Vegas, którą będzie zanudzał ludzi przez następne dziesięciolecia, a to dlatego, że w tej chwili, w tej „gustownej” altanie doskonale się rozumieli. Dwoje poranionych ludzi, którzy szukali odrobiny pociechy oraz odrobiny rozrywki i znaleźli je u siebie nawzajem.

Za dodatkowe dziesięć dolarów właściciel kapliczki dostarczył obrączki. Leo wsunął cienki pasek metalu w kolorze srebrnym na palec Jane, obok jej olbrzymiego pierścionka zaręczynowego z brylantem w stylu art déco. Potem ona wsunęła identyczną obrączkę na jego palec.

Nadal trzymali się za ręce, gdy ogłoszono ich mężem i żoną.

— Może pan teraz pocałować pannę młodą — przypomniał urzędnik. — Jesteście małżeństwem.

— Nie musimy się całować — wyszeptała do niego Jane. — Jeśli nie masz ochoty.

— Dlaczego? Nie chcesz, żebym cię pocałował? — spytał szeptem.

Usłyszeli krzyk zza altany:

— Nie chcę psuć państwu tej wyjątkowej chwili, ale gdyby mogli się państwo już usunąć...

— Zróbmy to — postanowiła Jane, podczas kiedy Leo wciąż le się wahał. Jedną ręką trzymała się za dekolt w kształcie serca, drugą odgarnęła włosy. — No chyba że naprawdę nie chcesz.

Słyszał nutę powątpiewania w jej głosie, w oczach zobaczył łzy.

— No cóż, zaszliśmy tak daleko. Nie powinniśmy skąpić na ostatnie szczegóły. — Bardzo subtelnie objął ją w pasie, a ona zadarła głowę i popatrzyła na niego. Wcześniej sądził, że jej oczy są niebieskie, teraz jednak okazały się zielone, a może były takie tylko w tym świetle. Zagryzła wargę, jakby przez całe życie czekała na jego pocałunek.

— Naprawdę muszą się państwo pospieszyć.

Odwrócił się do mężczyzny, chcąc mu powiedzieć, że wciąż le jeszcze mają minutę i że jest to dosyć ważna minuta, ale Jane położyła mu w tym momencie dłoń na brodzie i obróciła jego twarz ku swojej. To wystarczyło, pochylił głowę i pocałował ją w usta.

Wiedział, że jego twardy, kilkudniowy zarost ociera się o jej miękką jak płatki piwonii skórę, a jego usta mocno napierają na jej wargi. Ale nie było teraz czasu na dobry czy kiepski pocałunek, musiał po prostu to zrobić.

— Nie obchodzi mnie, że jesteś jego matką. Zamknij się, do cholery! Wychodzę za niego, nie za ciebie!

Jane i Leo oderwali się od siebie, wypychani przez wyjście ukryte w zieleni altany. Po długim spacerze korytarzem, którego pluszowy dywan zaprojektowano tak, że miał wyglądać na zarzucony płatkami czerwonych róż, przeszli przez kolejne drzwi i znaleźli się na ulicy.

Było teraz chłodno. Las Vegas jest tylko piękną iluzją — roziskrzonym miastem schowanym w środku pustyni. Przejmujące, okrutne gorąco dnia ustępuje tu bezlitosnemu zimnu nocy. Jane kucnęła, otworzyła walizkę i delikatnie rozpakowała żakiet od Chanel umieszczony pomiędzy kilkoma warstwami bibułki pakowej.

— Ślub w czerni, pech wielki — wyrecytował Leo, kiedy założyła żakiet.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

— Trochę zbyt szybko żałujesz, kochany. — Wyprostowała się w butach na niebezpiecznie wysokich cienkich obcasach. — Myślę, że powinniśmy wnieść teraz toast za nasz związek kieliszkiem szampana, a ty?

— Pewnie, ale wydałem wszystkie pieniądze na drinki, taksówki i zezwolenie na ślub. — Nie chciał być takim facetem, nie wiedział jednak, co innego mógłby zrobić. — Chyba że ty...

— Nie mam ani centa. Zamierzałam wyjść dziś za mąż, ale naprawdę nie myślałam, że będę potrzebowała do tego gotówki. A nie ufam kartom kredytowym.

— Nie ufasz?

Pokręciła przecząco głową.

— Gotówką czy dopisać do rachunku? — powiedziała, a on poczuł się jak uderzony obuchem. Trzeba było słuchać uważniej, kiedy mówiła o narzeczonym. O milionach w kapitale początkowym. Co jeszcze powiedziała? Nie mógł sobie przypomnieć; był za bardzo zajęty gapieniem się na nią, a równocześnie bardzo się starał udawać, że w ogóle nie patrzy. Teraz jednak wiedział, czego na pewno nie powiedziała; nie wspomniała o miłości ani o złamanym sercu, czego można by oczekiwać po osobie, którą porzucono na kilka minut przed ślubem. Ale jakoś o to nie dbał. Tymczasem Jane niespodziewanie się rozpromieniła.

— Płacenie za własne drinki stworzyłoby niebezpieczny precedens, ale ponieważ rozpaczliwie potrzebuję kieliszka szampana, znajdziemy kogoś, kto mi go kupi. Albo raczej niech to będzie butelka.

Kapliczka ślubna stała przy głównym deptaku i Jane już się kierowała ku niedaleko migoczącemu neonowi w kształcie kieliszka, pędząc z szybkością, która Leo nie wydawała się możliwa. Zajął się jej klasyczną walizką marki Louis Vuitton i szybko dogonił żonę. Och, ta dziewczyna oznaczała kłopoty. Potężne kłopoty. Informatyczny geniusz, jej narzeczony, inwestorzy dostarczający kapitału wysokiego ryzyka, bzdury na temat zgłoszenia patentowego — wszystko to mogły być kłamstwa i być może Leo, no cóż, obudzi się za kilka godzin w wannie pełnej lodu, za to bez nerek. Naprawdę wiedział o Jane jedynie, że za niecałe dwie godziny skończy dwadzieścia siedem lat, chyba że i w tej kwestii go oszukała. Pachniała seksownie, a jednocześnie słodko, jak czarne porzeczki, i naprawdę żałował, że nie może jej kupić butelki dobrego szampana.

— Kochany, proszę, nie patrz na mnie jak ktoś, kto coś kupił i ma z tego powodu wyrzuty sumienia. — Udało jej się zerknąć z wyrzutem, a równocześnie nie przerwać zamasztyego, choć nieco chwiejnego kroku. — Będę przykładną małżonką.

Nawet jeśli na końcu tej zabawy pozbawi go nerek, cóż... Była piękna i zabawna, i miała to coś, co jego babka cioteczna nazywała „łbem na karku”.

— Będziesz mi co rano podawać śniadanie, prasować moje koszule i wychwalać mnie na dorocznym oficjalnym przyjęciu z tańcami w Klubie Rotariańskim?

Potrzaskała głową.

— Sądzę, że możemy zajść trochę dalej niż do lokalnego Klubu Rotariańskiego... Dlaczego ten budynek nie przybliży się, chociaż już tak długo idziemy?

— Kwestia perspektywy — wyjaśnił i opowiedział jej o efektach odbicia sąsiednich budowli od szklanych ścian, a Jane słuchała, pozwalając mu mówić, aż dotarli do monolitycznej świątyni ze stali i luster. Było to kasyno z własnym ekosystemem: hotelem, kilkoma wykwintnymi restauracjami, z których dwie miały gwiazdki Michelina, drogimi butikami oraz rzędami migających i brzęczących

automatów do gry, przed którymi siedzieli patrzący przed siebie szklanym wzrokiem ludzie, co jakiś czas wrzucając w ich rozdziawione paszcze garście monet z ogromnych plastikowych kubków.

Jane powoli krążyła po sali, mrużąc oczy. Potem jej nozdrza zadrgały, jak gdyby faktycznie potrafiła wyczuć pieniądze.

— Bar Platinum — obwieściła, złapała Leo za rękę i pociągnęła go ku szeregowi wind. Dostrzegł w jej oczach blask, którego tam przedtem nie było. — Ja będę mówić, kochany. Ty tylko uważaj na moje wskazówki.

Tak, ta historia znajdzie się bez wątpienia w annałach wszystkich jego hulaszczycy nocy. I zajmie na liście pierwsze miejsce, przyćmiewając nawet tę noc w Tokio, kiedy znalazł się na scenie przed pięćdziesięcioma tysiącami krzyczących fanów, zamierzając przedstawić swego najlepszego kumpla ze studenckiego zespołu. Ciąg dalszy zmienił się wówczas w narkotykową orgię, które — tak wtedy myślał — przydarzały się tylko długowłosym muzykom z hardrockowych kapel pod koniec lat osiemdziesiątych.

Albo ta noc, kiedy flirtował z Francuzeczką w barze w Williamsburgu, w którym pracował, gdy nie miał zamówień na obrazy. Po zamknięciu wzięli sobie dwie butelki wódki, doszli aż do Central Parku i tam rozmawiali o życiu, miłości i o sprawach, od których chciało im się płakać. Oglądali wschód słońca. Całowali się jak w ostatni dzień przed końcem świata. Obudził się następnego ranka na ławce, a nowojorski policjant potrząsał nim, aż oprzytomniał. Francuzka ukradła mu wszystkie pieniądze poza dziesięciodolarowym banknotem, na którym napisała szminką *Je t'aimerai toujours*¹.

Dzisiejsza noc przebijała wszystkie poprzednie, a to dlatego, że Leo nie miał nic lepszego do roboty, więc ożenił się z obcą piękną kobietą, uruchamiając ciąg niezwykle zdarzeń.

Jeśli człowiek nie ma do opowiadania wspaniałych historii, żyje tylko połowicznie.

A opowieść, którą Jane wymyśliła dla nowo poznanych Toma, Pauli, Barbary i Hanka, okazała się baśnią o triumfie nad przeciwnościami losu, o śmiechu przez łzy i miłości pokonującej barykady.

— Nie mogę uwierzyć, że linie lotnicze zgubiły twój całutki bagaż! — egzaltowała się Barbara. Ona i jej mąż, przysadzisty, srebrnowłosy Hank, który wyglądał jak mężczyzna na siłę wciśnięty w swój smoking, przylecieli do Las Vegas świętować wraz z parą najlepszych przyjaciół, Tomem i Paulą, trzydziątą rocznicę ślubu. W przeciągu pięciu minut Jane ustaliła, że ta czwórka przyjaźni się od czasów licealnych i nawet ślub obie pary brały tego samego dnia — „to jedna z najbardziej zachwycających historii, jakie kiedykolwiek słyszałam” — a Tom i Hank są właścicielami bardzo dochodowej sieci sklepów z akcesoriami do sportów zimowych.

Zrobiła wrażenie na Barbarze i Pauli, które nigdy nie przeoczyły żadnego odcinka *Downton Abbey*, gdy im powiedziała, że bogata rodzina Leo („jego dziadek był koniuszym dworskim któregoś króla Jerzego”) wyrzekła się go, ponieważ poślubił Jane, która była nikiem.

— Moi rodzice uważają, że jeśli jakiejś rodziny nie wymieniono w almanachu szlacheckim *Burke's Peerage*, jej członkowie są nie do przyjęcia — przyznał Leo wesoło, służąc Jane za obiekt żartów komika. Jak Ernie dla Erica. Jak Desi dla Lucy. — Miłość jest ważniejsza niż spadek w postaci księstwa, prawda?

Dwie starsze kobiety westchnęły i nawet Tom wyglądał na wzruszonego. Barbara poklepała Leo po ręce.

— To jak coś z powieści. Jesteś prawie księciem, a Jane sierotą...

— Och, sierota to takie dramatyczne słowo. Szczerze mówiąc, ten wypadek samochodowy miał miejsce wiele lat temu — oznajmiła Jane, potem jednak zapatrzyła się w dal i tak trwała przez trzy długie sekundy, aż zbliżył się kelner z wielką butelką szampana. Nie był to ośmiolitrowy matuzalem, ale coś o dwa rozmiary mniejszego. Nabuchodonozor? — Och nie, nie musicie. Szalenie to miło z waszej strony, lecz naprawdę nie możemy, prawda, kochany?

Leo pokręcił głową.

— Nie moglibyśmy jej przyjąć — przyznał sztywno. — Doceniamy wasz gest, ale absolutnie nie.

Jane spuściła wzrok, bardzo nieznacznie zwiesiła ramiona i westchnęła.

— Teraz ty mnie posłuchaj — stwierdził Hank całkiem autorytarnie. — Wzniesiemy toast, życząc wam dwojga dzieciaczków, a wy się z nami napijecie, czy wam się to podoba czy nie.

— Kochany, co myślisz? — Jane spytała Leo, jak gdyby zdawała się na niego zawsze i we wszystkich sprawach. Nikt nigdy w życiu go tak nie traktował. Odwróciła się do Barbary. — Jest taki dumny i taki brytyjski.

Leo wiał się pod potępiającymi spojrzeniami całej grupki.

— Cóż. Nie mogę nic na to poradzić, ale nie będę się spierał z moją piękną żoną, skoro atrament na kontrakcie małżeńskim wciąż jeszcze nie wysechł.

Pojawiły się uśmiechy i kolejne kieliszki szampana. Przed wyjściem fundatorzy zamówili nawet jeszcze jedną mniejszą butelkę i nalegali, żeby Jane i Leo zostali i wypili trunek we dwoje.

— To nadal jest strasznie duża butelka szampana. — Jane wpatrywała się w nią z pewnym niepokojem. — Co, do diabła, mamy z tym wszystkim zrobić?

— Zabawimy się i upijemy — powiedział Leo, dolewając szampana do kieliszków. — Dobry plan?

Jane zmarszczyła nos.

— Nigdy się nie upiłam. No może trochę...

— Ja z pewnością, nie raz, nie dwa. Mogę ci udzielić wskazówek. — Odkąd przypieczętowali umowę pocałunkiem, nie mógł się doczekać, kiedy znów jej dotknie. Teraz lekko trącił ją łokciem. — Dam głowę, że szybko się uczysz.

Szturchnęła go w odpowiedzi na tyle mocno, że rozlał sobie pół kieliszka na dzinsy.

— Może i ja mogłabym cię nauczyć tego i owego.

Jak się okazało, Jane mogła go nauczyć jedynie tego, co podłapała w kosztownej szwajcarskiej prywatnej szkole dla dziewcząt przygotowującej je do życia w wielkim świecie. Wiedziała, jak należy się zwracać do baroneta, znała odpowiedni sposób serwowania ostryg i umiała kupić idealny prezent, gdy trzeba było komuś za coś podziękować.

— Bardzo ważne, żeby dołączyć odręcznie napisaną karteczkę. Bardzo, bardzo ważne. Podczas katastrofy lotniczej byłabym całkowicie bezużyteczna, jeśli jednak baronet zaprosi cię na lunch i poda ostrygi, wtedy na pewno ci się przydam.

Oparła się o niego, a on opiekuńczo objął jej barki ramieniem.

— Zabawa z alkoholem jest lepsza niż bez, prawda? — spytał.

— Spytaj mnie jutro, kiedy obudzę się z kacem — odparła.

Kimkolwiek była, naciągaczką, oszustką czy nawet opuszczoną przez informatycznego geniusza narzeczoną, Leo ją lubił. Ogromnie ją lubił.

Jednak mimo ilości wypitego alkoholu, nadal nerwowo zaciskał szczęki. I zaczynało go swędzieć całe ciało. Z trudem się wyswobodził.

— Muszę tylko pójść przypudrować nosek — rzucił.

Jane wydeła wargi.

— Przrzeknij, że nie zajmie ci to dużo czasu — poprosiła, ale z uśmiechem pomachała mu na pożegnanie, a Leo już wkrótce przykładał przymuloną, łomoczącą głowę do chłodnych marmurowych kafelków. Później zamknął się w jednej z kabin — w tym przybytku nie było niczego tak plebejskiego jak pisuary.

Ciągle miał przy sobie woreczek, który udało mu się złapać wraz z własnym ubraniem, kiedy mąż Melissy wrócił nieoczekiwanie do domu. Musiał mieć facet podejrzenia, które były zupełnie uzasadnione, ponieważ gdy usłyszeli Normana ciężko tupoczącego po schodach i gadającego przez komórkę, członek Leo był akurat w ustach Melissy.

Leo był zbyt stary, żeby wyskakiwać przez okna, zsuwać się po rynnach i przeskakiwać bramki bezpieczeństwa. I na to, żeby teraz na nieskazitelnie czystej pokrywie zbiornika nad sedesem siekać kreski anulowaną trzy lata temu kartą kredytową. Poczucie starości nigdy jednak nie wydawało mu się dostatecznie dobrym powodem i przed niczym go nie powstrzymało.

Z biegłością wirtuoza zwinął w rulon swój ostatni banknot dziesięciodolarowy. Dwa ostre niuchy i już kokaina zaczęła rozpraszać zamglenie i opary po szampanie. Poczul w gardle gryzący, kwaśny smak i spróbował go

przełknąć. Wyprostował się, potrząsnął dwukrotnie głową, zamrugął oczyma i zrobił wydech.

Czuł się o niebo lepiej. Był teraz bardziej sobą, lecz równocześnie inteligentniejszy, cwańszy, zabawniejszy. Mógł wrócić do Jane i oszołomić ją dowcipem i wdziękiem, ponieważ do tej pory zobaczyła jedynie ułamek tego, co miał jej do zaoferowania. Może nawet się w nim zakocha.

Przesunął czubkiem palca wskazującego po białej porcelanie, zbierając resztki, które przeoczył. Potem pomasaował dziąsła białym od proszku palcem i skrzywił się z powodu gorzkiego smaku.

Kiedy pobieżnie rozejrzał się wokół siebie, zobaczył coś w kącie kabiny; coś pomarańczowego. Może nie wierzył w karmę, lecz tysiąc dolarowy żeton z kasyna na pewno oznaczał, że w jakimś momencie swego życia Leo musiał zrobić coś dobrego.

Je t'aimerai toujours (fr.) — zawsze cię będę kochać (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ IV

Nie było go całe wieki — na tyle długo, że koło Jane zaczęło krążyć kilku mężczyzn.

Nie odstraszała ich ani jej suknia ślubna, ani aura świeżej mężatki.

„Po prostu czekam, aż mąż wróci” — powiedziałyby, gdyby któryś z nich podszedł zbyt blisko, ale nawet w myślach zająknęła się na słowie „mąż”. Ponieważ Leo nie był mężczyzną, z którym planowała ślub.

Poza tym, słowo to brzmiało dla niej fałszywie. Niezdarnie. Nieporęcznie. Ale przecież była pijana. Bardziej pijana niż kiedykolwiek przedtem, ponieważ do tej pory bywała co najwyżej lekko podchmielona.

Stan upicia się był całkiem miły; dzięki temu olbrzymie żyrandole nad jej głową migotały jeszcze jaśniej i przez chwilę była gotowa podnieść dłoń do światła i popatrzeć, jak pierścionek zaręczynowy lśni w promieniach — tak samo żywo, jak błyszczał, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. W sklepie umieszczono go pod jednym reflektorkiem i odbijał wówczas wszystkie jej nadzieje i marzenia. Ale kłopot z nadziejami i marzeniami jest taki, że zawsze...

— Znów masz tę przygnębioną minę. Proszę, nie upijaj się na smutno...

Zamrugła oczyma i podniosła na Leo wzrok.

— Nie jestem przygnębiona. Tylko rozmyślałam.

Górował nad nią i mówił zbyt głośno, potem jednak usiadł i powiedział: „Zakaz rozmyślenia”, jak zwykle sennie przeciągając samogłoski. Był jej kotwicą tej dziwnej nocy. Miała obrączkę na palcu i akt ślubu w torebce, lecz powinna teraz wraz z Andrew sunąć po parkiecie sali balowej w hotelu po drugiej stronie miasta. Matka Andrew, Jackie, uparła się, że muszą wziąć lekcje tańca towarzyskiego, ponieważ opracowano dla nich choreografię na początek weselnego balu. Po kilku lekcjach oraz dzięki wykresom i aplikacji, którą sam napisał w pewne niedzielne popołudnie (dzięki czemu nie musiał liczyć pod nosem kroków), Andrew jako tako nauczył się tańczyć fokstrota.

— Tańczysz fokstrota? — spytała Jane Leo.

— Jeśli chcesz iść potańczyć, jestem absolutnie gotów. — Uśmiechnął się, być może uważając, że właśnie wymyślił niezwykle zabawny żart. — Chyba złapałem drugi oddech.

— Też bym chciała. Myślisz, że ktoś będzie miał coś przeciwko, jeśli położę się i zdejmę buty? — Oparła się o niego ciężko, teraz jednak, gdy Leo ją objął, jego palce nerwowo wybijały rytm na jej ramieniu.

— Biedna mała. — Pocałował ją w czoło. — Ustalimy tę kwestię później. Ponieważ teraz... No cóż, mam dla ciebie niespodziankę.

Starła się podnieść i usiąść prosto.

— Jaką?

— Mam w kieszeni. Dalej, dotknij.

— Och, kochany, gdybym dostawała dolara za każdym razem, gdy mężczyzna każe mi grzebać w swojej kieszeni w poszukiwaniu niespodzianki, byłabym do tej pory niezależna i zamożna — obwieściła afektowanym głosem.

Leo się roześmiał.

— Czy to znaczy, że już wcześniej słyszałaś wszystkie moje najlepsze teksty?

— Prawdopodobnie tak. — Wyciągnęła rękę. — Mógłbyś mi po prostu pokazać tę niespodziankę?

Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej pomarańczowy krążek, który następnie przytrzymał między kciukiem i palcem wskazującym.

— Mój prezent ślubny dla ciebie. Albo... Czeka... Która godzina? Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. To może być jednocześnie twój prezent urodzinowy. Wybacz, nie miałem okazji go zawinąć.

Być może Jane także złapała drugi oddech, bo raptem poczuła się dużo lepiej.

— Taaak, to wszystko zmienia — mruknęła, ale kiedy wyciągnęła rękę po żeton, Leo ścisnął go mocniej.

— Wszystko — zgodził się i zerwał się tak szybko, że Jane niemal uderzyła twarzą o sofę, ponieważ nie miała się już na kim wesprzeć. Wyciągnął drugą rękę. — Spróbujmy go chociaż podwoić. Podwójna wygrana albo zero, dobrze?

Pozwoliła mu się ściągnąć z miękkiej sofy, a kiedy stanęła prosto, zakreśliło jej się w głowie, a sala zawirowała przed oczyma. — O mój Boże...

— Niezły odlot, co? Chodź. Mam twoją walizkę. Idziemy!

Już wychodził zamaszystym krokiem z baru, więc musiała potruchtać za nim. Jej buty niestety nie zostały przystosowane do truchtania.

— Co masz na myśli, mówiąc „podwójna wygrana albo zero”?

— Właściwie możemy na nim zarobić jeszcze więcej — zawołał przez ramię. — Na co masz ochotę? Blackjack? Kości? Ruletka?

— Nie postawisz go! — Leo kierował się teraz do ruchomych schodów długimi krokami, niemal biegł, więc odległość między nimi stale się powiększała i Jane musiała wrzeszczeć jak skrzywdzona żona. A było na to nieco zbyt wcześnie.

Począł, aż go dogoniła.

— Zagrajmy w ruletkę. Pomyśl sobie liczbę, a ja...

— Oszalałeś?! To jest tysiąc dolarów. Jak pieniądze w banku. Lepsze niż pieniądze w banku... I chcesz je wyrzucić w błoto? A tak przy okazji, skąd go wziąłeś, co? Podobno nie śmierdzisz groszem.

Trudno wejść na ruchome schody, gdy ciało nie współpracuje z umysłem, a jeszcze trzeba przekonywać mężczyznę, który nie jest nawet dalszym znajomym,

kogoś, kto ożenił się z zupełnie obcą kobietą dla samego dreszczyku.

Leo wyszczerzył zęby.

— Znalazłem go. To znak. Będzie zabawa.

Dotarli do stołów z ruletką, a Jane nadal usiłowała przekonać Leo do swoich racji.

— Kochany, życie ani trochę nie przypomina filmów. Wiem, że już sobie wyobrażasz ten moment, gdy niczym bohater filmu Martina Scorsese całujesz żeton i kładziesz go lekko teatralnym gestem na stolik. Następnie, chociaż to było tak mało prawdopodobne, wypada twoja liczba, wszyscy wiwatują i klaszczą, a ty czujesz się niezwykły, ale... Twoja liczba nie padnie. Pamiętaj: kasyno zawsze wygrywa.

— Nie zawsze. — Pokręcił głową. — Może nie pocałuję żetonu i po prostu spokojnie położę go na stolik? Zgodnie z dobrymi zasadami.

Krupierka wpatrywała się prosto w nich.

— Proszę obstawiać.

— No dalej, Jane. Dziesięć minut temu nie mieliśmy nic. Teraz coś mamy. To znak. — Patrząc na nią, naprawdę zatrzepotał rzęsami, a ona szczerze nie wiedziała, czy chce go potargać, czy spoliczkować. — Nie mamy nic do stracenia.

— Mamy do stracenia tysiąc dolarów.

— To noc, w której ryzykujemy. Nie bądź taka nudna — prowokował. — Nigdy nie uważałem cię za nudziarę.

— Na pewno nigdy nią nie byłam — zgodziła się uroczyście, chociaż znudziła ją już kłótnia, skoro Leo miał w ręku wszystkie atuty. Albo przynajmniej ten pomarańczowy żeton. — Och, jeśli musisz — poddała się i westchnęła ze znużeniem. — Ale zagrajmy tylko o podwójną stawkę. Większa szansa, że się uda. Czerwone albo czarne. Postaw na czarne.

— I to ma być zabawa?

— Postaw na czarne — powtórzyła i Leo jej posłuchał, mrużąc przy okazji do siedzącego obok mężczyzny coś o „starej kuli u nogi”. Sąsiad potrząsnął głową i uśmiechnął się współczująco.

— Ostatnie zakłady — obwieściła krupierka i wtedy Leo, tak szybko, że Jane nie zdążyła mrugnąć, przesunął żeton na dwadzieścia siedem. Krupierka oznajmiła koniec zakładów.

— Co zrobiłeś? — lamentowała Jane.

Leo wzruszył ramionami, lecz wyglądał na ogromnie z siebie zadowolonego.

— Kto nie ryzykuje, ten nie jedzie — wyrecytował, a Jane odwróciła się i zamknęła oczy, słuchając odgłosu obracającej się ruletki.

Wokół stolika panowała grobowa cisza, chociaż z różnych części pomieszczenia, które ciągnęło się chyba kilometrami, dochodziły dźwięki rozmów, brzęku szklanek i pełnych wyczekiwania pomruków.

— Nie mogę na to patrzeć — jęknęła raczej zbytecznie.

Słyszała, że kulka się zatrzymuje. Przez moment było cicho, a potem Leo zaklął pod nosem: „O, ja pieprzę!”.

„Należało mu się” — pomyślała Jane. — „No cóż, raz na wozie, raz pod wozem”.

— Nieprawdopodobne. — Mimo grudy w gardle zmuszał się do wypowiedzenia słów. — Zbyt, kurwa, nieprawdopodobne. Trzydzieści sześć tysięcy dolarów, Jane, jesteśmy bogaci!

Dobrze, że była piękna, ponieważ gówno się znała! Kasyno nie zawsze wygrywa, a teraz ludzie zebrani wokół stołów rzeczywiście wiwatowali i klaskali, i Leo nie mógł się powstrzymać. Odwrócił się, zobaczył, jak Jane błyszczy oczy, po czym podniósł ją i wraz z nią zawirował wokół własnej osi.

— Pani ma dziś szczęście — zagrzemiał, a ona roześmiała się głośno i pomyślał, że nigdy nie widział nikogo, ani w rzeczywistości, ani nawet nie w snach, kto wyglądałby tak niesamowicie pięknie, jak ona w tym momencie. Więc pocałował ją dla hecy i ku uciesze widowni, chociaż owacje zaczynały już cichnąć, bo chodziło tylko o trzydzieści sześć tysięcy dolarów. Byli tutaj ludzie, którzy w ciągu jednego wieczoru wygrali i przegrali dziesięć razy więcej, a i to nie zrobiło na nich wrażenia. Ale na Leo jego trzydzieści sześć tysięcy bez wątpienia wrażenie zrobiło.

— O Boże, jeśli dalej będziesz mnie obracać, zwymiotuję — stęknęła nieoczekiwanie Jane, więc Leo ją postawił, zresztą w tej chwili krupierka właśnie przesuwała w jej stronę przyjemnie konkretny stosik pomarańczowych żetonów. — Witajcie, moje piękne. Chodźcie do mamusi.

Nawet krupierka uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Proszę obstawiać — powiedziała.

— Postawmy jeszcze raz!

— Nie — oświadczyła Jane, pospiesznie zgarniając żetony. — Pierwszy raz w życiu wycofaj się, kiedy jesteś do przodu.

Miał inny pomysł.

— Ale, Jane, czuję, że mam szczęście. Dzięki tobie. Jesteś moim szczęśliwym amuletem.

— Tak naprawdę nie. Jestem twoją lepszą połową — odparła stanowczo, chociaż jej londyński akcent z Park Lane nie brzmiał już tak czysto jak przedtem.

— Mieliśmy tysiąc dolarów, teraz mamy trzydzieści sześć tysięcy. Naprawdę chcesz ryzykować je w ruletce? Nie możesz się upić?

— Ostatnie zakłady — zasugerowała krupierka i popatrzyła na nich.

Jane zaprzeczyła.

Gdy szli odebrać pieniądze, wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Od razu podszedł do nich pracownik kasyna i przez jedną, pełną napięcia chwilę

Leo obawiał się, że spyta, skąd wzięli pierwszy pomarańczowy żeton, on jednak chciał im tylko pomóc w wymianie na gotówkę. Mimo że nie stawiali wysoko, istniała szansa, że — jeśli kasyno odpowiednio o nich zadba — wrócą i przegrają trzydzieści sześć tysięcy, które wcześniej wygrali. Poza tym, byli świeżo po ślubie, a nowożeńców wszyscy uwielbiają tak bardzo jak zwycięzców, więc w czasie gdy kolejny pracownik kasyna rezerwował dla nich gratisowy pokój hotelowy, promieniejąca hostessa podała im bezpłatną butelkę szampana.

Jane powiedziała, że nie zdoła wypić ani kropli więcej.

— Nie jestem pewna, czy lubię być aż tak pijana, i nadal mam obawy, że zwymiotuję.

Ale Leo chciał, żeby była pijana, ponieważ sam był pijany, pobudzała go kokaina i nie chciał się jeszcze kłaść spać.

— Jedzenie. Musisz coś zjeść — zdecydował. — Coś, co wymiecie z organizmu alkohol. Nie martw się. Zadbam o ciebie.

— Ależ jesteś rozkoszny.

Nie uważał się za szczególnie rozkosznego. Nie, kiedy zostawił ją na sofie w holu, skubiącą bez apetytu firmową kanapkę, sam zaś poszedł do najbliższej łazienki i wciągnął kolejne dwie kreski.

Kiedy wrócił, usiadł dużo bliżej Jane niż przedtem i, usiłując zapanować nad drganiem nóg, obserwował, jak powoli zjadła połowę kanapki, po czym odsunęła talerz.

— Już mi nie jest niedobrze — powiedziała. — Teraz raczej kręci mi się w głowie. Dzięki tobie jest strasznie zabawnie. Nie bawiłam się tak dobrze od długiego czasu.

— Nawet z panem Eksem? — spytał. Jego noga zadrgała mocno, uderzając w nogę Jane, która położyła mu rękę na kolanie, chcąc go uspokoić.

— Nie zrozum mnie źle, kochany, Eks posiadał wiele godnych podziwu przymiotów, jednak umiejętność zabawy niestety do nich nie należała. Zupełnie inaczej niż w twoim przypadku. Ty naprawdę umiesz zaszaleć.

— Umieć wiele różnych rzeczy — odparł i celowo obniżył głos, który stał się mroczny i znaczący, a Jane starała się udawać zdziwioną, chociaż pewnie z powodu botoksu nie była w stanie unieść brwi.

— Ojej! A jakie?

Przysunął się i widział, że jej cera jest delikatna i nieskazitelna niczym pergamin; taka sama była skóra widocznej części piersi. Cholernie się podniecił i myślał teraz wyłącznie o tym, jak by to było rozpiąć jej suknię i dotykać tych piersi. Najpierw jednak musiał się upewnić, że Jane również tego chce.

— Należę do mężczyzn, przed którymi ostrzegła cię matka.

Jej śmiech był cudowny, erotycznie chrypliwy i perlisty niczym odgłos płynącego strumienia.

— Jakoś w to wątpię.

— Lepiej uwierz — mruknął, po czym pochylił głowę i przycisnął wargi do jej obojczyka. Zapach jej perfum był teraz słabszy i bardziej pudrowy, ale Leo wciąż czuł lekką woń czarnej porzeczeki. Dotarł ustami do kącika jej warg, a kiedy ogarnął go jej oddech, odsunął się.

Znał tę starą grę. Napierasz, wycofujesz się. Napierasz, wycofujesz się. Dziewczyna się przyzwyczaja, zaczyna to lubić, zaczyna cię pragnąć, a wtedy uciekasz. A kiedy ona ma obawy, że zrezygnujesz, wykorzystujesz przewagę.

Kiedy więc bagażowy prowadził ich do pokoju, a dokładniej do wspianiałego apartamentu prezydenckiego, Leo obtańcowywał Jane przed windą i po drodze bardzo długim korytarzem, zatrzymując się od czasu do czasu, pochylając i całując policzek, ucho, ramię. Za każdym razem Jane chichotała, po czym chichot zmienił się w westchnienie, ponieważ Leo przestawał ją całować. Wtedy ją przytulał i taniec zaczynał się od nowa.

Ostatecznie dotarli do apartamentu na samym końcu korytarza. Bagażowy otworzył drzwi, wprowadził ich do środka i postawił walizkę Jane. Leo wziął jej torebkę wypełnioną studolarowymi banknotami i jeden z nich dał bagażowemu, który wyszedł, mrugnąwszy porozumiewawczo.

— Sądzę, że istnieje specjalny krąg piekła zarezerwowany dla ludzi, którzy nie dają wystarczająco dużych napiwków — pochwaliła go Jane.

— Widzisz, mówiłem, że znam się na wielu rzeczach — odciął się Leo.

Jane stała przy drzwiach i wyglądała na nieco niepewną, wręcz zagubioną. Zrobiła powoli wdech i wydech, a jej cudowne piersi przepięknie zafalowały.

Podszedł do niej tanecznym krokiem — lekkim quickstepem, z którego byłby dumny nawet Gene Kelly. Nie opierała się, kiedy objął ją w pasie i poprowadził kilka kroków, aż przycisnął do ściany.

Nawet nie musiał myśleć o następnych posunięciach, ponieważ był w tym dobry. Zawsze dopadał dziewczynę, nawet jeśli po fakcie nie chciał utrzymywać z nią kontaktów.

Zasyłał pocałunkami ramię Jane, od barku aż do dłoni, podniósł rękę i pocałował w miejscu, gdzie skóra była tak niezwykle miękka.

— Drapiesz — zaprotestowała, więc teraz całował uważniej. Dotykał wargami jej szyi, musnął nosem szaleńczo drgającą tętnicę, przesunął się wzdłuż szczęki i dotarł do ust, które już się układały w leciutki uśmiech.

Jane oddychała teraz szybciej. Rozchyliła wargi, a wtedy Leo znów przerwał. Jego ciało wciąż pozostawało przyciśnięte do jej ciała, ale już jej nie całował, a wtedy wydeła wargi i zrobiła nadąsaną minkę.

— Jesteś taka piękna — szepnął i tym razem nie była to tylko pusta fraza. — Wiem, że ciągle to powtarzam, ale naprawdę jesteś piękna i tak bardzo cię pragnę. Sam twój widok mnie podnieca.

— Naprawdę, kochany? — Zagryzła wargę. — Sam mój widok?

— Wyobrażasz sobie? — Już od pół godziny drażnił się z nią, dotykając, pieszcząc i stopniowo przygotowując na ciąg dalszy i mimo że w tym czasie jej suknia się pogniotła, kosmyki blond włosów wymknęły ze starannie ułożonej i ozdobionej diademem fryzurki, a makijaż stał się praktycznie wspomnieniem, w Jane nadal było coś... nietykalnego.

Wziął jej rękę, która była ciepła i trochę spocona, pocałował dłoń i położył sobie na kroczu. Natychmiast mocno zacisnęła palce i oblizwała wargi.

Nie była wcale taka nietykalna.

Pochylił głowę, a gdy jego usta znalazły się przy jej uchu, szepnął:

— Czujesz, jak bardzo cię pragnę? Ty też mnie pragniesz?

Zamknęła oczy, zacisnęła ponownie palce, a jego członek stwardniał i zadrżał pod jej dotykiem. Wtedy zabrała rękę, a jego serce stanęło na bolesną sekundę, aż zarzuciła mu ręce na szyję.

— Tak! Och, tak!

Nie drwił z niej już, po prostu mocno ją pocałował, a ona odpowiedziała tym samym. Zaprowadził ją do ogromnego łóżka, posadził pod baldachimem, na podwyższeniu zarzuconym małymi poduszkami, i nie przestawał całować, żeby nie zdążyła się nad tym wszystkim zastanowić.

Ale Jane się nie zastanawiała, współpracowała z nim chętnie, bez oporów położyła się na łóżku na plecach i wiała się pod nim, kiedy całował ją gwałtownie, z jęczyczką. Chciał następnie zsunąć usta ku jej piersiom, ale zobaczył tę nieprawdopodobną liczbę maleńkich, obciążonych jedwabiem guziczków, które spinały górę sukni, i uznał, że rozpięcie ich zajęłoby zbyt dużo czasu. Tak dużo, że Jane mogłaby zmienić zdanie, a on jej pragnął. Akurat dziś, w dniu takim jak inne, w miesiącu jak inne, gdy już od lat nie dostawał tego, co chciał i nie osiągał niczego wielkiego, akurat dziś jakimś dziwnym zrzędzeniem losu trafiła mu się taka dziewczyna.

— Jesteś tak cholernie doskonała — wyszeptał w jej skórę nad szczytem biustu i zaczął szarpać w dół gorset sukni. Jane zastygła.

— Nie, kochany — poprosiła. — To kosztowna klasyka. Mógłbyś ją podrzeć.

— Naprawdę chcę cię mieć nagą.

— A ja naprawdę chcę, żebyś mnie znowu pocałował — powiedziała, a on posłuchał. Nie napotkał oporu, kiedy podnosił całe metry jedwabiu i tafty, i mościł się między nogami Jane.

Mruczała, gdy poruszał się na niej, a później uniosła pośladki, żeby mógł zsunąć cieniutką białą satynę i koronkę. Przycisnął dłoń do jej łona, nagiego i gładkiego, lecz niewystarczająco wilgotnego. Wsunął palec i kciukiem pocierał łechtaczkę, aż Jane trochę zajęczała i zamknęła mocno oczy.

— Jesteś naprawdę dobry w te klocki, co? — spytała grubym głosem.

Kiedy posażał palec, odkrył, że tam również smakowała czarnymi porzeczkami. Pomyślał, że mógłby wsunąć głowę między jej nogi, gdyż nigdy nie miał nic przeciwko miniecie, zazwyczaj nawet lubił, a czasem wręcz uwielbiał. Lecz Jane była już dostatecznie mokra. Nie musiał jej bardziej podniecać, a naprawdę potrzebował seksu.

— Umrę, jeśli zaraz w ciebie nie wejdę — jęknął, kładąc kciuk tuż obok jej łechtaczki, a Jane zaczęła się wić, usiłując wsunąć jego palec głębiej w siebie. — Nie mogę się doczekać, kiedy się w ciebie wsunę.

— Nie chcę, żebyś umarł. — Uniosła biodra. — Boże, chyba sama mogłabym umrzeć.

— Pragniesz tego? Pragniesz mnie? — pytał, lecz Jane nie odpowiedziała, ponieważ wygięła teraz plecy w łuk, tak mocno, że Leo na samą myśl poczuł ból.

Przycisnął ponownie kciuk do jej łechtaczki, pozwolił się Jane trochę poruszać, ale kiedy znów wygięła plecy i znów zajęczała, być może zamierzając dojść bez jego udziału, przerwał.

— Tak. Pragnę cię! Proszę. Naprawdę cię pragnę.

Potrafił to robić z zamkniętymi oczyma, z jedną ręką związaną za plecami. Umiał trzymać Jane tak podnieconą, tak drżącą, ale nieosiągającą spełnienia, kiedy wsuwał i wysuwał w jej ciało dwa palce, a drugą ręką po omacku szukał w tylnej kieszeni prezerwatywy. W końcu rozdarł folię zębami, rozpiął guzik spodni i zamek. Podniósł bezwładną dłoń Jane i położył sobie na obnażonym członku, a kiedy pracowała nad nim, zacisnął palce wokół jej palców. Później, kiedy nałożył prezerwatywę na członek tak twardy, że aż go bolał i poczuł też ból głęboko w jądrach, wiedział, że tylko jedno może go uratować — musi w nią wejść, wsunąć się w nią, aż do końca.

Była wąska. Nawet węższa, kiedy przyjęła w siebie członek i otoczyła nogami jego plecy. Leo nawet nie zdjął dzinsów, a przecież Jane zasłużyła na kogoś, kto zrobi to spokojnie i powoli, kto będzie się z nią kochał. Tyle że Leo nie był takim facetem, nie mógł nim być.

Wycofał się więc, a potem po prostu w nią wtargnął. Zamknęła oczy i wcisnęła go w siebie jeszcze głębiej, chociaż sądził, że to niemożliwe.

Potem otworzyła oczy.

— Och, kochany, czy twoje umiejętności obejmują wbicie mnie w materac? — zamruczała z filuternym uśmiechem. — Zrób to, proszę. Pokaż mi, co potrafisz.

ROZDZIAŁ V

Październik 1943 roku

Wiele, wiele razy Rose myślała, czy nie wrócić do Durham. Kiedy zatelefonowała do domu tego pierwszego niepewnego szarego londyńskiego ranka miesiąc temu, wszyscy członkowie rodziny wyszli — z wyjątkiem Shirley, która nakrzyzczała na nią za pożyczenie sobie jej sukienek. Powiedziała też, że jeśli Rose wróci, zamkną ją w sypialni, gdzie będzie dziergała na drutach kominiarki do czasu, aż będą ją mogli wyekspediować do siedziby Land Girls, no chyba że ojciec każe ją wcześniej aresztować.

Od tego czasu nie zadzwoniła do domu ani razu. Radziła sobie sama naprawdę świetnie. Znalazła pracę w należącej i prowadzonej przez państwo Fisherów kafeterii w Soho, w której wykonywała wszystkie obowiązki — od obsługi stolików, przez walkę z nieznośnym ekspresem do parzenia herbaty, aż po obieranie warzyw i zmywanie naczyń. Już w porze lunchu bolały ją stopy, a skórę dłoni miała teraz obtartą do czerwoności i popękaną od szorowania garnków i patelni.

Codziennie pytała o wolne miejsca pracy w Lyons Corner House przy Tottenham Court Road. Znacznie bardziej wolałaby być kelnerką zwaną *nippy* i pracować w schludnej czarnej sukience zamiast nosić poplamiony fartuch narzucony na starą letnią kiecę i rozpinany sweter. Jej zapłatę stanowiły dwa funty na tydzień plus napiwki, które były tak rzadkie, że niemal się nie zdarzały, a ponieważ za funta i dziesięć szylingów tygodniowo wynajmowała łóżko we wspólnym pokoju z częściowym utrzymaniem w domu tuż przy Edgware Road, na życie nie zostawało jej zbyt dużo.

Jej gospodyni, pani Cannon, chuda i złośliwa, zarekwirowała jej książeczkę z kartkami żywnościowymi. Rose musiała się stawić do pracy w kafeterii codziennie o siódmej rano, więc pani Cannon zostawiała jej na śniadanie jedną mizerną kromkę chleba z odrobiną margaryny. Kiedy Rose wracała do domu o siedemnastej, czekała na nią miska potrawy z dużą ilością kapusty i kilkoma kawałkami czegoś szarego i zarówno galaretowatego, jak i żylastego. Nigdy nie miała pewności, co je — mięso czy rybę. Na szczęście każdego dnia otrzymywała przyzwoity lunch.

Dziewczyna, z którą dzieliła pokój, Olive, zgłosiła się na ochotnika jako obserwatorka samolotów. Po miseczce niesmacznej potrawy nastawiały sobie budzik na godzinę dwudziestą i szły prosto do łóżka, na drzemkę.

Pół godziny później Olive jechała trolejbusem do City na swoją zmianę, a Rose kierowała się z powrotem do centrum. Po dwóch tygodniach przestała

próbować wejść do Rainbow Corner. Było to niemożliwe, jeśli nie znała żadnego żołnierza, który chciałby ją wprowadzić do klubu, a przebojowym dziewczynom, które tłoczyły się na siateczce ulic wokół Piccadilly Circus nie podobało się, że jakaś nowa usiłuje im wejść w paradę.

Dziewczyny te nosiły przy sobie latarki, którymi — ilekroć przechodził mężczyzna w mundurze — oświetlały sobie kostki nóg. Ściągały też żołnierzy na progi domów. Nawet jeśli wejścia do kamienic były skryte w cieniu, słysząc hałasy wydawane przez pary lub widząc błysk gołej nogi, Rose odwracała wzrok i szybko uciekała, a tego wieczoru, kiedy zobaczyła na ziemi dwie dziewczyny, które kopały, opluwały się i ciągnęły jedna drugą za włosy, walcząc w ten sposób o uwagę chudego amerykańskiego wojaka z wielkim nosem i sterczącymi zębami, zastanowiła się, czy tamta cudowna noc nie pozostanie jedyną, którą spędziła w Rainbow Corner.

Przeszła nawet całą drogę powrotną do stacji King's Cross, sprawdzając, czy uda jej się znaleźć jakiegoś żołnierza armii amerykańskiej „u źródła”, niestety ci, do których nieśmiało podeszła, albo w ogóle nie wybierali się do Rainbow Corner, albo zupełnie niewłaściwie pojmowali jej prośbę. Któryś z nich bez uprzedzenia wyjął skądś nylonową pończochę, niczym magik wyciągający apaszki z pozornie pustej kieszeni.

— Na pewno chcesz drugą, kochanie, więc może pójdziemy we dwoje na spacer?

Ale przynajmniej wciąż istniały lokale, wiele lokali, w których mogła potańczyć. Pod okiem mężczyzn, z którymi tańczyła w Paramount albo Frisco's, kiedy zapuściła się do Piccadilly, nabrała całkiem sporej biegłości w jivie. Coraz lepiej też odpierała awanse przyszczatych młodych białych mężczyzn, którzy oświadczały jej, że przyjechali tu za nią walczyć. Dlatego wołała tańczyć z czarnoskórymi.

Wszyscy czarnoskórzy, z którymi tańczyła, zwracali się do niej „psze pani”, a kiedy nie podnosili jej i nie obracali w tańcu (przy jednej cudownej okazji znalazła się nawet nad czyjąś posmarowaną brylantyną głową), tylko lekko dotykali jej łokcia, sugerując, że trzeba zejść z parkietu, który zapadał się i jęczał pod ciężarem licznych wirujących par.

Tego wieczoru Rose szła do klubu Bouillabaisse przy ulicy New Compton, wraz z Kathy, która pracowała w trafice niedaleko kafeterii.

— Całą noc grają jazz — zachęcała ją Kathy, kiedy stały w kolejce do wejścia. — Lubisz jazz? Ja tak.

— Najbardziej ze wszystkiego na świecie — zapewniła ją Rose, chociaż tak naprawdę nie interesowało ją, co grają, póki muzyka miała rytm, do którego mogła tańczyć. Szybko znalazła się w ramionach dużego Jamajczyka imieniem Cuthbert.

Kiedy tańczyła, oddalały się od niej okropieństwa nowej egzystencji — głód,

pytania o to, co się z nią stanie, obawa, że ktoś zaciągnie ją z powrotem do starego życia i strach, że czeka ją straszna kara.

Stopy przestawały ją boleć i wykonywały wszystkie te szybkie, niesamowite kroczki i inne rzeczy, o których umiejętność ich nie podejrzewała, a Cuthbert miał lśniąco białe zęby i powiedział jej, że jest ładna, kiedy wirował nią w kółko raz i drugi. Sukienka Shirley, ta z jasnoniebieskiej tafty, z każdym dniem stawała się coraz bardziej wiotka.

Mniej więcej po godzinie tańca Cuthbert powiedział, że chętnie się postara o „najlepsze piwo imbirowe, jakie można kupić za pieniądze”, a Rose tymczasem poszła do toalety zrobić coś z włosami.

Maleńka łazienka była pełna dziewczyn, które albo stały w kolejkach do jedynej ubikacji, albo walczyły o wolne miejsce przed lustrem. Rose utknęła pomiędzy dwiema, które zastanawiały się głośno, co jest lepsze jako fałszywe pończochy, „jeśli nie możesz znaleźć żadnego jankesa”, proszek używany do zagęszczania sosu czy zimna herbata?

— Wolałabym użyć proszku niż dostać parę nylonów od jankesa i złapać przy okazji trypra — mruknęła ponuro jedna z dziewczyn.

Rose próbowała nie wyglądać na zaszokowaną. Ostatecznie była wszak córką lekarza. Ojciec miał w gabinecie dwie książki, które trzymał zamknięte w szufladzie biurka, ale klucz zawsze wkładał do mosiężnego pojemnika na pióra. A kiedy wychodził na jedno z zebrzań Klubu Rotariańskiego albo łoży wolnomularskiej, matka zawsze kładła się do łóżka wcześniej, więc Rose nie była zupełnie nieświadoma w kwestiach cielesnych. Uważała jednak, że o pewnych sprawach po prostu nie powinno mówić się publicznie.

Trzymała się z daleka od obu dziewczyn, aż zwolniły miejsce przed lustrem. Jej zupełnie proste włosy jak zwykle wymykały się z upięcia w postaci czterech szpilek, które jej pozostały. Może lepiej by się układały, gdyby Rose nie myła ich pod kranem z zimną wodą, jednak za dostęp do ledwo letniej wody przez godzinę dziennie pani Cannon żądała dodatkowego szylinga tygodniowo.

Oklepała sobie czerwone policzki i spocone czoło pudrem z puderniczki z połączanego strasu, którą Shirley podarowała jej na szesnaste urodziny, chociaż matka oznajmiła, że Rose jest zbyt młoda na puder, a puderniczka wygląda pospolicie. Ale teraz była zarumieniona, i dostrzegła plamy wilgoci na jasnoniebieskiej tafcie, tam, gdzie...

— Słuchaj, mogłabym tylko musnąć usta twoją szminką?

Podniosła wzrok i przyjrzała się stojącej za nią dziewczynie. Miała jasnobłękitne oczy, ładną jak u lalki twarz i włosy w stylu Jean Harlow, które — Rose była tego pewna — sobie rozjaśniła. Kobiety, które rozjaśniają włosy, są czasem puste, ta jednak nie przypominała bezczelnych pannic, które Rose obsługiwała w kafeterii ani tych, które regularnie przesłaniały jej widok w lustrach

sal tanecznych Londynu.

Kiedy niepewnie uśmiechnęła się do nieznajomej, blondynka odwzajemniła się tym samym.

— Proszę, weź — powiedziała Rose i wręczyła dziewczynie drogocenną, intensywnie czerwoną szminkę Tru-Color Maxa Factora. Ledwie ją podała, już zapragnęła odzyskać. Przyglądała się jednak tylko z niepokojem, jak blondynka ledwie muska nią usta, które autorzy powieści określają jako całusne.

— Jesteś aniołem. — Dziewczyna zacisnęła wargi, chcąc rozprowdzić kolor. — No więc... Co zrobiłaś, żeby zdobyć szminkę od Maxa Factora?

— Co zrobiłam? Och! No cóż, właściwie nic. Mam przyjaciółkę Patience, której siostra Prudence pracuje w fabryce zbrojeniowej. Wszystkie robotnice otrzymały taką szminkę w podziękowaniu za wykonywane obowiązki, ale Prudence ma religijne zastrzeżenia w kwestii makijażu, a ich rodzice powiedzieli, że Patience jest za młoda, więc dali ją mnie.

— Co za bzdura! Nie mogę sobie wyobrazić, że Boga interesuje, czy dziewczyna nosi na twarzy trochę pudru i szminkę. Bóg z pewnością martwi się o ważniejsze rzeczy.

Rose skinęła głową.

— No właśnie, prawda?

Znowu się do siebie uśmiechnęły.

— Okropnie trudno rozmawiać z czyimś odbiciem — zauważyła blondynka. — I tworzymy straszny korek.

— Tak, to denerwujące! — Rose wepchnęła do torebki grzebień, puder i szminkę, odwróciła się od lustra i wyszła za nową koleżanką do małego przedpokoju, który prowadził do klubu. — Tak przy okazji, jestem Rose.

— Sylvia! — krzyknął krzepki mężczyzna w mundurze marynarza, stając za blondynką i podnosząc ją nad ziemię.

— Miło było cię poznać. Dzięki za szminkę! — zdążyła zawołać wynoszona dziewczyna.

Cuthbert czekał cierpliwie na Rose przy barze z obiecany piwem imbirowym, a gdy tylko je wypila, znów znalazła się w jego ramionach.

Zdołali odtańczyć jednego szybkiego jive'a, po czym Sylvia poklepała Cuthberta po ramieniu.

— Mogę przeprosić? — wrzasnęła i objęła Rose w talii. — Potrzebujemy jednej dziewczyny do kompletu.

— Postaraj się zwrócić moją Rosie w jednym kawalku — poprosił Cuthbert, ale już się przypatrywał dziewczętom, które stały na brzegu parkietu i przestępując z nogi na nogę, rozglądały się za wolnym mężczyzną. Raczej drugi raz na nią nie poczeka.

— Nie jestem pewna, czy potrzebowałaś ratunku, ale jest z nami

amerykański żołnierz, który mierzy ponad metr dziewięćdziesiąt i już zaczęła go boleć szyja, bo stale musi tańczyć z niskimi partnerkami. Co więcej, niektórym tutejszym dziewczynom wydaje się dziwaczne, że tańczysz z Murzynem.

Kathy też tak uważała. Powiedziała, że żaden z nich nie myje się, jak należy, co nie było zgodne z prawdą, ponieważ wszyscy, z którymi Rose tańczyła, byli nienagannie czysti. Tyle że Kathy zniknęła gdzieś po pięciu minutach w lokalu z żującym gumę starszym kapralem, więc Rose mogła sobie tańczyć, z kim chciała.

Teraz Sylvia przedstawiła ją szeroko uśmiechniętemu, czarującemu żołnierzowi imieniem Ray, który pocałował ją w rękę, powiedział, że wygląda jak Hedy Lamarr, spytał, czy umie tańczyć jive'a, po czym pociągnął ją na parkiet, na którym podniósł ją w górę jak piórko i obrócił nad swoją głowę. Rose ledwie miała dość czasu i przytomności umysłu, żeby podwinąć nogi i nie kopnąć go w ucho.

Zanim członkowie zespołu postanowili zrobić przerwę, miała zupełnie mokry gorset jasnoniebieskiej taftowej sukienki i końcówki włosów. W małym klubie panowały takie gorąco i wilgotność, że skroplona para ściekała z sufitu i większość żołnierzy zdjęła kurtki. Śmierdziało pleśnią i potem.

— Tutaj! — Sylvia machała jak oszalała z odległego narożnika. — Rose! Ray!

Rose pozwoliła się poprowadzić Rayowi wśród odpoczywających tancerzy — dziewczyn, które z rękoma na kolanach próbowały złapać oddech i mężczyzn wycierających czoła chusteczkami.

— Billy kupił ci drinka — powiedziała Sylvia do Rose, gdy tylko dotarli do stolika. Rose nie wiedziała, kim jest Billy, a szklanka wciśnięta w jej dłoń zawierała ciepławy płyn, który smakował jeszcze wstrętniej niż coca-cola, którą piła w Rainbow Corner. — Gin z wermutem. Boski, co?

— Och, mój absolutnie najbardziej ulubiony — skłamała Rose. Zgodziła się, żeby Ray zapalił jej papierosa i znalazł dla niej krzesło, lecz dopiero kiedy usiadła, wypła kilka ostrożnych łyków drinka i parę razy niezdecydowanie zaciągnęła się papierosem, zauważyła dwie inne dziewczyny. Jedna była blondynką, chociaż nie tak jasną jak Sylvia, i miała wydatny biust, który prezentował się w pełnej krasie dzięki sukience ze szmaragdowej satyny, a druga, szczuplejsza, o ciemniejszych włosach, była cała ubrana na czarno i wyglądała szalenie szykownie.

— Phyllis — Sylvia zrobiła gest ku blondynce, a potem wskazała ciemnowłosą. — Maggie. To jest Rose. Użyczyła mi szminki i umie tańczyć jive'a.

Aż się wzdrygnęła, gdy Phyllis i Maggie mierzyły ją wzrokiem.

— Bardzo mi miło was poznać — powiedziała.

— Ile masz lat? — spytała Maggie. Chyba mówiła z obcym akcentem, ale Rose nie miała pewności, ponieważ w tym momencie znów rozległa się muzyka zespołu.

— Dziewiętnaście.

Maggie popatrzyła na jej poplamioną od potu sukienkę, na włosy, które znowu wymknęły się spod spinek i nie skomentowała, chociaż zerknęła na Phyllis, unosząc brwi.

— Więc już zdecydowałaś, co będziesz robiła, gdy cię w przyszłym roku powołają? — spytała Phyllis. Rose nie zdecydowała, ponieważ do dwudziestu lat zostało jej ciągle jeszcze trzy, a nie wierzyła, że wojna może potrwać tak długo, chociaż równie często jej się wydawało, że będzie się toczyła w nieskończoność.

— Cokolwiek, byle nie do Land Girls — odparowała z zapalem, nie chciała jednak, żeby sądziły, że na rzecz wojny zamierza wyłącznie tańczyć z przebywającymi na urlopie żołnierzami, więc dodała: — Jestem w Londynie dopiero od kilku tygodni i teraz, kiedy się zaaklimatyzowałam, szukam jakiejś pracy społecznej. — Phyllis i Maggie ciągle milczały, zaciskając wargi, co nie było szczególnie zachęcające. — Olive, dziewczyna, z którą wynajmuję pokój, trzy noce w tygodniu dyżuruje na dachu jako obserwatorka samolotów. Mówi, że od wieków było spokojnie, lecz ostatnio zaczął się w powietrzu spory ruch.

W Durham bombardowania stały się tak sporadyczne, że ojciec Rose nawet trzymał rower w schronie przeciwlotniczym, co przed dwoma laty wydawałoby się nieprawdopodobne. Niemniej, w trakcie paru tygodni, które Rose spędziła w Londynie, ponownie przyzwyczała się do wycia syreny i wędrówki w ciemnościach po omacku trzy kondygnacje w dół do wilgotnej piwnicy. Nie potrafiła się jednak przyzwyczać do przerażającego terkotu i wystrzałów z broni przeciwlotniczej ani do widoku nieba tak jaskrawo rozświetlonego — miasto płonęło od bomb, a reflektory wyszukujące niemieckie samoloty upiornie się jarzyły.

Coś zatem przemawiało za spędzeniem większej części nocy w słabo oświetlonych piwnicach, w których zespół muzyczny i głuchoe odgłosy stóp zagłuszały dźwięki świata zewnętrznego. Zazwyczaj, kiedy włączano syreny, wydawały się jedynie odległym zawodzeniem i nikt nie przerywał tańca.

Nie było to jednak ważne teraz, kiedy Phyllis piorunowała ją wzrokiem, aż Rose się zastanowiła, czy nie przyznała się właśnie do czegoś okropnego — na przykład do potajemnych schadzek z kochankiem faszystą lub handlu na czarnym rynku. Maggie również nie wyglądała na przesadnie zachwyconą, a Sylvia w żaden sposób nie pomagała, ponieważ odwrócona plecami do nich rozmawiała z dwoma lotnikami.

— Powiedziałam coś, co was zgorszyło? — spytała nieśmiało.

— Nie, oczywiście, że nie — odparła Phyllis, lecz jej pełny biust zafalował. — Chociaż jeśli w Londynie za mało się dla ciebie w tej kwestii dzieje, szkoda, że nie jest mieszkałaś tutaj dwa lata temu. Wtedy, powiem ci, bardzo tu tętniło... życiem.

— Przepraszam, nie to miałam na myśli.

Maggie podniosła szklanekę z ust, zmieniała jednak zdanie i dość gwałtownie odstawiła ją na wilgotny stół.

— Masz pojęcie, że... wszyscy, których znam... dosłownie wszyscy stracili kogoś w czasie Blitzu?

— Wybaczcie. Strasznie was przepraszam. — Przepraszała szczerze i z głębi serca, ale przecież już wcześniej zaobserwowała u londyńczyków nawyk ciągłego wracania do tematu tamtych bombardowań, jak gdyby poza stolicą nie spadła ani jedna bomba. Jak gdyby nikt inny nigdy nie doświadczył, jak to jest, gdy nagle giną znajomi — Janet i Susan z jej klasy albo Timothy McFarlane, który kiedyś zabrał Shirley na targ, a potem został zestrzelony podczas pierwszej misji w trakcie służby w RAF-ie. Bardzo trudno jednak było jej wyjaśnić to wszystko tym dwóm władczym dziewczynom, które uważały, że mają monopol na poczucie straty tylko dlatego, że mieszkały w Londynie. Znacznie lepiej było ponownie przeprosić, usprawiedliwić się, po czym odejść. — Czyli, jak rozumiem, nie jesteście w takim razie ochotniczkami?

Tak, mogła też naciskać i pograżać się jeszcze bardziej.

Tym razem spojrzenie, które Phyllis i Maggie wymieniły, było mniej sceptyczne, za to obie wyglądały na bardziej z siebie zadowolone.

— Ależ jesteśmy — odrzekła Phyllis. — Pracujemy dla Amerykańskiego Czerwonego Krzyża.

— Ale mamy prawo do wolnych wieczorów — dodała Maggie, a Rose poczuła, że chociaż jej włosy były całkiem mokre i ciężkie, chyba niespodziewanie stanęły jej dęba.

— Ooch. — Starła się udawać obojętną, lecz tę jedną sylabę wypowiedziała tak przenikliwym tonem, że mogła rywalizować z najwyższymi dźwiękami wygrywanymi tej nocy przez saksofonistę. — W Rainbow Corner?!

Pokiwwały głowami. Sylvia, która usłyszała ostatni fragment ich rozmowy, pochyliła się nad ramieniem Phyllis.

— Czasami myślę, że powinniśmy im płacić za przywilej wolontariatu. To wielka frajda, wszyscy są tacy uprzejmi, a dodatkowe korzyści... choćby tabliczki czekolady i paczki papierosów wychodzą mi już uszami.

— Zamknij się, Sylv — burknęła Phyllis. — Długi język, krótkie życie. — Wyciągnęła rękę i dźgnęła Sylvię w żebra. — Przecież nie przyjmujemy prezentów.

Rose prezenty nie obchodziły.

— Więc pracujecie społecznie w Rainbow Corner? Każdy może?

— Tylko jeśli ukończy osiemnaście lat — odparowała Maggie. — Zresztą, jest lista czekających. Bardzo długa lista. Jest też druga lista — z nazwiskami dziewczyn, którym nigdy już nie będzie wolno przekroczyć tych drzwi.

Powiedziała to tonem osoby, która zamierza osobiście wpisać imię Rose na

czarną listę — jedynie dlatego, że Rose miała czelność nie przebywać w Londynie w trakcie Blitzu. Maggie i Phyllis były naprawdę niemiłe i chociaż Sylvia wydawała się dosyć życzliwa, Rose nie była pewna, czy może zaufać komuś, kto przyjaźni się z takimi niegrzecznymi pannicami.

— Och, zobaczcie! Cordelia! Nie widziałam jej całe wieki! — Sylvia nagle odeszła, a Rose została z Phyllis i Maggie, które ignorowały ją przez dobre dwie minuty, aż na szczęście wrócił Cuthbert i spytał, czy może liczyć na następny taniec.

ROZDZIAŁ VI

Obudziła się, być może brutalnie wyrwana ze snu przez jedną z licznych trudnych do zniesienia boleści, które odczuwała.

Leżała twarzą do dołu, głowę miała ułożoną pod nieprzyjemnym kątem i ściśniętą, ponieważ nadal nosiła diadem, który teraz wydawał się narzędziem tortur. Ciągle była też ubrana. Jej suknia ślubna... Jane znieruchomiała i usiłowała ustalić, dlaczego ciągle nosi suknię ślubną, a kiedy przypomniała sobie wszystkie okropieństwa i upokorzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin, pożałowała, że w ogóle się ocknęła. Wszystko ją bolało — od stóp, które cierpiały z powodu zbyt długiego chodzenia w butach na obcasie, aż po czaszkę zakleszczoną jak w imadle. I całe ciało pomiędzy... Zwłaszcza pomiędzy.

„Wbij mnie w materac”.

Leo potraktował jej prośbę dosłownie. Posuwał ją na tyle długo, że w końcu zdała sobie sprawę, że mimo całej gry wstępnej i wszystkich przygotowań nie doszła. Wydawało jej się, że Leo również nie doznał zaspokojenia, chociaż symulowała orgazm. Dwa orgazmy! Potem wstał. Udawała, że zasnęła, podczas gdy tłukł się głośno po apartamencie i robił Bóg wie co.

Teraz spał. Usiadła bardzo powoli, bardzo ostrożnie, zagryzając wargę, ponieważ kiedy się podniosła, natychmiast musiała objąć rękoma głowę, żeby przestała jej pękać z bólu.

Leo leżał rozciągnięty obok niej; brzuchaty i blady w bokserkach. Usta miał otwarte, co wyjaśniało, dlaczego wydawał z siebie ten potworny hałas niczym strzelający seriami mokry karabin maszynowy. Nie wyglądał tak ubiegłej nocy. Albo złość i cały ten szampan zaburzyły Jane ocenę sytuacji.

Wstała na chwiejne nogi, wyjęła z torby telefon i powlokła się cicho do łazienki. Nie spojrzała w lustro, usiadła na brzegu wanny i wyciągnęła lewą rękę. Brylanty na pierścionku błyszcząły, ale już nie cieszyły oka.

Kiedy zaręczyny były równie nowe i spektakularne jak pierścionek, uświadomiła sobie, że dokonała tego, czego pragnęła i że okres szaleństw ma już za sobą. Potrafiła recytować cechy pierścionka jak poezję. Bo to była poezja! Art déco, rzadkie cięcie Asschera, duży brylant 6,1 karata, otoczony dwoma mniejszymi, szlifowanymi, typu *baguette*, i czternastoma maleńkimi o szlifie okrągłym i łącznej wadze 4,44 karatów; całość umieszczono w oprawie typu osiem kropek na platynowym trzpieniu. „Majątek, kochana”.

Pierścionek stanowił jej nagrodę za okres poświęcony szukaniu tego garnka złota na końcu tęczy. Wszyscy ci najrozmaitsi mężczyźni, których sprawdziła. Trzy lata spędzone na owijaniu sobie Andrew wokół palca, bardzo powoli, maleńkimi kroczkami, żeby przez cały czas myślał, że to on ją podrywa.

Trzy lata, które minęły od tych okropnych dwóch dni, gdy tkwiła w pokoju

hotelowym w Moskwie, zamknięta przez rosyjskiego handlarza ropą, który zrobił te straszne... Nie, nigdy nie należy rozpamiętywać przeszłości. Wiedziała wtedy, że zabawa się skończyła; musiała się ustatkować, zanim skończy dwadzieścia siedem lat, ponieważ ten wiek jest cienką, aczkolwiek jednoznaczną granicą, która oddziela latawicę od kobiety, którą wszyscy już mieli.

Poza tym zamknięta w pokoju hotelowym z tym psychopata... Nie, nie zamierzała o tym myśleć. Dość powiedzieć, że się zmęczyła. Bardzo, bardzo zmęczyła się hotelowymi barami w obcych miastach, lustrowaniem sali w poszukiwaniu mężczyzny, który zachowa kamienną twarz, gdy Jane poprosi o kieliszek szampana Louis Roederer Cristal Rosé rocznik 2000, a on będzie musiał kupić całą butelkę. Odpierać ataki, kazać mu czekać na następną randkę, rozgrywać całą sytuację najdłużej, jak się da. Ponadto deptały jej po piętach dziewczyny znacznie młodsze i bardziej wygłodniałe, a te ze wschodniej Europy nie miały żadnego poszanowania dla zasad, które powinny towarzyszyć tej grze.

Jane skończyła z rosyjskimi oligarchami. I z bogatymi Europejczykami. Skończyła z zepsutymi synami magnatów naftowych i stalowych. Potrzebowała kogoś, kto się dobrze zapowiada, komu wróżą sukces, lecz kto go jeszcze nie osiągnął. I naprawdę musiała zmienić otoczenie. Kiedyś na uroczystej kolacji w Aspen posadzono ją obok pewnego inwestora, który zajmował się kapitałem wysokiego ryzyka i specjalizował się w technologicznych start-upach. Wypytała go, trochę poszperała, sporządziła listę najlepszych kandydatów, spakowała torby i poleciała do San Francisco.

Wpadła na Andrew podczas jednej z sesji panelowych na konferencji naukowej TED poświęconej sztucznej inteligencji. Rumieniąc się przez cały czas i jękając, pomógł jej wówczas rozwiązać jakiś problem z iPadem. Później, całkiem przypadkowo, ciągle na siebie wpadali gdzieś w mieście. Ale nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności — nie, skoro Andrew ciągle zamieszczał swój plan dnia na Twitterze.

Andrew był na tyle naiwny i na tyle zielony, że chociaż „posiadał” miliony w kapitale początkowym, nie dorobił się jeszcze ogromnego zespołu ludzi, żadnych fanów czy pochlebców. Była tylko sala pełna bardzo do niego podobnych chłopców, którzy pracowali nad kodem, oraz dziewczyna, z którą chodził od drugiego roku studiów na Harvardzie i która nie miała z Jane żadnej szansy. Najpilniejszym do rozwiązania problemem okazała się Jackie — matka — snobka z Providence w stanie Rhode Island — jednak Jane dość szybko ją do siebie przekonała, szukając u niej porady, jak przyrządzać ulubione dania Andrew; później podarowała jej herbatę sprowadzoną z londyńskiego sklepu Fortnum & Mason i w końcu podbiła jej serce mocno podkolorowaną historią o meczu polo, podczas którego siedziała obok Pippy Middleton. Ostatnią przeszkodą była siostra Andrew, Stephanie, która tylko tytułowała siebie jego dyrektorem handlowym,

więc na liście spraw do załatwienia Jane na wysokim miejscu pozostawała kwestia zdobycia dla niego prawdziwego dyrektora handlowego, który naprawdę umiałby zarządzać jego *interesami*.

Można by ją nazwać wyrachowaną, ale nawet najbardziej zauroczona dziewczyna powinna podchodzić do związku małżeńskiego z pewną kalkulacją. Andrew był kimś więcej niż osobą, którą łatwo naciągnąć. Był mężczyzną dobrym, przystojnym, choć nieco lalusiowatym, nigdy, ale to nigdy, nie podniósłby na nikogo ręki ani głosu, no i stworzył oprogramowanie do rozpoznawania twarzy i głosu, które pragnęło od niego odkupić Google, Apple, NASA i Chińczycy, co oznaczało, że będzie kiedyś bardzo bogaty. Nieprzyzwoicie, obscenicznie, oligarchicznie bogaty. Więc, nawet jeśli byli z Andrew drastycznie niedopasowani, mogłaby jakoś przetrwać ze trzy lata.

Po trzech latach małżeństwa załatwiłaby sobie duże alimenty, a rozwódkę otacza zupełnie inna aura niż podstarzałą imprezowiczkę.

Tyle że wczoraj rano okazało się, że cholerna Stephanie, mimo twierdzeń, jakoby była najlepsza na roku w Wharton, niekompletnie wypełniła formularze zgłoszeń patentowych. Tracili z tego powodu decydującą część komponentów, a — jak na ironię — numer cztery w dawnym wykazie potencjalnych bogaczy, który Jane sporządziła trzy lata wcześniej, pracował obecnie nad czymś podobnym i teraz Google, Apple i Chińczycy zamierzali dać miliardy dolarów właśnie jemu. I tak w sześćdziesiąt krótkich minut Andrew przeszedł do historii. Był teraz po prostu kolejnym „o mało tego nie zrobiłam”. Innymi słowy, stał się niepotrzebny.

— I tak przecież możecie wziąć ślub — upierała się Jackie, ponieważ cały klan Hunnicotów zebrał się w apartamencie dla nowożeńców w THEHotel w Mandalay Bay. Podobno przynosi to pecha, gdy pan młody zobaczy narzeczoną przed ślubem, ale pech zjawiał się już wcześniej, a nawet wręcz zajął miejsce w fotelu i nalał sobie dużego drinka.

Andrew wyglądał okropnie. Twarz mu poszarzała do odcienia jego jedwabnej, ozdobionej brokatowym wzorem kamizelki. A jednak, słysząc słowa matki, spojrział z nadzieją na Jane, która siedziała na łóżku i zastanawiała się, czy ktoś by zauważył, gdyby opuściła głowę między rozstawione nogi, ponieważ zdawało jej się, że naprawdę może zemdleć.

— Nadal chcesz za mnie wyjść, Janey?

— Oczywiście, że tak — odparła, gdyż nie można kopnąć tak zdołowanego mężczyzny. To znaczy, nie na oczach najbliższych i najdroższych mu osób.

Wtedy Andrew zaczął mówić o możliwości pracy w Microsoftcie. O przeprowadzce do Seattle i być może nawet ewentualnym zakupie akcji firmy po niższej cenie. A Jane kiwała głową, uśmiechała się i nawet ścisnęła jego rękę, kiedy podszedł i usiadł obok niej.

Odkąd Andrew kupił jej pierścionek zaręczynowy, od czasu do czasu

miewała wrażenie, że lodowate palce obejmują jej serce. Bo była blisko, lecz nie dość blisko i wciąż wszystko mogło pójść źle. Teraz lodowate palce wróciły i już nie puszczały. Poza tym, gdy raz jeden była w Seattle, przez cały czas tam padało.

W końcu przekonała Andrew, że na pewno będzie dobrze, po prostu świetnie, a teraz powinien wyjść i poczekać na nią na tarasie. Jackie, cholerna Stephanie i druhny Jane, nie tyle jej przyjaciółki, ile raczej dziewczyny przyjaciół Andrew, ociągały się, ale uprosiła je, by także wyszły.

— Potrzebuję tylko minutki. — Przełknęła ostrożnie ślinę. — Chcę pomyśleć o rodzicach. Szkoda, że nie mogą tu dzisiaj być.

Gdy wszyscy zniknęli, nie traciła czasu. Szybko spakowała walizkę, zeszła cicho po schodach dla personelu, wymknęła się wyjściem służbowym i wsiadła do taksówki, którą ktoś akurat zwolnił. Miała przy sobie tylko dwadzieścia dolarów na napiwek dla dziewczyny w toalecie; za tę kwotę kierowca zawiózł ją do miasta i wysadził w niezbyt przyjemnej dzielnicy.

Uważała, że jest stworzona jedynie do roli żony bogacza, ale sześciocyfrowa pensja w Microsofcie i nawet prawo do zakupu określonej liczby akcji po niższej cenie nie wydawały jej się łakomym kąskiem. Nie na to się pisała, nie dlatego tak szybko się zgodziła, kiedy Andrew ją spytał, czy za niego wyjdzie. Tak, była chciwą, interesowną materialistką, ale, cóż, tak ją ukształtowało życie. Nie mogła być szczęśliwa z tym, co Andrew jej teraz oferował, a jeśli nie będzie szczęśliwa, nie uszczęśliwi również Andrew.

Najlepiej wyświadczyć im obojgu przysługę i odejść. Kiedy Andrew odkryje, że go opuściła, może na jakiś czas ją znienawidzi, ale tak naprawdę to z jej strony dobry uczynek.

Nie czuła się jednak dobra. Czuła się strasznie. A ponieważ emocje zaburzały jej osąd sytuacji, weszła do pierwszego baru, który dostrzegła i, zapominając o swoich zasadach, że nie powinna się zadowalać niczym mniejszym niż niezliczone bogactwa, wyszła za mąż za pierwszego mężczyznę, który na nią spojrział.

— Och, Boże, ty głupia, tępą kretynko — powiedziała głośno i objęła sobie rękoma głowę.

— Kac męczy, co?

W drzwiach łazienki stał Leo. Dzięki Bogu, ponownie miał na sobie koszulkę i dżinsy.

— Coś w tym rodzaju — odparła i usiadła przed umywalką obudowaną szafką, odwracając się do niego plecami i mając nadzieję, że zrozumie aluzję.

— Jego wanna i jej wanna, nie wiedziałem, że tak można. — Wszedł do pomieszczenia i opadł na jeden z dwóch głębokich foteli, wyściełanych czerwonym aksamitem. — Mieszkałem w domach, które miały mniejszy metraż niż ta łazienka.

— Doprawdy, kochany? — Jane zaczęła powoli wyjmować z włosów

szpilkę po szpilce, ale było ich mnóstwo i diadem wciąż mocno trzymał się głowy. — Zabrzmiało to raczej ponuro.

— Może ci pomogę? — Podniósł się z chrząknięciem. Stał nad nią, przez chwilę oceniał skomplikowany układ warkoczy i szpilek, po czym zaczął metodycznie pracować nad uwalnianiem kolejnych kosmyków.

To było trochę niepokojące, więc zanim milczenie zaczęło im ciążyć, wpatrzyła się w jego odbicie w lustrze.

— Zdajesz sobie sprawę, że nie możemy pozostać małżeństwem?

Dziś rano na jego twarzy nie było szerokiego uśmiechu, w zapuchniętych błękitnych oczach nie dostrzegła też żadnego błysku.

— Więc masz mnie już dość? Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny. Coś mi się wydaje, że pobiłaś rekord świata.

— Na pewno rozumiesz, że ubiegłej nocy... No cóż, przechodziłam kryzys, a ty na moment poprawiłeś mi nastrój i dziękuję ci bardzo, naprawdę ci dziękuję, lecz nie potrzebuję męża. Och, może potrzebuję, lecz... — Zabrakło jej słów. Nie musiała opisywać wszystkiego dokładnie i ranić jego uczuć, nie, jeśli chciała od niego kolejnej przysługi.

— Taaa, no dobra, i tak byłbym chałowym mężem. — Wręczył jej dwie doczepki, które odpiął od jej włosów. — Możemy wystąpić o unieważnienie związku z powodu jego nieskonsumowania. Nic nie powiem, jeśli ty nie zdradzisz. Skąd będą wiedzieli?

— To byłoby raczej średniowiecze, gdyby chcieli zrobić badanie lekarskie. — Wzdrygnęła się, a on wyszczerzył zęby, uśmiechając się do niej po raz pierwszy tego ranka.

— Czyli że zamierzasz wyjść za mąż za niego, za twojego pana Eksa? Dzwonił?

— Nie sprawdziłam — odpowiedziała. Te lodowate paluchy znów ścisnęły jej serce. Wyłączyła telefon, zanim opuściła tamten apartament dla nowożeńców. Było po czternastej i Andrew na pewno do tej pory zadzwonił. — Sprawdzę. Później.

— Czyli nigdzie się nie śpieszysz? — spytał. Jego twarz nic nie wyrażała, kiedy zaczął rozwijać ostatni pukiel włosów. — Chcesz się podelektować ostatnimi chwilami wolności?

— Zanim się pożegnamy, powinniśmy się wymienić nazwiskami naszych prawników — oznajmiła. Nie miała czym się delektować, póki nie posprząta bałaganu, którego narobiła zeszłej nocy, mniej więcej w taki sposób, w jaki Leo robił porządek ze sprawiającą jej tyle bólu fryzurą.

— Nie mam prawnika — stwierdził, a Jane się zastanowiła, czy nie byłoby może łatwiej i szybciej znaleźć siedzibę administracji hrabstwa i jakiegoś życzliwie nastawionego sędziego, który wysłucha w swoim gabinecie ich godnej

pożałowania opowieści i z miejsca anuluje ich małżeństwo. — Chcesz, żebym teraz pomógł ci zdjąć suknię?

Zmrużyła oczy, od czego na nowo rozboleła ją głowa.

— Myślałam, że dopiero co się zgodziliśmy, iż ubiegła noc była beznadziejną pomyłką.

— Ukochana, nawet gdybym cię pragnął, wątpię, czy mógłbym. Czuję się jak przemielony przez maszynkę do mięsa. Nie mogę sobie wyobrazić, że czujesz się dużo lepiej.

— Nie czuję się zbyt dobrze — przyznała. — Ani jeden kawałeczek mnie nie czuje się lepiej niż okropnie. Wiedziałam, że istnieje powód, dla którego wcześniej się nie upijałam.

— To nie będzie trwało wiecznie. Do lunchu poczujesz się lepiej...

— Minęła już pora lunchu!

Leo wzruszył ramionami.

— Najlepszym lekarstwem jest po prostu znowu się upić. Mam sprawdzić, czy jest jeszcze szampan w barku?

Przez moment rozważała tę opcję. Nigdy przedtem nie bywała pijana, ponieważ miała obawy, że może być genetycznie obciążona alkoholizmem i kiedy zacznie pić, nie będzie mogła przestać. Ale na myśl o alkoholu, który wlewa sobie w wyschnięte gardło, chwyciła się kurczowo boku toaletki, a jej żołądek gwałtownie się zacisnął.

— Boże, nie! Nawet nie chcę o tym myśleć.

— Nie będzie ci jednak przeszkadzało, jeśli ja się napiję? — W jego głosie nie było ani krztyny wstydu, że choć ledwie wstał, a już potrzebuje drinka.

— Nie zamierzam cię powstrzymywać, póki nie będę musiała na to patrzeć.

— Twój ton jest bardzo krytyczny. Jak porządnej żony. — Ubiegłej nocy był znacznie uleglejszy. — Więc chcesz mojej pomocy przy zdejmowaniu sukni?

— Tak, poproszę.

Wyprostowała się znowu i odwróciła, prezentując mu swoje plecy i wszystkie te maleńkie, obciągnięte jedwabiem guziczki. Przycisnęła łokcie do boków, a on powoli rozpinał guziki, przeklinając pod nosem, gdy zadanie stało się zbyt uciążliwe dla jego niezgrabnych palców i zamglonego umysłu.

Kiedy skończył i przesunął palcem w dół, po jej kręgosłupie, wstrzymała oddech, ponieważ przebywała w pokoju hotelowym z mężczyzną, o którym nie wiedziała zupełnie nic. Czasami takie sytuacje nie kończyły się dla niej tak dobrze.

— Może przygotujesz sobie kąpiel i posiedzisz w wannie, a ja się tymczasem napiję?

Po jego wyjściu zamknęła drzwi, weszła do aksamitnej, miękkiej wody i szacowała szkody. Siedemnaście nieodebranych połączeń i nagrań na pocztę głosową od Andrew. Pięćdziesiąt dwa SMS-y. Trzy e-maile.

Andrew miał kłapki na oczach. Stephanie, kobieta ograniczona i zgorzkniała, ponieważ Andrew od początku był cudownym dzieckiem, wyznała kiedyś Jane, że gdy brat był młodszy, Jackie kazała go przebadać „z pewnością pod kątem zaburzeń ze spektrum autyzmu”. Wyniki miał bodajże na granicy.

Skoro mowa o obu paniach, dostrzegła w spisie liczne nieodebrane połączenia zarówno od Jackie, jak i od Stephanie. Telefony od żon informatyków, kobiet, z którymi się spotykała i które nazywała przyjaciółkami. Zadzwoił nawet ojciec Andrew, Richard, chociaż miał zwyczaj pozostawiać większość trudniejszych spraw Jackie.

Kiedy połączyła się z pocztą głosową i słuchała pierwszej wiadomości od Andrew, gdzieś w głębi duszy poczuła żal, że nie jest nadal pijana.

— Janey! Gdzie jesteś? Czekaliśmy i czekaliśmy, a wtedy jakiś pomocnik kelnera powiedział, że widzieli, jak wsiadałaś do taksówki. Wybacz, kochanie. Strasznie cię przepraszam, że zawałem, ale nadal cię Kocham i wiem, że czujesz to samo. Proszę, wróć, porozmawiamy o tym.

Wszystkie wiadomości od niego były wariacjami na ten sam temat. Ani trochę się na nią nie gniewał, ale podczas nagrywania dziesiątej wyraźnie płakał, więc Jane poczuła ulgę, że następna wiadomość była od Jackie, która nie płakała. Po co płakać, skoro można wrzeszczeć?

— Ty mała zdiro! Jak śmiałaś to zrobić Andrew? Wracaj natychmiast, młoda damo. Czeka na ciebie cholerna sala balowa pełna rodziny, gości, współników Richarda... Upokorzyłaś naszą rodzinę...

Nie było sensu słuchać dłużej.

Westchnęła, kiedy jedna łza, a potem druga, spłynęły jej powoli po policzkach.

Andrew był mężczyzną, z którym zamierzała dzielić życie. Nie tylko z powodu miliardów dolarów, których na pewno był wart — zanim się pojawił, miała inne kryteria i inne propozycje. Ale Andrew nigdy się nie obrażał, nigdy nie krzyczał, a po pijanemu nigdy nie stawał się agresywny. Właściwie, nigdy się nie upijał. Kochał matkę i ojca, a nawet denerwującą siostrę. Przynajmniej raz dziennie przysyłał Jane SMS-a ze słowami „Kocham cię”. Kupował jej kwiaty. Kupował jej lody, chociaż zawsze ostatecznie zjadał je sam.

Już za nim tęskniła, a on nawet nie wiedział, że nie zamierzała do niego wrócić.

Podniosła głowę, spojrzała w lustro i zbadła szkody na twarzy. Nie były duże. Zdołała wycisnąć z siebie jedynie kilka łez.

— Nie jesteś złym człowiekiem — powiedziała głośno. — Po prostu przydarzyły ci się złe rzeczy i to z ich powodu stałaś się taką osobą. To nie jest twoja wina.

Andrew się otrząśnie. Dostanie pracę w Microsoftzie, poleci do Seattle

i zacznie wszystko od nowa. Uprzytomni sobie, że ma złamane serce, wkrótce jednak spotka inną dziewczynę, która się w nim zakocha, ponieważ bardzo łatwo było go pokochać. Tej nowej może nawet nie będzie zależało na pieniądzach czy tanich akcjach Microsoftu. Nie minie rok, a Andrew znów będzie szczęśliwy. Naprawdę, Jane nie miała powodów czuć się winna. Rok minie szybko.

Kiedyś prowadziła się z mężczyzną, który zainstalował jej w telefonie lokalizator GPS i chociaż Andrew ufał jej bezgranicznie, lepiej było nie ryzykować. Po paru falstartach w końcu za pomocą szpilki do włosów zdołała wyjąć z telefonu kartę SIM. Położyła ją sobie na dłoni i wpatrywała się w nią przez moment.

Ale już postanowiła. Nie musiała się dłużej zmagać z tą decyzją. Karta SIM zniknęła jej z oczu po drugim użyciu spłuczki. Następnie Jane skasowała konto e-mailowe, które Andrew uważał za jej jedyne.

Nie mogła sobie wyobrazić, w jaki sposób ludzie „znikali” pięćdziesiąt lat temu, obecnie jednak wystarczyło zniszczyć kartę SIM i kilka razy przesunąć palcem po ekranie dotykowym. Konstruujesz życie z kimś, wymyślasz uczucia i przeżycia, wszystkie łączące was sprawy, wszystkie wspólne dni i wspólne noce. Tak naprawdę jednak nic z tego nie jest rzeczywiste. Jesteście dwiema odrębnymi istotami. Dlatego teraz ledwie pięć minut zajęło jej zabicie Janey Monroe.

Natychmiast, gdy usłyszał, że Jane, smutno westchnąwszy, zanurza się w wannie, przystąpił do działania.

Ruszył, a raczej zatoczył się, prosto do barku po butelkę drogiego piwa importowanego, chcąc spłukać paskudny smak, który miał w ustach. Druga butelka smakowała lepiej niż pierwsza, na dodatek w woreczku zostały mu jeszcze dwie działki kokainy, które wciągnął niczym dżentelmen tabakę. Kokaina rozproszyła mgłę w jego głowie.

Torebka Jane leżała otwarta na łóżku. Wygrana z zeszłej ubiegłej nocy nadal tam leżała w siedmiu równiutkich małych plikach banknotów. W każdym było po pięć tysięcy dolarów. Leo nie był skończonym potworem; zostawił Jane jeden plik. Tak będzie uczciwie. Zresztą, miała co najmniej sto tysięcy dolarów w kosztownościach. Poradzi sobie.

Kiedy obudził się tego ranka, leżał przez jakiś czas i myślał, że Jane nie może być taka piękna, jak ją zapamiętał. Zastanowił się, czy nie zwiodła go kokaina. Później przyszedł moment najczystszej żałoby, gdyż przypomniał sobie, że nie był się w stanie spuścić w nocy, chociaż udawał, bo Jane go błagała, żeby wbił ją w materac.

O mało wtedy nie wyszedł, jednak został. Pomyślał, że lepiej stanąć twarzą w twarz z własnymi demonami i odwiedził łazienkę, gdzie odkrył, że Jane — nawet gdy ma zmęczoną, poszarzałą twarz i ciało napięte od bólu porannego kaca — nadal jest piękna.

To niczego nie zmieniało. Znajdował dla żony, nawet pięknej, zastosowanie nie większe niż dla opryszczki. Ogarnęły go lekkie wyrzuty sumienia, że zamierza się wymknąć i zostawić dziewczynę bez własnego adresu czy numeru komórki, ale tylko w ten sposób mógł wyjść z trzydziestoma tysiącami dolarów i bez kłótni.

Nie mógł zostać w Las Vegas. „Świeży” rogacz Norman miał najróżniejsze kontakty, znał wielu facetów, którzy wyglądali na bandytów i nosili włoskie nazwiska. Leo nie mógł też wrócić do Los Angeles, skoro zarówno jego gospodarz, jak i jego diler grozili, że połamią mu nogi. W Nowym Jorku też narobił długów i czaili się na niego rozzłoszczeni mężowie, zawsze jednak istniało jeszcze Austin, Portland czy Chicago, zresztą, na Stanach Zjednoczonych świat się nie kończył. Minęło już dostatecznie dużo czasu, toteż mógł wrócić do Berlina albo Pragi i dobrze żyć tam przez rok, znów zacząć malować — pod warunkiem że będzie się trzymał tylko piwa i trawki.

Nie miał rzeczy do pakowania. Wcisnął pliki banknotów do kieszeni kurtki, po czym podszedł na palcach do drzwi łazienki, chcąc się upewnić, że Jane nagle stamtąd nie wyskoczy z pytaniem, dokąd się wybiera.

Usłyszał odgłos splukiwanej wody, Jane przeklęła, a potem ponownie splukała.

Zastanowił się, czy nie wymiotuje. Wtedy uprzytomnił sobie, że prawie wyszedł bez telefonu, który zostawił na noc na ładowarce z wyłączonym dźwiękiem, ponieważ z nikim nie chciał rozmawiać.

Miał trzy nieodebrane rozmowy od Melissy, której numeru jeszcze nie skasował, oraz jedną z numeru zagranicznego. Z Anglii. Kierunkowy z Londynu. Był to numer, z którym nie łączył się od ponad dziesięciu lat, wciąż jednak znał go na pamięć. W tym samym momencie telefon się ożywił, zawibrował i na ekranie ponownie wyświetlił się brytyjski numer. Leo nawet nie przyszło do głowy, że mógłby nie odebrać połączenia.

— Halo?

— Leo! Usiłuję cię złapać od kilku dni! Dzwoniłam na co najmniej dziesięć innych numerów w pięciu różnych krajach. Rozmawiałam z kilkoma twoimi rozgoryczonymi kobietami i jednym mężczyzną, który przyznał, że kiedyś wynajmowałeś u niego mieszkanie, po czym obrzucił mnie stekiem wyzwisk.

Leo poczuł ulgę, ponieważ to nie była ONA. Opadł na łóżko.

— Witaj, Liddy, moja jedyna prawdziwa miłości. Jak się, do diabła, miewasz?

— Och, nic się nie zmieniłeś, prawda? — Wnosząc z tonu, Lydii wyraźnie się ta myśl nie spodobała.

— Właściwie... Po pierwsze jestem o dziesięć lat starszy.

— Nie wygląda, żebyś był o dziesięć lat mądrzejszy — docięła mu zgryźliwie.

— Może o jakieś dwa lub trzy lata — wykręcił się. Cudownie było słyszeć jej głos; te twarde londyńskie samogłoski, które przypominały mu, jak siedział w kuchni, podczas gdy przygotowywała mu śniadanie i nalewała niezliczone kubki herbaty. — Więc... Co słyszać?

— Musisz przyjechać do domu! Ona nie miewa się dobrze i ta sytuacja trwa naprawdę długo — powiedziała po prostu, co go wcale nie zaskoczyło.

Czasami tak się zastanawiał... Ponieważ, przynajmniej w sensie biologicznym, była starszą kobietą, a jednak zawsze wydawała się zabawniejsza i bardziej młodzieńcza niż jego rodzice, którzy mieli dobre dwadzieścia pięć lat mniej od niej. Szybko jednak dochodził do wniosku, że jego rodzice od zawsze martwili się wyłącznie o swoje emerytury i nigdy nie chcieli się w nic angażować. Tak czy inaczej, ona była stara i wiedział, że nie będzie żyła wiecznie, ale...

— Co masz na myśli, mówiąc, że nie czuje się dobrze? Jak bardzo jest źle?

— To wróciło — odparła Lydia.

Bez dalszych pytań wiedział, o czym mówiła, ponieważ praktycznie należała do rodziny. W jego rodzinie ze strony matki bardzo często zdarzały się nowotwory, ale nikt naprawdę nie potrafił wypowiedzieć słowa „rak”.

— Nawet nie wiedziałem, że miała go wcześniej.

— No cóż, nie było cię tutaj, a wtedy leczenie przyniosło dobre efekty. Tym razem nie poddała się kuracji. — Oczyma wyobraźni zobaczył łagodną, okrągłą twarz Lydii zmarszczoną i zatroskaną. — Proszę, przyjedź do domu.

— Dobrze, może wpadnę na Boże Narodzenie — odparł, ponieważ kiedy pomyślał o locie do Anglii, czego nigdy, przenigdy nie robił, czuł ucisk w dołku i odnosił wrażenie, że zalegają w nim twarde, ciężkie kamienie.

— Do świąt Bożego Narodzenia pozostało ponad dwa miesiące. Musisz przyjechać wcześniej.

Zapomniał już, jak uparta potrafi być Lydia.

— Nie mogę zjawić się tak po prostu, jak gdyby nigdy nic, no nie? — Miał kilka blizn, parę tatuaży i walizkę pełną historii, ale nic więcej nie mógł pokazać, mimo że upłynęło dziesięć lat. Oczekiwano po nim znacznie więcej. — Kazała ci do mnie zadzwonić?

Prawie słyszał, jak zacisnęła wargi.

— Nie wie, że dzwonię.

— Nie widzę sensu w tych odwiedzinach. Nie przyniosą niczego dobrego, no nie?

— Będziesz mógł żyć ze świadomością, że nie spróbowałeś naprawić stanu rzeczy, gdy miałaś okazję? Będziesz mógł nosić ten ciężar do końca życia? Naprawdę się nie zmieniłaś, prawda? — zapytała. Była jedyną osobą, oczywiście oprócz tej drugiej osoby, która w ogóle nie podnosząc głosu, potrafiła sprawić, że czuł się jak pierwotna forma życia.

Nie zmienił się, to prawda. Nawet nie próbował. Uznał, że jest, jaki jest, i że nie umie żyć zgodnie z jej oczekiwaniami, więc po co próbować?

— Leo? Przylatujesz czy nie?

Podniósł głowę, ponieważ drzwi łazienki właśnie się otworzyły i stanęła w nich Jane owinięta w biały puszysty płaszcz kąpielowy i oświetlona lampą, którą zostawiła włączoną w środku.

W tej właśnie chwili całe swoje ubranie nosił na sobie, miał też trzydzieści tysięcy dolarów, które zawdzięczał jedynej w swoim rodzaju szczęśliwej passie, oraz żonę, która wyglądała jak aktorka sprowadzona z hollywoodzkiego studia z czasów, kiedy gwiazdy filmowe wyglądały, jakby spadły z niebios. Jeśli wróci do domu z taką żoną wspartą na ramieniu, nie powinno go czekać złe przyjęcie.

A Jane wprawdzie się stawiała, ale przecież naprawdę potrzebowała jego podpisu na dokumentach rozwodowych, więc miał argumenty i mógł wywrzeć na nią nacisk.

— Tak — odrzekł powoli. — Zgoda. Tak, przylecę.

ROZDZIAŁ VII

Listopad 1943 roku

Przez trzy tygodnie Rose zachodziła każdego wieczoru do Bouillabaisse i była szczególnie miła dla Phyllis i Maggie, ilekroć je zobaczyła, i dopiero wtedy przestały ją traktować z taką pogardą.

Stale się do nich uśmiechała, komplementowała je i zgadzała się z nimi we wszystkim, co powiedziały, lecz nie zyskała w ten sposób nic poza zbolałymi westchnieniami. Każdy gin z wermutem, który kupił jej partner do tańca, oddawała tym dwóm dziewczynom. W końcu, choć niedostatecznie szybko, Phyllis przyparła ją do muru obok toalety.

— Jeśli zacznę być dla ciebie uprzejma, obiecasz, że przestaniesz nam się tak natrętnie podlizywać?

— Nie podlizuję się, jestem wam tylko życzliwa! — zaprotestowała, ale gdy Phyllis przyznała się do porażki, Maggie również trochę złagodniała. Tylko trochę, lecz Phyllis i Sylvia wyjaśniły Rose, że Maggie po prostu taka jest; wyemigrowała z Czechosłowacji, w której zostawiła rodzinę na łasce nazistów, więc trzeba jej wiele wybaczyć.

Teraz wreszcie, gdy trzy dziewczyny mogły za nią poręczyć, w tym Phyllis, która pochodziła z arystokracji i jej ojciec był wicehrabią czy baronetem, zdobycie zaproszenia na przesłuchanie w Rainbow Corner stało się łatwe.

— Powiedz im, że masz dwadzieścia jeden lat — doradziła jej Sylvia, kiedy spotkały się w Lyons przed rozmową.

Rose nie odrywała wzroku od filiżanki z herbatą.

— Wiesz, że nie mam tyle — zauważyła ostrożnie.

— Oczywiście, że wiem! Wszystkie wiemy, że nie masz również dziewiętnastu — prychnęła Sylvia, chociaż tego dnia Rose miała na sobie pożyczony od współlokatorki Olive wrzosowy kostium, więc bynajmniej nie wyglądała jak uczennica. — Po prostu powiedz, że twój dom został zbombardowany, podkoloryzuj trochę opowieść, a na koniec dodaj, że twoje dokumenty są w przygotowaniu, ponieważ tak jest, prawda? Czy nie?

— No cóż, nie miałam okazji, a moja gospodyni zabrała mi książeczkę z kartkami i...

Bardzo trudno było uciec i stworzyć sobie nowe życie.

— Nie martw się. Znam pewnego człowieka, który zna innego człowieka... — odparowała Sylvie, po czym kazała Rose zetrzeć szminkę i przez chwilę szczytać sobie policzki, ponieważ Amerykański Czerwony Krzyż wolał, aby jako fordanserki lub hostessy pracowały społecznie dziewczyny, które wyglądają

zdrowo zamiast efektownie.

W końcu spotkanie nie okazało się takie straszne. Pani Atkins, miła Amerykanka w średnim wieku, która z nią rozmawiała, była pełna życzliwości. Kiwała głową i uśmiechała się, kiedy jej opowiadała, że dorastała z czterema starszymi braćmi, więc łatwo się odnajdowała w towarzystwie mężczyzn, ale równocześnie nie pozwalała im na zbyt wiele. Rose chciałaby, żeby jej braci mile powitali ludzie, za których wolność walczą, miała też nadzieję, że żołnierze amerykańscy będą się dobrze czuli w jej towarzystwie, jeśli zostanie fordanserką. Och, naprawdę musi szybko przestać tyle kłamać!

— Myślę, że pewnie rzeczywiście najszcześniejsza będziesz, jeśli wyznaczmy cię na tancerkę, prawda, moja droga? Skoro kelnerką jesteś w trakcie dnia.

— O tak...

— Ale nie chodzi o to, żebyś tylko tańczyła, gdyż nasi chłopcy potrzebują również pełnej zrozumienia słuchaczki i przyjaznego uśmiechu.

— To także potrafię.

— Zobaczymy, jak sobie poradzisz przez parę tygodni — podsumowała pani Atkins. — Sądzisz, że do tego czasu dostaniesz dokumenty?

— Będzie dobrze — obiecała Sylvia, kiedy Rose wyszła z przesłuchania z zatroskaną, marsową miną i kartą członkowską Rainbow Corner z pieczętką „TYMCZASOWY” z dużych czerwonych liter. — Chodź za mną.

W mroku najbardziej zadymionego zakątka sali bilardowej Rainbow Corner Sylvia podeszła pewnym krokiem do mężczyzny w prążkowanym garniturze i jaskrawo żółtym krawacie; czytał „Sporting Life”. Gdy zobaczył, że się zbliżają, podniósł głowę i uśmiechnął się, prezentując dziąsła. Miał cofnięty podbródek i zakola.

— Sylvio, miłości mojego życia, nieczęsto cię widuję w moim biurze.

— Rose, to jest Mickey Flynn, nie wierz w ani jedno jego słowo — ostrzegła ją Sylvia. — Mickeyu, to Rose. Jej dom zbombardowano i straciła papiery. Wszystkie! Nie ma nawet aktu urodzenia. Możesz sobie coś takiego wyobrazić?

Mężczyzna przez chwilę taksował Rose wzrokiem od stóp do głowy, niczym jedną z nagich dziewczyn z Windmill Theatre po drugiej stronie ulicy, przyznał, że nie może i że Rose powinna się udać do władz i poprosić o wydanie nowych dokumentów.

— Ale to potrwa wieki i będzie musiała obejść tak wiele różnych wydziałów... No chyba, że poznałaby kogoś, kto zrobi to za nią.

— Za opłatą? — spytał Mickey.

Rose nie wiedziała, jak duża będzie ta opłata, uznała jednak, że prawdopodobnie najlepiej zostawić negocjacje Sylvii, która wyraźnie miała głowę na karku, a Mickey nie wydawał się osobą szczególnie godną zaufania.

Ustalili z Sylvią, że Mickey dostarczy Rose nową metrykę urodzenia, dowód osobisty i książeczkę z kartkami żywnościowymi za zawrotną kwotę pięciu gwinei. A pięć gwinei to było prawie wszystko, co Rose miała.

— Ta suma powinna pokryć koszty — Mickey zrobił gest w jej kierunku. — Ale teraz jest mi winna przysługę.

— To zależy, jakiego rodzaju przysługę masz na myśli. Lepiej omów to najpierw ze mną. — Sylvia nie mówiła teraz jak dobrze wychowana panienka. Raczej przypominała ekspedientki, które przychodziły do kafeterii i mówiły „tojes” zamiast „to jest”. — No, gdzie twój notes? Musisz zapisać szczegółowe dane Rose.

Na moment sytuacja zrobiła się niezręczna, ponieważ Rose musiała spojrzeć na swoją tymczasową kartę członkowską Rainbow Corner i sprawdzić, jaki podała rok urodzin. Tam również znajdowało się jej nowe nazwisko. Wybrała „Beaumont”, bo było nazwą kina, do którego wraz z Shirley chodziła co popołudnie przez dwa tygodnie każdego lata, kiedy wysyłano je do ciotki Patricii do Aberdeen. Ciotka Patricia zdecydowanie uważała, że małych dziewczynek nie powinno być ani widać, ani słyszać, więc stale dawała każdej z nich po szylingu i nakazywała wrócić dopiero na kolację.

Rose Beaumont. Tak powinno brzmieć nazwisko. Wyrafinowane, eleganckie, egzotyczne. Ktoś o takim nazwisku będzie przeżywał przygody i będzie zapraszany na kolacje przez chwackich mężczyzn. Tego rodzaju rzeczy po prostu się nie zdarzają dziewczętom nazwiskiem Rosemary Winthrop.

Tydzień później Rose uzyskała też nowy adres, kiedy, z pomocą Sylvii i Phyllis, w środku dnia dokonała spektakularnej ucieczki ze starego mieszkania. Phyllis zajęła panią Cannon rozmową, opowiadając jej, jak w dzieciństwie bawiła się z małymi księżniczkami, Elizabeth i Margaret, podczas gdy Sylvia pomogła Rose w ucieczce z walizką i bez płacenia tygodniowego czynszu.

— Za komorne, którego żąda i za tę sprawę z twoimi kartkami... No cóż, ma kobieta szczęście, że nie doniosłyśmy na nią policji — oznajmiła Sylvia, kiedy przechodziły całą Oxford Street, kierując się do nowego wynajętego pokoju Rose w dwupokojowym mieszkaniu w Holborn na maleńkiej uliczce w pobliżu British Museum. Sylvia dzieliła je z Phyllis i Maggie. — Będziesz musiała spać ze mną, ale, o ile nie wierzysz się ani nie chrapiesz, powinniśmy się zgodzić — powiedziała Sylvia.

Czynsz wynosił tu tylko czternaście szylingów tygodniowo na osobę i gospodyni nie mieszkała na miejscu, więc nikt nie będzie Rose zabierał kartek ani narzekał na hałas, jaki robiła, wchodząc i schodząc po schodach.

Kiedyś mieszkała tam jeszcze jedna dziewczyna, Irene, ale odeszła, gdy skończyła kurs pielęgniarski i teraz pracowała w szpitalu w Birmingham.

— Była naprawdę maleńka, ledwo sięgała mi do ramienia — opowiadała Maggie później tej nocy, kiedy świętowały wprowadzkę Rose pokrojonym na

ćwiartki kotлетem mielonym z jajkiem na twardo i butelką brzoskwiniowego wina — więc nie mogliśmy nosić jej ciuchów.

Wszystkie ubrania Rose, cały żałosny zbiorek — poza sukienką Shirley z czarnej krepdeszyny i pogrzebowym futrem matki — trafiły do wspólnej szafy, chociaż Sylvia stwierdziła, że nie ma sensu wieszać tam jasnoniebieskiej tafty, ponieważ żadna z nich i tak nie chciałaby jej pożyczyć.

Tej pierwszej nocy Sylvia, Maggie i Phyllis były bardzo serdeczne, ale zbulwersowało je wyznanie Rose (po zbyt dużej ilości brzoskwiniowego wina), że od ucieczki z domu nie napisała do rodziców. Zaszokowała je też sama ucieczka, aż Sylvia poprosiła: „Miej serce, Rosie. Na pewno wyobrażają sobie najokropniejsze rzeczy — że rozerwała cię bomba albo porwali handlarze żywym towarem”.

Następnego wieczoru Phyllis posadziła ją na krześle, gdy tylko wróciły z pracy: Rose z kafeterii, Phyllis z biur Admiralicji w Whitehall — i pod łagodnym, aczkolwiek stanowczym patronatem przyjaciółki, Rose napisała do domu.

— Najlepiej trzymać się faktów — pouczyła ją Phyllis. Potem posłała jej psotny uśmiech. — Chociaż, jak wiesz, fakty można różnie interpretować.

Najpierw Rose przeprosiła z całego serca za mściwe słowa z liściku, który wsunęła za zegar na gzymsie kominka, a następnie przeszła do pilniejszych spraw.

Proszę, nie martwcie się o mnie. Znalazłam pracę w małym lokalu prowadzonym przez miłą starszą parę — napisała. — Wiezorami pracuję społecznie dla Czerwonego Krzyża, a dzielę śliczne mieszkanie w pobliżu British Museum z trzema dziewczynami z dobrych rodzin.

W liście było też kilka akapitów poświęconych nauce na własnych błędach i o tym, że praca na rzecz żołnierzy walczących na wojnie pozwoliła jej dostrzec własne pomyłki spowodowane zachowaniem impulsywnym i egoistycznym. Phyllis była bardzo pomocna. Często świadczyła usługi w Czytelni Rainbow Corner, pomagając Amerykanom pisać listy do dziewczyn i narzeczonych, które trzeba było na przykład delikatnie powiadomić, że mężczyzna, któremu machały na pożegnanie w porcie, żeni się właśnie z Brytyjką, gdyż ta spodziewa się jego dziecka.

Matka jej odpisała. Woląca powiedzieć wszystkim wokół, że Rose pracuje w polu wraz z Land Girls zamiast powiadamiać kogokolwiek, że córka zarówno zawstydzila, jak i rozczarowała kochających rodziców. Później nigdy nie poruszała tematu ucieczki. Rose wysyłała jej długie opisy życia w Londynie, skupiając się bardziej na wysiłkach znalezienia i kupienia owoców, a matka przesyłała nowiny z komitetu brytyjskiej ochotniczej służby kobiecej (WRVS), kościelnego komitetu społecznego, komitetu szpitalnego oraz wszystkich innych licznych organizacji, w których działała, załączała też przestrogi i zalecała ostrożność. Słowo

„ostrożna” zawsze było podkreślone kilka razy i ozdobione wykrzyknikiem.

W tych pierwszych tygodniach w Rainbow Corner Rose była bardziej beztrojska niż ostrożna. Kolejne noce zdawały się łączyć w jedną — zachwycającą, przepelnioną tańcem z pełnymi wdzięczności wojskowymi, którzy, wszyscy zgodnie, mówili jej, że jest piękna. Później schodziła do Kryjówki Dunkera w suterenie, a żołnierze kupowali jej pączki, czasami gofry, od czasu do czasu grube naleśniki w stylu amerykańskim, no i zawsze coca-colę. Za każdym razem udawała, że jest to jej ulubiony napój. Było to z jej strony drobne poświęcenie, które wyraźnie zachwycało absolutnie wszystkich jej partnerów. Nie potrafiła im pomóc w pisaniu listów do domu (jak Phyllis) ani spokojnie wysłuchiwać ich wyznań, a potem ofiarowywać łagodnych słów pociechy (jak Maggie) i Bóg jeden wie, że nigdy nie nauczyła się flirtować (jak Sylvia), jednak po kilku tygodniach potrafiła tańczyć jive’a jak ktoś, kto się do tego urodził, i wdzięcznie wypijać duszkiem szklankę coca-coli niczym chłodną wodę źródlaną w gorący letni dzień.

Sen z powiek spędzał jej jedynie brak oficjalnych dokumentów. Doprowadzenie jej papierów do ładu zabrało Mickeyowi Flynnowi trzy długie tygodnie. W tym czasie żyła w śmiertelnym lęku, że zostanie wezwana do biura, a następnie wydana policji, ponieważ w kwestionariuszu podała fałszywe dane. Albo, co gorsza — jej nazwisko trafi na listę dziewczyn, którym nie wolno wejść do Rainbow Corner!

Pewnego wieczoru, gdy umówiła się z Sylvią na stacji metra Piccadilly Circus, a później przebiegały obok czekających na rogu Shaftesbury Avenue dziewczyn, które zawsze obrzucały je najpaskudniejszymi wyzwiskami, Sylvia powiedziała:

— Wpadłam dziś na Mickeya Flyna. Masz się z nim spotkać w sali bilardowej o wpół do ósmej. Przyniosłaś pięć gwinei? Wiesz, poszłabym z tobą, ale tkwię w tym tygodniu w punkcie informacyjnym.

Sylvia miała już kłopoty z kobietami z biura, gdyż przyłapały ją, jak całowała się na schodach z jakimś marynarzem, chociaż tłumaczyła im się: „To on mnie całował, nie ja jego, zresztą odmowa wydawała mi się niepatriotyczna”.

— Mam pieniądze — zapewniła ją, kiedy wpisywały się na listę w Rainbow Corner.

Wręczając do sprawdzenia tymczasową kartę członkowską, Rose poczuła znajomy dreszczyk strachu, ale dobra stara Joyce tylko się uśmiechnęła i oddała kartę.

— Kazano mi powtórzyć, Rosie, żadnego dżezowania — oznajmiła jej jednak srogim tonem. — Dość wymyślnych podnoszeń, wyskoków czy obrotów w twoim stylu, w przeciwnym razie wylecisz.

— Przyrzekam, że będę trzymać stopy na ziemi — odparła Rose.

Sylvia zaczęła gderać, że musi spędzić cały wieczór na próbach znalezienia

dodatkowych łóżek dla amerykańskich żołnierzy w którymś z licznych klubów lub schronisk z listy, ale kiedy miały się rozstawać, wzięła Rose pod ramię.

— Jeśli Mickey zacznie mówić o przysługach, odpowiedz, że najpierw musi omówić tę kwestię ze mną — ostrzegła. Na jej ślicznej, żywej twarzy tym razem gościła absolutna powaga. — Uwielbiam go, ale zawsze próbuje szczęścia. Chociaż przyznam, że nie jest natarczywy. Tak czy inaczej, nie składaj mu żadnych obietnic, dobrze?

— Och, Sylvio, nic mi nie będzie. Potrafię sobie radzić z takimi jak Mickey Flynn — stwierdziła Rose, po czym pospiesznie odeszła, ponieważ im szybciej będzie miała za sobą tę sprawę, tym lepiej.

Ubrała dziś należącą do Maggie sukienkę z czerwonego aksamitu, która była na nią trochę zbyt krótka, ale nie wyglądała nieprzyzwoicie, oraz nowe czarne buty na obcasie, odkupione od pracującej w sklepie tytoniowym Kathy, która wzięła je na kartki tuż po rozpoczęciu reglamentacji ubrań, błędnie mniemając, że stopy jej jeszcze urosną. Gdy Rose pchała drzwi do sali bilardowej, pociły jej się dłonie. Zerknęła i szybko się upewniła, że nie czai się tam żadna z pań z Czerwonego Krzyża, po czym wślizgnęła się do środka. Niby naprawdę nie miała się czego bać — czekała ją tylko zwyczajna transakcja handlowa, wymiana pieniędzy na towar i usługę — lecz kiedy zobaczyła Mickeya siedzącego przy tym stoliku, co zwykle, serce załomotało jej jak oszalałe.

— Wejź do mojego biura, kochanie — zawołał na jej widok. — Nie musisz się tak denerwować. Usiądź.

W sali bilardowej nie było ani jednej kobiety. Wszędzie wokół siebie Rose widziała wyłącznie grupki mężczyzn, którzy grali lub śmiali się, żartując jeden z drugiego, a ona stała w czerwonej sukience i obawiała się, że zwraca na siebie uwagę ich wszystkich.

— Więc, hmm, mam pieniądze — oświadczyła Mickeyowi, który nosił tego wieczoru szmaragdowozielony krawat z satyny. Zauważyła jego bardzo blade, niemal białe dłonie. Zamachał teraz jedną lekceważąco.

— Będzie na to dużo czasu — powiedział. — Poznajmy się trochę. Jak ci się podoba w Londynie, moje maleńka?

Rose bez wątpienia nie była jego „maleńką”, ale byłoby niegrzecznie mu to wytknąć, szczególnie kiedy trzymał jej przyszłość w swoich rękach — albo raczej w szarej kopercie, która leżała przed nim na stole.

— Londyn jest cudowny — mruknęła.

— Sądzę, że byłoby miło, gdybyśmy mogli pomóc sobie nawzajem od czasu do czasu — rzucił.

Z trudem przełknęła ślinę.

— Och, to bardzo uprzejmie z pana strony. Nie jestem jednak pewna, czy byłabym w czymkolwiek pomocna. No chyba że... No cóż, pracuję w kafeterii

przy Wardour Street, mogłabym więc prawdopodobnie co jakiś czas ugościć pana darmową filiżanką herbaty. Niezbyt niestety smacznej, obawiam się.

Mickey wybuchnął śmiechem, mimo że Rose wcale nie starała się być zabawna.

— Jestem pewny, że taka ładna dziewczyna jak ty mogłaby być bardzo pomocna, nawet nie próbując...

Wpatrywał się w okolice jej dekoltu, a ona nie wiedziała, gdzie się podziać.

— Strasznie przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna, ale pragnę jedynie pracować społecznie, więc jeśli mogę po prostu zapłacić...

Otworzyła torebkę, chcąc wyjąć portmonetkę, lecz palce Mickeya gwałtownie zacisnęły się na jej nadgarstku.

— Jezus, Maria, dziewczyno, nie tak otwarcie! — Od razu przestał ją zwodzić i bajerować. Rozejrzał się na boki, niczym złoczyńca z farsy, zdecydował, że nic nie grozi jego reputacji i uśmiechnął się do Rose jak do najlepszego kumpla. — Trzeba było przygotować pieniądze. Wyjmij je pod stołem.

Trudno jej było po omacku wyłowić portmonetkę i wyciągnąć z niej pięć jednofuntowych banknotów oraz pięć szylingów, które potajemnie wręczyła Mickeyowi. Jednym wprawnym ruchem zagarnął pieniądze, wsunął je do kieszeni i pchnął w stronę Rose kopertę. Udało mu się nawet położyć dłoń na jej kolanie na jeden tak długi moment, że znów pragnęła się wyrwać.

Została jednak i siedziała bardzo nieruchomo, napinając wszystkie mięśnie, aż Mickey zabrał rękę, a wtedy wepchnęła kopertę do torebki.

— Opanuj się już, moja maleńka, na pewno nie chcesz podrzeć wszystkich tych cennych dokumentów, które twój dobry przyjaciel Mickey Flynn dla ciebie zorganizował — skarcił ją. Łypał teraz na nią pożądliwie, co było drobiazgiem w porównaniu z wcześniejszym jawnym gapieniem się na jej dekolt lub gorącymi paluchami na kolanie.

Nie mogła dokładniej obejrzeć wnętrza koperty, nie w tym miejscu, więc wstała szybko, unosząc się jednym nerwowym ruchem.

— Cóż, bardzo bym chciała zostać i pogawędzić, naprawdę bym chciała, ale muszę iść — oznajmiła, wyglądając drżącymi rękoma elegancką spódniczkę.

Mickey udał, że uchyla przez nią kapelusza.

— Spotkamy się ponownie wkrótce, śliczna Rose — przyrzekł. — I pamiętaj, że jesteś mi obecnie winna przysługę.

Odwracając się, skinęła głową.

— No tak, wie pan, gdzie mnie znaleźć. — W tym momencie, nie przejmując się, jak to wygląda dla przypadkowego obserwatora, pobiegła do drzwi.

Zanim jednak zdążyła do nich dotrzeć, jakiś głupi mężczyzna zablokował jej drogę. Przez chwilę każde z nich próbowało wyminąć drugie i tak tańczyli jakiś niezdarny taniec, przerywany uwagami: „Przepraszam”, „Nie, to ja przepraszam”,

„Nie, naprawdę, nie patrzyłam, dokąd idę”.

— To była moja wina, więc pozwól, że ci pomogę — stwierdził w końcu on, a Rose tak bardzo pragnęła opuścić pomieszczenie i uciec od Mickeya Flynnna oraz wszelkich przysług, których mógł teraz zażądać, że ledwo zerknęła na mężczyznę przytrzymującego dla niej otwarte drzwi.

Był w mundurze brytyjskiego oficera (nie nauczyła się jeszcze rozpoznawać rang) i był bardzo wysoki, gdyż mimo butów na obcasach musiała zadrzeć głowę, kiedy posłała mu przelotny uśmiech i wymamrotała podziękowanie. Spojrzenie nie trwało dłużej niż sekundę, a jednak zdołała dostrzec ostre rysy jego twarzy i konsternację, która — Rose była tego pewna — stanowiła doskonały odpowiednik jej własnej miny. Jak gdyby mężczyzna również tu nie pasował.

Była gotowa jak najszybciej przejść obok niego, lecz kiedy czerwony aksamit znalazł się przy wełnianym khaki, mężczyzna zrobił krok, znowu tarasując jej drogę, i wyciągnął rękę.

— Nazywam się Edward Abernathy. — Miał piękny głos, który przypominał jej, jak pod nieobecność kucharki zakradała się do spiżarni i otwierała puszkę czarnej melasy Lyle's, używanej do wypieku ciasteczek imbirowych i pierniczków. Wkładała do puszki palec wskazujący, a potem ssła go i zdumiewała się, jak gęsty syrop może być równocześnie gorzki i słodki. Tak właśnie brzmiał głos Edwarda. Brzmiał też bardzo poważnie, więc Rose uściśnęła mężczyźnie rękę, poczuła siłę w jego długich, szczupłych palcach, ale też odkryła, że gapi się na nią jeszcze gorzej niż Mickey.

Nie na jej biust, lecz na twarz, intensywnie patrząc jej w oczy i wyczytując z nich wszystkie jej sekrety. Desperacko chciała uciec od niego, od Mickeya i jego interesów. Wrócić na parkiet, na którym czuła się bezpieczna.

— Strasznie miło cię poznać — bąknęła pospiesznie. — Wybacz, ale miałam być... Powinnam być gdzie indziej.

Wówczas ustąpił jej miejsca, ona zaś wymknęła się przez drzwi i popędziła korytarzem, znów sobie przypominając dotyk dłoni Mickeya Flynnna oraz oczy Edwarda wwiercające się w jej duszę i dopiero wtedy zadrżała.

Miała wrażenie, że dała się dotknąć czemuś mrocznemu, czego nigdy wcześniej nie czuła. Właśnie dlatego wołała tańczyć z żołnierzami niż z nimi rozmawiać. Och, mogła śmiać się z ich żartów, gdy siadali na dziesięć minut pomiędzy tańcami, ale nic więcej. Sylvia była w tej kwestii bardzo bezpośrednia. „Większość z nich nie wraca” — często jej powtarzała. — „Zginą albo zostawili w kraju ukochane. Nie bądź jak Phyllis, która nigdy nie zapomina żadnego żołnierza, a później, kiedy usłyszy, że zginął, wpada w czarną rozpacz. Serio, Rosie, były okresy, kiedy płakała co noc przez dwa tygodnie”.

Znacznie lepiej było się powstrzymać, nie pozwolić, by zawładnęła nią zła strona wojny. Więc i tego wieczoru zapomniała o oczach nieznanego i o dotyku

Mickeya Flynn, po czym tańczyła bez przerwy aż do wpół do dwunastej w nocy.

ROZDZIAŁ VIII

— Polecisz ze mną do domu? — spytał Leo, kiedy wyszła z łazienki. Zastała go, jak siedział na łóżku i kończył telefoniczną rozmowę, która przebiegała bardzo burzliwie. — To znaczy nie domu rodzinnego, ale do Londynu.

Natychmiast wzbudził jej podejrzenia.

— Co jest w Londynie?

Wstał i przesunął palcami po rozczochranych po nocy włosy.

— Moja... ciotka... właściwie babka cioteczna. Jest chora.

Jane skrzyżowała ręce na piersiach. Choroba ciotecznej babki wydała jej się strasznie słabą wymówką. Bardzo możliwe, że Leo kłamał.

— A dom rodzinny? Gdzie dokładnie jest?

— No cóż, mój dom rodzinny to faktycznie Durham, ale nie byłem tam od wieków. Pewnie z piętnaście lat.

— Natomiast twoja babka cioteczna przebywa w Londynie, czy tak?

— Nie musisz mówić o niej w ten sposób, ona naprawdę istnieje. Jest siostrą mojej babci i jej również nie widziałem od wieków, więc jeśli dzwonią do mnie i mówią, że nie czuje się dobrze, sprawa na pewno jest poważna. — W jego głosie usłyszała takie zdenerwowanie, że aż się odwróciła i spojrzała, ponieważ wczoraj nie było w nim takich emocji. Leo nie był też wczoraj taki roztrzęsiony. Teraz chodził tam i z powrotem po pokoju, może rzeczywiście dlatego, że właśnie otrzymał złe wieści, podejrzewała jednak, że chodzi o coś więcej. — Powinniśmy złapać lot wczesnym wieczorem. Zbierz swoje rzeczy, ja wezmę prysznic, a potem wychodzimy.

— Dlaczego, do diabła, miałabym lecieć do Londynu i spotykać się z twoją niedomagającą babką cioteczną? — spytała.

Przestał krążyć po pomieszczeniu i popatrzył na nią z nachmurzoną miną. Szybko jednak chyba zrozumiał, że gniew nie pomoże mu wprowadzić Jane w pojednawczy nastrój.

— Pogodzisz się z panem Eksem?

Wzruszyła ramionami.

— Jeszcze nie zdecydowałam.

Zmarszczył brwi i próbował wyglądać żałośnie. Nie było mu z tym do twarzy.

— Ciągle trzeba unieważnić ślub, a ja naprawdę muszę lecieć do Londynu, więc co ci szkodzi polecieć tam ze mną?

Miał rację. Musiała natychmiast opuścić Las Vegas. A jeśli trzeba było pozbierać myśli, zaplanować, co dalej zrobić ze swoim życiem, Londyn był do tego najlepszym miejscem na świecie. Nie chciała jednak pchać się bez zastanowienia w kolejny wątpliwy układ, skoro nadal źle się czuła po ekscesach z poprzedniej

nocy.

— Chodź, czas nas goni — warknął Leo i nawet ośmielił się pstryknąć na nią palcami jak na powolnego lokaja. — Nie widzę, żebyś się pakowała.

Miała złe przeczucia co do tej sprawy, ale przecież miewała je tak często, że nauczyła się je ignorować. Dopiero jednak na lotnisku, gdy próbowali zdobyć bilety na najbliższy lot do Londynu, otworzyła torebkę i odkryła, że jest w niej tylko jeden plik studolarowych banknotów, skoro powinno ich być siedem. Wstrętny złodziej!

— Nie wkurzaj się, mam resztę — wyjaśnił szybko Leo, jakby chodziło o drobiazg. — Schowałem jedynie dla bezpieczeństwa. Znasz te sprzątaczkę z dużych hoteli.

Oddał jej trzy pliki. Takie ostrzeżenie wystarczyło i teraz postanowiła trwać przy nim, aż zgodnie z prawem i definitywnie się rozwiodą.

Nawet jej nie podziękował, kiedy zaproszono ich do pierwszej klasy, ponieważ Jane trzymała na widoku torebkę Chanel 2.55 i ponieważ wściekle flirtowała z pedziowatym pracownikiem stanowiska odprawy. Potem, gdy czekali na zapowiedź ich lotu, Leo ciągle się gdzieś wymykał z miną zbitego psa, jednak dopiero kiedy usiadła obok, w samolocie, zdała sobie sprawę, że Leo jest pod wpływem środków, których raczej nie przepisał mu lekarz.

Zaciskał szczęki, mięsień w policzku pulsował mu jak oszalały, a ramiona i nogi drgały. I wcale nie szanował granic jej przestrzeni osobistej.

Czekał ich długi lot. Leo wzgardził zaproponowanym kieliszkiem szampana i poprosił zamiast niego o piwo, po czym wyciągnął z kieszeni kurtki buteleczkę.

— Chcesz xanax? — spytał.

— Nie używam pigułek — odparła cicho.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Tak jak kart kredytowych? Będziesz musiała zrobić dla mnie listę wszystkich rzeczy, których nie używasz. Boże, nie mogę uwierzyć, że jesteśmy małżeństwem. — Nie brzmiało to złośliwie, lecz szczerze. — Jesteś pewna? Może tak bardzo się upiliśmy, że ten cały ślub tylko nam się uroił?

— Ze smutkiem ci donoszę, że akt ślubu w mojej torebce mówi coś przeciwnego.

— Pijana byłaś znacznie zabawniejsza. — Trącił ją w ramię, a Jane nigdy przedtem nie pragnęła tak bardzo kogoś uderzyć jak teraz jego. Niejasno pamiętała, że ubiegłej nocy również chciała go spoliczkować. — No już, weź sobie szampana.

Odmówiła, natomiast Leo wypił jeszcze dwa łyki piwa i połknął kolejny xanax, po czym zasnął z głową na jej ramieniu i musiała go mocno odepchnąć, żeby wylądował na własnym siedzeniu.

Byli już małżeństwem (które zamierzali jak najszybciej anulować), więc Jane nie musiała być łagodna, kusząca czy czarująca. Chociaż tyle, co za ulga.

Leo nie poruszył się nawet w trakcie lądowania, zbudził się dopiero, kiedy Jane mocno nim potrząsnęła. Otworzył oczy i usiadł prosto, nadal jednak do niczego się nie nadawał. Musiała go trzymać za rękaw, szarpać i ciągnąć przez nieskończone korytarze i przejścia lotniska, do punktu odbioru bagażu, w którym narzekał, że znowu musi nosić jej walizkę. „Nie możesz skorzystać z wózka bagażowego jak wszyscy inni?”.

Doprowadzał ją do szafu, ale równocześnie cieszyła się, że ma na czym skupić uwagę i nie musi myśleć o śmiertelnym lęku, który dopadał ją, ilekroć stawała w kolejce do kontroli paszportowej. Ten strach nigdy nie miał nic wspólnego z tysiącami dolarów w gotówce ani biżuterią w bagażu podręcznym.

Uspokoila się dopiero, gdy usiedli na tylnych siedzeniach czarnej taksówki i ruszyli do centrum Londynu. Zamelduje się w jakimś hotelu, podczas gdy Leo pójdzie odwiedzić chorą „babkę cioteczną”. W tym tempie ich wygrana niedługo skurczy się do zera. Trzydzieści sześć tysięcy dolarów wyglądało na całkiem sporą sumkę, jednak podzielone między dwie osoby, dwa loty przez Atlantyk, pokoje hotelowe, taksówki... Pieniądze wkrótce się skończą, nawet jeśli Leo nie będzie ponownie usiłował ukraść jej części.

Kiedy mknęli ku rondu Hanger Lane, mijając rzędy podmiejskich domów z brudnymi frontami, które kojarzyły się z poszarzałymi w praniu białymi ścierkami, przypominała sobie pierwszy raz, gdy jechała taksówką przez Londyn.

Wtedy także zapadał zmierzch. Siedziała wówczas przy oknie, gotowa na pierwszy sygnał kłopotów poszukać po omacku klamki i wyskoczyć. Nie była pewna, w co się pakuje, miała jednak nadzieję, że tam, dokąd jedzie, nie może być gorzej, niż w miejscu, z którego przybyła.

Mogło być gorzej?

Dom Charlesa był w Notting Hill. Chociaż nie mogła sobie przypomnieć, czy tej pierwszej nocy podał jej swoje nazwisko lub powiedział, gdzie mieszka.

Zapłacił kierowcy i wciąż jej nie dotykał, kierując ją serią gestów przez ulicę, ścieżką w górę i przez drzwi frontowe.

— Możesz zostać tu na noc — powiedział, kiedy stali w holu, oświetlonym i czystym.

Odzyskała mowę po raz pierwszy od kilku dni, tygodni, a może nawet miesięcy.

— Zamierzasz mnie przelecieć? — spytała.

Nigdy wcześniej nikt nie patrzył na nią w ten sposób. Jak gdyby była osobą, prawdziwą osobą, a nie bezużytecznym przedmiotem.

— A chcesz tego? — odrzekł, kiedy wpatrywała się w jego buty, ponieważ ciągle nie potrafiła spojrzeć mu w twarz.

Uznała, że jest inny niż pozostali, ponieważ żaden z nich nigdy nie dał jej wyboru.

— Nie — odparła. Zabrzmiało niezłe, więc powtórzyła. Głośniej. — Nie. Nie, nie chcę.

— Czyli mamy jasność — stwierdził, a wtedy poszła za nim po lustrzanych czarno-białych płytkach do kuchni, gdzie stanęła na samym środku i niczego nie dotykając w obawie, że to pobrudzi, przyglądała się, jak Charles gotuje wodę w czajniku, kroi chleb, wkłada kromki do tosterka.

Być może wiedział, że nie potrafiła już dokonywać żadnych wyborów. Kubek herbaty, dwa tosty na talerzyku tak delikatnym, że na pewno by go stłukła, naciskając czubkiem jednego brudnego palca. Wypiła herbatę i zjadła tost, w drugiej ręce nadal zaciskając plik banknotów, i przez cały czas miała się na bacności, ani na chwilę nie wierząc, że nie czekają jej gorsze okropieństwa.

Niemal jej ulżyło, kiedy przeszedł obok niej, otworzył szufladę i wyjął z niej duży, groźnie wyglądający nóż, który zaśnił w stonowanym blasku górnych świateł. Z jedzeniem w brzuchu i rozgrzana herbatą, nie przejmowała się niczym więcej.

Przynajmniej przez chwilę mignęło jej odmienne życie. Będzie tylko kolejnym nazwiskiem na liście zaginionych i zapomnianych, aż znajdą ją nagą, z ranami kłutymi, całą oblaną spermą, na jakimś skrawku nieużytków.

Ręka, w której trzymała zwitek banknotów, zadrżała, gdy Jane czekała na moment, w którym mężczyzna wyceluje w nią nóż. „Wyceluj. Pchnij głęboko”.

— Pokażę ci pokój gościnny, sąsiaduje z łazienką, gdybyś chciała się odświeżyć — powiedział. Podał jej nóż. — Śpij z nim pod poduszką, dzięki niemu poczujesz się bezpieczna.

Jeszcze nie wtedy, ale później, dużo później, zaczęła się zastanawiać, co przytrafiło się Charlesowi, że i on swego czasu sypiał z nożem pod poduszką.

Od tamtej pory przydarzyło jej się tak wiele niesamowitych rzeczy, a jednak zawsze myślała, że najbardziej nieprawdopodobne było — w tym pociągu mknącym ku jej przyszłości — spotkanie jedyne przyzwoitego mężczyzny w całej Anglii.

— Jane? Jane! Jesteśmy na miejscu. Obudź się! — Leo dotknął jej ramienia.

Jej mięśnie napięły się mocno, a on uświadomił sobie, że wcale nie spała, lecz po prostu — z zamkniętymi oczyma i odrzuconą w tył głową — zagubiła się w innym świecie. Teraz usiadła i przyklepała włosy, równocześnie patrząc badawczo przez okno taksówki. Objeżdżali powoli skwer, sunąc wśród licznych dużych wiktoriańskich, białych jak torty weselne, domów.

— Gdzie dokładnie jest „miejsce”? — spytała.

— Kensington. — Zastanawiał się wcześniej intensywnie, co powinien jej powiedzieć, lecz ciągle czuł się rozpaczliwie nieprzygotowany. — Słuchaj, Jane, przepraszam, że stale cię wkręcam.

— Więc to wszystko jest żartem? Och, od razu lepiej się czuję.

Kiedy taksówka zatrzymała się przy krawężniku, Jane nadal patrzyła przez okno, nie na niego. W obliczu zerowej zachęty z jej strony, trudno mu było kontynuować wyjaśnienia, ale coś takiego nigdy przedtem go nie powstrzymało.

— Wiem, że cała nasza sytuacja jest trochę dziwaczna, jak zjazd po halucynogenach, muszę cię jednak prosić o ogromną przysługę.

— Jeszcze jedną? — docięła mu oschle, płacąc kierowcy. Na lotnisku, podczas gdy Leo tkwił oparty o filar, rozmieniła trochę pieniędzy. — Powinnam zacząć zapisywać?

— Możesz, a wtedy mógłbym ci wytknąć, że wyświadczyłem ci wielką przysługę, proponując małżeństwo, co automatycznie stawia nas na równi — zauważył.

Wysiadając z taksówki, zrobiła kolejny ze swoich grymasów, sugerujących, że się z nim nie zgadza.

— Nie zamierzam nic dla ciebie zrobić, póki nie wyjaśnisz mi sytuacji.

Ponownie złapał jej walizkę, nie psiocząc tym razem, więc musiała podążyć za nim do narożnika placu. Było tak zimno, że dygotała i szczelniej owinęła się żakietem od Chanel, chociaż nie zaprojektowano go jako część garderoby chroniącej przed chłodem. Najwyraźniej teraz, w połowie października, po babim lecie nie było już śladu. W środku placu znajdował się mały ogród, otoczony płotem i zamknięty przed pospółstwem i bezdomnymi. Świeże, zielone liście platanów żółkły na krawędziach, smutno zwisając ku ziemi.

Leo szedł powoli, patrząc na własne zniszczone trampki.

— Naprawdę byś mi pomogła, gdybyśmy mogli udawać prawdziwe małżeństwo — wymamrotał.

— Dlaczego miałabym ci pomóc?

Zapanował nad chęcią zazgrzytania zębami. Szkoda, że tak długo spał w samolocie, ponieważ alkohol spożywał ostatnio co najmniej dwanaście godzin temu i naprawdę musiał się napić.

— Obiecuję, że nie chodzi o nic złego czy nielegalnego — tłumaczył. — Tylko że... podczas naszego poprzedniego spotkania trochę się pokłóciliśmy, ja i ona...

Jane ledwo zmrużyła oczy.

— Ona? Kto?

— Powiedziałem ci. Moja babcia...

— Masz na myśli swoją „babkę cioteczną”, kochany? I, nie, nie powiedziałeś mi o niej ani słowa, ponieważ przez wiele godzin praktycznie przebywałeś w śpiączce.

Nie pamiętał, by w trakcie nocy w Las Vegas mówiła takim gderliwym, zgryźliwym tonem.

— Lecieliśmy dziesięć godzin. Co innego miałem niby robić poza spaniem?

— Przypomniał sobie, że miał udawać miłego. — Widzisz, zeszyłem razem, gdy ją widziałem, lata temu, bardzo się posprzeczaaliśmy o mój styl życia, ale oczywiście dojrzałem od tamtej pory...

— Naprawdę, kochany?

— Tak. Naprawdę. — Jane nie wyglądała na partnerkę mężczyzny, który wciąż się ubierał się jak student szkoły sztuk pięknych. Nosiła drogie, markowe dzinsy, prążkowany podkoszulek, żakiet od Chanel i buty na płaskim obcasie, lecz nie jej elegancki wygląd go onieśmiał, tylko wyniosłe, niewzruszone spojrzenie. — Jeśli pojawię się z żoną, która wygląda i mówi jak ty, a gdybyś jeszcze mogła błysnąć tym gigantycznym kamieniem na palcu serdecznym i uśmiechnąć się do mnie co jakiś czas z uwielbieniem, widziałyby, że się nie stoczyłem.

Założyła ramiona na piersi.

— Skoro minęło z dziesięć lat, na pewno ucieszy się, że cię po prostu widzi.

— Naprawdę jej nie znasz. — Leo miał okropne przecucie, że gdyby próbował się przechwalać wystawami, które jakoby miał, wywęszyłaby prawdę równo w minutę, natomiast istnienie żony nie podlegało dyskusji. — Gdzie tu kłamstwo? Jesteśmy małżeństwem. Mamy na to papier.

— Gdzie właściwie mieszka ta twoja babka cioteczna? — Jane obracała się powoli wokół własnej osi. — Utknęła w jakiejś kawalerce z meblami wynajętej w pobliżu?

— Co...? Na pewno nie! — Wskazał przed siebie. — Mieszka w tym domu. Ściśle rzecz biorąc, to są dwa domy, ale być może nie widać podziału.

Jane podążyła wzrokiem za jego wyciągniętym palcem. Nagle wyprostowała ramiona i przestała się otulać żakiem. Nic nie powiedziała, jedynie wpatrywała się w dom przez tak długi czas, że Leo się zastanowił, czy nie zmieniła się w kamień. Mógłby przysiąc, że nos jej zadrgał tak jak w Las Vegas, gdy wyniuchwała bar Platinum. W końcu odwróciła się do niego.

— W porządku, kochany, chociaż wbrew sobie, zagram oddaną żonkę — oznajmiła. Nie ufał powodom nagłej nieoczekiwanej zgody na jego plan, ale czuł zbyt wielką ulgę, żeby się teraz o nie troszczyć. — No dobrze, zanim tam wejdziemy, powinnam jeszcze o czymś wiedzieć? Naprawdę nie lubię niespodzianek.

— Nawet kiedy są w maleńkich pudełeczkach od Tiffany'ego? — Kolejna rzecz, której się nie oduczył w przeciągu ubiegłych dziesięciu lat. Nadal wypowiadał na głos dosłownie każdą myśl, która przyszła mu do głowy.

Jane wyglądała na nieco dotkniętą.

— W porządku, pomijając ten jeden rodzaj. — Wskazała na wielki dom. — Nie jestem pewna, jak przekonujący będziemy jako młodzi kochankowie.

Leo nie zastanawiał się nad tym jakoś szczególnie, po prostu chciał się pojawić z żoną jako symbolem udanego życia. Kiedy jednak w tej chwili zerknął

na imponujące czarne drzwi, pomyślał, co znajduje się za nimi i wyobraził sobie powitanie, które prawdopodobnie go czekało, zrobił się nieco nerwowy. Właściwie, słowo „nerwowy” nijak nie opisywało jego niespodziewanie zaciśniętego gardła ani ucisku w dołku.

— Uda się — uparcie zapewnił Jane. — Będziemy musieli trochę improwizować, ale zrobimy po prostu to samo co w Las Vegas. — Przypomniał sobie jej numer w stylu „mała sierotka Annie”. Tyle że teraz staną naprzeciw znacznie bardziej wymagającego tłumku niż Barbara, Hank i reszta paczki z Boulder w stanie Kolorado. — Może tylko trochę mniej ostentacyjnie, dobrze?

— O Boże, naprawdę żałuję, że nie weszłam wczoraj do innego baru — mruknęła Jane, niemniej jednak ruszyła za nim w stronę domu.

Weszli po schodach. Trzy długie dzwonki.

— Uda się — powtórzył.

Jane przyciskała jedną rękę do ust, jak gdyby musiała dosłownie się powstrzymać przed mówieniem. Włosy miała związane w luźny koński ogon. Jeden kosmyk wymknął się spod gumki i wisiał żałośnie na jej policzku.

— Twoje włosy... — Musiała przecież prezentować się idealnie. To była część jego planu. Właściwie, do niej sprowadzał się jego plan. Jane cofnęła się, kiedy usiłował wsunąć krnąbrny kosmyk za jej ucho.

— Dam radę — powiedziała, kiedy drzwi się otworzyły.

Leo był gotów oznajmić z budzącym litość uśmiechem: „Przysięgam, że wyglądasz dziesięć lat młodziej, a nie starzej”, jednak w drzwiach stała młoda kobieta w mundurku: jasnoniebieskiej sukience z białym kołnierzykiem i mankietami.

Dziewczyna nie była Lydią, którą spodziewał się zobaczyć jako pierwszą. Chciał zmiękczyć Liddy i ubłagać, żeby się za nim wstawiła.

— Jest Lydia? — spytał z nadzieją w głosie.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

— Pani Lydia zajęta — powiedziała z silnym wschodnioeuropejskim akcentem. — Chce zostawić wiadomość?

Leo się zawahał.

— Może wrócimy później.

Jane westchnęła.

— Nie przylecieliśmy tutaj zobaczyć się z Lydią, lecz z jego babką cioteczną. Jak jej na imię, przypomnij mi, kochany?

— Tak, przyszliśmy zobaczyć się z Rose.

ROZDZIAŁ IX

Dziewczyna wprowadziła ich do imponującego holu. Dwa ogromne wazony, wzrostem dorównujące Jane, możliwe, że w stylu chińskim, stały po bokach drzwi wejściowych. W tym domu najwidoczniej nie znajdowało się nic tak prozaicznego jak wieszak na ubrania czy mały stół, na który rzuca się klucze i listy. Pokojówka poprowadziła ich w górę po niesamowicie okazałych, misternie rzeźbionych schodach, w rodzaju tych, po których schodziły kobiety w długich do ziemi sukniach balowych, podczas gdy zgromadzone poniżej towarzystwo wpatrywało się w nie z podziwem.

Dom nie wyglądał na królestwo starej kobiety. Żadnych perkali, żadnego fotelika schodowego, żadnych bibelotów.

Nie było czasu korygować wcześniejszych informacji na temat babki ciotecznej Leo, zresztą Jane nie wiedziała o niej zbyt wiele, poza tym, że kobieta jest poważnie chora, gdyż podwójne drzwi już się otworzyły na bawialnię, w której wyraźnie trwało spotkanie koktajlowe, mimo że było dopiero wpół do piątej w niedzielne popołudnie.

Chociaż było to tylko spotkanie koktajlowe z udziałem sześciu osób, robili straszliwy harmider. Mówili wszyscy naraz i śmiali się głośno, a potem, jedno po drugim, wyczuli intruzów, odwrócili się i spojrzeli na nich — parę, która stała w progu. Jane poczuła potężną pokusę ukrycia się za Leo na czas, który pozwoliłby się rozeznac w sytuacji, nie było to jednak możliwe, skoro pchnął ją przed siebie i sam się za nią schował.

— Witajcie — zagaił. — Witaj, Rose. Cześć wszystkim. Przepraszam, że zjawiam się w ten sposób.

W pomieszczeniu na dwóch olbrzymich sofach siedziały cztery kobiety i mężczyzna, ale Leo wyraźnie zwracał się do szóstej osoby — kobiety, która zajmowała stojący obok dwóch wielkich okien w drugim końcu pokoju siedzisko w kształcie sześcianu z białej skóry. Nawet siedząc, wyglądała na wysoką; długie nogi schludnie skrzyżowała w kostkach. Wyprostowana i wytworna, prezentowała się jak królowa na tronie.

— Leo — odrzekła szorstkim, a jednocześnie rozbawionym głosem. — Mój Boże, mogłeś przynajmniej zadzwonić. — Zrobiła pauzę. — I trzeba było się ogolić.

To była ta kochana babka cioteczna Rose? Rzekomo o krok od śmierci? Wyglądała na niezwykle pełną życia i nowoczesną w marszczonej granatowej sukni z brylantową broszą przypiętą do kołnierzyka. Jej śnieżnobiałe włosy przycięto w modny, precyzyjny krótki bob, wargi i paznokcie pomalowała na szkarłat. Nawet nie miała żyłaków.

— Przylecieliśmy ze Stanów ledwie dwie godziny temu — tłumaczył się Leo

i uzasadnił użycie liczby mnogiej, otaczając ramieniem Jane, która miała ochotę mu się wyrwać, bo przecież tak naprawdę niewiele ich łączyło. — To jest Jane, moja żona — dodał tonem niemal wyzywającym.

Wszystkie oczy skupiły się teraz na niej, ale Jane patrzyła tylko na Rose. Starsza pani właściwie się nie poruszyła, po prostu siedziała w fotelu z lekkim uśmiechem na twarzy i nieznacznie uniesionymi brwiami, ale miała prezencję. Wydawała się osobą, która potrafi z pięćdziesięciu metrów wywachać bzdurę.

Jane wyprostowała się, uniosła podbródek i uśmiechnęła się szerzej.

— Dzień dobry. Cudownie cię wreszcie poznać. Leo niemal nie przestaje o tobie mówić — oświadczyła i zrobiła krok naprzód, uwalniając się spod napiętych palców Leo i wchodząc głębiej do bawialni.

Czuła się trochę jak aktorka chodząca po scenie, jednak nie zatrzymała się, aż dotarła do władczej Rose. Kiedy po raz pierwszy spotkała Jackie, matkę Andrew, objęły się i pocałowały, lecz po ledwie dwóch minutach spędzonych w obecności Rose, Jane wiedziała, że z nią nie należy próbować tej sztuczki. Zresztą, nigdy za bardzo nie lubiła się przytulać.

Wyciągnęła więc tylko rękę, a Rose przyjęła to jako hołd.

— Żona? Nie sądziłam, że w obecnych czasach ktoś przejmuje się takimi rzeczami jak ślub.

— No cóż, byliśmy w Las Vegas i nie sposób się było oprzeć — odparła Jane, kiedy stanęła obok fotela Rose i nie miała pojęcia, co robić dalej.

— Tak — zgodził się Leo, będący na progu pomieszczenia, gdzie nadal kulił się ze strachu, ponieważ był widocznie zupełnym tchórzem. — Nieprzyzwoitością byłoby tego nie zrobić.

— Rety, Leo, rusz się wreszcie — ponagliła go Rose ostro. — Może podasz drinka swojej ślicznej żonie... Jane, prawda...?

W rogu jednej z sof zrobiło się miejsce i Jane usiadła obok uderzająco pięknej rudowłosej imieniem Connie, która miała na sobie oryginalny zielono-różowy kaftan od Zandry Rhodes i prowadziła własny biznes związany z kształtowaniem krajobrazu.

Byli tu też Elaine „z drugiej strony skweru”, Gudrun, szwedzka projektantka wyrobów włókienniczych, Sarah, która uczy jogi „więźniów, znudzone gospodynie domowe, tancerzy oraz naprawdę wszystkich innych” i George, który był kustoszem w V&A, czyli w Victoria and Albert Museum. Wszyscy przedstawili się Jane jowialnie, lecz zdawkowo, być może licząc na to, że za chwilę znów zostaną we własnym gronie. Siedziała wśród nich ze szklanką lemoniady, ponieważ od samego zapachu ich martini łzawiły jej oczy i ponieważ wiedziała, że nawet lekka nietrzeźwość może mieć w tych warunkach fatalne konsekwencje.

Leo przysiadł na poręczy sofy naprzeciwko, również z lemoniadą.

— Nigdy nie piję tak wcześnie alkoholu. Bardzo rzadko przed wieczorem —

obwieścił, poruszając brwiami. — Nawet w dzień wolny od pracy. Boże, prawdziwa gromadka rozpustników.

Rose posłała mu ledwie cierpki, spokojny uśmiech, po czym popatrzyła na Jane, która poczuła się trochę jak pod mikroskopem, ale już dawno temu nauczyła się robić wrażenie opanowanej w pokoju pełnym obcych osób.

Zawsze wtedy wyobrażała sobie, że jest na plaży, słońce ogrzewa jej twarz, fale przyjemnie pluskają, a przyklękający pokornie kelnerzy gotowi są przynieść jej wszystko, czego dusza zapagnie. Kiedy o tym myślała, łatwo jej było siedzieć w swobodnej pozie i z lekkim uśmiechem na twarzy, udając, że pasuje do tego pięknego pomieszczenia i do zebranych w nim inteligentnych, rozgadanych ludzi.

Ściany bawialni były ciemne czy raczej dymnie szare, a jednak pokój nie wydawał się mroczny dzięki dwóm ogromnym zestawom drzwi balkonowych za fotelem Rose, a także dlatego, że wszystko inne w nim było białe — od podłogi, przez sofy, po pledy na gzymsie kominka. Nad kominkiem wisiał sitodruk Warhola przedstawiający Rose. Młodsza Rose, o nieco łagodniejszej twarzy, włosach ciemnych (oprócz pasemka bieli tuż nad czołem), lecz z tym samym figlarnym uśmiechem.

Rose posiadała styl, którego Jane, chociaż bardzo zadbana i przyzwyczajona do zakupów z osobistym stylistą oraz ubrań zawsze czarnych, białych lub szarych, wybieranych z obawy, czy umie zestawić kolory i wzory, nigdy nie potrafiłaby naśladować.

— Leo, jak ty i Jane się poznaliście? — spytała Rose, przerywając gorącą debatę na temat Nagrody Turnera. — Uwielbiam słuchać opowieści o początkach związków.

Leo uśmiechnął się, lecz równocześnie rozglądał się po pokoju w panice, ponieważ był absolutnie beznadziejnym kłamcą. Komuś, kto żył tak jak on, z dnia na dzień, przeplatając pecha z bardzo sporadycznymi dobrymi passami, oszustwa powinny przychodzić znacznie łatwiej.

— Ty im powiedz, kochanie — poprosił. — Lepiej ci to wychodzi.

Ale naprawdę świetnie sobie radził, gdy trzeba było przerzucić odpowiedzialność na kogoś innego. Wszystkie oczy znowu zwróciły się na Jane, a ona znów się uśmiechnęła, sugerując, że powraca we wspomnieniach do wszystkich tych szczęśliwych chwil.

— No cóż, byłam zaręczona z innym mężczyzną. Jadłam z nim kolację i w trakcie doszło między nami do jednej z tych głupich kłótni o drobiazg, kłótnia przerodziła się w straszną awanturę, w której wyniku on wstał, zażądał zwrotu pierścionka i wyszedł.

Kontynuując opowieść i wyjaśniając, że Leo był ich kelnerem, naprawdę wyświadczała mu przysługę, ponieważ Rose z tym swoim świdrującym spojrzeniem nigdy by nie uwierzyła, że wnuk jej siostry jest wziętym artystą. Obok

Rose na ławie leżał jej iPad. To była kobieta, która bez wątpienia umiała tworzyć powiadomienia w Google.

Jane opowiadała, jak Leo początkowo trzymał się dyskretnie i na dystans, chcąc dać jej trochę czasu na uspokojenie, a później postawił przed nią kawałek ciasta czekoladowego i kieliszek szampana.

— Na koszt firmy, co było z jego strony ogromnie ujmujące. Już byłam bliska łez, a wtedy naprawdę przestałam nad sobą panować. — Opisywała, że zajmował się nią bez przerwy, chociaż nie interesował jej pocieszyciel, skoro serce miała: — ...nie złamane, lecz zranione. Z pewnością zranione. Leo nie uznał jednak mojego „nie” za odpowiedź i w końcu złamał mój opór.

Rose chyba uwierzyła, ponieważ skinęła głową.

— To podobne do niego. Jak długo jesteście małżeństwem?

Nie było sensu pomijać tego konkretnego szczegółu.

— Niecałe dwie doby — odparła Jane przy wtórze zaszokowanych i zachwyconych sapnięć. — Pojechaliśmy do Vegas w sprawie pracy i powiedziałam Leo, że zawsze planowałam wyjść za mąż, zanim skończę dwadzieścia siedem lat, więc się pobraliśmy na parę godzin przed dniem moich urodzin.

— I postanowiliście spędzić miesiąc miodowy w Londynie? — zapytała Elaine. — Potrafię wymyślić wiele lepszych miejsc na podróż poślubną niż Londyn w październiku.

— Tak naprawdę nie zaplanowaliśmy miesiąca miodowego w...

— Lydia zadzwoniła — wtrącił Leo. Aż do tej pory milczał, uśmiechając się wstydliwie we wszystkich właściwych punktach opowieści, teraz jednak spoważniał i twarz mu stężała. — Powiedziała... Nalegała, że powinienem przyjechać do domu. Mówiła takim tonem, że... no wiesz... — Wzruszył ramionami, spuścił głowę i wpatrywał się w swoją szklankę.

Jane czekała, aż zapadnie nieprzyjemna cisza, jednak atmosfera pozostała luźna i towarzyska.

— Powiedziała, że leżę na łożu śmierci? — spytała Rose. — Cóż, niezupełnie.

— Ale jesteś... nie jesteś... nie wiem... — Niewiele był w stanie wydukać. Cała jego buta i pewność niespodziewanie zniknęły, i przypominał balonik, z którego ktoś wypuścił powietrze. Jane nie mogła mu nie współczuć. Przyleciał tutaj, oczekując najgorszego i teraz, kiedy sytuacja wydawała się całkiem dobra, był zagubiony i skołowany.

— Tak — powiedziała Rose lekko. — Nie ma sensu udawać czy zwodzić. W ten sposób zyskuję wspianiały czas na pożegnanie ze wszystkimi moimi kochanymi przyjaciółmi i mogę robić wszystkie rzeczy, których normalnie bym nie zrobiła, na przykład wypić przed kolacją dwa koktajle zamiast tylko jednego. Nie

ma potrzeby się martwić i naprawdę nie potrafię zrozumieć, dlaczego zapragnęliście z tego powodu przelecieć Atlantyk.

Jej ironia wydawała się zbyt cynicznym okrucieństwem. Cokolwiek Leo zrobił, powody jego wygnania nie mogły być tak straszne, że zasłużył sobie na poniżenie na oczach jej przyjaciół.

Ale Rose była problemem Leo, nie jej.

— Wybacz, że zjawiliśmy się bez zapowiedzi — podsumowała jednak. — Naprawdę czas nas goni, ale Leo tak bardzo się martwił, że chcieliśmy wpaść natychmiast, choćby z krótką wizytą.

Leo już stał i patrzył na nią z wdzięcznością.

— Tak, masz nas z głowy. Musimy poszukać jakiegoś hotelu.

— Nie bądź śmieszny. Lydia na pewno przygotowuje wam twoje dawne pokoje. — Podniosła iPada. — Anna pokaże Jane, gdzie może się odświeżyć przed kolacją, a ty, Leo, przygotuj nam jeszcze po drinku. Zawsze robiłeś rewelacyjne martini.

W ciągu minuty, odkąd Rose przesunęła palcem po ekranie dotykowym, wróciła młoda kobieta, która ich wprowadziła.

— Idź, kochanie — powiedziała Rose życzliwie. — Będziemy jeść o dziewiętnastej. Później możemy się lepiej poznać.

Ulżyło jej, że Rose ją odprawiła. Anna zaprowadziła ją kolejnymi schodami w górę, a później przeszły korytarzem do apartamentu, złożonego z garderoby, salonu, łazienki i sypialni, w której jej walizka stała już w nogach łóżka. Sypialnię pomalowano na łagodne, rozmazane błękity; niebieski pokój dla niebieskiego chłopca. Na ścianach było tam kilka oprawionych szkiców piórkami, a na półkach stały książki o sztuce, jednak Jane wolała wyjąć z torby własnego iPada, włączyć go i wyszukać w Google’u frazy „Rose Beaumont + Kensington”.

Po wyjściu Jane z pokoju Rose ostentacyjnie go ignorowała. Jednak była obrażona.

Spodziewał się tego. Zamiast naciskać, rozmawiał z George’em o ostatnich plotkach z muzeum V&A i z Connie o projektowaniu ogrodów.

Od czasu do czasu dostrzegał wzrok Rose — posyłała mu zbolące spojrzenie, po czym odwracała się do siedzących najbliżej niej Elaine lub Gudrun.

Przypominał sobie wtedy, gdy był bardzo małym chłopcem i Rose zjawiała się u nich w Durham dwa razy do roku. Zajeżdżała swoim szkarłatnym autem marki MG z ładnymi pakunkami obwiązanymi wstążkami: dla jego matki Lindy, whisky dla jego ojca i duże pudła klocków Lego, które rzucała w Leo, po czym przestawała go zauważać.

To mu całkowicie odpowiadało, ponieważ jej wtedy nienawidził. Przed jedną z jej wizyt matka przez tydzień mu powtarzała: „Pamiętaj o manierach i odzywaj się tylko, gdy ktoś spyta”. Nie wolno mu również było jeść z dorosłymi, jadał więc w kuchni z młodszym bratem, Alistairem, który był tylko maluchem, podczas gdy

Leo był już dużym chłopcem, bo miał trzy lata, potem cztery, a potem pięć. Niemniej, Rose za każdym razem witała go z lekkim obrzydzeniem w oczach, jak gdyby wiedziała, że nie umył rąk, chociaż obiecał to matce.

Później Rose przyjechała w odwiedziny tuż po jego piątych urodzinach. Stał wówczas w korytarzu, niczym przed audiencją u królowej, gotów na jej spojrzenie, a ponieważ miał świeżo w głowie pewien film, który dopiero co oglądał, na widok Rose, wkraczającej żwawo z tym pasmem bieli w kasztanowych włosach, nie wytrzymał i wyrwało mu się: „Babko cioteczna Rose, wyglądasz zupełnie jak Cruella De Mon”.

Zapanowało okropne milczenie. Matka obrzuciła go spojrzeniem, które mówiło, że co najmniej przez tydzień nie ma co marzyć o telewizji, ojciec zaczął z całego serca przeproszać: „Wybacz, Rose. Zawsze najpierw mówi, a dopiero potem myśli”, a Rose patrzyła z góry na Leo, który gapił się na nią, ponieważ rzeczywiście wyglądała jak negatywna bohaterka kreskówki. Wtedy się roześmiała. Donośnym, niskim chichotem.

— Naprawdę? — spytała.

Leo kiwnął głową.

Potargała go po włosach i przykucnęła.

— Chcesz poznać pewną tajemnicę?

Znów kiwnął.

— Wolałabym, żebyś nazywał mnie Cruellą niż babką cioteczną Rose. Przez to czuję się bardzo, bardzo stara.

— Nie jesteś aż taka stara.

Jego matka w tym momencie głośno wciągnęła powietrze, jednak Rose ponownie się roześmiała.

Od tej pory stali się bliskimi przyjaciółmi. Jej następna wizyta: Rose kupiła mu mięciutkiego dalmatyńczyka w Hamleys, a on narysował ją jako Cruellę. „Nigdy by człowiek nie pomyślał, że on ma tylko pięć lat” — powiedziała Rose Lindzie, która rozpromieniła się z dumy. Wcześniej przepelnione dumą uśmiechy Lindy były na ogół zarezerwowane dla Alistaira, kiedy akurat przeszedł kilka kroków bez upadania albo zdołał trafić łyżką do ust, nie rozlewając zupy; wszystkie rzeczy Leo już umiał robić.

Później zaczęły regularnie przychodzić od Rose paczki pełne flamastrów i ołówków w większej liczbie kolorów, niż Leo potrafił nazwać. Jeszcze lepsze od paczek były nieskończenie długie, magiczne miesiące letnie spędzone w domu Rose w Lullington Bay w Sussex. Tam nauczył się malować, próbując uchwycić różowo-pomarańczową wspaniałość wieczornego nieba i sposób, w jaki morze migotało w słońcu.

Nie było żadnej dyskusji, czy nie powinien przypadkiem uczyć się na lekarza, jak jego ojciec i obaj dziadkowie. Rose postanowiła, że Leo będzie

studiował na Chelsea School of Art and Design i w ten sposób wytyczyła jego drogę życiową. Jego przyszłość została nakreślona. Niewielu osiemnastoletnich chłopaków chciałoby zamieszkać z siedemdziesięcioletnią babką cioteczną, jednak Rose nigdy nie wydawała mu się stara. Była jego mentorką, powiernicą, przyjaciółką. Chociaż wcześniej go ignorowała.

Teraz, kiedy siedział na drugim końcu pokoju, znów przez nią odsunięty, zastanawiał się, co musi zrobić, żeby on i Rose znów mogli stać się przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ X

Styczeń 1944 roku

Rose nie mogła uwierzyć, że przebywa już w Londynie od całych czterech miesięcy.

Raz jej się wydawało, że jest tu znacznie dłużej, innym razem odnosiła wrażenie, że czas w ogóle nie płynie. Czuła się starsza, ale w lustrze nadal widziała osobkę denerwująco dziewczęcą.

Boże Narodzenie przyszło i minęło bez żadnych smakołyków z Durham. Matka przysłała jej parę poprzecieranych piżam ojca, sugerując, żeby przerobiła je sobie na letnią spódniczkę, a Shirley — kawałek dżerseju na wstawki w spodniach. Było to dość podłe z ich strony, skoro Rose wysłała im duże pudełko czekoladek i niemało paczek papierosów.

Niemniej jednak, to wciąż były magiczne święta. Nawet jeśli Phyllis musiała pracować rano, a Sylvia spędziła wigilię Bożego Narodzenia w domu rodziców w Hoxton. Rose pospała sobie aż do niemal nieprawdopodobnej godziny wpół do dziesiątej, a gdy się obudziła, zobaczyła Maggie, która dostała wolny dzień w dziale zagranicznym BBC. Mimo że były święta, siedziała na parapecie podokiennym w salonie, paląc, i wyglądała na strasznie smutną. Wtedy Rose przypomniała sobie, że Maggie jest emigrantką i że w kontaktach z nią trzeba brać ten fakt pod uwagę.

— Bardzo tęsknisz za swoją rodziną? — spytała, a Maggie odwróciła się do niej i uśmiechnęła. Nie był to szczególnie wesoły uśmiech.

— Być może — przyznała. — Chociaż tęsknota w niczym mi nie pomaga.

Uśmiechnęła się szerzej i powiedziała, że ma kilka uncji kawy, a Rose wyjęła parę trochę już czerstwych pączków, które wepchnęła do torebki ubiegłej nocy w Rainbow Corner, więc zrobiły sobie małą ucztę, kuląc się wokół gazowego piecyka. Później z domu przyjechała Sylvia z puszką gorącej czekolady i czterema porcjami bekonu — „dzięki uprzejmości Henry’ego i Edny Crapperów, którzy przesyłają wyrazy miłości i najlepsze życzenia” — a po niej zjawiała się Phyllis, która otrzymała z rodzinnej posiadłości wielką paczkę. Był w niej skarb, czyli cierpki ananas z cieplarni, a także placek ze śliwkami, wino z dzikiego bzu i kurczak, którego Maggie upiekła w piekarniku.

Wypiły wino i trochę się nim wstawiły. Rose zarządziła grę w odgrywanie szarad, chociaż Maggie gorzko się skarżyła, że angielski nie jest jej językiem ojczystym i pozostałe dziewczyny mają nad nią niesprawiedliwą przewagę. Później ciepło się ubrały i pospieszyły — zataczając się trochę pod wpływem szoku, jakim było nagłe wyjście z przytulnego wnętrza na przejmujący chłód grudniowego

wieczoru — do Rainbow Corner przetańczyć noc. Ostatecznie więc Rose uznała, że pierwsze Boże Narodzenie, które spędziła w Londynie, było cudowne.

Ale przecież, ogólnie rzecz ujmując, prowadziła w Londynie wspaniałe życie. Miała tu przyjaciółki i swoje wieczory w Rainbow Corner. I nawet jeśli doświadczały tego, co gazety nazywały operacją Little Blitz (Luftwaffe podwajała ostatnio wysiłki i każdej nocy spadały bomby), a na dworze było zimno i mgliście, i tak dużo bardziej wolała mieszkać w Londynie niż gdzie indziej.

Dni składały się z niekończącej się harówki zmywania i reprimend ze strony pani Fisher, lecz noce stanowiły ciąg niewyczerpanych możliwości. Jak ten wieczór w połowie stycznia, kiedy Rose po skończonej zmianie w Rainbow Corner planowała spotkać się z Sylwią i kilkoma innymi dziewczynami w Paramount. Zakładała właśnie w szatni płaszcz i zastanawiała się, czy będzie tam kanadyjski lotnik, którego poznała innej nocy, kiedy jej przyjaciółka Pippa dopuściła ją do sekretu. Podobno we frytkarni za rogiem (tak nazywały wszystkie tego typu lokale, nawet te potwornie drogie) są ryby.

— Lepiej się pospiesz — ostrzegła Pippa. — Gdy przechodziłam, widziałam straszną kolejkę.

Rose niemal przeskoczyła hol i wybiegła, wpadając prosto w grupkę amerykańskich żołnierzy.

— Strasznie przepraszam! — Sięgnęła po czapkę, którą jeden z nich upuścił, ale żołnierz także w tym momencie przykucnął i przypadkowo uderzyła go łokciem w bok jego pokrytej brylantyną głowy. — O cholera! Jeszcze raz przepraszam.

— Nigdy nie zarobiłem takiego nokautu — odezwał się drugi. — Nie kusi cię, żeby wrócić do środka i zatańczyć z biedakiem, który za tydzień o tej porze może nie będzie żył?

Przez ostatnie kilka miesięcy słyszała takie błagania niezliczoną liczbę razy i całkowicie się na nie uodporniła. Pokręciła głową, uśmiechnęła się ze smutkiem, ale nie miała najłżejszych nawet wyrzutów sumienia.

— Bardzo bym chciała, jeśli jednak dostatecznie szybko nie dotrę do domu, wyślą za mną ekipę poszukiwawczą.

Żaden mężczyzna nie ma ochoty usłyszeć, że ważniejsza od niego jest zawinięta we wczorajszą gazetę ryba z frytkami.

— Tylko jeden taniec!

Wszyscy wpatrywali się w Rose jak w filmową gwiazdę, która dopiero co zeszła z ekranu w kinie Empire przy Leicester Square.

— W środku jest wiele czarujących dziewcząt, które z największą przyjemnością z wami zatańczą — powiedziała i odwróciła się z ociąganiem, mimo że któryś z nich chwycił jej dłoń i próbował pocałować. — Naprawdę muszę iść.

Wycofała się z żalonym uśmiechem, w skrytości ducha dumna, że byli tacy niepokieszeni, ponieważ nie zdołali ubłagać jej o taniec. Wszystko byłoby idealnie,

gdyby w tym momencie się nie potknęła. Upadłaby, gdyby na jej łokciach nie zacisnęły się czyjeś ręce, podtrzymując ją.

— Ostrożnie, kochana, nie chcesz chyba sobie złamać tego ładnego karczku — przemówił w jej ucho czyjś przyjemnie głęboki głos, który zabrzmiał znajomo. Może trochę przypominał głos Jamesa Stewarta. Kilka dziewczyn twierdziło, że podczas swojego ostatniego pobytu w Londynie aktor przyjechał kiedyś do Rainbow Corner.

Odwróciła głowę i jej oczy się rozszerzyły, a usta otworzyły z zaskoczenia.

— Och, to ty!

— Och! To ty! — powtórzył. — Jak się miewasz, dziecko? — To bez wątpienia nie był Jimmy Stewart, lecz Danny „jak mu tam”, niemiły amerykański żołnierz, którego zaczęła podczas swojego pierwszego wieczoru w Londynie. Danny, z tym jego porozumiewawczym uśmieszkiem i wzrokiem, który mówił, że nie ceni jej zbyt wysoko.

— W porządku — odrzekła cicho. — A jak u ciebie?

— Nie zginąłem, co oznacza, że jest ekstra — odparował. Teraz przypomniała sobie, że należał do osób, które mają na każde pytanie dowcipną odzywkę. Zapamiętała też, że wydał jej się całkiem przystojny, o ile ktoś lubi mężczyzn smagłych i ciemnowłosych, w których sama na ogół nie gustowała. — Jesteś teraz stałą bywalczynią Rainbow? Nie ostrzegałem, żebyś się nie kręciła po takich miejscach?

Rose pragnęła myśleć, że ma w tej chwili na twarzy wyraz lodowatej pogardy.

— Jestem ochotniczką Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Jeśli mi nie wierzysz, możesz zapytać w recepcji!

— Zapomniałem już, jaka jesteś bezczelna...

— Nie jestem...

— Ale nie zapomniałem, jaka jesteś piękna.

Podejrzewała, że znów się z niej naśmiewa, ale wydawał się poważny, gdy tak stał w miejscu i z głową przekrzywioną na bok wpatrywał się w nią zgoła bezwstydnie, jakby jej uroda była dla niego i tylko dla niego.

— No cóż, ja nie zapomniałam, jaki jesteś arogancki — odcięła się stanowczo. Była zdecydowana stłumić ten mały dreszczyk rozkoszy, jaki poczuła, gdy nazwał ją piękną. — Jestem przekonana, że nawet nie zapamiętałeś mojego imienia. Przez cały wieczór mówiłeś do mnie wyłącznie „dziecko” protekcjonalnym tonem.

— A to dlatego, że jesteś smarkata — przyznał z konspiracyjnym mrugnięciem. Był doprawdy nieznośny. — Zupełnie smarkata — dodał.

— I tak czas na mnie. Miło cię było znowu zobaczyć, to na pewno — stwierdziła, zaskoczona własnym tonem. Nie tylko dlatego, że z nią flirtował, ale

ponieważ nagle poczuła się jak prawdziwa londynka, która natknęła się na ulicy na znajomych.

Ruszyła Denham Street, przeciskając się obok patrzących na nią z góry dziewczyn i grupek mężczyzn, którzy pragnęli zabrać jedną z nich w jakiś mroczny zakątek.

— Jakim byłbym facetem, gdybym nie odprowadził cię do domu? — spytał Danny, zrównując się z nią. — Poszłaś w ogóle do siedziby YWCA?

— Nie, i nie trzeba mnie odprowadzać do domu. Zresztą, nie wracam jeszcze do domu. — Przebiegła na drugą stronę ulicy. Danny za nią. — Idę na rybę z frytkami, o ile coś jeszcze zostało.

— Jeszcze nie próbowałem tej waszej potrawy, więc z chęcią się do ciebie przyłączę — naciskał Danny. — Jaki to gatunek ryby?

Co nieprawdopodobne, rozmawiali o rybach przez całe trzy minuty, które zajęła im droga do smażalni, aż stanęli na końcu kolejki. Krążyły plotki, że dają dorsza, chociaż nie było go zbyt dużo. Rose z niepokojem liczyła osoby przed nimi, lecz Danny odwrócił jej uwagę opowieścią o homarze, którego jadł pod koniec długiego lata spędzonego w Judith Point w stanie Rhode Island.

— Ale myślałam, że jesteś z Nowego Jorku. Czy nie tak mi powiedziałeś, kiedy się poznaliśmy?

Potrząsnął niecierpliwie głową.

— Nikt nie spędza lata w Nowym Jorku. Jest tam wtedy obrzydliwie gorąco. W takiej pogodzie można zwariować.

— Chciałabym polecieć do Nowego Jorku — wyznała.

Tak byli zajęci rozmową, że Rose dopiero teraz odkryła, że są pierwsi w kolejce.

— Została jedna porcja. Odda pan ją swojej dziewczynie? — spytał Danny'ego mężczyzna za ladą.

Rose desperacko pragnęła tego kawałka ryby, nawet jeśli był to tylko rekin, lecz w Rainbow Corner noc po nocy wbijano jej do głowy, że żołnierze armii amerykańskiej są gośćmi w jej kraju i oddają życie, broniąc Wielkiej Brytanii przed nazistami, więc najmniejsze, co mogła dla nich zrobić, było poświęcenie dla sprawy porcji ryby.

— On powinien... — zaczęła.

— Oddaję ją mojej dziewczynie — oznajmił kategorycznie Danny, a ona oczywiście nie była jego dziewczyną, nigdy nią będzie, jednak nawet nie próbowała się z nim w tej kwestii sprzeczać.

— Dziękuję ci. — Rose obserwowała, jak maleńki kawałek od ogona — jak ją zapewniono, dorsza — trafia na talerz obok małego kopczyka frytek, na jej prośbę posolonych, skropionych octem i nieprzykrytych.

Szli Brewer Street. Tu było spokojniej, jednak i tak trudno było jednocześnie

iść oraz jeść frytki (usmażone w czymś, co smakowało jak stary olej silnikowy). Rose zostawiła sobie rybę na koniec, tak jak zawsze zostawiała na koniec wisienkę z tortu. Jeden kęs i połowa ryby zniknęła.

— Proszę. Możesz zjeść resztę — poinformowała Danny'ego, który był teraz bardziej milczący. — Chociaż czuję się w obowiązku powiedzieć ci, że zazwyczaj ta potrawa smakuje znacznie lepiej.

— Wszystko było świetne. Najlepsza ryba z frytkami, jaką jadłem.

Kiedy szeroko się do niej uśmiechnął, dostrzegła błysk jego zębów.

— Przecież nigdy wcześniej nie jadłeś ryby z frytkami — wytknęła mu. Przeszli na Old Compton Street. — Jeśli chcesz mnie odprowadzić do domu, najlepiej trzymajmy się bocznych uliczek. Omijając główne drogi, mniej ryzykujemy, że spadną na nas bomby.

— Zanim zaczną spadać, usłyszymy syrenę — zauważył.

Szli obok siebie wąskim chodnikiem, a ich ręce od czasu do czasu się dotykały. Danny był dużym, choć nie tęgim, mężczyzną i Rose czuła się przy nim bezpieczna albo bardziej bezpieczna niż bez niego.

— Nie, jeżeli nadleci tylko jeden bombowiec, który oddzielił się od reszty przyjaciół bombowców, a noc jest pochmurna. Wtedy nikt by nawet nie wiedział, że ten bombowiec jest w górze — upierała się Rose.

Danny prychnął lekko.

— To tak nie działa.

Rose uważała, że jej scenariusz brzmi absolutnie wiarogodnie, ale prawdopodobnie nie warto się było o to spierać.

— Więc, hmm... och! A jak Phil? Był taki miły tamtego wieczoru. Mam nadzieję, że nie tęskni za bardzo za krajem. Chociaż tak dużo mówił o Des Moines, że pewnie strasznie tęskni...

— Phil zginął — przerwał jej Danny tak cicho, że Rose nie miała pewności, czy dobrze go usłyszała. — Nie wrócił ze swojej pierwszej misji.

— Nie mógł tak po prostu zginąć. — Nie Phil, nieco niezgrabny z powodu długich, patykowatych kończyn. Przypomniła sobie jego płochliwy, lecz otwarty uśmiech, koniuszki uszu zaczerwienione po godzinach, które spędził na tańcu, ponieważ chciał jej zrobić przyjemność. — Zamierzał po wojnie zostać weterynarzem. Najpewniej trafił do niewoli i przesznuje go z powrotem do Anglii ruch oporu albo też...

— Dziecko, jego samolot spadł w płomieniach. Phil nie wróci.

— Mam na imię Rose, nie dziecko — wydukała, po czym, z niewiadomych powodów, się rozplakała. Ponieważ Phila poznała jeszcze zanim wysłuchała pełnych najlepszych intencji wykładów Sylvii o tym, że nie należy tracić głowy i rozumu dla każdego mężczyzny, z którym tańczą i jedzą pączki.

Odwróciła się, a jej plecy zatrzęsły się w pogrzebowym futrze matki. Potem

zatonczyła się w najbliższy próg domu, gdzie mogła ukryć twarz wśród zimnego kamienia i płakać.

— Rose... — Danny położył rękę na jej ramieniu. Strąciła ją. — Słuchaj, ofiarowałaś mu najlepszą noc jego życia. Stale opowiadał o tobie, gdy wróciliśmy do bazy, i...

— Przestań! Nie chcę tego słuchać. O Boże... nie dotykaj mnie!

Lecz Danny już ją chwycił, a później obrócił ku sobie zdecydowanym ruchem i trzymał w mocnym uścisku, którego nie mogła odrzucić, ponieważ płakała i pragnęła jedynie wtulić się w czyjeś ciało i nie być z tym wszystkim sama.

I nagle zdała sobie sprawę, że mięknie w objęciach tego mężczyzny, który ramieniem ściśle otaczał jej talię, a drugą ręką obejmował podbródek, więc nawet nie mogła obrócić głowy.

Następnemu jej szlochowi zapobiegł pocałunkiem w usta.

Jej pierwszy prawdziwy pocałunek!

Nie była zupełnie pewna, co powinna zrobić. Ogarnęło ją tyle dziwnych, nowych uczuć. Danny przyciskał ją do siebie tak mocno, że między nimi nie było miejsca nawet na szept. Był ciężkim, silnym mężczyzną. Wyczuwała, jak jego mięśnie się napinają i wydała się sobie strasznie słaba i uległa, tak miękka, że łatwo mógłby ją uformować w dowolny kształt. A jej wargi? Osobliwie drgały, poruszały się same z siebie i nie miała nad nimi kontroli.

Westchnęła. Przysunęła się do niego jeszcze bliżej, po czym zrobiła krok w tył, gdyż Danny usiłował wsunąć jej język w usta.

— Co robisz?!

— Całuję cię z języczkiem — odparł. — Nigdy cię nikt przedtem nie całował?

Już miała się obruszyć i odpowiedzieć, że wiele, wiele razy ją całowano, na szczęście się powstrzymała i zrozumiała, jak to może zabrzmieć.

— Właściwie nie — przyznała się.

— No to ci pokażę — zadeklarował się głosem tak głębokim, że na jego dźwięk zatrzepotało jej coś w dole brzucha. — Otwórz trochę usta.

Tym razem pozwoliła mu się pocałować. Nie potrafiła odmówić i teraz czuła zarówno jego smak, jak i jego dotyk. Drżenie w brzuchu stało się silniejsze, a kolana zaczęły się pod nią uginać. Upadłaby, gdyby Danny jej nie trzymał.

Ciągle ją całował i jego język wnikał coraz głębiej, aż wargi miała obolałe i prawie nie była w stanie złapać oddechu. Gdyby w tym właśnie momencie spadła na nich bomba, Rose umierałaby w jego ramionach szczęśliwa. Kiedy jednak Danny wsunął dłoń pod jej płaszcz, dotykając piersi przez jedną przelotną chwilę, gwałtownie wciągnęła do płuc powietrze i bez trudu się uwolniła.

— Już wystarczy. — Jej głos był tak słaby i zdyszany, że prawie go nie

rozpoznała. — Naprawdę powinnam teraz pójść do domu.

Danny odstąpił o krok. Jego twarz w ciemnościach składała się z miękkich kresek i cieni. Patrząc na niego, po raz pierwszy w życiu pomyślała o jakimś mężczyźnie, że jest piękny.

— Dziś tak — zgodził się. — Ale będę mógł cię jeszcze zobaczyć, prawda?

— Tak, jeśli zechcesz. — Nawet nie potrafiła skłamać, że ma mnóstwo zajęć i że nie będzie na niego czekała. — Kiedy znów dostaniesz przepustkę?

Wsunął w jej dłoń swoją.

— Jest za zimno, żeby stać tutaj i gadać. Przejdźmy się.

Nie otrzymała odpowiedzi i cierpiała z tego powodu katusze. W końcu, kiedy szli Theobalds Road i miała obawy, że za chwilę się pożegnają, nie wytrzymała.

— Nie powiedziałeś mi... kiedy następnym razem dostaniesz przepustkę.

— Nie powiedziałem, co? — Jego uśmiech już nie wydawał jej się szyderczy. — Czyli że chcesz mnie znowu zobaczyć?

Rose nienawidziła tego rodzaju rozmów i nie potrafiła ich prowadzić.

— Tylko wówczas, jeśli ty znów mnie chcesz zobaczyć. Chcesz, prawda?

Wtedy wziął ją za rękę i chociaż dzieliła ich jej mitenka i jego rękawiczka, ten dotyk podziałał kojąco.

— Oczywiście, że tak — zapewnił ją. — Spotkajmy się przed Rainbow Corner jutro o tej samej porze. Chyba nie powinienem być taki gorliwy, ale nie chcę, żebyś poszła z innym facetem tylko dlatego, że jestem nieskory określić swoje zamiary.

Rose nawet nie dbała, czy jego zamiary są szczytne, ucieszyła się tylko, że się zadeklarował. Rozpromieniła się.

— Więc do zobaczenia jutro wieczorem.

Jednak następnego wieczoru, kiedy wyszła z Rainbow Corner z Sylvią i Maggie, Danny'ego nie było. Czekala na niego przez dziesięć boleśnie długich minut, myśląc, że ją wystawił, a Sylvia i Maggie uważały dokładnie tak samo.

— Rosie, ile razy mam ci powtarzać, że ci wszyscy jankesi są w gorącej wodzie kąpani i szafują obietnicami bez pokrycia? — mruknęła Sylvia. — Chodź, znajdziemy ci inne zajęcie, na którym będziesz się mogła skupić.

Niechętnie poszła wraz z nimi. Ledwo jednak skręciły za róg, wchodząc w Windmill Street i chcąc przebić się przez Soho, ktoś zakradł się z tyłu i złapał ją w pasie, aż przestraszona krzyknęła. Maggie bez wahania tak mocno uderzyła torebką Danny'ego, że natychmiast z krzykiem puścił Rose.

Nie była to najbardziej udana z prezentacji. Maggie nie przeprosiła za atak, a Sylvia podała Danny'emu bezwładną dłoń, ze znużoną miną zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i bąknęła: „Bardzo mi przyjemnie”, przy czym jej ton świadczył o zupełnie przeciwnych odczuciach.

— Mogę cię w takim razie odprowadzić do domu? — spytał Danny z uśmiechem. Najwyraźniej lodowate przyjęcie ani trochę go nie zdenerwowało.

Rose uśmiechnęła się w odpowiedzi i zdążyła jedynie powiedzieć: „No cóż, chciałabym...”, kiedy Sylvia i Maggie wzięły ją pod rękę i wraz z nią ruszyły przed siebie, więc nie miała wyboru.

— Nie pozwolimy, żeby Rose szła do domu z jakimś Tomem, Dickiem czy Harrym — rzuciła przez ramię Sylvia.

— A z Dannym? Czy wolno jej iść do domu z Dannym? — zapytał, podążając za nimi przez zaciemnione ulice. — Potrzebujecie listu referencyjnego od mojego dowódcy?

— Ława przysięgłych nadal w tej sprawie obraduje — odparowała Maggie.

— Strasznie cię przepraszam. Nie mam pojęcia, dlaczego są takie!

Sylvia posłała Rose litościwe spojrzenie.

— Właśnie dlatego nie pozwalamy ci iść z nim do domu.

Danny musiał więc pójść z nimi do Bouillabaisse i zapłacić za ich wstęp.

— Nie tańczę — oznajmił, kiedy Rose zdjęła płaszcz i nastroszyła włosy, a zespół zaczął przygrywać szybkiego jive'a. Danny rozejrzał się po zatłoczonym pomieszczeniu. — Wiesz, że to murzyński klub?

— No i co z tego? Murzyni mają lepsze maniery i lepiej tańczą niż większość naszych białych partnerów — poinformowała go Sylvia wyniośle, Danny jednak tylko wzruszył ramionami niczym ktoś przyzwyczajony do trudnych kontaktów z aroganckimi przyjaciółkami swoich dziewczyn.

— Zazwyczaj są bardzo miłe — jękała się Rose.

Usiadła obok niego, ponieważ chciała być naprawdę blisko. Na tyle blisko, żeby — gdyby się pochyliła — mógł ją pocałować, on jednak najwidoczniej nie miał na to ochoty, nawet kiedy ułożyła usta w dzióbek i jednoznacznie się w niego wpatrywała. Wreszcie, kiedy trzeci mężczyzna zdobył się na odwagę i poprosił Rose do tańca, Danny kazał jej pójść na parkiet.

Pomiędzy tańcami kupił Maggie i Sylvii po drinku gin and french, a Rose — piwo imbirowe, ponieważ nie zasmakował jej jeszcze żaden koktajl z alkoholem, a później pilnował ich stolika, podczas gdy Rose tańczyła z mężczyznami, którzy nie byli nim.

Zawsze chętnie tańczyła, ale nie cieszyło jej, że Danny nie ma nic przeciwko. Skoro ją lubił, czy nie powinno mu to bardzo, bardzo przeszkadzać?

Może nawet zaczęłyby z tego powodu rozpaczać, ale w pewnym momencie, w przerwie między melodiami i partnerami, Danny stanął nagle za nią. Pomógł jej ubrać futro matki, otoczył ramieniem i popchnął w górę po schodach, ponieważ Sylvia i Maggie były akurat w toalecie z jej czerwoną szminką.

Kiedy usiłowała o niej wspomnieć Danny'emu, uciszył ją pocałunkiem.

— Kupię ci inną — obiecał, gdy oderwała usta od jego, bo nie mogła już

dłużej znieść szaleńczego bicia własnego serca. — Muszę spędzić z tobą trochę czasu sam na sam.

Noc była chłodna i chmurna, a kosmyki mgły wirowały wokół nich, chociaż Rose mogłaby przysiąc na wszystkie biblie świata, że widzi na niebie gwiazdy.

— Przykro mi z powodu zachowania Maggie i Sylvii. Bywają nadmiernie opiekuńcze. — Niemal się spodziewała, że obie niespodziewanie wybiegną z klubu i zażądają, żeby Danny ją puścił.

A nie chciała, żeby ją wypuścił z rąk, zwłaszcza kiedy objął ją jeszcze mocniej i jego spojrzenie stało się mniej czułe, za to bardziej zdeterminowane.

— Więc... W miejscu, w którym mieszkasz, masz własny pokój?

— Och nie. Dzielę malutki pokój z Sylwią, która, jak mi się zdaje, szybko zjawi się w domu.

— Nigdzie nie możemy być sami? — spytał cichym głosem, owiewając jej ucho, a ją ogarnęła dziwna senność i błogość. — Tylko my dwoje.

Dokładnie wiedziała, o czym mówił. Słyszała kiedyś, jak Phyllis i Maggie szepczą o mężczyźnie imieniem Brian, który złamał Phyllis serce po tym, jak pozwoliła mu na nieco poufałości i którego z pewnością czekała za to chłosta, jeśli tatko Phyllis kiedykolwiek się dowie.

Pamiętała też z gabinetu ojca te wszystkie pobladłe dziewczyny z zaczerwienionymi oczyma i z ponurymi matkami. Dziewczyny wysyłano później do jakiegoś domu na peryferiach Newcastle, skąd po kilku miesiącach wracały znacznie grubsze i jeszcze bledsze. Zresztą, przebywała w Londynie dostatecznie długo, bo od ponad czterech miesięcy, więc nie wątpiła, co te mijane po drodze do Rainbow Corner wyzywająco ubrane i umalowane panienki mają na myśli, kiedy krzyczą do amerykańskich żołnierzy: „Chodź pod czerwoną latarnię” albo „Szybki numerek w bramie?”.

Ponadto, w pocałunkach Danny’ego było coś przerażającego i nieprzewidywalnego — im dłużej trwały, tym mniej Rose poznawała samą siebie i nie miała pojęcia, co powie albo zrobi, żeby zgodził się nigdy nie przestać jej całować.

Dlatego starała się zachować trzeźwy umysł i oczy szeroko otwarte.

— Nie ma nigdzie. — Nawet nie musiała udawać drżenia w głosie, ponieważ czuła, że Danny może należeć do mężczyzn, którzy pragną jedynie zaszaleć, toteż jeśli mu na to nie pozwoli, po prostu odejdzie, zniknie jak we mgle i już go nie zobaczy.

— Masz szczęście, że jesteś taka ładna — oznajmił w końcu. — Chociaż muszę ci powiedzieć, dziecko, że całowanie w progach domów nie jest w moim stylu.

— Ani w moim — odparła z trochę większą pewnością siebie, bo przyszła jej do głowy dobra riposta. — Ale masz szczęście, że tak strasznie dobrze całujesz

w progach domów, ponieważ nawet nie tańczysz!

Nikt, nawet Shirley ani Sylvia, nigdy nie sugerowały jej, że śmiech mężczyzny może zagwarantować jego przywiązanie. A jednak rozśmieszanie Danny'ego wydawało się magiczną sztuczką, dzięki której wracał noc po nocy.

Był pilotem bombowca. Albo raczej nie zaprzeczył, kiedy Rose go o to spytała, uniósł tylko brew i powiedział, że zna się na samolotach. Chociaż obecnie był uziemiony i tymczasowo stacjonował w Londynie. Podobno miało to coś wspólnego ze starą raną, która w jego opinii nie była poważna, oraz z czymś „urzędowym”, o czym nie wolno mu było mówić. Tak czy inaczej, przez dwa tygodnie kwaterował w Columbia Club w tutejszym Lancaster Gate.

Czternaście nocy. Obliczyła, że do szóstej nocy była w nim zakochana.

Nigdy nie wszedł do Rainbow Corner, ale czekał na nią przed klubem, kiedy wychodziła z którąś ze swoich „przyzwoitek”, a czasem nawet ze wszystkimi trzema. Wprawdzie Phyllis akurat uważała, że Danny jest wspaniały. „Wygląda jak młodszy, bardziej męski Ronald Colman” — westchnęła, gdy Rose ich sobie przedstawiła. Nie znaczyło to jednak, że Phyllis zamierza zaniedbać obowiązki opiekunki.

Każdej nocy Danny szedł za nimi do Paramount, Bouillabaisse albo — jeśli miały siły na taki daleki spacer — do Royal Opera House w Covent Garden, gdzie obecnie można było potańczyć. Płacił za ich wstęp, zdobywał dla nich stolik, kupował drinki i patrzył, *jak* Rose tańczy z innymi mężczyznami. Phyllis, Maggie, a szczególnie Sylvia zawsze pozostawały czujne i nigdy nie zostawiały ich we dwoje, więc coraz trudniejsze było wymykanie się na szaleńcze, uzależniające pocałunki. Trudniejsze, lecz nie niemożliwe: Rose lokalizowała najciemniejsze kąciki klubu i z wałącym w piersi sercem czekała tam, aż ręce Danny'ego obejmą jej kibić, a wargi zaczną całować szyję.

Dotykał ją. Przesuwał dłońmi w dół, na jej biodra albo miętosił piersi w jednej z pożyczonych sukienek, a Rose pozwalała mu na to przez chwilę, ponieważ przez te pierwsze kilka sekund, kiedy jego ręce poruszały się po jej ciele, ledwie potrafiła sobie przypomnieć własne imię. Szybko jednak odzyskiwała przytomność umysłu i odpychała go. „Nie możesz tego robić. To nie jest właściwe” — szeptała, lecz jej ton nigdy tak naprawdę nie brzmiał zbyt zdecydowanie.

Czasami myślała, że nie mówi tego nawet przez wzgląd na przyzwoitość, ale dlatego że Danny się wówczas uśmiechał. Na jego ustach pojawiał się powolny, bezczelny uśmiech, a ona czuła się niemal dokładnie jak w trakcie jego pocałunków. I gdy na koniec wychodzili niepewnym krokiem z sali tanecznej i rozpoczynali długi, przerywany pocałunkami spacer do domu, była tak rozgrzana, że nawet nie zauważała przenikliwie lodowatego ukłucia ciemnej zimowej nocy.

ROZDZIAŁ XI

Dom był jak najdalszy od wynajmowanego poddasza, które Jane sobie wyobraziła. Budynek został pięknie odrestaurowany i były w nim wysokie pokoje, lśniące mozaikowe kafle, parkiety i wszystkie te stylowe drobiazgi architektoniczne: nadproża, rozety sufitowe i tym podobne elementy. No i dzieła sztuki. Kiedy przed kolacją schodziła za Anną po schodach, mijały dzieła Pollocka, trzy obrazy Mondriana i Bóg wie, co jeszcze.

Prowadzona przez obcy dom, słuchając odgłosu własnych kroków rozbrzmiewających echem, gdy we dwie przemierzały korytarz, poczuła się jak w drodze do gabinetu lekarza. Bez nadziei na uleczenie. Co gorsza, znowu przypominała sobie Charlesa i moment przybycia do jego domu. Była bezdomnym dzieckiem, które przyjął, bez pytań i bez odpowiedzi.

Nigdy nie lubiła rozpamiętywać tych pierwszych kilku miesięcy w Londynie (teraz miała wrażenie, że przydarzyły się komuś innemu, innej dziewczynie), kiedy jednak się nad tym okresem zastanawiała, dopadał ją niepożądany natłok wspomnień. Nie była w stanie powiedzieć, ile czasu minęło, zanim w końcu odważyła się sypiać w łóżku w tym uroczym jasnozielono-białym pokoju dla gości. Z początku sypiała pod łóżkiem, na nieskazitelnie czystej podłodze przykrytej miękkim dywanem, z nożem zaciśniętym w jednej dłoni i brudnym zwitkiem banknotów w drugiej.

Opuszczała pokój dopiero, gdy usłyszała, że Charles wyszedł z domu, lecz nigdy w poniedziałki czy czwartki, kiedy przychodziła jego sprzątaczką. Po wyjściu Charlesa kierowała się prosto do kuchni, w której znajdowało się tak dużo jedzenia. Masło orzechowe, nawet jeśli było tylko to chrupiące, z całymi orzechami, małeńkie, słodkie jabłka, kubeczki jogurtu, zafoliowane trójkąty topionego sera i kwadratowy biały chleb, który Charles z pewnością kupował wyłącznie dla niej. Zjadała wszystko.

Później spędzała kilka godzin w wannie, za zamkniętymi drzwiami i z krzesłem wsuniętym pod klamkę. Nigdy przedtem nie czuła się taka czysta, a kiedy wsuwała się pod wodę, chcąc sprawdzić, na jak długo potrafi wstrzymać oddech, zawsze zaczerpywała powietrza znacznie wcześniej, niż go potrzebowała.

Wciąż jednak uważała, że żyje na kredyt. Ponieważ ta jedna noc zmieniła się w tak wiele dni (naliczyła ich ponad sto), wiedziała, że ostatecznie będzie musiała odejść, a świat na zewnątrz czekał, żeby ją skrzywdzić. Gdyby została, no cóż, ten mężczyzna udzielił jej schronienia, karmił ją i kupował ubrania... Było dla niej oczywiste, że zechce czegoś w zamian.

Pewnej nocy czekała w korytarzu, aż Charles wróci z miejsca, w którym spędzał całe dni. Tej pierwszej nocy właściwie mu się nie przyjrzała, więc zdumiała się, że nie jest ani tak wysoki, ani tak siwy, jak sądziła.

Był jasnowłosym, szczupłym mężczyzną o różowobiałej karnacji, czterdziestokilkuletnim, chociaż wtedy tego nie wiedziała. Tam, skąd pochodziła, ludzie po czterdziestce wyglądali zupełnie inaczej niż on.

— Witaj — zagaił i jej widok chyba wcale go nie zaskoczył.

Poszła za nim do kuchni, oparła się o drzwi i patrzyła, jak mężczyzna wyjmując z lodówki produkty, głównie warzywa, kroi je i miesza, dodaje przyprawy. Potem zaserwował dwa talerze czegoś, co nazwał warzywami smażonymi na sposób chiński, ale potrawa zupełnie nie przypominała chińszczyzny, którą Jane raz kupiła na wynos.

Zjadła ze spuszczoną głową, widelec trzymała jak broń, ramieniem osłaniając talerz, a po posiłku zabrała ich puste talerze i umyła je, ponieważ chociaż tak mogła mu pomóc. I czekała, aż Charles jej powie, co jeszcze mogłaby zrobić, ale nigdy nie powiedział.

Po prostu dał jej znak, że powinna za nim podążać do wielkiego salonu na tyłach domu. Tam była duża sofa obita szarym tweedem. Charles usiadł, po czym skinął w kierunku wolnego miejsca na końcu sofy, dzięki czemu pozostała między nimi dwójgiem spora odległość. Jane nawet się nie wystraszyła. Zdziwiło ją to, ponieważ nie potrafiła sobie przypomnieć czasów, kiedy nie odczuwała przerażenia. Strach towarzyszył jej zawsze — ta rdzawa, zimna strużka spływająca w gardle, skóra napinająca się na kościach — więc teraz zadała sobie pytanie, dlaczego się nie boi, i zrozumiała, że nie boi się już od jakiegoś, całkiem długiego, czasu.

— Jest piątek — powiedział, co nic dla niej nie znaczyło. — W piątkową noc lubię się relaksować przy filmie. Masz jakieś ulubione filmy?

Znane jej filmy były albo kreskówkami Disneya, albo opowieściami z pościgami samochodowymi, eksplozjami i zmiażdżonymi ludźmi. Spojrzała więc na Charlesa, sądząc, że się z niej wyśmiewa, lecz nie zauważył jej wzroku, po prostu wstał, podszedł do półek obok telewizora i wybrał płytę DVD.

Obejrzeli *Boso w parku*. To nadal jest jeden z jej ukochanych filmów.

Kolacja i film. To był ich nowy nawyk. Trzy tygodnie zajęło jej wypowiedzenie słowa, które chciała wymówić i które okazało się zupełnie niewystarczające.

— Dziękuję — szepnęła, zanim umyła ich talerze po niedzielnej pieczeni, którą Charles przyrządził.

— Proszę bardzo — odparł. — Tam jest zmywarka. Pod ladą, po twojej lewej.

— W porządku. Chcę to zrobić.

Przez cały czas stawiali maleńkie kroczi. Pierwszy raz opuściła swój pokój przed wyjściem Charlesa do pracy, żeby umyć naczynia po jego śniadaniu. Pierwszy raz wstała z łóżka, zanim zrobił sobie śniadanie, ponieważ wiedziała

teraz, że co rano je owsiankę, dodając do niej ledwie kapkę miodu i skrupulatnie odliczone dziewięć dużych rodzynek. Pierwszy raz wyszła z domu razem z nim i poszli do drogiego supermarketu, w którym deptała Charlesowi piętach, gdy szedł z wózkiem.

Przypuszczalnie największym krokiem była jednak ta noc, kiedy Jane spała w łóżku zamiast pod nim, i choć nóż ciągle trzymała w ręku, banknoty wsunęła pod poduszkę. A może największy krok zrobiła tego wieczoru, kiedy Charles po powrocie z pracy zastał ją w kuchni, w której kroїła, mieszała, dodawała przyprawy, co na tamtym etapie nie było bezprecedensowe, tyle że... zwitek pieniędzy leżał w miejscu, w którym Charles zawsze siedział.

Ale dotarcie do tego punktu zajęło wiele miesięcy i były to miesiące niepokoju, gdy uważała się za intruza, za nieproszonego gościa. Ile razy przez te lata miała podobne uczucie? Ile razy udawała, że czuje się jak w domu, nawet kiedy była pewna, że to wszystko jest snem, z którego obudzi się na zgniłym dywanie pod zapadającym się pojedynczym łóżkiem w wilgotnym, rozpadającym się domu przy najgorszej ulicy najpodlejszego osiedla w Gateshead?

To uczucie towarzyszyło jej teraz, kiedy zatrzymała się przed jadalnią. Stół nakryto białym obrusem, ciężkie srebrne sztucce i kryształły błyszcząły słabo w nieostrym blasku świec. Leo opierał się o kredens w stylu lat pięćdziesiątych, tym samym co stół i krzesła. Ciągle bez prysznic, nieogolony, ciągle w tym samym stroju, w którym brał ślub.

— Ach, oto i ona! — obwieścił, jak gdyby spędził całe godziny, przeczesując dom i usiłując ją odnaleźć. — Wiedziałem, że musi gdzieś tu być.

Rozmawiał z jakąś starszą kobietą, która stale spoglądała na stół, wyraźnie kontrolując, czy każdy sztuciec, każda szklanka i każda serwetka są w idealnym porządku. Miała prawdopodobnie około pięćdziesiątki — trudno było powiedzieć — i krótko obcięte kręcone blond włosy. Gdy uśmiechnęła się niepewnie do Jane, jej łagodne, miękkie rysy ułożyły się w minę nieco udręczoną.

— Jane, to jest Lydia, gosposia Rose, kucharka i ogólnie osoba święta. Widzisz, Liddy? Mówiłem, że to ślicznotka.

— A ja powiedziałam, że jeśli tak, to na pewno na nią nie zasłużyłeś — stwierdziła Lydia beznamiętnym, śmiertelnie poważnym tonem i Jane instynktownie wiedziała, że ta kobieta nie cierpi głupców i być może także Leo. — Dzień dobry. Nie podaję ręki, bo jestem w środku przygotowań do kolacji, ale bardzo mi miło cię poznać.

— Ja również się cieszę, że mogę ciebie poznać — odparła Jane. Popatrzyła na Leo i ponownie na Lydię, która nie nosiła schludnego mundurka dla służby, lecz kwiecisty fartuszek na szarych spodniach i swetrze.

— Liddy jest miłością mojego życia — powiedział Leo. Nadal opierał się o kredens, jakby tylko dzięki niemu zachowywał pozycję pionową. Wyglądał na

starszego i zmęczonego. Odgrywanie syna marnotrawnego musiało go mocno męczyć.

Lydia też tak pewnie uważała, ponieważ posłała mu poirytowane spojrzenie, po czym odwróciła się do Jane.

— Zapomniałam spytać. Nie jesteś wegetarianką, prawda?

— Nie, jem większość rzeczy. Oprócz ośmiornicy. Zbyt wiele odnoży — odparła, a Lydia znowu się uśmiechnęła.

— Żadnej ośmiornicy, obiecuję. Chciałaś drinka?

Jane, zawsze gość doskonały, potrząsnęła głową.

— Wystarczy woda. Najlepiej niegazowana. Ale poczekam na pozostałych.

— Naprawdę muszę wracać do kuchni. Rozłożyłam wizytówki. Jane, siedzisz po prawej stronie Rose — powiedziała Lydia i pospiesznie odeszła.

— Chciałbym się napić — jęknął Leo żalonym tonem. — Powiedziałem, że jestem na odwyku, bo to mi się wydawało dyplomatyczne, wiesz.

— Nie wiem, kochany, ponieważ rzuciłeś mnie na głęboką wodę i nie sprawdziłeś, czy umiem pływać. Twoja Rose to naprawdę ważna persona, prawda...?

Odwrócił się do niej plecami i zagapił się na karafki na kredensie.

— Widziałaś tylko taką Rose na pół gwizdka. Potrafisz sobie wyobrazić, jak przerażająca jest na najwyższych obrotach?

Że też ze wszystkich barów na świecie musiała wejść akurat do tego jednego!

— To było na pół gwizdka? Serio?

— Naprawdę potrzebuję drinka. Może kieliszeczek brandy. — Podniósł wysoko jedną z karafek i jej bursztynowa zawartość rozjarzyła się w blasku świec. — Zawsze się zastanawiałem, ile to jest dokładnie kieliszeczek.

— Do brandy są te szklaneczki w kształcie gruszki po twojej lewej stronie. — Wzdrygnęła się, kiedy Leo wyjął zatyczkę z karafki i wypił łyk. Usiadła na przydzielonym jej miejscu. — Czyli że wciąż będziemy się bawić tak, jak w Las Vegas? Byłeś znacznie bardziej pomocny potem niż przedtem.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Przykro mi. Słuchaj, wszystko będzie w porządku, przyrzekam ci to.

— Co będzie w porządku? — Rose stała w drzwiach, dowodząc pochodem gości zaproszonych na kolację. Gdy stała, okazała się wyższa i bardziej imponująca. Jane podniosła się z miejsca.

— Nie, nie, siedź, moja droga, a ty, Leo, natychmiast się wyprostuj. Jeśli nie będziesz o to dbał, skończysz jako garbus.

Jane nie miała czasu przebrać się na kolację i nadal nosiła dzinsy i podkoszulek w paski, w których przyleciała, ponieważ były wygodne, a ją wszystko bolało. Czuła, że i ją objęło ganiące spojrzenie, którym Rose obrzuciła

Leo, kiedy siadała na szczycie stołu. George, Gudrun i inni rozproszyli się zgodnie ze wskazówkami, Rose tymczasem poprawiła jedną z łyżek, rozłożyła serwetkę i położyła sobie na kolanach, po czym podniosła głowę.

— O mój Boże, jak poważnie patrzycie. Jestem aż tak zatrwazająca?

— Oczywiście, że nie — odrzekł Leo, siadając po jej lewej stronie, naprzeciwko Jane. — Oboje jesteśmy zmęczeni po długim locie, i tyle. Jane nie potrafi spać w samolocie, a ja z kolei spałem zbyt dużo.

— Myślisz, że uda ci się zasnąć dziś wieczorem? — spytała Rose Jane, kiedy George zaczął rozmawiać z Leo o okresie w latach osiemdziesiątych, kiedy poleciał do Las Vegas.

— Mam taką nadzieję, ale nie sądzę, żeby moje ciało wiedziało, w której strefie czasowej się znajduje.

— Okropne uczucie, prawda? Nie martw się, obiecuję, że nie będę cię za ostro maglować — zapewniła ją Rose.

Rose nawet nie czekała, aż zaczną jeść, lecz natychmiast zaczęła przesłuchiwać Jane. Leo nie musiał czuć się winny, gdyż dziewczyna całkiem dobrze potrafiła się o siebie zatroszczyć. Odpowiadała na pytania Rose uprzejmie, lecz bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem osoby, która raz za razem udziela odpowiedzi na te same pytania.

— Mój ojciec był dużo, dużo starszy od matki — mówiła. — Umarł, kiedy byłam zupełnie mała, wcześniej jednak sporo się przeprowadzaliśmy ze względu na jego pracę.

— Żołnierskie dziecko? A może służył w korpusie dyplomatycznym? — spytała Rose.

Jane pokręciła głową.

— Pracował w lotnictwie. — Uśmiechnęła się leciutko. — Raz zabrał mnie na Grenlandię, żebym zobaczyła Świętego Mikołaja. Umarł tuż po moich piątych urodzinach. Katastrofa lotnicza. Wtedy zostaliśmy tylko mama i ja.

— Gdzie osiadłycie?

— No cóż, byliśmy mama i ja oraz różni ojczymowie. — Jane skrzywiła się. — Tak naprawdę nie trzymałyśmy się blisko. Miała rodzinę w Australii, jakąś ciotkę, więc wysłała mnie do szkoły w Nowej Południowej Walii. To była religijna szkoła z internatem.

— Przygnębiająca historia — zauważyła Elaine, kiedy podano okonia morskiego w sosie cytrusowym. — Nienawidziałam, gdy wysyłali mnie do szkoły. Lubiałaś swoją?

— Stawiali trochę zbyt duży nacisk na modlitwę i kazali nam jeździć na biwaki w busz, co było dosyć przerażającym doświadczeniem. Akurat kiedy zdawałam egzaminy końcowe, zmarła moja matka, a ciotka rok później, więc nie miałam za bardzo życia rodzinnego. — Jane zmarszczyła nos, być może sugerując,

że brak rodziny dawno temu przestał ją martwić.

— Nawet ze strony ojca? — Elaine najwyraźniej poruszyła jej tragiczna biografia.

Nawet jego trochę poruszyła.

— Nie, o ile wiem. Z tego, co powiedziała mi ciotka, jego rodzina nie zaakceptowała jego małżeństwa. Myślę, żeby byli raczej majętni, a moja mama nie. W opowieściach zawsze wydawali mi się trochę wiktoriańscy.

Rose starannie ułożyła nóż i widelec na talerzu. W pokoju oświetlonym jedynie przez lampy i świece, wśród licznych cieni, wyglądała na starszą niż wcześniej. Leo pomyślał, że już dostrzega jakąś trupią bladość w rysach jej twarzy. Zamrugał powiekami, chcąc lepiej widzieć i wrażenie zniknęło. Była tą samą starą Rose, która uśmiechała się do Jane.

— Jako dziecko, muszę się przyznać, czasami żałowałam, że nie jestem sierotą. Byłabym zupełnie szczęśliwa, gdybym nie miała też siostry, z całym szacunkiem dla twojej zmarłej babci, Leo.

— Nie ma sprawy — odrzekł Leo. Babcia ze strony matki umarła przed jego narodzinami. — Ja również byłbym całkiem szczęśliwy, gdybym nie miał brata. Przynajmniej nigdy nie miałaś denerwującego rodzeństwa, które stale wpędza cię w kłopoty — dodał do Jane.

— Och, jestem pewna, że zawsze bez trudu sam pakowałeś się w kłopoty — odparowała słodko i wszyscy poza nim się uśmiechnęli.

— Najwyraźniej wiesz, co o nim myśleć — spostrzegł George, a Rose mu przytaknęła. — To się okaże użyteczne.

Leo naprawdę nie miał nic przeciwko, że trochę się przekomarzali; naprawdę bał się raczej osądu ze strony Rose, ale wiedział, że nie będzie go oceniała przy ludziach.

— W każdym razie, masz już rodzinę — przypomniał Jane. — Ja nią teraz jestem.

Zabrzmiało to absurdalnie. Można by sądzić, że zapragnął wieczorów spędzanych w kuchni w stylu rustykalnym, kiedy zajmowałby się dwoma smarkaczami o włosach w świńskim odcieniu blond, podczas gdy Jane gotowałyby na kuchence niewyszukaną strawę. A dni spędzałby, malując w przebudowanej stodole. Nigdy nie chciał takiego życia.

— Nie tęskniłam za posiadaniem rodziny — wtrąciła Jane, jak gdyby jego męzowski komentarz nie był nawet wart potwierdzenia. — Mam wielu przyjaciół i skupiam się na pracy. Działam w branży hotelarskiej.

— Naprawdę? Zawsze zastanawiałam się, na czym to właściwie polega... — powiedziała Rose. — Leo, pójdziesz powiedzieć Liddy, że jesteśmy gotowi na deser i kawę?

Kiedy wrócił do jadalni po długiej walce z niechętnym uśmiechem

bezlitosnej Lydii, Jane milczała, wyraźnie wdzięczna, że przestała być w centrum uwagi — niczym dziecko, kiedy dorośli zaczynają w końcu rozmawiać o polityce.

Leo również z przyjemnością milczał. Usiadł i starał się przyciągnąć spojrzenie Jane, chcąc jej zasygnalizować, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale patrzyła wszędzie, tylko nie na niego.

— Gdzie zatem zamieszkacie, wy dwoje? — spytała Rose, kiedy Lydia weszła z kawą. — Wspomniałaś San Francisco, Jane, ale, Liddy, czy nie twierdziłaś, że Leo mieszka w Los Angeles?

Znów doświadczył tego makabrycznego uczucia, kiedy serce nieoczekiwanie ciska się o pierś.

— Te miasta nie leżą tak daleko... Tylko nieco ponad godzinę lotu, a ja tak dużo podróżuję zawodowo, więc nigdy nie mieliśmy z tym problemu — wyrecytowała Jane, kłamiąc bez zajknięcia. — Po Bożym Narodzeniu podejmiemy decyzję co do miejsca, w którym zamierzamy zamieszkać.

— Ja mogę mieszkać niemal wszędzie — powiedział Leo. — Nie dojeżdżam do pracy.

— Czyli że masz jakąś pracę, ponieważ...

— Właściwie, skoro mowa o podróżowaniu, wiem, że wcale nie mieliśmy sposobności się poznać, ale jestem naprawdę wykończona — oznajmiła Jane. — Po długim locie zawsze w końcu straszliwie zaczyna mnie boleć głowa. Czy byłoby bardzo niegrzeczne z mojej strony, gdybym was przeprosiła i poszła spać?

— Oczywiście, że nie — sprzeciwiła się Rose. — Biedna dziewczyno, a ja cię poddałam przesłuchaniu niczym wielki inkwizytor.

— Trzeba było powiedzieć — wykrztusił z siebie Leo. — Pójść z tobą?

Jane obdarowała go kolejnym z tych niezwykle słodziutkich uśmiechów, którym powoli uczył się nie ufać.

— Nie ma potrzeby, kochany. Zostań. Wiem, że ty i Rose macie tak dużo do nadrobienia.

ROZDZIAŁ XII

„Kolacja przebiegła przyzwoicie” — pomyślała Jane, kiedy się rozebrała. Stawiała czoła już gorszym wrogom niż Rose, nawet jeśli Rose miała aparycję wielkiej damy, księżnej wdowy, która nie zgadza się na podział rodzinnego majątku na korzyść młodej nowobogackiej synowej.

Nie wiedziała, czy Rose jej uwierzyła, ale przecież nie miała powodu nie wierzyć. Jane opowiadała tę historię tak wiele razy tak wielu osobom, że dopracowała szczegóły, a ta powtarzalność dodawała opowieści pewnego stopnia autentyczności. Bez trudu potrafiła sobie wyobrazić przystojnego, dystyngowanego ojca, który pilotuje samoloty, płochą i wiecznie niezadowoloną, delektującą się ostatnimi chwilami młodości matkę, która nie chciała ciężaru w postaci dziecka. Mogła sobie nawet wyobrazić sypialnię w tej australijskiej szkole z internatem; chichoty i szepty po zgaszeniu światła, ktoś w łóżku przy oknie płacze z tęsknoty za domem...

Tak naprawdę nie powinno mieć dla niej znaczenia, czy Rose jej wierzy. Nie powinna się ani trochę przejmować opinią Rose. Miała być tutaj jedynie przejazdem, taki był plan, tyle że na orbicie starszej pani znalazła się właściwie nie dzięki planowi, lecz dzięki serii katastrofalnych zdarzeń.

Niemniej, teraz, gdy tu trafiła, nie zaszkodzi zrobić z tej sytuacji jak najlepszego użytku. Wyniki poszukiwań w Google’u sprzed kolacji okazały się niezwykle ciekawe. Na tyle interesujące, że każdej dziewczynie mogło się zakręcić w głowie.

W trakcie pierwszego spotkania doszła do wniosku, że Rose jest zamożną wdową, której całym majątkiem jest ten dom i kolekcja sztuki.

Nic bardziej mylnego. Rose działała w branży nieruchomości i rządziła prawdziwym imperium. Należały do niej całe ulice z domami, do niej spływał czynsz z kamienic mieszkalnych, sklepów i biur od Kensington po Chelsea, od Notting Hill i Ladbroke Grove po Westbourne Park. Nie wspominając o trzech agencjach nieruchomości, przedsiębiorstwie remontowym i firmie wystroju wnętrz — wszystkim tym zarządzała z biur swojej spółki w przerobionym kompleksie stajni, który mieścił się na małej uliczce za Kensington High Street.

I chociaż zawarła też między innymi spółkę ze wspólnotą mieszkaniową, w której ramach dostarczała robotnikom mieszkań po przystępnej cenie, i stworzyła program Prawo do Zakupu dla Zatrudnionych, który przyniósł jej Królewską Nagrodę dla Przemysłu, było oczywiste, że nie należała do osób, które łatwo naciągnąć.

Jak się okazało, Jane wyszła jednak za mąż dla pieniędzy. Jedno było bez wątplenia jasne — musiała teraz postępować bardzo uważnie. Nie tylko z Rose, lecz także z Leo. Nie było sensu zabijać kury, która znosi złote jajka.

Po raz pierwszy odkąd usiadła w apartamencie dla nowożeńców w Las Vegas i zastanawiała się, czy zaraz nie zemdleje, poczuła w sercu nadzieję. Przynajmniej teraz, kiedy miała męża, istniały pewne opcje.

Spodziewała się, że Leo zjawi się niedługo, więc pospiesznie zmyła makijaż i posmarowała twarz specjalnym kremem, a następnie zaczęła grzebać w komodzie, szukając podkoszulka, w którym mogłaby spać. I na wypadek, gdyby Leo niewłaściwie ją zrozumiał, ułożyła pośrodku łóżka dwie poduszki. Dość już darmowego seksu — nie teraz, gdy miała tyle do stracenia.

Do czasu aż Leo przyszedł na górę, pół godziny później, spała. Czy też raczej udawała, że śpi. Słyszała, jak zbliżał się do łóżka.

— Nie śpisz? — szepnął na tyle głośno, że pewnie by się obudziła, gdyby rzeczywiście spała. — Wszystko dobrze? Musimy coś obgadać?

Jane byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby nie musiała wypowiedzieć ani jednego słowa do nikogo co najmniej przez tydzień.

— Więc... ta historia o twoich rodzicach i australijskiej szkole z internatem miała cokolwiek wspólnego z prawdą?

Wyczuła, że Leo podchodzi i wstrzymała oddech, ale przecież miała udawać, że śpi. Zmusiła się do powolnego, miarowego oddychania, dorzuciła w odpowiednim momencie sapnięcie i mężczyzna zrozumiał aluzję.

Usłyszała jego cichnące kroki. Wszedł do łazienki, po czym z niej wyszedł. Coś odkręcał i dotarł do niej grzechot pigulek; w ciemnościach każdy odgłos brzmiał głośniej. Leo wziął jedną, nie, dwie tabletki. Potem zdjął trampki, zrzucił na podłogę ubrania. Kiedy odgarnął kołdrę i położył się, a materac ugiął się pod nim, Jane starała się znowu nie znieruchomieć.

— Chyba sobie ze mnie, kurwa, żartujesz — wymamrotał, odkrywając poduszkę przyzwoitkę, po czym prychnął, być może rozbawiony.

Ledwie pięć razy przesunęła się wskazówka sekundowa zegara na nocnym stoliku, a Leo już spał.

Jane nadal spała, kiedy obudził się z obłożonym językiem i łomotaniem w głowie. Leżał bez ruchu i z zadowoleniem przyglądał się żonie, chociaż pewnie było to trochę dziwne. Nawet we śnie prezentowała się idealnie. Ręce i nogi ułożone równiutko, twarz — piękna, nieruchoma maska; nie ma co liczyć na coś brzydkiego, jak sen z rozdziawionymi ustami, ślinienie się czy chrapanie.

Wciąż czuł się winny, że poprzedniego wieczoru rzucił ją „lwom” na pożarcie. „Ale, ale — pomyślał — czas skierować się do Koloseum”. Była ósma. Dom budził się wcześniej. Słysząc było odległe dźwięki pracującego odkurzacza, otwierane drzwi, głosy.

Założył to samo ubranie, które miał na sobie wczoraj. I przedwczoraj. Wątpił, czy w pokojach jest coś, co nadal na niego pasuje, zresztą nie chciał budzić Jane, wysuwając szuflady i hałasując wieszakami.

Zszedł po schodach, uśmiechając się do Anny, która odwróciła wzrok, i, ciągnąc za sobą odkurzacz, pospiesznie odeszła korytarzem prowadzącym ku sercu domu.

— Ach, Leo, właśnie mówiłyśmy o twojej małżonce — zagaiła Rose jowialnie, jeszcze zanim wszedł do kuchni.

Wraz z Lydią jadły śniadanie. Honorowe miejsce na wyszorowanym do czysta sosnowym stole zajmował duży niebiesko-biały dzbanek do herbaty marki Cornishware, który Leo tak dobrze pamiętał z wcześniejszych śniadań w tej kuchni. Masywne porcelanowe kubki, srebrny stojak pełen tostów i domowej roboty dżemy Lydii nałożone do różniących się od siebie małych miseczek były dawne i swojskie.

Na widok tej kameralnej scenerii ogarnęło go wspomnienie: zakradał się do domu — jak to nazywała Rose — „z mleczarzem”; wchodził nad ranem tylnymi drzwiami, a Lydia wraz z Rose i tak już siedziały w kuchni.

— Wejdz, Leo. Nie ugryziemy — mruknęła Lydia i teraz przypominał sobie, że również wtedy często się z nim drażniły. Nazywały go brudasem i nocnym markiem, mówiły mu, że musi się ustatkować, założyć rodzinę z jakąś porządną dziewczyną. „Znasz jakieś porządne dziewczyny?” — pytała Rose i obie z Lydią chichotały. To było miłe wspomnienie.

— Pachniesz mniej niż świeżo — wytknęła mu Rose teraz, kiedy usiadł obok niej. — Czy aby nie miałeś na sobie tego raczej brudnego podkoszulka wczoraj?

— Miałem. Nie przywiozłem ze sobą bagażu. To długa historia.

Tak naprawdę wcale nie była długa. Ostatnim razem widział swój bagaż w domku przy basenie Melissy i Normana.

Rose popatrzyła na niego ze znużeniem, sugerując prawdopodobnie wzrokiem, że w jego przypadku zawsze chodzi o długie historie.

— W każdym razie... Co do twojej Jane... — podjęła. — Dopiero co dyskutowaliśmy o jej zadziwiającej urodzie.

— Nigdy nie widziałam tak pięknej osoby w naturze — dodała Lydia. — Chciałbyś, żebym ci usmażyła jajka?

Potrząsnął głową i wziął sobie grzanekę.

— Każdy miałby ochotę usiąść naprzeciwko niej i przez całe godziny po prostu wpatrywać się w jej twarz — ciągnęła Rose z kpiarskim uśmieszkiem. — Zmęczyło cię kiedykolwiek patrzenie na nią?

Ugryzł tost z dżemem i przeżuwał go w zadumie.

— Jest niezła, przypuszczam — odrzekł w końcu. — Prawdę mówiąc... wygląda trochę gorzej rano po przebudzeniu.

— Jestem pewna, że to nieprawda, niegrzeczny chłopcze. — Rose poklepała go energicznie po ramieniu, a on w niemiłosiernym porannym świetle, gdy była bez makijażu, z włosami przykrytymi chustką, widział głębokie fioletowe kręgi

wokół błękitnych oczu, które wyglądały na przezroczyste i zaczerwienione. Zmieniła się nawet jej ręka, którą opierała na stole. Miała kiedyś piękne, eleganckie dłonie o długich palcach. Ręce pianistki — tak zawsze o nich myślał; teraz jednak widział wypukłe żyły, niczym jakieś tłuste niebieskie robaki, a palce były wykrzywione i wykręcone.

Nie chodziło tylko o okrucieństwo dziesięciu dodatkowych lat, które odcisnęły się piętnem na jej twarzy i szczupłym ciele, ani o większą chrypliwość w jej głosie. Dostrzegał też w jej ruchach jakąś nową niepewność, konieczność intensywnego zastanowienia, zanim zdecyduje się podnieść do ust kubek albo nałożyć na talerz kapkę dżemu. Każde działanie musiało być bardziej ekonomiczne, dzięki czemu oszczędzała siły na moment, kiedy trzeba będzie naprężyć mięśnie i odeprzeć atak bólu.

Tak jak teraz. Jej palce zadrżały, Rose spuściła głowę, zrobiła dwa krótkie wdechy, po czym westchnęła z ulgą.

— Ta twoja Jane ma charakterek, prawda?

— No cóż...

— Nie potrafię sobie wyobrazić, co wy dwoje właściwie macie ze sobą wspólnego — docięła mu zgryźliwie. Nie straciła ani trochę ze swojej błyskotliwości. Jej ostre słowa nieraz dotykały go do żywego, jednak raczej się cieszył, że Rose nadal jest taka szczerą. — Naprawdę jesteście małżeństwem?

— Wiem, że to się wydaje niewiarygodne, ale tak, naprawdę. Nie moja liga, co?

Lydia wkładała akurat do tosterka kolejne kromki, zerknęła jednak na niego i wyszczerzyła zęby.

— Na pewno nie. Miałeś coś, czym zmusiłeś ją do ślubu? Znasz wszystkie miejsca, w których pochowała zwłoki?

Szkoda było niszczyć tę lekką atmosferę, ale nie mógł dłużej lekceważyć ostrożnego spokoju Rose. Zanim wyjechał, zawsze była nerwowa, nieustannie w ruchu. Przykrył teraz dłonią jej piękne, zniszczone palce. Były chłodne.

— Jak się czujesz? Tak naprawdę? — spytał.

Spojrzała mu w oczy, wytrzymała jego wzrok i Leo poczuł na moment powrót tej cudownej bliskości, która zawsze ich łączyła.

— Podejrzewam, że nieźle — odparła. Leo mgliście uświadomił sobie, że Lydia wyszła z kuchni i zostali sami. Leo i Rose. — Biorąc pod uwagę wszystkie szczegóły.

— Rak? — Prawie nie mógł wypowiedzieć tego słowa. — Lydia tak twierdzi. Mówiła, że już kiedyś miałaś. Dlaczego tym razem nie walczysz?

Skoro Rose się poddaje, jakie szanse mieli inni, na przykład on?

Teraz to ona trzymała jego rękę, nie on jej.

— Za pierwszym razem walczyłam jak szalona — wyjaśniła. — Ale to było

dziewięć lat temu. W moim wieku dziewięć lat sieje potężne spustoszenie. Ponadto, wiedziałam wtedy, że choroba wróci. Zawsze wraca. I wtedy bardziej kęsa.

— Ale ty jesteś twarda — zaprotestował. — Umiesz go znowu pokonać.

— Och, mój kochany chłopcze — jęknęła, a on pomyślał, że może wciąż jeszcze dużo dla niej znaczył. — Zbyt wiele razy oszukałam śmierć. Moja matka, a twoja prababka, umarła niedługo po wojnie. Miała dopiero czterdzieści trzy lata. A twoja babcia, moja siostra Shirley, ledwie skończyła pięćdziesiątkę. Więc radziłam sobie bardzo dobrze i doszłam naprawdę daleko.

— Ale dlaczego nie poddałaś się chemii? Albo radioterapii? — naciskał.

Przesunęła kciukiem po grzbiecie jego ręki jakimś nieobecnym gestem, co go wcale nie uspokoiło.

— Ponieważ przechodziłam je przedtem, obie, i byłam wtedy bardzo zmęczona i osłabiona. Nie chciało mi się nic robić. Nigdzie iść. Nikogo widywać. — Opuściła powieki, wyczerpana najwyraźniej samym wspomnieniem kuracji. — Leo, to przerzut do wątroby, czwarty stopień. Zostało mi parę miesięcy, jeśli będę miała bardzo dużo szczęścia. W najgorszym razie tylko tygodnie...

— Jednak chemia stanowczo dałaby ci miesiące...

— Wolę spędzić czas, który mi został, bez uczucia całkowitego wycieńczenia. Jakość życia, jak mówi mój lekarz. Nie musisz się martwić, faszeruje mnie tabletkami. — Uśmiechnęła się mężnie i bardzo uważnie zakółsała na krześle. — Jeśli posłuchasz bardzo dokładnie, usłyszysz, jak we mnie chroboczą.

Chciała go rozśmieszyć, czekała na jego uśmiech. Posłusznie się wykrzywił.

— Bardzo cierpisz?

— Niezbyt. W ubiegłym tygodniu nawet nałożyłam kask i poszłam skontrolować jakiś projekt remontowy, chociaż pomyślałam, że lepiej się nie wspinać na żadne drabiny. — Jej uśmiech był bardziej przekonujący niż jego. — Panujemy nad bólem, biorę trzy tabletki, jeśli działają. Jeżeli spóźnię się z dawką, dochodzę do sześciu. Nie jest tragicznie, prawda?

— Chyba nie. — Zdecydowanie skinął głową. — Ale jeśli stan się pogorszy i sześć nie wystarczy, dadzą ci coś mocniejszego, zgadza się?

Lydia wróciła już do kuchni i nastrój znowu się zmienił. Rose zabrała rękę, poprawiła chustkę, a kiedy zerknęła na niego, Leo natychmiast zdał sobie sprawę ze wszystkich swoich uchybień. Od dżemu w kąciku ust, przez kilkudniowy zarost, podkoszulek opinający wydatny brzuch, po kwaśny, nieprzyjemny zapach, który by się rozchodził, gdyby Leo nie przyciskał ramion do boków.

— Skoro już rozmawiamy tak szczerze... Muszę się martwić o moje leki przeciwbólowe podczas twojego pobytu? — zapytała go. Nie lubił, kiedy była aż tak otwarta. Czasami, tak jak teraz, czuł, że go rozcina, rozciąga, przyciska

szkiełkiem i ogląda pod mikroskopem.

— Boże, nie. Nie! Nie musisz się o to martwić. Nigdy bym...

Wolał przecież wciągać niż łykać.

— Ciągle bierzesz narkotyki? — spytała go Lydia bez ogródek.

Były naprawdę bezlitosne.

— Od czasu do czasu. Jedynie zioło. — Półprawda była lepsza niż próby wyjaśnienia, że można brać gram koki przez weekend, a potem nie zbliżać się do towaru latami. Były miesiące, nawet dłużej, kiedy nie potrzebował kokainy. Na przykład te dwa lata, które spędził w Sydney, gdy malował domy, trochę dorabiał jako barman, surfował. Może by tam nawet został, gdyby nie wygasła mu wiza. — W nic się nie wpakowałem. Nie tak, jak wtedy...

— Naprawdę? Bo wiesz, oglądałyśmy w telewizji serial o dwóch mężczyznach, którzy produkowali metamfetaminę — wtrąciła Lydia.

— Rzeczywiście — potwierdziła Rose. — Nie umiem sobie wyobrazić, po co ludzie to robią. Wcale się dobrze nie bawili.

Leo parsknął śmiechem, potem ukrył twarz w dłoniach, ramiona mu się trzęsły. O mało się nie popłakał.

— Gdybym brał metę, nie byłbym teraz taki gruby — zdołał wydukać, kiedy przestał się śmiać.

— Coś w tym jest, przypuszczam — stwierdziła Rose. — Więc wróciłeś do domu na jakiś czas?

— Nie zastanawiałem się nad tak odległą przyszłością. Cały ja, co?

Wyraźnie coś jeszcze dręczyło Rose. Nie tylko jego zupełna niezdolność do wypowiedzenia choćby najbardziej gównianych przeprosin. Niektórzy ludzie, gdy zamierzają powiedzieć rozmówcy coś nieprzyjemnego, nie patrzą na niego. Lecz nie Rose.

— Właściwie mogę cię powiadomić — oznajmiła. — Twoja matka jest w mieście.

— Dobrze. W porządku. — Nowina była jak karteczka przypięta do drzwi wejściowych, którą człowiek widzi, wspinając się po schodach i z każdym stopniem, który pokona, jego strach rośnie, aż niemal go przygniata. — Nie zatrzymała się tutaj, prawda?

Rose pokręciła głową.

— Nie, rzekomo nie chciała się narzucać, chociaż to przecież nieprawda. Ilekroć przyjeżdża do Londynu, odbywamy dokładnie tę samą sprzeczkę. — W jej głosie słychać było irytację, ale kompleksy jego matki męczyły zawsze i wszystkich. — Zatrzymuje się w jednym z wolnych mieszkań pod najem w moim apartamentowcu przy Kensington Church Street.

— Czyli że u niej dobrze? — bąknął. Poczucie winy zalewało go teraz chłodnymi, oleistymi falami.

— Tak, i przychodzi dziś na obiad, więc prawdopodobnie najlepiej będzie, jeśli się ulotnisz. — Słyszał, że teraz Rose jest rozgniewana. — Dziesięć lat, Leo, i nawet do niej nie zadzwoniłeś ani nie wysłałeś jej pocztówki. Uważam, że było to z twojej strony niewybaczalnie okrutne.

— Gdybym zadzwonił, tylko by się zdenerwowała. — Trzymając się z dala od matki, wyświadczył jej największą przysługę. Można by rzec, że postąpił wręcz szlachetnie. — Proszę cię, Rose, myślałem, że się znowu dogadujemy. Nie besztaj mnie za tamto.

Odnosił wrażenie, że na jego oczach opadała z sił.

— Naprawdę bardzo lubię twoją matkę. Wraca do Durham za kilka dni, wątpię, czy zobaczę ją ponownie... — Przerwała, odwróciła głowę, ale Leo zdążył zobaczyć łzę spływającą po jej pokrytym zmarszczkami policzku. Pomyślał, że to niemożliwe, bo przecież Rose nigdy nie zdarzało się coś takiego jak płacz. A jednak podniosła do twarzy dłoń i starła ślady. Teraz z kolei Leo odwrócił się od niej i odkrył, że również walczy z napływającymi łzami. Cała ta porywająca rozmowa o pigułkach i jakości życia przesłoniła mu prosty fakt, że za parę miesięcy Rose być może już tu z nimi nie będzie. Nie usiadzie do śniadania ani nie dotknie dzbanka do herbaty, sprawdzając, czy jest ciepły. Odejdzie. — Cieszyłabym się, nawet nie wiesz, jak bardzo, gdybyś w pewnym momencie ułożył sprawy z matką, przedstawił ją Jane, zbudował porozumienie... ale nie teraz. Dziś jedynie byś zawadzał. Czy to niedorzeczna prośba z mojej strony?

— Wcale nie — odrzekł. — Masz rację. Może nie trzeba było wracać.

Rose obiema rękoma otaczała dzbanek do herbaty. Uwagę skupiała nie na Leo, lecz na kuchennym oknie, które wychodziło na dziedziniec za domem: dwaj mężczyźni stali obok drabiny.

— No cóż, tak, może nie trzeba było — zgodziła się.

ROZDZIAŁ XIII

Luty 1944 roku

— Kochana Rose, nie musisz przywdziewać żałoby, tylko dlatego, że Danny wyjechał — wytknęła jej Sylvia, kiedy szły uliczkami do Rainbow Corner pewnej lodowatej nocy pod koniec lutego. Było tak zimno, że Rose poprosiła matkę o przysłanie wełnianej bielizny. — Nie ma sensu wkładać swoich jajeczek do jednego koszyka, że się tak wyrażę.

— Do tej pory powinien napisać. A tu ani pocztówki. Wysłanie pocztówki nie wymaga zbyt dużo czasu — skarżyła się Rose. — No chyba że coś mu się przytrafiło. Co, jeśli...

— Nie mam ochoty wysłuchiwać twoich „co, jeśli”. Pomówmy o czymś weselszym.

Sylvia ciągle mówiła o kapeluszu, który planowała kupić, kiedy dotarły pod klub, gdzie miały się rozstać.

— Zobaczmy się tutaj o dwudziestej drugiej trzydziści — powiedziała Rose. — Chcesz potem pójść potańczyć? Może do Opera House?

— Nie chce mi się iść taki kawał do Covent Garden — narzekwała Sylvia.

Akurat kiedy Rose zamierzała zaproponować, że mogłyby się wybrać do Astorii, poczuła na ramieniu czyjąś rękę.

— A oto i moja maleńka, właśnie cię szukałem — powiedział Mickey Flynn, chociaż Rose była co najmniej dziesięć centymetrów od niego wyższa. — W sprawie przysługi, którą jesteś mi dłużna...

— Miałeś rozmawiać ze mną o wszelkich przysługach — wtrąciła się ostro Sylvia.

— Przyszedłem jedynie powiedzieć naszej małej Rosie, że jesteśmy kwita.

— Doprawdy? — Nie sposób było skłonić Mickeya Flynn, by spojrzął kobiecie w oczy. Wzrok zawsze koncentrował albo na jej biuście, albo na jakimś punkcie w oddali, być może wiecznie poszukując innych osób, które były mu winne przysługę. — Jak do tego doszło?

— Ano tak. Rose, Sylvio, poznajcie Edwarda. Jest z wyższych sfer. Książę wśród mężczyzn. Sól tej ziemi. Ręczę za niego tak bardzo, jak bardzo wasz dobry kumpel Mickey Flynn może za kogoś ręczyć.

Sylvia i Rose wymieniły zmieszane spojrzenia, a gdy się odwróciły, stwierdziły, że Mickey zniknął, jak gdyby ściany były z budyniu i on się w nich rozpląnął. Na jego miejscu stał natomiast wysoki, chudy mężczyzna w mundurze majora. Nieznacznie się garbił, jego zaś jasne włosy zaczesane do tyłu podkreślały szczupłą twarz o arystokratycznych rysach i nieco nerwowy uśmiech. Rose była

przekonana, że go już wcześniej widziała, za nic w świecie nie potrafiła jednak wymyślić, gdzie to mogło być.

— Spytałem Mickeya, czy mógłby nas sobie oficjalnie przedstawić. Postawił bardzo twarde warunki, więc teraz ja mam u niego dług, a ty zostałeś z konieczności przysługi zwolniona — powiedział do Rose. — Prawdopodobnie tak jest lepiej, ponieważ nie spodobałoby ci się to, w jaki sposób Mickey postrzega przysługi. — Miał mroczny, słodki jak melasa głos i teraz Rose przypominała sobie ich pierwsze spotkanie. Wychodziła z sali bilardowej tamtego wieczoru, kiedy otrzymała dokumenty, i rozpaczliwie starała się uciec nie tylko przed lubieżnym spojrzeniem Mickeya, lecz także przed wzrokiem tego właśnie mężczyzny. — I naprawdę się zastanawiam, czy wyświadczycie mi przysługę, ale chodzi o taką, która będzie bardzo dla was miła.

— Czyli co? — spytała Sylvia, chociaż mężczyzna prawie nie odrywał oczu od Rose, która uśmiechnęła się do niego przelotnie, a teraz nie wiedziała, gdzie spojrzeć. Jak on patrzył!

— Doniesiono mi, że jesteście dwiema najładniejszymi dziewczynami w całym Rainbow Corner i miałem nadzieję, że może zgodzicie się spotkać dziś wieczorem we czwórkę, ze mną i moim kolegą. — Pochylił się bliżej. — Jest wielką szychą w służbach pomocniczych, ale to równocześnie straszny nudziarz. Mógłbym po przystawkach już spać.

Perspektywa kolacji w towarzystwie nudziarza odpowiedzialnego za artykuły biurowe i Edwarda, który do pięciu minut gapił się na nią w irytujący sposób, nie wydawała się szczególnie kusząca.

— Gdybyśmy tak po prostu odeszły, wpakowałybyśmy się w beznadziejne kłopoty — odrzekła mu Rose spokojnie. — Mogłybyśmy nawet trafić na czarną listę.

— Nawet sobie na ten temat nie żartuj. — Sylvia przyłożyła sobie dłoń do czoła jak ktoś, kto może zemdleć.

— Jestem pewny, że mogę to załatwić z panią Atkins. Czyż to nie ona nadzoruje wolontariuszki? — Już odchodził, pochłonięty planowanym zadaniem.

— Ze trzy godziny poczeka sobie w punkcie informacyjnym — syknęła Sylvia. — Co najmniej!

— Tak, ale...

— Och, tak przy okazji. Pomyślałem, że pójdziemy do Criterion, jeśli wyrazicie zgodę.

Na szczęście Rose założyła tego wieczoru czarną krepdeszynową sukienkę Shirley. Na wełnianej bieliźnie sukienka była trochę zbyt obcisła, ale teraz, kiedy Rose była w Criterionie i do stolika prowadził ich sztywno wyprostowany kelner, który z chodu przypominał pingwina, była dozwonnie wdzięczna losowi, że nie ma na sobie wiotkiej jasnoniebieskiej tafty.

Na ich widok od stolika wstał jakiś korpulentny mężczyzna w średnim wieku, zmierzył je obie wzrokiem i pocałował każdą w rękę, podczas gdy Edward je przedstawił, a później powiedział, że jego towarzysz jest brygadierem. Rose nie zwracała na niego uwagi — była o wiele zbyt zajęta gapieniem się na innych gości restauracji.

Tu był Londyn, o jakim zawsze marzyła. Kobiety w pięknych toaletach; białe szyje wylaniały się z obłoków jedwabnych tiuli. Wytworny szum ściszonych konwersacji. Wszyscy mężczyźni wydawali się przystojni, nawet ci starsi prezentowali się dystyngowanie, wszyscy oprócz...

— Mówcie mi Bertie — odezwał się korpulentny. Twarz miał bardzo czerwoną i usiłował sobie wyhodować cienkiego wąsa, który mu nie pasował. Mężczyzna ostentacyjnie odsunął krzesło dla Sylvii i uśmiechnął się z aprobatą, gdy kelner z nabożeństwem ułożył jej na kolanach białą serwetkę.

— W porządku, co, Rose? — spytała Sylvia z przebiegłym uśmiechem.

Edward odsunął zatem krzesło dla Rose, po czym usiadł obok niej. Z drugiej strony miała Bertiego, Sylvia siedziała naprzeciwko, więc kiedy Rose otworzyła menu i zerknęła na spisane potrawy, mogła spojrzeć z pełną niedowierzania miną na przyjaciółkę. Chyba — niczym Alicja — spadła przez króliczą norkę do krainy czarów, w której podawano homary, kawior, befsztyki i kaczkę.

— Przypuszczam, że byłoby bardziej patriotycznie poprosić o inny jadłospis, taki, w którym nie ma wszystkich tych nieracjonowanych luksusów — oznajmił jej Edward z powagą, a potem się uśmiechnął, więc doszła do wniosku, że to miał być żart i odwzajemniła się niepewnym uśmiechem. Siedzący po jej lewej stronie Bertie opowiedział z kolei kiepski dowcip o ostrygach i Sylvia drwiąco się roześmiała.

Rose i tak nie miała najmniejszej ochoty jeść ostryg.

— Wezmę kawior — powiedziała stanowczym tonem kelnerowi. Jako danie główne zamówiła *tournedos à la Rossini*, za co zarobiła od Bertiego dziwne spojrzenie, a później entuzjastycznie się zgodziła, że butelka szampana jako aperitif „będzie po prostu boska”.

Tymczasem Bertie podejmował ich opowieściami o polowaniach, strzelaniu i łowieniu ryb, mówił też, że wolałby „polować na szkopów” zamiast „przesuwać papiery w biurze w Whitehall”.

Rose nie przypuszczała, że mógłby się sprawdzić w otwartej walce. Na żołnierza był o wiele zbyt gruby. Co Sylvii najwyraźniej nie przeszkadzało. Śmiała się po każdym z jego żartów, którymi sypał jak z kapelusza (w szczególności upodobał sobie gry słowne), i bezwstydnie mu się przypochlebiała.

— Przez ostatnie pół godziny próbuję wymyślić, kogo mi przypominasz. Bertie jest podobny do Clarka Gable’a, nie sądzisz, Rosie?

Rose tak nie uważała, ale mimo to kiwnęła głową. Intensywnie szukała

w głowie błyskotliwych, dowcipnych ripost, co nie przychodziło jej łatwo, ponieważ Edward prawie się nie odzywał, natomiast wciąż na nią patrzył, ilekroć myślał, że Rose tego nie widzi. Kiedy wcześniej marzyła o życiu londyńskich wyższych sfer, którego miała nadzieję doświadczyć, zawsze udawała zblazowaną i omdlewającą, i często powtarzała powoli „Och, mój drogi!”. Dziś jednak nic takiego jej się nie zdarzało, przede wszystkim siedziała i milczała. A na dodatek czuła, że minę ma przygłupią.

Poczuła ulgę, kiedy inny kelner zjawił się przy ich stoliku z butelką w srebrnym kubelku pełnym lodu. Chłonęła wzrokiem, jak z dużą wprawą wyjmował korek, który wysunął się z gromkim hukiem, a wtedy pomyślała o fajerwerkach i innych rzeczach, które kochała.

Otrzymała kieliszek i kłujące bąbelki gazu połaskotały ją w nos, po czym wzniesli toast: „Zdrowie!” i Rose wypila swój pierwszy w życiu łyk.

Natychmiast przemknęło jej przez głowę, że chyba się rozpłacze, gdyż szampan był dokładnie tak samo paskudny jak coca-cola. Nie, gorszy. Coca-cola była przynajmniej słodka. Szampan miał kwaśny smak i musiała walczyć z całych sił, żeby nie wykrzywić się z odrazy.

— Nie smakuje ci? — spytał ją szeptem Edward. Przez cały czas wyłącznie się w nią wpatrywał, toteż z pewnością wychwycił, że wzdrygnęła się z obrzydzeniem, którego nie była w stanie ukryć.

— Och nie, jest rozkoszny. To mój absolutnie ukochany napój.

Przygotowała się na kolejny łyk.

— Jeśli ci nie smakuje, nic nie szkodzi — odparł. — Mogę poprosić i przyrządzą ci na jego bazie mimozę, którą może polubisz. Warto spróbować.

Rose bardzo by chciała, żeby Danny był taki uprzejmy, on jednak wręcz przeciwnie — przy każdej okazji strofował ją i nazywał smarkatą. Zresztą, nie mogła go sobie wyobrazić tu, w Criterionie. Z pewnością nie zaimponowałby mu Bertie, wskazując „zwykły stolik” Winstona Churchilla, na kelnera wołałby „koleś”, a na krześle rozsiadłby się niedbale, rozstawiając szeroko nogi. Chociaż Edward nieznacznie się garbił, jego plecy były proste jak struna, a teraz czekał niecierpliwie na jej odpowiedź.

— Co to jest mimoza? — spytała.

— Szampan zmieszany ze świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym. Przed wojną serwowali tego drinka w paryskim Ritzu.

— Nie mogę uwierzyć, że nawet Criterion potrafi zdobyć pomarańcze i to tak wiele, że mogą je marnować na sok. — Potrząsnęła głową ze smutkiem. — To bardzo rozrzutne.

— Być może z tego, co zostanie, robią dżem? — zasugerował Edward.

— Albo używają do ciasta. Kucharka, którą zatrudnialiśmy przed wojną, piekła wspaniałe ciasto pomarańczowo-migdałowe — jęknęła tęsknie.

— Z lukrem? — spytał Edward, również nieco rzewnie.

Teraz, kiedy prowadzili normalną rozmowę, nie wydawał jej się taki irytujący i odprężyła się na tyle, że potrafiła mu patrzeć w oczy.

Nawet się do niego uśmiechnęła.

— Tak bardzo tęsknię za lukrem! — Zanim zdążyła spytać Edwarda, za czym on tęskni, podeszli dwaj kelnerzy z ostrygami na srebrnym stojaku dla Bertiego, sardynkami dla Sylvii (która powiedziała, że wszystkie najbardziej wymyślne owoce morza na świecie nie mogą się równać z sardynkami z rusztu) oraz kawiozem dla Edwarda i Rose.

Maleńkie, błyszczące czarne kuleczki ułożono w stos w małym srebrnym pucharku. W zestawie była również srebrna łyżeczka, żeby nakładać kawior na tycie grzanki. Tak jak szampan, kawior smakował okropnie. Miał rybi smak, był oleisty i jeszcze bardziej oślizgły niż ostrygi, które Bertie siorbał z apetytem; potem zjadł resztę kawioru Rose, ponieważ powiedziała, że nie da rady zjeść więcej.

— Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie. — Najwyraźniej czuł się najszcześliwszy, kiedy jadł. — Patriotyczny obowiązek i tak dalej.

Całą nadzieję Rose pokładała zatem w tournedos à la Rossini — była pewna, że czytała o tej potrawie w jakiejś książce. Przypuszczalnie w jednym z romansów Shirley, zawsze opowiadających o łatwowiernych młodych kobietach, którym bardzo bogaci i bardzo głodcy w obyciu mężczyźni stawiali kolację i częstowali winem.

Serce w niej jednak zamarło, gdy — z niejaką ceremonią — postawiono przed nią zamówione danie. Zupełnie nie tego się spodziewała. Na talerzu znajdował się wielki kawałek suchego chleba, na nim trzy wołowe medaliony, na każdym z nich z kolei spoczywał kawałek pasztetu i skrawki jakichś dziwnych grzybów. Cały ten kram oblano ciemnobrązowym sosem.

Wcześniej Rose zdołała przełknąć połowę kawioru dzięki temu, że popijała go dużymi haustami wody, teraz więc poprosiła Edwarda o zamówienie kolejnego dzbanka na wypadek, gdyby woda była potrzebna, żeby wmusić w siebie połędwicę — czerwoną i krwistą w środku. W domu rodzinnym Rose połędwicę jadano tak dobrze wysmażoną, że niemal trzeba ją było piłować.

Ale krwista wołowina w Criterionie okazała się naprawdę cudownie miękka, pasztet był bogaty i maślany, a to, co Edward nazwał strużynami z trufli, smakowało „niewiarygodnie pysznie”, jak Rose wyjaśniła Sylvii w przerwach między kęsami, które popijała łykami châteauneuf-du-pape — wina, którego zamówienie zajęło Bertiemu i Edwardowi całe pięć minut, ponieważ nie potrafili wybrać pomiędzy rocznikiem 1933 a 1936.

Zbierając kawałkiem chleba sos maderowy, zauważyła, że pozostała trójka intensywnie jej się przygląda. Sylvia subtelnie wskazała na jej talerz i wtedy Rose uprzytomniła sobie, że porzuciła sztucce i je rękoma jak ulicznik, podobny tym,

których widzieli zebrzących przed restauracją.

— Przepraszam — bąknęła z pełnymi ustami, ale — chociaż rumieniła się różanie z powodu kombinacji zażenowania, jedzenia i wina oraz wełnianej bielizny — nie przestała wycierać talerza, aż go zupełnie oczyściła.

— Nie ma nic lepszego niż dziewczyna, która lubi jeść — oświadczył Bertie, podnosząc w niemym toaście kieliszek ku Rose. — Nie mogę znieść kobiet, które żywią się wyłącznie sałatą. Masz miejsce na deser?

Przełknęła ostatni boski okruch i skinęła głową:

— Pewnie, że tak.

— Nie wiem, gdzie to mieścisz — zauważyła Sylvia. — Nasza przyjaciółka Phyllis... Bertie, na pewno znasz jej rodzinę, należy do nich połowa Norfolk... Więc Phyllis mówi, że Rose ma żołądek bez dna. Pewnego wieczoru w Rainbow Corner jeden z żołnierzy wyzwiał ją na pączkowy pojedynek...

— Och, Sylvio, nikt nie zechce o tym słuchać — błagała Rose, chociaż za późno było się wypierać żarłoczności.

— Ja chcę — odrzekł Edward. — Ciekawi mnie, co robicie w Rainbow Corner, kiedy nie tańczycie.

— Łamiecie serca, co? — Bertie szturchnął lekko Sylvię, która obrzuciła go figlarnym spojrzeniem; Rose doskonale wiedziała, że przyjaciółka ćwiczyła je przed lustrem. — Założę się, że całkiem sporo facetów wzdycha do was dwóch.

— Nie sądzę, żeby wzdychali do Rose, raczej opowiadają kolegom żołnierzom o dziewczynie, która na ich oczach pochłonęła dwadzieścia jeden pączków jednego po drugim — odparowała Sylvia, patrząc z szelmowskim uśmiechem na Rose, która ukryła twarz w serwetce. — Ustanowiła nowy rekord w Rainbow Corner.

— To były bardzo małe pączki — upierała się Rose, jednak Bertie rechotał tak głośno, że na pewno jej nie usłyszał.

Edward natomiast tylko poważnie się uśmiechnął i spytał ją, co zje na deser.

Zakończyła posiłek tortem Pavlova i kieliszkiem deserowego wina, toteż na dworze, kiedy szli Haymarket ku mieszkaniu Bertiego w pobliżu St. James's Park na kieliszeczek przed snem, była wdzięczna za nagły podmuch lodowatego wiatru.

— Nie będziemy musiały nic robić, prawda? — spytała Sylvię, gdy szły pod ramię w pewnej odległości za mężczyznami. — Myślisz, że posiłek był bardzo, bardzo drogi?

— Bardzo, szczególnie, że zjadłaś dwa razy więcej niż ktokolwiek z nas. — Sylvia była w świetnym humorze. — Wygląda na to, że Edward całkiem stracił dla ciebie głowę. Nigdy bym nie pomyślała, że zadurzy się w pierwszej naiwnej...

— Och, czyli że go znasz? — spytała zaskoczona Rose, mimo że Sylvia należała przecież do osób, które znają wszystkich.

— Słyszałam o nim — Sylvia ściszyła głos. — Jest w połowie

Amerykaninem, potwornie bogatym i zajmuje się czymś potwornie poufnym.

— Ale czym dokładnie? — naciskała Rose.

Chciała wiedzieć, cóż takiego dziwnego robi milczący Edward.

Sylvia westchnęła.

— Lepiej nie pytaj. Pamiętaj, że trwa wojna.

— Naprawdę trudno o niej zapomnieć. — Trąciła Sylvię. — Przesuwa papiery jak Bertie?

— Prawdopodobnie jest w Kierownictwie Operacji Specjalnych — odparła krótko Sylvia. — Nawet nie powinniśmy o tym rozmawiać.

Idący przed nimi Bertie zalewał słowami Edwarda, który milczał, nie ułatwiając jej oceny swojej osoby.

— Chcesz powiedzieć, że jest szpiegiem?! — wysyczała.

— Raczej szefem siatki szpiegowskiej — mruknęła Sylvia, potem wszakże zlitowała się nad Rose. — Słuchaj, naprawdę zachowaj to dla siebie. I nie słyszałaś tego ode mnie. Wiem, że Edward wydaje ci się ogromnie miły, ale, jak to mówią: „cicha woda brzegi rwie”. Przypuszczam, że potrafi być zgoła bezlitosny, jeśli musi przesłuchać agentów wroga i tak dalej.

— Nie drocz się ze mną — burknęła ze złością Rose. — Oczywiście, że nie przesłuchuje żadnych agentów. Absolutnie nie jest takim typem.

— Mów ciszej! O mój Boże, Rose, nic ci nie jest? Nawet w tym świetle wyglądasz strasznie mizernie.

— Czuję się trochę dziwnie. — Rose rozchyliła futro matki. Pot rosił jej czoło i górną wargę. W jednej chwili czuła się jak gotowana żywcem, w następnej zamarzała mimo ciepłej bielizny i grubego okrycia. — Może zaczyna mi się grypa.

Zarówno Phyllis, jak i Maggie zachorowały na grypę, która zresztą dziesiątkowała ostatnio ochotniczki z Rainbow Corner.

— No cóż, zanim się położysz, będziesz musiała poczekać, aż wrócimy do domu — odpowiedziała jej obojętnie Sylvia, kiedy doganiały Bertiego i Edwarda stojących już przed kamienicą, która wyłoniła się z ciemności. — Nie możesz zostawić na lodzie mężczyzny, który zapłacił za trzydaniową kolację i wino. To byłoby niewysłowienie niegrzeczne.

We czworo wcisnęli się do maleńkiej windy, a kiedy Bertie zasunął z łoskotem drzwi, Rose poczuła bulgotanie w brzuchu. Pod wpływem zapachu perfum Sylvii, ciężkiego od woni lilii, i dymu cygarowego, który przyłgnął do palta Bertiego, zachwiała się w tył, ku Edwardowi.

Położył jej rękę na ramieniu i ją podtrzymał.

— Dobrze się czujesz? — spytał szeptem, który nie przebił się przez brzęczenie pokonującej kolejne piętra windy ani przez głośny śmiech Bertiego ze słów Sylvii. — Jesteś dość blada.

— Czuję się absolutnie świetnie.

Może by się tak czuła, gdyby mogła usiąść w mroku mieszkania Bertiego i tkwić tam bardzo, bardzo nieruchomo.

Niestety, natychmiast gdy weszli do środka, wydało jej się, że napierają na nią ściany i podłoga, poczuła też stęchły zapach cygar i solonych, wędzonych śledzi, które Bertie jadł na śniadanie, a wtedy żołądek po prostu podjechał jej do gardła i...

— O rany! — krzyknęła Sylvia, widząc, że Rose zakrywa rękoma usta. — Bertie, gdzie łazienka?

— Dobry Boże! Korytarzem prosto, ostatnie drzwi po lewej.

Rose ruszyła pędem, pchnęła wskazane drzwi i opadła na kolana.

Dziesięć minut później, zarumieniona i przestraszona, wślizgnęła się do salonu, w którym Bertie i Sylvia wybierali płyty, a Edward przysiadł na poręczu kanapy ze szklanką musującego białego płynu w dłoni.

— Chodź i usiądź — poprosił delikatnie, wskazując na kanapę. — Gwizdnąłem dla ciebie Bertiemu ostatnią buteleczkę bromo-seltzera.

Usiadła na kanapie i wzięła szklankę, po czym ponownie się wzdrygnęła.

— Tak strasznie przepraszam. Nie wiem, co sobie o mnie myślisz. — Jej policzki zapłonęły jeszcze bardziej żenującym gorącem. — Z powodu zaciemnienia nie mogłam nawet otworzyć okna.

Bertie pomachał dłonią.

— Nie zrobiłaś nic gorszego niż ja po kolacji w żołnierskiej kantynie. Rano ze wszystkim upora się sprzątaczką.

Z tego powodu Rose na nowo się zawstydziła, ponieważ wcześniej uważała Bertiego za nadętego prostaka, podczas gdy teraz okazywał się naprawdę kochany. Niesamowicie dobrotliwy, jeszcze ją pocieszał.

Sylvia posłała jej pełne współczucia spojrzenie.

— Żadnych pączków przez jakiś czas.

— Może już nigdy niczego nie zjem. — Rose sączyła bromo-seltzer. Jak każdy inny napój, który piła w Londynie, smakował okropnie. — Naprawdę przepraszam — powtórzyła, ale Bertie i Sylvia włączyli już płytę, więc usłyszał ją jedynie Edward.

— Proszę, przestań przepraszać. Biorąc pod uwagę ogólną sytuację, nie zrobiłaś niczego aż tak strasznego. Chociaż zamówienie tortu Pavlova wydało mi się dość lekkomyślne. — Uśmiechnął się tym poważnym uśmiechem, który oznaczał, że jego słowa miały być żartem.

— No cóż, mogłeś mi powiedzieć — zrzędziła Rose.

Dopiła bromo, skrzywiła się, kiedy ostatnie gorzkie pudrowe cząsteczki oblepiły jej język, jednak rzeczywiście poczuła się trochę lepiej. Nadal wypompowana i słaba, ale przestała się obawiać, że za chwilę umrze.

— Zrobiłbym to, gdybym uznał, że posłuchasz mojej rady — oznajmił

Edward. — Czasami uczymy się na własnych błędach. Jestem pewny, że nigdy więcej nie zamówisz ponownie kawioru, a po nim tournedos.

— Nie mówmy o jedzeniu — błagała i Edward znowu się do niej uśmiechnął.

Była zmęczona i mieszało jej się w głowie. Oparła ją o ramię Edwarda, a on pogładził chłodnymi palcami jej gorące czoło. To było przyjemne. Kojące. Czowała się bezpieczna w tym przytulnym pokoju ze szczelnie zasuniętymi na noc kotarami. Sylvia śpiewała: „Och, proszę, miej trochę litości, jestem całkiem sam w tym dużym mieście, mówię ci, jestem jak dziecko we mgle...”¹.

Z piosenki G. Gershwin, *Oh, Lady Be Good!* (1924) (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ XIV

Jane nie wiedziała, o której godzinie ostatecznie zasnęła, ale obudziła się następnego ranka, kiedy Leo wszedł do sypialni ze śniadaniem na tacy.

— Rekompensata za to, że postawiłem cię wczoraj wieczorem przed plutonem egzekucyjnym — powitał ją z żalnym uśmiechem, który Jane skwapliwie odwzajemniła, po czym przyjęła propozycję Leo, żeby spędzili ten dzień jak turyści.

Co innego mogłaby robić? Przecież dzień czy nawet wiele dni w towarzystwie Leo nie musi oznaczać gehenny. Jeśli miał ochotę się wysilić, bywał zabawny, mało wymagający i czarujący, a gdy opuścili dom i ruszyli przez Kensington, sypał jak z rękawa opowieściami o kolejnych ulicach. Były to historie o młodości roztrwonionej na nielegalnych imprezach w opuszczonych magazynach, o uganianiu się za dziedziczkami Chelsea, które nie chciały się z nim przyjaźnić, i o zajadaniu kaca smażonym mięsem.

Tego ranka pod koniec października słońce stało wysoko i świeciło jasno, lecz pod wpływem jesiennej rzeźkości w powietrzu Jane rozmyślała o listopadowych ogniskach i fajerwerkach. Błądzili po zaułkach, wstąpili na kawę do małej włoskiej knajpki — Leo był zawiedziony, że nikt go tam nie pamiętał — a potem weszli do muzeum V&A.

— Zacniemy od samego dołu — zasugerował Leo, chociaż tamtejsze eksponaty były raczej nudne: niezgrabne kamienne rzeźby, ceramika, starożytne artefakty i zabytki religijne. Już od samego słowa „artefakt” Jane chciało się ziewać. A dalej były galerie. Cierpiała w milczeniu przez wzgląd na Leo, ponieważ zdecydowanie bardziej interesował się sztuką niż ona, niemniej on również włókł się przed siebie bez zbytniego zapału, z rękoma wciśniętymi w kieszenie starego czarnego płaszcza.

— Boże, ale nudy — obwieścił po pewnym czasie. — Chodźmy obejrzyć ładne kiecki.

Część z „ładnymi kieckami” Jane lubiła najbardziej, kiedy przychodziła do muzeum w niedzielne popołudnia z Charlesem. Wtedy także zaczynali zwiedzanie od parteru, ale najlepsze zawsze zostawiali na koniec i wreszcie trafiali do galerii mody.

— Wezmę tę i tę, nie, tamtą i zdecydowanie tę — powiedziała, wskazując na suknie balowe Schiaparelli czy koktajlową sukienkę Balenciagi, niczym w sklepie Selfridges z osobistą stylistką.

Wtedy i teraz skończyli w kafeterii. Leo zjadł ciastko. Było za wcześnie na alkohol, chociaż gdyby wpadł tu bez niej, na pewno zamówiłby drinka. Jane wypła kawę bezkofeinową.

— Co będziemy teraz robić? — spytał Leo. — Która godzina?

Była dopiero dwunasta trzydzieści i kafeteria wypełniała się tłumnie osobami, które przyszły na wczesny lunch: roztargnionymi nastolatkami dzierżącymi solidne plecaki, matkami z niemowlętami w chustach Bugaboos i nosidełkach Björn, zatrważającą liczbą kobiet z prowincji w wygodnych butach turystycznych i skafandrach.

— Nie możemy wrócić jeszcze przynajmniej przez dwie godziny — stęknęła Jane. — Czy nie mówiłaś, że Rose zaprosiła na obiad gości?

— Nie gości. Moją matkę. — Leo przesunął bokiem widelczyka przez talerz, zbierając ostatnie smugi lukru. Miejsce mieli obok okna i Jane po raz pierwszy widziała go w tak jasnym, niemiłosiernym świetle dziennym. Siwiejące skronie, poszarzała twarz, skóra zwiotczała wokół oczu i podbródka. — Będzie w Londynie przez następne parę dni, więc muszę się trzymać w cieniu. — Nie patrzył jej w oczy. — Nie jestem popieprzony w jakimś interesującym, romantycznym sensie. Wszystkie moje kłopoty to zwykłe problemy białych przedstawicieli klasy średniej.

Tak, Jane zorientowała się już w ciągu pierwszych pięciu minut ich znajomości.

— Mógłbyś postanowić, że nie chcesz taki być — rzuciła myśl.

— Neeee, wszyscy są popieprzeni. Nawet ty. Jeśli twój tatko naprawdę umarł, gdy byłaś dzieckiem, a potem twoja mama wysłała cię do pełnej religijnych fanatyczek szkoły z internatem w australijskim buszu, to też jesteś popieprzona.

— Możesz się wznieść ponad to. Wystarczy się przyłożyć.

Zamachał na nią widelczykiem, mrużąc podpuchnięte oczy:

— Chyba że nic w tej opowieści nie jest prawdą, wówczas jesteś popieprzona w całkiem inny sposób.

— Kochany, naprawdę musimy spędzić następne dwie godziny, rozkładając na czynniki pierwsze to określenie? — spytała. — Jeżeli tak, wołałabym pójść i pooglądać jakieś naprawdę nudne artefakty religijne.

— Mówię tylko, że...

— Och, witajcie! Niesamowite, że tu na was wpadłem!

Oboje odwrócili się w kierunku rozentuzjasmowanego, nieznacznie afektowanego głosu.

To był George. George, przyjaciel Rose, przybył ocalić ich przed nimi samymi. Ponieważ był kustoszem w V&A, zabrał ich szybko do wnętrza muzeum i pokazał najrozmaitsze skarby. Kolekcję skandynawskich wyrobów szklanych z początku dwudziestego wieku, parę słynnych spodni bondage od Vivienne Westwood, papierowe „rzeźby” origami, piękne, lecz kruche, nie większe niż palec Jane, które ją zasmuciły.

George nalegał, żeby przyłączyli się do niego na lunchu w stołówce pracowniczej, dzięki czemu mógłby ich uraczyć historyjkami o Rose. Jak poznali się w dziale nabiałowym w sklepie Harvey Nichols niemal czterdzieści lat temu

— dziewiętnastoletni George w skórzanych szortach i z błękitnym irokezem na głowie zatrzymał się i zapytał Rose, czy jej sukienka w kropki to *vintage* od Claire McCardell.

— ...choć Rose nie nazwała jej *vintage*. Nadal nie używa tego słowa. Twierdzi po prostu, że nie widzi sensu wyrzucać zupełnie dobrych ubrań. Tak czy inaczej, połączyła nas miłość od pierwszego wejrzenia. Nie, no teraz przesadziłem. Raczej przyjaźń od pierwszego spotkania. — George nieoczekiwanie się załamał. Jego promienna, ptasia twarz stała się dziwnie mniej wyrazista, do swoich oczu w okularach w rogowych oprawkach napłynęły łzy. — Od tamtej pory chyba nie było dnia, w którym byśmy nie rozmawiali. Nie mogę sobie wyobrazić mojego życia bez niej.

Płakał. Tam, przy stoliku. Jane siedziała nieruchomo w udręce zakłopotania, ponieważ patrzyli na nich wszyscy ludzie, wszyscy koledzy z pracy George'a.

— Rose mój płacz by się nie spodobał, jednak kiedy nie ma jej przy mnie, wyraźnie nie mogę się powstrzymać — tłumaczył się George.

Jego łzy kapąły mu na wąskie klapy garnituru; jedna wylądowała z głośnym pluskiem na chlebie na jego talerzu, w samym środku małej porcji masła.

Jane odwróciła wzrok, jej ciało zeszywniało, mięśnie się napięły. Nie cierpiała patrzeć, gdy ktoś płacze. Zawsze chciała powiedzieć takiej osobie, żeby nad sobą zapanowała. Żeby się wzięła w garść. Że łkanie niczego nie rozwiąże, za to inni uznają cię za słabego.

— Hej, George, stary, daj spokój — usłyszała łagodną prośbę Leo, który po chwili niezdarnie wstał, złapał garść serwetek i przykucnął przed starszym mężczyzną. — Wiesz, że Rose cię zabije, kiedy usłyszy, że szlochałeś w stołówce pracowniczek V&A. Oczekiwałaby co najmniej Ritza.

George roześmiał się krótko przez łzy i przyjął od Leo serwetki. Wytarł oczy.

— Dziękuję ci — rzekł skromnie. Wydmuchał nos. — Ostatnio Rose szczerze nienawidzi Ritza. Nie chce tam chodzić. Twierdzi, że jest tam pełno turystów i ludzi, którzy mają więcej pieniędzy niż rozumu.

Leo poklepał George'a po kolanie. Jane nie spodziewała się, że jest zdolny do takiej dobroci. Że bez żadnego ukrytego motywu wyciągnie rękę do cierpiącego człowieka. Ciągle kucnął przed George'em i wziął jego dłonie w swoje.

— Pewnego dnia, kiedy naprawdę będziesz potrzebował pociechy, opowiem ci dokładniej o mojej jedynej wizycie w Ritzu. Wcisnąłem się wówczas na przyjęcie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin jakiejś supermodelki. Dwanaście godzin później wyprowadzono mnie pod eskortą przez kuchnię w butach motocyklowych i złotej sukience, którą dała mi inna supermodelka. — Wstał i wypiął do przodu pierś. — Dostałem dożywotni zakaz wchodzenia do wszystkich hoteli sieci Ritz na świecie.

George nadal wydmuchiwał nos, teraz jednak jego rysy ponownie się wyostrzyły, chociaż twarz miał trochę mocniej zaróżowioną niż przedtem.

— Brakowało mi ciebie, Leo — wyznał, po raz ostatni pociągając nosem. — Oboje za tobą tęskniliśmy. Dobrze, że wróciłeś.

Nie zostali długo. Było po piętnastej.

— Do tej pory ich obiad z pewnością się skończył — stwierdziła Jane. — Standardem jest przecież trzynasta trzydzieści. Wracajmy, chcę zmienić buty.

Do domu szli w milczeniu. Odkąd pożegnali się z George'em, Leo nic nie mówił. Odezwał się dopiero, gdy dotarli do placu. Słońce znajdowało się teraz niżej, światło dzienne było nieostre i rozproszone, opadające liście wyglądały jak tańczące cienie. Leo wziął Jane pod ramię.

— Wejdźmy od tyłu — zaproponował. — Unikniemy w ten sposób ewentualnej konfrontacji w progu.

Jane postanowiła, że nie spyta, dlaczego z taką determinacją unika matki. Rodzinne sprawy zawsze są trudne, pełne rzeczywistych i wyobrażonych wzajemnych pretensji i animozji, których przyczyn należy szukać wiele lat wcześniej. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiała przebywać w pobliżu na tyle długo, żeby te sprawy ją wciągnęły.

— Liddy i Frank mieszkają tam, w tym budynku z czerwonymi drzwiami — oświadczył nagle Leo, prowadząc ją krótką uliczką na lewo od domu. W butach o cienkich podszewkach niezbyt przyjemnie szło jej się po kostce brukowej. Teraz Leo wskazywał na ładny mały domek przypominający powozownię. — Spotkałeś już Franka? Mąż Liddy i kierowca Rose. Jest też bardzo przydatny w domu. Wymienia żarówki, rozprawia się z...

Jane właściwie go nie słuchała — do czasu, aż przerwał w pół zdania. Jego uwagę bez wątpienia przyciągnęła Rose i druga kobieta, równie wysoka, lecz młodsza, o ciemniejszych włosach. Wyszły z domu, objęły się niezdarnie, ale z czułością; być może rzadko się przytulały ze względu na oczywisty szacunek, jaki do siebie żywiły.

— No cóż, stało się — warknął Leo, jakby Jane doprowadziła go do skrajnego wyczerpania nerwowego, a potem na dodatek pchnęła i przewróciła. — Wynoszę się stąd.

— Nie bądź głupi. — Żadne waśnie, do których doszło między Leo i jego matką, nie dawały powodu do tak pospiesznej ucieczki. — Na litość boską, kochany, wracaj!

Rose i druga kobieta, matka Leo (bo przecież nie mógł to być nikt inny), odwróciły się i spojrzały.

W opinii Jane Leo powinien poradzić sobie z tą trudną sytuacją. Wystarczyło zagaić: „Dzień dobry, dobrze wyglądasz, jak się miewa tato, jest chłodno jak na tę porę roku, czyż nie?”. To było banalne i trochę bolesne, lecz by go nie zabiło. Ani

Jane. Dlatego zrobiła to, na co on nie miał odwagi — zmusiła się do najpiękniejszego uśmiechu i podeszła do obu kobiet.

— Dzień dobry — zagaiła wesoło. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Stojąca na progu kuchni Rose od razu je sobie przedstawiła.

— Lindo, mówiłam ci o Jane, żonie Leo. Jane, nie miałam sposobności opowiedzieć ci o Lindzie, najmłodszej córce i ulubienicy mojej siostry Shirley.

Podwały sobie ręce. Wymamrotały słowa powitania. Po króciutkim uścisku dłoni Linda natychmiast się cofnęła. W jej twarzy Jane dostrzegła spore podobieństwo do Rose i znacznie mniejsze do Leo. Może jedynie okolice oczu lub duże usta, które z niepokojem wykrzywiały się w uprzejmym uśmiechu.

— Przepraszam za niego. Mogłabym za nim pobiec? — zadeklarowała się Jane w nadziei na szybką ucieczkę.

— To by nie miało zbytniego sensu — zauważyła Rose. Popatrzyła w niebo, które na ich oczach zmieniało się z błękitnego w szare. — Zanosi się na deszcz.

— Wejź do domu — powiedziała jej Linda. — Nie możesz tu stać, jest za zimno.

— Przestań wydziwiał. Lekki wietrzyk mnie nie zabije. — Niemniej jednak, zadrzała i Jane przemknęło przez głowę, że równie dobrze mogłaby się schronić w domu bez niepotrzebnej sprzeczki. Ale Rose zerknęła na Lindę, a potem na Jane. — Może wejdziecie i utniecie sobie pogawędkę o tym naszym chłopcu.

Rose zostawiła je samym sobie, kiedy minęły kuchnię i zeszyły po schodach do pomieszczenia, które nazwała pokojem porannym, a Jane raczej określiłaby ogrodem zimowym.

Linda przysiadła na brzegu jasnozielonkawo-niebieskiej sofy, wyraźnie gotowa w każdej chwili czmychnąć.

— Rose mówiła mi, że jesteś bardzo ładna — powiedziała to osobliwie oskarżycielskim tonem i być może zdała sobie z tego sprawę, ponieważ osunęła się trochę w tył, prawdopodobnie próbując się rozluźnić. — Wybacz mi — dodała.

— Nie ma potrzeby przepraszać. — Jane zapragnęła jakoś przytłumić własną urodę. — Jestem pewna, że ta wizyta jest wystarczająco trudna bez nagłego pojawienia się mnie i Leo.

Linda właściwie dla Jane się nie liczyła, ale była matką Leo, a Rose chyba ją lubiła, więc mogła się okazać użyteczna. Po trzech latach wypraw na zakupy, dni w spa i babskich lunchów z Jackie, Jane perfekcyjnie umiała odegrać rolę synowej, która pragnie się przypodobać.

Kiedy więc Lydia weszła z pełną tacą i Linda popatrzyła pożądliwie na orzechownik, Jane powiedziała, że poprosi o kawałek, ponieważ Linda wyglądała na kobietę, która potrzebuje towarzystwa przy jedzeniu ciasta.

Próby nawiązania rozmowy przypominały jednak brodenie w melasie w butach na piętnastocentymetrowych obcasach. Wyłącznie dzięki uporowi

i wytrwałości dowiedziała się, że Linda spędzi jeszcze dwa dni w Londynie, a później, w czwartkowy ranek, wróci do Durham pociągiem, ponieważ nie znosiła jeździć autostradą. Do tradycji z kolei należało, że w trakcie jej ostatniego wieczoru w stolicy wraz z Rose obejrzą jakieś przedstawienie, po czym zjedzą kolację w restauracji Joe Allen.

— Brzmi cudownie — zawołała Jane. Radziła sobie wcześniej z trudnymi do zadowolenia rozmówcami, jednak Linda okazała się przeciwniczką najtrudniejszą. Wpatrywała się w podłogę, broniąc się przed kontaktem wzrokowym i nawet nie zdjęła ciemnobeżowego trencza, który wydawał się na nią trochę zbyt obszerny, jak gdyby kupiła go, sądząc, że jeszcze urośnie.

— Co zamierzacie obejrzeć?

— Czy Leo był w Australii trzy lata temu? — odpowiedziała pytaniem Linda. Podniosła głowę i Jane dostrzegła rumieńce na jej kościach policzkowych. — W Sydney?

W konwersacjach z Leo Jane nie dotarła na razie do opowieści o ich życiu przed trzema laty.

— Nasz romans był dość szalony — tłumaczyła. — Tak to bywa. A więc...

— Ponieważ mieszka tam Alistair, jego brat. Pracował dla Lekarzy bez Granic, poznał Australijkę. — Linda przerwała, wyraźnie usiłując zebrać myśli. Zrobiła trzy głębokie wdechy, położyła ręce na kolanach i wyprostowała ramiona. Niespodziewanie Jane doszła do wniosku, że jej rozmówczyni nie jest wcale zdenerwowana czy wytrącona z równowagi, lecz tak bardzo rozgniewana, że ledwo może mówić.

— Wszystko w porządku? — Jane również próbowała się uspokoić, rozluźnić ręce i nogi, bo były zdrętwiałe i napięte. — Nie musimy rozmawiać o Leo, jeśli to drażliwy temat. Uwielbiam go oczywiście, ale czasami potrafi być nieznośny.

— Alistair zobaczył Leo, jak szedł w jego stronę i zawołał go po imieniu, a ten popatrzył prosto na niego, po czym nadal szedł, aż go minął jak powietrze. — Linda przyglądała się Jane z niedowierzaniem. — Kto tak postępuje? Wobec rodzzonego brata?

Jane nie wytrzymała i wyraźnie się wzdrygnęła.

— Relacje rodzinne bywają bardzo skomplikowane, prawda?

— Był czas, kiedy Leo przebywał w ośrodku odwykowym po przedawkowaniu, a ja obwinałam siebie — wyznała z wahaniem Linda. Jej ręce nie leżały już nieruchomo; poruszała nimi, nerwowo przekręcając pierścionki. — Nie powiedział ci o tym, czyż nie?

— To wszystko przeszłość — odparła stanowczo, chociaż wiedziała, że mija się z prawdą. Jeszcze dwa dni temu brał narkotyki.

— No cóż, już siebie nie obwiniam, teraz obarczam winą jego. — Linda

wysunęła wyzywająco podbródek. Znów bardziej przypominała Rose niż syna. — Minęło dziesięć lat, a jednak nawet teraz są noce, kiedy nie mogę spać i strasznie się wściekam na myśl o nim. Wiem, że to głupie, ale nie było go tutaj, więc nigdy nie miałam okazji powiedzieć mu o swoich prawdziwych uczuciach. O tym, jak cholernie zła jestem na niego! Dlatego mówię do niego w myślach, stale i stale.

Jane nie odbywała rozmów ze swoimi duchami. Po prostu broniła im dostępu do własnej głowy. Gdy ta przygoda się skończy, nie pozwoli sobie nawet na jedną bezsenłą noc pełną myśli o Leo. I już. Tak było łatwiej.

— Skoro minęło dziesięć lat — zauważyła łagodnie. — Może trzeba odpuścić.

— Z rodziną tak się nie da — odparowała Linda. — Kiedy chodzi o rodzinę, nic nigdy się nie kończy.

— On nie jest taki zły. — Och, jakie gorące poparcie od zamroczonej żony. Wiedziała, że może się bardziej wysilić, choćby za te przebłytki czułości, które w nim dostrzegła. — Ma wiele przymiotów. Jest dobry i doskonale umie pocieszyć przygnębionego człowieka. Jest zabawny, lecz bynajmniej nie złośliwy. Na pewno odkryjesz, że się zmienił.

— Wcześniej nigdy mi nie dał takiej możliwości... — Linda ugryzła się w język i ponownie nad sobą zapanowała. — Wybacz. Nie powinnam ci mówić takich rzeczy. To niegrzeczne i niestosowne. Na ogół jestem osobą zupełnie rozsądną i racjonalną.

— Na pewno. Nie zrozum mnie źle, uważam, że Leo jest czarujący, ale mnie też potrafi naprawdę zdenerwować. — Uznała, że może zaryzykować lekki, porozumiewawczy uśmieszek. — Gdy odważy się dziś wrócić, dostanie ode mnie po uszach. Może coś zrozumie.

— To możliwe — zgodziła się Linda. Lekko się uśmiechnęła. — Czeka cię jeszcze mnóstwo pracy.

— Wiem. Dzięki temu życie jest interesujące. — Jane zmieniła pozycję, po czym znów skrzyżowała nogi w kostkach, dając znak, że uważa temat za zakończony. Zamknęła go i poruszyła inny. — Więc... wspomniałaś o Alistairze? Nadal mieszka w Sydney? Byłaś u niego w odwiedzinach?

Alistair był bezsprzecznie cudownym dzieckiem. Lekarzem, jak jego ojciec i dziadkowie. Z najlepszym wynikiem ukończył medycynę na Dundee University, trzy lata pracował w szpitalu St. Bartholomew's, następnie dołączył do Lekarzy bez Granic i był w Nigrze, a potem w Bangladeszu, tam poznał Vicky. Obecnie osiedli w Sydney, zamieszkali w dzielnicy Upper North Shore, w styczniu spodziewali się pierwszego dziecka.

— Ciężki jest los matki, której obaj chłopcy są daleko — westchnęła Linda. Pięć minut wcześniej Lydia wsunęła głowę do pokoju i spytała, czy napiją się po

kieliszku wina i Linda z wdzięcznością skinęła głową. — Gavin, mój mąż, wystąpił o półroczny urlop naukowy i zamierzaliśmy polecieć do Australii. Chcieliśmy tam spędzić Boże Narodzenie. Matka Vicky cierpi na stwardnienie rozsiane, więc gdy urodzi się dziecko, młodzi będą potrzebowali pomocy. Nie, żebym chciała się wtrącać.

— Rozumiem, że nie chcesz, ale to przecież twój pierwszy wnuk. Ktoś bardzo szczególny. — Jackie często jej sugerowała, że nie może się doczekać wnucząt, jednak Jane nie dawała się wciągnąć w takie rozmowy. — Poza tym, przyjemnie jest uciec przed zimą. Spędzić Boże Narodzenie na plaży...

— Nie możemy polecieć, nie, skoro Rose jest tak bardzo chora — ucięła beznamiętnie Linda. — Och, Rose stoi twardo na stanowisku, że powinnam lecieć, ale naprawdę nie wiem, jak mogłabym to zrobić.

Jane znów się wzdrygnęła.

— Rose może dobrze sobie radzić jeszcze przez rok...

— Nie — przerwała jej Linda tym samym z pozoru pozbawionym emocji tonem. — Wątpię, czy dożyje Nowego Roku. Ale chociaż nie podoba jej się pomysł hospicjum, twierdzi, że jeżeli nie polecę do Australii, nie wpuści mnie do domu. Wiem, że Lydia jest jej bliska jak członek rodziny, lecz nie powinniśmy na nią zrzucać takich obowiązków. — Popatrzyła na Jane wyczekująco. — A ty i Leo? Jak długo planujecie zostać?

Zawołowana sugestia znacznie wykraczała poza wszelkie prośby, jakich młoda żona, nawet najbardziej oddana, może się spodziewać.

— Nie wiem. Decyzję o przylocie tutaj podjęliśmy raczej pod wpływem chwili.

— Ponieważ nie wygląda na to, że Leo zamierza stanąć na wysokości zadania i... o Boże, to wszystko jest takie konfundujące.

Problem pozostał nierozstrzygnięty, ponieważ sytuacja była naprawdę trudna.

„Jaka szkoda, że nie dostaliśmy w zestawie z życiem strzałek, które wskazywałyby nam kierunek, w którym powinniśmy pójść” — pomyślała Jane, odprowadzając Lindę, tym razem do drzwi frontowych.

— Naprawdę uważam, że Leo nie jest złym człowiekiem. Ciągle go kocham, ale nie podoba mi się jego niefrasobliwość. Nigdy nie pomyśli, zanim coś zrobi — powiedziała Linda i bezlitosnym ruchem ściągnęła się mocno w taliu paskiem płaszcza. Na jej twarzy znów się pojawiły czerwone plamy od gniewu. — Może się zmienił. Czy nie mówią, że dobra kobieta potrafi zmienić mężczyznę?

— Sądzę, że Leo naprawdę próbuje się zmienić — zapewniła ją Jane, chociaż nie była dobrą kobietą, a Leo prawdopodobnie wcale się nie starał. Mogła się za nim wstawić u matki, przede wszystkim jednak wrzała z oburzenia, że tak na nią zrzucił spotkanie z Lindą.

Kobieta ociągała się w progę. Nie wracała do środka, lecz również nie odchodziła.

— Rzecz w tym, Jane, że nie mogę się martwić o tego chłopaka w chwili, gdy Rose... Rose jest ostatnim ogniwem łączącym mnie z matką, jedyną osobą, która ją знаła w młodości, zanim wyszła za mąż i urodziła mnie i moich braci. Rose opowiedziała mi tak wiele historii, jestem jednak pewna, że ma ich w zanadrzu znacznie więcej. — Linda ciężko przełknęła ślinę, po czym otworzyła torebkę i usiłowała wyjąć paczuszkę chusteczek higienicznych, niestety zbyt mocno trzęsły jej się ręce.

Jane wyjęła paczkę i wręczyła Lindzie chusteczkę.

— Wszystko będzie dobrze. Przyjemnie spędzisz z Rose czas w mieście, a później wrócisz do Durham i będziesz miała kilka tygodni na decyzję, czy chcesz lecieć. Jeśli stan Rose się zmieni, Lydia do ciebie zadzwoni.

Z wdzięczności Linda aż uściskała Jane — przez jedną krótką, niezręczną chwilę.

— Bardzo miło cię było poznać. Leo jest prawdziwym szczęściarzem. — Popatrzyła za Jane, na dom. — Lepiej wejdź do środka. Całe ciepło ucieka. Boję się myśleć, jakie rachunki płaci się za ogrzewanie takiego wielkiego budynku.

Wówczas odeszła. Zgarbiona, ciemnobeżowa postać przeszła na drugą stronę placu, a Jane pozostało jedynie wrócić do środka.

ROZDZIAŁ XV

Mimo zimna, które go ogarnęło, kiedy słońce zaszło za budynki, i mimo nieustającej mżawki, która zaczęła się prawie od razu, gdy opuścił plac, Leo szedł.

Odchodził. Wiedział, że jest tchórzem. Mógł przecież podejść do matki, przywitać się, powiedzieć, że zamierzał się z nią skontaktować, skoro jest znów w kraju. Zupełnie tak samo, jak mógł jej wysłać od czasu do czasu widokówkę. Zadzwoić na urodziny. Ale tego nie zrobił. Łatwiej było nic nie robić, ponieważ wtedy nie musiał sobie przypominać rozczarowanego spojrzenia, które doskonalila, ilekroć stawała wobec najgorszych przykładów jego zachowania; była to jedyna w swoim rodzaju mieszanina wyrzutu i konsternacji. Od świadectw szkolnych ze słabymi wynikami, przez okres w szóstej klasie, kiedy jego dziewczyna myślała, że może jest w ciąży, po spotkania w trakcie odwyku. Poradnictwo rodzinne. Poza tym, że Rose się nie zjawiała, a jego ojciec uważał całe przedsięwzięcie za zupełny nonsens, toteż tylko matka siadała na pomarańczowym plastikowym krześle z tym swoim zawiedzionym spojrzeniem.

— Obwiniam siebie. — Powtórzyła to niezliczoną liczbę razy w ciągu tamtych dwóch tygodni. — To nie jest twoja wina. Wiem, że jesteś lepszy, niż na to wygląda.

Wcale nie był. Wciąż pozostał samolubnym gówniarzem. Nie umiał być inny. Więc ciągle odchodził.

Zapomniał już, jaką wielką przyjemność daje zwyczajny spacer. Sztuczka polegała na tym, żeby bacznie się rozglądać i dostrzegać wszystkie wspaniałości: rzeźbionego lwa na zworniku wiktoriańskiej willi, dom z groteskowymi gargulcami po obu stronach drzwi wejściowych, kamienne tablice z datą budowy i kamienie węgielne. Za każdym razem z radością rozpoznawał te elementy i odnosił wrażenie, że spotyka dawnych przyjaciół. Tak właśnie było, kiedy ponownie odnalazł niebieskie płyty pamiątkowe ku czci Williama i Evelyn de Morganów, Hablota Knight Browne'a i Alfreda Hitchcocka.

Kiedy rozbolała go szyja od ustawicznego zadzierania głowy w górę, a mżawka przeszła w ulewę, wszedł w autobus, a potem w kolejny, aż dotarł do Shoreditch, niegdyś swojego ulubionego miejsca.

Stare magazyny i fabryki odremontowano, toteż obecnie mieściły się w nich domy projektantów, siedziby firm doradczych i agencji trendsetterskich — ludzi, który bogacili się na bzdurach. Jeśli o to chodziło, Leo powinien już wiele razy zostać milionerem i tak szybko jak to pomyślał, usłyszał za sobą hałaśliwy, zgrzytliwy głos.

— Leo? — Odwrócił się. — Leo Hurst, jak żyję i oddycham! Jak, u diabła, się miewasz?

To był Scoffer. Jego stary przyjaciel z czasów w akademii w Chelsea.

Nazywali go Scoffer¹, ponieważ potrafił wciągnąć dwie kreski koki w czasie, w którym wszyscy pozostali ledwie zdąжали zwinąć pięciofuntowy banknot i podnieść go do jednego nozdrza.

— Nieźle — odparł Leo. — A jak u ciebie, do diabła?

— Lepiej niż nieźle. — Scoffer wyglądał na mężczyznę dobrze odżywionego, przyzwyczajonego do dużych wydatków reprezentacyjnych i długich degustacji. — Boże, ile to lat? Chodźmy na drinka.

Znaleźli jakiś bar, odremontowany w taki sposób, że przypominał rzeźnię, którą był sto lat temu. Wypili sporo drinków i zjedli niemało porcji słynnych chrupiących frytek Blumenthala, a przyjaciel podejmował Leo anegdotami o bzykniętych modelkach, pokonanych złych marszandach i kolekcjonerach, którzy płacą mu wielkie pieniądze, żeby zaprojektował w ich domach instalacje.

— A ile może, kurde, kosztować wykonanie pieprzonego neonu? Kapcany!

Kiedy bar zaczął się zapełniać osobami młodszymi, modniejszymi i z fantazyjnymi fryzurami, Scoffer zaprosił Leo do swojej pracowni, która zajmowała ostatnie piętro starej drukarni w pobliżu Shoreditch High Street. Chociaż było po dwudziestej, w firmie wciąż gorliwie działała grupka pracowników, którzy dla Leo wyglądali jak aktorzy grający w sztuce o ludziach bardzo, bardzo zajętych. Scoffer polecił ładnej dziewczynie o niesamowicie długich nogach, żeby przyniosła im kilka piw, z którymi we dwóch usiedli w jego biurze i Leo, patrząc na rozświetlone miasto rozpościerające się przed nimi, powtarzał z pamięci wszystkie historie, które wcześniej opowiadał już wiele razy. O wyjściu na scenę w Tokio, o hollywoodzkiej aktorce, która mu obciągnęła, i, och, o nocy, którą spędził w więzieniu w Meksyku, czego naprawdę nie polecał... I, tak, pewnie, wciągnijmy parę kresek.

Obaj przechwalali się i prześcigali w opowieściach, jednak dowody sukcesu Scoffera były równie konkretne jak gorzki smak w gardle Leo, kiedy wciągał kokę, a potem przełykał ślinę. Scoffer chyba zobaczył na jego twarzy zazdrość i rozczarowanie, ponieważ położył mięsistą dłoń na jego kolanie.

— Słuchaj, kumplu, jeśli ci to pomoże, jeśli potrzebujesz roboty...

— Och, nie — wydukał z trudem. — Czekam na kilka dużych zleceń. Wiesz, jak to jest. Nie chcesz niczego zapeszyć.

— Jasne, że tak. Ale zawsze potrzebuję człowieka z pomysłami, które mógłbym rozwinąć. Nie wykorzystałbym cię, stary. Zapłacę przyzwoitą dzienną stawkę.

Leo rozejrzał się bacznie po zorganizowanej przestrzeni. Niegρέςzące mądrością neonowe reklamy, które mówiły: „PRZYSZŁOŚĆ JEST JUTRO” i „NIC NIE JEST BEZGRANICZNE, JEDYNIIE ŚMIERĆ”. Kontrowersyjne maski z okazji meksykańskiego Dnia Zmarłych, ozdobione prawdziwą ludzką skórą i zębami. Portrety rodzin zamieszkujących osiedla domów komunalnych — ich

plazmowe telewizory i pitbulle przedstawione równie pieczołowicie jak okręty czy konie malowane przez Gainsborougha.

To nie była sztuka. To była komercja. Bzdura. Chłam. Chałtura.

Niemniej, chłam Scoffera zapłacił za jeszcze parę kresek koki. A kiedy wytoczyli się na ulicę i Leo padł na kolana na mokry od deszczu chodnik, Scoffer dał taksówkarzowi pięćdziesiąt funtów i ten zawiózł go do domu.

Było naprawdę jak za starych dobrych czasów. Leo wymiotował w rynsztoku, po czym chwiejnym krokiem przeszedł dziedziniec i walił do drzwi małego domku Franka i Lydii. Nie ucieszyli się na jego widok, chociaż nie było aż tak późno. Nadal przed północą. Więc w opinii Leo Lydia nie miała powodu patrzeć na niego wzrokiem osoby, która przez cały wieczór ssała kwaśne dropsy.

Frank wyłączył alarm i Leo mógł wejść do domu. W bawialni wyjął z kredensu karafkę z whisky i prawie wczółgał się z nią po schodach.

Wtedy przypomniał sobie, jak Rose się wściekała, kiedy wracał do domu w takim stanie. A nie czuła się przecież dobrze. Potrzebowała snu. Starał się przejść korytarz na palcach, uznał jednak szybko, że spróbuje po prostu iść cicho. Otworzył drzwi swojego pokoju, zatrzasnął je za sobą z przesadną ostrożnością, po czym cisnął się na łóżko i dopiero wtedy przypomniał sobie, że ma żonę, która właśnie się obudziła, tłumiąc krzyk.

Rzuciła się na niego, muskając paznokciami jego policzek, na szczęście już się z niej zsuwał.

— Przepraszam! Przepraszam! Zapomniałem, że mam żonkę, która grzeje mi łóżeczko.

Słowa zlewały się w bełkot, który brzmiał niewyraźnie. Jane włączyła lampę i Leo się skrzywił. Miał nadzieję, że dziewczyna uzna jego rozszerzone źrenice za efekt światła. Ale wiedział, że na dodatek twarz ma pokrytą kropelkami potu, a kiedy gapił się na Jane zaczerwienionymi oczyma, czuł, że szczęki mu drgają.

Usiadła prosto, założyła ramiona na piersi i wpatrywała się w niego bez słowa. Nawet w jego starym, spranym podkoszulku z logo Motörhead, rozczochranymi włosami i bez śladu makijażu, nadal była dla niego za dobra.

— Nie zmęczyło cię to, kochany? — spytała, a on w tym momencie, częściowo rozciągnięty na łóżku, a częściowo z niego zwisając, w starym podkoszulku opinającym brzuch, nienawidził jej za jej litość.

— Ale co? — Dotknął ręką swoich warg. Nie do końca wierzył, że jest w ogóle w stanie wydawać dźwięki. — Co mnie miało zmęczyć?

— Impreza się skończyła — odparła Jane. — Czas sobie uświadomić, że wszyscy inni poszli już do domu.

Najwyraźniej pobierała lekcje u Rose, bo wiedziała, jak sprawić, by poczuł się taki mały, że gdyby nie jej pełna odrazy mina, która udawała się mimo wypełniaczy i botoksu, przysięgłby, że jest niewidoczny dla ludzkiego oka.

— Tak. No cóż... Za dużo na mnie spadło. Wybacz mi, jeśli... może... chciałem się trochę oderwać.

— Trochę oderwać? — powtórzyła tonem niedowierzania. — Och, więc potrzebowałeś odrobiny czasu dla siebie, z dala od nas, żeby się ogarnąć? Tak wygląda człowiek, który się ogarnął? — Oskarżycielsko wycelowała w niego sztywno wyciągnięty palec. — Uciekłeś i zostawiłeś mnie, a ja musiałam się zajmować twoją biedną matką. Naprawdę zachowałeś się z klasą, nie ma co.

— Nie chcę rozmawiać o mojej matce. — Próbował usiąść prosto, niestety zamiast tego jedynie jeszcze bardziej zsunął się z łóżka. — Nie kłóćmy się. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi — dodał płacząco.

Jane przewróciła oczyma. Im bardziej ją poznawał, tym mniej stawała się słodka. Po prostu lukier był tylko na powierzchni.

— Lydia zadzwoniła i poprosiła, żebyś wrócił, ponieważ przypuszczała, że dorosłeś przez te dziesięć lat, odkąd trafiłeś na odwyk... Swoją drogą, serdeczne dzięki, że powiadomiłeś mnie o tym drobnym szczególe... Tak czy inaczej, Lydia się pomyliła. Boże, strasznie się pomyliła!

— Nie musiałaś przylatywać ze mną do Londynu. Przyleciałaś tylko dlatego, że ci to pasowało. — Leo nigdy nie stawał się gwałtowny po alkoholu. Był pijakiem przeuroczym, dowcipnym, duszą towarzystwa, królem spontaniczności, chociaż, jak się okazywało, nie dzisiejszej nocy. — Nie zapominaj, że widziałem cię w akcji tego wieczoru, gdy się poznaliśmy. Co to ma być, tak naprawdę? Jakiś przekręt?

Nie wiedział, czy dropiata wysypka, która pojawiła się na górnej części jej piersi widocznej w dekolcie rozwleczonego podkoszulka, była objawem poczucia winy czy gniewu.

— Nie oceniaj mnie według swoich standardów, kochany.

Tym razem Leo poczerwieniał, a ponieważ na dodatek pocił się po kokainie, nie odpowiedział. Usiłował jedynie wstać, podczas gdy Jane siedziała bez ruchu i ciągle patrzyła na niego jak na kogoś, kto znajduje się w łańcuchu pokarmowym niżej niż plankton.

— Przestań się tak na mnie gapić — mruknął.

W końcu zdołał się zwlec z łóżka i chwiejnym krokiem poszedł do łazienki, ochlapał sobie zimną wodą twarz, niestety nie pomogło mu to wyciszyć się ani nie poprawiło samopoczucia. Wręcz przeciwnie — poczuł się jedynie gorzej, szczególnie kiedy podniósł głowę i odkrył, że Jane przyszła za nim i teraz siedzi na taborecie przed szafką z umywalką.

— Wybacz, że byłem zgryźliwa, kochany. Nie powinniśmy się tak sprzeczać, to głupie — oznajmiła, usiłując go udobruchać uśmiechem. — Zetknęliśmy się przez przypadek. Kto wie na jak długo? I byłoby dużo lepiej, gdybyśmy nie spędzili tego czasu na kłótniach.

Odwrócił się trochę zbyt szybko i aż się zatoczył od nieoczekiwanego, przyprawiającego o mdłości uderzenia krwi do głowy.

— Więc zostajesz? — Nie miała powodu, by z nim zostawać. Nie był czarujący ani przystojny, nie był też oczywiście bogaty — no chyba że chodziło jej o pieniądze Rose, ale w tym przypadku Jane srogo się zawiedzie. Jeszcze jedna rzecz nie dawała mu spokoju. — Nie tęsknisz za panem Eksem? Ani odrobinę?

— To właściwie ani trochę nie jest twoja sprawa, kochany.

— Na pewno nadal go jednak kochasz? Nie przestajemy po prostu nagle kogoś kochać. Miłość nie ma wyłącznika.

— Kocham go czy nie... to nie ma nic do rzeczy. W każdym razie, kochany, wykraczasz poza nasz układ. Mieliśmy umowę. Spotkałam się z twoją babką cioteczną, wstawiłam się za tobą i, jak mogłam, starałam się załagodzić sprawy z twoją matką, naprawdę mi się jednak nie spodobało, że tak uciekłeś.

Siedząc tam, wyglądała na opanowaną, a jednak ręce zaciskała mocno i ciągle napinała palce u nóg. Błysk różowego lakieru rozpraszał Leo, który miał tak dużo do przetrwania. Chciał coś powiedzieć i zastanawiał się, co Jane o nim pomyśli, gdy wyzna jej przyczyny, z których powodu wyrzucono go, wręcz wykopano z królestwa. Milczał jednak. Nie musiał jej niczego wyjaśniać. I ona była przecież daleka od doskonałości.

— Założę się, że tęskniłabyś za nim, gdyby na jego koncie bankowym wylądowały jednak te wszystkie miliardy dolarów od Google'a czy innych — wycedził. — Wiem, mówiłaś, że to on porzucił cię, nie wierzę jednak, że gdybyś naprawdę go kochała, bez walki pozwoliłabyś mu odejść. Więc może jednak ty go porzuciłaś, ponieważ nie miałaś ochoty zadowolić się byle czym.

— Wyszłam za cię, czyż nie? — Pokręciła głową i machnęła ręką, jak gdyby odganiała jego słowa. — I nie bądź taki naiwny. Nie istnieje kobieta, które naprawdę chce wyjść za mąż za biednego mężczyznę.

— To właśnie sobie powtarzasz i w ten sposób poprawiasz sobie humor, zgadza się? — Prychnął. — Nic dziwnego, że śpieszyłaś się z zamążpójściem, zanim twoja uroda zacznie przemijać.

Specjalnie ją prowokował, może w odwecie za jej wcześniejszą ocenę jego osoby albo dlatego, że wydawała się taka wspaniała i zdystansowana, a może ponieważ dzięki rozmowie nie myślał, że potrzebuje kolejnego drinka. Jego bełkot jakoś trafił ją w czuły punkt, ponieważ lekko się wzdrygnęła i niezgrabnie poruszyła. Pomyślał, że w pijackim zwidzie przypadkiem dotknął jej lęków, nad którymi nie potrafiła przejść do porządku dziennego i które widziała za każdym razem, gdy spoglądała w lustro.

— Ostrożnie, kochany — ostrzegła go twardo. — Wiesz, co mówią. Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Dawała mu do zrozumienia, że nie powinien się wtrącać, ale jak zwykle,

cholera, zignorował przestrożę.

— Wiesz, kochana, co jest zabawne? Te młode żonki bogatych milionerów cholernie mi się kojarzą z prostytutkami.

— Powiedział facet, który gdy się dowiedział, że jego bogata babka cioteczna umiera, wrócił do Londynu tak szybko, że mało sobie nóg nie połamał — warknęła ostro. — Jaka szkoda, że nie zatrzasnęła ci drzwi przed nosem.

Oparł się o umywalkę. Miał ochotę gołymi rękoma zmiażdżyć porcelanę.

— Nie dlatego wróciłem! — obruszył się z taką siłą, że Jane aż podskoczyła. — Nic o tym nie wiesz.

Wstała i położyła sobie ręce na biodrach.

— Dużo wiem. A tak serio, myślisz, że jestem idiotką? Nie byłeś w Vegas po prostu pijany. Wziąłeś też kokę, prawda? Wciągnąłeś ją nawet tuż przed wejściem do samolotu i teraz też jesteś naćpany. Oto dlaczego źrenice masz większe niż półmiski i zmieniłeś się w agresywnego gnojka. — Pokiwała głową, być może sugerując, że nagle wszystkie elementy układanki ułożyły się w logiczną całość. — Wiem również, że zamierzałeś zabrać pieniądze, które wspólnie wygraliśmy. Otworzyłeś moją torebkę, wyjąłeś banknoty i nawet nie...

— Nie wszystkie... — zaprotestował Leo. Przyszło mu do głowy, że na otrzeźwienie nie ma jak ostra sprzeczką, tyle że wypowiedzianych już słów nie da się cofnąć.

Czuł jej gniew niemal namacalnie, niczym trzecią osobę w pomieszczeniu, kogoś, kto przyczał się obok jej stóp i gotów był w każdej chwili na niego skoczyć.

— Uważasz, że jestem zdesperowana? No cóż, może, ale przynajmniej nie jestem ogłupionym narkotykami stetryczalym Piotrusiem Panem, który nie umie funkcjonować w realnym świecie. — Jej piękne modulowany głos miarowo stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej przenikliwy. — Założę się, że w Los Angeles przez większość czasu przesiadywałaś w barach i odrażających spelunach takich jak tamta w Las Vegas, próbując wysepić trawkę od licealistów i wypytyując ich, gdzie odbywa się jakaś fajna impreza.

— Zamknij się — błagał udręczonym szeptem. — Rose cię usłyszy.

— Ta myśl cię zmartwiła, co? Twoja najdroższa Rose odkryje, że jesteś jeszcze bardziej popieprzony, niż kiedykolwiek podejrzewała?

Sam się o to prosił. Chciał się dowiedzieć, co naprawdę tkwi pod słodyczą i delikatnością Jane. To było coś mrocznego i sprośnego.

— Przestań — ponaglił ją. — Oboje musimy się opanować, do ciężkiej cholery!

— Jestem cholernie opanowana!

Oderwał się od umywalki i ruszył ku dziewczynie. Wraz z każdym krokiem jego gniew słabł coraz bardziej. Leo był już niemal całkowicie spokojny, toteż czuł

coraz większy niesmak i wstyd za słowa, które jej powiedział. Prawda zawsze boli najbardziej.

— To głupie — ocenił. Był już na tyle blisko, że mógł złapać jej ramię, przycisnąć ją do siebie, powalić na podłogę na plecy, lecz niczego takiego nie zrobił. Nigdy nie należy dotykać rozzłoszczonej kobiety, bo to jest jak szczucie psów na niedźwiedzia. Stał więc przed nią, nie za blisko, i czekał w nadziei, że Jane na niego popatrzy, naprawdę na niego popatrzy i zrozumie, że jest mu przykro. Że potrafi być znacznie miłszy. — Daj spokój, miałaś rację. Nie powinniśmy ze sobą walczyć.

— To... się nigdy nie uda — mruknęła tak cicho, że jeśli chciał ją usłyszeć, musiał się ku niej pochylić. — Ależ popaprana sytuacja.

— Nie musi taka być — stwierdził łagodnie.

— Trochę na to za późno — syknęła i odrzuciła głowę w tył. — Boże, przestaniesz wreszcie na mnie napierać?

— Proszę, Jane. — Musiał przecież istnieć sposób dotarcia do niej. Jeśli Jane z niego zrezygnuje, wówczas nie miał szans u Rose. Już widział jej reakcję na wiadomość, że zdołał zrazić do siebie żonę w mniej niż trzy dni po przysiędze, że będzie ją kochał i chronił. — Pozwól, że ci to wynagrodzę.

— Jak, do diabła, zamierzasz to zrobić? — Rozszerzyła wściekle nozdrza i znowu odrzuciła głowę w tył, toteż miał wrażenie, że rzuca mu wyzwanie.

Dlatego pomyślał, że co mu szkodzi spróbować.

Miał mało precyzyjny plan, że mógłby ją pocałować, ponieważ wcześniej, w Las Vegas jej się to podobało. Teraz jednak, ledwie musnął ją koniuszkami palców, Jane nie zareagowała dobrze.

— Nie dotykaj mnie, kurwa! — Złapała stojącą na zabudowanej umywalce mosiężną figurkę w stylu art déco, tę, w której chował niegdyś zapasy narkotyków na własne potrzeby, i rzuciła nią w niego. Figurka przeleciała tuż obok jego głowy, aż Leo się cofnął i ze zdumieniem chrząknął z bólu, po czym spadła na podłogę z tępym, lecz ogłuszającym grzmotnięciem.

Jane stała w miejscu i dyszała, dłońmi oparła się o ścianę, oczy miała dzikie, usta — otwarte. Leo odsunął rękę od pulsującej głowy; palce miał wilgotne od krwi. Był gotów ryknąć na nią, wściekłość na nowo w nim wzbierała, nagle jednak zobaczył w tym momencie Jane. Naprawdę ją zobaczył! Biała jak prześcieradło twarz, pierś falująca wraz z jej nierównymi oddechami, ręce zaciśnięte i zbielełe na kostkach.

Nigdy przedtem nie widział nikogo tak bardzo przerażonego i nigdy w życiu nie czuł się tak trzeźwy.

— Co się właściwie stało, u diabła? — spytał ją. — Co ja takiego zrobiłem? Zamierzałem...

— Nigdy mnie, kurwa, nie dotykaj, słyszysz?! — wrzasnęła głosem, który

zupełnie, ani trochę, nie przypominał wcześniejszego. — Nigdy mnie nie tkniesz nawet pieprzonym paluchem, chyba że ci pozwolę. I nawet, kurwa, nie myśl, że spędzisz dzisiejszą noc gdzieś blisko mnie.

To scoff (bryt. ang.) — wciągać (np. kokainę) (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ XVI

Marzec 1944 roku

Nadszedł marzec, a zanim minął, każdy najmniejszy nawet wolny skrawek trawy porastały już krokusy i fiołki. W wolne czwartkowe popołudnie, ponieważ było całkiem ciepło, Rose postanowiła przespacerować się do Bayswater, ponieważ Sylvia wiedziała z dobrego źródła, że jakiś zieleniarz ma odebrać dostawę bananów.

Później zaplanowała wizytę w domu towarowym Whiteleys, gdyż Pippa, jedna z dziewczyn z Rainbow Corner, stanowczo twierdziła, że w dziale pasmanteryjnym tanio wyprzedają towary pozostałe z ubiegłego lata. Może Rose dostanie jakiś batyst w wesołym kolorze albo popelinę. Wprawdzie umiała raczej cerować niż tworzyć od podstaw, ale Maggie obiecała, że pomoże jej uszyć sukienkę.

Akurat tego ranka otrzymała list od Shirley, w którym siostra radośnie ją informowała, że zarekwirowała dwie spośród jej letnich sukienek i przerobiła je na ogrodniczki dla dziecka, ponieważ „nawet ty byś się zgodziła, że są na ciebie o wiele za krótkie i przetarte pod pachami. To uczciwa wymiana, skoro uciekłaś z moją czarną krepdeszyną i śliczną sukienką z błękitnej tafty”. Rose czuła wielką pokusę zapakować niebieską taftę Shirley i odesłać ją do Durham, ale siostra rozgniewałaby się jeszcze bardziej na widok plamy od szminki na staniczku, której nie usunęło nawet szorowanie mydłem fenolowym. Właściwie, ten zabieg tylko pogorszył jej stan.

Szła bocznymi uliczkami, które biegły równoległe do Oxford Street, bo chciała uniknąć tłumów, a ponieważ w myślach imaginowała sobie absolutnie śliczną, świeżo wyprasowaną białą sukienkę z błyszczącymi czerwonymi guziczkami na karczku i mankietach, minęła dłuższa chwila, zanim zauważyła idącego obok niej mężczyznę.

Przez jedną cudowną sekundę sądziła, że to może Danny. Ale Danny napisał do niej dwa tygodnie temu. A raczej nabazgrał cztery linijki na pocztówce. „Księżniczko, mam nadzieję, że dostanę 48 godzin w drugiej połowie kwietnia. Wyjedźmy gdzieś, w jakieś romantyczne miejsce, w którym będziemy tylko we dwoje, ja i ty. D.”

W każdym razie połowa kwietnia będzie dopiero za dwa tygodnie, więc mężczyzna, który skracał długi krok, chcąc się dopasować do jej wolniejszego tempa, nie mógł być Danny.

— Dzień dobry — zagaił Edward. — Oto dziewczyna, o której właśnie dumalem.

— Doprawdy? — spytała z powątpiewaniem, ponieważ jeśli nie wydawało jej się, że każdy ciemnowłosy amerykański wojskowy to Danny, to wciąż jeszcze paraliżował ją wstyd na myśl o tamtym wieczorze w Criterionie i jego paskudnych następstwach. Sylvii pod karą śmierci zakazała poruszać ten temat.

A teraz Edward dziwnym zrządzeniem losu znalazł się u jej boku. Mimo ładnej pogody nosił ciemnoszary płaszcz z wełny i szary kapelusz, dzięki którym w każdej chwili mógł się ukryć w ciemnościach. Może wcale nie był szefem siatki szpiegowskiej, lecz właśnie szpiegiem.

— Widzę w tobie osobę, która jest w stanie mi pomóc przy pewnym małym przedsięwzięciu, nad którym pracuję — oświadczył. — Tyle że chyba idziesz gdzieś z bardzo zdecydowaną minką.

— Bayswater. — Pragnęła być oszczędna w słowach jak Maggie, którą otaczała aura tajemniczości i wyrafinowania. Ponadto nie chciała w żadnym razie zachęcać Edwarda. — Słyszałam pogłoski o dostawie bananów, a potem zamierzam kupić trochę materiału na letnią sukienkę.

Niestety, nie potrafiła być tajemnicza. Opowiedziała Edwardowi nawet o liście od Shirley i kończącym go triumfalnym żarcie siostry: „To typowe dla ciebie, Rose, zawsze stajesz okoniem. Postanowiłaś gwałtownie dorosnąć akurat wtedy, gdy wprowadzono racjonowanie ubrań”.

Edward zerknął na nią ze strachem.

— Ile masz naprawdę lat?

„O psiakrew”.

— Bardzo późno zaczęłam rosnąć — wymyśliła na poczekaniu odpowiedź. — A cóż to za małe przedsięwzięcie? Ma coś wspólnego z wojną? Jest ściśle tajne?

— Nie będę cię teraz zanudzał szczegółami. — Danny stosował uniki, Edward za to rzucał ogólnikami. — Mógłbym pójść z tobą do Bayswater, a później ci pokazać, o co mi chodzi?

Nie istniał najmniejszy nawet powód, dla którego miałyby spędzić popołudnie z Edwardem. Był stary, miał co najmniej trzydzieści lat i nie wiedziała o nim nic, poza tym, że był prawdopodobnie zamieszany w jakieś potajemne sprawy i chociaż zachował się życzliwie wobec niej tamtej nocy, jego bliskość wciąż wytrącała ją z równowagi.

— Z pewnością masz coś lepszego do roboty niż iść do Bayswater dla jakichś mniej lub bardziej rzeczywistych bananów?

— Z tego rodzaju nastawieniem nigdy nie wygramy tej wojny — podsumował. Rose wcześniej zapomniała o tym jego poważnym uśmiechu. — Pojedziemy autobusem? — spytał. — Ja płacę.

Bananów nie było. Zieleniarz, który rzekomo miał odebrać dostawę, powiedział, że nawet gdyby otrzymał banany, sprzedałby je stałym klientom i Rose nie może myśleć, że wejdzie sobie gdzieś, jak gdyby nigdy nic i, nawet nie pytając

o pozwolenie, kupi banany, pozbawiając ich dobrych ludzi z Bayswater.

Wtedy Edward wytknął mężczyźnie, że odmowa sprzedania Rose owoców, w tym bananów, jest niezgodna z prawem, gdyż nie są one racjonowane, co niestety tylko pogorszyło sytuację. Sklepiarz podniósł miotłę i prawie wygonił ich ze sklepu.

Rose nigdy nie przypuszczała, że wraz z Edwardem, zasadniczym, sumiennym Edwardem, będą uciekali Queensway, trzymając się za ręce i dostając zadyszki ze śmiechu.

Ciągle jeszcze chichotała, kiedy dotarli do Whiteleys. Niektóre części domu towarowego nadal nosiły szkody po okresie Blitzu i można by pomyśleć, że powinni tam się cieszyć z każdego klienta, ale wyniosła młoda kobieta w dziale pasmanteryjnym nie zgodziła się nawet poszukać resztek jakiejś cienkiej letniej tkaniny. Kiedy ostentacyjnie odwróciła się do nich plecami i zaczęła obsługiwać kolejną osobę, Edward wyszeptał Rose w ucho:

— Może to córka tego zieleniarza? Widzisz rodzinne podobieństwo? Na przykład zadarty wojowniczo podbródek?

Rose parsknęła śmiechem, jednak kiedy znaleźli się w autobusie numer 27 do Kensington, pomyślała o zmarnowanym wolnym popołudniu i westchnęła:

— Nigdy przenigdy nie pojedę znowu do Bayswater. Nawet gdyby rozdawali tam jedwabne sukienki. Co za obrzydliwi ludzie.

Edward odparł, że chyba jest trochę niesprawiedliwa, potem jednak spytał o Sylwię, a Rose — może dlatego, że był środek dnia i znajdowali się w autobusie, a później szli ulicami Kensington — uznała, że wcale nie wpatruje się w nią w konsternujący sposób i że łatwo i lekko jej się z nim rozmawia.

Przyląpała się na tym, że opowiada mu o dwóch kotletach schabowych z kością i fasolce, które przysłała matka Phyllis i z których Maggie na kuchence Baby Belling stworzyła jedną ze swoich czarodziejskich uczt. W tym momencie się zatrzymali. Albo raczej Edward stanął, więc Rose niepewnie zakończyła opowieść:

— A mieszkanie jeszcze przez dobre kilka dni potężnie śmierdziało czosnkiem, ale było warto... Jesteśmy blisko...? ...Przedsięwzięcia, nad którym pracujesz?

— Tuż przed nim, dokładnie rzecz ujmując — przyznał Edward.

Rose zupełnie nie знаła tej części Londynu, czyli Kensington. Stały tu duże białe kamienice, całkowicie odmienne od stłoczonych w okolicach Holborn domów szeregowych z czerwonej cegły. Zresztą, czy biały tynk, czy czerwona cegła, wszystkie budowle w Londynie były obecnie równie brudne od sadzy i umazane ziemią. Wszędzie ulice były niekompletne, budynki rozdarte w połowie, tak, że widać było wnętrza. Dom za domem, a potem nic — jedynie rumowisko skalne i pył znaczyły miejsce, w którym ludzie jedli śniadanie, pili herbatę, czytali gazety, brali kąpiel. Te wyrwy w zabudowie architektonicznej kojarzyły się Rose z zębami

wyłamanymi ze starego grzebienia.

Na małym placu, na którym stali, nie było takich prześwitów, jednak tutejsze budynki wyglądały na puste i odrapane. Na dalekim końcu placu, oddzielone spłachciem trawy i gruzu, domy — dawniej wysokie i eleganckie — przechylały się na jedną stronę.

Rose zastanawiała się, co robi z mężczyzną, którego ledwie zna, w jakimś opuszczonym, na wpół zrujnowanym miejscu, daleko od rozgardiaszu gęściej zamieszkanym ulic, na których ktoś by ją usłyszał, gdyby zaczęła krzyczeć.

— To znaczy przed czym? — spytała, wskazując przed siebie torebką.

— No cóż, przed tym wszystkim — odparował. Wskazał na budynek, przed którym stali. Brakowało mu większości okien, a zamiast dachu na jego szczycie smutno łopotała na wietrze płachta zielonego brezentu. — Kupiłem go.

— Ten dom?! Mam nadzieję, że nie kosztował zbyt dużo. — Odwróciła się. — O mój Boże, chyba robi się późno...

— Kupiłem cały plac. No cóż, pomijając trzy domy po drugiej stronie, które nie były na sprzedaż.

— Co zrobiłeś? — Ponownie popatrzyła na zdekompletowane, chaotyczne budynki, które chyliły się krzywo na tle ciemniejącego nieba. — Dlaczego, u diabła, postanowiłeś go kupić?

— Wiem, że mieści się po niewłaściwej stronie Hyde Parku, ale miałem swoje powody. Dobre powody — podkreślił i rozłożył ramiona w geście bezradności. — Teraz jestem jednak w rozterce i rozpaczliwie potrzebuję pomocy.

— Ale ja o kupowaniu domów nie wiem zupełnie nic. — Mimo to rozbudził jej ciekawość, więc podążyła za nim ścieżką z kruszejących czarno-białych płytek, ongiś rozmieszczonych w ślicznym geometrycznym wzorze, który obecnie został bezpowrotnie zniszczony.

Wewnątrz praca wrzała jak w ulu. Mężczyźni uderzali młotkami, piłowali i malowali ściany farbą klejową.

„Nie ma żadnych uszkodzeń po bombach, jedynie ślady zaniedbania i zdecydowanych atencji okolicznych kocurów” — pomyślała Rose, kiedy Edward zwracał jej uwagę na różne elementy.

— Sądziłem, że piecyk mógłby stać tam — powiedział, kiedy weszli do ostatniego pomieszczenia na parterze. Okna wychodziły tu na dziki obszar, który prawdopodobnie był swego czasu ogrodem. — Ten pokój sprawdziłby się jako łazienka, gdyby po drugiej stronie znalazła się sypialnia, nie uważasz? — spytał, gdy wspieśli się po chwiejnej drabinie na pierwsze piętro, ponieważ schody były spróchniałe.

— Będiesz tu mieszkał? Strasznie duży dom jak na jedną osobę. — Teraz byli na drugim piętrze, Edward zaplanował kolejne sypialnie i jeszcze jedną łazienkę, co wydawało się przesadne.

— Przyjadą tu i zamieszkają pewne osoby. O ile się uda — wyjaśnił, pokazał, że trzyma kciuki i uśmiechnął się tym swoim poważnym uśmiechem.

— Uchodźcy z Europy.

— Uchodźcy? — Rose zmarszczyła brwi. — Jak się z Europy wydostaną?

— Można to załatwić. Jest to trudne, niebezpieczne i kosztowne, ale istnieją sposoby.

Rose ostrożnie przeszła po podłodze. Podejrzewała, że być może i tutaj deski spróchniały, ale chciała wyrzeć przez okno na plac.

— Ale kupiłeś te wszystkie domy... Żeby je zaludnić, musi przyjechać wielu uchodźców.

Usłyszała, że westchnął, po czym przeszedł powoli pomieszczenie i w końcu zatrzymał się za nią. Nie dotykał jej, lecz stał tak blisko, że odnosiła takie właśnie wrażenie. Był wyższy od Danny'ego, ale Rose nie czuła przy nim tego gorączkowego popłochu, jak wtedy, gdy zbliżał się jej pilot; pragnęła, żeby ręce i usta Danny'ego muskały jej ciało, potem jednak, kiedy jej pragnienie się spełniało, wpadała w panikę. Edward natomiast wydawał jej się osobą solidną i zrównoważoną.

— Wojna nie będzie trwała w nieskończoność — wyjaśnił. — Po jej zakończeniu w mieście zjawi się więcej uchodźców. Ludzie będą wracali do domu. Rodziny ponownie się połączą. Wszyscy ci ludzie będą potrzebowali mieszkań.

Rose przypomniała sobie, co mówiła Sylvia o poufnych interesach Edwarda.

— Nie jesteś spekulantem, prawda?

Wzruszył ramionami.

— Czyż wszyscy nimi nie jesteśmy?

Rose wyprostowała się.

— Nie! Nie wszyscy.

— Jesteś tego taka pewna? A co powiesz o tych dziesiątkach papierosów i czekoladowych batoników, które dostajesz każdej nocy od szczerze ci zobowiązanych wojskowych? — Zerknął przelotnie na jej nogi i w jednej chwili przestał jej się wydawać taki solidny i zrównoważony, serce Rose zaś rozpoczęło znany jej trzepot. — A te pończochy?

— Gwiazdkowy prezent od przyjaciółki — odcięła się z oburzeniem, ponieważ nigdy i z żadnym z mężczyzn z Rainbow Corner nie zrobiła niczego, co by uzasadniało rewanż w postaci pary nylonów. To, co robiła z Dannym, to, co ciągle jeszcze mogła z nim zrobić, było czymś innym, ponieważ ona i Danny byli w sobie zakochani. — Tak czy owak, to dwie zupełnie różne sprawy.

Edward podniósł ręce na znak protestu. Bez wątpienia należał do tych denerwujących osób, które nigdy się nie wściekają. Jeśli ktoś się gniewał, Rose o wiele łatwiej wiedziała, na czym stoi.

— Nie zamierzam się z tobą sprzeczać — oznajmił łagodnie. — Ale gdybym

nie kupił tych domów, zrobiłby to ktoś inny. Po wojnie może coś na nich zarobię, obecnie jednak chcę zmienić je w bezpieczne miejsca dla ludzi, którzy stracili wszystko, i potrzebuję do tego twojej pomocy.

Nieco ją tą przemową udobruchał i pozwoliła mu się sprowadzić po drabinie na parter, a potem poszli do herbaciarni w Kensington Gardens. Edward wyjął notes i ołówek, po czym spytał Rose, o jakich musi pomyśleć meblach.

— Nie zdołasz zdobyć mebli. To znaczy... ktoś, komu zbombardowano dom, ma prawo do podstawowego umeblowania, ale wymagany jest specjalny formularz, a stan uchodźcy zapewne się nie liczy. — Potrząsnęła głową na samą myśl o ogromie przedsięwzięcia Edwarda. — Nie uda ci się nawet załatwić pościeli. Jedna z dziewczyn z Rainbow Corner, której rodzice nawet zdaniem Phyllis są bogatsi niż sam Bóg, zapłaciła sześć gwinei za dwie pościelenie, a kiedy po raz pierwszy rozłożyła jedną z nich na łóżku, w prześcieradle była tak duża dziura, że mogła wsunąć całą stopę.

Edward bynajmniej się tym nie przejął. Poprosił, żeby Rose i tak sporządziła listę.

— Będą również dzieci. Jakie rzeczy? Zabawki?

Rose widziała kiedyś w kronice filmowej, jak londyńscy strażacy zbierali kawałki drewna, robili z nich zabawki, które potem rozdawali potrzebującym, jednak i w tym przypadku nie miała pewności, czy dzieci uchodźców się kwalifikują. Niemniej, zapisała wszystko, co potrafiła wymyślić, swoim nadal niepokojąco dziecinnym pismem, po czym wręczyła notes Edwardowi, który powiedział, że zrobiło się późno i najlepiej będzie, jeśli odprowadzi ją na autobus na Piccadilly, ponieważ będzie musiała pojechać prosto do Rainbow Corner.

To było z jego strony uprzejme i świadczyło o troskliwości, więc chociaż kiedy zbliżali się do przystanku, widziała powoli nadjeżdżającą dziewiątkę, chwyciła Edwarda za rękaw.

— Będę się naprzykrzać wszystkim, których znam, żeby sprawdzili, czy mają stare zabawki i inne rzeczy, których już nie potrzebują. Jeśli to pomoże.

Wsiadła do autobusu naprawdę pełna dobrych intencji, zamierzając prosić każdego, kogo znała, o podarowanie czegoś dla uchodźców, nawet gdyby miał to być tylko jakiś stary drobiazg. Ale, jak w przypadku wielu jej dobrych intencji, tak i o tej sprawie zapomniała, ledwie weszła na parkiet w Rainbow Corner, na którym tańczyła fokstrota, jive'a, quickstepa. Następnie udała się do kolejnego klubu, potem do domu i do łóżka, aby choć trochę się przespać, zanim o szóstej wstanie do pracy.

Tak wyglądał rytm jej dni i nocy, a ponieważ na dodatek stale tęskniła za Dannym, całkowicie zapomniała o uchodźcach i obietnicach, które złożyła.

Poza tym, trudno jej się było skoncentrować na czymkolwiek, skoro w powietrzu wciąż było słychać szum i terkot, od których przechodziły ją ciarki.

Z parkietu tanecznego dobiegały szepty; mówiono o lądowaniu aliantów we Francji. Istniały podobno nawet szanse, że wojna zakończy się przed Bożym Narodzeniem.

Rose nie była pewna żadnej z tych rzeczy. Nawet gdyby wojska sojusznicze naprawdę dokonały inwazji, Hitler z pewnością odpowie tym samym, a co roku mówiono, że do Bożego Narodzenia wojna się skończy. Ale co roku święta przychodziły i mijały, wojna zaś wciąż trwała.

Rose rzeczywiście jednak odnotowała pewną zmianę, choćby w samej liczbie mężczyzn przewijających się przez Rainbow Corner. Każdej nocy widziała morze przejętych, a równocześnie zatroskanych twarzy i między tańcami miała czas jedynie na wymianę imion i szybki łyk czegoś zimnego.

Noc po nocy, kiedy przygotowywały się do snu, Phyllis dzieliła się z nimi poufnymi wiadomościami z pierwszej ręki, szepcząc pospiesznie na wypadek, gdyby pan Bryce z góry działał jako niemiecki agent (oprócz pracy w dziale księgowości w ratuszu w St. Pancras).

— Poczekają na pełnię księżyca i zbombardują Berlin, a gdy będzie w zgliszczach, dokonają zrzutu tak wielu osób, dla ilu tylko starczy spadochronów. — To była tylko jedna z nowin, które Rose usłyszała.

Tyle że wtedy wciskała palce w uszy, ponieważ nie chciała myśleć o Dannym, lecącym samolotem w pogodną, rozświetloną księżycową poświatą noc, kiedy Niemcy mogliby go łatwo wykryć na radarze i wtedy... Nawet nie potrafiła znieść myśli, co dalej. Skupiała więc umysł wyłącznie na okresie od piątkowej nocy do niedzielnego wieczoru, całych dwóch dniach, które spędzą razem. Ona i Danny. Powtarzała sobie wszystkie zabawne historie, które zamierzała mu powiedzieć i zaklepała na ten czas sukienkę Maggie z ciemnozielonego jedwabiu, a Sylvia zabrała ją do apteki w Soho; takiej z plakatem „Specjalizujemy się w kontroli urodzeń” spisany ogromnymi literami i naklejonym na szybie okna.

Przeszła na drugą stronę ulicy, żeby nikt nie widział, że stoi pod apteką. Sylvia weszła do środka sama, a dziesięć minut później wróciła, zaciskając brązową papierową torebkę, którą rzuciła Rose.

— Pudełko Volpar Gels i trzy prezerwatywy, niezawodne. Prędzej zaufam jankeskiemu kondomowi niż jankesowi, który twierdzi, że ma kondomy — wysyczała. Kiedy była czymś przejęta, zaczynała używać całkiem dosadnego języka. — Jesteś mi winna dziewięć funtów i sześć pensów.

— Aż tyle! Ale oszczędzałam na trwałą ondulację!

— Na twoich włosach trwała i tak się nie przyjmie, a jeśli facet zrobi ci dzieciaka, wybulisz więcej niż dziewięć funtów — docięła jej Sylvia, nigdy jednak nie potrafiła się długo gniewać ani dąsać.

A kiedy trzy dni później nadszedł telegram, w którym Danny prosił Rose

o spotkanie na stacji Paddington w następny piątek wieczorem, Sylvia zgodziła się nawet pożyczyć Rose dyplomatkę z krokodylej skóry.

ROZDZIAŁ XVII

Leo spał gdzie indziej. Jane nie wiedziała gdzie i w ogóle jej to nie obchodziło. Zamknęła drzwi i próbowała wcisnąć krzesło pod klamkę, na szczęście Leo się nie dobijał. Ale tak czy owak nie zasnęła.

Była za bardzo zdenerwowana. Wspomnienie Leo wyłaniającego się nad nią, wdzierającego się w jej prywatną przestrzeń; owiał ją jego oddech, a potem jego ręce... Natychmiast porzuciła te myśli.

Chociaż kiedy przestała się trząść, kiedy się w końcu uspokoiła, rozluźniła napięte mięśnie i ponownie odtworzyła sobie w głowie całą scenę, zaczęły ją ogarniać wątpliwości. Tak naprawdę Leo nie wyłonił się nad nią, był po prostu dużo od niej wyższy, a wtedy poczuła się przyciśnięta do muru. Nienawidziła takiego uczucia. Uzmysłowała sobie też, że jedynie lekko dotknął jej ramienia, właściwie tylko musnął palcami, nawet nie ścisnął, nie mówiąc o pozostawieniu sińców czy zaognionych śladów. Nie zrobił nic złego.

Zareagowała przesadnie i natychmiast, gdy zdała sobie z tego sprawę, poczuła... nie skruchę, nie, po prostu poczuła się trochę śmieszna. Gdy poznała Leo, instynktownie wiedziała, że choć nie jest wolny od wad, bez wątpienia nie należy do damskich bokserów. Teraz, kiedy znów oceniała sytuację w sposób racjonalny, zrozumiała, że wciąż miała z tym problem.

Po prostu tak wiele razy ją wcześniej skrzywdzono, że Leo — osaczając ją, podchodząc do niej — uruchomił ciąg wspomnień związanych ze złymi facetami, ciąg sięgający od Gateshead po Moskwę. Nie była to jego wina. Zawinił jednak, ponieważ wrócił do domu naćpany po uszy i obnażył jej traumę tak bezlitośnie, jak inni mężczyźni ją rozbierali. Przejrzał jej starannie skonstruowany pancerz i zobaczył, co tkwi pod nim...

Teraz wszystko się spieprzyło. Tak się dzieje, gdy zamiast działać według porządnego planu człowiek poddaje się impulsowi i zdaje się na los.

Przez jeden krótki moment, gdy tak leżała, rozważyła nawet telefon do Andrew, ale to była tylko chwila słabości. Miała ich ostatnio zbyt wiele. Nie, jeśli chodzi o Andrew, spaliła za sobą mosty. On pewnie by jej wybaczył, ale Jackie nigdy nie przyjmie jej z powrotem z otwartymi ramionami. Poza tym Andrew nadal był do tyłu z kasą i nie miał tych technologicznych miliardów.

Siedziała skulona i zadumana na łóżku przez tak długi czas, że nie zauważyła jego upływu. Noc się skończyła, był ranek.

Nowy dzień.

Czas na kolejny nowy początek.

Leo spędził noc w zimnej sypialni po drugiej stronie domu. Zazwyczaj, gdy się kładł w takim stanie, podekscytowanie mijało i niemal potrafił spać na stojąco. Raz na jakiejś imprezie zasnął nawet na ociekaczu do naczyń ze stopami w zlewie.

Tej nocy jednak nie spał. Leżał na nieposłanym łóżku i wpatrywał się w mrok, śledząc snopy światła przesuwające się po suficie, ilekroć jakiś pojazd mijał dom. Myślał o twarzy Jane, jej pięknej twarzy o regularnych rysach... takiej powykrzywianej. I o tym, jak szaleńczo go zaatakowała. O słowach, które z siebie wyrzuciła.

Rozgniewały ją jego kaśliwe oskarżenia, a później jego niezdarne próby naprawienia sytuacji, przede wszystkim jednak była przerażona. Teraz, kiedy narkotyki nie zaćmiewały już jego zmysłów, wiedział o tym z całą stanowczością. Chociaż ludzie bardzo się od siebie różnią, gniew i przerażenie wyglądają u każdego podobnie. Tyle że Leo nigdy przedtem nikogo nie przeraził. Wielu cech w sobie nie lubił, lecz z pewnością, cholera, nie należał do mężczyzn, z którymi kobieta boi się zostać sama, jeśli nie ma prostej drogi do drzwi. Na samą myśl o takich facetach go mdliło.

Minęła dziewiąta. Nie mógł spać, bo przepełniało go uczucie wstrętu do samego siebie, więc równie dobrze mógł wstać. Spędził długie sekundy w przyległej do pokoju łazience, w której, zaciskając dłonie na bokach umywalki, wpatrywał się w lustro i szukał na twarzy szkód. Miał zadrapania na prawym policzku po paznokciach Jane i przecięcie tuż nad okiem, tam gdzie jego skórę musnęła rzucona figurka. Na rozcięciu był już krwisty strupek, a pod nim widniał brudnofioletowy siniak, który prezentował się dodatkowo szokująco na tle jego ziemistej twarzy.

Cóż, zasłużył sobie na to. Podobnie jak na przekrwione oczy o obrzmiałych powiekach, które otwierały się ledwie na szczelinę, na spuchnięty podbródek i na obwisły brzuch, który wylewał się znad dzinsów.

A ponieważ zasługiwał również na kolejny wybuch jej gniewu, który gotował się w Jane przez wiele godzin, Leo przeszedł korytarz i wkroczył do swojej sypialni, garbiąc ramiona z lęku, lecz i z nadzieją.

Minęło trochę czasu, zanim jego niemrawy umysł odnotował, że Jane w środku nie ma, za co był początkowo wdzięczny, chociaż czuł, że to tylko tymczasowe odroczenie egzekucji. Potem jednak uprzytomnił sobie, że zniknęły wszystkie jej rzeczy. Ubrania, buty, kolosalna ilość mikstur i maści — jego żona, którą poślubił kilka dni temu, wszystko prawdopodobnie zapakowała do walizki od Louisa Vuittona i niepostrzeżenie się oddaliła.

Powinien się cieszyć, że nie czeka go cichy poranek po awanturze, ale ogarnęło go jedynie przytłaczające poczucie, że znowu wszystko spektakularnie spieprzył. Może szybka i bezbolesna śmierć byłaby bardziej pożądana od świadomości, że ciągle rozczarowuje ludzi, którzy za bardzo się do niego zbliżą.

Śmierć nie nadeszła. Zamiast tego, kiedy Leo wyszedł na korytarz, akurat przechodziła nim Rose. Zatrzymała się, odwróciła i popatrzyła na niego. Stał nieruchomo i zapragnął się skurczyć, a potem zniknąć, żeby pozostał po nim tylko

mały stos zabrudzonych rzeczy, które Lydia mogłaby oddać ogrodnikowi do spalenia.

Rose ubrana była całkowicie na czarno i nosiła ciemne okulary przeciwsłoneczne. Wydała mu się tego ranka absolutnie przerażająca. Był pewny, że gdyby zdjęła okulary, umiałaby gniewnym spojrzeniem lodowato zimnych, błękitnych oczu zmienić go w kamień.

— Witaj, Rose — zagaił jak najpogodniej, usiłując zasugerować, że dzień niczym się nie różni od innych. — Co do ostatniej nocy... Jeśli cię obudziłem... jeśli ci przeszkodził... — Podrapał się po głowie. — Trochę się poprzytykaliśmy, ja i Jane. Więc, tak, no... Przepraszam. — Język miał tak opuchnięty, że wydawał się dwukrotnie przekraczać swój normalny rozmiar i Leo musiał przeciskać słowa obok tej przeszkody. Uśmiechnął się potulnie, a Rose wciąż stała w miejscu, milcząca, obojętna. — Naprawdę przepraszam. Nie tylko za ostatnią noc, ale, wiesz, za wszystko. — Powiedział to jeszcze raz, nie tylko do Rose, która tkwiła w całkowitym bezruchu, lecz także do siebie, wychodząc z założenia, że jeśli będzie powtarzał te słowa wystarczająco często i dostatecznie głośno, może wówczas mu się wbiją w głupi łeb. — Coś takiego nie zdarzy się ponownie, obiecuję.

Ruszyła z miejsca, minęła go i odeszła, jakby wcale go nie zauważyła albo nie usłyszała ani jednego z jego słów.

Obrócił się i obserwował jej mocny i pewny jak zawsze krok, aż dotarła do schodów i zeszła.

Ileż dziewczyn Leo porzucił? Dziewczyn, z których każda uważała się za „tą jedyną”, póki nie odkryła, że Leo pieprzy na boku inną? Niezliczoną liczbę razy przechodził też na drugą stronę ulicy, chcąc uniknąć licznych przyjaciół, którym był dłużny pieniądze. Wbiegał do barów z fast foodami i drogerii, a raz nawet dał nura do salonu urody, ponieważ dostrzegł kogoś, kto zamierzał dać mu wycisk. Nigdy się przy tym nie zastanawiał, jak czuje się osoba, wobec której tak się zachował. Teraz wiedział. Sam poczuł się jak duch. Jak gdyby jego słowa stanowiły niewiele więcej niż tylko pozbawiony znaczenia efekt ruchu zębów, języka i oddechu. Jak gdyby Leo nawet tam nie było. Wtedy pomyślał o tej sytuacji w Sydney, kiedy szedł przez Bondi Park i nie mógł się nigdzie schować ani za niczym ukryć, więc przeszedł tuż obok niego, krwi z jego krwi...

Usłyszał trzask drzwi frontowych. Rose najwyraźniej wyszła do biura. Miała po osiemdziesiątce. Twierdziła, że umiera. I chodziła do biura, podczas gdy Leo ledwie miał siły wziąć prysznic, ogolić się niebezpiecznie drżącymi rękoma, a potem niepewnym krokiem zejść do kuchni.

Lydia siedziała przed laptopem na jednym ze stołków ustawionych wokół centralnej wysepki z ladą. Sprawdziała duży kuchenny terminarz.

— Przepraszam — powtórzył Leo, ponieważ kiedy takie słowo wymówi się

raz, następny nie wymaga niemal żadnego wysiłku. — Strasznie przepraszam za ubiegłą noc. Za to, że obudziłem ciebie i Franka. Jestem totalnym dupkiem. Proszę, Lydio, powiedz, że mi wybaczasz. — Uśmiechnął się i rozcięta nad okiem skóra szarpnęła i zaczęła pulsować. — Może wstawię czajnik, a ty znajdziesz dla mnie ibuprofen i zrobisz swoją słynną jajecznicę?

Lydia sprawdziła coś w terminarzu, po czym wystukała coś na klawiaturze. W końcu podniosła głowę na Leo. Pożałował tego.

— Nie wybaczam ci.

Czekał, aż rozwinie temat, dzięki czemu będzie mógł się do tego ustosunkować, chociaż właściwie nie potrzebował dalszych wyjaśnień, ona jednak siedziała w milczeniu z brodą opartą teraz na dłoni, a jej zazwyczaj dobroniuszna twarz z troski nieprzyjemnie się zmarszczyła.

— Daj spokój, Liddy, powiedziałem, że przepraszam. — Głos mu się łamał, bo Leo stał teraz na niepewnym gruncie. — Mówię poważnie. Rose ze mną nie rozmawia. Jane mnie opuściła. Nie wbijaj mi noża w plecy i ty.

Lydia zapatrzyła się w dal, gdzieś w lewo, po czym odwróciła się do niego plecami, jak ktoś, kto podjął długą o odwlekaną decyzję.

— Rozmawiałam z Frankiem. Zgadza się ze mną, że nigdy nie powinnam cię prosić o przyjazd do domu.

Zabrzmiało to stanowczo. Być może sprawa została postanowiona i Leo nie mógł powiedzieć na swoją obronę.

— Słuchaj, wiem, że pewnie jestem gnojkiem. Staram się to zmienić.

— Nie, wcale się nie starasz. Ani trochę. Myślałam, że połączymy siły i będziemy tu dla Rose, ponieważ powinna mieć teraz przy sobie rodzinę, a ty byłeś kiedyś członkiem jej rodziny. — W jej głosie wyczuwało się napięcie i Lydia znów spojrzała w lewo, ponieważ była bliska łez, a Leo wiedział, że jeśli ona zacznie płakać, również się rozklei.

— Wciąż jestem — jęknął nieco desperacko. — Wciąż jeszcze mogę być...

— Nie, nie możesz. — Lydia zeszła ze stołka.

— Kiedy Rose wróci, przeproszę ją jak należy...

Lydia podeszła do miejsca, na którym stał, ciągle w progu, i zadarła na niego głowę.

— Zakłóciłeś jej spokój wczoraj w nocy. I to dwa razy! — W jej oczach stały teraz łzy i zamrugała szybko powiekami. — Nie możesz tu zostać. Jesteś nieprzydatny. Jeśli potrzebujesz, mogę ci dać trochę pieniędzy, ale twój pobyt tutaj absolutnie nie ma sensu.

Do tej pory powinien był już się przyzwycząić, że nie potrafi sprostać nawet bardzo niskim oczekiwaniom innych osób.

— Mogę pomóc — wyszeptał. — Pomogę! Zmienię się. To ten kopniak w dupę, którego potrzebowałem. Musisz mi uwierzyć, Liddy.

— Słyszałam tę przemowę tyle razy. — Delikatnie dotknęła rozcięcia na jego twarzy. — Ledwie wypijesz kilka drinków, o wszystkim zapomnisz. A co z Jane? Uciekła stąd bez jednego słowa pożegnania. Czekał na nią samochód... Schrzaniłeś to, co?

— O Boże, nawet nie pytaj, ile schrzaniłem. — Oddałby wszystko, żeby zapaść się pod ziemię lub choćby ukryć w niej twarz. Rozpoczynanie nowego rozdziału w życiu nie powinno być takie trudne. — Ułożę sprawy z Rose i nawet nie będziecie wiedziały, że tu jestem. Nie będę sprawiał żadnych kłopotów.

— Trochę na to za późno — mruknęła Lydia, ale Leo sądził, że może się zawahała i właśnie myślał, jak wykorzystać swoje atuty, kiedy rozległo się pukanie do tylnych drzwi.

Oboje się odwrócili, zadowoleni, że ktoś przerywa im rozmowę. To był Mark, zięć Lydii, chociaż, gdy Leo go poznał, tylko chodził z jej córką. Wyglądał starzej, obcięte na języka włosy przyprószyła siwizna, jednak na widok stojącego w drzwiach do kuchni Leo szeroko się uśmiechnął i od razu zmienił z powrotem w tego samego pewnego siebie chłopaka, wraz z którym Leo nieraz pakował się w różnego rodzaju tarapaty.

— Cześć, stary. Słyszałem, że wróciłeś. — Mark najwyraźniej nadal pracował w brygadzie konserwacyjnej, gdyż miał na sobie pokryty grubymi plamami farby kombinezon i stał w wejściu, nie chcąc zostawić błotnistych śladów na błyszczących kaflach Lydii. — Słyszałem też, że się ożeniłeś. Więc... Ona ci to zrobiła?

Ale ze wszystkich jego obecnych nieszczęść rozcięcie na policzku było dla Leo najmniejszym problemem.

— Można tak powiedzieć. A co u ciebie? Ciągłe pracujesz dla firmy, co? Bill wciąż szefuje?

— Nie, parę lat temu odszedł na emeryturę. Teraz ja jestem szefem. — Mark udawał, że wypina chudą pierś. — Mam wszystko na oku. Żadnego obijania się w robocie.

W dawnych czasach Leo nierzadko wychodził z ekipą techniczną w teren. Rozgrywali mecze w piłkę w ogromnych pustych pokojach nieruchomości Rose. Jadali długie lunchy w najbliższych barach, dyskutując przy okazji o szczegółach sobotniego meczu ligowego, a jeszcze dłużej przesiadywali wieczorami w pubie, wypijali wielkie kufle piwa i grali w bilard. Przy okazji Leo nauczył się jednak także tynkować czy wymieniać instalację elektryczną; nabył też mnóstwo innych rzeczywistych umiejętności, które między zamówieniami na obrazy zawsze okazywały się bardzo użyteczne. Czasami odnosił wrażenie, że większość dorosłego życia spędził między zamówieniami, jak aktor, który czeka na rolę.

Mark pytał teraz Lydię, czy wraz z Frankiem przyjdą w niedzielę na obiad. Mieli dzieci, wnuki Lydii. Promieniała, kiedy Mark pokazał ich zdjęcie w telefonie.

— Czekaj, aż powiem Rose, że na Halloween przebierają się za sufrażystki — oznajmiła, a Leo odwrócił się i zaczął przetrząsać dobrze zaopatrzoną lodówkę.

Wyjął wszystko, czego potrzebował do kanapki z jajkiem sadzonym, a wówczas poczuł przypływ natchnienia. Tak, istniał sposób, żeby zacząć naprawiać stosunki z Rose. I z Lydią. To będzie maleńki krok we właściwym kierunku.

— Mark, nie przypuszczam, żebyście potrzebowali dodatkowej pary rąk w ekipie, co?

— Kto wie? — Mark przekrzywił głowę. — Paru chłopaków choruje. Piszesz się na ciężką harówkę czy szok cię zabije?

Lydia opierała się o ladę z rękoma założonymi na piersi.

— To by się mogło udać — wycedziła zgryźliwie. — Jeśli kac nie dopadnie go pierwszy.

— Prawdopodobnie straciłem trochę wprawę — przyznał się Leo. — Ale jeśli mnie chcecie, jestem chętny.

Wcześniej tęsknił za tymi miesiącami, kiedy większą przyjemność sprawiało mu nakładanie farby na ścianę niż na płótno malarskie, a w każde piątkowe popołudnie odbierał małą szarą kopertę pełną uczciwie zarobionych banknotów.

— Zgoda. Przyjdź na dzień próbny. — Mark zerknął na Lydię, która kiwnęła głową.

— Nie interesuje mnie, co z nim zrobisz — podsumowała. — Niech tylko przestanie mnie denerwować.

ROZDZIAŁ XVIII

Jane zarezerwowała wcześniej pokój w małym luksusowym hotelu w ekskluzywnej dzielnicy Mayfair, w którym zatrzymywała się przedtem, ilekroć potrzebowała kryjówki, miejsca, w którym mogłaby lizać wciąż bolące rany. Natychmiast gdy zaprowadzono ją do pokoju i drzwi zamknęły się za nią z subtelnym i dyskretnym kliknięciem, usiadła na łóżko, pochylając ciężkie ramiona.

— Nie jesteś złą osobą — powiedziała sobie na głos. Słowa pociechy z jej wyświechtanej starej mantry. — Przydarzyły ci się złe rzeczy i dlatego teraz taka jesteś.

Kim jednak była? Nie była dziewczyną Andrew, Janey Monroe. Ani żoną Leo, Jane Hurst. Mimo wszystkich tych lat znowu była po prostu Jane.

Imię nadal pasowało do niej tak samo idealnie jak wtedy, gdy je sobie wybrała.

W tamtym momencie mieszkała u Charlesa już rok. Wyprawiali się dalej niż tylko do supermarketu. Charles zabierał ją do galerii sztuki, muzeów, teatru. Szczególnie uwielbiał iść z nią do restauracji, a tam pomagał wybierać z jadłospisów pełnych potraw, których nazwy wciąż jeszcze uczyła się czytać. Przez cały ten czas nadal ani razu jej nie dotknął i wreszcie zaczęła wierzyć, że nigdy tego nie zrobi.

Później, pewnej niedzieli po lunchu, kazał jej usiąść.

— Nie musisz mi mówić, kim jesteś ani skąd pochodzisz — oświadczył, ponieważ zawsze wolał podsunąć rozwiązanie niż roztrząsać problem; na tym polegał jego szczególny, wspaniały dar — ale nie masz nazwiska. Musisz jakieś mieć. Potrzebujesz dokumentów. Człowiek nie może żyć bez dokumentów.

— Nie mam nazwiska — odparła, ponieważ wyrzuciła je z głowy od razu, gdy wskoczyła do tego pociągu, i nigdy więcej go nie wypowiedziała. — I nie mam dokumenty.

— Dokumentów. Nie masz dokumentów — poprawił ją łagodnie nie po raz pierwszy.

Kiedy wyznała, że nie zna swojej dokładnej daty urodzin, początkowo sądził, że go okłamała. Potem zrozumiał, że mówiła prawdę i że nigdy nie obchodziła urodzin z kartkami, prezentami, zdmuchiowaniem świeczek i wypowiedaniem życzenia, że miała dopiero piętnaście lat, gdy spotkał ją w tym pociągu, a obecnie jedynie szesnaście, chociaż czuła się starsza niż świat; wtedy zsunął się z wysokiego stołka, wszedł do toalety na dole i przez jakiś czas nie wychodził.

— Powiedz mi mniej więcej, kiedy i gdzie się urodziłaś, a każę komuś poszperać — polecił po wyjściu z twarzą zaczerwienioną, oczyma bardziej przekrwionymi. — Jakie to dziwne, że udało nam się przetrwać tyle czasu, nie

nadając ci imienia. Jak chciałabyś się nazywać?

Ponieważ każdego popołudnia przez tydzień oglądała *Mężczyźni wolą blondynki*, wybrała imię Jane.

Jane Audrey Monroe. Audrey, bo Audrey Hepburn nauczyła ją mówić tak, jak mówią damy. Monroe, gdyż Marilyn umiała sprawić, żeby ludzie traktowali ją jak boginię. A Jane — na cześć Jane Russell, która nikomu nie dawała się ogłupić. Nikomu! Postanowiła, że i ona nie da sobie w kaszę dmuchać.

Charles był zadowolony.

— Podoba mi się „Jane” — odrzekł, wyjmując formularze, które musiała wypełnić, jeśli miała stać się nową osobą. — Dobrze, porządne imię.

W kontaktach z dziewczyną imieniem Jane ludzie zawsze myśleli, że wiedzą, na czym stoją. Dziewczyna imieniem Jane była czystą kartą; mogła zostać tym, kim ktoś chciał, żeby była. Nie miała żadnych skrupułów, wchodziła do hotelowego baru w południe, zupełnie sama w czarnej dżersejowej sukni, od Alexandra McQueen, z długim rękawem i zabudowanej pod szyją. Włosy ułożone w kok. Minimalny makijaż. Zajmowała miejsce przy stoliku wciśniętym w kąt.

Dziś zamierzała wypić kieliszek szampana (choć przysięgała, że nigdy więcej nie tknie już alkoholu), podsumowując w ten sposób koniec tamtego rozdziału jej życia. I wzniesić toast za przyszłość, jakkolwiek mogła być niepewna.

Rozejrzała się po sali. Była bardzo stonowana — jasnoszare i ciemne drewno, same łagodne krzywizny, wokół krzepiąca kosztowność. Pozostali goście byli mężczyznami, pomijając jedną dość żałośnie wyglądającą kobietę w średnim wieku, która siedziała ze starszawym mężczyzną i z determinacją wpatrywała się w okno, podczas gdy on czytał „Financial Timesa”.

Jane próbowała przyciągnąć wzrok kelnera, lecz ten już się do niej zbliżał z kieliszkiem szampana. Dyskretnie przedłożył wizytówkę i postawił przed Jane na stoliku smukły wysoki kieliszek.

— Od tamtego dżentelmena przy barze — mruknął.

Jane nawet nie raczyła zerknąć na wizytówkę.

— Proszę powiedzieć, że bardzo dziękuję, ale czekam na kogoś.

A jednak wypijała szampana. Na zewnątrz padał deszcz, dużo krople spływały po szybie, a ponieważ pomieszczenie się w niej odbijało, widziała, jak mężczyzna z narożnego stolika opuszcza bar.

Od jego wyjścia nie minęły dwie minuty i kelner przyniósł kolejny kieliszek szampana i kolejną wizytówkę od tęgiego łysola, który siedział kilka stołów dalej. Tym razem Jane odesłała zarówno szampana, jak i wizytówkę. Mężczyzna wstał, odsunął na bok kelnera, wymówił bezgłośnie słowo „suka” i posłał jej wściekle, mściwe spojrzenie.

Pięć minut później pojawił się jeszcze jeden kieliszek, tym razem jednak bez wizytówki, tylko z karteczką. „Jesteś zbyt piękna, żebyś siedziała sama. Chciałbym

przyłączyć się do ciebie na drinka”.

Jane nie widziała dobroczyńcy.

— Siedzi za rogiem — wyjaśnił kelner, gdy go spytała. — Wygląda w porządku. Niezbyt stary. Myślę, że to Rosjanin. Zamówił półtorej wielkiej butli szampana, potem poprosił, żebym przyniósł pani kieliszek. Co mam mu powiedzieć?

Sprawa wydawała się łatwa, tak naprawdę jednak dla dziewczyny, która chce zarobić fortunę, był to sposób najtrudniejszy. Nie, nie mogła do tego wrócić.

Wstała.

— Powiedz mu, że bardzo mu dziękuję, ale jednak nie skorzystam z propozycji — obwieściła, po czym wyszła z baru.

Leo zwymiotował po drodze do mieszkania w Chelsea, gdzie pracowali Mark i ludzie z jego ekipy. Na miejscu nie przydawał się za bardzo, nosił jedynie materiały, bardzo powoli i ostrożnie, podczas gdy pozostali uważnie burzyli zapadający się sufit, pilnując, by nie uszkodzić gzymsu.

O siedemnastej wsiadł w autobus z powrotem do Kensington i teraz dochodził do placu. Nie chciał się spotkać oko w oko ani z Rose, ani z Lydią, ale wiedział, że konfrontacja jest nieunikniona. Kiedy tak stał i się wahał, niemal tuż obok niego zatrzymała się taksówka, mignęły mu włosy w miodowym odcieniu blond, z samochodu wysiadł kierowca, otworzył bagażnik i wyjął znajomą walizkę.

— Co tu, do diabła, robisz? — spytał Jane, kiedy otworzyła drzwiczki, a on podał jej rękę i pomógł wysiąść z taksówki. — Myślałem, że odeszłaś... że mnie zostawiłaś.

— Zmiana planu, kochany. — Stała na chodniku, obok niego, walizka tuż przy niej. Ich własna wersja *Dnia świstaka*. Nowością był jedynie deszcz. Jane popatrzyła na niego spod rzęs. On spojrzał na nią. Jej dolna warga drżała. Może z powodu chłodu, a może ponieważ Jane przypominała sobie ostatnią noc...

— Przepraszam, Jane. — Przepraszanie coraz lepiej mu wychodziło. — Wybacz, że przyszedłem do domu w takim stanie i strasznie cię przepraszam, że powiedziałem wszystkie te okropne słowa, ale musisz wiedzieć, że nie zamierzałem cię skrzywdzić, kiedy do ciebie podchodziłem. Sytuacja wymknęła mi się spod kontroli i pomyślałem, że gdybym mógł cię przytulić, wziąć w ramiona...

Umilkł, gdyż położyła mu rękę na ramieniu, niemal w taki sposób, w jaki usiłował ją dotknąć ostatniej nocy.

— Wiem, kochany — oznajmiła łagodnie. — Ja również cię przepraszam. Zareagowałam przesadnie. Na ogół nie mam zwyczaju bić ludzi ciężkimi przedmiotami. Czy rana na twarzy bardzo cię boli?

— Tak, lecz bywało gorzej — rzucił szybko, zanim odejdą od tematu. — Naprawdę nie masz za co przepraszać. To moja wina, nieprawdaż? Znowu straciłem rozum, a później wyciągnąłem lepkie łapy i cię wystraszyłem. Czuję się

naprawdę paskudnie, że tak się przeraziłaś.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Kochany, było późno i byłam zmęczona, a ty mnie zaskoczyłeś. Nie powiedziałabym, że się przeraziłam, raczej miałam paskudny atak *déjà vu*.

— Ktoś cię kiedyś skrzywdził? — Leo nie czuł się z tego powodu ani trochę lepiej, lecz wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej paskudnie, ponieważ Jane, która ledwo sięgała mu do brody i bez wątpienia ważyła o połowę mniej od niego, ucierpiała z rąk innego mężczyzny. — Przywołałem coś...

— Słuchaj, ty przeprosiłeś, ja przeprosiłam, oboje przeprosiliśmy. — Po raz kolejny ścisnęła jego ramię. — Wszystkie przeprosiny padły, kochany. Idźmy po prostu naprzód, dobrze?

Spodziewał się dużo trudniejszej walki o wybaczenie. Ulżyło mu, że nie musi o nie walczyć.

— Jeśli o mnie chodzi, wszystko jest w porządku. Więc teraz możesz mi powiedzieć, dlaczego wróciłaś.

— No cóż, kochany — odparła powoli. — Rzecz w tym, że jesteśmy małżeństwem, ty i ja, i to raczej komplikuje sprawy. Miałam jakieś życie z moim byłym, a teraz on odszedł, a ja nie wiem, kim bez niego jestem, gdzie powinnam być, co robić dalej. Dlatego pomyślałam, że może powinniśmy po prostu na pewien czas pozostać małżeństwem i zobaczymy, do czego nas to doprowadzi. — Jej dolna warga ponownie zadrżała i Leo odniósł wrażenie, że Jane wyuczonym ruchem przechyliła głowę w wyuczoną pozycję, dzięki któremu kropla deszczu na moment przywarła do jej rzęs, a później powoli zaczęła spływać po policzku.

— Och, Jane, proszę, nie wciskaj kitu łgarzowi — powiedział życzliwie. — Może spróbujesz jeszcze raz?

Przez ułamek sekundy wyglądała na nielecho wściekłą, potem jednak zacisnęła mocno usta, prawdopodobnie usiłując stłumić śmiech.

— Kochany — wytknęła mu z wyrzutem, niezadowolona, że zachował się w sposób odbiegający od powszechnie obowiązujących norm, nie dając jej się omamić.

— Chcesz spróbować jeszcze raz bez tych teatralnych gestów? — spytał twardo.

Stali w deszczu, prowokując się wzajemnie; jedno czekało, aż drugie ustąpi. Dopiero kiedy Jane zadygotała, Leo złagodniał i rozłożył ramiona.

— Chodź — powiedział, biorąc jej walizkę. — Napijmy się czegoś.

Pub znajdował się parę przecznic dalej i okazał się pusty, poza kilkoma maruderami w roboczych strojach, którzy woleli posiedzieć nad kuflem piwa niż pójść po pracy do domu.

Leo zamówił piwo, Jane — kieliszek wina Viognier. Opowiadał, jak tęsknił za tym ciepłym dymnym zapachem zwietrzałego piwa i zastałym dymem, który

unosił się tutaj, zanim wprowadzono zakaz palenia. Mówił o pubach na West Endzie, w których bywał jako student akademii sztuk pięknych:

— ...ponieważ były autentyczne i pełne starszych facetów, którzy przysypiali nad kufłami i egzemplarzami „The Sun”, i którzy nam również wydawali się autentyczni. Nie cierpieli nas za pretensjonalność i traktowali jak bogatych turystów, którzy wpadli obejrzeć sobie slumsy. Gdy graliśmy w bilard, zawsze usiłowali nam coś zwędzić.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Jane odwzajemniła się tym samym.

— Wypijałeś wielkie kufle bittera, chociaż tak naprawdę nienawidziłeś jego smaku?

— Skąd w ogóle wiesz, co to jest bitter? — Leo udawał, że dławi się swoim lagerem, a Jane zachichotała. — Czyż nie zjadłeś zębów na szampanie i tartinkach?

— Po jakimś czasie dziewczyna może się znudzić szampanem i przepiórczymi jajkami.

Przyniesiono pizzę, którą zamówili, i Jane zjadła dwa kawałki. Leo pochłonał pozostałe, a kiedy napełnił brzuch, zamówił drugie piwo. Pewnie wygładał na odprężonego i dlatego Jane zdecydowała się na wyznania.

— Myślałam, że Andrew, mój Eks, natychmiast zechce mnie z powrotem, ale kiedy do niego zadzwoniłam, musiałam mu powiedzieć, że wyszłam za mąż za ciebie w Las Vegas. Po prostu musiałam. A już mówił, że zabierze mnie do ratusza, gdy tylko wyląduję na JFK.

Leo popatrzył na nią z zaciekawieniem. Ciągle nie potrafił stwierdzić, kiedy kłamała.

— I co wtedy powiedział?

— Rzucił całkiem sporo wyzwisk i oskarżeń. Słów, które raz wypowiedziane, trudno cofnąć... Znowu zobaczyłam jego zupełnie inne oblicze. A ponieważ mi się nie spodobało, postanowiłam, że prawdopodobnie lepiej w porę się wycofać. — Usiadła prosto i poruszyła ramionami, udając zrelaksowaną i spokojną, jednak tak mocno trzymała nóżkę kieliszka, że jej kłykcie pobieły, a palce tak napięły, że Leo się zastanowił, czy mogą się połamać. — Tak to jest, kochany. Szczerłość nie zawsze stanowi najlepszą politykę.

— Nie wróciłem po pieniądze Rose — oznajmił cicho. — Wróciłem, ponieważ zrobiłem pewne rzeczy przed wyjazdem, naprawdę paskudne, zdradziłem jej zaufanie... Nie zamierzam ci powiedzieć, co dokładnie, ale chcę... Naprawdę potrzebuję jej przebaczenia... I, tak, wiem, nie zacząłem dobrze tej sprawy...

— Mogłabym ci pomóc — zaoferowała się Jane. — Mam dość wyjątkowe umiejętności, kiedy chodzi o...

— Przestań mnie brać pod włos — przerwał jej ostro i jej palce na nóżce kieliszka napięły się jeszcze bardziej. Odstawiła kieliszek. — Dlaczego zawsze mi się wydaje, że masz jakiś sekretny plan?

— Kochany...

— Przestań mówić do mnie „kochany” — uciął. — I dość innych bzdur! — Uznał, że po ostatniej nocy i po tym, co zaszło między nią i jej byłym, Jane nie miała powodu do niego wracać, chyba że... — Poszperałaś na temat Rose, co? To nie powinno być zbyt trudne. Wystarczyło wpisać jej nazwisko w Google’u albo w Wikipedii. — Sam je wpisywał przez te wszystkie lata. Kiedy samotność i nostalgia narastały do poziomu fizycznego bólu, znów chciał być blisko Rose. Wprawdzie garstka suchych faktów, które pojawiały się na ekranie komputera ani trochę nie łagodziła jego tęsknoty, rozumiał jednak, że dla kobiety takiej jak Jane, przywykłej do pewnego standardu życia, informacje na pewno stanowiły interesującą lekturę. — To nie ma sensu — powiedział jej, a ona spuściła głowę, może przyznając, że przejrzał jej zamiary. Pewnie dlatego nie patrzyła mu w oczy. — Rose nie zostawi mi ani pensa, więc jeśli na to liczyłaś, mogę równie dobrze od razu wezwać dla ciebie kolejną taksówkę. Może uda ci się odlecieć do Nowego Jorku jeszcze dziś wieczorem.

Położył na stoliku ręce, otwartymi dłońmi do góry, niczym iluzjonista, który sugeruje, że, zanim przejdzie do kolejnej sztuczki, Jane powinna poszukać ukrytych kluczy i niewidocznych fantów. Ona jednak zamiast tego ułożyła dłonie w identyczny sposób.

— Więc... Nie jesteśmy najlepszymi ludźmi na świecie, ani ty, ani ja, ale znasz kogoś takiego? Co nie znaczy, że nie możemy ciągnąć tego małżeństwa.

— Dlaczego chcesz ze mną utknąć? — spytał, ponieważ wydawało mu się, że Jane ma świat u swoich stóp. Że następny bogaty mężczyzna szybko pojawi się na jej horyzoncie i poprawi jej sytuację. — Co w tym dla siebie widzisz?

— Ucięłam sobie dziś po południu króciutką wstępną pogawędkę z moim prawnikiem, zanim spotkamy się na dłużej w przyszłym tygodniu. — Nawet nie próbowała mu odpowiedzieć. — Okazuje się, że nie możemy wystąpić o unieważnienie związku. Nie z powodu nieskonsumowania, nawet gdyby sam papież za nas poręczył. Żadne z nas nie jest też w innym związku małżeńskim, nie jesteśmy spokrewnieni i nie możemy udowodnić niepoczytalności. Nawet tymczasowej.

— Koszmarna sprawa.

— Czytasz w moich myślach. Tak czy inaczej, kochany, rozstać możemy się tylko poprzez rozwód. — Pochyliła się przed siebie i położyła swoje dłonie na jego. Zakrawało to z jej strony na śmiałość, mimo że wcześniej się całowali, a on był w niej. — Wiem, że mi nie ufasz, że nie dałam ci powodów do zaufania, ale nigdzie się nie wybieram. Oprócz naszej wygranej z Las Vegas, nie mam nic. Andrew twardo nalegał, że natychmiast muszę mu odesłać FedExem pierścionek zaręczynowy i biżuterię, więc nawet nie mogłam sprzedać kosztowności... — Zrobiła głęboki wdech. — Właśnie dlatego miałam szczerą nadzieję, że może

ciągle jeszcze potrzebujesz żony.

— Nie chcę już dłużej okłamywać Rose. Znudziło mi się oszukiwanie wszystkich, łącznie ze mną samym — odparował Leo, chociaż miło było udawać, że Jane naprawdę go wybrała.

— Ale to nie jest kłamstwo. Pobraliśmy się przecież i właśnie sobie pomyślałam... miałam nadzieję, że moglibyśmy na powrót stać się tacy, jacy byliśmy, gdy się spotkaliśmy — zaproponowała.

— Tak wiele dni temu?

— Wydaje się, że upłynęły lata! — Przesunęła powoli paznokciem przez całą długość jego palca środkowego, a Leo poczuł, że w reakcji na ten ulotny gest twardnieje mu członek. Był przypadkiem beznadziejnym. — Zanim wzięliśmy ślub. Kiedy siedzieliśmy w tamtym barze. Ty, uroczy nieznajomy, i ja, dama w opałach.

— Byłem naprawdę aż taki uroczy? — Miał tak ciężkie powieki, że dziwiło go, jak w ogóle cokolwiek widzi.

— Miażdżyłeś — zapewniła go. — Gdyby nie fakt, że właśnie mnie porzucono i gdybyśmy byli w bardziej prywatnym miejscu, sądzę, że w pięć minut byłabym naga.

Nadal gładziła jego środkowy palec w górę i w dół, powoli. Bardzo, bardzo powoli.

— Wydaje mi się, że twoje komplementy są nieco na wyrost — zauważył spokojnie. Znał zasady tej gry. — Pewnie zajęłoby to z dziesięć minut. Po dziesięciu minutach byłabyś naga, po piętnastu całkiem mokra, a po dwudziestu błagałabyś o to. — Roześmiał się, kiedy Jane oderwała ręce i pogroziła mu palcem, lecz również się śmiała. — Och, Jane, Jane, dziewczyno, proszę, przestań próbować ze mną tych gier, bo nie działają.

Problem polegał na tym, że gdy się starała, Leo dobrze się bawił i chociaż podkreśliła, że ich nowa bliskość nie rozciąga się na jej ewentualną nagość, wrócili do domu, trzymając się za ręce. Weszli niemal równocześnie z Rose, która wróciła właśnie z wieczornego spotkania z matką Leo.

Wyglądała na zmęczoną, trochę smutną i może nie była to odpowiednia pora na rozmowy, ale Leo postanowił spróbować.

— Przyjemnie spędziłaś czas z Lindą? Kolacja i teatr, nieprawdaż? — uprzedziła go Jane. — Co obejrzałyście? Coś dobrego?

Rose bardzo ceniła doskonałe maniery.

— Wznowienie musicalu *Anything Goes*. Nie miałyśmy nastroju na coś zbyt ambitnego — odparła, a kiedy ruszyła w górę po schodach, we dwoje podążyli za nią i Leo widział, że jej krok jest powolny i ciężki. Jakże odmienny od jej porannego marszu. Ale przecież było późno. Wcześniej poszła do biura, a spotkania z jego matką zawsze były męczące. Nic więc dziwnego, że Rose

wydawała się wyczerpana.

Było oczywiste, że Rose na przejście dwóch kondygnacji schodów zużyje wszystkie siły, jednak kiedy dotarli na piętro i już się mieli rozejść, Jane dotknęła jej ramienia. Była od Leo znacznie odważniejsza.

— Oboje strasznie cię przepraszamy za ubiegłą noc. Bez wątpienia słyszałaś, że darłam się jak przekupka z Billingsgate — oświadczyła, przechodząc wprost do rzeczy. — Kiedy Leo przychodzi do domu w tym stanie, często dokładnie tak reaguję.

Uśmiech Rose był — w najlepszym razie — lodowaty.

— A mimo to za niego wyszłaś.

Jane ścisnęła jego rękę.

— Wypiłam wtedy dość dużo szampana — odrzekła tonem osoby, która przyznaje się do strasznego przestępstwa, a wtedy zdarzył się cud. Rose wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Uśmiech odjął jej pięćdziesiąt, nawet sześćdziesiąt lat. W ułamku sekundy wyglądała młodziej niż Jane i bardziej szelmowsko niż Leo.

— Gdybym nie wypila tak dużo szampana, wówczas nie podjęłabym kilku bardzo kontrowersyjnych decyzji i w efekcie prowadziłabym bardzo banalne, bardzo spokojne życie — oznajmiła.

— Wybacz mi. — Leo nie potrafił powiedzieć niczego innego, niezależnie od chęci. Istniały kwestie, o których wolał nie mówić przy Jane i pewne sprawy, których sam nie był gotów sobie przypominać.

Jane wzięła go pod ramię. Pomyślał, że mógłby ją objąć, ale ostatecznie się na to nie zdecydował.

— Pokłóciliśmy się. Nie po raz pierwszy, nie po raz ostatni i to nie jest koniec świata, jednak jeśli masz nas dosyć, bez słowa sprzeciwu przeniesiemy się do hotelu — wyrecytowała Jane.

— Nie bądź śmieszna — warknęła ostro Rose. Nie była najwyraźniej zbyt zmęczona na objawy irytacji i Leo pomyślał, że to chyba dobrze. — Oczywiście, że musicie tu oboje zostać. Dom jest wystarczająco duży, jednak następnym razem, gdy poczujecie potrzebę kłótni, może moglibyście najpierw wyjść na zewnątrz.

To powiedziawszy, chwiejnym krokiem poszła korytarzem, nawet nie życząc im dobrej nocy.

ROZDZIAŁ XIX

Kwiecień 1944 roku

Jeśli Rose uważała, że w tamten wrześnieowy dzień, gdy wysiadła z pociągu na stacji King's Cross przetaczały się wokół niej tłumy, musiała przyznać, że ludzi było tam nieporównanie mniej niż dziś, w to piątkowe popołudnie na dworcu Paddington. Coraz liczniejsi żołnierze w mundurach khaki i granatowych mieszały się tu z ekspedientkami i urzędnikami, którzy aż do poniedziałkowego ranka zapominali o monotonnej pracy wykonywanej w dzień roboczy od dziewiątej do siedemnastej.

Rose przez chwilę się rozglądała, uważając, by nie pociągnął ją ze sobą tłum. W końcu dostrzegła Danny'ego. Potrafiła go wypatrzeć zawsze, nawet w kotłującej się masie ludzi. On także ją zobaczył, pomachał jej i uśmiechnął się. Gdyby zagubiła się w jego pocałunkach, wtedy znalazłby ją jego uśmiech.

Widząc, że przez chwilę ma do niego wolną drogę, natychmiast rzuciła mu się w ramiona. Poczuła, że jej stopy odrywają się od ziemi, gdyż Danny ją podniósł i wraz z nią się obrócił, po czym ponownie ją postawił.

— Jak ci się udało jeszcze bardziej wypięknąć od naszego ostatniego spotkania? — W całej wytwórni MGM nikt nie zdołałby wymyślić lepszej frazy.

— Tęskniłam za tobą — wyznała, ponieważ tylko tyle była w stanie wydukać. — Tak strasznie za tobą tęskniłam.

— Ja też za tobą tęskniłem, Rosie. — Otoczył jej barki ramieniem i poprowadził ją przez tłum, który dla niej rozmył się w jakiejś odległej krainie, gdyż widziała tylko swojego mężczyznę. Zauważyła niewielką rankę w miejscu, w którym prawdopodobnie zadrasnął się podczas golenia, kark — tę miękką, wrażliwą przestrzeń pomiędzy kołnierzykiem kurtki lotnika i brutalnie wygolonymi włosami — a także jego oczy, zmrużone i błyskające za każdym razem, gdy na nią spojrzał.

W pociągu nie było wolnych miejsc i musieli się wcisnąć w niewielką szczelinę w zatłoczonym korytarzu. Danny obejmował ją, karmił czekoladą i kradł szybkie całusy, na co mu chętnie pozwalała.

Wysiedli z pociągu w Henley-on-Thames.

— Zarezerwowałem pokój — powiedział. Wcześniej było jej dobrze w jego towarzystwie i czuła się kochana, teraz jednak ogarnęła ją panika. Usiłowała tego nie okazać, lecz nigdy nie udawało jej się przed nim niczego ukryć. — Nie musisz patrzeć z takim przerażeniem, Rosie. Wszystko będzie w porządku.

— Nie myśl, że jestem taka i nie złość się na mnie, ale... — Trudno jej było mówić o tych sprawach, nawet z Sylvią, a cóż dopiero z Dannyem, bo to właśnie on

chciał od niej dowodu miłości. Nie mogła przestać myśleć o ojcu z parafii Prudence i Patience, który bardzo lubił mówić w swoich kazaniach: „Właśnie zdolność do nieulegania najbardziej haniebnym z naszych podstawowych podniet wynosi nas ponad zwierzęta i dzikusy”. — Nie chcę być dzikuską!

— Nigdy nie widziałem, żeby dzikuski malowały usta czerwoną szminką. — Śmiał się z niej, lecz kiedy zrobiła nadąsaną minkę, spoważniał. — Mam dla ciebie mały prezent, ale niech ci nie przychodzą do głowy żadne niesamowite pomysły. Jeszcze nie.

— Jakie niesamowite pomysły? — Nie odpowiedział, tylko wsunął jej na środkowy palec lewej ręki pierścionek. Był za duży. Musiała zacisnąć dłoń w pięść, żeby jej się nie zsunął. — Och...

Swawolnie musnął jej podbródek.

— Mówiłem ci, niczego sobie nie wyobrażaj. To tylko tani pierścionek z Woolworthsa, ale po wojnie... No cóż, zobaczymy, co się wtedy zdarzy.

Obiecywał wszystko, lecz nie dawał jej nic — jedynie kawałek metalu, po którym Rose przesuwiała palcem, gdy szli mrocznymi uliczkami ze stacji ku rzece.

Hotel pamiętał lepsze czasy. Dywan i zasłonki były sfatygowane i poprzecierane, powierzchnie malowane farbą olejną odrapane, kwiecista tapeta spłowiała. W holu znajdował się kącik czytelniczy z gazetami, który Rose zauważyła, kiedy stała przy recepcji z nieprzekonującym uśmiechem, ściskając dyplomatkę Sylvii z krokodylej skóry, podczas gdy Danny meldował ich jako pana i panią Smith.

Okna pokoju, ich pokoju, „najładniejszego pokoju w całym hotelu” — według krostowatego wyrostka, który wniósł ich bagaż i otrzymał za to od Danny’ego napiwek w postaci sześciopensówki i tabliczki czekolady — wychodziły na Tamizę. Rose popatrzyła na ponuro zmarszczoną powierzchnię wody, po czym opuściła zaciemniającą roletę, a potem zasunęła zasłonki.

Danny włączył światło i Rose widziała teraz tylko łóżko wraz z niebieską narzutą z pluszu. Odwróciła wzrok ku ładnemu dzbankowi z Delft i miednicy umieszczonej na toaletce. Dziobek dzbanka był wyszczerbiony. Danny westchnął.

— Chodźmy coś zjeść.

— Nie na dole. Kiedy weszliśmy, wszystkie te starsze panie trajkotały. — Jeśli wyjdą z hotelu, wówczas nie tak łatwo będzie szybko zakończyć posiłek i wrócić na górę do pokoju z łóżkiem.

Danny ponownie westchnął, jednak dość prędko znaleźli mały pub, w którym także podawano posiłki, a Rose poczuła się lepiej, gdy zdołała w siebie wmusić dwa drinki pink gin. Lewą rękę ciągle zaciskała, żeby pierścionek jej nie spadł, ale uśmiechała się, kiwała głową i słuchała opowieści Danny’ego o lataniu w nocy nad nieznanymi mu brytyjskimi polami i dolinami. Mówił, że czasami pragnął lecieć i lecieć, aż wyleci z nieba.

Nigdy przedtem nie spędzili w swoim towarzystwie tak dużo czasu, zwłaszcza nie robiąc nic poza zwykłą rozmową. Chociaż Rose nie miała zbyt wiele do powiedzenia, ponieważ myślała wyłącznie o łóżku i suchych słowach w zakazanych książkach z gabinetu ojca. Dopiero kiedy zaserwowano im mięso duszone z cynaderekami, które składało się bardziej z cynaderek niż z mięsa i raczej z chrząstek niż z cynaderek, zdołała przyjrzeć się z uwagą Danny'emu. Wreszcie oceniła całość, a nie tylko poszczególne elementy.

Miał cienie pod oczyma, ciemne jak sińce, jego piękny uśmiech wydawał jej się nieco mniej radosny, a za każdym razem, gdy zapalał papierosa, leciutko drżały mu ręce.

— Och, chyba nie czujesz się dobrze, prawda? — zawołała w tym momencie. Odsunęła talerz z niemal nieruszoną potrawą, podniosła dłoń Danny'ego i przytrzymała ją przy swojej twarzy. Pozwolił jej na to, patrząc na nią czujnie i uważnie. — Proszę, nie mów, że coś się stało?

— O nic nie musisz się martwić, księżniczko.

— Nie jestem księżniczką. Nie załamuję się tak łatwo.

Dziewczyna, którą była, kiedy wyskoczyła z pociągu na King's Cross i zaczęła dwóch pierwszych lepszych żołnierzy armii amerykańskiej, bardzo od tego czasu dorosła. Potrafiła przyjąć to, co Danny miał dla niej. Była tego pewna.

— Jestem po prostu zmęczony — odparł, ponieważ długo nie puszczała jego ręki. — Ostatnie parę miesięcy spędziłem naprawdę intensywnie.

Myśl o blaszanym pudle, które może się nagle wznieść w powietrze, zawsze wydawała się Rose niesamowita, ale wsiadanie do takiego pudła noc po nocy, przelot przez czarne niebiosa nad morzem i ponad terytorium wroga wymagało ryzykanctwa i męstwa, którego nie potrafiła pojąć.

— Nie bałeś się? Ja bym się bała. Byłabym strasznie przerażona — stwierdziła, a on uśmiechnął się słabo i teraz to on trzymał jej rękę, nie zaś ona jego.

— Strach jest zabawny, bo nieoczekiwanie łapiesz się na tym, że robisz najrozmaitsze szalone rzeczy, tylko po to, żeby spróbować. Na przykład wsiadasz do wielkiej górskiej kolejki w wesołym miasteczku na Coney Island, chociaż wiesz, że możesz zwymiotować obiad — zadumał się Danny, a Rose skinęła głową. Kiedy słyszała wycie syreny i biegła do najbliższego schronu, często w tłumie, obok krzyczących strażników z ARP¹, czasami chciała się zatrzymać, stanąć na środku ulicy, unieść ramiona, zacisnąć pięści i prowokować nadlatujące bomby. — Chyba jestem trochę szalony. Facet w pełni władz umysłowych nie pójdzie do lotnictwa. Spróbuje znaleźć bezpieczną pracę w miłym, ciepłym biurze.

— Gdybyś utknął w biurze, byłbyś nieszczęśliwy — zauważyła. Nawet siedząc i trzymając się z nią za ręce, wydawał się niespokojny. Nie chodziło tylko o to, że stukał stopą o podłogę i roztargnionym gestem gładził przegub jej dłoni

w miejscu, które okazało się nadzwyczaj czułe na jego dotyk, lecz nawet skóra mu drgała, jakby okrywała musującą krew. — Wiesz, że tak.

— Jeśli załoga przetrwa dwadzieścia pięć misji, wtedy jej członkowie kończą robotę — powiedział cicho. — Innymi słowy, wracają do Stanów, tam zajmą się sprzedażą obligacji pożyczki wojennej.

Rose popatrzyła na cienki posrebrzany pierścionek, który Danny wsunął jej na palec bez żadnej sugestii, że prezent oznacza cokolwiek więcej niż manewr, który miał zmylić podejrzliwą właścicielkę hotelu.

— Ile ty ukończyłeś misji? — Nie chciała na niego patrzeć, nawet kiedy chwycił jej podbródek między kciuk i palec wskazujący, po czym starał się odwrócić jej twarz ku swojej.

— Dwadzieścia pięć — odparł. — Dwudziestą piątą w zeszłym tygodniu.

Dwadzieścia pięć zakończonych pomyślnie misji. Czyli że oszukał śmierć oszałamiające dwadzieścia pięć razy. Żył, siedział obok niej, cały, zdrów i rzeczywisty. To dobrze, choć fioletowe cienie pod jego oczyma i drżące dłonie wskazywały na to, że może nie wszyscy z jego załogi mieli tyle szczęścia.

— Twoja rodzina na pewno jest podekscytowana, że wracasz do domu. — Zmusiła się do heroicznego uśmiechu. — Kiedy odpływasz?

— W środę.

— To miło. A kiedy wpłyniecie do portu w Nowym Jorku? — Gapiła się na jedzenie, które ledwie tknęła. Na widok miękkich tłustych kawałków i szarej chrząstki na talerzu ogarnęły ją mdłości.

— Nie mam pojęcia, ponieważ powiedziałem szychom, że owszem, mogą mnie wyekspediować do domu, ale wtedy po prostu wyskoczę za burtę i wrócę wpław do Blighty². Czy nie tak nazywacie Anglię?

Wtedy popatrzyła na niego poważnie szklistymi oczyma. Dolna warga jej się zatrzęsła i jeśli chciała powstrzymać drżenie, musiała ją zagryźć.

— Nie żartuj sobie ze mnie w ten sposób.

— Nie żartuję. Wytrenowanie pilota wymaga czasu, a żółtodzioby, które się zjawiają i machają odznakami, okazują się do niczego — zaperzył się z żarem w głosie, być może nie pierwszy raz przedstawiając ten argument. — Zrobię więcej dla kraju w powietrzu niż w domu, sprzedając obligacje wojenne.

— Nie obchodzi cię, że możesz zginąć?

— Oczywiście, że obchodzi. — Niecierpliwie machnął ręką, lekceważąc jej sugestię. — Muszę jednak wierzyć, że każda bomba, którą rzucamy, każdy wrogi samolot, który zestrzelimy, trochę bardziej nas przybliży do zakończenia tej przeklętej wojny, wybacz mi słownictwo.

— Wszystko bardzo dobrze, ale ty już swoje zrobiłeś. To musi wystarczyć. — Nie miała wyboru, wołała, że Danny będzie w odległości tysięcy mil morskich od niej, lecz bezpieczny, niż w bazie lotniczej, do której można dojechać

pociągiem. Szczególnie jeśli miałby wsiąść do swojego głupiego samolotu w tej głupiej bazie i zginąć w trakcie misji. — Za powrót do domu nikt cię nie będzie winić.

— Nie rób ze mnie bohatera. Nie jestem nim. Pewnie, chcę bić Szwabów, ale... Rosie, coś ci powiem, na ziemi nigdy nie czuję się nawet w połowie tak pełen życia, jak wtedy, kiedy lecę. Latanie to frajda i mnie rajcuje. Nie ma nic lepszego.

W jednej chwili rozgniewała się na niego. Przez niego jej serce łomotało jak szalone — ponieważ uważał, że wielką frajdą jest ocierać się o śmierć i prowokować ją, a później, w ostatniej chwili, umykać.

— Och, ekstra zabawa, no nie? — Jej amerykański akcent był gotów na Hollywood. — Nie masz litości dla osób, które rozpaczliwie czekają, aż wrócisz bezpiecznie do domu?

Miała na myśli jego rodzinę w Nowym Jorku, o której nie wiedziała nic poza miejscem ich zamieszkania, przede wszystkim jednak chodziło jej o...

— Więc się o mnie martwisz, księżniczko?

Nie trzymali się już za ręce, ale siedzieli blisko siebie, twarzą w twarz, dotykając się kolanami. Danny patrzył jej prosto w oczy i z jego wzroku wyczytała, że wie, jak wiele nocy przeleżała w łóżku obok Sylvii, licząc przelatujące nad jej głową samoloty, które wracały do domu, i modląc się, żeby Danny był w którymś z nich.

— Nie — odcięła się buntowniczo. — Prawie wcale o tobie nie myślę.

— To nie jest w porządku, ponieważ tylko jedna rzecz sprawia mi taką samą przyjemność jak latanie... całowanie ciebie — odparował Danny i w zatłoczonym barze, nie przejmując się mężczyzną i kobietą przy sąsiednim stoliku, którzy siedzieli tak blisko, że nie umykało im zapewne ani jedno słowo, pocałował ją.

Rose miała wrażenie, że ani na chwilę nie przestał jej całować, chociaż przypuszczała, że musiał w którymś momencie przestać, ponieważ nagle znaleźli się z powrotem w pokoju hotelowym. Wcześniej bała się, co będzie, gdy położy się na pluszowej narzucie, a teraz nie przychodziło jej do głowy wspanialsze miejsce na ziemi, w którym bardziej chciałyby być.

Całowali się na łóżku, Danny przyciskał jej ciało swoim, jej tweedowa spódniczka podciągnęła się tak wysoko, że Rose czuła drapanie jego wełnianych spodni na miękkiej, nietkniętej skórze nad pończochami i wtedy ogarnął ją jakiś zupełnie nowy lęk.

Przez moment Danny nerwowo szarpał jej bawełnianą bluzkę, usiłując wyciągnąć ją ze spódniczki Rose, aż w końcu mu się udało i teraz jego dłoń zuchwale mknęła po jej żebrach. Rose ledwo zdążyła zrobić gwałtowny wdech, kiedy jego ręka wsunęła się pod jej cienki biustonosz.

— Nie! — powiedziała. Palcami, które jeszcze przed chwilą bezsilnie zaciskała w pięść na pluszowej narzucie, chwyciła kurczowo nadgarstek

mężczyzny. — Nie!

Przestał ją całować i przesunął usta do jej ucha.

— Nie?

— Nie — wychrypiała. — Nie wiem. To... nie było... ja nie...

— Ależ tak, Rose, tak. — Danny już jej nie całował. Jego ręce już nie dotykały jej twarzy ani piersi. Tęskniła za nimi, łaknęła kontaktu. I wtedy wróciły. Danny chwycił ją za przeguby dłoni i przycisnął jej ręce nad jej głową. — Kiedy spytałem, czy ze mną wyjedziesz, wiedziałaś przecież, że nie spędzimy całego weekendu, tylko trzymając się za ręce. Prawda?

Oczywiście, że wiedziała. Środki, które Sylvia kupiła dla niej w aptece, owinięte w chusteczkę do nosa, tkwiły wciśnięte w kąt dyplomatki. Rose nawet przeczytała instrukcję użycia dołączoną do Volpar Gels, jednak cała sprawa wydawała jej się tak wstrętna, że łatwiej było nie zastanawiać się nad ich działaniem. Dlatego wolała myśleć o niemożliwych do pohamowania uczuciach, które ją ogarniały nawet, kiedy Danny jej nie całował, ale po prostu był blisko niej.

— Ja nigdy... Nie jestem... Nie chcę, żebyś myślał, że jestem jedną z... takich dziewczyn — wyszeptala cicho, jakby z obawy, że ktoś stoi za drzwiami, przyciskając do nich ucho, i zapisuje jej słowa, które wykorzysta później przeciwko niej. — Nie zniósłabym, gdybyś tak o mnie myślał.

— Nie jesteś jedną z jakichś dziewczyn. Jesteś moją dziewczyną. — Istniały sytuacje, w których dokładnie wiedział, co jej odpowiedzieć. — Nie czujesz się z tym dobrze?

Skoro „czuła się z tym tak dobrze”, dlaczego równocześnie tak się bała? Odpowiedź była prosta — ponieważ, mimo „dorosłych” ubrań, które pożyczała od Phyllis, Sylvii i Maggie oraz na przekór doświadczeniu, które zdobyła, odkąd zamieszkała w Londynie, w bardzo wielu sytuacjach wciąż wcale nie czuła się dorosła.

Poza tym, będzie bolało. Tak twierdziła Shirley po powrocie z podróży poślubnej w Southport, szepcząc matce nad herbatą: „...ledwie mogłam iść Promenade, a potem Ian chciał tego znowu. Miałam wrażenie, że siedzę na żyletkach”.

„Jakie to potworne!” — wtrąciła się wtedy Rose. — „Dlaczego Ian chciał ci robić coś, po czym czułaś się jak na żyletkach?”. — Obie kobiety popatrzyły na nią, gdy podnosiła do ust kawałek babeczki, po czym matka kazała jej iść do swego pokoju poczytać jakąś miłą, budującą książkę.

— Będzie bolało — powiedziała teraz, odwracając głowę i skrywając splonioną twarz w poduszce. — Będzie bolało i nie chcę się wpakować w kłopoty.

— Nie będzie — zapewnił ją Danny. Uśmiechał się, a ona nie wiedziała, dlaczego, bo nie widziała powodów do śmiechu. — I nie narobię ci kłopotu. Dobrze się tobą zajmę. Popatrz na mnie, Rosie.

Spojrzała w górę, na niego. Uśmiechał się łagodnie i życzliwie, wiedziała jednak, jak łatwo na jego twarzy może się pojawić szyderstwo. Kochała go z całych sił, ale i tak czuła, że nie będzie ostrożny. Jeśli mu się odda, on złamie jej serce. Zresztą, wszystko działo się zbyt szybko. Spotkała się z nim piętnaście razy, nie licząc dzisiejszego, i zazwyczaj jedynie całowali się pospiesznie, krótko, w progach domów.

Po kilku pocałunkach, kradzionych, gdy nikt nie patrzy, nie można od razu kłaść się z mężczyzną do łóżka.

— Nie mogę — wyznała. — Przepraszam.

Puścił jej nadgarstki i zsunął się z niej. Jego rysy się wyostrzyły, w policzku zadrgał mięsień, lecz Danny nie powiedział ani słowa. Usiadł na boku łóżka i wyjął z kieszeni na piersi paczkę papierosów.

— Wszystko zepsułam — powiedziała, siadając i próbując wsunąć bluzkę w spódnicę. Było jej przykro, ogarniały ją z tego powodu mdłości, a jednocześnie czuła ogromną ulgę, jak ktoś, komu udało się skutecznie uniknąć koszmarnego przeżycia, na przykład egzaminu albo nieprzyjemnego badania medycznego.

— Nie bądź głupia, niczego nie zepsułaś — odrzekł raczej machinalnie, potem zapalił dla niej papierosa i powiedział, że wyskoczy gdzieś na pięć minut, więc jeśli Rose chce, może się teraz odświeżyć. I że nie powinna się o nic martwić. — Nie jestem facetem, który zmusza dziewczyny.

Po jego wyjściu odkryła, że któraś z dziewczyn zamieniła brzoskwiniowy jedwabny peniuar Sylvii na należącą do Phyllis batystową koszulę nocną, którą nazywały Wielebną Matką, i znowu jej ulżyło. Nie istniał nawet cień niebezpieczeństwa, że na widok Rose spowitej w luźne fałdy Jej Błogosławionej Świątobliwości Danny'ego ogarnie niemożliwa do opanowania niemoralna żądza.

Kiedy Danny wrócił i zobaczył ją w łóżku, przykrytą po samą brodę, nawet się szeroko uśmiechnął.

— Rozchmurz się, Rosie — powiedział, co nie mogło się udać, ponieważ nadal przebywała w pokoju hotelowym, sam na sam z mężczyzną.

Zszedł wcześniej do baru i napenił swoją piersiówkę wiśniową brandy, którą właściciel hotelu produkował w ogrodowej szopie. Brandy okazała się najsmaczniejszym napojem alkoholowym, który Rose kiedykolwiek kosztowała, a Danny nie miał nic przeciwko temu, że wypła większość, a gdy wypła, nie przeszkadzało jej za bardzo, że zdjął buty i skarpetki, a potem koszulę. Odwróciła wzrok, gdy sięgnął do sprzączki paska i przełknęła ostatni łyk brandy, a wtedy Danny wsunął się do łóżka obok niej w szortach i podkoszulku.

Przez jakiś czas tylko leżeli, Rose usiłowała się zdobyć na odwagę i zaproponować, że mogliby umieścić między sobą gruby podgłówek, nie miała jednak dość odwagi, a poza tym brandy zaczęła działać na nią usypiająco.

— Jestem taka zmęczona — wymamrotała.

— Ja również. — Musnął jej policzek najłżejszym z pocałunków, po czym się odsunął, wyłączył lampę na stoliku przy łóżku i wszelkie napięcie, które Rose wciąż jeszcze odczuwała, powoli ustąpiło.

Słyszała w ciemnościach jego regularny oddech, czuła jego ciepłą bliskość, która sprawiała jej przyjemność i teraz nawet by się nie przejęła, gdyby objął ją ramieniem albo przytulił, tyle że ogarniała ją senność.

Śniła, że pływa w morzu. Leniwie unosiła się na plecach, fale ją obmywały, ławice maleńkich rybek szczypały jej palce u nóg.

Nie miała ochoty już nigdy unosić powiek, w końcu jednak woda zmieniła się z ciepłej na zimną, więc Rose gwałtownie otworzyła oczy i ze strachem odkryła, że nie może się ruszyć ani krzyknąć, a Danny majaczy nad nią w ciemnościach; kołdra odkryta, a ta śmieszna, mająca ostudzić miłosne zapędy nocna koszula nijak nie osłabiła jego żądz, ponieważ podciągnął ją w górę i teraz zdecydowanym ruchem zsuwał majtki Rose.

Próbowała odsunąć go kopniakami, ale przyciskał jej nogi swoimi.

— Co robisz?! — Musiała wyciskać z siebie słowa.

— Pragnę cię, Rosie. Wiesz, że ty również mnie pragniesz — szeptał. Niemal nie rozumiała bełkotliwych słów wypowiedzianych zachrypłym głosem. — Wiesz, że tak jest.

Spadłaby z łóżka, gdyby jej nie przytrzymał, gdyby nie narzucał się tam, gdzie go nie chciała. Straciła oddech, nie mogła więc nawet wrzasnąć i mocno przygryzła sobie wargę, ale ten lekki ból nie mógł się równać ze strasznymi rzeczami, które Danny jej robił.

— Przestań — poprosiła. — Przestań! Przestań! Przestań!

Zacisnął dłoń na jej ustach, więc tylko rękoma uderzała w jego plecy.

„Zejdź ze mnie!” — chciała powiedzieć, a tak naprawdę wykrzyzczyć, lecz bok jego dłoni tkwił wklinowany w jej usta. Bez zastanowienia ugryzła. Danny z przekleństwem oderwał rękę, jednak nie przerwał posuwistych ruchów, chociaż go o to błagała.

— Proszę, Danny. Nie chcę, żeby to się stało w taki sposób. Proszę.

— Zaboli tylko ten jeden raz — odparł. — Miejmy to po prostu za sobą.

Wtedy jego dłoń znów znalazła się na jej ustach i Rose znowu starała się wyrwać. Naprawdę się starała. Drapała, wbijała paznokcie, uderzała pięścią, lecz chociaż walczyła ze wszystkich sił, nie była w stanie pokonać ciężkiego, krzepkiego mężczyzny. Przyciskał ją całym ciałem, a ona nigdy wcześniej nie czuła się taka mała, słaba i bezradna jak teraz, gdy leżał na niej i raz za razem wpychał w nią swój członek.

Już wiedziała, co oznacza stwierdzenie, że to ją zrujnuje. Nigdy nie będzie taka jak przedtem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ten ból kiedykolwiek minie, a ona poczuje się jak kiedyś.

— Kocham cię, Rosie. Kocham cię.

Dyszał i akurat gdy pomyślała, że może przywykła do tego bólu, że znowu może oddychać, Danny zaczął poruszać się w niej szybciej i gwałtowniej. I już nawet nie chciała, żeby przerwał; niech to trwa, niech on robi swoje, byle tylko skończył. Całkowicie skończył.

Skończył ze dławionym krzykiem i, dzięki Bogu, wysunął się z niej, obryzgując jej brzuch swoim nasieniem, po czym ją puścił i zszedł z niej, więc mogła zetrzeć spermę koszulą nocną Phyllis, koszulą, którą zamierzała spalić przy pierwszej okazji.

Łóżko się ugięło, gdy Danny wstał. Słyszała brzęknięcie porcelany i plusk wody, a potem znów cichy odgłos jego kroków. Wrócił do łóżka i stanął nad nią.

— Odejdź — warknęła.

— Proszę, nie bądź taka, Rosie. Nie kochasz mnie już?

— Nie — odrzekła twardo.

Nie mogła się ruszyć. Już nie była pewna, czy własne ciało jeszcze do niej należy i będzie słuchało jej poleceń.

— Biedne maleństwo. Ależ pobrudziłem moją piękną dziewczynę.

To nie było w porządku, że potrafił mówić czułym tonem po tym, co jej zrobił. Podeszedł do niej z myjką w dłoni i skupił na niej wzrok.

Jakoś udało jej się usiąść i wyciągnęła władczo rękę.

— Daj mi ją — zażądała. — Odwróć się plecami. Już nigdy nie będziesz na mnie patrzył.

Te słowa świadczyły o odwadze, ponieważ teraz wiedziała, do czego Danny jest zdolny, ale on tylko kiwnął głową i wręczył jej zmoczoną szmatkę, starając się nie dotknąć Rose. Poczekała, aż potulnie zapatrzył się w wiszącą na przeciwległej ścianie kiepską reprodukcję *Niebieskiego chłopca*³ i powoli oderwała koszulę nocną.

Tam na dole nadal ją bolało, piekło i parzyło, lecz przecież nie spodziewała się smug krwi na wewnętrznej stronie ud. Niektóre już zaschły i miały rdzawy kolor, część jednak ciągle była świeża i czerwona. Rose niezdarnie wstała i ścierała krew, ale chociaż szorowała z furją, niektóre ślady nie znikwały, ponieważ tak naprawdę były sińcami, które dopiero za jakiś czas w pełni wykwitną. W pewnym momencie uznała, że jest umyta, lecz nie czuła się czysta i na tę myśl nie mogła powstrzymać łez, które bez ostrzeżenia pociekły jej po policzkach. Pociągnęła nosem, później zacisnęła na nim palce, co nic nie dało.

— Och, księżniczko, proszę, nie płacz. — Zanim zdążyła powiedzieć Danny'emu, żeby się nie obracał, że go ponad wszelką miarę zniecierliła, usiadł na krawędzi łóżka, przyciągnął do siebie jej odrętwiałe ciało i pocałował ją w czoło, a później całował po policzkach, pragnąc zatrzymać każdą łzę. — Proszę.

Nawet z nim nie walczyła, tylko stała całkowicie nieruchomo.

— Zniszczyłeś wszystko i teraz cię nienawidzę — czekała. — Nie mogę znieść twojej bliskości.

— Och, tak naprawdę wcale nie czujesz do mnie nienawiści, Rosie — wyjaśnił. — Ale, wiesz, nie możesz zwodzić faceta, pozwalać mu na pocałunki, wyglądać tak pięknie, a później się dziwić, że on chce sobie trochę pofolgować.

— To nie było trochę...

— Powiedziałem, że nie wpakuję cię w kłopoty i mówiłem prawdę. A następnym razem będzie lepiej, obiecuję ci to — oznajmił i próbował pogłaskać ją po włosach, ale się przed nim wzdrygnęła. Teraz wiedziała, do czego są zdolne jego ręce.

— Nigdy nie będzie następnego razu — odcięła się. — Ponieważ nie jest możliwe, żeby kiedykolwiek było lepiej. Nawet jeśli rzeczywiście cię zwodziłam, twoje zachowanie i tak jest niewłaściwe i niewybaczalne.

— Nie ma w tym niczego niewłaściwego. Po prostu wcześniej rozpoczęliśmy podróż poślubną i tyle — odparował i teraz się uśmiechał, co gorsza, ośmielił się ją lekko szturchnąć, że niby powinna uznać jego słowa za zabawne.

— Nie wiem, jak mogliśmy zacząć podróż poślubną... wcześniej, skoro nie jesteśmy małżeństwem. Nie jesteśmy nawet zaręczeni — przypominała mu i chciała mówić lodowatym i pełnym godności tonem, ale wciąż pociągała nosem. — Sądzę, że chyba bym pamiętała, gdybyśmy się zaręczyli, w takim wypadku zresztą i tak bym cię znienawidziła. Prawdę mówiąc, nie chcę mieć już z tobą nic wspólnego.

Zeszła z łóżka, poruszając się spazmatycznie i czując, Boże, ten ból w sercu, a także tam, gdzie Danny ją zbeczczył.

Odwróciła się do niego plecami, złapała ubranie z miejsca, w którym przewiesiła je przez krzesło i zaczęła się ubierać, równocześnie zasłaniając się przed jego spojrzeniem koszulą nocną, chociaż było już na to za późno.

Widział ją wcześniej nagą, a także zupełnie bezbronną i pomyślała, że może właśnie to jest najgorsze ze wszystkiego.

— Rosie, nie zachowuj się jak smarkata — poprosił przymilnie. — Wróćmy do łóżka. Jest środek nocy. Nigdzie nie pojedziesz.

Zignorowała go, a kiedy zapinała guziki bluzki, poczuła w sobie nową determinację, pewność, której przedtem nie znała. Nigdy już nie pozwoli tak się potraktować ani Danny'emu, ani nikomu innemu. Nikt nigdy nie potraktuje jej tak, jak gdyby jej myśli i uczucia się nie liczyły. Jak gdyby ona się nie liczyła.

— Wracam do Londynu — obwieściła. — Jadę do domu.

— Nie bądź głupia. Jest wpół do drugiej.

— Nic mnie to nie obchodzi! Nie chcę spędzić w twoim towarzystwie ani jednej sekundy dłużej.

Żałowała, że jej słowa nie są pociskami, a jednocześnie bacznie

obserwowała Danny'ego, który wstał z łóżka.

— Rosie, ukochana — wycedził tym mrocznym głosem, który do tej pory tak bardzo na nią działał. — No chodź. Nie bądź taka.

Później będzie całkiem z siebie dumna, że kiedy podszedł do niej, nie zmieniła zdania.

— Jeśli zbliżysz się jeszcze o krok, przysięgam na Boga, że zacznę się drzeć na całe gardło — ostrzegła go cichym głosem, który go zdeprymował i podczas gdy wpychała ostatnie rzeczy do dyplomatki, stał w miejscu ze zranioną i zdezorientowaną miną. Można by pomyśleć, że to on jest stroną poszkodowaną.

Jeszcze bardziej będzie później z siebie dumna, że zdjęła pierścioneł, który wsunął jej poprzedniego dnia na palec i nie rzuciła nim w niego w głupim, nic nieznaczącym akcie drażliwości, lecz położyła spokojnie na toaletce obok wyszczerbionego dzbanka. Wtedy wyszła z pokoju i z życia Danny'ego, pozostawiając za sobą wszystkie swoje dziewczęce nadzieje i marzenia.

ARP — skrót od *air-raid precautions* (ang.) — cywilna straż, osoby egzekwujące nakaz zaciemnienia, kierujące mieszkańców do schronów podczas nalotów itd. (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Blighty — w slangu brytyjskich żołnierzy kraj ojczysty po służbie na obczyźnie (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

The Blue Boy — obraz autorstwa Thomasa Gainsborough (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ XX

Sobotę Jane i Leo ponownie spędzili jak turyści. Popłynęli łodzią z Westminsteru do Greenwich, a potem szli wzdłuż rzeki, aż Leo zdał sobie sprawę, że Jane zeszywniała z zimna, tak przemarznięta, że nawet nie dygotała.

— Naprawdę nie spakowałam się na zimę w Londynie — wyjaśniła, a kiedy zaprowadził ją do jakiegoś sklepu sieciowego i prawie wmusił praktyczny, ocieplany płaszcz, niemal się rozpląkała.

— A któż to, do diabła? — pytała, ilekroć dostrzegła swoje odbicie w szybie sklepowej, a gdy Leo wybuchał śmiechem, za każdym razem uderzała go w ramię.

Wcześniej sądził, że nic im nie da udawanie osób, za które podawali się w Las Vegas; że to będzie jak zatykanie otworu bibułką. A jednak, świetnie się bawili.

W niedzielę zjedli lunch z Rose i George'em w Bluebird w Chelsea. Rose i George od lat jadali tam w co drugą niedzielę, dzięki czemu Lydia i Frank mogli zjeść niedzielny obiad z rodziną.

Posiłkowi towarzyszyła stała procesja podchodzących gości restauracji i członków personelu (nawet stary, siwowłosy pomocnik kuchenny przybiegł ukradkiem złożyć hołd), podczas gdy George bez końca raczył ich troje opowieściami o poprzednich lunchach niedzielnych.

— Była tak niesamowicie pijana, nieprawdaż, Rose? Najpierw zdjęła większą część garderoby, po czym zsunęła się z krzesła, z wielkim wdziękiem, i zasnęła pod stołem.

Leo postanowił wykorzystać świetny nastrój Rose. Ale jeśli odkładał sztuce i otwierał usta, chcąc wygłosić przeprosiny i spróbować wszystko wyjaśnić, Jane kładła rękę na jego udzie. Raz go nawet kopnęła, sugerując: „Nie tutaj. Jeszcze nie”.

Nie kopnęła go, kiedy zaproponował, że zapłaci rachunek, Rose jednak uniosła brwi.

— Na pewno cię stać?

— To w złym tonie, Rose — zbeształ ją George.

— Nie istnieje coś takiego jak darmowy lunch — odparowała, szczerząc zęby w typowym dla siebie uśmiechu. — Prawda, Leo?

— Prawda — zgodził się. — Ale jeżeli czegoś potrzebujesz, wystarczy powiedzieć.

— Czego jeszcze mogłabym od ciebie chcieć? — spytała, a Jane posłała Leo zachęcający uśmiech, co było z jej strony miłe, choć niezbyt pomocne.

— Nie wiem. — Był naprawdę dobry, wziął do posiłku tylko jednego lagera, chociaż teraz żałował, że nie zamówił więcej. — No cóż, widzisz... Rzecz w tym, że parę razy w tym tygodniu pracowałem wraz z ekipą techniczną. Nie wiem, czy

Mark o tym wspomniał. Brakuje mu kilku ludzi i pomyślałem, że mogę im się przydać, tak jak kiedyś... O ile nie masz nic przeciwko temu. Chcę być użyteczny, póki tu jestem. Służyć ci pomocą w razie potrzeby.

— Rozumiem ogólny sens — odparła Rose, a gdy przyniesiono rachunek i Leo wyjął zwitki banknotów z Las Vegas, które wcześniej wymienił na funty, i odliczył kilka, ponownie uniosła brwi.

Wyjście z restauracji zajęło im sporo czasu. Bardzo wiele osób podchodziło do Rose. Pragnęli uścisnąć jej dłoń, pocałować w policzek, podzielić się jakąś historią. Może bali się, że za dwa tygodnie już się tu nie pojawi. „Oczywiście, że wróci” — pomyślał Leo, obserwując, jak szła przed nim, a później przedstawiała Jane młodej szatniarce. Pomyślał, że Rose może nie przyjść na obiad za dwa tygodnie, wydawał się nedorzecznym. Myślał, że gdyby stąd znowu wyjechał i zjawił się za rok, dwa lub nawet pięć lat później, Rose nie jadłaby niedzielnego lunchu z George'em, co drugi tydzień, w Bluebird... Chociaż chciał zatrzymać czas, wiedział, że tak się może stać, i po raz pierwszy od powrotu do Londynu ogarnęło go poczucie straty, mimo że Rose jeszcze nie odeszła.

— Mój Boże, Leo. Już zapomniałam, jak potrafisz się dąsać, kiedy coś idzie nie po twojej myśli — stwierdziła lakonicznie Rose, kiedy wyszedł drzwiami, które George przed nim przytrzymał. — Bardzo dobrze zatem. Mam jutro ocenić stan po renowacji w pewnej nowej nieruchomości. Jeśli chcesz, możesz pojechać tam ze mną.

Następnego ranka Jane pomachała Leo, który szedł do pracy, a później wsiadła w taksówkę i pojechała do Hatton Garden.

Zabrało jej to jakiś czas, ostatecznie jednak znalazła niepozorne czarne drzwi, których szukała, i nacisnęła dzwonek. Potem dotarła po schodach na trzecie piętro, do kolejnego dzwonka i kolejnych drzwi; prowadziły do jednopokojowego biura Solly'ego Garfinkela, człowieka najlepiej w Londynie płacącego za błyskotki, które bogaci mężczyźni kupują kochankom.

— Dawno cię nie widziałem — oznajmił zamiast pozdrowienia.

— Jakieś cztery lata, co? — odpowiedziała, a Solly, ponieważ już zakończyli oficjalne powitanie, rozparł się w dużym fotelu obrotowym.

— Co w takim razie dla mnie masz?

Umieściła na kawałku czarnego aksamitu, który Solly rozwinął na brudnym biurku, jeden po drugim: pierścionek zaręczynowy, kolczyki, ślubną tiarę, parę pierścionków koktajlowych, bransoletkę i kiczowaty naszyjnik od Andrew — sznur z szafirami i różowymi brylantami w kształcie kwiatów, który nigdy jej się nie podobał. Solly podniósł lupę, pochylił głowę i zaczął sprawdzać kamienie.

Ustalili cenę za całość na trzysta tysięcy funtów, większość z tego za pierścionek zaręczynowy w stylu art déco. Na ogół Jane się targowała, a Solly się tego po niej spodziewał, tym razem jednak tylko przedstawiła świadectwa

autentyczności. Potem się odwróciła, gdy Solly otwierał sejf pod biurkiem, a kiedy mogła już spojrzeć, czekało na nią na stole piętnaście stosików w banknotach dwudziestofuntowych.

„To nie jest dużo” — pomyślała, siedząc na tylnym siedzeniu kolejnej taksówki z pieniędzmi w otrzymanej od Solly’ego papierowej torbie. Nie za trzy lata, które spędziła z Andrew i w których trakcie nie korzystała z możliwości przebywania z innymi, dużo bogatszymi mężczyznami, ponieważ liczyła na długoterminowy zysk zamiast szybkich zarobków. Tak, było też wiele innych prezentów, które mogłaby sprzedać, ale znajdowały się w domu Andrew w Bay Area, o ile Jackie już ich nie spakowała i nie wysłała organizacji charytatywnej. Więc te trzysta tysięcy funtów nie wydawało się zbyt dobrym interesem, szczególnie że traciła najlepsze lata. Nie będzie wyglądała dużo lepiej niż teraz.

Niepokojące myśli opuściły ją dopiero, gdy znalazła się pięćdziesiąt metrów pod ziemią i stanęła w skarbcu pod pewnym prywatnym bankiem w Knightsbridge, a na metalowym stoliku stała jej skrytka bankowa.

Przed otwarciem metalowego pudła ośmiocyfrowym kodem PIN jej serce zawsze łomotało nieprzyjemnie, a później zaczynało bić szybciej, niż powinno. Na szczęście dziś zawartość kasetki prezentowała się dokładnie tak, jak ją zostawiła. Koperta z jej starą metryką urodzenia, którą Charles zdołał wytropić, dokumenty związane ze zmianą nazwiska. Parę nieoszlifowanych diamentów, które wyglądały jak maleńkie, nijakie kamyki. Trochę kosztowności, których Solly nie chciał, a do których dodała dziś tiarę, ponieważ Solly powiedział, że nie ma na nie dużego zapotrzebowania.

Ponadto, znajdowały się tam pliki banknotów i kartka z bieżącym rejestrem: około sześciuset czterdziestu tysięcy funtów. W sumie Jane miała w tej chwili zatem nieco poniżej miliona w gotówce... Nie żeby milion w obecnych czasach komuś wystarczał.

Charles załamałby nad nią ręce. Potrzęsnałby głową, westchnął i powiedział, że trzymając pieniądze w skrytce, zachowuje się jak staruszka upychająca oszczędności całego życia pod materacem, ale Jane lubiła mieć stały dostęp do aktywów. Dotykać ich. Wiedzieć, że są realne, że rzeczywiście istnieją.

Tak realne, jak tamte pieniądze w czwartkowy wieczór dawno, dawno temu, kiedy Charles przyszedł do domu z pracy, a ona dała mu brudny zwitek. Nie wziął ich za mieszkanie czy wyżywienie, nie spytał, skąd pochodzą, nie krzyczał, że cztery dwudziestofuntowe banknoty roztała w spoconej ręce niemal do miazgi. Po prostu usiadł i wyjaśnił, czym zajmuje się zawodowo.

Był jedynym postępującym etycznie bankierem inwestycyjnym w Londynie. Przyjmował pieniądze od klientów, lecz nie chciał, żeby zarabiał gdzieś, gdzie mogłyby sfinansować broń, narkotyki, zatrudnianie nieletnich, handel ludźmi w celach seksualnych... Lista amoralnych działań była niewyczerpana i Charles

śmiał się cierpko, mówiąc, że posiadanie takich zasad znacznie zmniejsza stopę zwrotu.

Tylko jemu jednemu Jane kiedykolwiek zaufała. Dała mu wszystkie swoje pieniądze, pomijając te kilka zniszczonych banknotów, a on je podwoił, a później znów podwoił. Zapłaciła nimi za wymianę wybitych zębów. Za wyprostowanie nosa i zmianę jego kształtu, gdyż nawet złamany przypominał nos jej matki.

Dotknęła go teraz. Różnił się teraz od nosa matki. Był jej własny... Nie chciała jednak myśleć ani o matce, ani o Charlesie, ani o prześladowających ją upiorach.

Podniosła jeden ze stosików i wtedy, tak po prostu, szum w jej głowie ucichł. Na tym fundamencie opierała się jej ostateczna strategia. Bez względu na to, jak zła będzie jej sytuacja, albo jak niepewna czekała ją przyszłość, jeśli posiadała gotówkę, zwłaszcza w dużych ilościach, zawsze mogła w jednej chwili uciec i się o siebie zatroszczyć. A na wypadek gdyby kiedyś potrzebowała usprawiedliwienia swego czynu, zachowała w białej kopercie te cztery dwudziestofuntowe banknoty. Były przetarte tak mocno, że trzymały się prawdopodobnie tylko dzięki srebrnej nitce zabezpieczającej. Wciąż były na nich plamy krwi.

„Przeszłość cię wstrzymuje, więc musisz zostawić ją za sobą, ale niczego dobrego nie da ci jej całkowite wymazywanie” — pomyślała, odkładając wszystko do metalowej kasetki. Ciągle miała pieniądze, które pozostały jej z połowy wygranej w Las Vegas: nieco ponad siedem tysięcy funtów, które trzymała w torebce na nieprzewidziane wydatki. Zamknęła wieczko. Rozległ się zadowolający odgłos, który skojarzył jej się z kropką nad „i”. Biżuteria sprzedana, pieniądze zdeponowane; w ten sposób odcięła się od nazwiska Andrew. Nie było sensu żałować tego, co już się nie zdarzy.

Jako ostatnie na ten dzień zaplanowała spotkanie z prawnikiem. Charles przedstawił ich sobie kiedyś, gdy Jane potrzebowała nowych dokumentów, a przede wszystkim absolutnej dyskrecji. Pan Whipple działał w granicach prawa, ale potrafił je lekko naginać.

Zawsze się bała, że może wpaść na Charlesa, więc nigdy nie widywała się z panem Whipple'em w jego wyłożonej boazerią kancelarii przy Chancery Lane. Umawiali się w hotelowych holach, w których znajdowali spokojne miejsce w kąci. Pan Whipple był wysoki, chudy i siwy („jak postać z powieści Dickensa” — twierdził Charles), pijał herbatę z mlekiem i robił notatki maczkiem w notesie oprawionym w skórę.

To, co mówił, brzmiało zachęcająco. Jane i Leo nie podpisali wprowadzić kontraktu przedmałżeńskiego i chociaż Nevada należała do stanów przestrzegających kwestii wspólnoty majątkowej, określenie to miało wszakże zastosowanie jedynie wobec majątku nabytego po zawarciu małżeństwa. Wątpiwe, by Leo i jakiś jego potencjalny podejrzany prawnik, na którego mógłby sobie

pozwoić, zdołał kiedykolwiek wyśledzić skrytki bankowe Jane, jej prawo własności do mieszkania z wyjściem do ogrodu w Primrose Hill albo nowojorskiego apartamentu, który komuś wynajmowała (oba były pożegnalnymi prezentami, wynegocjowanymi od byłych kochanków, gdy ich już nie potrzebowała), ponieważ w teorii należały do spółki, której biuro mieściło się pod adresem skrzynki pocztowej na Kajmanach. Pan Whipple w swoim czasie bardzo stanowczo obstawał przy takim układzie.

Zapewnił ją także, że jeżeli Leo nie zostanie wymieniony z nazwiska i wyraźnie wykluczony z ostatniej woli Rose, po jej śmierci będzie miał dobre podstawy do wysunięcia roszczeń prawnych do jej posiadłości. Nawet zresztą gdyby został przepędzony bez grosza, zawsze istniały luki, z których pan Whipple potrafił — niczym akrobata cyrkowy — skorzystać.

— Ale zaczniemy się o to martwić w odpowiednim momencie — oświadczył bez zająknięcia. — Na razie miejmy nadzieję, że pani Beaumont będzie się jeszcze cieszyła życiem przez, powiedzmy, co najmniej kolejne sześć miesięcy. Jak sądzisz?

Jane wzruszyła ramionami.

— To możliwe. Nie jestem pewna.

— Musisz jednak pozostać w tym związku małżeńskim do czasu, aż testament się uwierzytelni. Do pół roku można go potem zakwestionować, o czym powinnaś pamiętać.

— Przy odrobinie szczęścia nie dojdzie do tego — powiedziała Jane. — To znaczy do konieczności zakwestionowania testamentu. Bo Rose ma absolutnego bzika na punkcie Leo.

Albo będzie miała, gdy Jane przeprowadzi swój plan do końca.

Tak, ogólnie rzecz biorąc, bardzo pożytecznie spędziła ten dzień.

ROZDZIAŁ XXI

Minął tydzień, potem drugi. Była już połowa szarego, wilgotnego listopada.

Jane zapisała się na zajęcia w holistycznej siłowni za rogiem i w pierwszym dniu zaprzyjaźniła się z kilkoma kobietami, z którymi chodziła na kawę, na pedikiur i na wycieczki do domu towarowego Harvey Nichols. Leo nigdy, przenigdy nie będzie w stanie zapewnić jej życia w stylu, do jakiego przywykła, ale każdego ranka jeździł do biura wraz z Rose. Tam spotykał się z Markiem i spędzał resztę dnia z ekipą techniczną.

Robotnicy — od młodych praktykantów po doświadczonych speców, którzy pracowali dla Rose od dwudziestu, a nawet trzydziestu lat — początkowo traktowali Leo z niejakim sceptycyzmem, ponieważ był osobistą „czarną owcą” Rose. Gdy się jednak okazało, że nadal umie tynkować jak nikt, przy czym niemal wcale nie trzęsły mu się ręce, bo nie miał już każdego ranka kaca, przyjęli go do swego grona i pozwolili używać wiertarki oraz narzędzia do wbijania gwoździ.

Żył teraz według wytyczonego rozkładu zajęć i nie mógł sobie przypomnieć ostatniego takiego okresu. Nagle miał konkretne cele i osiągnięcia. Świeżo otynkowaną ścianę, błyszczącą, gładką, w kolorze łososiowym. Listwy przypodłogowe wyszlifowane papierem ściernym, czekające na powłokę gruntową. Zainstalowane ściemniacze światła. Odblokowane odpływy umywalek. Dopiero co zafugowane kafelki w łazience. I wszystko to zrobił w jeden dzień, podczas gdy wcześniej bywały tygodnie, a nawet miesiące, kiedy nie udawało mu się stworzyć jednego przyzwoitego obrazu.

Dzięki temu w drodze powrotnej mógł rozmawiać z Rose na temat, który nie dotyczył ani jej umierania, ani jego niepowodzeń. Ilekroć pokazywał jej w telefonie zdjęcie starego fragmentu tapety Williama Morrisa, którą odkryli po odsunięciu kredensu, fotki w pełni działającego bakelitowego włącznika światła z lat trzydziestych albo nawet gumowej maski znalezionej pod łóżkiem jednego z lokatorów, podejmował kolejną próbę powrotu do ich przyjaźni.

Może Rose nieznacznie złagodniała, ponieważ w sobotę rano, kiedy nie wychodziła do biura, spytała przy śniadaniu, czy mógłby jej wyświadczyć przysługę.

— Dla ciebie wszystko — odrzekł z ustami pełnymi owsianki.

— Na twoim miejscu nie byłabym taka gorliwa — spostrzegła Lydia, która chyba również traktowała go teraz trochę lepiej. — Rose, czy nie wspominałaś, że potrzebujesz nerki?

— Czy to byłoby problemem, Leo? — Rose drażniła się z nim identycznie jak przed tą okropną nocą, kiedy przyszedł do domu, łomocząc w drzwi. Teraz poczuł tak wielką ulgę, że pewnie zgodziłby się oddać jej nerkę, chociaż nie mógłby powiedzieć, że jego nerki są w szczególnie dobrym stanie.

Rose nie chodziło jednak o żaden z niezbędnych mu do życia narządów. Chciała, żeby pojechał do Leytonstone, w którym przechowała część swoich obrazów, i zrobił tam inwentaryzację.

— Weź ze sobą Jane — zaproponowała Lydia. — W przeciwnym razie biedaczka znowu utknie na kolejnych zajęciach hot jogi.

— Ciepło ma poprawiać przepływ krwi — wyjaśniła Jane, ponieważ tego ranka przyłączyła się do nich na śniadanie. — Mam zajęcia o jedenastej, ale przypuszczam, że mogę je sobie odpuścić. Nigdy nie byłam w Leytonstone, więc może czeka nas prawdziwa przygoda.

— Może tak myśleć jedynie ktoś, kto nigdy nie był w Leytonstone — mruknęła Rose, a Leo żałował, że jej z nimi nie ma, później, kiedy dotarli na stację High Street Kensington i Jane wyznała, że nigdy przedtem nie jechała również londyńskim metrem.

Nigdy wcześniej nie była także na meczu piłkarskim. Ani nie jadła w McDonalddie (czy też w Burger Kingu), nie postawiła na konia, nie była w Szkocji, Walii, Devon, Kornwalii i nie robiła mnóstwa innych rzeczy, które zdarzały się w życiu normalnej Brytyjki.

— No a byłaś kiedyś w supermarkecie? — Znajdowali się teraz w klimatyzowanej komórce w magazynie. To była straszliwa dłubanina. Każde dzieło sztuki trzeba było rozpakować, odhaczyć na głównej liście na iPadzie, który Rose pożyczyła Leo, potem sfotografować i ponownie zapakować.

— Oczywiście, że byłam! Nie jestem kompletnie oderwana od rzeczywistości, kochany.

— Nie mówię o jakimś luksusowym sklepie z żywnością organiczną, lecz o przeciętnym supermarkecie z promocjami i działem mrożonek.

W magazynie znajdowało się tylko mniej więcej pięćdziesiąt obrazów, reszta była albo w Kensington, albo została wypożyczona różnym galeriom czy muzeom. Powinni skończyć w godzinę, co go cieszyło, ponieważ nie sądził, żeby Jane spodobała się dzielnica Leytonstone lub dzieła Rose w stylu angielskiego pop-artu.

— Czy market Waitrose się liczy? — spytała Jane i Leo już miał niechętnie przyznać jej rację, kiedy natknął się na ten konkretny obraz, a wtedy poczuł na czole lepkie krople potu, po skórze przebiegły mu ciarki, a serce zaczęło tłuc się w piersi tak gwałtownie jak po kresce czystej, klinicznej kokainy. Co było przeraźliwie i śmiesznie adekwatne, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich Leo ostatnio widział ten obraz. Boże, a miał nadzieję, że nigdy więcej go nie ujrzy.

Malowidło ciągle było w tej samej zwykłej drewnianej ramie. Obraz olejny przedstawiający poszarpany klifowy brzeg z granatowym morzem oraz utworzoną przez fale turkusową laguną z bałwanami. Namalowany został w 1967 roku przez uhonorowaną tytułem szlacheckim Laurę Knight, której Rose została przedstawiona tuż po wojnie. To było jedno z ulubionych dzieł Rose. Wisiało

wcześniej w jej gabinecie w domu w Lullington Bay, potem w jej zagraconym domowym biurze w Kensington, ale po... No cóż, po pewnej sprawie oczywiście nie mogła już na nie patrzeć.

— Kochany! Pytałam, czy Waitrose się liczy?

— Co takiego? — Zapanował nad sobą i odwrócił się od obrazu. Jane stała za nim z iPadem w ręku. — No tak. Powinniśmy przestać się wygłupiać i wrócić do roboty.

Skinęła głową, lecz wyglądała raczej na rozzłoszczoną, że Leo nie chce z nią dłużej żartować.

Kiedy wrócili do metra, jej złość zmieniła się w troskę i teraz Jane popatrywała na Leo z ukosa.

— Kochany, dobrze się czujesz? — pytała po każdym przystanku, ponieważ tak bardzo się przyzwyczaiła do jego ciągłych popisów, że jego milczenie na pewno działało jej na nerwy.

Ale Leo nie miał nic do powiedzenia. Nie tylko Jane, lecz także Rose. Zrozumiał to teraz, kiedy ponownie zobaczył ten obraz. Czasem nocami, przez te lata, śnił o nim. Często w snach go zamalowywał, niszczył, grubymi pociągnięciami pędzla pokrywał go płynną czarną farbą, podczas gdy Rose błagała, żeby przestał.

Jednakże jego senne koszmary nie mogły się równać z gorzką rzeczywistością farby olejnej na płótnie.

Kiedy wrócili do domu, Leo jedno wiedział na pewno. Byłoby najlepiej dla wszystkich, a najbardziej dla Rose, gdyby go tu po prostu nie było.

— Kochany? Jesteś pewny, że nic ci nie jest? Co chcesz robić w porze lunchu?

Był już w połowie schodów w górę. Przystanął, spojrzął w dół, na Jane. Jej piękna twarz przechylała się ku niemu niczym kwiat wyciągający się do słońca. Nagle ta sytuacja również nie miała sensu.

— Co w ogóle tu robisz, Jane? — spytał ją ze znużeniem. Znow wyglądała na obrażoną i zaczęła coś mówić, ale odwrócił się i pokonywał schody po dwa naraz, aż w końcu jej słowa przestały do niego docierać.

Musiał jedynie zabrać pieniądze z Las Vegas i paszport, lecz zamiast tego usiadł w swojej garderobie na lekko zapadniętej skórzanej kanapie chesterfield, którą ocalił z domu w Lullington Bay, kiedy Rose zdecydowała, że mebel dawno temu przestał być antykiem i teraz jest po prostu stary. Wcześniej, po drodze na górę, Leo zabrał z bawialni na parterze karafkę z whisky, ale nie zaczął jeszcze pić, ponieważ ledwie mógł znieść tak dużo wstrętu do samego siebie w krótkim okresie dwudziestu czterech godzin.

Wstał. Obok garderoby znajdował się przedpokój — pomieszczenie za małe na osobny pokój, lecz zbyt duże na przechowalnię ubrań. Leo trzymał tam swoje

obrazy. Nie lubił nazywać ich sztuką, czuł się wtedy kretyńsko.

Przejrzał wysokie płótna jak talię kart. Potem utworzył krąg ze wszystkich, które nigdy nie wywołały niczyjego entuzjazmu, i usiadł w środku. Mógł zrobić z nimi tylko jedno — oblać je benzyną i podpalić. Rozpalić ognisko i grzać ręce nad swoimi zniszczonymi marzeniami i niespełnionymi ambicjami. Tak, to właśnie robi.

— Kochany, proszę, powiedz mi, co się stało? — Jane stała w drzwiach.

Wyglądało na to, że w ich związku ciągle jedno lub drugie stoi gdzieś w progu, nie chcąc przejść tych kilku kroków niezbędnych do bliskości. Teraz jednak Jane przeszła te kilka kroków, usiadła obok niego na podłodze i podniosła karafkę.

— Nie wypilem ani łyka, jeśli chciałaś mnie sprawdzić — powiedział. — Przynajmniej na razie.

Odstawiła karafkę, a później pochyliła się do przodu i badawczo przyjrzała się jednemu ze szkiców; był to rysunek węglem, portret starego mężczyzny w punkcie przyjmowania zakładów.

— Więc... co to za obrazy?

— Moje dzieła młodzieńcze — odparł. Patrzyła na jego pracę ze zmrużonymi oczyma, oceniając, jak kobieta w sklepie jubilerskim, gdzie jej mężczyzna dopiero co ją spytał, czy coś szczególnie przypadło jej do gustu.

Wcześniej Leo lubił myśleć, że niszą rynkową, którą sobie wybrał, była kultura popularna lat dziewięćdziesiątych ukazywana w ziarnistej czerni i bieli. *Take That*, *Buffy: Postrach wampirów* i Leonardo DiCaprio przedstawieni rozmytymi akwarelami, co powinno dodać im powagi. Leo zebrał wtedy tyle podobnych dzieł, że starczyłoby na wystawę, którą zamierzał zatytułować: „Urodzony w latach dziewięćdziesiątych”, niestety marszandzi ledwie na nie zerknęli. Zresztą marszandzi spotykali się z nim tylko z powodu Rose.

Technikę miał doskonałą. Wszyscy tak twierdzili. I nawet teraz, kiedy trafiało mu się — rzadko — zlecenie i rysował czyjąś żonę, zwykle opromienioną niedawnym przeżyciem erotycznym, jego technika nadal pozostawała bez skazy i, no cóż, nigdy nie był zwolennikiem wiernego uwieczniania siateczki drobniutkich zmarszczek w kącikach oczu czy ledwo widocznych obwisłości na podbródku.

— No i co myślisz? — spytał. — Czy moja sztuka ma w sobie głębię? — Starał się brzmieć nonszalancko.

— Hmm, obawiam się, że nie — odparła Jane, być może uznając, że akurat w tej jednej sytuacji musi odpowiedzieć zgodnie z prawdą. — Nie zrozum mnie niewłaściwie, są bardzo... zabawne, ale brakuje im duszy. Ale już o tym wiesz, zgadza się?

Leo chciał zażartować na temat jej podejścia do cen i wartości, jednak wszystkie riposty wydawały się równie stereotypowe, jak jego gówniane obrazy.

A uprzejmość Jane była tak samo iluzoryczna jak jego talent. Stanowiła jedynie fasadę, bo dziewczyna trzymała się na dystans, nietykalna niczym jakiś dyktator.

— Nie rozumiałabyś — stwierdził smutno.

— Prawdopodobnie — przyznała mu rację. — Wiem jednak, że dowcipkowaliśmy sobie, świetnie się bawiliśmy i wtedy raz rzuciłeś okiem na obraz, ten z morzem i klifami, po czym zamilkłeś. — Chwyciła jego dłoń i splótła chłodne palce z jego ciepłymi.

— Opowiesz mi o tym obrazie? Dlaczego tak bardzo cię zmartwił? Nie musisz, jeśli nie chcesz, ale, wiesz, kochany, jeśli człowiek podzieli się z kimś problemem, jest mu lżej... Proszę...

Nie zamierzał jej opowiadać, lecz gdy tak trzymała go za rękę, mrużąc coś cicho i zachęcająco, przypomniał sobie, jakim był osiemnastolatkiem. Przyjechał do Londynu z torbą wypchaną ołówkami i farbami, głową wypełnioną marzeniami i projektami. Gdy nie miał zajęć w college'u, siadał w domowym biurze Rose i wpatrywał się w obraz Laury Knight. Niemal w ten sam sposób, w jaki wcześniej wpatrywał się weń, kiedy był małym chłopcem, a obraz wisiał w domu w Lullington Bay.

Było coś w tym obrazie. Różnił się od pejzaży morskich, które Leo malował na plaży w trakcie długich okresów lata. Surowa skała, nieprzystępne morze. Zastanawiał się, jak by się czuł, stojąc na szczycie klifu i patrząc w dół. Widok go wzywał, więc parę razy nawet go naszkicował, uważał jednak, że wizerunki morza nie przyniosą mu ani sławy, ani wystaw w galeriach.

Był rok 1999. Na jego studiach dyplomowych w Central St. Martin's wszyscy eksperymentowali z kamerą wideo, tworzyli performance i instalacje świetlne. Rysowanie tego, co widzi się przed sobą, nie było modne.

Jego przyjaciele nieźle sobie radzili z „przezroczytymi” rzeźbami i interaktywnymi filmami wideo, ale on najlepiej umiał jedno — zatracić się. Sztuka to był cały styl życia. Nie można było wówczas przejść ulicami Soho i nie potknąć się o Młodego Brytyjskiego Artystę. I nie byłeś człowiekiem sztuki, jeśli nie upiłeś się z Damienem Hirstem, nie zwymiotowałeś przed galerią White Cube, nie wciągnąłeś paru kresek z kandydatem do Turner Prize.

Po prezentacji projektu dyplomowego koledzy z roku podpisywali umowy z agentami, otrzymywali stypendia i odbierali nagrody, nieoczekiwanie odkrywając etykę pracy. A Leo znalazł tylko dno kolejnej butelki.

— Zrób sobie rok przerwy — zasugerowała wtedy Rose. — Nie myśl o malowaniu. Wróć do sztuki świeży.

Mógł podróżować. Odwiedzić Ibizę. Wyprawić się na Goa. Został jednak w Londynie, ponieważ tu byli jego przyjaciele i jeśli ciągle, każdej nocy, wychodził się z nimi napić, powłóczyć po klubach i poimprezować, wtedy wciąż czuł się artystą.

Rose kilka razy zagroziła, że przestanie go utrzymywać.

— Nikt nie lubi pijaków, Leo — mówiła, kiedy wracał po kilku dniach, zataczając się, z oczyma wielkimi jak spodki. — Są tak nieopisanie nudni. — Mimo swej światowości nawet nie przypuszczała, że frajdę zawdzięczał pigułkom i proszkom. Miał przyjaciół, którzy pracowali przez całą noc i za każdym razem, gdy ich wydajność się obniżała, wspomagali się działką, ale Leo nie pracował, tylko tańczył, pieprzył kogo popadło i wszystkim, którzy chcieli słuchać, opowiadał, że będzie kimś.

Od czasu do czasu ogarniał go strach. Jak tego ranka, gdy obudził się z bólem w piersi i sercem łomoczącym tak szybko, że kilka godzin przesiedział na ostrym dyżurze, aż jego tętno zwolniło do szybkiego cwału i wtedy chyłkiem się oddalił. Albo kiedy jednego z jego przyjaciół znaleziono martwego w squalu w Camberwell, a obok ciała leżały typowe dla sytuacji akcesoria: strzykawka, gumowy wężyk, zwinięte papierki, które wyglądały jak konfetti.

Ta sytuacja na jakiś czas porządnie go wystraszyła.

— Potrzebuję po prostu czegoś prawdziwego — wyjaśnił wtedy Rose. — Przestać się wygłupiać i powoli dorastać.

Właśnie wtedy zaczął wychodzić do pracy z brygadą konserwującą jej nieruchomości. Malował i tynkował, nabył podstawowe umiejętności z zakresu elektryki i hydrauliki, nawet projektował, przerabiał i wymienił sufitową różę. Pod koniec każdego dnia roboczego miał niejakie poczucie satysfakcji, nadal jednak pił. W niektóre poranki za bardzo męczył go kac, więc nie szedł do pracy, potem poranki zmieniły się w całe dni, te w tygodnie, aż Leo wrócił do starych nawyków i do starego tłumku znajomych.

Ale Rose nigdy z niego nie zrezygnowała, aż zrodziła się w nim uraza do niej, ponieważ to właśnie ona napelniła mu głowę nonsensami. Wzbudziła w nim głód świata odległego od Durham i od przeciętnego bezpiecznego życia, którego pragnęli dla niego rodzice. Była bardzo przekonana o jego talencie, toteż Leo również uwierzył, że na pewno zostanie wybitnym twórcą. A kiedy człowiek przez większą część życia spodziewa się po sobie wspaniałych osiągnięć, nie godzi się łatwo z faktem, że może nigdy niczego wielkiego nie dokona.

— Talent wymaga czasu — odparła, kiedy próbował wyjaśnić dręczący go natłok myśli, które szalały w jego głowie. — Pianista koncertowy nie siada po prostu przy fortepianie i nie zaczyna cudownie grać. Musi ćwiczyć, wytrwale, dzień po dniu, latami. Trzeba być przygotowanym na ciężką pracę. Jesteś przygotowany, Leo?

Kiedy odrzekł, że tak, ponieważ trudno powiedzieć Rose, że się pomyliła, pociągnęła za dodatkowe sznurki i zdobyła dla niego miejsce w programie magisterskim w The Slade School of Art. W geście dobrej woli podarowała mu wtedy obraz Laury Knight.

— Ten obraz dał mi ktoś, kogo bardzo kochałam — wyznała wówczas i jej głos nieznacznie zadrżał. Może nadal kochała tego mężczyznę, chociaż nie żył już od lat. — Wiem jednak, co dla ciebie oznacza i chcę, żebyś go miał.

Leo na nowo wpadł zatem w ten sam wir. Znowu poruszyła go wiara, którą Rose wciąż w nim pokładała. Niestety, w programie magisterskim wytrwał jedynie trzy miesiące. Trzy miesiące w otoczeniu ludzi, którzy byli od niego lepsi i bardziej błyskotliwi. Więc mógłby powiedzieć, że sprzedał obraz ze złości na Rose, bo za mocno na niego naciskała przez cały cholerny czas, ale może tak naprawdę chciał się na niej po prostu zemścić. Sprzedał, ponieważ wiedział, że po takim bezdusznym akcie braku poszanowania dla uczuć Rose i dla kochanka, którego nie było już u jej boku, nie będzie odwrotu. Z pieniędzy otrzymanych za obraz opłacił dilera, a potem popłynął, naprawdę popłynął.

Tydzień później obudził się w szpitalu. Matka siedziała obok na krześle, a on miał wrażenie, że niemal zapuściła tu korzenie.

— Leo — jęknęła żałośnie. — Jak mogłeś? O mało nie umarłeś. I sprzedałeś obraz. Rose jest wściekła.

Zanim wysłano go do centrum odwykowego, wrócił do Kensington. Linda została na dole, gdyż bardziej niż on bała się Rose. Kiedy Leo pakował swoje rzeczy, Rose stanęła w drzwiach jego sypialni, równie zimna i daleka jak obraz, który Leo spieniężył.

— Mogę ci wybaczyć lenistwo — oznajmiła, kiedy zasuwał zamek torby. — Obrócić pewne zdarzenia w żart, uznając je za młodzieńczą głupotę, gdyż wszyscy w młodości robimy okropne, aroganckie rzeczy, ale zaprzepaścić to, co ci dałam...

— Odzyskałaś obraz, no nie? Mama powiedziała, że jeden z twoich marszandów...

— Nie mówię o obrazie — warknęła ostro. — Cóż, dobra robota, Leo, zraniłeś mnie w ten sposób bardziej, niż mogłeś to sobie wyobrazić, przede wszystkim jednak nie potrafię ci wybaczyć, że zmarnowałeś talent. Że odwróciłeś się plecami do swoich umiejętności, do rozlicznych możliwości, które ci dano... Zmęczyło mnie czekanie, aż dorośniesz. O rany, kiedy byłam w twoim wieku, nawet młodsza od ciebie, chwytałam każdą okazję, jaka mi się nadarzała!

— Tak, tak, wiem. Była wojna... — odparował znudzonym tonem. Bardzo rzadko wspominała o okresie wojny (choć rodzinna legenda była ucieczka nastoletniej Rose do Londynu w futrze matki), wtedy jednak, kiedy pękała mu głowa i bolały wszystkie kości, a od wysiłku, jakim była konieczność podniesienia torby, o mało się nie przewrócił, uświadomił sobie, Rose nigdy z nim za dużo na ten temat nie rozmawiała. Nigdy mu na przykład nie mówiła o mężczyźnie, który dał jej ten obraz.

A na nim, na Leo, skupiała się wręcz obsesyjnie. Kazała mu szybować na własnych marzeniach, nic dziwnego, że runął na ziemię i boleśnie się poobijał.

Wszystko to była jej wina.

— Tak, Leo, była wojna — rzuciła lodowato. — Z tego powodu musieliśmy szybko dorosnąć. Nauczyła nas, co jest ważne i cenne. Ty tego jeszcze nie pojąłeś. Jeśli dalej będziesz prowadził takie życie, wątpię, czy kiedykolwiek dorośniesz.

— To moja decyzja — odburknął z ponurą miną. Był zbyt wielkim tchórzem, więc wprost nie obarczył Rose odpowiedzialnością. — Moje życie zależy ode mnie, nie od ciebie.

— Och, Leo, po prostu się wynoś. — Nigdy na niego nie krzyczała. Nie musiała tego robić. Jej spokojny, pozbawiony wszelkich emocji głos wydawał się równie gwałtowny jak krzyk. — Wynoś się i nie myśl o powrocie, dopóki czegoś ze sobą nie zrobisz i póki nie będziesz miał odwagi spojrzeć mi w oczy.

Odwróciła się wtedy, uznając zapewne, że szkoda jej drogiego czasu na obserwowanie, jak Leo znika z jej życia. On jednak wyjrzał na korytarz i przyglądał się, gdy odchodziła, sztywno wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, i tylko jedno wydało mu się naprawdę realne — ogrom nienawiści, którą do niej czuł.

Teraz koło się zamknęło. Znowu przebywał w jej domu. Wciąż jeszcze nie dorósł, wciąż nie zrobił nic ze sobą, choć jedno się zmieniło. Nie czuł już do Rose nienawiści... Tak naprawdę nigdy jej przecież nie czuł. Po prostu łatwiej mu było nienawidzić Rose niż samego siebie.

— Rose jest dla mnie ważna — obwieścił teraz Jane, która z jakiegoś powodu klęczała przed nim i nadal trzymała jego dłonie w swoich. — Nie wróciłbym, gdyby tak nie było. Chodzi tylko o to, że teraz, gdy tu jestem... No cóż, nie potrafię naprawić sytuacji, ponieważ nie umiem być taki, jakim Rose chce mnie widzieć. Nigdy mi tego nie wybaczy. — Wzdrygnął się. — No i nigdy mi nie wybaczy, że sprzedałem ten obraz.

— Sądzę, że ona pragnie jedynie, żebyś był szczęśliwy. Właśnie tego każdy pragnie dla osoby, którą kocha, a ona cię kocha. — Jane ścisnęła jego rękę akurat w chwili, w której próbował wyrwać się z jej uścisku.

— Jeśli bawisz się mną... jeśli to ciągle gra, jakiś rodzaj oszustwa...

— Nie — ucięła Jane, a Leo zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas, gdy opowiadał, tak długo, aż ochrypl, nie odrywała od niego oczu. Słuchała go w nowy sposób i pomyślał, że wcześniej chyba tylko udawała, że słucha. — My się teraz nie liczymy, ty i ja. Tu chodzi o ciebie i Rose. Musisz znaleźć drogę powrotną do niej.

— Wiem. — Pochylił się do przodu, na tyle nisko, że czołem oparł się o czoło Jane, a ona, mimo że był trochę spocony, ani na centymetr się nie cofnęła. — Nie sądzisz pewnie, że istnieje mapa wskazująca tę drogę, prawda?

— Musisz być wobec Rose uczciwy. — Nie do końca ufał Jane i jej gładkim frazesom, ale wierzył w rady, których teraz mu udzielała. — Wróćmy do

Leytonstone i przywieźmy ten obraz tutaj.

— Nie mogę nawet na niego patrzeć — przyznał się. — Wstydzę się bardzo wielu rzeczy, które zrobiłem, ale ta jest ze wszystkich najgorsza. To mój najbardziej żenujący sekret. Nie mogę wprost uwierzyć, że w ogóle ci się zwierzyłem...

— Kochany, wierz mi, wszelkie sekrety po ujawnieniu stają się mniej straszne. Wiele osób, które na pozór świetnie sobie radzą w życiu, skrywa znacznie gorsze tajemnice. — Jane nachyliła się i odgarnęła mu włosy z twarzy. — Posłuchaj mnie. Tylko dlatego, że zrobiłeś coś złego, nie znaczy, że jesteś złym człowiekiem.

— Może robię złe rzeczy, bo jestem złym człowiekiem...

Jane zdecydowanie potrząsnęła głową, wyraźnie przekonana, że to ona ma rację, a Leo się myli.

— W tym krótkim okresie, odkąd się znamy, grzeszki popełniałeś jedynie wtedy, gdy byłeś pod wpływem narkotyków. — Popatrzyła w górę, na sufit. — Jak by to uprzejmie wyłożyć? Narkotyki zmieniają cię w dzikiego dupka, kochany. To jest dokładnie takie proste. Po prostu przestań ćpać i daj Rose ten obraz.

— Nie mogę dać jej czegoś, co należy do niej — wytknął jej.

— Symbolicznie, kochany. — Jane odsunęła się, usiadła na piętach i wysunęła dłonie z jego dłoni. — Co ja mam z tobą zrobić?

ROZDZIAŁ XXII

Kwiecień 1944 roku

Kiedy Rose wreszcie udało się wrócić do mieszkania w Montague Terrace (wyprosiła miejsce w jadącym do Londynu pociągu z węglem), z ulgą odkryła, że w domu jest tylko Maggie. Phyllis by się nad nią rozplýwała, czego w tej chwili Rose nie mogłaby znieść, a Sylvia pewnie spróbowalaby potraktować sprawę lekko, mówiąc coś pogardliwego o jankesach i że chodzi im tylko o jedno, natomiast Maggie po prostu oceniła zaniedbany stan Rose, ślady łez i sadzę na jej twarzy, po czym powiedziała:

— Wygląda na to, że potrzebujesz drinka.

Rose oddałaby wszystko za filiżankę herbaty, lecz Maggie naląa jej kieliszek wódki.

— Nie sącz. Wypij cały w jednym długim łyku — poleciała, a Rose jej posłuchała, po czym się rozkaszała, zaczęła charczeć i oczy ją zapiekły, w końcu jednak poczuła się z powrotem we własnym ciele.

— Nie wierzę, że w ogóle o mnie dba — powiedziała do Maggie. — Wówczas nie zrobiłby... — Nie była w stanie dokończyć zdania, nie umiała nazwać czynu Danny'ego, ale Maggie na szczęście chyba zrozumiała, ponieważ przysiadła na poręczy fotela Rose i zerknęła w dół, na siniaki wokół jej obu nadgarstków.

— Lepiej dowiedzieć się, jaki jest, zanim stracisz serce — zauważyła.

— Nie mam już serca — odcięła się Rose.

Maggie pocałowała ją w czubek głowy, wymamrotała coś w swoim języku, po czym dodała:

— Maleństwo, zapomniałam, jak bardzo młodziutka jesteś. Nie straciłaś serca, tylko chwilowo źle je ulokowałaś. Teraz idź i weź kąpiel — dorzuciła, kiedy Rose otworzyła usta, zamierzając podkreślić, że nie jest tak młoda jak kiedyś.

W tym momencie czuła się stara i była smutna. Och, nigdy wcześniej nie była tak bardzo smutna.

— Nie mogę wziąć kąpieli — spierała się. — Nie jest sobota. Za to jest wojna.

— Wątpię, czy wojna się skończy tylko dlatego, że raz się wykąpiesz — powiedziała Maggie. — A szkoda!

Rose bardzo chciała napełnić całą wannę w ich wspólnej łazience i osunąć się pod wodę, ale ze względu na wojnę naląa jedynie kilkanaście centymetrów, do znaku, który namalował pan Bryce, ponieważ miał bzika na punkcie zasad. Usiadła w wodzie i bezlitośnie wyszorowała ciało do czysta. Starąa się nie zważać na

piekący ból między nogami i na zaognione znaki na udach; usiłowała nie myśleć o niczym, aż usłyszała stukanie do drzwi.

— Rose? — zawołała Sylvia. — To ja. Mogę wejść?

Z westchnieniem wyszła z wody, przemierzyła cienkie, podarte linoleum i owinęła się w szlafrok, a potem otworzyła drzwi i wyjrzała.

— Herbata. — Sylvia podała jej parujący kubek i wsunęła się do łazienki. — Pomyślałam, że też mogę się wykapać, skoro woda nalana. Jest jeszcze choć trochę gorąca?

— Ciepława — odparła Rose, gdy Sylvia zdejmowała ubranie, ponieważ w ogóle się w takich sytuacjach nie wstydziła, lecz Rose i tak odwróciła wzrok. — Więc cię zostawię.

— Nie rób tego! — rozkazała Sylvia, wchodząc do wanny. — Zostań ze mną. Mów, jak się czujesz i nie kłam. Zawsze wiem, kiedy kłamiesz.

Rose usadowiła się na brzegu wanny, a następnie zmusiła się i spojrzała na Sylvię, która bynajmniej nie lekceważyła jej problemu; na jej twarzy Rose dostrzegła wyłącznie troskę.

— Okropnie bolało — wyszeptowała. — Nie przestawał, nieważne, jak bardzo go błagałam, a co najgorsze, wszystko to moja wina. Powiedział, że go prowokowałam i miał rację. Przecież dobrowolnie z nim wyjechałam.

Sylvia przyciągnęła złączone kolana do piersi i wsparła na nich podbródek.

— Nie mogę się z tobą zgodzić. Wystarczy, że kobieta się uśmiechnie i przywita, a większość mężczyzn już uważa, że zachowała się prowokująco. — Skupiła przezroczyście błękitne oczy na Rose. — Każda dziewczyna, którą znam, doświadczyła co najmniej jednego paskudnego razu z jakimś facetem. Potrafią być strasznymi zwierzakami, ale najlepiej tego nie rozpamiętywać. Z kimś odpowiednim może być naprawdę całkiem przyjemnie. Całkiem, całkiem rozkosznie.

— Nie rozumiem, jak to możliwe — odparła Rose. Jeśli chodzi o mężczyzn, w tym momencie nie miała nawet ochoty na taniec, a cóż dopiero na cokolwiek innego. — To była najwstrętniejsza rzecz, jaka mi się przytrafiła.

— Och, skarbie, jeśli ta była najwstrętniejsza, w takim razie nawet nie wiesz, jaką jesteś szczęściarą — stwierdziła Sylvia beznamiętnym, smutnym, tak niepodobnym do niej tonem. Zazwyczaj radosna, tego dnia miała w oczach rozpacz i Rose wiedziała, że nie należy na przyjaciółkę naciskać. Sylvia położyła się w wodzie, podniosła jedną długą, bladą nogę i oglądała czerwony lakier na palcach u stóp. — Przynajmniej mi powiedz, że użył prezerwatywy, że nie był aż tak bezmyślny.

Rose nie sądziła, że może zarumienić się jeszcze bardziej, o czymś innym świadczyło jednak nagle ciepło na policzkach.

— Nie wydaje mi się. — Ściszyła głos. — Jego... wydzielinę miałam

wszędzie na sobie. — Obniżyła głos jeszcze bardziej. — I w sobie.

— Niech go szlag, cholera jasna. — Sylvia zamknęła oczy i westchnęła. — Prawdopodobnie lepiej nie martwić się o to najdłużej, jak się da.

— A co, jeśli trzeba się będzie martwić? — Wcześniej Rose była tak bardzo skupiona na samym postępku Danny'ego, na jego zdradzie wobec niej, że nie brała pod uwagę potencjalnych dalszych konsekwencji.

— Nie byłabyś pierwszą dziewczyną, która wpadła i nie utrzymała ciąży — wyjaśniła Sylvia. — Znam pewnego człowieka, który zna pewnego człowieka. Ma praktykę przy Harley Street. Będzie dobrze, kochana, obiecuję. Ale kiedy następnym razem zobaczę twojego Danny'ego, ukręcę mu cholerny łeb.

Maggie była dokładnie tego samego zdania. Tylko Phyllis nie chciała mężczyzny potępiać.

— Nie powinnaś być dla niego taka surowa — powiedziała do Rose tydzień później, kiedy szły do rzeźnika odebrać cotygodniowy przydział mięsa. — Mnie raczej wygląda, że ogarnęła go fala namiętności.

— Szczerze mówiąc, Phyll, to nie była namiętność, lecz brutalna siła — odparowała Rose, jednak Phyllis pokręciła głową.

— Mojego Briana ogarnęła fala namiętności. Mężczyźni po prostu nie potrafią się powstrzymać.

Ale Rose nie prowokowała Danny'ego, sam wszystko zaplanował. Poczekał, aż ona zaśnie, a wtedy wziął to, czego mu odmówiła. Niemniej, gdy w następny poniedziałek przyszedł od niego list, nie podarła go bez czytania. Zastanawiała się nad tym, ciekawość jednak zwyciężyła.

Wewnątrz był ten sam pierścionek, który jej dał, oraz krótki liścik.

*Najdroższa Rosie,
ciągle się na mnie gniewasz?*

Wiem, że zachowywałem się jak głupek, ale tak bardzo Cię pragnąłem. Rzecz w tym, że większość dziewczyn ma kiepski pierwszy raz. Najlepiej jak najszybciej wyrzucić go z głowy.

Szkoda, że wyszłaś, bo moglibyśmy się kochać wiele razy. Pokazałbym Ci, jak może być dobrze. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś mi pozwolisz. I mam nadzieję, że nie czujesz do mnie nienawiści, ponieważ naprawdę Cię kocham, moja smarkata, piękna dziewczynko.

Powiedz, że nadal mnie kochasz, Rosie. Nie zniósłbym myśli, że stało się najgorsze, do końca życia bym sobie tego nie wybaczył.

Z wielką miłością

Danny

PS Proszę, odpisz, choćby tylko mnie powiadamiając, że nic Ci nie jest. Adres na szczycie tej kartki to tutejszy pub, więc nie musimy się martwić, że wojskowi cenzorzy dowiedzą się o naszych sprawach.

„Jeśli to były przeprosiny, to raczej nędzne” — pomyślała Rose i postanowiła nie odpisywać, pozostawiając całą tę porażkę za sobą. Nawet Sylvia jej oznajmiła, że najwyższy czas przestać snuć się bez celu.

— Musisz się rozchmurzyć, skarbie. Gdybym była biednym, samotnym amerykańskim żołnierzem całe mile od domu, wołałabym pójść bić szkopa, niż przez całą noc patrzeć na twoją zboląłą buzię.

Rose odnosiła jednak wrażenie, że w Rainbow Corner widzi ostatnio jakby mniej biednych, samotnych żołnierzy amerykańskich. Stale krążyły plotki, że inwazja jest rychła i z tego względu zostaną cofnięte wszystkie urlopy, nie chciała jednak ich słuchać. Nie tylko dlatego, że niepatriotycznie było słuchać czezej gadaniny (choć taka myśl nigdy przedtem jej nie powstrzymała), lecz ponieważ w takim przypadku Danny znajdzie się w ogniu walki. W samolocie, tam, gdzie reflektory i sztukasy będą go mogły rozpoznać i zestrzelić. Przypuszczała, że mimo tego, co jej zrobił, najwidoczniej choć trochę przejmuje się jego losem i nie chciała, żeby spotkało go coś strasznego.

Zdecydowała, że mu odpisze i poinformuje, że nie żywi już urazy. I że powinien się uważać za szczęściarza, ponieważ była przygotowana tak dużo mu zaoferować.

*Drogi Danny,
nie czuję do Ciebie nienawiści i oczywiście nie życzę Ci źle. Ale nie mogę Ci wybaczyć tego, co zrobiłeś, więc pewnie najlepiej będzie, jeśli zerwiemy.
Bezpiecznego lotu.
Rose*

Danny nie chciał się poddać bez walki. Odpowiedział ledwie dzień później.
Daj spokój, Rosie, odpuść mnie, nieszczęsnemu. Moja stara matka zawsze mawiała, że nigdy nie należy rozstawać się w kłótni. Nie walczy ze sobą, skoro nie wiemy, co przyniesie przyszłość.

*Mam szczerą nadzieję, że niedługo się spotkamy.
Z wielką miłością*

Danny

Minęły właśnie dwa tygodnie, odkąd wyjechali we dwoje. Gdyby chodziło

jedynie o głupią sprzeczkę kochanków, Rose chętnie by ustąpiła i odpisałaby, przepajając miłością i oddaniem każdą literę, każdą kropkę i przecinek. Lecz teraz, za każdym razem, gdy myślała o Dannym, wspominała również tamten pokój, łóżko i to, co Danny jej na nim zrobił, więc najlepiej było o Dannym zapomnieć. Akurat następnego dnia dostała miesięczkę, więc ogarnęła ją ulga, że i tą kwestią nie musi się zadręczać, niemniej, ciągle była okropnie przygnębiona i zadumana, kiedy wpadła na Edwarda na schodach do Rainbow Corner.

— Witaj, nieznajoma — zagaił i uśmiechnął się do niej. — Jak idzie zbieranie?

Wpatrywała się w niego w osłupieniu.

— Przepraszam, a na co zbieramy?

Edward nadal pozostawał dla niej niewiadomą, zresztą, w ostatnich kilku tygodniach niemal w ogóle o nim nie myślała. Teraz jednak zacisnął zęby w sposób, który nie był ani zagadkowy, ani niejednoznaczny, a kiedy się odezwał, jego głos stracił całe swoje mroczne ciepło.

— Na uchodźców, którzy przybywają z Europy. Wybacz mi, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że wyraźnie pamiętam twoje odwiedziny w domu w Kensington, który dla nich przygotowuję. Przypominam też sobie, że zrobiłaś spis wszystkich rzeczy, których być może będą potrzebowali i zaproponowałaś, że zbierzesz trochę zabawek dla dzieci.

Nie mogła powiedzieć, że zapomniała, niezupełnie. Uchodźców, który mieli przybyć z Europy w jakimś niesprecyzowanym momencie w przyszłości, zepchnęła po prostu w najdalsze zakątki umysłu i gdzieś tam trwali, podczas gdy ona użalała się nad sobą. Dumiała wyłącznie o tym, jak bardzo jest nieszczęśliwa i nie zaprzętała sobie głowy innymi, z jakiegoś powodu cierpiącymi osobami.

— Och — jęknęła. — Naprawdę zamierzałam się za to zabrać, niestety, nie znalazłam wolnej chwili.

— Nie miałaś czasu spytać nawet jednej osoby, czy może oddać wełniany sweter albo starą układankę? — Każde słowo było lodowate jak sopel. — Nie zebrałaś nawet lalki czy gry planszowej?

— No cóż, nie, jeszcze nie — przyznała się niepewnie. Nikt nie rozeźlił się na nią tak bardzo, odkąd wyjechała z Durham, a i wtedy doświadczała raczej rozczarowania niż tego zimnego gniewu, pod którego wpływem Edward odwrócił teraz wzrok, może nic chcąc patrzeć na kogoś tak obmierzłego. — Ale zbiorę! Zacznę natychmiast. Przyrzekam. Kiedy się zjawia?

— To już nie ma znaczenia... — Edward zaczął odchodzić, zanim nawet skończył zdanie. Ale zrobił tylko jeden krok, po czym się odwrócił. Rose aż się cofnęła. Zawsze, gdy go widziała, był poważny i uprzejmy, więc przeraziła ją jego sroga, nieprzystępna mina. — Naprawdę jesteś bezmyślną i bardzo samolubną dziewczyną — oświadczył jej cicho. Nie znalazła nic, co mogłaby powiedzieć na

swoją obronę, ponieważ miał rację. Rzadko myślała o kimkolwiek poza sobą. — Ci ludzie przeżyli niemożliwe do opisanie okropności i ryzykowali życie, żeby przyjechać do kraju, w którym nie znają nikogo... a ty nie miałaś okazji zdobyć nawet starego bączka.

Zszedł po schodach, a Rose pobiegła do toalety i trochę tam sobie popłakała, ponieważ nie chciała, żeby ktokolwiek — a w szczególności Edward — uważał ją za tego rodzaju osobę: nieczułą i płytką.

Musiała coś zmienić. Dość miała rozpamiętywania sprawy z Dannym — zwłaszcza że rozpamiętywanie niczego nie zmieni i nie wymaże wspomnień związanych z uczynkiem mężczyzny. Ciągle i ciągle powracała w myślach do tej nocy i wciąż strofowała się za to, że nie walczyła dostatecznie mocno. Musiała przestać.

Więc zamiast tego skoncentrowała się na uchodźcach i każdemu, kogo знаła, zaczęła wiercić dziurę w brzuchu o datki. Zamęczała nie tylko dziewczyny z Rainbow Corner, lecz także Stana i Gladys z kafeterii, aż w pokoju córki znaleźli pudło ze starymi komiksami w szafie. Nie przypuszczała, by uchodźcy znali język angielski, ale mogli przecież sobie wycinać obrazki i przyklejać je na ścianach, dzięki czemu dom w Kensington będzie wyglądał trochę weselej i przyjemniej.

W końcu jednak dysponowała przede wszystkim zbieraniną starych, zniszczonych zabawek, które zapewne nijak nie rozweselą uciekinierów z okupowanej Europy. Rozważyła nawet możliwość uszycia czegoś z wiotkiej niebieskiej tafty Shirley.

— Może gdybyśmy ją skróciły, wyszłaby nam ładna sukienka dla małej dziewczynki? — zasugerowała w rozmowie z Maggie.

Maggie obejrzała taftę, wzdrygnęła się, po czym wycedziła:

— Nie sądzisz, że uchodźcy dość już wycierpieli?

Więc niebieska tafta zawisała jak śmiertelny całun na wewnętrznych drzwiach sypialni, a wtedy w sprawę wtrąciła się Phyllis i zaprosiła Rose do domu na weekend.

— Znajdziemy tam na strychu po prostu całe mnóstwo rzeczy dla twoich uchodźców. Tatko nigdy nie pozwala nikomu niczego wyrzucać.

Późnym sobotnim popołudniem pojechały więc do Norfolk w szoferce wojskowej ciężarówce. Phyllis opowiadała, że część jej domu rodzinnego już na początku wojny zarekwirowało wojsko.

— Tylko wschodnie skrzydło, więc niemal nie zauważamy obecności żołnierzy — tłumaczyła, kiedy ciężarówka pędziła z zawrotną prędkością krętymi wiejskimi drogami, oświetlonymi jedynie poświatą księżycy w pełni. Dobra pogoda dla bombowców. — Prawdę mówiąc, znacznie większy kłopot sprawili nam ewakuowani. Odpalili fajerwerki w długiej galerii i zrobili dziurę w obrazie Turnera. Po tym incydencie mama powiedziała, że będzie przyjmowała jedynie

dziewczęta i wszystkie muszą pochodzić z dobrych domów.

— Czy twoja rodzina jest bardzo... z wyższych sfer, Phyllis? — Rose wprawdzie wiedziała, że Phyllis jest arystokratką, a przed wojną została nawet przedstawiona na dworze królewskim, teraz jednak wszystkie te teksty o skrzydłach i długich galeriach wielce ją onieśmiały.

— Och, nie, gdzieżby! Nie należymy do arystokracji, jesteśmy tylko przedstawicielami ziemiaństwa.

Rose te słowa ani trochę nie dodały otuchy.

Podobnie jak matka Phyllis, Lady Carfax, która popatrzyła na nią lodowatym wzrokiem jak na osobę z brudnym paznokciami i wszelkiego rodzaju niechlujnymi nawykami. Wbrew chłodnej postawie dała jednak Phyllis i Rose wolną rękę i pozwoliła wziąć dla uchodźców wszystko, co zechcą.

W niedzielę pokrzepione śniadaniem złożonym z tostów maczanych w jajkach na miękko — prawdziwych jajkach, które kura zniosła tego samego ranka — Phyllis i Rose spędziły przedpołudnie na strychu, walcząc z pajęczynami i otwierając skrzynie do pakowania. Ich zdobycz obejmowała kilka wiktoriańskich lalek ze złośliwymi minkami, dwa pluszowe misie, które pamiętały lepsze czasy, całkowicie umeblowany dom dla lalek, zestaw klocków, kolejkę (choć tylko z połową szyn), stos gier planszowych i zestaw do krykieta.

Po lunchu, na który zjadły zapiekankę z szynką i porem — a raczej w większości z porem — przemierzyły teren posiadłości, kierując się do budynków gospodarskich i ich głównego celu: starej stodoły, przed którą na trawę wyniesiono między innymi zepsuty sprzęt rolniczy, stare kosiarki do trawy i rdzewiejące kawałki metalu, które wyglądały jak średniowieczne narzędzia tortur.

— Obawiam się, że nie ma tutaj niczego, czego mogliby potrzebować uchodźcy — zauważyła Rose posępnie, kiedy zajrzała do butwiejącego tekturowego pudła, które zawierało pokryte pleśnią katalogi nasion.

— Coś musi być. Na początku wojny tata trochę poniosło i zamówił mnóstwo rzeczy. — Phyllis wspięła się na jakieś barbarzyńskie ustrojstwo, które wyglądało jak stary pług. — Wpadł na pomysł, że na wypadek hitlerowskiej inwazji wyszkoli wszystkich wolnych mężczyzn z miasteczka w oddział żołnierzy, ale skończyło się na musztrze na błoniach.

Rose ostrożnie weszła za Phyllis w głąb stodoły. Przeklęła, gdy zaczepiła tweedową spódniczką o gwóźdź.

— Rose! Chodź tutaj! Nigdy nie zgadniesz, co znalazłam!

Leżało tam dziesięć, ciągle zwiniętych i opakowanych w szary papier, płóciennych łóżek polowych. Dziesięć! Obok stały także trzy skrzynie z Army & Navy, wypełnione po brzegi emaliowanymi menażkami, kubkami i sztućcami, apteczkami pierwszej pomocy i — co najdziwniejsze — szeregiem moskitier.

Z pomocą młodego chłopaka z miasteczka, który przyszedł pomagać

w ogrodach, przeniosły łupy na dziedziniec, na którym miały zostać zapakowane do tej samej ciężarówki, która przywiozła je do Norfolk; żywiły nadzieję, że w ciężarówce znajdzie się dość miejsca, żeby one również wróciły do Londynu.

Nadal było wystarczająco jasno na spacer, więc Phyllis pokazała Rose zagajnik, w którym ona i jej dwaj starsi bracia — kiedy byli młodszy — budowali obozowisko i urządzali pikniki. Starszego z braci, Anthony'ego, wysłano na służbę do Egiptu, za co cała rodzina była wdzięczna.

— Wolałby brać udział w akcjach, ale moim zdaniem mama naprawdę się cieszy, że do tego nie doszło — opowiadała Phyllis, kiedy siedziały na zwalonej kłodzie. — Teddy jest w marynarce wojennej. Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni spotkaliśmy się wszyscy razem. Czy to nie dziwne, że uważasz zwyczajne sprawy za coś oczywistego, a potem, gdy życie się zmieni, najbardziej brakuje ci właśnie tej nudnej codzienności?

Ale Rose właśnie od nudnej codzienności uciekła i ani trochę za nią nie tęskniła. Londyn nadal wydawał jej się miejscem fascynującym, zresztą, gdyby nie przyjechała do stolicy, nigdy by nie przeszła przez drzwi prowadzące do wymarzonego Rainbow Corner. Nigdy nie nauczyłaby się tańczyć jive'a. Nigdy by się nie zakochała. I nie odkochała. Nigdy nie stałaby się Rose Beaumont.

— Wiem, że spadają bomby, racjonujemy żywność i ciągle trzeba się martwić, że coś potwornego może się przytrafić ludziom, których kochamy. Ale pomijając te kwestie, życie podczas wojny jest całkiem ekscytujące, nie sądzisz?

Phyllis wpatrywała się przez chwilę w długą trawę, wśród której wyrastały śliczne jasnożółte pierwiosniki.

— No cóż, gdyby nie wojna, nigdy bym nie poznała ciebie, Sylvii czy Maggie. — Potrząsnęła głową. — W szkole nie udawało mi się zaprzyjaźnić z ładnymi dziewczynami, więc tak, to dość ekscytujące.

— Nie pleć bzdur! Jesteś dokładnie tak samo ładna jak Sylvia czy Maggie — odparła twardo Rose, ale Phyllis nie prezentowała się efektownie i właśnie dlatego Rose ją kochała. Była dobra i solidna, i miała ckliwe, romantyczne serce, takie, jakie kiedyś miała ona sama. Tak naprawdę jednak Phyllis najbardziej pasowała właśnie tutaj: do świata polnych kwiatów i żywopłotów, i cudownie świeżego powietrza. — Nie rozklejaj się. Czy wasza pani Barnes nie mówiła coś o pierniczkach? Chodź, ścigamy się z powrotem do domu!

ROZDZIAŁ XXIII

Była trzecia nad ranem. Jane poczuła się całkowicie rozbudzona, choć miała uczucie piasku pod powiekami. Leo niby ustawicznie narzekał, że odkąd ograniczył alkohol, nie może spać, ale wieczorami padał wykończony i teraz też cicho pochrapywał po drugiej stronie łóżka, jedną ręką otaczając ich poduszkę przyzwoitkę.

Wciąż panowała ciemna noc. Jane spróbowała ćwiczeń medytacyjnych, lecz trudno było jej się skupić, skoro potrafiła myśleć wyłącznie o Leo. Ale prawda była taka, że odkąd wysłuchiwała jego wyznania, wciąż się o niego martwiła, leżąc na granicy snu i jawy. Wiedziała, na czym polega problem Leo — był zbyt, cholera, delikatny, a ona była idiotką, że nie zauważyła tego wcześniej.

Jej poprzedni mężczyźni może ją nienawidzili, ponieważ raniła ich uczucia, robiła z nich głupców, raniła ich dumę, lecz przy swoim trybie życia musiała ponieść koszty. Zresztą, częściej to z jej usług brutalnie rezygnowano.

Ale Leo... Nie była przecież potworem, a przynajmniej nie uważała się za osobę nieludzką i nie chciała niszczyć kogoś, kto nie umie podnieść się po ciosie.

„Co ja z tobą zrobię?!”

Uznała, że nie ma sensu leżeć i odganiać myśli, które dotyczyły jednego tematu, dlatego — ostrożnie, ponieważ nie chciała obudzić Leo — wyslizgnęła się z łóżka i wyszła z pokoju.

Zawsze czuła dreszczyk emocji, kiedy w środku nocy zwiedzała domy innych ludzi. Nie, nie grzebała w szufladach ani nie zaglądała do szafek; nie przeprowadzała rekonesansu ani nie robiła inwentaryzacji. A jednak gdy tylko ona jedna nie spała, każdy dom ujawniał przed nią swoje sekrety.

Nieraz, po wejściu do czyjegoś budynku, dygotała i natychmiast pragnęła z niego wyjść, tak jakby zło, które tam się zdarzyło, tkwiło w ścianach, które wydzielają niewidoczne, lecz toksyczne opary. Ale dom Rose na pewno jej się taki nie wydawał. Kiedy wchodziła do któregoś z pomieszczeń, nie ogarniały ją żadne straszne lęki ani złe przeczucia. Rose była tutaj szczęśliwa.

Jane przeszła cały dom, a potem, akurat gdy dotarła do szczytu schodów, nadal ani trochę niezমেzczona, usłyszała, że ktoś krzyczy. Krzyk właściwie nie był głośny, lecz tak przejmujący, że serce zabiło jej wyraźnie, ostrzegawczo.

Odgłosy nie ustawały. Dochodziły z dalekiego końca korytarza, na którym mieściły się pokoje Rose, a kiedy się zbliżyła, hałas zmienił się w słowa: „O Boże, Boże! Dobry Boże!”. Był to łamiący się jęk przerażonej starszej kobiety.

Zastukała do drzwi, lecz nie otrzymała odpowiedzi. Otworzyła i znalazła się w salonie, z którego kolejne drzwi prowadziły do sypialni. Nie włączyła światła, a tylko zawołała:

— Rose? To ja, Jane. Wszystko w porządku?

Kobieta znów krzyknęła, ale tym razem krzyk nawet nie ułożył się w słowa. Jane otworzyła drzwi wewnętrzne, cofnęła się i włączyła jedną z lamp w salonie, żeby lepiej widzieć, co dzieje się w sypialni. Rose w pogniecionej białej koszuli nocnej, częściowo zwisając z łóżka, tkwiła w bezruchu, być może sparaliżowana obawą, że jeśli się poruszy lub zareaguje na ból, z którym się zmagала, drgnięciem bądź spazmem, połamie sobie blade, upiornie wyglądające, nienaturalnie wykręcone kończyny. Nie przypominała teraz tej opanowanej, spokojnej, niesamowicie onieśmielającej starszej kobiety, którą Jane do tej pory spotykała.

— Akurat wchodziłam po schodach, kiedy cię usłyszałam — wyjaśniła Jane, jak gdyby dla Rose w tym właśnie momencie miało znaczenie, dlaczego tak nieoczekiwanie się tu pojawiła. — Bardzo cię boli?

Rose nie odezwała się ani nawet nie odwróciła głowy, którą również ułożyła pod dziwnym kątem na poduszce.

— Co za głupie pytanie! Oczywiście, że bardzo cię boli — odpowiedziała Jane sama sobie, podchodząc do łóżka. Teraz widziała rysy twarzy Rose i zobaczyła w nich tak wielki popłoch, że sama się przestraszyła. Ale obie nie mogły się bać. To im nic nie da. — Próbujesz wstać z łóżka? Musisz iść do ubikacji? A może potrzebujesz swoich pigułek? — Rose raz kiwnęła głową. — Są w łazience?

Kolejne kiwnięcie.

Jane starała się najpierw zwiększyć wygodę Rose, ostrożnie przenosząc jej nogi, potem uniosła jej głowę i poprawiła poduszki, a na koniec jak najdokładniej wygładziła pomięte prześcieradło. Rose zaciskała zębami dolną wargę; raz chrząknęła i ścisnęła kurczowo jej ramię, po czym opadła na poduszki.

— W porządku, jesteś teraz bezpieczna. Przyniosę ci pigułki.

Zostawiła włączone światło w łazience i wróciła z tabletkami oraz szklanką wody.

— Pomyślałam, że prawdopodobnie chodzi o tramadol. Jesteś w stanie na chwilę usiąść?

Rose nie mogła się podnieść, więc Jane ułożyła poduszki wyżej, potem troskliwie objęła ramieniem plecy chorej, umieściła jej na języku dwie tabletki i w końcu przystawiła jej do ust szklankę.

— Już dobrze — powiedziała. Zawsze dobrze kłamała. — Nie próbuj mówić. Skoncentruj się po prostu na powolnym oddychaniu.

Usiadła na brzegu łóżka i trzymała rękę Rose, gładząc ją po kłykciach w rytm jej drżących wdechów i wydechów, które stały się regularniejsze, kiedy ból zaczął wyraźnie słabnąć. Skóra Rose była cienka i gładka niczym pergamin, jak klasyczna sukienka z jedwabiu, którą łatwo podrzeć, jeśli się nie uważa.

W końcu kobieta otworzyła oczy.

— Lepiej — rzuciła jak po wypiciu łyku mocnego, przywracającego siły

naparu. — Jestem taka głupia. Zwykle zanim pójdę spać, upewniam się, że wszystko leży na nocnym stoliku.

— Zazwyczaj budzisz się tak w środku nocy? — spytała Jane.

— A ty zazwyczaj obchodzisz w środku nocy domy innych ludzi? — odpowiedziała ripostą Rose.

Jane podniosła rękę.

— Możesz mnie obszukać dla pewności, że nie schowałam gdzieś rodzinnych sreber. — Takiej rozczochranej i rozedrganej Rose Jane nie bała się tak, jak normalnie. — Zawsze budzisz się z tego rodzaju bólem?

Rose złożyła dłonie.

— Oczywiście, że nie. Jak ci już powiedziałam, na ogół mam tabletki obok siebie, ale wczoraj umówiłam się z George'em i najwyraźniej po powrocie byłam zbyt zmęczona i opuściłam dawkę.

— Ile minęło, kochana? Pół godziny od czasu, gdy połknęłaś te pigułki? I ciągle się trzęsiesz. Do tej pory powinny zadziałać lepiej niż tylko przytępić ból. Być może powinnaś brać coś mocniejszego.

— To naprawdę nie jest twoja sprawa. — Jane nie umiała sobie właściwie radzić z krewkami starszymi paniami. Kiedy jej babcia umarła, miała sześć czy siedem lat. Wydawała jej się stara, ponieważ była spuchnięta i brzydka przez wszystkich tych mężczyzn, alkohol i Bóg wie, co jeszcze, lecz dopiero po latach, gdy była trochę starsza, wykonała pewne obliczenia i wtedy zrozumiała, że Baba Jo umarła przed pięćdziesiątką. Nie była tak zła jak bywają babcie — była pogodną, niezłe funkcjonującą pijaczką, która potrafiła wrzucić trochę płatków zbożowych do miseczek i wysłać dzieciaki do szkoły; gdy umarła, wraz z nią zniknęły wszelkie pozory normalności i pozostał jedynie wytarty ślad na tapicerce sofy, na której siedziała świętek, piątek i niedziela.

Była też prababka, białowłosa dama, która mieszkała w schludnym małym domku ze schludnym ogródkiem w schludnym małym, niezbyt odległym miasteczku.

Jane pojechała tam raz i przede wszystkim pilnowała maluchów, podczas gdy matka waliła w drzwi, które pomalowano na słoneczny żółty.

— Babciu Annie! Wyjdź i przywitaj się z dzieciaczkami.

Jane stała w miejscu, a maluchy demolowały schludny ogródek. Matka najpierw kazała im przestać, ale ponieważ prababcia nadal nie wychodziła — mimo próśb, żeby dała maluchom całusa, a potem żądań, żeby dała im pieniądze — tylko się śmiała, dzieciaki tymczasem wrywały kwiaty i kopały sobie ziemią w buzie. Jane usiadła na murku, a wtedy w oknie na piętrze dostrzegła zatroskaną twarz kobiety. Na sekundę wymieniły spojrzenia, po czym kobieta zniknęła za firanką, a pod dom podjechał wóz patrolowy.

Jane zabrała najmniejsze dziecko i posadziła je w spacerówce, za co

w ramach podziękowania matka tylko trzepnęła ją w głowę.

— Ruszaj się, kurwa — warknęła jeszcze, a Jane ze spuszczoną głową podążyła za nią z wózkiem i trójką pozostałych maluchów, przepychających się i szydzących z dwóch policjantów, którzy wysiedli z radiowozu i stali nieruchomo z ramionami założonymi na piersiach.

Rose zupełnie nie przypominała ani Baby Jo, ani prababci Annie.

— Wyraźnie strasznie dużo wiesz o lekach, moja droga — mówiła teraz. — Czy właśnie to łączy ciebie i Leo?

— Nigdy nie tykam leków, ale znam sporo osób, które biorą różne medykamenty, więc wiem, że twoje nie działają, jak trzeba. — Przez moment Jane znów poczuła ten ucisk w sercu, który zinterpretowała jako współczucie dla Leo. Teraz, kiedy Rose znowu myślała przytomnie, na powrót stała się nieustępliwa i mogła mu nie udzielić przebaczenia, ani nie zostawić majątku, bez względu na to, jak bardzo Leo na nie zasłużył. — Oczywiście, że to w ogóle nie jest moja sprawa, ale nie rozumiem, dlaczego chcesz cierpieć.

— Oczywiście, że nie chcę cierpieć, ale nie chcę też mieć umysłu zaćmionego przez narkotyki. Później niespodziewanie pojawią się pielęgniarki i osoby opiekujące się starymi ludźmi... Obcy będą się włóczyli po całym domu — mówiła marudnym tonem. — Albo, co gorsza, stanę się tak zniedołężniała, że trafię do hospicjum. Linda chce dobrze, lecz ta jej propozycja, żeby zabrać mnie na zwiedzanie ośrodka gdzieś w Hertfordshire... Nazywa się Spokojne Łąki. Spokojne Łąki! Zupełnie szczerze, wolałabym raczej palnąć sobie w łeb ze starej strzelby dziadka.

Jane nie przyszła do głowy żadna odpowiedź, toteż siedziała w milczeniu. Rose wyglądała na wyczerpaną własnym sprzeciwem, ponieważ oparła się na poduszkach i zamknęła oczy.

— No cóż, przynajmniej jest ci teraz wygodniej — zauważyła Jane, wstając uważnie, by nie zakłócić spokoju starszej kobiety. — Masz rację, decyzja musi być twoja, ale nie mogę po prostu ignorować faktu, że cierpisz i twoje leki nie działają.

— To tylko jedna kiepska noc. Nie dajmy się ponieść emocjom.

Jane zrobiła wszystko, co mogła. Wprawdzie gdyby Rose — zamiast dziś — obudziła się jutro w nocy o podobnej porze i z podobnym bólem, nie byłaby jej, Jane, kłopotem. Dziś jednak, otwierając drzwi do pokojów Rose, na własną prośbę znalazła się w wirze zdarzeń i teraz musiała znaleźć rozwiązanie, które przyniesie korzyść każdej z zainteresowanych stron. Czekало ją trudne zadanie. Weszła do łazienki, wyłączyła światło, a gdy wychodziła, już wiedziała, jak postąpi.

— To, co zrobiłam dzisiejszej nocy, no cóż, kochana, to prawie maksimum moich możliwości — powiedziała do Rose, która ostrożnie układała się w pozycji horyzontalnej. — Tak naprawdę nie jestem stworzona do basenów czy czegoś innego, co wiąże się z płynami ustrojowymi.

Patrzyły na siebie przez długą chwilę, a jedyne światło docierało z salonu. Jane niemal zapomniała, że ledwie trzydzieści minut temu Rose leżała oniemiała i bezużyteczna z powodu bólu, gdyż teraz się uśmiechała. Uśmiech był przebiegły i Jane nie wiedziała, co myśleć.

— Hmm, cieszę się, że to słyszę, ponieważ ja również nie jestem stworzona do takich rzeczy — odparła Rose lakonicznie. — Co więcej, twoje podejście do pacjenta pozostawia wiele do życzenia. — Ponownie się uśmiechnęła. — Jakie to dziwne. Można by pomyśleć, że akurat w kwestiach łóżkowych będziesz się wyróżniała.

Ta cierpka reakcja nieco ułatwiła Jane odpowiednią ripostę. Położyła sobie ręce na biodrach.

— Jeśli nadal będziesz taka okropna, wówczas będę miała święte prawo udusić cię jedną z twoich fantastycznych poduszek po sto funtów i tym samym oszczędzić nam wszystkim dalszej niedoli.

Jane mogłaby się założyć, że niewielu osobom udało się zobaczyć Rose w takim szoku; jej szeroko otwarte usta i oczy stanowiły trzy kręgi symbolizujące zaskoczenie. Jane mogłaby również sporo postawić na to, że mało osób potrafiło powiedzieć coś, co odbierało Rose mowę.

— Rozumiem, naprawdę rozumiem. Bardzo cię boli. Ale, wierz mi, nie ma sensu, żebyś cierpiała ty i, przez to, wszyscy wokół — ciągnęła, maszerując ku drzwiom. Tam się odwróciła i popatrzyła za siebie, na Rose, która ciągle siedziała w miejscu jak czysta definicja osłupienia. — Zrób, co musisz: zatelefonuj do swojego lekarza, załatw inny lek, cokolwiek. Jeśli jednak nic nie zrobisz, wtedy zadzwonię do Lindy, która przyjedzie do Londynu i wyekspeduje cię do Spokojnych Łąk. Twój wybór, kochana.

Ledwie Leo otworzył oczy, już wiedział — po świetle, które padało ukośnie przez firanki — że jest dużo później niż siódma trzydzieści, gdy Jane zazwyczaj go budziła przed wyjściem na męczące zajęcia hot jogi w saunie. Dziś jednak twardo spała obok niego, zwinięta w kłębek i tak dokładnie przykryta, że widział tylko czubek jej głowy.

Kiedy wybiegł z domu kilka minut później, na szczęście na krawężniku ciągle jeszcze stał samochód Rose z włączonym silnikiem.

— Kolejne trzydzieści sekund i musiałbyś dotrzeć na piechotę — oznajmił mu Frank wesoło, kiedy Leo wsunął się na tylne siedzenie obok Rose.

Patrzyła przez okno na mały plac i nijak nie zasugerowała, że w ogóle go dostrzegła. Na jego widok nigdy nie reagowała zadowoleniem i był do tego przyzwyczajony, jednak całkowite ignorowanie było czymś nowym. Wczoraj namówił członków ekipy na improwizowany mecz w piłkę, aż Mark wrócił ze składu materiałów budowlanych i ich opieprzył. Może usłyszała o tym zdarzeniu.

Zerknął na nią, na jej profil. Kiedy widzimy kogoś codziennie, nie

zauważamy w nim zmian. Lecz Leo wrócił dopiero mniej więcej dwa tygodnie temu i Rose z jego wspomnień była jednak dużo młodsza i znacznie bardziej witalna, więc teraz przy każdym spotkaniu przeżywał wstrząs. I każdego ranka wydawała mu się trochę bardziej przygaszona niż poprzedniego dnia.

— Rose? — odezwał się, kiedy Frank zjechał z krawężnika.

Częściowo się odwróciła i lekko drgnęła.

— Och, to ty, Leo. Byłam tysiąc kilometrów stąd. — Nawet jej uśmiech był nieco mocniej stonowany, coś jawnie ściągało kąciki jej ust w dół. — Zaspaeś? Chyba nie wychodziłeś wczoraj wieczorem.

Przeszedł do porządku dziennego nad sugestią, że upił się wczoraj i zapewne dlatego nie wstał na czas.

— Jane nie poszła na zajęcia jogi, no i nikt mnie nie szturchnął, aż się sam obudziłem. Naprawdę powinienem nastawić budzik w telefonie.

— Naprawdę powinieneś — przyznała ostro i Leo natychmiast zrobił się czujny, a równocześnie ogarnęło go poczucie winy za wszystkie rzeczy, które zrobił, i nawet za te, których nie zrobił. — Teraz o tej dziewczynie, tej twojej Jane...

— Nie jest moja...

— Jest niewypowiedzianie niegrzeczna. Gro-zi-ła mi! — mruknęła. — Musisz trzymać ją w ryzach.

— Małżeństwo niestety nie wygląda obecnie tak jak kiedyś — odparł tonem eksperta. — Co masz na myśli, mówiąc, że ci „gro-zi-ła”?

Rose westchnęła, wydając z siebie krótkie niezadowolone sapnięcie.

— Mogłabym się zgodzić, że wzmianka o uduszeniu mnie jedną z moich poduszek od Neishy Crosland była żartem, aczkolwiek w bardzo kiepskim guście, jednak niczego zabawnego nie widzę w chęci zadzwonienia do twojej matki, żeby mogła mnie odwieźć do hospicjum.

— Naprawdę? Kiedy te sprawy miały miejsce?

Rose skrzywiła się.

— To nie jest ważne. Ale nikt nie będzie mówił do mnie w ten sposób, nie w moim własnym domu.

Rose, którą kiedyś znał, zawsze wspaniale wznosiła się ponad takie rzeczy, jednak ta dzisiejsza ledwo nad sobą panowała. A potem zrozumiał.

— Ile teraz bierzesz? — spytał. — Twierdziłaś, że trzy, kiedy działają, a sześć, kiedy nie pomagają. Bierzesz już siedem, prawda?

— Nie siedem — upierała się, lecz niezbyt zdecydowanie.

Zwrócił uwagę, że poruszała się bardzo ostrożnie.

— Na pewno?

— Wzięłam tabletki, kiedy wstałam. Następną dawkę mogę wziąć dopiero za jakieś dwie godziny — wyjaśniła, kiedy Frank skręcił w Kensington High Street

i utknął w korku.

— Jeśli cię boli, w takim razie weź więcej. Na pewno twój organizm do tej pory wytworzył już swego rodzaju tolerancję na lek i go nie przedawkujesz. — W niewielu dziedzinach był specjalistą, lecz na takich środkach na pewno się znał. Przynajmniej kiedyś. — Co właściwie przyjmujesz? Diamotfinę? Oksykodon? Fentanył?

— Być może powinieneś mimo wszystko postąpić zgodnie z rodzinną tradycją i zostać lekarzem — zachnęła się. — Tak strasznie dużo wiesz o silnych środkach przeciwbólowych. Biorę tramadol. Na pewno nie jestem gotowa na przyjmowanie opiatów.

— Ale... Rose! Założę się, że tramadol prawie wcale ci nie pomaga.

Nawet kiedy byli przyjaciółmi, zawsze istniał między nimi pewien dystans — nie tylko ze względu na wiek Rose i jej status osoby niemal świętej, lecz także jej powściągliwość, która nie pasowała do nowoczesnego świata. Leo czuł, że tą rozmową przekracza jakąś granicę, istotniejszą niż wszystkie, które przekroczył do tej pory.

— Och, Leo, co ja mam z tobą zrobić? — spytała łagodnie Rose, po czym podniosła rękę, wciąż ciepłą, choć o skórze suchej i cienkiej, i pogładziła go po policzku. — Nigdy nie odpuszczasz, co?

— Mówiłaś, że nie chcesz się poddać leczeniu, bo wolisz cieszyć się tym, co ci zostało. Jak możesz się cieszyć życiem, skoro cierpisz? Nie próbuj zaprzeczać — dodał, kiedy pokręciła głową przecząco i cofnęła dłoń. — Nawet ty nie zdołasz z tym wygrać, Rose. Chciałbym tego, naprawdę bym chciał, ale nie kupisz sobie więcej czasu samym udawaniem, że twój stan się nie pogarsza. Tylko siebie krzywdzisz.

— Dam radę to znieść — upierała się, a Leo pożałował, że nie odziedziczył nawet ułamka jej uporu.

— Ale przecież nie musisz. Zdobądź leki, które zadziałają. W przeciwnym razie ból obniży standard twojego życia i wyczerpie cię, zanim będziesz gotowa odejść.

Było między nimi tak wiele niedokończonych spraw. Miał tak dużo do spłacenia, a nawet jeszcze się za to nie zabrał.

— Nie chcę się zmienić w zramolałą babcię — wyznała cicho. — Chcę nadal pozostać sobą. Lubię siebie. Przedtem... kiedy brałeś narkotyki, pragnąłeś przestać być sobą, zatracić się. Nie jestem na coś takiego gotowa.

— Nie przestaniesz być sobą. Przestaniesz jedynie odczuwać ból — tłumaczył i miał nadzieję, że jest to zgodne z prawdą, bo przecież nigdy nie spotkał osoby przyjmującej opiaty ze wskazań medycznych. — Obiecasz mi, że pójdziesz do swojego lekarza? Jeśli to możliwe, jeszcze dzisiaj. Ponieważ... Jeżeli tego nie zrobisz, wtedy będę musiał znów napuścić na ciebie Jane.

Rose ponownie się najeżyła.

— Ta dziewczyna — zamyśliła się. — Jest w niej coś dziwnego, chociaż nie wiem co. Daję wam sześć miesięcy.

— Naprawdę? Nie jestem pewny, czy ja daję nam choćby sześć tygodni — odparł Leo. — Wiesz, że ona w jakimś sensie trochę przypomina mi ciebie.

Zapominając o całym bólu, Rose odwróciła się i popatrzyła na niego z wściekłością.

— W ogóle nie jest taka jak ja! — Wyprostowała się na siedzeniu. — Przekaż jej, Leo, że spodziewam się po niej przeprosin.

Nie takiej rozmowy Leo oczekiwał.

— Zobaczą, co da się zrobić, Rose. — Powoli wjechali w boczną uliczkę, przy której mieściły się jej biura. — Między nami dobrze jest?

— Znakomicie — oceniła, a on uznał, że to więcej, niż wcześniej ośmielał się mieć nadzieję.

ROZDZIAŁ XXIV

Kiedy Jane wróciła tego popołudnia, Leo był już w domu po pracy i po prysznicu. Siedział na łóżku i wyraźnie na nią czekał. Zjadła dziś lunch z kilkoma kobietami z zajęć — dziobały sałatkę i sęczyły wodę mineralną w kafeterii na piątym piętrze Harvey Nichols — a potem bez celu chodziły po sklepach, ponieważ żadna z nich nie miała pilnych zobowiązań. Jane zapomniała już, jak wyczerpujące jest zabijanie czasu, więc widok Leo naprawdę sprawił jej przyjemność.

— Witaj, kochany. Zamierzałam spytać: „Ciężki dzień w robocie?“, ale byłby to okropny banał, czyż nie?

— Tak — przyznał. Był już szary londyński listopad z bezbarwnym niebem i uporczywą mżawką, z powodu których można by żywić obawy, że słońce nigdy więcej się nie pojawi, natomiast twarz Leo straciła już swój wcześniejszy ziemisty odcień. Jego opalenizna zbladła, lecz jasne oczy błyszczały, a rysy chyba się nieco wysmukliły. — Co do mnie, spędziłem większą część dnia, spierając się z Rose na temat przewagi płytek ceramicznych nad porcelanowymi. W pewnym momencie na dobre rozgorzała kłótnia i myślałem, że Rose trzaśnie mnie w łeb pierwszym kafelkiem z brzegu.

Jane rozpięła płaszcz.

— Założę się, co powiedziała. Że tylko w ten jeden sposób może ci wbić do głowy trochę rozumu.

Leo szeroko się uśmiechnął. Jane naprawdę się cieszyła, że go widzi, może dlatego, że do tej chwili jej dzień był tak śmiertelnie nudny.

— Mniej więcej. Skąd wiedziałaś?

— Z doświadczenia, kochany. Więc dlatego jesteś w domu tak wcześnie? Pójdziemy...

— Skoro już mowa o groźbach cielesnych — przerwał jej. — Co jej, do diabła, nagadałaś wczoraj w nocy?

Nie mogła przesadnie koloryzować. Rose bez wątpienia streściła sytuację i teraz Jane grała w tej historii rolę złego policjanta, ale ponieważ na jej tle Leo wyglądał jak dobry gliniarz, tak naprawdę wyświadczyła mu kolejną przysługę.

— Naprawdę zagroziłaś, że ją udusisz i straszylaś Zielonymi Pastwiskami?

— Spokojnymi Łakami, kochany. — Jane stała przed Leo, nogi skrzyżowała w kostkach, ręce splotła za plecami, oczy spuściła, a on przez chwilę mierzył ją wzrokiem z góry na dół i z boku na bok, po czym uniósł brew. Och, mężczyźni byli dla niej tacy przewidywalni. — To z powodu zmęczenia. Nie spałam dobrze. Może byłam ociupinkę zbyt zrzędliva.

— Tak, świetnie cię rozumiem, ale twoje zachowanie w stylu nieposłusznej gimnazjalistki naprawdę na mnie nie działa — oświadczył głosem cierpkim jak wódka. Przestał ją obrzucać namiętnymi spojrzeniami i założył ręce na piersi, więc

naprawdę wyglądał trochę jak nieporuszony dyrektor szkoły. — Martwiłbym się, gdyby tak było.

Jane miała ochotę zrobić kwaśną minę, ale zamiast tego udała dobry humor.

— Będę o tym pamiętała — odparła i usiadła obok Leo. Wtedy przypomniała sobie zdarzenia z ubiegłej nocy. Nie miały nic wspólnego z jej ogólnym planem. — Rose strasznie cierpiała — wyjaśniła. — Kiedy weszłam, nie była nawet w stanie się odezwać. Wspomniała ci może o tym przypadku?

— Tak, odbyliśmy dziś rano długą pogawędkę o tym, jak, no wiesz, daje sobie radę z chorobą, a później wyszła z pracy wcześniej i pojechała się zobaczyć ze swoim lekarzem. — Na moment napiął mięśnie ramion, jak gdyby przypuszczał, że spadnie na nie wielki ciężar, potem jednak jego oblicze się rozpozodziło. — Faktycznie przyjęła moją radę i wyszła z pracy wcześniej?! To musi być znak, że zbliża się koniec świata.

Jane nie wyprowadziła go z błędu i przez jakiś czas pozwoliła mu się pławić w samozadowoleniu, ponieważ w ten sposób wszyscy wygrywali. Rose zacznie przyjmować lepsze leki, więc będzie mniej cierpiała, a Leo zyskał u niej parę punktów, co oznaczało, że sprawy Jane również posuną się naprzód.

— Wyjdziemy na kolację? Kolacja i kino? — Robili to dosyć często; kolacja i kino niczym w przypadku prawdziwych nowożeńców, którzy rozpaczliwie pragną być sami.

— Musisz przeprosić Rose — powiedział Leo nieustępliwym tonem. — Powiedz wprost, że ją przepraszasz, a nie jedną z tych bzdur w stylu: „Przykro mi, jeśli poczułaś się obrażona przez coś, co powiedziałam”. To muszą być porządne przeprosiny.

Jane naprawdę się czuła jak nieposłuszna gimnazjalistka, kiedy później tego samego wieczoru stanęła przed Rose. Rose wspaniale zagrała dyrektorkę szkoły, despotyczną i dostojną.

— Szczerze przepraszam za swoje groźby, że cię uduszę i zaciągnę do domu opieki — wyznała, a George, który siedział obok Rose na sofie, aż wstrzymał oddech z szoku i podziwu. Rose zupełnie na niego nie zważała, wpatrywała się za to w Jane jak w pokojówkę, którą przyłapała za kortami tenisowymi w kompromitującej sytuacji z jednym z ogrodników. — Wiem, że to żadne usprawiedliwienie, ale kiedy mam kłopoty ze snem, wpadam w okropnie paskudne nastroje.

— No dobrze, przeprosiny przyjęte — odrzekła Rose i skinęła jej głową, jawnie ją odprawiając.

Jane zapragnęła wycofać się powoli, nie przerywając kontaktu wzrokowego z tymi chłodnymi błękitnymi oczyma, aż Rose nie udzieli jej na to pozwolenia. Postanowiła jednak twardo pozostać na miejscu.

— Ciągle jednak się na mnie gniewasz, prawda? — To było oczywiste.

Spodziewała się takiej reakcji i dlatego podała karteczkę i mały bukietek fiołków, które kupiła od kwiaciarki na rogu Kensington High Street, a które do tej chwili ukrywała za plecami. — Przyjmij je jako gest pojednania.

Rose zastanowiła się nad jej prośbą.

— Nigdy za bardzo nie ceniłam fiołków — stwierdziła. — Kiedyś znałam kobietę, która chyba się kąpała w April Violets Yardleya. Nie mogłam jej znieść.

Jane wiedziała, że w kontaktach z ludźmi raz się wygrywa, a raz przegrywa.

— No cóż, będę gdzieś tutaj — powiedziała do Rose, która wyglądała teraz raczej na rozbawioną niż dotkniętą.

Jane usiadła obok Leo, który otoczył ją ramieniem.

— No cóż, zrobiłaś wszystko, co mogłaś — wyszeptał z lekką wyższością. — Myślisz, że w tamtych czasach nigdy nie kupowałem jej kwiatów?

Jednak historia Leo i Rose była długa i skomplikowana. Jego przeprosiny wymagały czegoś więcej niż tylko kartki i bukietu kwiatów, podczas gdy Jane miała prawo do kilku błędów.

— Muszę powiedzieć, moja droga, byłaś bardzo miła i troskliwa, zanim zagroziłaś, że mnie udusisz — przyznała się Rose z przyprawiającym o gęsią skórkę uśmiechem. Jane podejrzewała, że lekarz zmienił jej lek przeciwbólowy i te nowe pigułki wyraźnie poprawiały jej nastrój. — Nigdy nie byłam taka piękna jak ty, nawet w kwiecie wieku, ale ponieważ wyglądasz tak ślicznie, kiedy okazujesz skruchę, jestem absolutnie przekonana, że ci wybaczę.

— Dziękuję — odrzekła Jane i nie mogła się oprzeć pokusie triumfalnego szturchnięcia łokciem w żebra Leo. — To mi się nigdy więcej nie przydarzy. To znaczy... nie mam na myśli troskliwości, ale groźby cielesne.

— Nawet gdybyś rzeczywiście udusiła mnie jedną z moich licznych poduszek, wystarczyłoby jedno twoje smutne spojrzenie ku ławie przysięgłych i jestem pewna, że uniknęłabyś kary za morderstwo — dodała Rose, a kiedy Jane zastanawiała się nad repliką, w drzwiach stanęła Lydia i oznajmiła, że kolacja jest gotowa.

Nowe leki Rose zaczęły działać natychmiast. Nie zbiegała wprawdzie każdego ranka po schodach, ale opuszczała dom, sunąc po królewsku w chmurze Chanel N° 22.

Chociaż kiedy działanie leków mijało, powracający ból był ostrzejszy, mniej miłosierny. Pedantycznie przestrzegała wskazań i brała dawkę dokładnie co cztery godziny, ale Leo odnosił wrażenie, że w tych długich minutach, które spędzała, czekając, aż upłynie wyznaczony czas, niemal usiłowała wymyślić jakiś nowy sposób oddychania.

Teraz wychodziła z biura nie później niż o szesnastej i przez większość wieczorów zostawała w domu, podczas gdy wcześniej była prawdziwą duszą towarzystwa, zwłaszcza jak na osobę po osiemdziesiątce. Na kolację zwykle

przychodził George, czasami dołączała do nich także Elaine z naprzeciwka albo Gudrun. Od czasu do czasu jadali nawet w kuchni z Lydią i Frankiem, co Leo lubił najbardziej, ponieważ zamiast wina mógł wtedy pić piwo i gawędzić z Frankiem o futbolu.

Co nie znaczy, że inne kolacje były nudne. Rose przyjmowała leki o osiemnastej i do osiemnastej trzydzieści była już w połowie ginu z tonikiem i w doskonałej formie. Jeszcze po kolacji umysł wciąż miała przenikliwy, oczy jej błyszczały i z szerokim uśmiechem brała udział w konwersacjach, więc Leo zaczął się zastanawiać, czy, jeśli lekarz będzie jej ordynował odpowiednie medykamenty, mogłaby całymi miesiącami egzystować na tym poziomie bólu (na trójce w jego zupełnie subiektywnej i arbitralnej skali).

Z pewnością była w podobnym stanie, gdy pewnego wieczoru, tydzień po zmianie leków, po kolacji spytała Jane o ich ślub.

— Nie zrobiliście nawet jednego zdjęcia? — spytała z niedowierzaniem. — Tak się nie godzi. Za chwilę się dowiem, że pobraliście się w dzinsach i podkoszulkach.

Jane wyglądała na mocno obrażoną taką sugestią.

— Miałam porządną suknię ślubną — odparowała z oburzeniem. — Klasyczny Dior. Musiałam schudnąć dwa centymetry w pasie, żeby się w nią wbić, ale było warto.

— Miałam kiedyś niezwykle olśniewającą suknię koktajlową z czarnej satyny. Kupiłam ją w jego sklepie w trakcie podróży do Paryża w 1948 roku. Christian Dior akurat wszedł do pomieszczenia, gdy mi ją dopasowywali — zadumała się Rose z łagodnym, tęsknym uśmiechem, którego Leo chyba nigdy przedtem nie widział. — Ilekroć ją zakładałam, czułam się jak królowa.

George lekko westchnął.

— Och, ten dotyk ręki Diora. Naprawdę powinnaś spisać wspomnienia. — Zakrył sobie dłonią usta, kiedy zrozumiał, co właśnie powiedział, lecz Rose posłała mu tylko czułe spojrzenie.

— Obawiam się, że trochę na to zbyt późno — wytknęła mu. — Właściwie, skoro już jesteśmy przy sukienkach, nawet nie zaczęłam ich porządkować. Myślałam, czy niektórych co bardziej wymyślnych nie ofiarować muzeum V&A i zamierzałam cię spytać, George, mój drogi, o procedury stosowne do takiej sytuacji. Czy ludzie z muzeum skontaktują się ze mną przed śmiercią, czy wystarczy, że dodam kodycyl do mojej ostatniej woli?

— Nie mówmy teraz o tym. — George'owi zaczął drżeć zarówno głos, jak mięśnie twarzy. Jane, która siedziała obok niego, poklepała go po ramieniu i szepnęła w ucho coś, czego Leo nie dosłyszał, a potem odwróciła się do Rose.

— George opowiadał nam o sukni od Claire McCardell, którą miałaś na sobie, kiedy się poznaliście — powiedziała. — Nadal ją posiadasz?

Piętnaście minut później dotarli na poddasze na trzeciej kondygnacji. Poddasze Rose nie było kilkoma zakurzonymi klitkami, do których docierało się przez zapadnię i rozchwierutaną drabinę, oświetlonymi pojedynczymi żarówkami i ze spróchniałymi deskami podłogowymi, gdy trzeba uważać, gdzie się stawia stopy. Nie, były to jasne i przewiewne, połączone ze sobą pokoje, umeblowane wykonanymi na zamówienie regałami i szafami wnękowymi.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Jane. Chcąc obejrzeć wszystko, powoli obracała się wokół własnej osi. — Czuję się jak w najlepszym na świecie sklepie z używaną klasyką.

— Zniechęciłam się i przestałam tu przychodzić — przyznała się Rose. Kiedy przesuwiała spojrzeniem po najbliższych półkach, zapchanych katalogami i pudłami starannie opatrzonymi etykietami, na jej twarzy pojawił się wielki niepokój. — Jaka szkoda, że nie dożyję tych czasów całkowitej komputeryzacji, o których tak dużo czytałam. Oczekiwałam ich z niecierpliwością. Ileż papierów i innych rzeczy zebrałam! A Bóg jeden wie, co znajduje się w Lullington Bay. Leo, miałam nadzieję, że będziemy mogli tam pojechać w trakcie następnego tygodnia czy dwóch. Teraz, proszę, będziesz tak miły i przyniesiesz mi jakieś krzesło?

Kiedy wraz z George'em sadowili się w identycznych fotelach projektu Eamesów, Rose poleciła Leo i Jane odnaleźć suknię od Claire McCardell. Przetrzęsając pokrowce na ubrania, odkryli wieczorowe żakiety i płaszcze, a potem suknie koktajlowe, aż ostatecznie Leo odszukał egzemplarz, o który chodziło Rose, i z nabożeństwem umieścił go na kolanach właścicielki.

— Jest jak stara przyjaciółka. Kupiłam ją w Nowym Jorku w roku 1946 — powiedziała Rose o granatowej sukience w czerwone kropki i z kołnierzem szalowym, o której już słyszeli od George'a. — Nie wyobrażacie sobie, jaki wspaniały był Nowy Jork, mimo tych wszystkich lat reglamentacji. Można było wejść do każdego sklepu i kupić wszystko, na co się miało ochotę. Po prostu wskazywało się, płaciło i wychodziło z nabytkiem... Zapomniałam, że tak to wtedy było.

Jane zastygła z na wpół rozsuniętym pokrowcem na ubranie i spojrzała na Rose jak na kogoś niespełna rozumu.

— Naprawdę racjonowano podczas wojny ubrania? Dlaczego?

— Dobry Boże! — Teraz Rose wyglądała na zbulwersowaną. — Niczego was młodych nie uczą dziś w szkołach? Oczywiście, że ubrania reglamentowano.

— Wiedziałam o jedzeniu — tłumaczyła się Jane, chociaż niezbyt pewnym głosem. — Ale nie sądzę, żeby w szkole ktoś nam mówił o reglamentowaniu ubrań. To było przecież kilkadziesiąt lat temu.

— Dziękuję ci, że tak ładnie mi przypominasz, jaka jestem stara — warknęła Rose.

— Coś mi się zdaje, że pigułki przestają działać — powiedział Leo

bezglóśnie do Jane, która mocno zagryzała dolną wargę, a wtedy natychmiast przemknęło mu przez głowę wspomnienie z Las Vegas: gdy przycisnął Jane do ściany w pokoju hotelowym, dokładnie tak samo zagryzała wargę.

Zamilkli na całe dwie minuty — na tyle długo, że Leo zdążył przejrzeć w myślach wirtualny album ze zdjęciami; na wszystkich roznegliżowana Jane leżała pod nim. Wciąż czuł zapach czarnej porzeczeki, nawet teraz, kiedy Jane przykucnęła, aby wyjąć z dolnej półki pudełka z butami.

Wtedy nagle nieoczekiwanie wstała.

— W porządku, jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, ale... Można było kupić majtki w czasie wojny, prawda? — Jane na ogół z wielką biegłością oceniała zachowanie rozmówcy i wiedziała, kiedy porzucić jakiś temat, tego wieczoru jednak instynkt najwidoczniej ją zawodził. — Proszę, powiedz mi, że nie racjonowali majtek?

— Ależ tak. I biustonosze, i pończochy! — Rose uśmiechnęła się na widok zgorzzonej miny Jane. — O ile były w sklepach. Racjonowanie jedzenia nie było aż takie okropne, bo po przeprowadzce do Londynu nawet przybrałam na wadze, jednak naprawdę mi przeszkadzało, że gdy chcę, nie mogę kupić przyzwoitej sukienki.

— Jak mogłaś przytyć, skoro jedzenie racjonowano?

— Ponieważ co noc opychałam się pączkami w klubie Amerykańskiego Czerwonego Krzyża przy Piccadilly Circus. Jeszcze dziś, jeśli zostawisz mnie samą z talerzem pączków, może się zdarzyć, że w trzy sekundy zawinę je w serwetki i wcisnę do torebki.

Leo przyszło do głowy pewne w połowie zapomniane wspomnienie.

— Moja matka mówiła mi o tym miejscu. Podobno uciekłaś w futrze prababci. Buchnęłaś też dwie z najlepszych sukienek babci.

— Och, nie powiedziałabym, że je... buchnęłam. Pożyczyłam sobie bez pytania — poprawiła go Rose.

Przed chwilą Leo miał wrażenie, że zaczęła powoli słabnąć, a teraz, zupełnie niespodziewanie, wydawała się gotowa na każdą przygodę. Gdyby postanowił, że powinni wyjść w zimną listopadową noc i znaleźć lokal, w którym taniec by ich rozgrzał, Rose prawdopodobnie pierwsza by się zapaliła do tego pomysłu.

— Nigdy nie mówisz o wojnie — wytknął jej George. — Rozmawiamy o wszystkim poza wojną.

— Nie mówię? Jakże to dziwne. Ostatnio myślę o niej przez cały czas. — Rose wyciągnęła jedną nogę i ostrożnie obróciła kostkę, potem zrobiła to samo z drugą. — Poza tym, nikt nie chce słuchać, jak jakaś starucha gędzi o swoim okresie świetności.

— No cóż, ja chcę, kochana, szczególnie jeśli opowieść obejmuje twoje romanse z postawnymi żołnierzami armii amerykańskiej — zapewniła ją Jane.

— To jak historie z filmów.

— Och, jestem pewna, że moja historia okaże się bardzo banalna — sprzeciwiła się Rose.

— No cóż, zważywszy na fakt, że Jane nawet nie słyszała o reglamentacji ubrań, na pewno uzna twoją opowieść za niezwykle pouczającą — obwieścił Leo, z łatwością odskakując od Jane, która właśnie wyciągnęła rękę, gotowa go uderzyć.

— No co? Nawet ja wiedziałem, że racjonowano ubrania, a przecież lekcje historii zazwyczaj przesypiałem.

— No chyba że temat wojny jest dla ciebie zbyt bolesny — zasugerował George i Rose położyła rękę na jego dłoni, być może dając do zrozumienia, że mogą poruszyć każdy temat, nawet najboleśniej. — Czasem ból jest tak wielki, że nie chcemy wspominać.

— Może kiedyś tak było, ale teraz wspomnienia związane z Rainbow Corner są wyłącznie wspaniałe. — Jej głos pobrzmiwał tęsknotą. — To było absolutnie cudowne miejsce. Kiedy otwierali klub, wyrzucili klucze, ponieważ twierdzili, że ich drzwi zawsze będą otwarte dla wszystkich amerykańskich wojskowych, który chcieliby gdzieś przysiąść. Zresztą, nie dotyczyło to tylko żołnierzy armii amerykańskiej... Mnie również sprzed Rainbow Corner nigdy nie odprawiono.

ROZDZIAŁ XXV

Maj 1944 roku

Uchodźcy zjawili się pewnego słonecznego dnia pod koniec maja.

Rose nie widziała Edwarda w Rainbow Corner, odkąd udzielił jej reprimendy na schodach, lecz przesłała mu wiadomość przez Mickeya Flynna i dwaj mężczyźni przybyli do Montague Terrace po ofiarowane przedmioty, które zalegały w chwiejnych stosach w korytarzu.

Edward odpowiedział liścikiem, który również przekazał przez Mickeya.

Droga Rose,

naprawdę zrobiłaś więcej, niż przypuszczałem. Czyżbyś się włamała do magazynu NAAFI¹?

Proszę, przyjmij moje przeprosiny za to, że podczas naszego ostatniego spotkania potraktowałem Cię z tak zbyt dużą surowością. Chciałem osobiście przeprosić, ale na kilka ubiegłych tygodni wezwano mnie poza Londyn.

Mam szczerą nadzieję, że będziesz mogła przyjść do domu w Kensington w czwartek o piętnastej. Jestem pewny, że znacznie serdeczniej ode mnie przywitasz znużonych podróżników, szczególnie małe dzieci.

Proszę, naprawdę postaraj się przyjść.

Najmilsze pozdrowienia

Edward

W czwartek, z misiem zrobionym na drutach z wełny ze sprutego szkolnego puloweru i kieszeniami wypchanymi czekoladą, Rose wyprawiła się do domu w Kensington.

Od jej poprzedniej wizyty drzwi frontowe przemalowano na radosny wiśniowy kolor. Rose nacisnęła dzwonek, a potem czekała długie chwile, aż drzwi się otworzyły i ukazał się Edward. Był bez kurtki od munduru, dwa górne guziki koszuli miał rozpięte, rękawy podwinięte.

— Och, to ty. — Zmarszczył czoło. — Oj, wybacz, nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak obcesowo.

Rose przycisnęła mocniej do piersi papierową torbę.

— Więc ich tutaj nie ma?

Edward przesunął ręką przez jasne włosy, które były tak rozczochrane, że chyba stale przeczesywał je palcami przez całe popołudnie.

— Są, tyle że... No cóż, lepiej wejdź.

Ze względu na jego osłupienie nie chciała, ale minęła go i weszła do holu. Ściany lśniły bielą i świeżością. Od zapachu farby drapało ją w gardle. Skierowała się wprost ku pokojowi dziennemu, jednak Edward chwycił ją pod rękę.

— Po prostu chcę cię ostrzec... nie stanowią zbyt ładnego widoku — szepnął. — Spróbuj się nie przestraszyć.

Wprowadził ją do pokoju. Rozglądając się nieśmiało wokół siebie, wstrzymała oddech. Pomieszczenie zostało odmienione; i tutaj ściany były nieskazitelnie czyste i białe, zbutwiałe deski podłogowe zastąpiono, oszlifowano papierem ściernym i wypolerowano, nawet kafle kominka zostały wyczyszczone, a palenisko pomalowane na czarno.

Potem Rose zobaczyła ludzi w kątach i miejscach zacienionych. Szczęście, że Edward ją ostrzegł, gdyż tylko dzięki temu nie krzyknęła z szoku.

Było ich sześcioro — nie, siedmioro; upiory tulące się do ścian, obserwujące ją z czujnymi minami. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety, które mogły mieć równie dobrze osiemnaście lat, jak i osiemdziesiąt, oraz troje dzieci. Ich skóra, tak bladożółta jak śliczne pierwiosnki łagodnie poruszające się na wietrze w zagajniku, w którym Rose siedziała nie tak dawno z Phyllis, mocno opinała sterczące kości i byli tak chudzi, że byle podmuch, gdyby wiatr wpadł przez szczelinę w dopiero co odnowionych oknach, mógłby ich przewrócić jak kręgle.

Kiedy Edward położył rękę na jej ramieniu, Rose o mało nie wrzasnęła, lecz zdołała się opanować i dała mu się pchnąć naprzód.

— To jest Rose — powiedział. — Przyszła się z wami przywitać.

— Znają angielski? — wyszeptła, lecz jej głos zabrzmiał głośno i nieprzyjemnie w dusznym bezruchu pomieszczenia.

— Nie wiem — odparł szeptem, tonem równie bezsilnym jak jej.

Jedno z dzieci, mała dziewczyna z mysimi włosami w dwóch cienkich warkoczykach, była najbliżej. Rose nigdy nie lubiła, gdy dorośli nagle stawali nad nią, więc przykucnęła.

— Witaj — zagaiła. — Bardzo się cieszę, że w końcu tu jesteście. — Uśmiechnęła się. Dziewczynka gapiała się na nią. — Moi przyjaciele i ja zajmowaliśmy się poszukiwaniem różnych rzeczy, którymi moglibyście się bawić — ciągnęła, ponieważ trajkotanie było lepsze niż milczenie. Natchniona, sięgnęła do papierowej torby, którą wcześniej postawiła na podłodze, i wyjęła zniekształconego ciemnozielonego misia, którego wydziergała na drutach. — Zrobiłam dla ciebie nowego przyjaciela, bo nie wiem, czy nie musiałas opuścić dawnych towarzyszy. — Podniosła go i przyjrzała mu się. Maggie ofiarowała jej dwa czarne koraliki na oczy, a jako uśmiech Rose przyszyła skrawek czerwonego filcu. — Nazywa się Bill. Miś Bill. Jest bardzo mięciutki. Proszę, może sprawdzisz sama?

Dziewczynka wciąż nie reagowała.

— Mam też inne rzeczy. — Rose uśmiechnęła się do każdego z dzieci po kolei. — Lubicie czekoladę?

Wyjęła z kieszeni garść batoników Hershey. Głodne małe rączki zabrały je w mgnieniu oka.

Matka często jej powtarzała, że osoba o dobrych manierach potrafi sprawić, że inne osoby, niezależnie od okoliczności, dobrze się z nią czują, więc kiedy dzieci wycofały się do kąta, usiadły na podłodze i obwąchiwały czekoladę, jakby nie miały pewności, czy jest prawdziwa, Rose wyprostowała się i podeszła do jednej z kobiet.

Im bardziej się zbliżała, tym mniej kobieta wyglądała jak udręczona zjawia. Miała na sobie złachmaniony czarny płaszcz, a kiedy przyglądała się Rose podejrzliwie, rzadkie kasztanowe włosy opadały jej na twarz. Rose byłoby znacznie łatwiej stąd odejść, po prostu uciec od tego domu i od tych załamanych ludzi.

Dużo trudniejszą rzeczą, może najtrudniejszą, jaką kiedykolwiek musiała zrobić, było wyciągnięcie ręki i powiedzenie:

— Jestem Rose. Miło mi panią poznać.

Kobieta popatrzyła na rękę, a potem jej wzrok podążył w górę, ku pełnej nadziei minie na twarzy Rose. Rose usiłowała serdecznie się uśmiechnąć, chociaż nie była pewna, czy jej się udało, ponieważ kobieta nagle spuściła głowę i zaczęła płakać.

— Och, proszę nie płakać. Ani na chwilę nie chciałam pani zmartwić — kajała się Rose i nawet łatwiejsze od ucieczki okazało się objąć kobietę i trzymać ją, kiedy szlochała; jej głowa spoczęła na ramieniu Rose. Kobieta była tak szczupła, że Rose miała obawy, czy się nie połamie. Pod jej cienkim płaszczem wyczuwała każdy krąg na jej plecach, jej żebra kojarzyły się z bierkami do gry. — Wszystko będzie dobrze. Jesteście teraz bezpieczni. Edward tego dopilnuje.

Edward zrobił wtedy krok do przodu, podał chusteczkę, a kobieta dała się Rose zaprowadzić do starego wyściełanego fotela, na którym usiadła i wydmuchała nos.

— Dziękuję ci — powiedziała po angielsku z obcym akcentem. — Dziękuję ci. Dziękuję. Dziękuję.

Jej łzy wyrwały pozostałych z bezwładu i wkrótce wszyscy dorośli siedzieli na krzesłach, które Edward skądś przyniósł. Rose ciągle trzymała kobietę za rękę, a dziewczynka z warkoczykami, która ścisnęła misia Billa tak kurczowo, jak gdyby nigdy nie zamierzała go wypuścić z dłoni, wspierała się na jej kolana. Tymczasem Edward poszedł do kuchni zaparzyć herbatę.

Wypili czarną, ponieważ mimo znajomości Edwardowi nie udało się zdobyć mleka, i zjedli bułki, które nie były pierwszej świeżości, co chyba nikomu nie przeszkadzało. Nie mieli też zastrzeżeń ani do łóżek polowych, na których mieli

spać, ani do niewielkiej liczby mebli. Kiedy Edward i Rose oprowadzali ich po domu, krzyczeli w podnieceniu po każdym nowym odkryciu — od żarówek, przez bieżącą wodę, po pokój zabaw na drugim piętrze, w którym na półkach stały zdobycze Rose.

Rose nie wiedziała, skąd uchodźcy przybyli ani przed jakimi okropieństwami uciekli, uważała jednak, że mimo złej sytuacji, naprawdę nie muszą jej ciągle dziękować. To było najmniej, co mogła zrobić, zresztą zaangażowała się w tę sprawę tylko po to, żeby nie myśleć o Dannym. Te siedem zagubionych duszyczek i setki tysięcy innych, podobnych do nich osób stanowiło właśnie powód, dla którego Danny wsiadał do samolotu noc po nocy. Wprawdzie potraktował ją okrutnie i samolubnie, lecz nawet okrutny i samolubny Danny był gotów ryzykować życie ponad dwadzieścia pięć razy, dzięki czemu ratował ludzi, których nigdy nie spotkał, z krajów, które widział jedynie w atlasie geograficznym. Skoro Danny mógł tak postępować, Rose powinna zrobić znacznie więcej niż zdobycie przypadkowej sterty staroci.

— Będę dalej wyszukiwać dla nich rzeczy — oznajmiła Edwardowi, kiedy odprowadzał ją na przystanek autobusowy przy Kensington High Street. — Tacy biedni ludzie. I te maluchy! Co im się przytrafiło?

— Ubiegłe dwa lata ukrywali się w piwnicy, ale... mniejsza o detale. Są Żydami. Mieli szczęście, że je tam spędzili.

Zerknęła na niego. Mówił głosem bezbarwnym i beznamietnym, lecz twarz miał jeszcze bardziej napiętą niż wtedy, gdy zbeształ ją za egoizm.

— Mieli szczęście, że o nich usłyszałeś, że ich tutaj sprowadziłeś.

Wzruszył ramionami.

— Siedmioro szczęściarzy. Wiele tysięcy nie ma tyle szczęścia.

— Myślisz, że przybędzie ich więcej?

— Nie — odparł zdecydowanie. — Nie do czasu, aż cała ta paskudna wojna się skończy.

— Więc skończy się niedługo? Wiem, że nie powinniśmy o tym rozmawiać, ponieważ być może jedno z nas jest szpiegiem, jednak gdybyś był agentem wroga, wówczas nie szmugłowałbyś z Europy żydowskich uchodźców. A ja stanowczo nie jestem agentką nieprzyjaciela — wykrzyknęła, ponieważ wystarczyłoby, żeby hitlerowski funkcjonariusz obrzucił ją srogim spojrzeniem i powiedział: „*Achtung!*”, a ona już by wypaplała wszystkie bez wyjątku znane sobie tajemnice.

— Och, Rose! — To nie był jeden z powolnych, poważnych uśmiechów Edwarda, lecz szeroki, wesoły, który rozjaśnił jego tak bardzo tego popołudnia zatroskaną twarz. — Jeśli naprawdę jesteś faszystowskim szpiegiem, świetnie sobie radzisz. Tak czy inaczej, przebywasz przecież przez większość nocy w Rainbow Corner, więc o tym, co się dzieje, na pewno masz lepsze pojęcie niż sam Winston.

Rose zachichotała

— Na pewno nie. — Doszli do jej przystanku. — Ale tak, no cóż, wyczuwam, że ma się zdarzyć coś wielkiego. Może tym razem rzeczywiście sprawdzą się przewidywania ludzi, którzy jak co roku mówią, że do Bożego Narodzenia wojna się skończy.

Autobus numer dziewięć właśnie się zatrzymał, lecz Rose nie zrobiła żadnego ruchu w jego kierunku. Następny miał przyjechać wkrótce. Chciała spędzić jeszcze trochę czasu z Edwardem. Nie traktował jej jak kolejnej ładnej dziewczyny, lecz jak kogoś ważnego i wyjątkowego.

— Nie jestem przekonany, czy skończy się przed Bożym Narodzeniem — odparł. — Ale jedno jest pewne: zanim sytuacja się polepszy, bez wątpienia się pogorszy.

— Nie rozumiem, jak miałyby się pogorszyć — gderała, szukając w portmonetce trzech pensów na bilet. — No chyba że zaczniemy racjonować wodę i świeże powietrze, a hitlerowcy będą zrzucać bomby rano, w południe i w nocy.

— Cóż za zatrwazająca myśl. — Edward ponownie się uśmiechnął. — Sądzisz, że mogłabyś tu wrócić w przyszły czwartek? Nie musisz nic przynosić, po prostu przyjdź, a jeśli nasi podopieczni poczują się trochę silniejsi i będzie ładna pogoda, może zabrałabyś dzieci do parku.

— Oczywiście, że przyjdę. I przyprowadzę ze sobą Phyllis. Większość rzeczy, które znalazłam, pochodzi od niej, poza tym Phyllis każdemu pomaga się zadomowić.

— Przyprowadź ją, jak najbardziej. A w ramach rewanżu chciałbym cię gdzieś zabrać w twój wolny wieczór. Byłaś kiedyś w Ritzu?

Na samą myśl o Ritzu jej serce zabiło szybciej.

— Nie musisz tego robić. Cieszę się, że mogłam coś dla nich zrobić. Pragnę pomagać.

— A ja pragnę cię zabrać na kolację, pod jednym wszakże warunkiem. Obiecuj, że nie zamówisz ponownie *tournedos à la Rossini*. Jeśli chcesz, możesz przyprowadzić Phyllis.

Rose w istocie wolałaby zabrać ze sobą przyjaciółkę, ponieważ kolacja sam na sam z mężczyzną, szczególnie w jakimś szalenie kosztownym i wytwornym lokalu, mogła dać mu nadzieję. Była też cała ta koszmarna sytuacja z Dannym, o wiele zbyt skomplikowana do szybkiego wyjaśnienia, zwłaszcza że już podjeżdżał następny autobus.

— Byłoby miło — powiedziała tylko.

— To śmieszne, że przekazujemy sobie wiadomości przez Mickeya Flyna. Można do ciebie zadzwonić? — spytał Edward, kiedy autobus się zatrzymał.

— Tylko do pracy. — Rose wskoczyła na pokład. Autobus ruszał, więc nie miała czasu na rozważenie konsekwencji podania numeru. — Gerrard 7531. Ale

musisz udawać, że chodzi o sprawy bezpieczeństwa narodowego, bo nie wolno mi prowadzić prywatnych rozmów.

NAAFI — skrót od: Navy, Army and Air Force Institutes, czyli Instytut Marynarki Wojennej, Wojsk Lądowych i Lotnictwa — zrzeszenie, którego zadaniem jest zaopatrywanie brytyjskich kantyn wojskowych (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ XXVI

Czasami Jane myślała, że jej dorosłe życie można by mierzyć liczbą nudnych kolacji, w których wzięła udział. Prowadziła bląhą pogawędkę z osobą po lewej. Rozpaczliwie szukała w głowie tematu, który ożywi zamkniętą w sobie osobę z prawej. Spożywała ostrożnie produkty zawierające składniki o nazwach, których nigdy nie słyszała i których nie potrafiła wymówić.

Tego wieczoru miała uczestniczyć w kolejnej mało interesującej kolacji z dwoma spośród biznesowych doradców Rose. Innej niż te, które jadalі ostatnio, gdy byli tylko domownicy i George; po tych kameralnych przechodzili do salonu i Rose opowiadała o Rainbow Corner, a kiedy mówiła, Jane widziała w niej czasem tę dziewczynę, która tańczyła aż do trzeciej nad ranem.

Sytuacja była obecnie stabilna. Rose brała dobre leki i postrzegała Leo w lepszym, łagodniejszym świetle. Leo z kolei miał teraz poczucie celu i nawet jeśli nie ufał Jane, był jej wdzięczny. A Jane wołała wdzięczność od zaufania.

Teraz jednak czekała ją jeszcze jedna kolacja z rodzaju tych nudnych; tak przynajmniej myślała, zakładając buty na obcasie. Nie nosiła szpilek od tygodni i trochę się chwiała, kiedy się obracała i oglądała swoje odbicie w lustrze łazienki. Wczoraj wieczorem Rose dość ostro zaprotestowała, twierdząc, że ostatnio zaniedbali zasady i na dzisiejszą kolację oczekuje strojów wieczorowych.

Dobrze, że chociaż zjawi się także George, zresztą Leo również przyrzekł, że będzie się zajmował żoną.

— Zabawimy się w grę pijaków — zaproponował rano, kiedy schodzili na śniadanie. — Oboje musimy wypić po łyku za każdym razem, kiedy ktoś wspomni o gwałtownym wzroście cen nieruchomości.

— Albo o tanich mieszkaniach dla podstawowych pracowników — zasugerowała Jane, a później przez cały dzień wysyłali sobie SMS-y z regułami gry, chociaż w ostatniej wiadomości Leo prosił, żeby zabroniła mu pić po jednym pełnym kieliszku wina. „Potem przechodzę na wodę. Nie możesz mnie wykorzystać, bo się nie upiję”.

Naprawdę często sugerował coś takiego, a Jane wiedziała, że gdyby usunęła ułożone przez środek łóżka poduszki, ochoczo dałby się jej wykorzystać. Wprawdzie nie zamierzała tego zrobić, ale na samą myśl o minie Leo, uśmiechnęła się, schodząc po schodach. Równocześnie usłyszała dźwięk dzwonka i zobaczyła, że pokojówka Anna biegnie otworzyć. Do holu weszło dwóch mężczyzn i Jane zastygła. Dosłownie. Jak gdyby niespodziewanie zmieniła się w kawałek lodu i bała się zrobić krok ze strachu, że się roztrzaska. Jeden z mężczyzn popatrzył w górę, na nią i, nie, nie zwiódł jej złudzenie optyczne.

To był Charles. Pobladł i wyglądał jak własny negatyw, jak zdjęcie, które nie zostało wywołane.

Z ręką na nagle łomoczącym sercu zastanowiła się, czy wyglądał tak samo w dniu, w którym go opuściła. Wtedy, kiedy znalazł napisaną przez nią karteczkę na blacie kuchennym, wraz z jej kluczami.

Teraz czekał na nią, a ona powoli schodziła po schodach, jak gdyby zaplanowała wielkie wejście, chociaż wcale tak nie było. Potrafiła teraz jedynie stawiać uważnie jedną stopę przed drugą.

Anna wciąż wyciągała rękę po płaszcz Charlesa. Młodszy mężczyzna, który przyszedł z nim, również na coś czekał, jednak Jane widziała tylko i wyłącznie Charlesa. Postarzał się. Włosy miał teraz bardziej szpakowate, rzadzące, wokół oczu i ust pojawiły się zmarszczki, których wówczas nie było. Popatrzyła na niego, przygotowując się na jego gniew i rozczarowanie, jednak Charles przyglądał jej się z uśmiechem i odnosiła wrażenie, że nic nie mogło mu sprawić większej przyjemności niż ich ponowne spotkanie.

— Jane, jak ślicznie wyglądasz — odezwał się, kiedy stanęła na najniższym stopniu. Jego oczy przesunęły się po jej wyszukanej fryzurze, krótkiej czarnej sukience i butach na obcasach, w których nauczyła się chodzić w czasie, gdy on się nią opiekował. — Naprawdę minęło zbyt dużo czasu.

— Rzeczywiście — przyznała mu rację i przeszła kolejne pięć kroków, aż znalazła się na tyle blisko niego, że chwycił jej dłonie w swoje i musnął wargami najpierw jej jeden, a później drugi policzek. Było to błahe powitanie dwojga starych przyjaciół, a jednak dziś Charles dotknął ją po raz pierwszy w życiu. Zdziwiła się, że jego dotyk wcale jej nie przeraził. Jego ręce trzymały ją spokojnie, choć była pewna, że Charles wyczuwa niepohamowane drżenie, które ogarnęło jej ciało. Nie mogła dłużej znieść tej sytuacji, uśmiechnęła się więc, cofnęła dłonie i spojrzała na młodszego mężczyznę, który cierpliwie czekał: — A kim jest twój towarzysz, kochany?

Charlesowi bardzo się nie spodobało, gdy Jane zaczęła się zwracać do wszystkich per „kochany”. „Brzmi to okropnie nienaturalnie” — narzekał wtedy, teraz jednak po prostu dalej się uśmiechał i jeszcze raz chwycił jej rękę. Wydawał się tak zachwycony ich ponownym spotkaniem, że nie chciał, by cokolwiek ten moment zepsuło.

— Jane, to jest Fergus, prawa ręka Rose i mój dobry przyjaciel — odparł, kiedy wymieniała powitalny uścisk dłoni z wysokim mężczyzną po trzydziestce; miał gęstą czuprynę jasnorudych włosów i poruszał się nieco niezgrabnie, niczym tykowitzki nastolatek.

— Jane, Leo bardzo dużo mi o tobie opowiadał, ale nie wiedziałem, że znasz również Charlesa — zagaił z pogodnym uśmiechem, delikatnie ściskając jej rękę. — Wciąż odkrywam, jaki ten świat jest mały i nigdy nie wiem, czy to dobrze. Jak się poznaliście?

Kiedyś Charles zawsze ją przedstawiał jako swoją siostrzenicę. Brzmiało to

szacowniej, niż gdyby nazwał ją chrześniaczką lub córką starego druha.

— Znamy się od dawna — odparła Jane, a Charles pokiwał głową. — Od tak dawna, że nawet nie potrafię sobie przypomnieć, gdzie się spotkaliśmy. A ty?

Była przekonana, że Charles nie zdradzi jej sekretów, lecz nawet jeśli chciał, nie zdażył, ponieważ w tym momencie zjawiła się Lydia i zaprowadziła ich do bawialni.

— Obawiam się, że pani Beaumont nieco się spóźni — poinformowała całą trójkę. Jane nigdy nie słyszała, żeby Lydia mówiła tak oficjalnym tonem. — Nadal też czekamy na pana Hursta.

W ten sposób spędziła trzydzieści strasznie dłużeńych się minut w okrutnych męczarniach — przysiadła na poręczy fotela i kurczowo trzymając kieliszek z białym winem, uczestniczyła w uprzejmych pogaduszkach o pogodzie, powodach, dla których rada miasta postanowiła znowu przekopać Kensington High Street, i potencjalnych planach świątecznych.

Opanowała wprawdzie sztukę dowcipnej i niewymuszonej konwersacji, niestety na niewiele zdały się jej umiejętności, skoro siedziała naprzeciwko Charlesa, który był świadkiem, jak je nabywała. Czuła się jak nakręcana lalka, której mechanizm działa wadliwie, więc kiedy Fergus poruszył temat bazowej stopy oprocentowania w Bank of England, ulżyło jej, że nie musi się odzywać.

Jeszcze większą ulgę poczuła, kiedy wszedł Leo. W pierwszej chwili nawet nie była pewna, czy to on. Nie nosił dziś pomiętego podkoszulka z krótkim rękawem ani workowatych dżinsów, lecz — po raz pierwszy, odkąd się znali — garnitur. Dopasowany, granatowy garnitur i czarną koszulę. Zatarł nerwowo dłonie i uśmiechnął się.

— Fergus! Wspaniale cię znowu widzieć. A pan to pewnie Charles? Nie, nie, proszę nie wstawać. Jestem Leo, wnuk siostry Rose. Przepraszam, że musieliście czekać. Mogę wam czegoś dolać?

Leo był również u fryzjera. Zniknęły rozjaśnione od słońca końcówki, tył i boki ścięto krótko, lecz pozostało dość włosów, by mógł je przeczesywać palcami, co robił teraz, gdy gawędził z Fergusiem i Charlesem o pracy, którą brygada techniczna wykonywała tego ranka.

— Przysięgał, że nie wie, jak doszło do zalania mieszkania, ale potem odkryliśmy, że wszystkie jego ubrania ktoś pociął w cienkie paseczki i ostatecznie lokator przyznał, że zdradził swoją dziewczynę, która zjawiła się w domu podczas jego pobytu w pracy i odkręciła wszystkie krany. — Uniósł brwi i popatrzył w stronę Jane. — To nie jest pomysł, który należy naśladować.

Widywała go każdego dnia i każdej nocy już od ponad miesiąca, więc w pewnym momencie przestała zauważać zachodzące w nim zmiany i umknęło jej, że twarz mu wyszczuplała i wysmuklała, a koszulki przestały opinać brzuch. „Ma za to teraz więcej energii” — pomyślała, obserwując, jak złapał taboret, usiadł

i dyskutował z Fergusiem o nowym pomocniku Arsenalu, który nie spełnił oczekiwań, chociaż zapłacono za niego dwadzieścia pięć milionów funtów.

Zerknął teraz tam, gdzie Jane ciągle tkwiła na poręczy fotela.

— Boże, zapomniałem, jak bardzo potrafisz się odstrzelić — pochwalił ją.

Słyszała w życiu lepsze i bardziej eleganckie komplementy, tamtym jednak brakowało szczerości Leo. Kiedy chciało mu się potrudzić, potrafił być naprawdę uroczy. Nagle zapragnęła udawać, że jest prawowitą żoną, a on mówił poważnie, gdy ślubował ją kochać, szanować i chronić. Dzisiejszego wieczoru naprawdę potrzebowała opieki z jego strony.

W progu stanęła Lydia i ogłosiła, że Rose czeka na nich w jadalni, a kiedy Leo wstał, Jane wsunęła swoją dłoń w jego i lekko ścisnęła.

— Prezentujesz się naprawdę dobrze — powiedziała mu z nieznacznym niedowierzaniem, toteż zaczął się zastanawiać, czy naprawdę wcześniej wyglądał aż tak źle. — Zdecydowanie smuklejszy. Powiedz, kochany, jak dużo ciężkiej pracy cię to kosztowało?

— Och, sądzę, że wystarczyło ograniczyć alkohol — odparł. — Gdybym nie walił młotkiem, wtedy nie ogarniałaby mnie ochota na doner kebab ze wszystkimi dodatkami.

— Fuj. — Jane się skrzywiła. — Obawiam się o twoje tętnice.

Rose siedziała na szczycie stołu, George pochylał się nad nią i pokazywał jej coś na ekranie swojego telefonu. Tak jak Jane, Rose była ubrana całkowicie na czarno. Może powodem było światło stojących na stole zapalonych świec lub przyćmionych kloszy ściennych skierowanych ku górze, jednak Leo był pewny, że ostatnio widzi na jej twarzy żółtawy odcień, którego nie pomagały zneutralizować ani jej czerwona szminka, ani nawet dyskretnie migoczące brylanty. Zauważył, że podczas powitania z Fergusiem i Charlesem nie wstała, co zdarzyło się chyba pierwszy raz. Rano czuła się świetnie, ale teraz najwyraźniej... nie tak dobrze.

Nadal jednak pozostała despotyczna. Stanowczym głosem pokierowała ich na przydzielone im miejsca. Charles po jej prawej, Jane obok niego. Leo po lewej, przy nim Fergus, George na przeciwległym końcu stołu. Leo nie wiedział dokładnie, kim jest Charles, słyszał tylko, że to jakiś specjalista od inwestycji, któremu Rose powierzyła swoje finanse. Czyli że musiał być dobrym człowiekiem, ponieważ Rose bardzo rzadko komuś ufała.

— Naprawdę, Jane i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi — mówił właśnie do Rose. — Chociaż nie widzieliśmy się kawał czasu, prawda?

Długoletnia przyjaźń z Jane mogła oznaczać cokolwiek: może Charles był zarządcą jej funduszu inwestycyjnego, dalekim krewnym albo kochankiem. Leo nie potrafił tego ocenić, dostrzegł tylko, że Jane skinęła krótko głową, nawet jakby na odczepne, po czym ją spuściła i zagapiła się we własny talerz, nie patrząc na mężczyznę, podczas gdy on rzucał jej szybkie, ukradkowe spojrzenia, sądząc, że

nikt tego nie zauważy w ogólnym rozgardiaszu, kiedy wszyscy pozostali rozkładali serwetki albo kiedy Frank — pełniący tego wieczoru funkcję kamerdynera — wniósł wino.

Leo nigdy nie przepadał za uroczystymi kolacjami, a jednak gdzieś tak pomiędzy chlebem i zupą zaczął się czuć przy tym stole dobrze. Fergus był prawowitym następcą Rose, mężczyzną o ujmujących manierach i otwartym umyśle, lecz równie charakternym i twardym jak ona. Dokładnie tak samo jak Rose kochał też cegły i zaprawę murarską, domy i mieszkania, czyli wszystko to, co stanowiło trzon działalności jej firmy.

— Zamierzałaś opowiedzieć mi o tym lokalu na Powis Square — przypomniał jej, gdy Frank nalał wino, i Rose zupełnie nieoczekiwanie odzyskała wigor i błyskotliwie rozpoczęła długą i zabawną opowieść, jak w latach siedemdziesiątych wynajęła dom w Notting Hill jakiemuś gwiazdorowi rocka i jego żonie, a dobudówkę również żonatemu kochankowi gwiazdora.

Później George mówił o czasach, gdy pracował w Seditonaries, butiku Malcolma McLarena i Vivienne Westwood, przy King's Road, i jak na początku przyjaźni z Rose zaprosił ją na łódź, na której odbywał się koncert Sex Pistols.

— Rozkoszni chłopcy — oznajmiła Rose ze śmiertelną powagą. Fergus zakaszłał w serwetkę, a Leo miał obawy, że się rozplacze, tak intensywnie się śmiał. — Byłam tam tylko raz, potem cały ten kram zamknęła policja. Szczerze mówiąc, trafiałam na gorsze imprezy.

Tylko Jane i Charles się nie śmiali. Jane milczała, zaciskając zęby na dolnej wardze, a od marszczenia czoła zrobiła jej się głęboka bruzda między brwiami. Charles nie mógł oderwać od niej wzroku.

Podobnie zresztą jak Leo.

— Więc, Leo, czym się zajmiesz? — Charles spojrzał teraz na niego. — Wiem, że byłeś przez kilka lat za granicą, zastanawiam się jednak, jakie masz plany, skoro wróciłeś do Londynu.

— Jest artystą — powiedziała szybko Jane tonem, którym ośmielała wszystkich do podważenia jej opinii. — Głównie portretuje.

— Ostatnio niewiele tworzę — wyznał prawdę, nie tylko z obawy przed pełnym dezaprobaty prychnięciem Rose. — Czekam na zlecenia, chociaż, jeśli mam być uczciwy, czasami upływają całe lata między kolejnymi. — Tak to jest, gdy człowiek rzuci picie. Staje wtedy twarzą w twarz z pewnymi trudnymi, brzydkimi prawdami. — Przez ostatnie kilka tygodni pracowałem w lokalach z brygadą konserwacyjną. Wiesz, zamieniłem pastele na farbę emulsyjną w kolorze matowa biel.

Oczywiście, że jego życiowe aspiracje były wyższe niż szlifowanie papierem ściernym listew przypodłogowych, ale miał pod czterdziestkę i właściwie sam nie wiedział, co pragnie osiągnąć.

Do końca kolacji wraz z Fergusiem i Rose rozmawiali o sprawach zawodowych, a Charles i George wtrącali od czasu do czasu uwagi nie na temat. Leo nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni był tak pobudzony jak dziś, gdy błagał, żeby zrobić coś fantazyjnego z konstrukcyjnym zamknięciem sklepienia w „ich” najnowszym projekcie renowacyjnym w Westbourne Grove.

Stale mówił „my”, mimo że tak naprawdę nie był członkiem zespołu, lecz bezstronną osobą trzecią. Chociaż szczerze się zainteresował, gdy Rose opowiadała o pracowniczym programie Prawo do Zakupu.

— Kiedy firma powstała, jej celem było wyłącznie zapewnienie dachu nad głową uchodźcom, którzy pod koniec wojny przybywali z Europy — wyjaśniła, czego wcześniej wcale nie wiedział. — Dzielnica Kensington mieściła się, jak mawialiśmy, po niewłaściwej stronie Park. Można tu było za bezcen nabyć ogromne połacie zniszczonych przez bombardowania nieruchomości. Uchodźcy potrzebowali pracy, podobnie jak ekszołnierze, którzy nagle nie mieli zajęcia. Dostawali przyzwoitą pensję i, płacąc niewielki czynsz, mieszkali w domach, które remontowali. Wtedy wszyscy potrzebowaliśmy poczucia celu i przekonania, że nie poszło na marne to, o co walczyliśmy. Ciągle wierzę, że jeśli ludzie mają ciężko pracować, otrzymane zarobki powinny im wystarczyć na utrzymanie i miejsce do życia — przerwała i cierpko się uśmiechnęła. Może miała dziś jednak dobry dzień. — Boże, chyba pora, żebym zeszła z mównicy.

— Ja lubię ten widok z góry — powiedział Fergus, a Leo nie mógł nie poczuć lekkiego ukłucia czegoś. Nie zazdrości, niezupełnie, ale może żalu, że pasję i wizję Rose podziela Fergus, a nie on, Alistair albo jeden z ich kuzynów, dzięki czemu dziedzictwo mogłoby pozostać w rodzinie. — Powinnaś być z projektu wykupu bardzo dumna. Wiesz, Leo, jeśli ten temat cię interesuje, przylatują do nas przedstawiciele firmy deweloperskiej z Danii, którzy myślą o rozwinięciu podobnego programu. Specjalizują się w budowie osiedli neutralnych pod względem emisji dwutlenku węgla. To może być ciekawe, jeśli chcesz się w coś zaangażować. A pamiętam, że odbyliśmy całkiem gorącą dyskusję o wyzwaniach ekologicznych podczas odnawiania zabytkowych budynków.

— Doprawdy? — Rose wydawała się całkowicie zaskoczona.

Potem znacząco się wpatrzyła w łokcie Leo, które spoczywały na stole.

Zdjął je i usiadł prosto.

— Och, jestem tylko bezrobotnym artystą, który na boku zajmuje się pracami wykończeniowymi. Lepiej weź kogoś, kto wie, o czym mówią.

— Nie bądź dla siebie taki surowy. — Jane w końcu zbudziła się z zadumy. — Jeśli tak bardzo cię interesuje, jak żyją ludzie, naprawdę powinieneś się w tę sprawę włączyć. Ponieważ to ważne, czyż nie? Każdy powinien mieć dom. Miejsce, w którym czuje się bezpieczny.

Dziwnie było słuchać, jak Jane przemawia z takim przekonaniem. Na

dodatek, co najmniej od godziny nie nazwała nikogo „kochanym”. Chciał ją spytać, gdzie ona czuje się bezpieczna, jednak rozmowa obracała się teraz wokół Charlesa, który, jak się okazało, jako bankier inwestował jedynie w spółki działające zgodnie z kodeksem etycznym, co brzmiało dla Leo jak oksymoron.

Jeśli chodzi o deser, Lydia przeszła samą siebie, podając pyszne czekoladowe ciasto z płynnym wnętrzem, szczerze zaprawionym brandy, a po kolacji, kiedy raczyli się kawą, Rose uśmiechnęła się do niego. Był to uśmiech całkiem ciepły, może nawet pełen aprobaty. Ostatni taki otrzymał od Rose naprawdę dawno, dawno temu.

Jakkolwiek zakwalifikować ten wieczór, okazał się sukcesem. Leo już nie czuł się jak dzieciak, któremu dorośli wyjątkowo pozwolili posiedzieć do późna w swoim towarzystwie. Nawet odprowadził Fergususa i Charlesa do wyjścia i każdemu z nich zdecydowanie ucisnął dłoń.

— Przyjemnie cię było poznać — oświadczył Charles i wyglądało na to, że mówi poważnie.

Leo zastanawiał się nad nim. Kim był dla Jane? Nie wydawał się typem mężczyzny, który bezkrytycznie wydaje na kobietę etycznie pomnożone fundusze. Wracając do jadalni, by wysłuchać oceny Rose, poczuł może cień zazdrości również o Charlesa.

Jednakże, w jadalni George i Jane kucali teraz przed Rose, która nadal siedziała u szczytu stołu z pochyloną głową, lecz machała teraz bezładnie rękoma w powietrzu i usiłowała złapać oddech, wydając przy tym przerażające, grzechotliwe dźwięki.

I tak, zupełnie bez uprzedzenia, wieczór zmienił się z sukcesu w klęskę.

ROZDZIAŁ XXVII

Czerwiec–wrzesień 1944 roku

Siedemnastego czerwca obudziły ich nowiny, że ruszył drugi front. Wojska alianckie wylądowały na plaży w Normandii.

Klub Rainbow Corner, co nikogo nie zaskoczyło, opustoszał. Fordanserki zaszyły się w sali bilardowej wokół dużej radioli, a w czasie pomiędzy doniesieniami informacyjnymi jedna po drugiej opisywały, jak cudownie będzie wyglądało ich życie, kiedy wojna się skończy. Nigdy więcej nie będą musiały jeść flaczków ani kąpać się w letniej wodzie nalanej do wanny na wysokość kilkunastu centymetrów. W powietrzu wyczuwało się optymizm.

Gdyby tylko wiedziały, że ciągle jeszcze czekają je nowe okropieństwa.

W sobotnie popołudnie, tydzień po D-Day¹, Rose szła do rzeźnika odebrać ich niedzielne mięso, kiedy usłyszała nad głową dudnienie przywodzące na myśl gasnący silnik motocykla. Popatrzyła w górę i zobaczyła maleńki samolot, którego ogon płonął.

Dudnienie zmieniło się w ryk, który przekształcił się w upiorny gwizd, a potem zapadła... cisza. Rose przyglądała się płonącemu samolotowi, który opadał z wdziękiem, aż zniknął jej z pola widzenia, gdzieś za budynkami, po czym usłyszała potężny trzask i padła na ziemię, obcierając kolana, a równocześnie zakryła głowę rękoma.

Przez cały weekend i przez kilka tygodni później nadlatywały samoloty-pociski V-1, zwane latającymi bombami.

Jeśli dziewczyny były w domu, powinny schodzić do schronu natychmiast po usłyszeniu syreny, jednak dwa najbliższe schrony znajdowały się przy Queen Square i na stacji metra w Holborn, więc Sylvia powiedziała: „Istnieje ryzyko, że zginiemy, zanim tam dotrzemy. Zresztą, jeśli bomba nosi twoje imię, prędzej czy później i tak cię znajdzie”. Z tego też względu zazwyczaj pozostawały w łózkach, chociaż pan Bryce ciągle się odgrażał, że doniesie na nie strażnikowi ARP.

To nie odgłosy pocisków rakietowych V-1 przerażały Rose. Chociaż czasami w nocy ich ryk zdawał się dochodzić z tak bliska, że mogłaby przysiąc, iż słyszy, jak ocierają się o dach. Najbardziej jednak przerażał ją ten moment ciszy, grobowej ciszy — kiedy rakietka już namierzyła cel, a jeszcze nie spadła. Oczekiwanie było trudne do zniesienia, lecz trzeba było wytrzymać.

Nawet matka zatelefonowała do kafeterii i błagała, żeby Rose przyjechała do domu.

— Nie będziesz musiała dołączać do Land Girls, kochanie. Chcemy tylko, żebyś była bezpieczna.

Po raz pierwszy od przyjazdu do Londynu rozważyła pomysł powrotu do Durham, lecz teraz jej domem był Londyn. Jej rodzinę stanowiły obecnie przyjaciółki, a maluchy z budynku w Kensington — Paul, Hélène i Thérèse — bardzo jej potrzebowały. Edward polegał na niej, powierzając dzieci jej opiece.

Dlatego nie mogła przenieść się do Durham, obiecała wszakże matce, że będzie pisała do niej codziennie, a ilekroć usłyszy syrenę, pójdzie prosto do schronu. Tak, nawet jeśli będą to godziny szczytu w porze lunchu, obiecała.

Skończył się czerwiec, lipiec zaś przyniósł ze sobą intensywniejsze działania wojenne, więc w Rainbow Corner stale zjawiali się kolejni rezerwiści i nowi rekruci, żółtodzioby, które wciąż miały mleko pod nosem, a podczas tańca deptały ją po palcach i trzymały w niewłaściwy sposób. Na Londyn wciąż, noc po nocy, spadały bomby. Miasto było zboczzone krwią, pocerniałe i przygarbione, a Rose zastanawiała się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do uczucia ciągłego lęku, który czuła w dołku niczym zalegające kamienie. Lęk ten sprawiał, że tęskniła za Edwardem (który zniknął gdzieś w ramach swojej pracy), ponieważ zawsze był uosobieniem spokoju i opanowania, nawet kiedy wokół paliło się i waliło.

Wbrew wszystkiemu przyłapała się też na dziwnej tęsknocie za Dannym. A może raczej tęskniła za miłością, którą kiedyś do niego czuła; tą głodną miłością, której nie zaspokoiliły otrzymane od niego namiastki uczucia. Dzięki miłości do Danny'ego Rose tak bardzo chciało się kiedyś żyć. Ale nie można spędzić życia na opłakiwaniu uczucia, które nie było odwzajemnione, za to zostało tak bezlitośnie wykorzystane. Zniknęły siniaki, lecz nie wspomnienie tego, co jej zrobił, niemniej i tak pragnęła wiedzieć, czy Danny żyje. Wysłała kilka listów na adres, który jej podał, do pubu, na żaden nie otrzymała jednak odpowiedzi, więc zaczęła się obawiać najgorszego. Próbowwała zachować optymizm, lecz optymistyczne myśli były równie rzadkie jak pomarańcze w Londynie.

Nie zamierzała już nigdy się z nim spotkać, ale nie chciała, żeby zginął czy został ranny.

— No chyba że bardzo leciutko ranny — powiedziała Sylvii pod koniec kolejnego dnia, w którym nie dostała od Danny'ego choćby jednego zdania pospiesznie nagryzmołonego na widokówce. — Nie miałabym nic przeciwko, gdyby stracił palec lub musnął go zbłąkany odłamek.

Kończył się sierpień i powoli końca dobiegało też lato. Wyzwolono Paryż i ta wspaniała wiadomość ucieszyła wszystkich. Londyńczycy podnosili głowy i rosła w nich nadzieja. Rose nie mogła się wręcz doczekać swoich urodzin, ponieważ na ten dzień wszystkie dziewczyny oszczędzały racje cukru, a Mickey przyrzekł załatwić dla niej trzy jajka — dość, żeby Maggie upiekła pyszny tort urodzinowy.

I wtedy wrócił Edward.

W pierwszą niedzielę września, kiedy Rose pojechała do domu

w Kensington, czekał tam na nią list od niego. Dzieci wręczyły jej kopertę uroczyście i z tak dużą ceremonialnością, jakby pochodziła z Pałacu Buckingham i przywiózł ją koniuszy dworski w peruce.

*Droga Rose,
byłbym uszczęśliwiony, gdybym mógł Cię zaprosić na kolację do Ritza
w piątek, 8 września o 22.30. Jeśli chcesz, proszę, przyprowadź swoją przyjaciółkę,
Phyllis.*

*Z najczulszymi pozdrowieniami
Edward*

Rose spytała Phyllis, czy nie pójdzie z nią do Ritza, jednak Phyllis odmówiła.

— Niczego nie obiecuję, rozumiesz... — odparła. — Ale to przecież w przeddzień twoich osiemnastych urodzin, więc Maggie, Sylvia i ja mamy na ten wieczór pewne plany, w których nie ma dla ciebie miejsca.

Zawsze przygotowywały sobie urodzinowe niespodzianki. Dla Sylvii Maggie skombinowała przepustkę z BBC, dzięki której mogła wziąć udział w nagraniu *American Eagle in Britain* i przeszła tanecznym krokiem przez korytarz z samym Fredem Astaire'em. Na urodziny Phyllis udało im się zdobyć maleńką buteleczkę Chanel N° 5 oraz miejsce w łoży w Adelphi Theatre na występ Ivora Novello w musicalu *The Dancing Years*. Prezent dla Maggie stanowił znacznie większe wyzwanie, ponieważ niewiele o sobie mówiła, w końcu jednak Rose wystarała się o dwie butelki wódki od pewnej Polki, która pracowała w domach w Kensington, a Sylvia zdobyła dwa metry czarnego jedwabiu, żeby Maggie mogła sobie uszyć sukienkę. Wychodząc na kolację z Edwardem, Rose da dziewczynom dość czasu na dopracowanie szczegółów urodzinowej niespodzianki, na którą — miała szczerą nadzieję — będzie się składała nowa sukienka i szminka, ponieważ jej czerwona Tru-Color była już tylko odległym wspomnieniem.

Tego wieczoru wszystkie trzy przyjaciółki wyszły wraz z nią z Rainbow Corner. Phyllis skropiła przeguby jej dłoni odrobiną drogocennych perfum Chanel N° 5, natomiast Sylvia ostrzegła Rose, żeby nie piła zbyt dużo.

— Pamiętasz, co się stało ostatnim razem — przypomniła, a w jej błękitnych oczach pojawiły się chochliki. — Edward pomyśli, że straszna z ciebie pijaczka.

— Ale baw się dobrze, Rosie — dorzuciła Phyllis. — I nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła!

Sylvia popatrzyła na Phyllis z zakłopotaną miną.

— Ale, Phyllis, skarbie, ty nigdy nie robisz — wycedziła.

Phyllis zaprzeczyła z oburzeniem i udawała, że dusi Sylwię, a Maggie śmiała się z ich wygłupów.

— Lepiej już idź — powiedziała do Rose, która również się śmiała. — Spóźnisz się.

Rose rzeczywiście się spóźniła, lecz Edward nadal czekał na nią przed Ritzem; być może wiedział, jak okropnie się bała, że będzie musiała wejść do środka sama. Miał na sobie mundur, który zawsze wyglądał na świeżo wyprasowany i tak świetnie na nim leżał, że zadawała sobie pytanie, czy uszył go dla niego prywatny krawiec. Na widok spieszącej ku niemu Rose Edward dotknął daszka czapki. Wydawał się wyższy i mniej zgarbiony, niż pamiętała.

— Witaj — zagaił, a ona uświadomiła sobie, że zapomniała, jak serdeczny jest jego uśmiech. Nagle przestała się denerwować, że podczas kolacji straszliwie pomyli sztucce, nie przejmowała się też faktem, że czarna krepdeszyna już się nieco wyświeciła. — Wyglądasz naprawdę, naprawdę ślicznie.

Rose była przekonana, że to nieprawda. Właśnie skończył jej się puder, a po pospiesznym spacerze Piccadilly na pewno całą twarz miała czerwoną. Machnęła ręką, zbywając jego komplement.

— Dawno wróciłeś?

— Jakiś tydzień temu — odparł, wsuwając czapkę pod pachę i oferując Rose drugie ramię, kiedy portier wprowadzał ich do lokalu. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, tłumiąc odgłosy nocy, Rose odniosła wrażenie, że oto właśnie przestał istnieć świat zewnętrzny.

Za dostojnym kelnerem podążyli przez ogromną salę restauracyjną. Rose ze wszystkich sił starała się nie gapić niczym półgłówek na rzędy żyrandoli, które oświetlały to olbrzymie pomieszczenie; ich blask odbijał się w lustrach, a na stołach, które mijali, błyszcząły również srebra i migotały kryształy. Fryzy namalowane na płycinach ze złoconymi brzegami przypominały obrazki z książek o sztuce, które kiedyś oglądała w szkolnej bibliotece. Kobiety w przedwojennych futrach, satynach i jedwabiach także lśniły. Rose zdało się, że zupełnie nieoczekiwanie znalazła się w jakimś pięknym śnie.

Usiadła na odsuniętym dla niej krześle obitym miękkim czerwonym pluszem.

— Tak właśnie sobie wyobrażałam dwór Ludwika XVI przed rewolucją francuską.

Edward uśmiechnął się.

— Myślisz, że jeśli bardzo uważnie się wsłuchamy, dotrze do naszych uszu ryk rozjuszonych chłopów, którzy pragną zaciągnąć nas na gilotynę?

— Och, mnie by nie posłali, nie po moich wyjaśnieniach, że jestem zwykłą proletariuszką — odparła może trochę zuchwale, lecz warto było się wysilić, gdyż rozśmieszyła tym Edwarda, który zawsze był taki poważny. — Możesz mi

powiedzieć, gdzie byłeś i co robiłeś? Czy jest to ściśle tajne?

— Gdybym ci powiedział, wówczas rozjuszonych wieśniaków zastąpiłby żandarm wojskowy, który by nas zabrał i aresztował. — Gestem przywołał kelnera, który natychmiast położył przed nimi jadłospisy. — No dobrze, powiedz mi, co chciałabyś zjeść, jeśli mogłabyś zamówić dosłownie wszystko?

Rose przez chwilę rozmyślała nad specjalnością szefa kuchni: pieczonym kurczakiem nadziewanym farszem ze śliwkami i morelami. Rozważała trufle. Dumiała nad porządnym zestawem śniadaniowym: jajka sadzone, serdelki, chrupiący bekon i pieczarki. Pomyślała o tych przysmakach, a potem przyszło jej do głowy danie, którego pragnęła ponad wszystko.

— Grzankę z serem — zdecydowała. — Z bardzo dużą ilością sera i pływającą w sosie worcester.

— W takim razie to właśnie dostaniesz — odrzekł Edward i wezwał kelnera. — Oboje weźmiemy grzanki z serem hojnie oblane sosem worcester. Jako aperitif dwa razy koktajl bellini, potem butelkę dobrego merlota. Rocznik 1937, jeśli coś wam zostało.

Kelner wyraźnie uznał tosty z serem za zamówienie idealne i właśnie wtedy Rose pomyślała, że Ritz będzie chyba jej ulubionym miejscem na świecie. A może pomyślała tak chwilę później, kiedy przyniesiono koktajle bellini i dokonała szczęśliwego odkrycia, że szampan jest trunkiem naprawdę wybornym, jeśli zostanie zmieszany z sokiem brzoskwiniowym, nawet jeżeli było to skandaliczne marnowanie pysznych brzoskwini.

Rozmawiali z Edwardem o uchodźcach, chociaż podopieczni nie byli już dla niej uchodźcami. To byli Hélène, Thérèse i Paul, którzy uwielbiali grać w ich własny hałaśliwy wariant krokieta i biegli ją przytulić, kiedy wpadała z wizytą w każde czwartkowe i niedzielne popołudnie, a ich małe rączki chyłkiem wsuwały się w jej kieszenie w poszukiwaniu czekoladek. Kobiety, Madeleine i Gisèle, spędzały większość czasu na kopaniu, pieleniu i spulchnianiu ogrodu, nawet podczas ulewy, bo po prostu lubiły przebywać na świeżym powietrzu po tak długim uwięzieniu pod ziemią. Mężczyźni, Yves i Jacques, zawsze się upierali, że odprowadzą ją na przystanek autobusowy, a raz przyszli do Montague Terrace spróbować coś zrobić z instalacją wodno-kanalizacyjną, ponieważ w rurach przeraźliwie rzeziło za każdym razem, gdy któraś z dziewcząt odkręcała kran.

Rose spytała Edwarda o plany wobec sąsiedniego domu, który już prawie nadawał się ponownie do zamieszkania. Powiedziała, że teraz, kiedy alianci zdobywali kolejne tereny w Europie, ludziom na pewno będzie łatwiej wyjechać.

— Zobaczmy — uciął Edward, kiedy kelner postawił przed Rose małą srebrną miseczkę. Na deser poprosiła o truskawki i lody, a ponieważ merlot nie przypadł jej do gustu, Edward nalegał, żeby wypić jeszcze jeden koktajl bellini. — Porozmawiajmy o weselszych rzeczach. — Zerknął na zegarek. — Zostało

jeszcze wprowadzie pół godziny, ale już ci życzę wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

— Skąd wiedziałeś? — spytała.

— Gdzieś o tym usłyszałem — odparł. Rose przypuszczała, że powiedziała mu Sylvia lub Mickey Flynn, który prawdopodobnie notował takie daty. — Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ponieważ mam dla ciebie pewien drobiazg w ramach podziękowania za...

— Nie musisz mi dziękować — przerwała mu tak gwałtownie, że aż uniósł brwi. — Chętnie to zrobiłam.

— Słuchaj, myślę, że mogę ci wyznać, że zgubiłem paragon i w sklepie nie przyjmą mi z powrotem prezentu, więc jeśli go nie przyjmiesz, postawisz mnie w okropnym położeniu. — Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął małe pudełko oprawione w szarą skórę. Przesunął je po gładkim obrusie z białego lnu, a Rose stwierdziła, że nie przyjmując go, zachowałyby się nieuprzejmie i...

— Och! Nie, nie mogłabym ich przyjąć! — Aż straciła oddech, gdy wpatrywała się w ułożone na żółtym aksamicie dwa klipsy z brylantem. — Naprawdę nie mogę.

— Czy nie wspomniałem, że zawieruszyłem paragon? — Był taki miły, co tylko wszystko utrudniało.

— Nie rozumiesz. — Rose wcześniej bała się tej rozmowy. Sylvia wprowadzie kazała jej trzymać buzię na kłódkę, Phyllis powiedziała jednak, że świństwem jest oszukiwanie faceta i przyjmowanie zaproszenia na kolację, jeśli dziewczyna wie, że nie jest w stanie się zaangażować. — Chodzi po prostu o to, że... No cóż, nie chciałabym, żebyś odniósł mylne wrażenie. Jest inny mężczyzna. To znaczy był. I to nie skończyło się dobrze.

Edward niby wciąż siedział, popijając wino i paląc papierosa, lecz nieco się od niej odsunął, lekko odchylając się na krzesło.

— Ach tak. Przykro mi. Przyjmij moje kondolencje.

— Nie, nadal rozumiesz. Nie zginał. — Niełatwo jej było dobrać właściwe słowa, chociaż odkąd otrzymała od Edwarda karteczkę z zaproszeniem, myślała niemal wyłącznie o tym, jak opowiedzieć o całej sprawie. — Jest pilotem bombowca. Miał wrócić do Stanów i sprzedawać wojenne obligacje, ale chciał zostać i walczyć dalej — tłumaczyła się rozpaczliwie.

Edward ledwie przed chwilą zgasił papierosa, lecz teraz zapalił następnego.

— Jakież to chwalebne z jego strony — oznajmił tym samym bezbarwnym głosem.

Rose nie sądziła, że go oszukuje, chociaż — jak twierdziła Sylvia — mężczyźni podobno zawsze oskarżają kobiety, że ich zwodzą, a gdy zgodziła się zjeść z nim kolację, Edward mógł ją uznać, że jest chętna. Mimo że znali się bardzo słabo, a on był od niej dużo starszy. Trudno było powiedzieć, o ile lat

starszy, lecz miał przynajmniej trzydziestkę! Co najmniej!

— Rzecz w tym, że od wieków nie miałam od niego wiadomości. Nie od czasu inwazji... I chociaż nic już do niego nie czuję, a w każdym razie nie mam dla niego żadnych przyjaznych uczuć, żywiłam nadzieję, wiem, to wielka prośba, ale może mógłbyś popytać. Sprawdzić, czy jest bezpieczny.

Edward zaledwie zdążył zamrugać, gdy Rose sięgnęła do małej wieczorowej torebki i wyjęła skrawek papieru, na którym spisała dane. Nie wiedziała o Danny'm zbyt dużo. Znała tylko jego nazwisko, chociaż nie była pewna, jak je zapisać, miejsce, w którym stacjonował, a także fakt, że jego rodzina mieszka w Nowym Jorku. Oczywiście wiedziała o nim znacznie więcej, wiedziała coś, co wykraczało poza tych kilka skąpych faktów spisanych na odwrocie koperty. Po tym, co jej zrobił, wiedziała, jakie jest jego serce i chociaż na pewno nie było dobre i szczerze, musiała wiedzieć, czy nadal bije.

— Jaką ma rangę? Jak się nazywa jego dywizjon? Są trzy dywizjony amerykańskich sił powietrznych w Cambridgeshire, możesz podać więcej szczegółów? Gdzie wysyłasz listy, gdy do niego piszesz?

Nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z pytań, które Edward prawie wykrzyczał. Nie знаła odpowiedzi. Nie dlatego, że łączyły ich jakieś podejrzone konszachty, lecz ponieważ Danny jako skrzynki pocztowej wolał używać lokalnego pubu, dzięki czemu mógł przechytryć wojskowych cenzorów. Na pewno postępował w ten sposób wbrew przepisom i gdyby jego dowódca się o tym dowiedział, mógłby wpaść w kłopoty. Jakie głupie rzeczy robią ludzie, gdy im się zdaje, że są zakochani. Edward bez wątplenia by tego nie zrozumiał. Był zbyt sztywny i poważny, więc na pewno nie pozwoliłby sobie na taką miłość.

— Nieważne — powiedziała. Wyciągnęła rękę po karteczkę.
— Przepraszam, że cię trudziłam.

On jednak wziął kartkę i wsunął ją do kieszeni.

— Niczego nie obiecuję, ale zobaczę, co da się zrobić.

Pozłota, żyrandole i — nawet — leżące przed nią klipsy z brylantem straciły cały blask, bąbelki szampana już nie musowały na języku. Rose wpatrywała się w topniejące lody. Słyszała, że Edward westchnął, a potem nie słyszała już nic innego poza potwornym hukem, który wstrząsnął salą i sprawił, że żyrandole się zatrzęsły; ktoś śmiał naruszyć świętą przestrzeń Ritza.

Rozległy się krzyki i Rose odepchnęła krzesło. Wtedy rozległ się kolejny huk, potężny, jak gdyby tuż za oknami eksplodowało w jednym olbrzymim wybuchu sto pocisków jednocześnie. Rose oddychała szybko.

— Padnij, głuptasie! — Edward pociągnął ją pod stół, przykrywając jej ciało swoim, chroniąc ją przed dziejącymi się na zewnątrz okropieństwami.

— Och, Boże, co to jest? Dlaczego nie wyły syreny? Nie zniosę tego dłużej — wyszeptała, zapominając o sprzeczce, bo to nie ona zepsuła im wieczór.

Cholerna wojna. Niszczyła wszystko. — Nie wytrzymam.

— Wytrzymasz — odparł Edward. — Musisz być dzielna.

Wziął ją za rękę i ścisnął trzepoczące palce, aż znieruchomiały, a wtedy Rose poczuła się bezpieczna. Nic nie może jej dopaść, ponieważ Edward po prostu do tego nie dopuści.

Przycisnęła policzek do jego piersi, czując wbijające się guziki jego kurtki, po czym dopasowała swój oddech to jego, powolnego i miarowego; w końcu jej serce przestało walić i ogarnął ją spokój, więc gdy ostatecznie, pięć minut później, zawyła syrena, Rose była zła, że w ten sposób czar przysł.

Zaprowadzono ich do schronu przeciwbombowego Ritza, czyli mieszczącej się w suterenie restauracji La Popote z zabawnym malowidłem na ścianie. Edward zamówił więcej szampana i naciskał, żeby Rose wypila cały kieliszek, ponieważ była strasznie blada. Grał zespół, ludzie tańczyli, śmiali się i pozdrawiali przyjaciół... I tak, niespodziewanie, czekanie na odwołanie alarmu zmieniło się w bajeczną imprezę. Edward nawet z nią zatańczył — nalegał na powolny, spokojny walc, chociaż grali fokstrota, i podeptał ją parę razy, a jednak ta jego czysta bezinteresowność, fakt, że poprosił ją do tańca, ponieważ wiedział, że tego chciała, liczył się dla niej bardziej niż klipsy z brylantem, które zgarnęła ze stolika, gdy opuszczali dużo większą salę restauracyjną.

Minęły wieki, zanim zabrzmiał sygnał odwołujący alarm. Wyszli z Ritza tuż po drugiej w nocy. Nawet w lepszych czasach niełatwo było znaleźć taksówkę. Tej nocy okazało się to zupełnie niemożliwe.

— Odprowadzę cię do domu — powiedział Edward, a Rose nie czuła najmniejszej pokusy sprzeczeki. Wieczne bomby skrajnie ją przeraziły, chociaż... Kiedy przechodzili przez Shaftesbury Avenue, spotkali idącego w przeciwną stronę policjanta, który zapewnił ich, że nie spadły żadne bomby.

— Podobno wybuchł gaz, proszę państwa — wyjaśnił.

To by tłumaczyło, dlaczego nie było syreny ani żadnego innego ostrzeżenia, a jedynie te dwa potężne huki — niczym gniewne pomruki niebios zmęczonych oglądaniem dzień i noc zagłady znajdującego się pod nimi miasta.

— Myślę, że wojna wkrótce się skończy — zwierzyła się Rose Edwardowi, kiedy szli New Oxford Street. — Nie spada ostatnio tak dużo pocisków V-1, poza tym nie wierzę, że Niemcy nie mają tak samo jak my dosyć tego wszystkiego.

— Powinnaś uważać, czego sobie życzysz — mruknął Edward nie wprost. — Oj, ty drzysz. Mogłaś powiedzieć, że jest ci zimno. Weź moją kurtkę.

Zarzucił ją jej na ramiona, a ona wyczuła leciutki zapach jego płynu po goleniu, subtelny i dymny. Nie rozmawiali. Rose bolały stopy i była strasznie zmęczona. Myślała o tym, że nie ma sensu kłaść się spać, skoro ledwie zaśnie, już trzeba będzie wstawać.

Chociaż kiedy się obudzi, będzie miała urodziny. Na pewno czekają na nią

najróżniejsze przyjemności. Nawet Shirley, która chyba wreszcie przestała się bocyć na nią za zabrane sukienki, przysłała jej wielką, intrygującą paczkę. Pod wpływem tych myśli Rose przyspieszyła, lecz potem, kiedy dotarli do Theobald's Road i do łóżka było ledwie trzy minuty, musieli się zatrzymać. Ulica była zasypana kawałkami szkła z popękanych od wybuchu witryn sklepowych. Ogromne kamienne bryły i poskręcane fragmenty metalu zalegały na drodze, którą jeszcze rano jeździły autobusy, tramwaje i taksówki, a ludzie spieszyli się do pracy.

Ani Rose, ani Edward nic nie mówili, nie było o czym. Ponadto dalsza droga zmieniła się w żmudną przeprawę. Im bardziej się zbliżali do Montague Terrace, tym gęstsze stawało się powietrze, tym cięższe od pyłu i dymu, więc musieli wyjąć chusteczki i przycisnąć je sobie do ust. Edward wołał coś do Rose, lecz słowa ginęły w zaduchu.

Im bliżej była Rose, tym większe otaczały ją zniszczenia. Nie zostały tu żadne sklepy ani budynki mieszkalne. Wybuchy przekształciły je w zwęglone, wciąż dymiące sterty gruzu, które musiała omijać, jeśli chciała przejść przez zdewastowany obszar, czuła jednak, że kiedy dotrze do narożnika, wszystko będzie w porządku. Pokonała już strefę największych zniszczeń, gdzie szkody były najgorsze, i może w jej domu będzie kilka rozbitych okien, nie zaskoczy jej też zerwany dach... ale na pewno szybko znajdzie pozostałe dziewczyny. Na pewno zeszły do schronu. Nawet Sylvia nie mogła przespać czegoś takiego. „Nie spieszyłaś się” — burknie, a Rose je wszystkie rozśmieszy, kiedy wyzna, że w Ritzu zjadła tylko grzankę z serem.

Edward znowu coś do niej wołał, lecz znajdował się daleko, daleko za nią, a ona już prawie w domu. Wystarczyło tylko skręcić za róg. Pył się rozpraszał. Tak! Najstraszniejsze miała już za sobą.

Przed Montague Terrace wisiała taśma, a kiedy Rose podeszła do niej, zobaczyła obok strażnika ARP. Pył i dym nie były tu tak gęste jak wcześniej, ale za to z nieba jak konfetti spadały małe zwęglone kawałki gruzu i Rose ponownie zadrzała. „Wszystko będzie dobrze!”. Była już prawie w domu, lecz kiedy przelknęła ślinę, czuła jedynie strach i smak sadzy.

— Nie możesz przejść — krzyknął do niej strażnik ARP, chociaż stała jak sparaliżowana i była pewna, że nie jest w stanie zrobić nawet kroku. — Był wybuch gazu.

— Jak duże są zniszczenia? — spytał Edward, który właśnie ją dogonił. — Rozumie pan, ta młoda dama mieszka przy tej ulicy.

— Nie wolno przejść — powtórzył strażnik. — Nikomu.

— Rose! Wracaj!

Jednak pobiegła, uchylając się przed strażnikiem, który głośno kazał jej się zatrzymać, aż nagle rzeczywiście stanęła, ponieważ skręciła za róg i znalazła się na swojej ulicy. Na swojej ukochanej uliczce. Która była zasypana kawałkami cegieł

i szkła, a pył unosił się tutaj tak gęsty, że natychmiast oblepił jej ubranie i wdychała go wraz z każdym nierównym oddechem. Nie widziała, dokąd idzie, szczególnie że strasznie łzawiły jej oczy, a jednak wciąż parla przed siebie.

— O, Boże, Boże, Boże — jęczała, lecz nadal, potykając się, brnęła przez cegły i gruz.

Tu właśnie znajdowało się centrum eksplozji. Otoczenie nie przypominało wojennych szkód, do których Rose zdążyła się już przyzwyczaić — gdy nadal mogła dostrzec szkielet znajomego niegdyś budynku. Jej domu już nie było. Po prostu zniknął! Nie zostało nic. Zniknął. Nie było nic... W miejscu długiego szeregu budowli ciągnął się krater, jak gdyby ziemia połknęła je wszystkie w całości, a następnie wypłuła — niczym kości — belki stropowe i ościeżnice. Ziejąca dziura w świecie Rose.

— Rose! Wróć za taśmę. Tu nie jest bezpiecznie. — Zdyszany Edward pojawił się za nią.

Odwróciła się gwałtownie.

— Gdzie dziewczyny! Gdzie moje przyjaciółki?

Objął ramieniem jej trzęsące się plecy.

— Chodź, pójdziemy i się dowiemy.

— Niech panienka posłucha swojego towarzysza. — Strażnik ARP już nie krzyczał, a brudną od sadzy twarz marszczył ze zmartwienia. — Panie z WRVS² zorganizowały stołówkę w salce parafialnej przy Bloomsbury Way. Idź, dziewczyno, wypij filiżankę mocnej herbaty, zjedz bułkę i doprowadź się do porządku. Ten teren musi pozostać pusty, żeby chłopcy z obrony cywilnej mogli wykonywać swoją robotę.

— Moje przy-ja-ciół... — Zająknęła się na tym słowie i tylko wskazała na długi lej. — Tam jest mój dom. W domu były moje przyjaciółki. Rozumie pan, normalnie poszłyby potańczyć, ale jutro są moje urodziny, no cóż, przypuszczam, że już dzisiaj... więc wróciły do domu wcześniej przygotować dla mnie niespodziankę. Nic im nie jest, prawda?

Strażnik wziął ją za rękę.

— Proszę pójść do stołówki, panie z WRVS tworzą tam listę. Będą wiedziały, co zrobić.

Rose może nawet dałaby się zaprowadzić do prowizorycznej stołówki w sali parafialnej, niestety zauważyła, że dwaj mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia, a potem strażnik krótko potrząsnął głową.

— Nie!

Wyrwała się i ruszyła przed siebie. Przez cały ten czas patrzyła niewidzącym wzrokiem w krater, który ciągnął się przez na dwie ulice i właściwie dopiero teraz uprzytomniła sobie, co zostało z chodnika.

Dostrzegła też leżące na ziemi sześć poplamionych beżowych koców, które

coś okrywały. Obok stał słomiany kosz z przykrywką, taki, który można napakować kanapkami, owocami i butelkami oranżady na piknik. Nie miała pojęcia, co tu robił, aż nagle przypomniała sobie opowieść Sylvii — mówiła, że przechodziła kiedyś jakąś ulicą, na którą pół godziny wcześniej spadł pocisk rakietowy V-1, i zobaczyła młodą sanitariuszkę, która z płaczem zbierała kawałki ciała („jestem pewna, że jeden z nich był maleńką stópką i to była najbardziej makabryczna rzecz, jaką widziałam w życiu, aż i mnie chciało się płakać”), owijała je w gazetę i umieszczała w takim właśnie koszu.

— Czy to one? Czy to są moje przyjaciółki? Tak? To one? — Czy to możliwe? Oznaczałoby to, że Sylvia ją opuściła. Że ona, Rose, nigdy już nie zobaczy ani Sylvii, ani Phyllis, ani Maggie... Nawet wiecznie przygnębionego pana Bryce'a i dwóch sióstr, które zajmowały mieszkanie na parterze i pracowały w bibliotece przy Chancery Lane. Oni wszyscy zniknęli i nie wrócą. Bez słowa pożegnania, bez żadnej karteczki. Pomachała wczoraj dziewczynom przed Rainbow Corner, tak bardzo podniecona czekającymi ją urodzinowymi przyjemnościami i kolacją w Ritzu, że tylko na odczepne rzuciła: „Pa, pa, wrócę późno, nie czekajcie!”.

— Rose. Kochana Rose — dotarł do niej głos Edwarda. — Nie rób tego. Kochanie, proszę, nie.

Kłęczała i uderzała w ziemię pięściami, które szybko zaczęły krwawić. Kazała tej ziemi, która zabrała jej przyjaciółki, zwrócić je całe i zdrowe.

— Chcę, żeby natychmiast wróciły! Słyszysz mnie? Przyrowadź je do mnie z powrotem!

— Gdybym mógł, wszystko bym dla ciebie zrobił. — Edward klęknął obok niej i trzymał ją w stanowczym, unieruchamiającym uścisku, dzięki czemu nie mogła już sobie zrobić krzywdy. Przyłgnął do niej całym ciałem, mocno, jakby chciał wziąć na siebie jej ból i nosić go ze sobą już zawsze, dzień po dniu, tak, żeby nie musiała dźwigać tego brzemienia.

Ale nie mógł. Nikt nie mógł. Ten ból był jej, należał wyłącznie do niej.

D-Day — dzień rozpoczęcia operacji Overlord (lądowanie aliantów w Normandii, 6 czerwca 1944 roku) (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

WRVS — skrót od *Women's Royal Voluntary Service* (ang.) — brytyjska ochotnicza służba kobieca (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ XVIII

Rose, kiedy znów mogła oddychać, a czerwień wróciła na posiniąte wargi, zabroniła Leo dzwonić do lekarza. Nie pozwoliła nawet wezwać karetki.

Ostatecznie, po długich minutach przekonywania, dała mu się zanieść na piętro. Jane i Lydia szły za nimi w przyzwoitej odległości. Rose zyskała w ten sposób pozory godności, a one mogły udawać, że nie słyszą, jak robi przerażający gwałtowny wdech za każdym razem, gdy Leo musiał ją nieco przesunąć w ramionach.

Kiedy leżała wygodnie, odesłali Lydię do łóżka. Jane została. Niemal nie rozmawiali. Twarz Jane była blada jak ściana, jej starannie nałożony makijaż nagle wydawał się zbyt jaskrawy. W końcu Leo również ją wysłał do łóżka. Usłuchała go nawet bez śladu symbolicznego protestu, a on spędził resztę nocy, siedząc z Rose, która spała bolesnymi zrywami.

Chyba zdrzemnął się w fotelu, ponieważ, gdy w pewnym momencie gwałtownie otworzył oczy, zobaczył Lydię, która niosła tacę ze śniadaniem. Tuż za Lydią wszedł jakiś mężczyzna, przypuszczalnie lekarz Rose. Leo rozprostował nogi, czując początki skurczu w prawej łydce.

— Naprawdę tyle hałasu o nic — mruknęła z łóżka Rose ostrym głosem. Siedziała prosto. Wyglądała lepiej niż ubiegłej nocy, ale ponieważ przez pięć długich minut Leo myślał wtedy, że Rose udusi się z powodu braku tlenu, „lepiej” było pojęciem relatywnym.

„Nigdy nie powinienem był wracać” — pomyślał, kiedy chwiejnie szedł do kuchni. Nie miał ani butelczyny, ani odwagi, która pomogłaby mu poradzić sobie z sytuacją. A będzie jedynie gorzej.

Jednak może przede wszystkim nigdy nie należało stąd wyjeżdżać.

Jane była w kuchni, pomiędzy nim a dzbankiem z kawą. Miała na sobie dzinsy i stary czarny sweter, który prawdopodobnie znalazła w jego komodzie. Jej włosy były splątane, twarz — wciąż zmięta od snu.

— Na pewno desperacko potrzebujesz kawy, kochany — zagaiła. — Czarna, prawda?

— Najbardziej czarna, jak to możliwe. — Wspiął się na jeden z drewnianych stołków i oparł łokcie na kontuarze, podczas gdy Jane naląła kawy do dwóch kubków. Wręczyła mu jeden, a z drugiego wypija łyk. Czekał, aż coś powie, lecz milczała. Może czekała, aż odezwie się pierwszy.

— Wszyscy łącznie z Rose łudziliśmy się, że choroba jest pod kontrolą — przyznał w końcu. Popatrzył w górę, na halogenowe reflektory zamontowane na kuchennym suficie, może szukając ratunku w ich łagodnym świetle. — Że będzie mogła tak żyć całymi miesiącami.

— Chyba że ubiegłej nocy doszło tylko do jednorazowego incydentu.

— Jane zmarszczyła brwi. — Chociaż zaobserwowałam, że Rose nie ma ostatnio za bardzo apetytu.

— To już nie jest gra, Jane. Wiesz o tym, prawda? — spytał bez ogródek, ponieważ od ostatniej nocy miał dziwne uczucie, coś na kształt obawy, że koniec świata jest naprawdę rychły. Cokolwiek kombinowała, nie zamierzał już się w to bawić. — Nie możesz zostać tutaj, w domu Rose, jeśli tylko...

— Co? Tylko co? — Już nie była blada, lecz czerwona na twarzy, a nawet ona z pewnością nie potrafiła rumienić się na zawołanie. — Powiedziałam ci, kochany, że pomogę, i umowa jest dalej aktualna.

— Dlaczego? Mówiłem, że nie będzie z tego kokosów.

Mimo że Jane wyraźnie powoli odzyskiwała zdolność okazywania emocji, nadal z jej oblicza trudno było wyczytać, co sobie pomyślała, szczególnie kiedy się odwróciła i patrzyła przez okno.

— Nawet jeśli nic innego nas nie łączy, sądziłam, że jesteśmy przyjaciółmi i jako przyjaciółka chcę być tutaj z tobą, dla ciebie.

W ogóle wydawała mu się inna dziś rano. Głowę miała spuszczoną, podobnie pełną wdzięku linię ramion i, ogólnie rzecz biorąc, wyglądała na smutną. Wstał i podszedł do niej. Zaprzagnął przygłodzić niesforny kosmyk jej włosów, jednak tego nie zrobił.

— Więc ten Charles... jest zatem gejem? — Nie to zamierzał powiedzieć! Nie była na to ani właściwa pora, ani miejsce, lecz stało się. Zadał już to pytanie.

Jej barki zadrżały.

— Och... Charles... jest asekualny, tak mi się zdaje. Ani gej, ani hetero, po prostu nie jest zainteresowany. — Odwróciła się i Leo dopiero w tej chwili uświadomił sobie, jak blisko niej stoi. Jeszcze jeden krok i mogliby się dotknąć nosami, lecz zanim zdążył się wycofać, ponieważ nie chciał, by Jane poczuła się osaczona, położyła rękę na jego ramieniu, chłodnymi palcami dotykając jego zmęczonej skóry. — Słuchaj, nie jestem aż taka, jak myślisz. Nie zawsze chodzi mi o pieniądze. Wołałabym zostać, ale tylko wówczas, jeżeli chcesz, abym została.

Skoro tak sformułowała to zdanie, Leo nie musiał dwa razy się zastanawiać nad ripostą.

— Chcę.

Uśmiechnęła się lekko.

— Ale nie będę grać dłużej roli złego gliniarza.

— Nie będziesz — zapewnił ją zdecydowanie. Sytuacja znowu stawała się nieznośnie poważna. Będzie na to jednak dość czasu później. Bał się myśli o „później”, więc przeganiał strach chytrym uśmieszkiem. — Chociaż nie mogę ci obiecać, że nie użyję cię jako żywej tarczy przed ogniem gniewnych spojrzeń Rose.

— Na to ci pozwolę — postanowiła głośno, po czym przeszła obok niego i usadowiła się na stołku obok.

Nawet nie wypili do końca kawy, gdyż Lydia zadzwoniła przez wewnętrzny telefon i wezwała ich do pokoiów Rose.

Rose rozlokowała się na sofie w salonie i wyglądała jak osoba, która troszeczkę odpoczywa pomiędzy spotkaniami towarzyskimi.

— Pomyślałam, że najlepiej, jeśli otrzymacie najnowsze wiadomości teraz, póki jest tutaj doktor Howard. Strasznie nie lubię się powtarzać.

Doktor Howard dziwacznie przysiadł na podnóżku, teraz jednak wstał i uściśnął im ręce. Był ledwo nieco wyższy od Jane, a także lśniący, śniady i energiczny jak wydra.

— Ważne w takich chwilach mieć wokół siebie rodzinę — wymamrotał. Leo zastanowił się, czy miał w ogóle okazję podnieść głos. — Pani Beaumont zgodziła się na pielęgniarkę, która będzie przychodziła trzy razy dziennie dać zastrzyk dla skuteczniejszej ulgi w bólu, chociaż mówiliśmy także o kaniuli dożylniej...

— Nie, Gerardzie, ty o niej mówiłeś — wypomniała mu Rose. Wnosząc ze stłumionego, surowego spojrzenia na twarzy Lydii, Rose tego ranka zapewne wielokrotnie coś doktorowi Howardowi wypominała. — A ja powiedziałam ci jasno i wyraźnie, że coś takiego bardzo by mi przeszkadzało.

Lekarz ponownie opadł na podnóżek. Nie wydawał się teraz tak opanowany i kompetentny, jak podczas ich wcześniejszego spotkania. Rose najwidoczniej do granic wytrzymałości testowała jego sposób podejścia do pacjenta.

— Ależ, pani Beaumont, przecież o tym rozmawialiśmy. Czas zacząć myśleć, jakie mamy opcje. Czy możemy wprowadzić jakieś modyfikacje, dzięki którym czuje się pani lepiej, czy też...

— Nie mów o sobie przez „my”, młody człowieku — obwieściła Rose z pańską, a Leo wiedział, że muszą jej na to pozwolić; pozwolić jej się ostro pokłócić, pogrozić pięścią śmierci i tak dalej. Wpadł w panikę właśnie wtedy, gdy przestała walczyć. — Przyznaję, że może wzięłam ostatnio na siebie nieco zbyt dużo, ale poświęcę weekend na odpoczynek. Do poniedziałku będę się czuć dobrze, a jutro pojedziemy do Lullington Bay. Przesiedzę drogę w samochodzie, więc jazda mnie nie zmęczy. — Westchnęła. — Wielka szkoda, że róże teraz nie kwitną. Przyrzeknij mi, Leo, że pojedziemy jutro. I żadnych wymówek?

Przyrzekł jej, kładąc rękę na sercu, a potem wyszli, pozwalając jej trochę odpocząć. Leo i Jane odprowadzili do wyjścia doktora Howarda. Trzymał ich dłonie w swojej przez nieprzyjemnie długi okres i mamrotał jakąś przemowę o tym, jaka Rose jest silna, że jej pokolenie jest pełne ducha walki i że tacy ludzie już się nie rodzą.

— Zawsze jest jakieś wyjście, nawet z najgorszej sytuacji — podsumował, zanim Leo zamknął za nim drzwi frontowe.

— Myślisz, że ćwiczył to przed lustrem? — spytał Leo Jane. — Pracował

naprawdę ciężko, żeby zabrzmiało po prostu szczerze?

— Myślę, że prawdopodobnie miał kiedyś nauczyciela aktorstwa — prychnęła i chociaż może tylko udawali, że stanowią wspólny front, i tak było to znacznie lepsze niż konieczność przeżywania całej sprawy w pojedynkę.

Po lunchu Lydia poprosiła Jane, żeby zaniósła Rose filiżankę herbaty. Starsza pani nie opuściła swojej części domu przez cały ranek, a kiedy Jane weszła do jej sypialni, siedziała w fotelu obok okna panoramicznego, które wychodziło na ładny balkon z kutego żelaza.

— Nie mogę wytrzymać w zamknięciu przez cały dzień. Chciałabym wyjść na dwór — oznajmiła Rose, wciąż skupiając wzrok na ponurym zimowym krajobrazie na zewnątrz.

— Naprawdę? Więc czujesz się lepiej?

— Nie proponuję kolacji i sztuki w teatrze. — Właśnie dlatego Jane nigdy nie zostawała zbyt chętnie z nią sama. Rose była taka strasznie błyskotliwa i inteligentna, a Jane zawsze wolała trzymać się w cieniu. — Chciałam jedynie wyjść i posiedzieć na placu.

— Ale, kochana, jest strasznie chłodno i...

— Nie prosiłam o twoją zgodę, ale moje głupie stare nogi nie mają dziś ochoty robić tego, co im każe. Potrzebuję zatem twojej pomocy. — Rozłożyła ręce w geście frustracji. — Nigdy się nie starzej, dziewczyno. Niewiele spraw związanych ze starością mogłabym ci polecić.

— Oczywiście, że pomogę. Masz prawo wyjść, jeśli chcesz — odparła Jane, ponieważ przypomniawszy sobie, jak czuje się człowiek, który nie może robić tego, co i kiedy pragnie. Nawet teraz zdarzały jej się sytuacje, gdy własna wolność wydawała jej się czymś nowym, delikatną błyskotką, którą mogłaby stratać, jeśli niedostatecznie się o nią zatroszczy.

Skoro więc Rose chciała wyjść i siedzieć na placu, mimo że zimno będzie przenikać do kości, które — jak zasugerował doktor Howard — zaczyna toczyć rak, w takim razie Jane nie zamierzała jej odmówić.

— Pójdę po Leo — powiedziała.

Leo znowu zniósł Rose po schodach, chociaż się upierała, że może chodzić. Frank postawił samochód jak najbliżej tylnych drzwi, po czym przejechał wraz z Rose te kilka metrów za róg do zamkniętej na klucz furtki prowadzącej na małe plac. Stamtąd Rose, opierając się ciężko na Jane, podeszła do drewnianej ławki schowanej pod naturalną altaną stworzoną przez drzewa, które przez lata się pochylały.

Rose narzuciła na siebie poprzecierane futro, które znaleźli na strychu mniej więcej tydzień temu. „Futro pogrzebowe mojej matki” — powiedziała im wtedy. Lydia nalegała na rękawiczki i szal, a Leo został wysłany do auta po pled podróżny, po czym Rose poprosiła go o przywiezienie z biura pewnych

dokumentów.

— Planowałam wpaść tam dziś rano, ponieważ jest kilka rzeczy, które chciałam przejrzeć przez weekend — wyjaśniła Jane w nieoczekiwanej potrzebie uzasadniania swoich działań. — Ale na pewno będę w biurze w poniedziałek rano. Nie mam co do tego wątpliwości.

— Oczywiście, że będziesz — zgodziła się Jane, z całych sił starając się nie dygotać, choć i ją Lydia zmusiła do założenia nakrycia głowy. Wówczas Leo uśmiechnął się z zachwytem, widząc na jej głowie szarą wełnianą czapkę, wygrzebaną w jednej z bezdennych szuflad. „No cóż, nie jest to diadem” — powiedział.

W ciągu ostatnich kilku dni Leo się zmienił. Nie chodziło tylko o nową fryzurę i szczuplejszą twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Wyglądał też na szczęśliwszego i silniejszego, był bardziej sobą.

Wcześniej Jane tak bardzo żyła jego kłopotami, że w ogóle nie martwiła się o siebie, chyba po raz pierwszy w życiu. Ale teraz, po ostatnim wieczorze i spotkaniu z Charlesem...

— Opowiadałam ci o uchodźcach?

Odwróciła się i popatrzyła na Rose, która również pogрузyła się w myślach.

— Nie, chyba nie.

— Wstępowałam do nich z wizytą w czwartkowe popołudnia, kiedy miałam wolne w kafeterii. Czułam, że przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić. Wszyscy oni na początku byli strasznie osłabieni, ale dzieci bardzo szybko dochodziły do siebie, więc przychodziliśmy tutaj i chociaż wtedy plac pokrywały sterty gruzu, graliśmy w krykieta. O tam. — Jane ciągle nie była pewna, o kim Rose mówi, kiedy tamta wskazała na klomb, gdzie krzewy kaliny kwitły nieprawdopodobnie różowo w słabnącym popołudniowym świetle. — Madeleine i Gisèle zmieniły ogród za domem w warzywnik, a Yves i Jacques pomagali odnawiać sąsiedni dom. Choć w ten sposób chcieli się odplacić Edwardowi, to było dla nich ważne, chociaż on pewnie niczego od nich nie potrzebował.

— Nigdy przedtem nie wspomniałaś o Edwardzie...

— Doprawdy? Jakie to dziwne! Przez większość czasu bawiłam się z maluchami. Paul, Hélène i Thérèse, która jakieś dwadzieścia lat później urodziła naszą Lydię.

— Naprawdę? Znasz ją tak długo, że mogłaś jej zmieniać pieluchy.

— Nigdy w życiu nie zmieniałam pieluchy — odparowała Rose z odrobiną tej władczości, do której Jane dążyła. — Trzeba mieć zasady.

— Z całym szacunkiem dla Lydii muszę powiedzieć, że jest szalenie apodyktyczna wobec kogoś, kto zna ją, odkąd była zasmarkanym małym dzieciakiem.

— Też to zauważyłaś. — Rose pozwoliła sobie na krótki, cierpki uśmiezek.

— Widzisz, ten plac, ten budynek... to był mój dom praktycznie przez całe życie.

— Nigdy nie miałam domu, jedynie miejsca, w których mieszkałam przez jakiś czas — wyznała Jane. Była dziś szczerą, zmęczoną koniecznością uważania na każde wypowiedane słowo. — Dom jest tam, gdzie czujesz się bezpiecznie, prawda? Mnie jako takie poczucie bezpieczeństwa zapewniają wyłącznie pieniądze. Kiedy człowiek ma ich dostatecznie dużo, może zrobić wszystko, pojechać wszędzie i być tym, kim chce. Nikt nie zdoła go powstrzymać.

— Więc jeszcze nie dotarłaś do takiego punktu?

Jane pokręciła przecząco głową.

— Nie mam pojęcia, ile mi potrzeba. Pięć milionów? Dziesięć? Miliard może?! — Odwróciła się z powrotem do Rose, która miała w tej chwili absolutnie jasny umysł i przyglądała jej się niczym jakieś osobliwości wyłożonej za szybą w muzeum. — Czy ty czujesz się dzięki pieniądзом bezpieczna?

— Nigdy tak naprawdę o nie nie dbałam. Och, przyjemnie je mieć, i tak, rzeczywiście stanowią niejaki zabezpieczenie, jednak istnieją sprawy, przed którymi nawet one nie zdołają cię ochronić — odparła Rose, a Jane nie wiedziała, czy kobieta ma na myśli własne ciało, które tak bardzo ją obecnie zawodziło, czy zdarzenia z przeszłości, ponieważ znowu patrzyła gdzieś przed siebie, nieobecna duchem. — Co do mnie, zawsze najbezpieczniej czuję się, kiedy jestem z ukochanymi ludźmi. Kochałam mocno, choć nie zawsze mądrze i ten dom oraz dom w Lullington Bay mają związek z osobami, które bardzo, bardzo kochałam. Właśnie dlatego stanowią mój azyl.

Jane uważała, że po wszystkim, co jej się przydarzyło, nie potrafi kochać, na pewno jednak była zdolna okazać dobroć, nawet jeśli nic na tym nie zyskiwała. Każdy zasługuje na poczucie bezpieczeństwa — szczególnie gdy jego życie dobiega końca.

— Dopilnuję, żebyś tutaj została. Żadnego hospicjum! Obiecuję ci to. Cokolwiek się zdarzy.

— Dziękuję — odparła Rose, po czym wzięła jej dłoń w swoją i palcami w rękawiczkach ścisnęła ją z mocą, której Jane by się po niej nie spodziewała. — Od ostatniego tygodnia, może dłużej, widzę wokół siebie wszystkie kochane osoby. Nocami, kiedy nie mogę spać, patrzę na mnie ze ścian.

Nawet jeśli ponownie patrzyła przed siebie w zadumie niewidzącym wzrokiem, skupiona wyłącznie na własnych myślach, jej głos pozostał wyraźny, więc Jane nie wiedziała, jak zareagować.

— Och, no cóż, kochana... powodem są zapewne tylko te nowe leki, które bierzesz.

— Nie, sądzę, że oni na mnie czekają. A myślałam, że mam więcej czasu... Bardzo bym chciała mieć go trochę więcej. Nadal zostało tak wiele niedokończonych spraw. — Położyła drugą dłoń na ich splecionych palcach.

— Wydaje mi się jednak, że w tym roku nie będę musiała się przejmować kartkami świątecznymi. Ich wypisywanie zawsze tak okropnie mnie nudziło.

Jane ulżyło, że wróciły do niepoważnej pogawędki.

— Prawdopodobnie nie będziesz musiała się także przejmować świątecznymi prezentami.

— Ani nie będę musiała jeść brukselki. Nigdy nie lubiłam brukselki. Tylko jej jednej było w czasie wojny pod dostatkiem.

— Och, nie jest taka zła, jeśli poodrywa się zewnętrzne listki i usmaży z bekonem — zauważyła Jane, a Rose mimo zamyślenia spojrzała na nią z niedowierzaniem. — Czasami gotuję, choć przyznaję, że niezbyt często. W ubiegłym roku, oczywiście zanim poznałam Leo, przygotowałam kolację bożonarodzeniową dla rodziny mojego chłopaka. — Roześmiała się na to wspomnienie. — Tak naprawdę nie mieli pojęcia, jak powinien wyglądać posiłek z tej okazji. Ciągłe powtarzali, że upłynęło zbyt mało czasu od Święta Dziękczynienia, żeby znów jeść indyka — opowiadała. — Jackie, matka Andrew, oznajmiła, że w następnym roku da mi swój przepis na pieczoną szynkę i będę ją mogła przygotować zamiast indyka. Dobrze, że ominął mnie ten los. Jest ci za zimno, kochana? Wejdziemy teraz do środka?

Rose znowu wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

— O rety, prawdziwa z ciebie kaczka dziwaczka — wytknęła jej, jak gdyby miała siedemdziesiąt lat mniej i nie rozmawiała z Jane, lecz z jednym z tych swoich duchów, które mieszkały w ścianach jej domu.

W tym momencie, dzięki Bogu, przez furtkę przeszedł Leo.

— Mam nadzieję, że nie plotkujecie o mnie — zagadnął wesoło. — Frank podwiózł mnie do biura. Mam wszystko, o co prosiłaś, a Liddy twierdzi, że jest tu zbyt chłodno i musisz teraz wrócić do środka.

ROZDZIAŁ XXIX

Wrzesień 1944 roku

Rose siedziała na drewnianym krześle i mocno ścisnęła kubek herbaty, która z lekka smakowała brukselką, a jakaś kobieta z WRVS zadawała jej pytania, niemal każde kończąc słowami „moja droga”.

— Masz adres najbliższych krewnych Phyllis Carfax, moja droga?

— Wiesz, kiedy Magda Novotny przybyła do Anglii, moja droga? Czy tak się wymawia jej nazwisko?

— Sylvia czy Sylvie, moja droga?

— Masz książeczkę opłat za mieszkanie, moja droga?

Później kobieta odesłała Rose na drugi koniec sali parafialnej, na następną rozmowę, tym razem z pracownikiem biura informacyjnego miasta. Mężczyzna zadawał kolejne pytania, kazał wypełnić formularze i wręczył jej karteczkę w adresem kostnicy, gdzie miała zidentyfikować ciało Maggie (którą nazywał Magdą), ponieważ Maggie nie miała żadnych krewnych, którzy mogliby to zrobić.

— Nie możecie od niej czegoś takiego wymagać — Edward wytknął szorstko mężczyźnie. — Ona ma zaledwie osiemnaście lat.

Rose cieszyła się, że Edward zna jej prawdziwy wiek, dzięki czemu nie musiała okłamywać i jego. Miała już dość kłamstw.

— Nie mam nic przeciwko — zapewniła go. — Nie mogłabym znieść myśli, że Maggie... Tak, chcę to zrobić.

Wraz z jednym sanitariuszem pojechali do New Middlesex Hospital i czekali w korytarzu do dziewiątej, aż zostanie otwarte biuro kostnicy. Rose podała kartkę, a potem wrócili na korytarz i znów czekali.

— Bardzo się spóźnię do pracy — pożaliła się Edwardowi. — A przecież ciągle jeszcze muszę wejść do domu, żeby się przebrać.

Stale zapominała, że nie ma już domu, do którego mogłaby wrócić, ani ubrań na zmianę, ani przyjaciółek, która prosiłyby ją o filiżankę herbaty.

— To nie jest ważne — przekonywał ją Edward. Jasne włosy miał usmolone, mundur brudny od sadzy i pyłu ceglanego, a czapkę gdzieś w zamieszaniu zgubił. Był ważną osobą, więc przypuszczalnie on również, mimo soboty, musiał iść do pracy, jednak kiedy Rose zwróciła mu na to uwagę, tylko potrząsnął głową. — Żadna z tych spraw się dzisiaj nie liczy.

Ostatecznie młoda kobieta w tweedowej garsonce wywołała nazwisko Rose, po czym zaprowadziła ich oboje kilka pięter w dół schodami i dalej, przez zawiły labirynt korytarzy, aż w końcu znaleźli się pod drzwiami z przypiętą pinezką kartką, na której pismem odręcznym napisano: KOSTNICA.

— Postaram się przeprowadzić identyfikację jak najszybciej i jak najbardziej bezboleśnie, ale eksplozja była bardzo silna, więc musisz się przygotować na to, co zobaczysz.

Rose zadarła brodę i wyprostowała ramiona.

— Absolutnie nic mi nie jest — upierała się, lecz gdy wchodzili, cieszyła się z dotyku ręki Edwarda na swoich plecach.

Pomieszczenie skojarzyło się Rose z laboratorium naukowym w jej starej szkole. Te same słoiki i fiołki rozmieszczone na półkach. Była tu nawet czarna tablica i osobiwie gryzący, a równocześnie mdły zapach substancji chemicznych, jednak na środku szkolnego laboratorium naukowego nigdy nie stał duży metalowy stół na kółkach z przykrytymi zwłokami.

Tyle że... To co leżało na stole wydawało się za małe na ludzkie ciało, więc Rose stanęła niepewnie, aż palce Edwarda na jej plecach napięły się i mężczyzna pchnął ją lekko do przodu.

Zrobiła kilka niepewnych kroków.

— Wygląda na zbyt małe... jak na ciało Maggie...

Kobieta sprawdziła na podkładce z klipsem.

— Maggie? Chodzi o Magdę Novotny?

— Nazywamy ją Maggie. Nazywałyśmy... — Skinęła ku zakrytej postaci.

— Nie była tak wysoka jak ja, ale znacznie większa od tego.

Usłyszała, że Edward głośno wciąga powietrze. Kobieta nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w papiery na podkładce.

— Ta eksplozja była bardzo silna — wyjaśniła ponownie. Popatrzyła na Rose i uniosła brwi. Rose odwzajemniła się spojrzeniem. — Chcę powiedzieć, że nie wszystkie ciała są... hmm... w stanie nienaruszonym.

Rose pomyślała o wiklinowym koszu stojącym na resztkach po chodniku. Znów przypomniała jej się opowieść Sylvii o maleńkiej stópce i nie mogła zapobiec szybkiemu szlochowi, który jej się wymknął. Natychmiast zakryła sobie dłonią usta.

— Kochana Rose, nie musisz się powstrzymywać — powiedział Edward, kładąc jej ręce na ramionach i lekko ściskając, jakby chciał przekazać jej część swojej siły. — Nie musisz być taka strasznie dzielna.

— Nie jestem dzielna, nie sędzę. — Zrobiła głęboki wdech. Pamiętała wszystkie te drobne przysługi, które Maggie jej wyświadczyła. Całe to cerowanie, wyborne dania wyczarowane na maleńkiej kuchence, dziesiątki dobrych rad, z których Rose nie skorzystała. Tylko w ten sposób mogła jej się odwdzięczyć. — Jestem gotowa.

Kobieta podeszła do stołu i ostrożnie chwyciła między kciuk i palec wskazujący róg okrycia, po czym zaczęła powoli ciągnąć je ku sobie, aż ujawniła pół twarzy Maggie.

Rose widziała ciemne faliste włosy, władczy nos, lecz wargi przyjaciółki nie były dziś wykrzywione w typowy dla niej lekki uśmieszek, a oko miała czymś zaklejone. Zbliżyła się nieśmiało, zerknęła pod brzeg okrycia i ledwie zobaczyła coś czerwonego, co wyglądało jak surowe mięso, odwróciła się i przycisnęła twarz do koszuli Edwarda. Mężczyzna wydawał się taki ciepły i pewny.

— Kochanie, czy to jest Maggie?

— Tak — wymamrotała w szorstką bawełnę koloru khaki. — Możemy już iść?

Wrócili tą samą drogą, Rose podpisała kolejne formularze i dopiero wtedy pozwolono im wyjść. Otworzyli duże podwójne drzwi i znaleźli się w świecie, który pędził obok, zupełnie nieświadomy, że stało się coś tragicznego.

Rose przywarła do balustrady, która otaczała budynek.

— Czuję, że powinnam płakać, ale nie mogę.

— Nie musisz płakać, jeśli nie odczuwasz takiej potrzeby — odrzekł Edward. Nadal miała na ramionach jego kurtkę i teraz szperał w jednej z kieszeni, szukając papierosnicy i zapalniczki. — To szok. A człowiek w szoku czasem zachowuje się dziwnie.

— Powinnam iść do pracy. Pani Fisher stale mi wygaduje, że się spóźniam. — Rose przyjęła podanego przez Edwarda papierosa. — Nie chcę, żeby mnie wylali.

Ale nie poszła do pracy. Zamiast tego spacerowali. Do Regent's Park, obok całkowicie zabitego deskami zoo, przez Rose Garden i wokół jeziora.

Mijając Broadcasting House, liczyli worki z piaskiem, na Oxford Street wpatrywali się w marne towary na wystawach, potem przebijali się przez Mayfair, aż dotarli do domu Edwarda.

Była to kamienica, której okna wychodziły na Green Park.

— Bardzo dogodnie mieć Fortnum and Mason jako pobliski sklepik — zażartował niewesoło, kiedy Rose wspinała się za nim po marmurowych schodach na czwarte piętro, na którym znajdowało się jego mieszkanie. W budynku była winda, ale podobno od tygodni nie działała.

Wprowadził ją do salonu, pomieszczenia cichego i niezagraconego, pomijając zapchane książkami regały i obrazy na ścianach. Obrazy, które nie przedstawiały ani przedmiotów, ani ludzi, ani zwierząt, ani krajobrazów.

Rose usiadła na kanapie chesterfield, obitej jasnobrązową skórą, miejscami wytartą (bogaczom najwyraźniej nie przeszkadza, że coś jest zniszczone), i patrzyła, jak Edward nalewa brandy do dwóch szklaneczek.

— Nie za bardzo lubię brandy — przyznała się.

— Jesteś w szoku i wypijesz — odpowiedział, wręczył jej szklankę i usiadł obok.

Ostrożnie wypila łyk. Przypuszczała, że alkohol będzie rozgrzewać

i rozplwać się w ustach, lecz smakował ostro, chociaż gdy spływał, wypalając w jej brzuchu gorący szlak, poczuła się lepiej.

— Myślisz, że to trwało długo? Że cierpiały? Że leżały tam, obolałe i przerażone, czekając, aż ktoś przyjdzie im z pomocą?

Edward przesunął rękę bliżej miejsca na siedzeniu, na którym Rose położyła swoją, lecz jej nie dotknął.

— Sądzę, że wszystko zdarzyło się w jednej chwili. Że spały i nigdy się nie obudziły.

— Czy przyczyną był wadliwy przewód gazowy? — To była kolejna rzecz, która ją martwiła. — Jeśli tak, co tam robił strażnik ARP? A kiedy szliśmy do sali parafialnej, dlaczego okolica niespodziewanie zaroła się od wszystkich tych ludzi w garniturach?

Wzruszył bezradnie ramionami.

— Nie wiem, Rose. Jestem jednak pewny, że zastosowano po prostu standardowe, już wcześniej używane procedury, niezależnie od tego, czy był to wybuch gazu, czy doszło do eksplozji z innych powodów.

Tą odpowiedzią także się nie zadowolila.

— Dziewczyn nie powinno tam nawet być. Zawsze wychodziłyśmy potać w piątkową noc po Rainbow, zawsze! Wróciły do domu, ponieważ dziś mam urodziny i suszyłam Maggie głowę, żeby upiekła dla mnie tort, bo miałyśmy wystarczająco dużo cukru i jajek. Co, jeśli wybuchła instalacja gazowa? Co, jeśli to był nasz piekarnik? Co, gdybyś nie zaprosił mnie na kolację? Co by się stało, gdyby...?

— Na litość boską, Rose. — Edward wypił zawartość swojej szklanki w jednym gniewnym hańście. — Nie było cię tam, a one były. Nie doszukuj się w tym sensu ani motywu. Nie nauczyłaś się tego jeszcze?

— Zgodziłam się zjeść z tobą tę kolację tylko dlatego, że chciałam pójść do Ritza i prosić cię o pomoc w odnalezieniu Danny'ego. — Nie wiedziała, dlaczego to robi. Czowała się odrętwiała, lecz nie musiała z tego powodu rozwścieczać Edwarda za nich oboje. — Byłam samolubna i rozpieszczona. Co gorsza, zostałam za te cechy nagrodzona, ponieważ siedzę tutaj, popijając brandy, i, ogólnie rzecz biorąc, żyję, a one zginęły. No cóż, nie ma sprawiedliwości na tym świecie!

— Uciszysz się wreszcie? — W tonie Edwarda usłyszała udrękę człowieka cierpiącego, kogoś, kto leży wraz z zabitymi i umierającymi, daremnie czekając na ratunek. A kiedy odwróciła się do niego, chcąc go przeprosić, zobaczyła na jego twarzy wilgotne ślady po łzach, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Edward przysunął się do niej.

Nigdy nie przypuszczała, że ją pocałuje.

Nigdy nie przypuszczała, że odwzajemni jego pocałunek.

W końcu coś poczuła; że naprawdę żyje, a jej ciało porusza się, wije i obraca

pod innym ciałem, gdyż Edward był taki nienasycony. Zażądał od niej wszystkiego, co jej zostało, a ona chętnie oddawała mu całą siebie.

Gdy Danny ją całował, przenigdy się tak nie czuła. Nigdy nie czuła tego szaleńczego bezgranicznego pragnienia, które kazało jej zachłannie, nie dbając o nic, całować Edwarda i wkładać dłonie pod jego koszulę, a później sunąć palcami i drapać jego plecy, tę ciepłą skórę wręcz błagającą o jej dotyk.

To była żądza. Cieleśne pożądanie. Zdrożne. Niemoralne. Tu pasowały wszystkie te określenia, których nigdy tak naprawdę nie rozumiała — aż do tej chwili, gdy na kanapie Edwarda miotła się, jęczała i wstrzymywała oddech, a on w niesamowity sposób wykorzystywał usta i palce, robiąc jej to, czego nie potrafił Danny.

Później Edward znalazł się w niej, wciąż gładząc i całując jej ciało, i w końcu Rose wiedziała na pewno tylko jedno — że nigdy przedtem nie czuła się tak cudownie. Że Edward, właśnie on, potrafił sprawić, że całkowicie się otworzyła, chociaż nawet nie zdjęła butów ani nie rozpięła sukienki. Już z tego powodu powinna się czuć strasznie, lecz wcale tak nie było. Do czasu, gdy Edward nagle chwycił jej nadgarstki i wszedł w nią ostatnim gwałtownym pchnięciem.

— Kocham cię! — wysapał. — Tak bardzo cię kocham!

— Och, Boże! Zejdź ze mnie! — Odepchnęła jego ciężkie nieruchome ciało, uderzała w jego ramiona, które trzymała kurczowo ledwie minutę temu. — Zejdź ze mnie!

Edward wycofał się tak niespodziewanie, że wylądował na podłodze z głuchym łupnięciem i tak osłupiałą miną, że Rose o mało się nie roześmiała. Ale nie było się z czego śmiać, skoro jego nasienie ściekało po jej udach, jej pognieciona sukienka zadarła się wysoko na jej biodrach, a jej przyjaciółki nie żyły.

— Rose? — Edward siedział na podłodze. Wcześniej dziś stanowił jej wsparcie i jej osłonę, teraz jednak wyglądał na dokładnie tak samo zagubionego jak ona. W miłosnym szale pourywała guziki z jego koszuli, które leżały porozrzucane na dywanie jak drobne monety. Widziała falistą linię jego barków, wydatne wypukłości jego obojczyków, skórę tak bardzo bladą i wrażliwą, że aż chciało jej się płakać. — Wiem, wybrałem beznadziejny moment, gorzej niż beznadziejny, ale musisz wiedzieć, że cię kocham. Myślę, że pokochałem cię w pierwszej chwili, w której cię zobaczyłem.

Od ich wspólnych wysiłków był zarumieniony i Rose podejrzewała, że gdyby dostatecznie dobrze się wpatrzyła, zobaczyłaby krew płynącą w jego żyłach i bijące serce, które tę krew pompowało. Tak się dzieje, chyba że serce wybuchnie w ciebie, po czym podniesie je sanitariuszka i wrzuci do wiklinowego kosza...

Edward najwidoczniej uznał jej milczenie za zachętę, mimo że nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to możliwe. Odchrząknął i próbował się uśmiechnąć.

— Wiem, że w tym właśnie momencie sądzisz, że nigdy więcej nie będziesz się mogła poczuć szczęśliwa, ale wierz mi, to minie.

— Nie chcę być szczęśliwa — odcięła się. — Nie mam do tego prawa.

— Ależ masz i jeśli mi pozwolisz, chciałbym postarać się ci w tym pomóc...
Bo cię kocham.

Wstała, dzięki czemu mogła patrzeć z góry na Edwarda, który siedział na podłodze i przez to wydawał się mniejszy.

— No cóż, ja nie kocham ciebie — odparła. — Nigdy nie mogłabym cię pokochać.

ROZDZIAŁ XXX

Kiedy Jane i Leo szli po bokach Rose podczas jej niezwykle powolnego spaceru z powrotem do domu, skąd mogli wiedzieć, że wtedy po raz ostatni była na dworze?

Nazajutrz, w niedzielę, czuła się za bardzo zmęczona, żeby jechać do Lullington Bay. W poniedziałek rano powiedziała, że po lunchu pojedzie do biura, jednak nie pojechała wcale. Ani we wtorek, ani w pozostałe dni tygodnia, a w następnym tygodniu biuro przeniosło się do domu. Fergus wpadał mniej więcej na godzinę co rano, a Leo przychodził po obiedzie z dokumentami, planami, próbkami farb, kafli i płytek, lecz wychodził bynajmniej nie z rozlicznymi instrukcjami zadań, które trzeba było wykonać co do joty; Rose mówiła mu tylko: „Mój drogi, zrób po prostu to, co uważasz za najlepsze. Jeśli nie masz pewności, pomów z Fergussem”.

Każdy dzień przynosił nowy objaw, kolejny symptom pogorszenia zdrowia Rose, kolejną sugestię, że koniec jest bliski: nie zeszła rano, zostawiła na tacy nietknięte śniadanie, zadzwoniła przez telefon domowy do Jane, prosząc o pomoc w dojściu z sofy do łazienki. George nadal przychodził na kolację, a Rose wciąż opowiadała o Rainbow Corner, tyle że zaczynała się powtarzać.

A jednak, ciągle i niewątpliwie pozostawała sobą. Jej mózg pracował i nadal mogła zmienić testament. Dodać kodycył z korzystnym zapisem na rzecz przeżywającego trudności, lecz jakże uwielbianego wnuka siostry. Ale Jane o tym nie myślała, gdyż inne problemy ciążyły jej znacznie bardziej.

Pojawiła się w biurze Charlesa pod koniec pierwszego tygodnia grudnia. Zajmował trzy połączone pomieszczenia na parterze georgiańskiej rezydencji miejskiej w pobliżu ambasady amerykańskiej, chociaż o tak późnej porze w piątkowe popołudnie pozostał w biurze tylko on i jego asystentka, która stłumiła raczej subtelną urodę ciężkimi okularami w czarnych oprawkach i nietwarzowym ciasnym kokiem.

Charles nie prowadził biznesu, który kierowałyby swoją ofertę do przypadkowych klientów, ale kobieta nawet nie spytała Jane, czy jest umówiona. Zadzwoniła do Charlesa, a potem poprowadziła ją przez pokój wypełniony szafkami na dokumenty i otworzyła drzwi do wewnętrznego sanktuarium.

Charles nie wyglądał na zaskoczonego jej nieoczekiwaną wizytą. Dlaczego miałby być zaskoczony, skoro wiedział o niej tak dużo, że w każdej chwili mógł ją zniszczyć? Przy odrobinie trudu mógłby dosłownie rozmontować wspaniałe życie, które sobie zbudowała, a które — jak się często wydawało — trzymało się w kupie jedynie dzięki mieszaninie lakieru do włosów, bezcukrowej gumy do żucia i, och, tak, sieci kłamstw. Charles jednak zamiast ją niszczyć powiedział po prostu:

— Witaj. Miałem nadzieję, że ponownie się spotkamy.

Obszedł biurko i skinął ku jednemu z dwóch klubowych foteli obitych czarną skórą. Spytał, czy Jane chciałyby się czegoś napić. Potem usiedli i prowadzili absolutnie przyjazną rozmowę towarzyską o Rose i o pogodzie, która znów jest paskudna, a Charles przez cały czas patrzył na Jane ze smutkiem, lecz była przekonana, że jedynie w warunkach najsurowszego przesłuchania, może nawet podtapiania, wyznałby, co naprawdę do niej czuje. Nawet wtedy ująłby wyznanie w typowe dla siebie frazy, na przykład: „Nigdy nie potrafiłbym się na ciebie gniewać. Jestem tylko trochę rozczarowany”.

Nie mogła dłużej odkładać tej rozmowy.

— Przyszłam tutaj, ponieważ muszę z tobą pomówić.

Ręce miała spocone, więc objęła się w pasie. Nigdy wcześniej tak naprawdę nikogo nie przeproszała. Ale przecież nigdy wcześniej nie przebywała nigdzie na tyle długo, by zaistniała konieczność przeprosin. Kiedy ktoś odkrywał jej grzeszki, jej dawno już tam nie było. Zresztą, przeprosiny są w istocie przyznaniem się do winy, a ona zazwyczaj nie miała powodu czuć się winna — zawsze to sobie powtarzała. Nie kontrolowała ani decyzji, które podejmowała, ani spustoszenia, które czasami czyniła w świecie innych ludzi.

I w jakiś sposób rzeczywiście nie miała nad nimi kontroli. Każdy cios, każdy policzek, każdy kopniak, każde inne... okrucieństwo, którego doświadczyła, zmieniło ją w osobę, jaką była, lecz Charles stał się jej ocaleniem. O mało nie zabił jej dobrocią, o czym później niby przypadkiem zapomniała, teraz jednak, gdy wróciła do Londynu, nieustannie wspominała, jak go skrzywdziła, a przecież wcale sobie na to nie zasłużył. Więc z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła zanalizować, chciała, nie, musiała mu to wynagrodzić.

Zrobiła uspokajający wdech.

— Chciałam ci powiedzieć, że kiedy odeszłam... zanim odeszłam, powinnam była... — Boże, to było trudne, lecz Charles już kręcił głową.

— Nie musimy tak rozmawiać, ty i ja — wytłumaczył tonem łagodnym, a równocześnie stanowczym. Powinna poczuć ulgę — że przynajmniej nie żywi do niej urazy — lecz tylko poczuła, że wpada w popłoch.

— Musimy. Ja muszę. Nigdy ci nie podziękowałam za uratowanie mi życia, ponieważ to właśnie zrobiłeś. — Wypowiedziała te słowa tak cicho, a ponieważ w gardle jej pulsowało i drapało, miała obawy, że zaraz się rozplacze.

Charles wstał ze swojego fotela, ukląkł przy jej stopach i spytał:

— Mogę?

Wyciągnęła ręce i Charles wziął je w swoje, a wtedy zaczęła się zastanawiać, co mogło się wydarzyć, jak odmienne mogło stać się jej życie, gdyby tyle lat temu pozwoliła mu na taki gest. Teraz przyłgnęła do niego, przywarła do tych dłoni, które nigdy nie drżały. Spuściła głowę, ponieważ nie mogła spojrzeć na Charlesa, ponieważ nie chciała zobaczyć w jego oczach emocji choćby trochę podobnej do

litości, a następnie jego wargi musnęły kostki jej palców przez tak króciutki moment, że może tylko to sobie wyobraziła.

— Nie zasługuję na tak duże zaufanie — oznajmił, gdy Jane wyzwoliła się z uścisku, wrócił na swój fotelu i oboje trzymali ręce przy sobie. — Sama sobie uratowałaś życie, kiedy wsiadłaś do tamtego pociągu. I, Jane, sądzę, że po prostu dużo wcześniej niż ja zrozumiałaś, że skoro zostałam ocalona, nie możemy trwać tak dalej we dwoje.

A trwali tak przez dwa lata, w których trakcie Charles stale próbował ją formować i kształtować jej życie, dopasowując je do własnej uporządkowanej egzystencji, kto zatem mógł winić Jane, że zaczęła się temu sprzeciwiać? Że się zniecierpliwiła? Lubiła Charlesa. Może na swój własny kaleki sposób nawet usiłowała go kochać, co jednak wcale nie oznaczało, że musiała z nim zostać.

Rafe był młody i przystojny, ot, atrakcyjny Europejczyk z kasą, a gdy na nią patrzył, miała wrażenie, że ten mężczyzna nie jest w stanie uwierzyć w swoje szczęście, że może oddychać tym samym powietrzem, co ona.

Poznali się przez płot oddzielający ogrody. Rafe bywał u przyjaciół, którzy mieszkali po sąsiedzku i — tak strasznie jak nic innego — wkurzali Charlesa wrzaskliwymi przyjęciami, które ciągnęły się całe noce i gośćmi, którzy nigdy do siebie nie mówili, lecz ryczeli hałaśliwymi, pewnymi siebie głosami i wymiotowali na ulicy. Ale Rafe do nich nie pasował. Był spokojny, pełen uwielbienia i bardzo, bardzo wytrwały. A rodziców miał strasznie bogatych. Nawet zapłacili Jane, żeby wyniosła się z mieszkania w Primrose Hill, kiedy zaczęli się obawiać, że mogłaby zostać na stałe, to stało się jednak dopiero rok później.

Na początku Rafe szaleńczo się umizgiwał — podczas godzin, które Charles spędzał w pracy, pozostawiając Jane samą sobie. Charles przypuszczalnie myślał, że Jane układa w tym czasie kompozycje kwiatowe, szuka przepisów i wykonuje wszystkie inne drobne czynności, które składały się na jej ciągłe dążenie do samodoskonalenia. A Rafe wtedy zabierał Jane do Cowdray Park, gdzie sączyła szampana i przyglądała się, jak Rafe gra w polo. Na lunch latała czasem do Paryża. Kupił jej pierwszy brylant. Ona zaś w rewanżu dziękowała mu pocałunkiem, który znaczył dla niego więcej niż dla niej ten kamień.

Decyzja opuszczenia Charlesa nie przyszła jej łatwo, ale mimo wszystko Jane ją podjęła. Miała wyrzuty sumienia i przynajmniej tym razem zostawiła karteczkę napisaną niekształtnymi, brzydkimi literami, gdyż charakter pisma należał do nielicznych elementów, których nie potrafiła poprawić. „Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś” — głosiła karteczka. Być może Jane powinna rozwinąć to zdanie, opisać, jak Charles ją ocalił, na kilku kartkach należącego do niego najwyższej jakości papieru maszynowego, niestety, dobre chęci zakończyły się na tych sześciu słowach.

— Przykro mi, że tak odeszłam. Chcę, żebyś wiedział. — Gdy to

powiedziała, nie mogła uwierzyć, jak łatwo jej przyszło. Być może teraz zacznie częściej przeproszać.

— Odeszłaś w piątek — zadumał się Charles, patrząc gdzieś za Jane. — W czerwcu. Było bardzo słonecznie i gorąco, a ty wspomniałaś o wyjeździe z Londynu, mówiąc, że tylko raz widziałas morze. Wyszedłem z pracy wcześniej, zarezerwowałem dwa pokoje w pewnym hotelu w Brighton i pomyślałem, że moglibyśmy tam pojechać jeszcze tego samego wieczoru. Gdy tylko otworzyłem drzwi wejściowe, nawet zanim zobaczyłem twoją kartkę, wiedziałem, że cię nie ma.

Okazało się, że to nie jest takie łatwe. To w ogóle nie było łatwe.

— Charles, proszę...

— Nie mogliśmy trwać tak dalej, ale... nie byłaś szczęśliwa? Coś zrobiłem? Coś powiedziałem? Dałem ci powód, że przestałaś mi ufać? — Wciąż na nią nie patrzył, a jego ton i niezliczone nieznośne pytania nie były natarczywe, lecz pełne rezygnacji, kto wie, czy nie powtarzał ich sobie, gdy leżał bezsennie, przeżywając na nowo chwilę, kiedy wrócił do domu i odkrył, że Jane odeszła. Nadal mówił: — Co było tak specjalnego w tym chłopcu...? Przecież wiedziałem o nim, nie ukrywałaś śladów tak dobrze, jak ci się zdawało. Dwa lata spędziliśmy razem, a później zostawiłaś mi sześć słów na karteczce. Myślałem, Jane, że zasłużyłem na coś więcej.

Zatopiała twarz w lodowato zimnych dłoniach.

— Nic nie mogę poradzić na to, jaka jestem, Charlesie. Wyrzuciłam ci krzywdę, wiem o tym, ale z tego powodu nie jestem złym człowiekiem.

— To jest wymówka, nie wyjaśnienie — wytknął jej łagodnie i przez tę jego łagodność miała obawy, że zaraz się załamie, że zacznie płakać.

Sześć słów nie wystarczyło. Przeprosiny nie wystarczyły. Jane była mu winna jakieś wyjaśnienie.

— Zrozum, dzięki tobie już się dłużej nie bałam, ale nadal nie czułam się bezpieczna — powiedziała z wahaniem. — Wciąż mi się wydawało, że świat w każdej sekundzie może na mnie runąć i pomyślałam, że jeśli będę miała pieniądze, jeśli będę z kimś, kto ma ich mnóstwo, więcej niż ty, wówczas uderzenie będzie łagodniejsze... Chcę powiedzieć, że pieniądze dają poczucie bezpieczeństwa. Czynią człowieka odpornym na ciosy. Zawsze tak myślałam, chociaż ostatnio zastanawiam się, czy to prawda.

— Nikt nie jest odporny — odparł Charles. — Każdego można zranić, bez względu na to, jak dużo pieniędzy posiada.

— I ja cię zraniłam, za co cię bardzo, bardzo przeproszam, Charlesie... Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć poza słowem „przeproszam”. Nie wiem, jak sprawić, żeby to słowo znaczyło tyle, ile powinno. — Zaczynała mówić tonem błagalnym i płaczliwym. — Musisz mi uwierzyć.

— Wierzę. W porządku. Przepraszam przyjęte — rzucił szybko, jakby nie mógł znieść jej kolejnych słów, jednak Jane jeszcze nie skończyła. Dotarła już tak daleko, że teraz nie miała wyboru, musiała uparcie iść dalej.

— Jest coś jeszcze. Tej pierwszej nocy... Na pewno się zastanawiałeś... To znaczy, wiesz, miałam na sobie krew... na ubraniu, na rękach, a ty nigdy nawet... ty nie... — Wyrzucała z siebie potok słów bez ładu i składu. Sama nie wierzyła, że to mówi, że do tego wraca.

— Jane, proszę, przestań już — szepnął Charles. — Nie mogę tego słuchać.

— Ale ja muszę wiedzieć. — Prawie nie rozpoznawała własnego głosu, maniackiego, desperackiego, chaotycznego. — Ponieważ ja także myślałam o tobie. Kiedy pierwszej nocy dałeś mi nóż i kazałeś z nim spać, twierdząc, że poczuję się bezpieczna... Muszę wiedzieć, co ci się przytrafiło.

— Nie mogę... Nie możesz oczekiwać, że ja...

— Ale...

— Nie jestem taki odważny jak ty. Proszę cię, Jane, jeśli kiedykolwiek choć trochę mnie lubiłaś, porzuć to śledztwo.

Wyciągnęła ku niemu ręce w błagalnym geście, lecz Charles pokręcił tylko głową i na jego twarzy, na jego życzliwym, miłym obliczu pojawiła się rozpacz, więc Jane odpuściła.

— Masz rację — zgodziła się. — Nie wracajmy do tego wszystkiego.

Charles skinął głową, założył nogę na nogę i znów się uśmiechnął.

— Więc... Rose mi mówiła, że pomagałaś jej przeszukiwać poddasze i znalazłaś wielką kolekcję wypchanych zwierząt, a ona zupełnie zapomniała, że je kupiła.

Odbyli kolejną absolutnie rozkoszną pogawędkę, chociaż w trakcie Jane również miała ochotę się rozplakać, a potem Charles odprowadził ją do wyjścia.

— Tak na marginesie — dodał, tuż zanim wyszła, a jedną stopę zdążyła już postawić na progu. — Spodobał mi się ten twój Leo. Bardzo mi się spodobał.

Na dworze padało. A właściwie lało. Strasznie lało. Jane nie miała parasola. Nie chciała brać taksówki. Czuła się... nawet nie wiedziała, jak się czuje, ale idąc, zadała sobie pytanie, czy płacze, czy też po jej twarzy spływa jedynie deszcz. Do czasu, aż dotarła do Kensington, uznała, że nie widzi sensu w dalszym obwinianiu siebie. Łatwo jej to przyszło, bo głębokie emocje zawsze były jej raczej obce. Nie mogła poradzić nic na to, że brakowało jej takich umiejętności. To wcale nie była jej wina.

Gdy otworzyła drzwi frontowe, od razu wiedziała, że coś jest nie w porządku. Odnosiła wrażenie, że dom chce ją o czymś powiadomić, coś jej wykrzyknąć.

Wbiegała po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Na wysokości pierwszego piętra usłyszała chrapliwy krzyk, który stawał się coraz głośniejszy,

kiedy pędziła na ostatnią kondygnację, a potem gnała korytarzem do salonu Rose.

Lydia, Agnieszka — jedna z zatrudnionych za pośrednictwem agencji pielęgniarek, które przychodziły zrobić Rose zastrzyk — oraz Leo, ze zboląłą miną, stali nieruchomo, podczas gdy Rose na niego wrzeszczała.

— To ty! Ty mi to zrobiłeś! Nic mi nie było do czasu, aż wróciłeś. Dlaczego wróciłeś?

— Rose, wiesz dlaczego. — Krztusił się na każdym słowie. — Ponieważ zależy mi na tobie.

— Zależy ci na moich pieniądzach. No cóż, nie dostaniesz ani pensa!

Kiedy chciała wstać z sofy, utknęła w jakimś groteskowym, zgarbionym przysiadzie. Ale gorszy był wyraz jej twarzy. Wyglądała nagle jak przerażone, osaczone zwierzę, dzikie, lecz zamknięte w klatce.

Jane chciała jakoś pomóc.

— To nie jest prawda, kochana. Leo przyjechał tutaj naprawić stosunki z tobą.

Kobieta zwróciła teraz oskarżycielski wzrok na nią, stojącą w wejściu do pomieszczenia.

— Ty! Kim ty jesteś? Ty i on jesteście w zмовie. Staracie się mnie wykończyć. Trujecie mnie!

Wtedy udało jej się stanąć prosto, po czym nogi się pod nią ugięły i z okrzykiem zaskoczenia opadła na podłogę, kończąc na kolanach, a oni wszyscy gromadnie rzucili się ku niej.

Minęło trochę czasu, zanim Agnieszka sprawdziła stan spokojnej już Rose. Na szczęście nie znalazła żadnych złamań ani innych uszkodzeń ciała, tyle że Rose szybko i ciężko oddychała.

Po badaniu nieoczekiwanie opadła w tył i przez jeden przerażający moment Jane myślała, że umarła. Potem jednak otworzyła oczy.

— Nienawidzę was wszystkich — obwieściła rozdrażnionym tonem. — Zostawcie mnie samą. Wynocha!

— Dość tego, Rose — poleciła jej stoicko Lydia. — Nie czujesz do nas nienawiści i nikt z tu obecnych nie zamierza cię skrzywdzić.

— Jestem całkiem sama. — Jej głos zadrżał. — Na całym świecie nie została mi ani jedna przyjaciółka.

— Nie bądź głupia, Rose. — Jane nie miała pojęcia, jak Lydii udaje się przemawiać w sposób tak opanowany. — Przygotuję kakao i posiedzę z tobą, gdy będziesz je piła. Zrobimy tak?

Rose potulnie kiwnęła głową, a Agnieszka powiedziała, że zostanie i pomoże położyć się chorej do łóżka.

— Chodźcie ze mną, wy dwoje. — Lydia przegoniła Leo i Jane z pokoju. Zeszli za nią do kuchni na parterze.

Leo skrzywił się i przetarł oczy grzbietami dłoni.

— Wróciłem, ponieważż mnie o to poprosiłaś — oznajmił, być może sądząc, że Lydię również trzeba przekonywać. — Nie mogłem tak zostawić spraw między nami. Czy od powrotu nie zrobiłem wystarczająco dużo, żeby wam to udowodnić?

— Wiem to i ona także o tym wie — zapewniła go Lydia, odwracając się i wstawiając czajnik. — Przypuszczam, że na jej zachowanie wpłynęły leki i wszystko inne, ale, ogólne rzecz biorąc, nie jest w dobrym stanie. Wcale nie. Nie wiem, jak długo jeszcze możemy tak trwać.

— Ale przez ostatnie dwa tygodnie sytuacja wydawała się opanowana — odważyła się wtrącić Jane. — Odkąd nie chodzi do biura i nie gania po całym Londynie.

— Tak, przypominała trochę bardziej dawną siebie — dodał Leo i uśmiechnął się do Jane z wdzięcznością, a ona próbowała odwzajemnić się uśmiechem, lecz jej się nie udało.

Lydia odwróciła się do nich, jej twarz wyrażała determinację.

— Muszę zatelefonować do twojej matki, Leo. Rose była stanowcza, nie życzy sobie jej wizyty, ale Linda musi znać szczegóły.

— Hmm... ja powinienem? Mam do niej zadzwonić? — spytał niepewnie, tonem człowieka, który zgadza się na operację na otwartym sercu bez znieczulenia, ponieważ nie chce powodować zamieszania.

— Ja to zrobię — odparła Lydia i pogładziła go po policzku. Jane pomyślała, że Lydia naprawdę mu wybaczyła. — Chcę, żebyś pojechał do Lullington Bay i przywiózł niektóre rzeczy Rose. Któregoś dnia sporządziliśmy listę.

— Tak, oczywiście. Jutro. — Leo popatrzył przez otwarte drzwi. — Jutro pojedę.

— Nie, jedź teraz. I weź ze sobą Jane. — Lydia zaczęła grzebać w szufladzie obok siebie, aż wreszcie wyjęła komplet kluczyków do samochodu. — Możesz pojechać moim małym nissanem. — Potem otworzyła kuchenny terminarz i podała kartkę. — Myślę, że znajdziesz wszystko w kufrze w jej sypialni. Zadzwon do mnie, jeśli będziesz miał kłopoty.

— Ale nie możemy teraz jechać. Jest późno — zaprotestował Leo.

— Nie jest jeszcze nawet osiemnasta trzydzieści. — Lydia wręczyła kartkę Jane, która nie miała wyboru, więc ją przyjęła. — Powinniście obrócić w cztery godziny.

Jane szarpnęła Leo za rękaw, ponieważ mężczyzna wyraźnie nie miał ochoty jechać.

— Ale zadzwonisz do nas, jeśli, no wiesz...

— Oczywiście, że tak. No cóż, po prostu nie zostawajcie tam długo. Jedźcie! Więc pojechali.

ROZDZIAŁ XXXI

Londyn, 1944–1945 roku

Chociaż to było wbrew zasadom, kiedy Rose pojawiła się w Rainbow Corner późno tego sobotniego popołudnia po wyjściu z mieszkania Edwarda, wciąż roztrzęsiona i w szoku, pracujące tam dziewczyny przygotowały dla niej przytulne miejsce do spania w pomieszczeniu zwanym „Gdzie jestem?”. Pozostała tam przez trzy dni, które zlały jej się w jeden długi okres gapienia się w ścianę, wypijania niezliczonych filiżanek herbaty i wysłuchiwania ludzi, którzy wpadali jej powiedzieć, jak bardzo im przykro.

Odwiedziła ją tam także jedna z najważniejszych działaczek Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, której siostra wyszła za mąż za kogoś bardzo wysoko postawionego w Ministerstwie Wojny, mężczyznę równie wpływowego jak sam Winston Churchill. Kobieta usiadła na łóżku obok Rose, wzięła ją za rękę i wyszeptala w ucho, że nie była to eksplozja gazu, lecz bomba, jakiej dotąd nigdy nie widziano. Pocisk raketowy V-2, zwany „rakietą zemsty” Hitlera, jego sekretna broń, wcześniej przedmiot niewesołych żartów Brytyjczyków, którzy od dawna spekulowali, co stary Adolf wyciągnie z rękawa na ostatni akt.

Wkrótce pomieszczenie było ponownie potrzebne amerykańskim żołnierzom, którzy za bardzo się upili i nie byli w stanie wrócić do swoich kwater, więc Rose wprowadziła się do domu w Kensington. Sypiała w zapasowej sypialni na jednym z ofiarowanych przez Phyllis łóżek polowych, które pachniało parafiną. Tam właśnie dostarczono przedmioty ocalone z Montague Terrace.

— Miałaś bardzo dużo szczęścia — powiedział jej jakiś mężczyzna z oddziałów obrony cywilnej, kiedy wniesiono po schodach szafę i komodę. — W środku nadal jest większość twoich ubrań. Wiesz, wiele osób nawet tego nie ma.

Uratowała się również należąca do Sylvii dyplomatka z krokodylej skóry oraz — zawinięta w podarte, brudne prześcieradło — wiotka niebieska tafta Shirley, również podarta i brudna. Wisiała na drzwiach sypialni i pozostała na nich nawet, kiedy wybuch odrzucił je do ogrodu za stojącym trzy ulice dalej domem.

„Ta sukienka Shirley pewnie przeżyje nas wszystkich” — pomyślała Rose, a chodzenie w ubraniach nieżyjących przyjaciółek okazało się dziwnie pocieszające. Poza tym miała choć cząstkę każdej z nich, nawet jeśli były to po prostu przedmioty, a pewne rzeczy mogła przekazać osobom, które zmarły po sobie pozostawiły.

Po pogrzebie Maggie jej przyjaciele emigranci zaprosili Rose na stypę do maleńkiego baru — piwniczki w Bayswater. Rose siedziała i piła z nimi wódkę,

a oni dzielili się z nią tymi nielicznymi informacjami, które posiadali o Maggie. Przed wojną studiowała na uniwersytecie w Pradze nauki humanistyczne, jej ojciec nauczał tam filozofii. Kiedy Hitler najechał na Kraj Sudecki w 1938 roku, Maggie przefarbowała włosy na blond i wyjechała, z fałszywymi dokumentami docierając do Paryża. Uciekła tak szybko i daleko od faszystów, a jednak i tak ją w końcu dopadli.

W spotkaniu uczestniczyła pewna rudowłosa kobieta, która знаła Maggie z Pragi, tu zaś pracowała wraz z nią w BBC. Podczas gdy wszyscy wspominali nieżyjącą, kobieta nie odezwała się ani słowem. Ale kiedy Rose dała jej zniszczoną miedzianą bransoletę na nadgarstek i chusteczkę, którą Maggie wyhaftowała (choć tak naprawdę chciała zatrzymać je dla siebie), kobieta pocałowała ją w usta, po czym wstała i wyszła.

Następny był pogrzeb Sylvii. Jej rodzina mieszkała w Hoxton, miejscu, o którym Mickey Flynn powiedział, że nawet on nie wyszedłby tam z domu po zmroku. Rose wiedziała, że Sylvia nie pochodziła z najwyższych sfer. Wspomniała kiedyś o życzliwym wujku, który wyciągnął ją „z rynsztoka, jak to mają w zwyczaju życzliwi wujkowie”, stwierdzeniu temu towarzyszyło jednakże porozumiewawcze spojrzenie, więc Rose zdecydowała, że, ściśle rzecz biorąc, mężczyzna wcale nie był jej wujkiem.

Szczątki Sylvii włożono do mahoniowej trumny, którą przewieziono karawanem konnym, a czarne wstążki tańczyły na wietrze. Przy trumnie położono wieniec czy raczej ułożony z białych chryzantem hołd: „Spoczywaj w pokoju, nasza Syl”. Właśnie widok tych kwiatów prawie doprowadził Rose do łez, wiedziała jednak, że Sylvia zabroniłaby jej płakać. „Głowa do góry, kochanie” — powiedziałaby. „Po co marnować tusz do rzęs”.

Nie było niczego szczególnego w procesjach pogrzebowych, nie w obecnych czasach, a jednak, kiedy w nieznośnie powolnym tempie posuwali się New North Road ku kościołowi, przypadkowi przechodnie zatrzymywali się na widok karawanu i pochylali głowy, a mężczyźni zdejmowali kapelusze.

— Miałaby z tego frajdę — oświadczyła Rose Mickeyowi, on wszakże odrzekł, że zamiast dać się zakopać na cmentarzu przy kościele pod wezwaniem świętego Jana Chrzciciela, Sylvia kazałaby raczej rozrzucić własne prochy nad parkietem tanecznym w Embassy Club.

Stypa odbyła się w George and Vulture przy Pitfield Street. Rose i Mickey siedzieli w rogu, otoczeni mnóstwem osób, które całkiem dobrze się tu bawiły, aż nagle tłum się rozstał, przepuszczając parę w średnim wieku. Mężczyzna o nalanej czerwonej gniewnej twarzy zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli, prezentując umięśnione przedramiona pokryte nieudolnymi tatuażami. Żona, w przeciwieństwie do niego, była tak chuda, że jej ręce w czarnej sukience wyglądały jak wieszaki na płaszcze.

— Znałaś naszą córkę? Naszą Syl? — zapytał mężczyzna. Rose miała ochotę uciec, lecz Mickey ostrzegawczo ścisnął jej dłoń, więc pokiwała głową.

— Tak. — Nie była w stanie mówić głośniejszym niż szeptem. — Była... ja... — Nie potrafiła podsumować, ile znaczyła dla niej Sylvia, śliczna, zwinna, niepowtarzalna Sylvia. — Była moją przyjaciółką. Bardzo mi droga.

Musiała wstać z krzesła i chodzić po sali wraz z państwem Crapper, którzy przedstawiali ją wujom i ciotkom, kuzynom i przyjaciołom rodziny jako „jedną z przyjaciółek naszej Syl z centrum”. Wszyscy ściskali jej rękę, a jakaś kobieta nawet się ukloniła, jak gdyby Rose była jedną z młodych księżniczek. Ale kiedy wręczyła rodzicom Sylvii należący do ich córki złoty medalion i puderniczkę, matka wydała z siebie okropny wrzask, lament, od którego Rose stanęły na karku dęba wszystkie włoski. W następnej chwili pani Crapper chwyciła się za serce, po czym otoczyły ją przedstawicielki rodziny, które niepostrzeżenie ją zabrały, pozostawiając Rose z panem Crapperem, który wydawał się teraz jeszcze większy, bardziej zarumieniony i bardziej rozgniewany.

— Przepraszam — bąknęła Rose tym samym ochryłym szeptem. — Pomyślałam po prostu, że może chcecie je mieć. Nie zamierzałam...

Twarz mężczyzny niespodziewanie się zmarszczyła, niczym papierowa torba zmiażdżona w czyjejs nieostrożnej pięści.

— Syl... zawsze mówiła, że jesteś dla niej jak młodsza siostra. — Łzy popłynęły mu po opuchłych polikach. Gdy Rose z przerażeniem patrzyła, jak ten potężny, strasznie wyglądający mężczyzna pada na kolana, jej samej po twarzy również pociekły łzy, nad którymi nie potrafiła zapanować. Ponieważ opadł ciężko, przykucnęła, chcąc się upewnić, czy nic mu się nie stało, a wtedy chwycił jej rękę w morderczy uścisk. — Należysz teraz do rodziny — oznajmił prowokacyjnie, jakby ośmielając Rose do zaprzeczenia. — Jeśli kiedyś będziesz czegoś potrzebowała... czegokolwiek... przyjeżdżaj do Hoxton i pytaj o Henry'ego Crappera.

Pozostał jedynie pogrzeb Phyllis, lecz Rose nie dostała wolnego w pracy.

— Przykro mi z powodu twoich przyjaciółek, oczywiście, że tak, ale nie były członkami twojej rodziny — powiedziała jej pani Fisher. — Poza tym, gdy nie chcemy myśleć o przykrych sprawach, nie ma nic lepszego od ciężkiej pracy.

Dzień przed pogrzebem, zgodnie z ustaleniami, do kafeterii, krokiem osoby, która wkracza do luksusowego Claridge's, weszła Lady Carfax. Usiadła przy stoliku wśród straganiarzy i urzędników, i sączyła herbatę z wyszczerbionego kubka, czekając, aż Rose skończy zmywać naczynia.

Rose nigdy by nie przypuszczała, że lady Carfax złapie jej poczerwieniałe ręce i przez długi czas nie wypuści ich ze swoich. Miała wrażenie, że minęły wieki od jej i Phyllis podróży do Norfolk, gdy lady Carfax, sroga i chłodna, patrzyła na nią z góry, zadzierając arystokratyczny nos. Mimo że upłynęło ledwie kilka

miesiące, wyglądała teraz o dziesięć lat starszej.

— Czy ostatnim razem, kiedy ją widziałas, była szczęśliwa? — spytała.

Rose pomyślała o Phyllis, która stała przed Rainbow Corner wraz z Maggie i Sylwią, machając jej na pożegnanie z typowym dla siebie wielkim, szerokim uśmiechem.

— Tak, bardzo — odparła najzarliwiej, jak potrafiła. — I powiedziano mi... że... ona... że wszystkie one spały, kiedy spadła bomba. Że się nie obudziły. Że nic nie poczuły.

Musiała wierzyć, że śmierć przyjaciółek była szybka i miłosierna.

Nie udało jej się znaleźć niczego, co należało do Phyllis, więc wręczyła lady Carfax małą złotą broszkę z perłami, którą otrzymała na szesnaste urodziny od rodziców. Kłamstwo nigdy wcześniej nie przyszło jej tak ciężko.

— Phyllis stale ją nosiła — powiedziała. — Chciałaby, żeby trafiła do pani.

— Człowiek spodziewa się, że na wojnie może stracić synów — wyznała ze smutkiem lady Carfax. — Sądzę, że to by było łatwiejsze. Ale nie Phyllis. Nie moją małą dziewczynkę.

Potem odeszła towarzyszyć zdekompletowanemu ciału swojej małej dziewczynki w drodze powrotnej do domu, gdzie pochowa je w rodzinnej kwaterze na miejscowym cmentarzu przykościelnym.

Rose miała jeszcze jednego gościa — pan Winthrop zaskoczył ją późno następnego popołudnia, kiedy stawiała krzesła na stołach, przymierzając się do mycia podłogi. I chociaż pani Fisher westchnęła i mruknęła, że obetnie jej pensję, pozwoliła wyjść Rose wcześniej, żeby mogła zabrać ojca do Lyons przy Tottenham Court Road.

— Wystarczy już tego, Rosemary — oświadczył ostro, gdy zamówili dzbanek herbaty i dwie babeczki, a ona odrzuciła wszystkie jego usilne prośby. — Wystarczy tych nonsensów. Wracasz ze mną do Durham. Będiesz tam bezpieczniejsza.

Bezpieczeństwo nic już nie znaczyło.

Rose wątpiła, czy duchy jej przyjaciółek podążą za nią do Durham, więc musiała pozostać w Londynie i chodzić ulicami, którymi spacerowała z dziewczynami; jadać w tych samych kafeteriach, tańczyć w tych samych klubach. Trzymać je wszystkie blisko przy sobie, inaczej bowiem straci je z oczu.

— Tatku, musisz zaakceptować fakt, że zostaję tutaj — powiedziała, tak jak mówiła mu przez ostatnią godzinę. Nie pasowała już do Durham, tak jak jej ojciec nie pasował do Londynu ze swym wiejskim tweedowym garniturem i swoimi wiejskimi manierami. — Są tutaj ludzie, którzy mnie potrzebują.

— Nie jestem pewny, czy twoja matka wpuści mnie, jeśli przyjadę do domu bez ciebie — wyznał. Potem przytulił Rose na trzy sekundy i pocałował ją w czoło, tak jak to robił kiedyś, gdy była mała, po czym pospiesznie odszedł, nie chcąc się

spóźnić na pociąg.

Ale Londyn był nie tylko domem jej duchów; był także siedzibą Rainbow Corner. Rose każdy dzień przeżywała jak nieprzytomna, jak ktoś, kto jedynie udaje, że żyje. Och, szcztokowała włosy i zęby, zmywała naczynia i przyjmowała zamówienia, jadła śniadania, obiady i kolacje, lecz przez cały czas miała wrażenie, że gra tylko jakąś rolę. Natomiast co wieczór, przez trzy godziny, na parkiecie w Rainbow Corner, niemal umiała odnaleźć drogę powrotną do tej głupiutkiej, niefrasobliwej dziewczyny, którą była jeszcze nie tak dawno. Tu potrafiła czuć coś innego niż żal, która przenikała do kości i chwytła w kleszcze jej serce.

Istniał zresztą jeszcze jeden sposób, by coś poczuć.

Nocami, kiedy opuszczała Rainbow Corner i wiedziała, że nie będzie w stanie zasnąć, stopy same ją niosły do Mayfair. Do mieszkania Edwarda.

Oczywiście, widywali się często od tragicznej nocy i strasznego dnia, który po niej nastąpił. Rose mieszkała przecież w jednym z domów Edwarda, a on był jednym z milczących żałobników, kiedy chowano ciała Maggie i Sylvii. Po stypie za Sylwię wsiadł nawet w autobus z Mickeyem Flynnem i Rose, która nie była w stanie powiedzieć ani słowa, ponieważ wiedziała, że jeśli otworzy usta, zachłyśnie się własnymi łzami.

Mickey wysiadł przy Piccadilly Circus, natomiast Edward i Rose pojechali dalej, aż do Kensington. Nie byli sam na sam od tamtego popołudnia w jego mieszkaniu i sytuacja powinna być szalenie niezręczna, a jednak wcale taka nie była.

Edward jako wielki dżentelmen nawet nie wspomniał o całej sprawie, a Rose wbrew temu, co się wydarzyło, nadal czuła się dobrze i bezpiecznie w jego obecności. Przypuszczała, że w jakimś osobliwym sensie nawet go pokochała. Nie, może nie pokochała, lecz ogromnie polubiła.

— Nie jest tak, że cię nie kocham — wypaliła nieoczekiwanie właśnie tam, na górnym pokładzie autobusu numer dziewięć. — Chodzi o to, że po prostu nie potrafię. Już nie. Każdy, kogo pokocham, znika z mojego życia, więc prawdopodobnie najlepiej, jeśli nie będę już kochała.

— Rose... — zaczął Edward i nie wydawał się na nią ani trochę rozgniewany. — Och, Rose, co ja mam z tobą zrobić?

— Bądź moim przyjacielem — odparowała. Słowo nie było odpowiednie, ale musiało wystarczyć. — Jesteś absolutnie najlepszym mężczyzną, jakiego znam, i nie zniosłabym, gdybyśmy przestali być przyjaciółmi.

Przez pozostałą część podróży nie rozmawiali, lecz Edward wziął ją za rękę, a ona się z tego gestu ucieszyła.

Ale w te noce, kiedy szła do jego mieszkania w Mayfair, nie chciała rozmawiać, lecz czuć. Wiedziała, że to nie jest w porządku — być szczęśliwą przez te godziny, kiedy uprawiali seks — lecz nie mogła już bez tego żyć. Robiła

wszystko, o co ją prosił: dotykała jego członka, brała go w usta, klęczała na dywanie w sypialni Edwarda na czworakach, a on brał ją od tyłu, a robiła to, ponieważ wszystko, co ich łączyło, sprawiało jej wielką rozkosz.

Później prawie nie rozmawiali, ale znowu trzymali się za ręce, a Edward odprowadzał ją całą drogę powrotną do Kensington. Odprowadzał ją pod drzwi frontowe, uchylał kapelusza, po czym znikał w mrokach zaciemnionego miasta.

ROZDZIAŁ XXXII

Wyjazd z Londynu zajął Leo sporo czasu. Od lat nie musiał jeździć w irytujących godzinach szczytu, a Jane nie potrafiła rozpracować programu GPS, więc ciągle naciskała przypadkowe klawisze, aż ostro kazał jej przestać. A wtedy warknęła na niego, że on na nią warknął.

Kiedy w końcu znaleźli się na autostradzie, natychmiast utknęli w kolejnym korku. Jane westchnęła, po czym się odwróciła i wypatrywała przez tylne okno, być może szukając w którymś ze stojących za nimi pojazdów Lydii, która szaleńczymi sygnałami nakaże im powrót do domu.

Leo żałował, że już nie pali. I po raz setny poczuł żal, że nie pozostał w Las Vegas. Może znieawidziłby siebie, gdyby dowiedział się przez telefon, że Rose nie żyje, ale przynajmniej nie musiałby wtedy wysłuchiwać jej...

— Leo, Rose wcale nie miała na myśli tego, co powiedziała. — Jane przykryła dłonią jego rękę na dźwigni zmiany biegów. — Bardzo cierpi i jest całkiem otumaniona lekami.

Zrobił uspokajający wdech.

— Nie należało wracać.

Jane wzmocniła uścisk na jego rękę akurat, gdy włączył kierunkowskaz, a potem zmienił pas.

— Ależ tak, należało. Nie ma dyskusji.

— Nie jestem jakoś szczególnie przydatny. — Nienawidził tego uczucia stłamszenia. Na ogół jedynym lekarstwem był wtedy alkohol lub prochy. — Nie otrzymam rozgrzeszenia za swoje grzechy tylko dlatego, że spędziłem kilka tygodni, tynkując i malując stare domy.

— Zrobiłeś o wiele więcej — upierała się Jane. — Słuchałeś jej opowieści i rozśmieszałeś ją. Mogła na ciebie liczyć i polegać na tobie. — Znów zacisnęła palce. — Leo, na pewno widzisz, że Rose cię uwielbia. Niezbyt dobrze się ukrywa.

Popatrzył na Jane. Włosy miała rozpuszczone i wisiały luźno w mokrych jeszcze strąkach. Najwyraźniej przebywała na deszczu przez kilka godzin. Wyglądała na zaniepokojoną, zwłaszcza kiedy rozmawiali o Rose, a równocześnie wydawała się serdeczniejsza. Wciąż była piękna, ale do tego już się przyzwyczyił.

— Skoro o tym mowa, ciebie Rose również lubi.

— No cóż... być może. — Jane szarpnęła pas bezpieczeństwa. — Zostałam przede wszystkim dla jedzenia Lydii. Jestem zaskoczona, że nadal mogę się zapiąć.

— Przestań się dopraszać komplementów. Wiesz, że jesteś seksowna, nawet z kilkoma dodatkowymi kilogramami — odparł zgodnie z prawdą, a jego nastrój znacznie się poprawił, gdy Jane syknęła, zdjęła rękę z jego dłoni i uderzyła go lekko w ramię.

— Nie kilogramów! Może parę funtów... A może funt to więcej niż kilo?

Nigdy tego nie pamiętam. — Udało jej się zmarszczyć czoło. — Kilogram to dwa funty, prawda?

— Tak, mniej więcej.

Atmosfera zmieniła się wraz z ruchem aut, które poruszały się teraz powoli, lecz miarowo. Leo tęsknił za dotykiem ręki Jane.

— Myślałeś o tym, co zrobisz, kiedy to się skończy? — spytała. — Wrócisz do Stanów?

— Nie wiem — odrzekł, ponieważ właśnie o tej sprawie usiłował w ogóle nie myśleć. „Kiedy to się skończy”, Rose już nie będzie. Poza tym, w jakiś dziwny sposób Leo cieszył się tym stanem zawieszenia. Porzucił stare złe nawyki i do tej pory nie zdołał nabyć nowych. — Nigdy nie byłem zbyt dobry w planowaniu. A co z tobą? Widzisz choć cień szansy, że pogodzisz się z panem Eksem?

Pokręciła głową krótko, tylko raz.

— Och, Boże, nie. Ten statek już naprawdę odpłynął. — Leo pomyślał, że może zapuszcza się na niebezpieczne terytorium, wtedy jednak Jane się uśmiechnęła. — Wiesz, czasami żałuję, że do niego nie wróciłam. To byłoby prostsze. Mniej dezorientujące.

— Nie kochałaś go? Właściwie nie, co?

Zerknęła na niego, minę miała niezgłębioną, w oczach zmęczenie.

— Nie, oczywiście, że nie. — Nagle uśmiechnęła się szeroko, błyskając zębami. — Boże, gdy tak tkwię w tym samochodzie, czuję się jak uwięziona w konfesjonale.

Leo chciał ją spytać, czy kiedykolwiek była zakochana, ale w głębi duszy już znał odpowiedź. O tak wiele rzeczy pragnął zapytać i tyle jej powiedzieć, uznał jednak, że najlepiej milczeć. Opuścili już autostradę i jechali nieoświetlonymi drózkami, i chociaż początkowo myślał, że beznadziejnie się zgubią, zdał sobie sprawę, że zna drogę. Zawsze znał drogę do Lullington Bay.

Dokładnie na czas zobaczył wąski zakręt i skręcił w prawo. Wystarczyło, że powiedział sobie w myślach „Lullington Bay” i od razu pojawił się następny zakręt, drzewa się rozdzieliły i widać było niewyraźny zarys domu.

— No więc, skoro mówimy o utraconej miłości i tak dalej, z kim Rose została po wojnie? — spytała Jane. — Z Dannym, który, muszę to powiedzieć, wydaje mi się paskudnym draniem, czy może...

— Powiem ci później — przyrzekł. Dudnienie opon na żwirowym podjeździe brzmiało jak powrót do domu. Przypomniał sobie, jak spadł z roweru po próbie jazdy na tylnym kole i wylądował twarzą do dołu na tym samym żwirze, a jego matka i Rose pincetą zdejmowały z jego skóry miniaturowe drobinki, obiecując mu lody, jeśli uda mu się nie rozplakać. — To jest Lullington Bay.

Szkoda, że nie przyjechali tutaj w letni dzień, kiedy słońce oświetla piaskowiec i odbija się od dwuspadowego dachu. Dom stał wysoko na klifach

łagodnie przechodzących w wydmy, na których ścigali się w drodze na plażę. Kiedy odbywali wędrówkę z domu obładowani ręcznikami, koszykami piknikowymi, wiaderkami i łopatkami, matka krzyczała do Leo, żeby zwolnił, zanim skręci sobie kark, a jemu zawsze się zdawało, że morze z nich szydzi.

Wysiedli z samochodu i przeszli z chrzęstem ku drzwiom wejściowym.

— Myślałam, że to jakaś chatka. — Jane wydawała się zdenerwowana. — Nie sądziłam, że jest taki duży.

— To była stara rezydencja ziemska, ale spłonęła w dziewiętnastym wieku, więc dom odbudowano w stylu Arts and Crafts — opowiadał Leo. — Doszło z tego powodu w tamtym czasie do cholery awantury. Chodź, wejdziemy od tyłu.

Gdy szli, co parę metrów uruchamiały się czujniki światła i z mroku wylaniały się znajome kształty ogrodu. Krzewy różane, nowe, bo sadzone co roku, warzywnik, ogródek ziołowy obok tylnych drzwi, osłonięte siatką chroniącą przed okolicznymi kotami, taras ze stołem i krzesłami z kutego żelaza, gdzie niegdyś jadal posiłki, kiedy nie byli na plaży.

— Spędzaliśmy tutaj każde lato. — Nawet nie miało dla niego znaczenia, czy Jane słucha, chciał po prostu wymawiać na głos słowa, a mgliste wspomnienia nieco rozjaśnić i nieco wyraźniej sformułować. — Jeśli powiem, że gdy byliśmy dziećmi, lato wydawało się dłuższe, to będzie smutny truizm, prawda? Ale tak czuliśmy. Nasze ciotki, wujkowie i wszyscy nasi kuzyni zjeżdżali tu także, więc zawsze była nas ogromna grupa. Czasem szliśmy wzdłuż brzegu, aż dochodziliśmy do małego kiosku, w którym sprzedawano lody z dodatkiem plastra prawdziwego miodu, i zaganialiśmy na naszą plażę dzieciaki z miasteczka, z którymi potem bawiliśmy się na wydmach w chowanego. Podczas letnich wakacji tu właśnie mieszkałem.

— Moje letnie wakacje w ogóle nie przypominały twoich — wyznała Jane, jednak nie podała szczegółów. — Ale twoje wydają się przyjemne.

— Tak, jak żywcem przeniesione z powieści Enid Blyton — odparował Leo z szyderym uśmiechem, który miał równoważyć wkradający się w jego głos rozmarzony ton.

— Książek Enid Blyton też nigdy właściwie nie miałam — powiedziała Jane, a Leo pomyślał, że nie jest w stanie sobie wyobrazić, jakie było jej dzieciństwo. — No więc... Nauczyłeś się w którymś momencie swoich nieskończenie długich letnich miesięcy spędzanych tutaj podważać okno czy masz po prostu klucz?

W domu nie zatrudniano personelu na pełen etat, mieszkały tam jednak dwie lokatorki — Victoria i Katy, lektorki języka angielskiego z University of Sussex. Budynek pozostawał jednak pogrążony w ciemnościach, więc ewidentnie wyszły pograć w brydża, wziąć udział w lekturze dzieł wybranych Virginii Woolf w pobliskim Alfriston albo na inne zajęcia, którym oddają się nauczycielki

akademickie w pewnym wieku o godzinie dwudziestej w piątkowy wieczór.

Klucz zawsze leżał ukryty w małym drewnianym domku nad karmnikiem dla ptaków, a kodem alarmu był stary numer telefonu dziadków, ale Leo i tak czuł się jak intruz, włączając światła i prowadząc Jane przez kuchnię, a potem dalej, korytarzem. Parkiet i wyłożone boazerią ściany lekko błyszcząły i wciąż wyczuwał zapach wosku pszczelego, a także słabiutki, lecz ciągle żywy ślad perfum Rose, chociaż Lydia twierdziła, że Rose ostatniego lata prawie wcale w Lullington Bay nie bywała.

— W przeciwieństwie do Kensington panuje tu taka swojska atmosfera — zauważyła Jane, przesuwając dłonią po rzeźbionej poręczy, kiedy wchodzili po schodach. — To... tutaj... człowiek czuje się naprawdę jak w domu.

— Rose spędzała w nim kiedyś większą część czasu. Wieki temu. Zanim się urodziłem.

— Och? Dlaczego wróciła do Londynu? — spytała Jane. Odpowiedź była skomplikowana i niezbyt wesoła, lecz zanim Leo zaczął opowieść, poczuł w kieszeni wibrowanie telefonu.

Dzwoniła Lydia. Zawsze, gdy Leo załamywał się psychicznie, pozostawała stoicka i spokojna, teraz jednak jej głos przez telefon wydawał się dziwnie wysoki i być może powstrzymywała łzy. Doktor Howard przyszedł z wizytą i stanowczo uznał, że Rose należy podłączyć do pompy morfinowej, a Rose nawet się z nim nie spierała.

— Doktor Howard ma wrócić lada chwila. Był naprawdę wstrząśnięty, jak bardzo stan Rose pogorszył od rana, gdy ją widział. No dobrze, a wy jak sobie radzicie? Znaleźliście wszystko? ...Jak to dopiero tam dotarliście? Słuchaj, daj mi Jane.

Podczas gdy Jane rozmawiała z Lydią, Leo kierował ją w górę po schodach ku pokojowi Rose, z którego okna wychodziły na błękitny horyzont, gdzie morze stykało się z niebem. Kiedy Leo był malutki i nie mógł zasnąć wczesnym wieczorem, ponieważ na dworze wciąż było na to zbyt jasno, leżał tutaj, a Rose mu czytała. A kiedy nadal nie zasypiał, wpatrywali się przez dużą lornetkę Rose w wielki błękit, szukając na horyzoncie okrętów pirackich.

Rose jeszcze nie umarła, a on już czuł w tym domu obecność jej ducha.

— Sprawdź po prostu, czy tam jest — Jane nadal rozmawiała przez telefon i podczas gdy Leo stał beczynnie pośrodku pokoju, podeszła do dużej garderoby z drzewa orzechowego i pociągnęła drzwi. Następne wtargnięcie. Jane wsunęła sobie telefon pomiędzy ramię i ucho, a potem zaczęła przesuwać wieszaki i co jakiś czas rozpinęła któryś pokrowiec z ubraniami. Nagle znieruchomiała, a Leo poczuł na plecach ciarki. — Znalazłam ją. Wezmę kufer i wracamy.

Widział, że jej ramiona drżały. Podniosła rękę i dotknęła swojej twarzy. W końcu zdjęła z wieszaka pokrowiec, a kiedy się odwróciła, jej rysy były już

pogodne i niczego nie ujawniały.

— Pod łóżkiem jest kufer. Kremowy z czarnymi skórzanymi uchwytami i wytłoczonymi inicjałami Rose — poinformowała go, a Leo posłusznie ukląkł, zajrzał pod łóżko i wyciągnął kufer.

— Co jest w pokrowcu? — zapytał.

— Sukienka. — Jane patrzyła na własne stopy, a jej ramiona znowu się zatrzęśły. — Wiotka sukienka z jasnoniebieskiej tafty.

Jej głos trochę się załamał i stała przez kilka sekund z pochyloną głową, po czym ją podniosła i posłała Leo kolejny z tych swoich spektakularnych, pustych uśmiechów, które obiecywały wszystko, a nie dawały zupełnie nic.

— Dobrze się czujesz?

— Tak. A ty?

— Nie, niezupełnie.

Jane pokiwała głową.

— Lydia mówi, że wszystko inne jest w kufrze. Nie musimy go nawet otwierać. Po prostu chodźmy.

Kufer nie był duży, a jednak oboje musieli go pchać, a później uważnie zestawiać po stopniach schodów. W dodatku, chociaż wydawał się mały, nie zmieścił się do bagażnika niewielkiego auta Lydii, a na tylnym siedzeniu zdołali go postawić dopiero, gdy przesunęli przednie siedzenia tak daleko do przodu, że w drodze powrotnej do Londynu kolanami niemal dotykali podbródków.

Kiedy wrócili do Kensington, Rose ciągle jeszcze spała. Agnieszka siedziała przy jej łóżku i dziergała na drutach.

— Zostaję na noc. Stan pani Beaumont jest stabilny. Gdy mierzyłam jej ciśnienie, nawet się nie obudziła. — Skinęła głową zadowolona. — Sen dobrze jej zrobi.

— Dobry nocny sen nie uleczy nagle jej raka — gderał Leo po powrocie do jego i Jane pokojów. — Może powinienem przy niej czuwać.

— A może nie — odparła Jane, bo cerę miał ziemistą z przemęczenia. — Nie dzisiejszej nocy. Kto wie, co przyniesie jutro?

Stał z niezdecydowaną miną.

— W takim razie powinniśmy spróbować się trochę przespać.

Nadal stał bez ruchu, aż Jane wciągnęła go do pokoju i zatrzęsła za nimi drzwi. Jego cała świeżo zdobyta pewność siebie gdzieś się ulotniła i wyglądał na zagubionego. Miał za sobą naprawdę okropny dzień.

— Nie jestem wcale zmęczona — zadumała się Jane. — Może posiedzimy do późna i pogawędzimy... Jeśli chcesz.

— Chodzi ci o to, co młodzież nazywa nasiadówką? — Leo usiadł na łóżku i zdjął trampki. — Czasami myślę, że uczyłaś się mówić na początku dziewiętnastego wieku.

Znowu marszczył brwi, co prawie jej nie zaskoczyło.

— Zdradzić ci sekret? Na pewno cię rozweseli. — Nie miała na myśli „prawdziwego” sekretu, lecz Leo jawnie tak pomyślał, ponieważ kiwnął głową, a jego uśmiech niemal stał się szczwany.

— No to mów. Postaraj się.

Jane przybrała pozę; ręka na biodrze, noga ugięta.

— W Hertford, Hereford i Hampshire huragany bardzo rzadko hulają.

Popatrzył na nią, jak gdyby mówiła w obcym języku.

— Co takiego?

— W Hiszpanii mży, gdy dżdżyste przyjdą dni — starannie wyrecytowała, a kiedy Leo potrząsnął głową i obrzucił ją krótkim, rozbawionym, prawie litościwym uśmiechem, być może sądząc, że całkiem zwariowała, ze złością rozłożyła ręce. — Audrey Hepburn, kochany! *My Fair Lady*, film, który widziałam chyba z pięćdziesiąt razy. — Weszła do łazienki. — Tak oto nauczyłam się poprawnie mówić.

— Naprawdę? Jak więc mówiłaś przedtem?

— Niepoprawnie. Przede wszystkim wykorzystywałam gesty i serie chrząknięć.

Leo się roześmiał, chociaż ani jedno jej słowo nie było kłamstwem.

— Założę się, że twoje pierwsze słowa układały się w pięknie skonstruowane zdania, które wypowiadałaś z wzorcową wymową brytyjską.

Jane już zmywała makijaż, ale przerwała, spojrzała w oczy Leo, który opierał się o ościeże drzwi i zmarszczyła czoło. Od bardzo długiego czasu nie była w stanie tego zrobić. Bardzo się bała o delikatną skórę wokół ust i oczu, więc nie krzywiła się, odkąd wyszła od człowieka z Nowego Jorku, który użył wypełniaczy i dokonał ostrzykiwań. Może teraz, kiedy w mięśnie jej twarzy wracało czucie, zdoła doświadczyć również emocji, które ukryła tak dawno i tak głęboko, że przestała wierzyć w ich istnienie.

— Na pewno nie, kochany. — Udało jej się powiedzieć te słowa w sposób tak niewymuszony i nonszalancki jak zwykle.

— Czy nie miałaś przestać używać tego głupiego określenia „kochany”? — Leo wsunął się do łazienki, opuścił klapę sedesu i usiadł na niej. — W samochodzie nazywałaś mnie Leo. Nawet nie próbuj się wypierać.

— No tak. — Jane skoncentrowała się na ostrożnym usuwaniu resztek makijażu. Może powodem były godziny, które spędziła na słuchaniu Rose snującej opowieści, podsumowującej życie, skubiącej i przeciągającej kolejne wątki, szukającej pierwotnych przyczyn zdarzeń. Albo ponowne spotkanie z Charlesem zdenerwowało ją, poruszyło, sprawiło, że przypomniała sobie zbyt dużo, ale i ona pragnęła teraz zreferować komuś swoją historię. Wiedziała jednak, że takie pragnienie będzie miało konsekwencje... — Leo — powiedziała powoli

i wyraźnie, niespiesznie przeciągając te dwie sylaby. — Opowiedz mi więcej o letnich miesiącach spędzonych w Lullington Bay.

— Co ci opowiedzieć? — spytał.

— Wszystko — odrzekła.

Więc jej opowiedział, jak mu pozwalano siedzieć do późna. Rozpalali wtedy na plaży ogniska, opiekali pianki żelowe, a Rose mówiła o Ameryce. O restauracjach dla zmotoryzowanych, o kowbojach, o wyjazdach na pustynię, na której obserwowali wystrzeliwane w kosmos rakiety, i o stu innych rzeczach, które urzekną dwóch małych chłopców.

Podczas gdy twarz Jane wchłaniała śmietankę ze słoiczka z magicznymi składnikami, który kosztował ponad sto funtów, usiedli po turecku na łóżku i Leo relacjonował, jak leżał na podłodze w salonie domu w Lullington Bay z rozłożonymi przed sobą należącymi do Rose książkami o sztuce i kopiował obrazki, a Rose przyglądała się z aprobatą. Ale aprobaty nie było, kiedy dorósł i upił się cydrem z chłopakami z miasteczka, a potem zmył się z imprezy na małą uliczkę za pubem wraz z siostrą któregoś z nich.

— Rose nie mówiła zbyt wiele, ale wiesz, jaka jest. Potrafi powiedzieć mnóstwo ledwo jednym spojrzeniem — stwierdził Leo, po czym wydał wargi, rozszerzył nozdrza i zmrużył oczy, lecz ani trochę nie zbliżył się do słynnej dezaprobaty Rose. — Zostawiła pod moją poduszką prezerwatywy. Musiały być od niej. Na pewno nie od mojej matki.

— Tak, też nie potrafię sobie wyobrazić, że twoja matka wchodzi do apteki i prosi o paczuszkę najlepszych dureksów — zgodziła się Jane. Myśl o Lindzie mocno ściskającej przed sobą torebeczkę, rozglądającej się ukradkiem, upewniającej, że nie widzi jej żona żadnego z członków Klubu Rotariańskiego, wywołała u Jane chichot, a potem zauważyła, że Leo nie śmieje się wraz z nią. — Och, kochany... Leo, nie. Proszę, nie.

Płakał. Nie znosiła patrzeć, jak ludzie płaczą. Oczywiście — zależnie od osoby — potrafiła okazywać współczucie, gładzić po włosach, powtarzać komunały, teraz jednak, kiedy wyciągnęła rękę, chcąc delikatnie dotknąć wystrzyżonej głowy Leo, coś się zmieniło. Leo był inny. Och, Boże, sama się zmieniła! Jak do tego doszło?

— Masz wszystkie te szczęśliwe wspomnienia z jej udziałem — powiedziała mu łagodnie. — To znacznie więcej niż ma wiele osób.

Nic nie odrzekł, lecz zakrył sobie twarz rękoma, tak jak prawdopodobnie robił, kiedy był małym chłopcem, który lubił wypatrywać pirackich okrętów i siedzieć do późna, aby opiekować pianki.

Czysty instynkt kazał jej się podnieść na klęczki i przysunąć bliżej, dzięki czemu mogła go objąć i pocałować w czubek pochylonej głowy.

— Proszę, Leo, nie płacz. Doprowadzisz i mnie do łez.

Wymamrotał coś, ale nic nie zrozumiała, przez łkanie, którego nie udawało mu się powstrzymać.

— No przestań. Musisz jeszcze trochę pozostać silny — prosiła, a on wziął parę głębokich wdechów, a kiedy podniósł głowę, Jane tego pożałowała, ponieważ nawet nie próbował kryć bezbronności.

— Będę za nią tęsknił — wyszeptał. — Szkoda, że zamiast marnować te wszystkie lata nie stałem się kimś, z kogo mogłaby być dumna. Tak bardzo we mnie wierzyła, a ja to po prostu zawałem.

— Te lata nie są ważne. Pokazałeś Rose, że możesz się zmienić i teraz musisz to zrobić, jesteś jej to winien.

Jane ciągle go trzymała, a ich czoła niemal się dotykały. Pocieszenie drugiej osoby było takie intymne. I wcale nie nieprzyjemne.

— Nie jest jednak łatwo stać się kimś innym, prawda? — spytał Leo cicho.

Jane nie mogła się powstrzymać przed uśmiechem.

— Och, dużo łatwiejsze, niż sądzisz — odparła. W tym konkretnym momencie tylko rozpaczliwie marzyła o opowiedzeniu mu historii swojego życia, prawie tak bardzo, jak chciała zetrzeć z jego twarzy znękane spojrzenie.

Znacznie łatwiej i bezpieczniej było zmniejszyć tę maleńką odległość, która ich dzieliła, i pocałować Leo.

Więc scałowała następny szloch wprost z jego ust, a potem nie przestawała całować, aż Leo zrozumiał, że może odpowiedzieć tym samym. Ciągle wyglądało na to, że mógłby się rozplakać, ale patrzył tak tylko dlatego, że Jane zdjęła sweter i rozpięła biustonosz. Była przyzwyczajona do tego, że gdy się rozbiera, mężczyźni wyglądają, jakby mieli się zaraz rozplakać.

Leo gapił się w jej twarz nieruchomo, być może spojrzenie w dół, na jej biust, wymagało od niego nadludzkiego wysiłku.

— Dlaczego? Dlaczego teraz? To znaczy, Las Vegas się nie liczy, byliśmy oboje potężnie nawaleni.

Wzruszyła ramionami, a wtedy jego oczy wreszcie powędrowały w dół, ku jej piersiom. Gdyby tego nie zrobił, poczułaby się znieważona.

— Ponieważ chcę tego i ponieważ sądzę, że oboje musimy przestać myśleć o pewnych sprawach bez sztucznych podniet.

— Już nawet nie wiem, czy nadal się mną bawisz — jęknął, lecz Jane już go nie zwodziła. Tak przynajmniej uważała, lecz zanim zdążyła zaprzeczyć, podniósł rękę. — Ale dla pewności, ustalmy, czy dobrze się rozumiemy. Mogę cię dotykać, prawda? Nie trzaśniesz mnie znowu?

— Tylko jeśli cię to podnieca, kochany — wycedziła. Może wcześniej rzeczywiście chodziło jej przede wszystkim o pocieszenie go, jednak teraz, gdy patrzył na nią zmrużonymi oczyma, z leciutko wysuniętym językiem, zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę robi to dla niego z dobroci serca. — No, chodź tutaj

i mnie pocałuj.

Pocałunki Leo smakowały wszystkimi tymi słodkimi rzeczami, które Jane kiedyś знаła: szampanem, tortem serowo-truskawkowym i różową watą cukrową z wesołego miasteczka. Rzeczywiście go pacnęła, gdy objął dłońmi jej piersi i wyszeptał: „Myślałem, że mieliśmy nie używać sztucznych podniet”, bo przecież piersi były całe jej. Żadnych implantów. Tylko trochę jej własnego tłuszczu odessanego z pośladek, który powiększył zbyt mały biust. Była szczupła, a jednak miała wrażenie, że w delikatnych dłoniach Leo jej ciało zmysłowo rośnie. Powiedział, że nigdy nie dotykał niczego tak jedwabistego, jak jej piersi, uda i leciutko krągły brzusek, o który pocierał policzkiem.

Nie mogła się nie roześmiać, chociaż do tej pory uważała, że seks to wyłącznie poważna sprawa.

— Łaskoczesz mnie — szepnęła.

— Wybacz — odpowiedział, również szeptem, mimo że gdy tak leżeli, jedynym świadkiem był świecący za oknem księżyc.

— W porządku, to miłe łaskotanie — odparła, a Leo, chociaż właśnie tulił ją do siebie, obrzucił ją podejrzliwym, przestraszonym spojrzeniem, jakby potrafił przewidzieć jej zamiary.

— Och nie, Jane — mruknął ostro. — Nawet o tym nie myśl.

— Ale teraz, kiedy o tym pomyślałam, nie mogę po prostu zapomnieć — przekonywała go. — Więc masz łaskotki? Założę się, że masz.

Usiłował powstrzymać jej zapędy pocałunkami, lecz już odgarnęła jego podkoszulek i rysowała czubeczkami palców ósemki na jego plecach.

Wiercił się i odsuwał od niej, ale jej palce tańczyły teraz przy jego klatce piersiowej, a potem znalazły się pod jego pachami. Gdy odkryła jego tajemnice, stał się bezradny jak dziecko. Przebiegając opuszkami palców po delikatnej skórze na wnętrzach jego przedramion, przyglądała się z niedowierzaniem, jak Leo chichocze, stęka i błaga, żeby przestała.

— Zdaje mi się, że śmiechu potrzebowałaś nawet bardziej niż seksu — zauważyła, kiedy nareszcie skutecznie odsunął jej ręce i leżał na plecach, dysząc. To była prawda. Zawsze żartował, zawsze się uśmiechał, nigdy jednak tak naprawdę się nie śmiał.

— Nie było ostatnio zbyt dużo powodów do niego. A, faktycznie, skoro o tym wspomniałaś, sądzę, że ja również nie widziałem, żebyś się śmiała. Nie tak naprawdę.

I wtedy zaczął ją pocieszać, chociaż nie płakała, lecz miała na twarzy tę samą neutralną minę, co zawsze, tyle że obecnie coraz trudniej przychodziła jej taka pozorna obojętność. Przyciągnął ją do siebie i starał się pocałunkami rozproszyć cienie smutku.

Może sentymentalność była zaraźliwa, ale Jane się wydawało, że Leo ulecza

każdy centymetr, którego dotyka. Jego ciepłe, wilgotne wargi natarczywie sunęły w dół jej ciała. Nie była tak zepsuta ani poraniona na duszy, żeby musiała udawać (nie przez cały czas), a Leo był w tym dobry. „Naprawdę dobry” — myślała, szeroko otwierając oczy, gdy ułożył sobie na ramionach jej nogi, a później zaczął całować ją między nimi.

Nic dziwnego, że wszystkie te kobiety, żony wszystkich tych innych mężczyzn, tak bardzo do niego lgnęły, skoro miał tak niesamowicie zręczne ręce i usta, i jakże hojnie obdarzał je atencją. Cieszył się, że Jane jest z niego zadowolona, doprowadził ją do orgazmu raz, a potem drugi, chociaż ściśle rzecz biorąc, teraz była jego kolej. Kiedy wsuwał w jej waginę palce, a jednocześnie muskał jej ciało językiem wciąż i wciąż, nie wytrzymała i obróciła się pod nim.

— Nie. Przestań. Przestań — powiedziała, kiedy znów mogła mówić. Bez szczególnego wysiłku skłoniła go, by się położył, ponieważ był twardy i jej pragnął. Westchnął z ulgą, kiedy chwyciła jego członek i zaczęła delikatnie przesuwając ręką w górę i w dół.

— Jesteś taki ładniutki — zamruczała, ocierając policzkiem o członek. — Cały dla mnie?

— Nie musisz tego robić — uprzedził, wyciągając do niej dłoń, lecz Jane się odsunęła i pokazała mu język.

— Chcę to zrobić — oznajmiła twardo. — Po prostu leż na plecach i myśl o niebieskich migdałach.

W końcu się poddał i pozwolił jej robić, co chciała. Ona również nieźle sobie radziła w tych sprawach, w każdym razie żaden mężczyzna nigdy nie zgłaszał reklamacji, więc gdy się rozebrali, nie zdziwiła się, że już po chwili jej starań Leo poruszał biodrami i błagał, żeby kontynuowała.

Ledwo zaczęła, doszedł. Doszedł i rozpląkał się, a Jane wcale nim nie gardziła, że nie wytrzymał dłużej. Tym razem zrozumiała. Nie ruszyła się z miejsca, choć jej ciało drżało, gdy całowała mokre od łez policzki.

— Daj spokój, Leo, to cię miało uszczęśliwić — westchnęła. — Dlaczego tak się boisz zaznać szczęścia?

— Nie wiem — odparł, po czym popatrzył w górę, na nią. Twarz ciągle miał wilgotną, lecz już się uśmiechał. To był niepewny, blady uśmiech, ale właśnie taki Jane pragnęła u niego widzieć. — Zazwyczaj nie jestem taki szybki. Szczerze! Możesz zadzwonić do wszystkich moich byłych i każda ci powie, że mogłem ją posuwać przez całą noc. A potem ci powiedzą, że jestem nienasycony.

— Kochany, sama już się zorientowałam — stwierdziła. Leo naprawdę się wtedy uśmiechnął, a jego częściowo twardy członek, który nadal tkwił w jej pochwie, stwardniał jeszcze bardziej, kiedy podniosła jego ręce i położyła je na swoich piersiach.

— Tak serio, powiedz, są prawdziwe? Wydają się takie.

— Och! — Gdy Leo wziął jedną brodawkę między kciuk i palec wskazujący, a drugą objął mokrymi, gorącymi ustami, Jane straciła oddech i niemal nie była w stanie myśleć. — Nie jestem pewna, czy jakaś część mnie jest prawdziwa — odparła, chociaż wcale nie zamierzała tego powiedzieć.

— To... tu i teraz, to wszystko jest realne — zapewnił ją, usiadł, przylgnął gorącą pierś do jej piersi i znowu zaczął ją całować.

Dziś po raz pierwszy Jane zwierzyła się jakiemuś mężczyźnie z tego, co lubi, zamiast udawać, że wszystko jej pasuje. Leo posłusznie spełniał wszelkie jej zachcianki. Chwytał przeguby jej dłoni i trzymał je mocno za jej plecami, ponieważ potrzebowała odrobiny bólu, kiedy jego usta znów obejmowały jej sutki, ciągnąc je i ssąc, a później, w końcu, chcąc nagrodzić go za jego starania, Jane położyła się na nim i powoli, centymetr po centymetrze, po raz kolejny wsunęła jego członek do swego wnętrza. Zastanowiła się, czy Leo czuje to samo, co ona — jakby zanurzała się pod wodę ogrzewanego przez słońce oceanu.

Później przeturlał się wraz z nią i znalazł się na niej. Jakoś instynktownie wiedział, że odrobina bólu jej nie wystarczy, więc poruszał się w niej coraz szybciej. Jane przycisnęła swoje biodra do jego, mocno otoczyła go nogami i znalazła się o krok od nieba; potrzebowała tylko jeszcze jednego pchnięcia, jeszcze jednego nieprzyzwoitego słowa wyszeptanego w ucho. Wyciągała się ku czemuś, co leżało tuż poza jej zasięgiem, prawie na wyciągnięcie ręki.

— W porządku — powiedział Leo. — Mam cię. — I zrobił ten ostatni, niezbędny ruch.

ROZDZIAŁ XXXIII

Maj 1945 roku

Codziennie gazety publikowały listę miast europejskich, dużych i mniejszych, które zostały oswobodzone przez siły sprzymierzone. Trudno było patrzeć na fotografie kobiet w chustkach na głowach i małych dzieci machających flagami, ale wszyscy wiwatowali, kiedy przejeżdżały czołgi, przywożące nowe życie w zamian za utracone, stare.

Kiedy wyzwolono obozy koncentracyjne, potworne miejsca o przerażających nazwach, nawet Rose otrząsnęła się z otępienia, które od długiego czasu jej towarzyszyło, niczym delikatna mgiełka perfum. Teraz w kinie oglądała kronikę filmową z ręką na ustach. Nie mogła uwierzyć, że stosy kości obciążniętych białą jak pergamin skórą mogły być kiedyś ludźmi. Nikt też nie mógł uwierzyć, że jedna osoba mogłaby postąpić z nimi tak nikczemnie, a cóż dopiero mówić o całym narodzie.

Łatwiej było udawać, że nic takiego się nie zdarzyło, ale Rose tańczyła w Rainbow Corner z mężczyznami, którzy widzieli obozy na własne oczy. Zachowywali się odmiennie niż inni żołnierze, którzy w drodze powrotnej z Europy do Stanów zatrzymywali się w Anglii. Nieśli w sobie udrękę, a w trakcie tańca trzymali Rose zbyt mocno, z rozpaczą.

W Kensington Yves uderzał pięścią w ścianę w czystej bezsilnej furii, a Madeleine przez cały czas płakała. Płakała, kiedy obierała ziemniaki, kiedy uprawiała ukochany warzywny ogródek i kiedy szorowała podłogę w kuchni. Nie przestawała płakać nawet przy Edwardzie, który odwiedzał ich całkiem często. Nigdy nie przychodził z pustymi rękoma — przynosił kwiaty lub zabawkę, a raz także butelkę czerwonego wina, i zawsze spoglądał na Rose z najśłodszym, najłagodniejszym uśmiechem, w którym było wspomnienie ostatnich pocałunków i dotyku każdego centymetra jej ciała. Jednak tego dnia, gdy wszystkie gazety poświęciły całe stronicę wyzwoleniu obozu w Auschwitz, a Madeleine płakała, gdy nakrywała do stołu, objął ją i pocałował w czubek głowy.

— Nie unikną za to kary — zapewnił ją ściśniętym głosem. — Obiecuję ci to.

Ukryli gazety w kubelku na węgiel, żeby nie zobaczyły ich dzieci, ale kiedy Thérèse trzy razy obudziła się z krzykiem tej nocy, Rose wyjęła gazety i je spaliła.

Niewiele wszakże było czasu na żalobę, szczególnie że istniało mnóstwo powodów do świętowania. Na Londyn bomby już nie spadały, a pewnej poniedziałkowej nocy pod koniec kwietnia oficjalnie odwołano nakaz zaciemniania. Następnego dnia gazety poinformowały o samobójstwie Hitlera

i nagle nieuchronny stał się koniec wojny — chociaż ponura rzeczywistość otaczała ich tak długo, że Rose nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez niej.

Upłynął jeszcze nieco ponad tydzień i wtedy sytuacja skrajnie się zmieniła. Rose była akurat w pracy, walcząc z ekspresem, który ledwie zipsał, kiedy w stacji BBC obwieszczono, że wojna się skończyła. Goście przerwali rozmowy. Nawet anemiczne kiełbaski w rondlu przestały strzelać.

— Czy to faktycznie może być prawda? — spytał ktoś, a później wszyscy już tylko wiwatowali, jeden zaś młody chłopak przeskoczył przez kontuar i usiłował pocałować Rose, ale ostrzegawczo nadepnęła mu na stopę. Pan Fisher tak bardzo dał się ponieść chwili, że zafundował klientom herbatę i bułeczki na koszt firmy.

Gdy wydawał darmowe bułeczki i inne słodkości, żona, Gladys, przyglądała mu się z taką wściekłością i tak mocno zaciśniętymi ustami, aż Rose pomyślała, że chyba nigdy nie widziała nikogo w takim stanie wzburzenia. Kobieta wciąż jeszcze nie otrząsnęła się z szoku, a pan Fisher już zamknął kafeterię i otworzył butelkę sherry, którą trzymał w schowku na ten dzień, na ten konkretny moment. Małżonkowie całkiem nieźle się wstawili, a później tańczyli wśród stołów i krzeseł. Odesłali ją, mówiąc, że jutro również może sobie wziąć wolne.

Wtorek, ósmego maja, ogłoszono Dniem Zwycięstwa. Całą grupą, wraz z maluchami, poszli do miasta. Madeleine nadal płakała, twierdziła jednak, że teraz są to łzy radości. Yves i Jacques kupili od straganiarza przed Royal Albert Hall czerwono-biało-niebieskie kapelusze oraz czerwono-biało-niebieskie wstążki, które dziewczynki wplotły sobie we włosy. Szli przez Hyde Park i wszyscy mijani ludzie uśmiechali się, pozdrawiali i pytali: „Czyż to nie jest cudowna nowina?”.

Dołączyli do tłumów zebranych przed pałacem Buckingham, lecz gdy tak stali ściśnięci jak sardynki w puszcze, jeden z policjantów powiedział, że król i królowa nie pojawią się jeszcze przez kilka godzin, a ponieważ Rose bardzo się martwiła, że dzieci zostaną zmiażdżone przez gapiów, więc w końcu odeszli, usiedli nad wodą Round Pond w Kensington Gardens i jedli przyniesione kanapki.

— Nie chcę wracać — powiedziała do Rose Gisèle głosem z wyraźnym obcym akcentem, kiedy szli z powrotem do domu. Dzieci ociągały się, narzekając, że są zmęczone.

— To nie jest dom, ale w moim kraju również już nie mamy domu.

Dla Rose domem był Rainbow Corner; to była jej kotwica, jej magnes, chociaż tej nocy, gdy tylko tam weszła, wraz z grupką wychodzących osób znalazła się znów na chodniku przed klubem.

Ramię w ramię z parą marynarzy pomaszerowała przez falujące ulice do Trafalgar Square. Wszędzie wokół powiewały flagi, po tylu latach obowiązkowego zaciemnienia światła płonęły wręcz wyzywająco i było tak wiele osób. Przyłgnęli do słupów latarni, brnęli przez fontanny, wspinali się na okazałe rzeźby w kształcie

lwów, które przez całą wojnę trzymały straż. Rose chwyciła w pasie ostatniego uczestnika węża tańczącego *conga*, śmiała się, cieszyła i śpiewała: *Pack Up Your Troubles*, a ponieważ świetnie jej szło, jakiś dziennikarz prasowy nawet zrobił jej zdjęcie. Zastanawiała się jednak, dlaczego musi udawać szczęśliwą. Czy nie powinna być po prostu szczęśliwa?

Później, kiedy szła ku dzielnicy Mayfair, zadała sobie pytanie, czy triumf był wart utraty tego wszystkiego, co poświęcili. Może właśnie dlatego zwycięstwo kojarzyło jej się z zakończeniem śmiertelnie nudnego przyjęcia, które trwało zbyt długo i teraz ludzie wracają z niego do domów przez zimne, puste ulice i myślą tylko o tym, że nie mają w spizarce jedzenia i nie została im ani jedna moneta, którą mogliby wrzucić do licznika na prąd.

Tak czy owak, nie poszła do domu, lecz do mieszkania Edwarda. Istniało ryzyko, że wyszedł do jakiegoś klubu dla panów, w którym pije brandy i pali cygara z towarzyszami z Whitehall, pamiętała jednak, że tak naprawdę nigdy wcześniej jej nie zawiódł.

Kiedy więc zastukała do drzwi jego mieszkania, wcale nie zaskoczył ją odgłos zbliżających się kroków. Edward chyba nie wrócił do domu zbyt dawno temu, ponieważ ciągle był w mundurze i nawet nie rozpiął kurtki. I miał tę błogą minę, która często mu się zdarzała po alkoholu.

— Żywiłem nadzieję, że zobaczę cię dziś wieczorem — powitał ją, a ona stała w miejscu i rozkoszowała się własnym drżeniem nóg i nagle ciężkim oddechem.

W niektóre noce Edward, ledwie zamknął za nią drzwi, kazał jej zdjąć ubranie tym swoim wyraźnym głosem dobrze wychowanego człowieka, a potem tylko stał i patrzył, jak Rose się dla niego rozbiera, jednak dzisiejszego wieczoru wziął ją za rękę i zaprowadził na sofę.

— Ocaliłem butelkę szampana, wypijesz kieliszek?

Rose poprawiła włosy, obciągnęła spódniczkę i nerwowo się wierciła na siedzeniu, podczas gdy Edward był w kuchni. Przyjmując od niego szklanekę do whisky niemal po brzeg wypełnioną szampanem, zauważyła, że lekko trzęsie jej się ręka.

— Obawiam się, że moje kieliszki do szampana zasiliły szeregi ofiar wojennych — zauważył, siadając obok Rose. Był dziś strasznie poważny, co ją zdumiało i zakłopotało, ponieważ zazwyczaj do tej pory już by ją przynajmniej pocałował.

Niemniej jednak, przyglądał się, jak piła, równie wygłodniałym wzrokiem. Mimo wszystkiego, co robili razem w łóżku, ogarnęła ją niewytłumaczalna nieśmiałość. Odstawiając szklanekę, rumieniła się.

— Myślałam, że koniec wojny będzie coś znaczył — zauważyła wreszcie. — Że poprawi sytuację. Lecz nic takiego się nie stało. Zupełnie nic.

— No cóż, wojna jeszcze całkowicie się nie skończyła. Nadal toczą się walki na Dalekim Wschodzie.

— Ale ten Daleki Wschód... leży okropnie daleko stąd, w przeciwnym bowiem razie nazywaliby go bliskim.

Oboje się uśmiechnęli i napięcie opadło na tyle, że Rose odważyła się zdjąć buty i podwinęła stopy pod siebie. Nie była już spięta i powoli się rozluźniała pod skupionym spojrzeniem Edwarda, ponieważ tak wiele razy wcześniej powiedział, że uwielbia na nią patrzeć. Nie, że ją kocha — nie, nie sądziła, by kiedykolwiek jeszcze powtórzył swoje wyznanie, odkąd wyjaśniła sprawy między nimi — ale i tak poprawiała jej samopoczucie myśl, że na zewnątrz pozostała tą samą dziewczyną, niemal prosto z pociągu, tą, którą Edward spotkał po raz pierwszy tak wiele miesięcy temu w Rainbow Corner.

— Cieszę się, że tu jesteś. No cóż, zawsze się cieszę, kiedy przychodzisz, jest jednak coś, co chciałem przekazać ci osobiście, nie listownie — wyrecytował od niechcienia, zdejmując spinki do mankietów i kładąc je na końcu stołu. — Obawiam się, że muszę wyjechać.

— Dokąd? Nie zajmie ci to dużo czasu, prawda? — Wszyscy ją opuszczali, lecz przecież nie Edward. Edward powinien być zawsze. Miał przebywać tutaj, ilekroć będzie go potrzebowała.

— Jadę do Niemiec — odparł i w tej jednej chwili świat Rose się zawalił.

— Po co, do diabła, chcesz tam jechać? — Odwróciła się i popatrzyła mu prosto w twarz, on jednak akurat tym razem nie chciał spojrzeć jej w oczy.

— Muszę ci coś powiedzieć — oznajmił beznamiętnie, chociaż nic przecież nie mogło być gorsze niż jego wyjazd do Niemiec i pobyt wśród tamtych ludzi. — Możesz przeżyć szok.

— Co takiego? Co musisz mi powiedzieć? — zażądała.

Nieznacznie się od niej odsunął.

— Jestem Żydem. — Cofnął się lekko, może z obawy, że Rose go spoliczkuje albo odwróci się od niego ze wstrętem, mimo że absolutnie nie miała zamiaru niczego takiego robić. — Albo raczej moja matka jest... była... Żydówką, więc według prawa judaistycznego i według, hmm, Hitlera, ja również jestem Żydem.

Ulga, którą poczuła, zupełnie ją oszołomiła.

— O to chodzi? Boże, na chwilę naprawdę się zaniepokoiłam. Ale, ale, sądziłam, że twoja matka była Amerykanką.

— Rose. — Edward powoli potrząsnął głową, panując nad uśmiechem. — Te dwa fakty wzajemnie się nie wykluczają. Oficjalnie rodzina matki wyjechała w połowie ubiegłego stulecia z Rosji, ponieważ chcieli zadbać o interesy handlowe. Nieoficjalnie uciekli do Ameryki, aby uniknąć prześladowań. Bardzo dobrze sobie radzili. Moja babka wyszła za mąż za bankiera i w którymś momencie zapomniała

o religii i rodzinie, która pozostała w sztetlach. I wiesz, to naprawdę kuriozalne... Nigdy w życiu nie postawiłem stopy w synagodze, zawsze ochoczo jadłem bekon, a w szabas robiłem wszystko, co chciałem, jednak ostatnio żydowskość wydaje się szalenie znacząca.

Teraz Rose zrozumiała, dlaczego wydawał tak duże kwoty na domy dla osób, które okazały się siedmiorgiem żydowskich uchodźców. Nie pojmowała jednak, dlaczego chciał ją porzucić i pojechać właśnie do Niemiec, w których jacyś niegodziwcy starali się zetrzeć jego lud z powierzchni ziemi.

— Myślę, że wyjazd tam byłby fatalnym błędem — szepnęła, wzięła go za rękę i wszystko, czego nie potrafiła powiedzieć, próbowała wyrazić siłą, z jaką splotła swoje palce z jego. — Nie rozumiem, co chcesz w ten sposób osiągnąć. Wojna już się skończyła.

Edward uwolnił palce, lecz nie wypuścił jej dłoni ze swojej.

— Przed wojną byłem adwokatem i teraz znowu zamierzam praktykować. Jadę odszukać ludzi, które ponoszą odpowiedzialność za obozy koncentracyjne i za całe to cierpienie. Muszą się przyznać do popełnionych zbrodni. Przeprzić ofiary. Trzeba ich postawić przed sądem. I ukarać.

— Edwardzie, to nie są ludzie. To zwierzęta.

— Nie! Są ludźmi. Jeśli uznamy ich za zwierzęta, wówczas pozwolimy im uniknąć odpowiedzialności za to, co zrobili. Wybaczymy im, ponieważ jedynie ślepo wypełniali rozkazy. — Rose wyczuwała jego gniew, chociaż Edward usilnie starał się nad nim zapanować. — Sprawiedliwości musi stać się zadość.

Wiedziała, z jakąś tępą, zrezygnowaną pewnością, że po powrocie Edward nie będzie już taki sam. Coś w nim całkowicie się zmieni. A ona? Czy pogodzi się również z tą stratą — utratą swojego kochanego, poważnego Edwarda? Ta myśl sprawiła jej ból.

— Szkoda, że nie potrafię cię jakoś przekonać do zmiany zdania.

Poklepał ją po ramieniu i wiedziała, że nie weźmie pod uwagę jej życzenia.

— Chciałbym, żebyś podczas mojej nieobecności coś dla mnie zrobiła — powiedział. — Nawet całkiem sporo rzeczy.

— Mam podlewać twoje kwiatki i przekazywać pocztę? — Zmarszczyła brwi. — Nikt inny nie może przyjść i tego dla ciebie zrobić?

— Nic w tym stylu, Rose. Mamy kilka pustych domów w Kensington i nikt w nich nie mieszka, a tak wiele osób nie ma dokąd pójść. Zamierzam ich do ciebie przysłać. — W swoim mniemaniu Edward zapewne przedstawiał idealnie sensowny plan. — Trzeba będzie uporządkować ich dokumenty, odszukać potencjalnych brytyjskich krewnych, którzy mogliby ich wesprzeć, nadzorować prace w domach, umeblować mieszkania. Potem musisz znaleźć pracę dla osób, które są w stanie pracować, chociaż nawet niezdolni do pracy dostaną dach nad głową. Wszyscy otrzymają miejsce, które nazwą domem.

— Nie zdołam tego zrobić! — Istniało sto, ba, tysiąc powodów, dla których nie mogła tego robić. Zaczęła od najbardziej oczywistego. — Nie mam czasu. Pracuję...

— Rose, marnujesz się w tej kafeterii. Powinnaś zająć się w życiu czymś ambitniejszym niż szorowanie podłóg i obieranie marchewki.

— Nie można wyczarować z powietrza dawno utraconych krewnych. — Wojna nie skończyła się nawet dwadzieścia cztery godziny temu i Rose doskonale wiedziała, że rano w sklepach półki nie zaczną się nagle uginać pod ciężarem wszystkich tych towarów, które powoli z nich znikają. — Usiłowałam kupić paczkę szpilek do włosów i sklepikarz popatrzył na mnie jak na kogoś, kto chce nabyć klejnoty koronne.

Edward pozostał nieczuły na jej argumenty.

— Pieniądze nie stanowią problemu. Pomogą ci mój prawnik i mój człowiek od interesów. Jeśli trzeba, możesz wciągnąć na listę płac nawet Mickeya Flynnna.

— Ale, Edwardzie, ja nie dam rady! — Podniosła się na kolana i popatrzyła mu w oczy. Bez problemu wytrzymał jej spojrzenie, a potem wyciągnął rękę i odgarnął jeden zbłąkany kosmyk, który nigdy nie pozostawał ani przypięty, ani podwinięty. — Nikt mnie nie potraktuje serio. Jestem tylko dziewczyną.

— Jesteś jedyną osobą, której ufam. — Westchnął. — Ponadto, kiedy bardzo czegoś pragniesz, nie można ci odmówić.

— To absolutna nieprawda — odrzekła, ponieważ ludzie stale jej odmawiali.

— Pozwól, że ci przypomnę. — Edward wstał, podszedł do biurka pod oknem i otworzył jedną z szuflad. — Nie chciałem ci wręczać tego wcześniej... Staralaś się robić dobrą minę do złej gry, ale wiem, że jesteś smutna, tak strasznie smutna i nie chciałem dodawać ci problemów.

Wyciągnął kartkę papieru, lecz Rose nie zrobiła żadnego ruchu w jej stronę. Uważała, że nie jest w stanie znieść żadnego kolejnego nieszczęścia.

— Prosiłaś, żebym się dowiedział, co się stało z twoim... przyjacielem? — spytał prowokacyjnie.

Rose wzruszyła ramionami. Już wiedziała, co się przytrafia jej przyjacielom. Jeśli udawało jej się przetrwać godzinę bez rozmyślania o trzech utraconych przyjaciółkach, czuła się dobrze, po czym nagle przypominała sobie, że nie powinna się tak czuć i na nowo posepniała.

— Co?

— Twojemu Danny'emu — wyjaśnił Edward. „Och, ten przyjaciel”. Rose dawno się pogodziła ze skomplikowaną, nielogiczną utratą Danny'ego, ponieważ jego zniknięcie nijak nie mogło się równać z bolesną tęsknotą za dziewczynami. Teraz, kiedy Edward wyciągnął ku niej kartkę, pokręciła głową. Kiedy zobaczy słowa, czarno na białym, nowina stanie się realna.

— Po prostu mi powiedz — poprosiła. — Delikatnie.

— Sierżant Daniel de Franco z wydziału obsługi technicznej sprzętu lotniczego. Działania załóg bombowców są skuteczne tylko dzięki ekipie naziemnej, to fakt, ale twój Danny nigdy nie był pilotem. Wrócił już zresztą do Newport w stanie Massachusetts, gdzie mieszka z żoną i dwojgiem dzieci. — Zrobił pauzę i sprawdził, czy Rose na niego patrzy. — Przykro mi, wiem, że z moich ust brzmi to dość okrutnie.

Informacje powinny nią wstrząsnąć i w pewnym sensie tak było, przede wszystkim jednak wszystkie szczegóły związane z Dannym ułożyły jej się teraz w jedną całość. Chociaż miała ledwie kilka sekund na przeanalizowanie faktów, nagle wydały jej się tak oczywiste, tak widoczne dla każdego, kto patrzył, że poczuła się jak zupełna idiotka. To tylko była z jego strony gra, która miała na celu zdobycie jej serca, jej niewolniczego i wytrwałego oddania. I po co to wszystko? Dla jednej chałowej nocy w hotelu w Henley-on-Thames.

Tak jak jej się często przydarzało obecnie, zastanowiła się, co by w tej sytuacji powiedziały jej przyjaciółki. Maggie nawet by nie udawała zdziwienia. Phyllis zareagowałaby w jej imieniu oburzeniem i gniewem, a Sylvia... Sylvia by się śmiała i śmiała, dokładnie tak jak Rose śmiała się w tej chwili. Śmiała się, aż po policzkach pociekły jej łzy.

— No cóż — wycharczała. — No cóż... Przynajmniej żyje, przypuszczam. To już coś.

Gdy myślała, że umarł, najgorsza była dla niej konstatacja, że jego śmierć nie ma dla niej znaczenia, nie tylko ze względu na to, jak ją potraktował, ale dlatego, że w jej żałobie nie ma dość miejsca także dla niego. Nawet dobre wspomnienia: jego piękna twarz, tembr głosu i emocje, których doznawała, kiedy ją pocałował, stały się mgliste i niewyraźne.

Poza tym, był Edward, jej Edward, jak o nim myślała. Znała go już dwa razy dłużej niż Danny'ego. Spędziła z nim wiele godzin. Tak wiele, że gdyby je zliczyła, ułożyłyby się w dni, a nawet w tygodnie. I nie chodziło tylko o te godziny, które spędzili w ciemnościach, kiedy jego ciało uczyło jej ciała nowych pozycji i form...

— Wiedziałem, że ta nowina wyprowadzi cię z równowagi. — Przyjrzał jej się z niepokojem, gdy siedziała na jego sofie, wciąż trzęsąc się i śmiejąc z własnej beznadziejnej głupoty, a równocześnie usiłowała zetrzeć grzbietem dłoni łzy. — Wpadłaś naprawdę w histerię.

— Nie. Jestem po prostu głupia! Jestem taka głupia, że ledwie mogę to znieść.

Edward uznał chyba sprawę za przegraną, ponieważ wyszedł z pokoju, jednak prawie natychmiast wrócił z chusteczką i szklanką wody. Usiadł, zanurzył w wodzie kwadrat płótna i zaczął przecierać Rose twarz.

— Nie jesteś głupia. Jesteś najdzielniejszą, najśliczniejszą i najśodsza

osobą, jaką kiedykolwiek poznałem — oznajmił jej łagodnie.

Pod wpływem jego kojącego dotyku Rose od razu się uspokoiła.

— Żadne z tych określeń nie jest prawdziwe.

— Na dodatek, jesteś jeszcze bardzo młodziutka, a już tyle przeszłaś. —

Odłożył chusteczkę, nadal jednak gładził dłońmi jej zalaną łzami twarz i odchylił jej podbródek, aż oświetlił go blask lampy. Nigdy wcześniej nie była przed nim taka naga. Nawet kiedy stała przed nim rozebrana, nie czuła się naga.

— Pomyliłem się, prosząc cię o...

— Nie, nie pomyliłeś się! — Położyła ręce na jego dłoniach, które otaczały jej policzki. — Chcę to zrobić. Wiesz, Edwardzie, to działa w obie strony... Tobie również nie można odmówić. Zrobię wszystko, czego zażadasz, wystarczy, że poprosisz.

— Wszystko?

— Tak, wszystko.

ROZDZIAŁ XXXIV

Następnego ranka, kiedy Jane wyszła z łazienki, Leo już nie spał. Siedział na boku łóżka w szortach i wyglądał na bardzo pewnego siebie. Na jej widok się uśmiechnął.

— Postanowiłem, że przetrwam dzisiejszy dzień bez płaczu — obwieścił.

Zatrzymała się w drzwiach.

— Nic na siłę. Może najpierw do lunchu, kochany?

— Zdecydowałem również, że dłużej nie będziesz do mnie mówiła „kochany”!

Wstał i przeciągnął się.

Ostatniej nocy mogła kierować się tylko dotykiem, teraz jednak dostrzegła, że Leo jest umięśniony i schudł w miejscach, w których wcześniej widziała u niego miękkie, tłuste ciało.

— Do wszystkich tak mówię — odcięła się z roztargnieniem.

— Wszyscy to wszyscy, a ja to ja — naciskał Leo, a Jane uznała, że jest to wstęp do rozmowy o tym, dokąd zmierzają i co zrobią, kiedy tam dotrą, on jednak tylko podrapał się po głowie i poszedł do łazienki. — Nie zajmie mi długo. Schodzisz na dół? Mogłabyś pstryknąć czajnik... albo może, właściwie, powinienem prawdopodobnie najpierw sprawdzić... zobaczyć, czy coś się zmieniło...

— Do tej pory już byśmy wiedzieli — przerwała mu Jane. — Ktoś by nas powiadomił, gdyby było o czym.

Rose przespała noc, co Lydia powiedziała Jane z takim podziwem, jakby Rose była marudnym niemowlęciem.

Neta, która przyszła na dzienną zmianę, towarzyszyła Rose, kiedy wnieśli do pokoju kufer. Dziś sytuacja była zupełnie odmienna, ponieważ Rose leżała na plecach w łóżku i czekała, aż Neta rozmieści wedle jej upodobania stertę poduszek, a włosy okrywała jej jedwabna apaszka. Może Jane nie dostrzegła wcześniej stopniowego pogarszania się zdrowia, zresztą nigdy nie widziała Rose w kwiecie wieku, jednak w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin jej zdaniem coraz bardziej wyglądała na umierającą.

Skórę miała teraz raczej żółtą niż tylko jasną z żółtawym odcieniem i wisiała jej na kościach jak powłoka piłki, z której ktoś spuścił powietrze. Jej oczy pozostawały zamknięte, oddech był nierówny jak przeskakująca winylowa płyta, a jedną ręką wciąż dotykała mocno wzdętego pod przykryciem brzucha.

— Będzie pani wygodniej, pani Beaumont — powiedziała Neta, a Jane ucieszyła się z tych pozorów szacunku.

Rose powoli otworzyła oczy, gdyż Neta poprosiła ją, żeby pochyliła się do przodu. Kiedy poduszka znalazła się za nią, znów je zamknęła, być może

niezmiernie zmęczona nawet tym nieznacznym ruchem.

Kolejna poduszka trafiła pod jej stopy — ze złowieszczych powodów, których zdaniem Nety nie musieli znać — a wtedy pielęgniarka założyła ręce na piersi i wycofała się z pomieszczenia.

— Gdybyście mnie potrzebowali, będę u pani Liddy.

Jane i Leo popatrzyli po sobie i Jane zadała sobie pytanie, czy Leo wie, jak bardzo poczuła się bezradna. Wtedy, przechodząc do łóżka, dotknął jej ramienia, ot, tylko musnął palcami, ale wiedziała, co to znaczy — że coś się między nimi zmieniło. Przyciągnęła fotel obok jego.

— No więc, pojechaliśmy do Lullington Bay, przywieźliśmy rzeczy, które chciałaś — zaczął Leo i Rose otworzyła oczy.

— Opowiadałam wam kiedykolwiek o moim przyjacielu, Mickeyu Flynnie? — Nawet jej głos był dziś inny, ledwo wykraczał poza chrypienie. — Miał w zwyczaju mawiać, że jestem mu winna tak wiele przysług. Żeby je spłacić, musiałabym chyba dożyć setki. Myślicie, że przyjmie rewers?

— Na pewno tak, kochana — zapewniła ją Jane. — Chociaż pewnie do tej pory zapomniał.

— Zapominanie jest łatwe. To pamiętanie jest trudne. Człowiek pragnie pamiętać jedynie dobre chwile, niestety złe... jakoś stale mu towarzyszą.

Umilkła. Leo zerknął na Jane, unosząc brwi, ponieważ żadne z nich nie wiedziało, czy słuchają jej najnowszych głębokich przemyśleń czy raczej poplątanych myśli, wywołanych morfiną, podawaną przez pompę, która stała z drugiej strony łóżka, wesoło terkocząc, kiedy się uruchamiała.

Siedzieli. Jane wsłuchiwała się w odgłosy pompy i patrzyła na widoczne przez okno nagie wierzchołki drzew. Szczerze żałowała, że nie przyniosła sobie na górę filiżanki herbaty i jakiegoś czasopisma do przejrzenia. Kilka tygodni temu miała mgliste pojęcie o całej sprawie — sądziła, że ponieważ Rose jest stara i ma raka, położy się pewnej nocy do łóżka i po prostu się nie obudzi. Nie przypuszczała, że śmierć może wymagać długich okresów przesadywania, czekania, konieczności udawania, że zatraciło się w myślach, podczas gdy w rzeczywistości jesteśmy straszliwie znudzeni.

— Macie moje rzeczy? — spytała Rose, a Leo lekko podskoczył przestraszony; być może wcześniej drzemał.

— Tak, już ci mówiłem. Przywieźliśmy wszystko z listy.

— Jak tam Lullington Bay? Moje róże?

— Ogród wygląda pięknie — odparł Leo, chociaż widać tam było jedynie ciemne kępy drzew i krzewów. — Dom jest dokładnie taki, jakim go zapamiętałem.

Rose się uśmiechnęła, a jej mięśnie wyraźnie się rozluźniały w miarę, jak Leo mówił o Lullington Bay. O tych nieskończenie długich dniach na plaży

i gorących, parnych nocach. O bezdomnym kocie, którego wzięli i nazwali panem Bobbinsem, a on okazał się panią Bobbins i okocił się w łóżku Rose.

Leo mówił zachrypniętym głosem, aż zjawił się doktor Howard. Rose otworzyła oczy i ośmieliła się przyznać, że ból jest „zgoła paskudny”. To była kolejna nowość.

Zeszli do kuchni, w której Lydia wpadła w szaleństwo pieczenia. Piernik, babeczki, kruche ciastka, keks...

— ...ale z samymi sułtankami. Rose nienawidzi suszonych owoców. Zawsze mówiła, że mieszane skórki cytrusów i siekane daktyle niszczą smakujący idealnie keks.

Ani Jane, ani Leo nie musieli zwracać jej uwagi na fakt, że upłynęły już dni, a może nawet tygodnie, odkąd Rose zjadła coś tak konkretnego jak kawałek ciasta; o wielu sprawach nie trzeba było obecnie mówić.

Chociaż akurat doktor Howard, kiedy wszedł do kuchni dwadzieścia minut później, miał sporo do powiedzenia.

Przez większość czasu mówił o nerkach Rose. Istniało niebezpieczeństwo, że przestaną działać i jeśli Rose zgodzi się na cewnik, można by ją podłączyć do kroplówki.

— Jeśli Rose się nie zgodzi, nie jestem pewny, czy potrafię ją przekonać — stwierdził Leo.

— Ktoś będzie musiał decydować za nią, kiedy sama nie będzie już zdolna podejmować decyzji — zauważył doktor Howard. Dzisiaj nawet nie silił się na spokojny ton czy eleganckie owijanie w bawełnę. — Dojdzie do tego raczej prędzej niż później.

— Ale nie była wczoraj w takim stanie — rzucił myśl Leo, kiedy odprowadzali lekarza. — Więc to musi być dobry znak, prawda?

— Obawiam się, że mieliśmy do czynienia z chwilowym wytchnieniem. Przyjdzie czas, gdy postanowisz, że najlepiej trzymać panią Beaumont na środkach przeciwbólowych aż do śmierci.

— Ale nie będzie cierpiała, prawda? — spytała Jane, ponieważ nie wyobrażała sobie, jakie okropne byłoby dla Rose, gdyby uwięzła pomiędzy światami i z rzeczywistością łączyłby ją tylko ból. — Jak dużo morfiny może jej pan zalecić, żeby nie przedawkowała?

— Nie będę jej odmawiał. — Lekarz zawahał się, zakładając kapelusz, ponieważ należał do mężczyzn, którzy nadal nosili staroświeckie, filcowe. — Nie uznaję zbędnego cierpienia i czasami, jeśli leki same załatwią sprawę, jeszcze zanim ciało zawiedzie, no cóż, wtedy to może być błogosławieństwo.

Po jego wyjściu Leo usiadł ciężko na dolnym stopniu schodów.

— Szlag by to... — Przetarł twarz grzbietami dłoni, jednak kiedy je zabrał, okazało się, że oczy ma suche. — Kurwa mać. Nie wiem, czy dam radę.

Przechodząc obok niego, Jane pogładziła go palcami po włosach.

— Właśnie po to wróciłeś. Żeby zrobić to, co jest najlepsze dla Rose. I, tak, dasz radę.

Rose spała przez cały dzień, a kiedy Agnieszka przyszła i zmieniła Netę, Leo i Jane zrezygnowali z czuwania. Wciąż nie porozmawiali o zdarzeniach z ubiegłej nocy. Leo nie zamierzał poruszyć tematu jako pierwszy. Za diabła, nie! Ponieważ, jeśli to zrobi, wówczas Jane obróci całą sprawę w żart, odezwie się do niego „kochany” i powie coś nonszalancko, zamiast przyznać, że doświadczyła czegoś niebezpiecznie bliskiego prawdziwych, rzeczywistych uczuć i emocji.

Obeszło się jednak bez rozmowy.

Przechodząc obok niego w drzwiach sypialni, Jane powoli, lecz celowo przesunęła ręką po ramieniu Leo i to wystarczyło. Leo, bezwiednie i niemal natychmiast, przycisnął ją do ściany, dotykając jej miękkiego ciała szybko i boleśnie twardej męskością. Odbyli niezdarny taniec do łóżka, w którym spędzili noc, ponownie delektując się smakiem i dotykiem. Leo zastanawiał się, czy nie powinien mieć poczucia winy, że Jane wybrała akurat ten konkretny moment w jego życiu, by zaciągnąć go ku czemuś, co przypominało szczęście, lecz żadne wyrzuty sumienia go nie dręczyły. Może to była kolejna strategia, kolejny manewr w jej ogólnym planie, ale naprawdę musiał się zatracić na kilka godzin, zapomnieć o tym, co troskało ich wszystkich, a Jane знаła sposób.

Później Jane zasnęła, jeszcze przed nim. Sen nie przyniósł ukojenia, ponieważ nie spała spokojnie. Jej powieki drgały jak w intensywnie przeżywanym marzeniu sennym, zęby zaciskała na dolnej wardze, co jakiś czas zmieniała pozycję. Leo obserwował ją przez jakiś czas, aż w końcu nie mógł znieść widoku jej wewnętrznej walki. Ponieważ tak wiele myśli i emocji zatrzymywała dla siebie, patrząc na nią, czuł się jak intruz, który czyta czyjś pamiętnik i przetrząsa szuflady. W końcu podniósł z podłogi poduszki i na powrót ułożył je pośrodku łóżka, dzieląc je na dwa odrębne, węższe. I w momencie, kiedy odciął się od Jane, kiedy się od niej odsunął, bez trudu zasnął.

Było po jedenastej następnego dnia, kiedy Neta weszła do kuchni i powiedziała, że Rose się obudziła i chce widzieć ich oboje.

— Czy pojechaliście do Lullington Bay? — spytała, gdy weszli do jej pokoju. — Jak tam moje róże?

Leo cofnął się o krok, lecz Jane pchnęła go naprzód. Potrafił to zrobić. Nie miał zresztą innego wyboru.

— Twoje róże miewają się świetne. Są piękne. Żadnych mszyc.

— To dobrze. — Mimo że przespała niemal dwadzieścia cztery godziny, oczy miała przekrwione. Jej głowę zdobiła kolejna wzorzysta apaszka w radosnych kolorach, kpiąc sobie z zapadniętych policzków i spierzchniętych warg. — Gdzie są moje rzeczy? Znaleźliście może przypadkiem niewielkie drewniane pudełko?

Leo przykucnął i otworzył kufer. Wewnątrz znajdowały się paczuszki listów, jedne poźółkłe od wieku jak Rose, drugie cienkie niczym bibułka, z niebiesko-czerwonymi pieczętkami poczty lotniczej. Obok stało pudełko z palisandru, które Leo podał Jane, a ona z kolei wręczyła je Rose. Palce kobiety męczyły się przez chwilę z zatraskiem, potem grzebały w zbiorze bloczków zapalek z zaryską, ozdobnych wykałaczek do przekąsek, jadłospisów z nocnych klubów i restauracji. Na dnie znalazła mały, wystrzępiony kawałek kartonu ze zdjęciem.

— To naprawdę się zdarzyło. Naprawdę tam byłam — powiedziała Rose, próbując objąć kartonik w dłoni.

Jane wyciągnęła rękę i wyjęła kartonik z pudełka, po czym przytrzymała go na tyle wysoko, żeby i Leo widział go dokładnie. Była to karta członkowska Rainbow Corner, z której spoglądała na nich nastolatka Rose. Włosy misternie zawinięte, uśmiech, na wargach ciemna szminka.

— O rety, kochana, wyglądasz tu jak gwiazda filmowa.

— Jak Hedy Lamarr. — Rose wskazała na kufer. — Gdzie są fotografie? Poszukaj albumu.

Leo skrupulatnie przekładał stare kartki urodzinowe i programy teatralne, aż odnalazł oprawny w ciemnozieloną skórę album. Rose wzięła go z leciutkim westchnieniem, lecz zanim go otworzyła, poklepała miejsce obok siebie na łóżku.

— Chodźcie tutaj zobaczyć, oboje — poprosiła, a kiedy Jane usadowiła się niepewnie, bardzo starając się nie potrącić Rose, Leo natomiast ukląkł i oparł łokcie na brzegu łóżka, Rose zaczęła kartkować album.

Zaczęło się od jej zdjęcia jako niemowlęcia w ogromnej falbaniastej sukience do chrztu. Później były fotografie z czasów szkolnych — szczerbata, piegowata dziewczynka. Potem obrażona kilkunastolatka na bulwarze nadmorskim; ramiona założone na piersi, cofnięty podbródek, dziko zmarszczone czoło. Przypominała tu, Leo musiał przyznać z bólem w sercu, jego samego z jego okresu nastoletniego buntu. I wtedy...

— Och! Jesteś teraz w Londynie! — ucieszyła się Jane. Rose stała na Trafalgar Square z drugą dziewczyną, obie lekko uniosły spódnice i przybrały pozy tancerek rewiowych. Obok stał sztywnie ubrany niski mężczyzna z cienkim wąsikiem i przymilnym uśmiechem. — Kto jest z tobą?

— To Mickey Flynn, stary potępieniec — wychrypiała, choć z wyraźną przyjemnością. — Nie wiem, kim jest ta dziewczyna. Przyjaciółki Mickeya przychodziły i odchodziły. Głównie to drugie.

Leo przysiadł teraz po drugiej stronie łóżka i przyglądał się dwóm kobietom, pochylonym i niemal dotykającym się skroniami, kiedy nagle Jane krzyknęła z podziwu, widząc zdjęcie, na którym Rose pozowała do aparatu zrobiona na bóstwo i w najlepszej sukience.

Przyjechali wtedy na Boże Narodzenie. W tle stało chude, skąpo przystrojone drzewko, troje dzieci klęczało przed dorosłymi, którzy siedzieli na sofie lub stali obok niej. Rose usiłowała przesunąć palcami po każdej twarzy, lecz palce jej nie słuchały.

— Moja druga rodzina. Tak kiedyś wyglądał nasz salon na parterze. A to są Yves, Jacques, Madeleine, która przynajmniej ten jeden raz nie płacze, to Gisèle, a tutaj Thérèse i Hélène po obu stronach małego Paula. Tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty. To było ciężkie Boże Narodzenie. Ale matka Phyllis przysyłała nam kurczaka i placek ze śliwkami. Każdego roku, aż do swojej śmierci. Była kobietą znacznie bardziej przerażającą niż ja.

— Wątpię w to, Rose. — Leo przewrócił oczyma. — Nie ma drugiej tak przerażającej kobiety jak ty.

W odpowiedzi Rose udało się prychnąć.

— Gdybym czuła się lepiej, pacnęłabym cię za to w ucho.

Leo martwił się, że oglądanie zdjęć będzie dla niej pracą ponad siły, skoro wczoraj nawet otwarcie oczu wydawało się wysiłkiem herkulesowym, dziś rano jednak Rose była szczęśliwa czy też szczęśliwa jak na kogoś umierającego. Jane również wyglądała na zadowoloną i chętnie ślęczała nad zdjęciami czyjejs rodziny, ponieważ nie posiadała własnej. Nie miało znaczenia, czy jej rodzice rzeczywiście nie żyli. Tak czy inaczej, była sama jak palec.

Leo w ostatnich latach również nie uczestniczył w rodzinnych sesjach zdjęciowych. W ogóle zazwyczaj pojawiał się jedynie na przypadkowych fotografiach przypadkowych osób.

„Kim jest ten facet, który wygląda na pijanego?”

„Och, to przyjaciel przyjaciółki. Nie mogę sobie przypomnieć jego imienia, ale pamiętam, że później tej samej nocy rzygał do basenu”.

Potrząsnął głową i zwrócił uwagę na zdjęcie, które oglądały Rose i Jane.

— Kim jest ta blondynka? — Starał się mówić tonem zainteresowanym, wręcz entuzjastycznym. — Wygląda na bardzo rozrywkową.

— To Sylvia. Moja przyszywana starsza siostra. — Leo pochylił się i zagapił na roześmianą dziewczynę w czarno-białym stroju, z rękoma na biodrach i głową odrzuconą w tył, lecz Rose już odwróciła kartę, a potem powiedziała z cichym zadowoleniem: — Ach, tu jesteśmy wszystkie.

Wskazała każdą po kolei: Phyllis, która wyglądała na poważną i nieco zatroskaną, Maggie, której kanciastą twarz spowijał dym z trzymanego w prawej ręce papierosa, oraz objęte Sylvia i Rose. Wszystkie cztery uśmiechnięte, wszystkie z tą samą czerwoną szminką na ręcznie podbarwionej fotografii.

— To są twoje przyjaciółki, Rose? — spytała Jane, a Leo odniósł wrażenie, że chciałyby dołączyć do nich na zdjęciu.

Odkąd znał Rose, nigdy nie była osobą sentymentalną, teraz jednak

z pomocą Jane wyjęła fotografię z albumu i położyła ją sobie na piersi, na sercu.

— Nie miałam ich żadnych zdjęć. Wszystkie zginęły. Ale jedna z moich dawnych koleżanek z Rainbow Corner wiele lat po wojnie znalazła to i mi je przysłała.

— Tak bardzo się cieszę, że ci je przywieźliśmy — szepnęła Jane. Rose uśmiechnęła się do niej i w tym momencie Leo znów poczuł się jak nieproszony gość. Jednak Jane pogładziła go po wspartej na łóżku ręce i wiedział, że właśnie tutaj jest jego miejsce.

— Masz zdjęcia was czterech po wojnie? — spytał.

— Chciałabym zobaczyć, jak wyglądałyście w latach pięćdziesiątych, kiedy mogłyście się naprawdę odszykować — dodała Jane, lecz Rose odwróciła głowę.

— Nie było żadnego „po wojnie” — odparła cicho. — Spadła bomba. To był celny strzał... Leżały w kawałkach na ulicy.

Jane ścisnęła dłoń Leo tak mocno, że o mało nie jęknął.

— Kiedy o nich mówiłaś... nigdy bym nie pomyślała, że nie żyją — zauważyła Jane z tak jawną goryczą, że nawet Rose wyglądała na przestraszoną.

— Oczywiście, że nie żyją. To było oczywiste.

— Nie dla mnie.

— Jane! Przecież Rose nie zrobiła tego naumyślnie — wtrącił się Leo, zerkając na kobietę, która leżała z zamkniętymi oczyma, wciąż przyciskając do piersi zdjęcie. Uniósł brwi, powoli podszedł bliżej, po czym się wyprostował i zrobił drżący wdech. Wzrokiem poszukał Jane i dał jej znać spojrzeniem, że wszystko w porządku, Rose nadal jest z nimi.

Jane natychmiast zareagowała.

— Kochana — powiedziała, skruszona — przykro mi, że spędziłaś z nimi tak mało czasu.

— Sądzę, że zasnęła — odparł Leo. — Powinniśmy się usunąć.

Zostawili album na poduszce w zasięgu Rose i po prostu rozpakowywali kufer, stawiając każde wypełnione wspomnieniami pudełeczko na ruchomym stoliku, który można było wsuwać pod łóżko. W końcu Rose ponownie otworzyła oczy.

— Nie śpię. — Podniosła głowę i zadrżała, ponieważ wymagało to wysiłku. — Nie sposób zrozumieć, że niektóre rzeczy są takie ulotne. Że nagle ludzie, których kochacie, po prostu odchodzą. Mówisz im: „Dobrej nocy”, a następnego ranka ich nie ma, przepadli. Ktoś podbił kartę ich życia. A najtragiczniejsze jest to, że ci ludzie nigdy nie stali się tym, kim mogli się stać.

Kiedy następnego dnia Jane wpadła sprawdzić, co u Rose, fotografia przedstawiająca jej przyjaciółki z Rainbow Corner stała w srebrnej ramce na nocnym stoliku.

Leo wyszedł gdzieś z George'em. Rose nie chciała widzieć George'a już od

trzech dni i znaleźli go, jak siedział na tylnych schodach z Lydią. Płakał i próbował zapalić sobie papierosa.

— George, muszę się przejść. Może byś mi towarzyszył — zaproponował mu Leo, a później Jane patrzyła, jak odchodzą uliczką, a Leo otacza ramieniem plecy George'a. Była pewna, że dotrą co najwyżej do najbliższego pubu, uznała jednak, że jeśli Leo wróci pijany, tym razem mu wybaczy.

W tej sytuacji nie bardzo mogła się wykręcić z siedzenia przy Rose. Wolałaby tego uniknąć, ponieważ nie chciała patrzeć, jak na jej oczach pogarsza się stan osoby, którą całkiem mocno polubiła.

Usiadła w fotelu, który odsunęła od łóżka tak daleko, jak tylko się odważyła, i przeglądała czasopisma o modzie, ale i tak co chwilę rozglądała się po pokoju albo wyglądała za okno — wszędzie, byle nie na Rose, która przeważnie teraz spała. Sen powinien wyciszać i stanowić wytchnienie od roli, którą człowiek gra w dzień, ale Rose na pewno nie wyglądała na spokojną.

Oddychała ciężko i z wyraźnym bólem, czasem zajęczała żałośnie, a jej twarz wykrzywiała się w grymasie. Jednak Neta powiedziała, że Rose wkrótce przestanie walczyć.

— Będzie wiedziała, kiedy jest gotowa — powiedziała Lydii i Jane. Neta traktowała życie i śmierć z buddyjską pokorą.

Jane wiedziała, że musi wymyślić inny plan. Tygodnie, które spędziła w tym domu i z tymi osobami odcisnęły na niej piętno. Nie była teraz olśniewającą kobietą, którą tak bardzo pragnęła się kiedyś stać, ale nie była już też dziewczyną, która ukrywa się pod łóżkiem. Utknęła gdzieś pomiędzy tymi dwiema istotami, a szczęśliwa bywała ostatnio wyłącznie w towarzystwie Leo. Wówczas w ogóle nie potrzebowała myśleć. Wystarczyło czuć. Jego palce, usta, członek dawały jej taką rozkosz, że naprawdę zaczęła sobie wyobrażać, co może przynieść im przyszłość, jeśli postanowią dać sobie szansę. Chociaż zawsze trzeba wziąć poprawkę na te wszystkie myśli, które nacierają na umysł po wspaniałym orgazmie.

W kontaktach z Leo i Rose — zamiast pozostać zdystansowana — dawała z siebie tyle, ile mogła. Może nie było tego dużo, lecz jeśli przyjdzie pora odejść, zostawi w tym domu najlepszą część siebie. Jednak głos wewnętrzny każdego dnia bardziej uparcie przypominał jej, że wcale nie musi odchodzić. Czy rzeczywiście mogła zostać? Leo na jej oczach zmieniał się w człowieka, który zasłużył na kogoś znacznie lepszego niż ona.

Rose niespodziewanie oprzytomniała z przepełnionym cierpieniem, zaskoczonym krzykiem. Leżała w bezruchu, tylko oczy szaleńczo strzelały po pokoju.

Jane wstała i podeszła do łóżka. Nalała chorej trochę wody z dzbanka, po czym wskazała na kubek.

— Napijesz się, kochana?

Rose niemal nie piła już od dwóch dni, ale na wsuwanym stoliku obok łóżka stało pudełko z miękkimi lizakami. Jane zanurzyła jeden z nich w wodzie i przesunęła nim po spierzchniętych wargach kobiety. Rose przyłgnęła do niego i słabo go ssała, aż wreszcie z jej oczu zniknęła panika.

— Jesteś pewna, że nie chcesz pić? Mogłabym zejść na dół i przynieść trochę lodu.

— Przełykanie boli. — Głos Rose skurczył się do zgrzytu. — Mówienie boli. — Zagryzła popękana wargę. — Nie wiem, co ze sobą zrobić.

Jane usiadła na łóżku, starając się nie wykonać żadnego gwałtownego ruchu, a potem wzięła Rose za rękę, która teraz była pokryta wątrobowymi plamami.

— Kochana, Leo wkrótce wróci, więc jeśli jesteś gotowa, może trzeba się poddać.

— Jeszcze nie — odparła Rose, a kiedy Jane wśród opakowań ze sterylnymi gazikami i strzykawkami w łazience znalazła paczkę słomek, wypiła trochę wody.

To nie było wiele, lecz Jane i tak nie wiedziała, dlaczego właśnie ona zajmuje się Rose. Była żoną na moment, była tu przejazdem. Jednak, skoro Leo zniknął, a Lydia gorączkowo piekła ciasta, których Rose nie zje, mogła tu być tylko ona, Jane.

Łamała sobie głowę nad sytuacją, szukając w pamięci filmów z podobnymi scenami. Może któryś z Bette Davis?

— Jest coś, co chciałabyś robić? Ktoś, z kimś chciałaś się pożegnać, a nie zdążyłaś?

— Nie. Wszyscy już tu byli.

— A co na przykład z Dannym? — spytała Jane, ponieważ sądziła, że Danny był jedyną prawdziwą miłością Rose. Nie, żeby nagle uwierzyła w prawdziwą miłość, ale wiedziała, że Rose w młodości w nią wierzyła. — Kiedy ostatnio miałaś od niego wieści?

— Od Danny'ego? — Wyglądało na to, że Rose nie bardzo kojarzy imię, chociaż wydawała się w tej chwili nieco mniej otumaniona, a odkąd zdołała się napić wody i Jane poprawiła jej poduszki, jej samopoczucie również było chyba odrobinę lepsze. — Żadnych od czasu wojny.

Jane podniosła iPada.

— Mogłabym spróbować go wytropić. Ustalić, czy nadal żyje. Jest teraz Facebook, w którym...

— Wiem, co to Facebook. Nie jestem jeszcze martwa. — W jej tonie pobrzmiwała irytacja, lecz chwilę później Rose się uśmiechnęła. — Danny. Był tylko chłopcem. Głupim, samolubnym chłopcem, ale wszyscy chłopcy szli wtedy walczyć, więc wydawali się mężczyznami. Nie to, co Leo. Myślę, że Leo nigdy nie dorośnie.

— Leo bardzo się stara, kochana. Jego wysiłek też musi coś znaczyć. — Jane

zastanawiała się, gdzie Leo się podział. Wyszedł wieki temu i naprawdę za nim tęskniła, nie tylko dlatego, że ciężko było całkiem samej zajmować się Rose. — Chłopięcość jest częścią jego uroku.

— Zostaniesz z nim po...

Przesunęła kciukiem po grzbiecie ręki dłoni Rose.

— Właściwie nie myślałam, co będzie „po” — odrzekła ostrożnie.

— Chciałabym, żebyś została. Nie na zawsze. Wiem, że nie jesteś osobą, która zapuszcza korzenie, ale martwię się, co się z nim stanie. Ten chłopak co jakiś czas schodzi z właściwej drogi. — Mimo osłabienia jej oczy błysnęły przebiegle, chociaż może Jane tylko się tak zdawało w rozmytym świetle popołudnia. — Obiecasz, że zostaniesz z nim, aż wyjdzie na prostą?

— Oczywiście, że tak. — Jane nie musiała się długo zastanawiać nad odpowiedzią, co ją zaskoczyło. Zazwyczaj jej obietnice stanowiły część strategii, były przemyślane, wynegocjowane, a czasami nawet poświadczane notarialnie.

— To dobrze. — Rose ostrożnie osunęła się na poduszki. — Przynajmniej nie jestem już na niego zła. Cieszę się, że wrócił do domu.

— Rose, kochana, myślisz, że mogłabyś mu to powiedzieć? — Jane lekko uściśnęła dłoń kobiety. — Wiem, że zgrywa twardziela, a tak naprawdę ma gołębie serce i ogromnie mu przykro, że cię zawiódł. Że przed laty zrobił te wszystkie głupie, bezmyślne rzeczy.

— Rozgrzeszenie na łożu śmierci? — spytała Rose ze słabiutkim uśmiechem. — Jakież to katolickie.

— Wybaczasz mu po prostu, bo go kochasz — poprawiła ją Jane, gdyż taka była prawda. Jak mogłaby go nie kochać?

— Nie, tak to nie miało wyglądać. — Jane widziała, że starszą kobietę znowu ogarnia coraz większe zmęczenie. — Szampan, pigułki, apartament w Savoyu z widokiem na rzekę. W ten sposób zamierzałam odejść. Nie planowałam leżeć i powoli umierać.

— Kochana, wciąż nie jest na to za późno, jeśli tylko masz ochotę zejść po schodach.

Jedynie w połowie żartowała, ale Rose nieoczekiwanie ścisnęła anemicznie jej dłoń.

— Kiedy będę gotowa, znajdę cię tutaj, prawda?

— Kochana, nigdzie się nie wybieram. Dopilnujemy, żebyś nie była sama.

— To musisz być ty! Jesteś taka silna. Będziesz mi potrzebna, musisz być silna za nas obie.

— Nie wiem, czy jestem aż taka silna — zaprotestowała Jane, kiedy oczy Rose, nagle aż zbyt skupione, wręcz się w nią wwiercały.

— Jesteś. Ja też taka byłam. Sądzę, że jesteśmy bardzo do siebie podobne. Nie boimy się stawić czoła przyszłości.

— Och, Rose, kochana, nie. Ty... — Jane przełknęła ślinę. — Kiedy przyjechałaś do Londynu, zdążyłaś ku czemuś. Ja zawsze tylko uciekałam.

— Ale teraz nie uciekniesz, prawda? — upewniała się kobieta. — Będziesz tutaj, kiedy zacznę cię potrzebować.

— Będę — zapewniła ją Jane i wiedziała, że tak się stanie. Zresztą, Leo również będzie jej potrzebował.

Znów robiła to samo — była bezinteresowna, chociaż uważała, że nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

ROZDZIAŁ XXXV

Luty 1946 roku

Bomby od dawna już nie spadały, piękni chłopcy nie ginęli na zagranicznych polach bitew, a jednak koniec wojny nadal potężnie rozczarowywał. Wciąż towarzyszyły im gruzy i reglamentacja. Jeśli Rose miała wystarczająco długą wolną chwilę, rozpaczała z powodu tego wszystkiego, co straciła, dlatego starała się zawsze być w ruchu.

Dobrze, że mnóstwo czasu zajmowała jej opieka nad uchodźcami, których Edward ciągle jej przysyłał. Często jechała do Dover, skąd odbierała przybyszów z łodzi. Potem, kiedy byli już w Londynie, rozpoczynała mozolny marsz po niekończących się kolejkach. Nowo przybyli potrzebowali kartek żywnościowych, pozwoleń na pracę i dowodów tożsamości.

Na szczęście Mickey Flynn potrafił dokonywać cudów — załatwiał wszystko: od bonów na mleko po zainstalowanie z dnia na dzień telefonu w domu w Kensington. A lady Carfax znała mnóstwo ważnych osobistości (w tym nawet paru lordów), które okazywały się szalenie użyteczne, gdy trzeba było się przebijać przez beton biurokracji.

Byli też starzy przyjaciele Maggie, którzy chętnie oferowali swoje usługi, ilekroć Rose potrzebowała tłumacza. Sponsorów znalazł Rose nawet Henry Crapper, ojciec Sylvii, chociaż twierdził, że nie chce mieć nic wspólnego z gromadą cudzoziemców, którzy przyjeżdżali i myśleli, że mają większe prawo tu mieszkać i się żywić niż ludzie, którzy się w Anglii urodzili.

— Wydaje mi się wyjątkowo osobliwe, że aż tylu mieszkańców Hoxton ma dawno niewidzianych krewnych pochodzenia żydowskiego, których nazwisk jakoś nie mogą sobie przypomnieć — wyznał rozdrażnionym tonem pan Costello z Urzędu do spraw Cudzoziemców Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Z nieco mniejszą złością dodał, że jego personel drży ze strachu, kiedy Rose pojawia się punktualnie o dziewiątej w pierwszy poniedziałek każdego miesiąca i nie wychodzi, zanim nie otrzyma podstemplowanych i podpisanych formularzy. Była gotowa siedzieć z robótką przez cały dzień na twardym krześle, które niechętnie znajdowała dla niej któraś z sekretarek.

Powiedział, że trzaskanie moich drutów do dziergania doprowadza ich wszystkich do szału — pisała Rose Edwardowi. — W przyszłości mam pytać o niego osobiście i spotka się ze mną w przeciągu pół godziny. Sądzę, że osiągnęłam właśnie coś, co można nazwać ewidentnym sukcesem!

Edward wciąż był w jej myślach. Nie tylko dlatego, że przysyłał do niej ludzi, którzy liczyli, że dzięki niej zyskają pozory normalnego życia, o którym

podczas pobytu w obozach prawie nie ośmielali się marzyć.

Edward pisał do niej listy. Były to nie tylko spisy nazwisk i dat urodzenia oraz krajów pochodzenia uchodźców, których odbierała z łodzi lub pociągów, lecz także zadziwiająco zabawne, sympatyczne opisy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że znajdował dużo powodów do śmiechu, skoro bywał w tych miejscach o okropnych nazwach, na których łamała sobie język, kiedy próbowała wymówić je na głos. I skoro rozmawiał z ludźmi, którzy tam żyli, choć trudno było nazwać ich smutną egzystencją życiem; ludźmi, którzy widzieli, jak ukochane osoby giną rozstrzelane, zagłodzone, wysyłane do komór gazowych. A potem siadał w jednym pomieszczeniu z mężczyznami i kobietami, którzy te zbrodnie popełnili.

Ponieważ tak dużo się wokół niej działo, pojawiała się w Rainbow Corner dopiero o dziewiętnastej trzydzieści, sześć wieczorów na tydzień — szła z przyzwyczajenia, a także dlatego, że mogła tam nabyć od amerykańskich żołnierzy czekoladę i papierosy, po czym wymieniała te produkty na bardziej przydatne przedmioty. Często się zastanawiała, jak długo będzie działał Rainbow Corner; od dnia kapitulacji Japonii słyszała plotki na temat jego zamknięcia. Aż pewnego mokrego, wietrznego dnia w styczniu, kiedy przybyła na swoją zmianę, dostrzegła przed tablicą ogłoszeń w szatni małą grupkę dziewczyn.

Wspięła się na palce, chcąc ponad głowami stojących przed nią osób zobaczyć rozporządzenie. Tak, klub zamykano.

— Och, no cóż. Wszystkie wiedziałyśmy, że się na to zapowiada.

— Ale tak szybko. Zostały tylko dwa tygodnie — zauważyła któraś. Rose nie знаła jej imienia. Obecnie było tak wiele nowych dziewcząt.

Większości tych, które się o nią troszczyły, gdy zaczynała, które pożyczały jej szpilki do włosów, uczyły ją odpierać awanse przesadnie kochliwych żołnierzy, dawno już tutaj nie było. Nie wszystkie zginęły, niektóre wyjechały — część wróciła do swoich wiosek i miasteczek, w których zaczynały życie na nowo, inne popłynęły do Ameryki połączyć się z mężczyznami, którzy zabiegali o ich względy w Rainbow Corner. Amerykański Czerwony Krzyż organizował nawet szkolenia dla „wojennych narzeczonych”.

Gdy klub zostanie zamknięty, Rose będzie miała więcej czasu na pracę i dla swoich „zagubionych duszyczek”. Niemniej, w ostatnią noc działalności Rainbow Corner, kiedy ubierała się w wierną czarną krepdeszynę, której przysięgła już nigdy nie zakładać, lecz z konieczności nie dotrzymała słowa, zdumiało ją, że czuje lekki dreszcz podniecenia.

Niech więc tak się stanie. Pożegna się z klubem na parkiecie tanecznym w ramionach najprzystojniejszego z amerykańskich żołnierzy, jakiego zdoła dostrzec. Po raz ostatni zje te zniekształcone, posypane cukrem pudrem pączki i popije je coca-colą.

Dziś wieczorem będzie sławić wszystkie te rzeczy związane z Rainbow

Corner, które uważała za oczywiste. I postara się nie widzieć swoich duchów, chociaż wiedziała, że Phyllis, Maggie i Sylvia będą tam z nią, w jej sercu, jako anioły na jej ramieniu. Zatańczy również dla nich. Wzniesie toast i wypije za ich pamięć.

Najpierw wszakże musiała się dostać do środka. Tłumy ciągnęły się przez Shaftesbury Avenue i tylko jeden policjant stał przy drzwiach, mężnie usiłując zmusić ludzi do odwrotu.

Rose poszła na tyły i zbiegła po schodach, które prowadziły do sutereny. Tam łomotała pięściami w drzwi kuchenne, aż wpuścił ją pomocnik kelnera.

Gdy opuściła zaparowany rozgardiasz kuchni i przeszła do Kryjówki Dunkera, znalazła się w prawdziwym pandemonium. Zanim dotarła do schodów, musiała się przeciskać przez falujące morze mundurów khaki, a wspinając się po stopniach, używała łokci. W pewnym momencie nawet mocno kopnęła w kostkę pewnego siebie lotnika, który, wykorzystując zamieszanie, uszczypnął ją w pośladek.

— Rosie! Tutaj!

Grupka dziewczyn stała za recepcją. Dora, Jean i Peggy z Lowestoft. Po drodze do sali tanecznej zbierały więcej spóźnialskich.

W tę ostatnią noc, szczególnie że na parkiecie nie było miejsca na nic więcej poza szuraniem do rytmu muzyki, dziewczyny chętnie znajdowały sobie jakiś spokojny kącik i wymieniały się wspomnieniami. Pijany kadet marynarki wojennej obrzygał całe zamszowe buty do tańca Peggy. Wieczór, kiedy Nancy wprowadziła młodszą siostrę, żeby mogła się najeść naleśnikami, a dziewczyna zamiast jeść, natychmiast się zaręczyła z jakimś żołnierzem. Paskudny miesiąc, kiedy nawet Mickey Flynn nie potrafił zdobyć dla nich pończoch i wszystkie smarowały nogi herbatą, która w zmysłowym gorącu sali tanecznej ściekała w brudnych strużkach.

Rose śmiała się, aż bolały ją zębra. Pozowała do zdjęć. Wymieniała się adresami, swój zanotowała na przykład na chusteczce z butonierki jednego z ważniejszych działaczy Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, prosząc go o ustalenie, co planują zrobić z krzesłami i stołami, wszystkimi tymi talerzami i kubkami. I firankami. Lista jej potrzeb była niewyczerpana.

— Powinniśmy przynajmniej spróbować zatańczyć — zaproponowała któraś z dziewczyn. — Nigdy więcej nie będziemy mogły tego tu zrobić.

Łatwo było znaleźć mężczyznę, który chciałby zawirować z dziewczyną w ramionach, tyle że na wirowanie naprawdę nie było miejsca.

Kiedy zespół przestał grać, tłum zaryczał z dezaprobatą.

— Co się dzieje? — spytała Rose, wyciągając szyję i patrząc, jak kilka efektownych pań z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża wchodzi na scenę, a za nimi... — Cudownie! — zawołała, informując koleżanki. — Anthony Eden¹. O rety! To jest... Eleanor Roosevelt. Ależ z niej urocza babka!

Rose była tego wieczoru tamtą dawną dziewczyną — małą naiwną Rosemary Winthrop, zakochaną w Londynie, a Rainbow Corner stanowił gorączkowo bijące serce tego miasta.

Przemawiano.

— W mojej opinii działalność tego klubu pokazała, że potrafimy razem pracować — powiedziała Eleanor Roosevelt. Dora wytarła oczy, a Peggy pociągnęła nosem. — Ponad osiemdziesiąt procent pracujących tu ochotniczek było Brytyjkami, które współpracowały z amerykańskim personelem i dzięki nim ten klub stał się tym, czym był i tym, czym pozostanie na zawsze w sercach naszych wojskowych: wspaniałym sukcesem!

Rose klaskała tak długo, że aż ją ręce rozbolały, wznosiła okrzyki, aż ochrypła i ciągle nie mogła uwierzyć, że klub zostanie zamknięty. Że po raz ostatni stoi w miejscu, w którym naprawdę dojrzała. Że nigdy już nie poczuje znowu tej mieszaniny zapachów, na którą składa się aromat lucky strike'ów, brylantyny, wilgotnej wełny i potu. Może gdyby oznajmiła, że nie wyjdzie, gdyby usiadła na parkiecie, gdyby naprawdę się zaparła, Rainbow Corner pozostałby otwarty.

Nie ona jedna poczuła się osamotniona.

— Nie idę — oznajmiła Jean. — Niech mnie stąd wywloką.

Inne jej przytaknęły i chociaż ubrane w ciemnoszare mundury panie z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża natychmiast ruszyły ku zebranim i próbowały ich zagonić w stronę drzwi, dziewczyny stały nieporuszone.

— Jedna z pracownic biura mówiła, że zaginął oryginalny klucz i pospiesznie odlewali nowy — zauważyła Jean.

— W rzeczywistości nie zamierzają zamknąć drzwi na klucz — zadrwiła Rose. — Przecież Rainbow Corner jest zawsze otwarty. To tylko oficjalna ceremonia zamknięcia. Nikt niczego nie zamknie i nikt nas stąd nie ma wyrzuci. Nie mogą nas zmusić do wyjścia.

Więc pozostały na miejscu. Nie tylko zresztą Rose i jej koleżanki, lecz wszystkie kobiety i wszyscy mężczyźni, którzy zdobyli prawo wstępu.

Kilku Amerykanów zaczęło śpiewać i wszyscy zgromadzeni szybko podjęli pieśń:

Nie damy się ruszyć, nie damy.

Przegonić się stąd nie damy.

Jesteśmy jak drzewa nad wodą

I ruszyć się stąd nie damy.

Odpowiedzią były nostalgiczne nuty trąbki, coraz głośniejsze, coraz bliższe, wygrywające chwytliwą *Auld Lang Syne*. Trębacz zszedł ze sceny i przemierzał parkiet, a ludzie ruszyli za nim. W ten właśnie sposób Rose po raz ostatni opuściła

Rainbow Corner — wraz z potężną, głodną falą ludzi, która wylała się z klubu na ulicę, na której ciągle się gromadziły tysiące osób.

Te tłumy podniosły głosy w pieśni:

Czy stara przyjaźń umrzeć ma i stracić dawny blask?

Czy dawna przyjaźń umrzeć ma i dawny, dawny czas?²

Rose nie wiedziała, jak to możliwe, że jest jedną z tysięcy, a równocześnie czuje się tak bardzo samotna.

— Rosie! Rosie, moja kochana! Na górę!

Jej policzek musnęła niecierpliwie czyjaś dłoń. Rose podniosła głowę i zobaczyła Mickeya Flynna, który zwisał ze słupa latarni.

— Rosie! Wchodź! Ejże, jankesie, pomóż dziewczynie wejść, możesz?

Zanim w ogóle się zastanowiła, czy rzeczywiście chce się wspiać na słup latarni i dać wszystkim bez wyjątku możliwość zaglądania jej pod sukienkę, ktoś pociągnął ją w górę. Miała mgliste wspomnienia związane z umiejętnością chodzenia po drzewach, utraconą sztuką z dzieciństwa, więc powoli wspięła się po słupie, aż dotarła do Mickeya, który pomógł jej pokonać ostatnie centymetry i w końcu stanęła obok niego na skrzynce przyłączowej.

Znajdowali się naprawdę wysoko ponad masami ludzkimi. Tak wysoko na słupie, że jeszcze jedna para znalazła sobie miejsce pod nimi. Mickey szczególnie się tego wieczoru postarał — założył jedwabny krawat z wzorem flagi Stanów Zjednoczonych — ale jego zwykły cwany uśmiezek był jakiś przygasły.

— O co chodzi, Mickeyu? Ogarnęła cię rozpacz, że wyschnie twoje źródło zaopatrzenia w amerykańskie papierosy? — spytała go wesoło.

— Och, nie powiedziałbym, że coś wyschnie, Rosie. Znajdę sposób, jeśli tylko zobaczę choć jednego żołnierza armii amerykańskiej. — Spojrzał na tłumy. Chociaż była zimna, przyprawiająca o gęsią skórę letowa noc, zebrało się tak wiele osób, że od buchającego od nich ciepła czuła, jak czarna sukienka przykleja jej się do ciała. — Popatrz na nich. To kawał naszej historii, ot co. Będą pisać o tym klubie książki i kręcić filmy. Nikt nie zapomni Rainbow Corner.

— Oczywiście — zgodziła się Rose. — Tak czy inaczej, ciągle wszystkim powtarzam, że tak naprawdę nie zamykają naszego klubu. Jestem przekonana, że kiedy Eleanor Roosevelt postanowiła złożyć wizytę, postanowili odegrać dla niej przedstawienie. Jutro wszyscy będziemy się głupio czuli.

— Być może masz rację. — Mickey nie wydawał się przekonany i już mu miała podać wszystkie powody, dla których nie można zamknąć Rainbow Corner, kiedy gdzieś pod nimi rozległ się krzyk.

Rose widziała stąd frontowe drzwi klubu i chociaż nie mogła słyszeć odgłosu zamykania ani przekręcania klucza w zamku, zobaczyła to i poczuła w sercu.

Och, jak bardzo poczuła!

Zacząła płakać, ponieważ naprawdę wszystko się skończyło. Cokolwiek wcześniej straciła, choć straciła tak dużo, zawsze miała Rainbow Corner. Wiedziała, że może tam wejść i nikt nigdy jej stamtąd nie wyrzuci. Teraz zamknęli te podwójne drzwi, zamknęli je na klucz, a jej nie pozostało już nic.

— Nie płacz, Rose, moja kochana — poprosił Mickey, ona jednak nie mogła przestać.

Przez długi czas starała się być odważna i silna, lecz przychodziło jej to łatwiej, ponieważ istniało miejsce, do którego zawsze mogła pójść i w którym zawsze zapominała o kłopotach.

— Co ja teraz zrobię? Dokąd pójdę? Kto się mną zajmie? — Nie mówiła nawet do Mickeya, ale podniosła zapłakane oczy do niebios.

Zacząła się zsuwać w dół po słupie latarni i z powodu spoconych rąk zjeżdżała za daleko i zbyt szybko, więc para pod nią musiała umknąć, zanim ich zepchnie.

Mickey krzyknął za nią, gdy dotykała stopami chodnika, ale odwróciła się od niego i, potykając się, uciekała uliczkami, aż znalazła spokojne podwórze; tam usiadła, zatopiła twarz w dłoniach i płakała za światem, który odszedł.

Nie wiedziała, jak długo płakała, ale kiedy się uspokoiła, pociągając teraz nosem raczej niż szlochając, zdała sobie sprawę, że cierpi teraz nie z powodu tęsknoty za tym, co utracone, lecz dlatego, że siedzi na krawężniku w zimną lutową noc, a jej płaszcz ciągle wisi w szatni w Rainbow Corner. Nie zda jej się tam na wiele. Zadrżała i podniosła głowę, a wtedy zobaczyła... Edwarda, który stał w wylocie uliczki.

Tak wielki szok przeżyła na jego widok, że na moment pomyliła go z jednym ze swoich duchów. W ten sam sposób, w jaki każda platynowa blondynka mogła być Sylwią, każda smukła, śniada dziewczyna — Maggie, a na dźwięk afektowanego, lekko chropawego głosu zawsze rozglądała się za cudownie zmartwychwstałą Phyllis. Jednak jej duchy były tylko duchami, a Edward naprawdę szedł właśnie w jej stronę z niepewnym uśmiechem na twarzy.

— Widziałem, że o mało nie zламаłaś sobie karku, gdy zeskakiwałaś z tego słupa latarni — zbeształ ją tonem zarezerwowanym dla niezbyt miłych wspomnień. — Potem zobaczyłem, jak bardzo jesteś zasmucona i nie chciałem ci przeszkadzać. Jeśli...

— Nie przeszkadzasz. Ani trochę — odparła Rose i poklepała miejsce obok siebie, chociaż nie proponowała siedziska na przyjemnej, miękkiej kanapie, ale na chłodnym, twardym chodniku. — Możesz przysiąść, jeśli chcesz.

Na myśl o tym, że Edward obserwował, jak płakała, czy też — ściślej rzecz biorąc — ryczała, zjeżyła się trochę, ale nieprzesadnie. Widział ją już w sytuacjach najlepszych i najbardziej okropnych, niemniej jednak nadal był tutaj, a teraz siadał

przy niej i próbował narzucić jej na ramiona swój płaszcz.

— Nie ma sensu, żebyśmy oboje marzli — wytknęła mu, lecz pozwoliła się objąć i przytuliła się do niego. — Wiesz, zaskoczyłeś mnie, wyłaniając się z ciemności, ale jak się zastanowić, wcale się nie dziwię, że tu jesteś.

— Myślałem, że mógłbym wznieść toast za mój dobry stary Rainbow Corner w jakiejś ponurej niemieckiej piwiarni, uznałem jednak, że nie warto przegapić pożegnania, więc oto jestem.

— Ale wracasz tam znowu?

— Tak. — Westchnął. — Muszę. Widzisz, to nie jest...

— Kiedyś powiedziałeś, że nie można mi odmówić, więc teraz cię proszę, nie wracaj do Niemiec. Zostań tutaj. Ze mną. — Wpatrywała się w jego surowy profil. Kiedy ścisnęła go za kolano, mięsień w jego lewej powiece zadrgał. Edward zawsze miał takie kościste kolana. — Proszę, Edwardzie. Wszyscy mnie zostawiają i nie wracają. Nienawidzę tego.

Pokręcił głową.

— Muszę doprowadzić sprawę do końca. Nie rozumiesz? Wolałbym być wszędzie, byle nie tam. — Wysunęła się spod jego ręki i chwyciła go za ramiona. Pocałowała w czoło, w skronie, objęła jego twarz lodowatymi dłońmi i przycisnęła wargi do jego ust.

— Jest strasznie? — wyszeptała.

Znowu potrząsnął głową, być może nie znajdując odpowiednich słów.

— Powiedziałbym, że jest nie do pomyślenia, ale byłoby to kłamstwo, ponieważ tamte zdarzenia miały miejsce naprawdę. Właśnie dlatego należy dać świadectwo prawdzie, to jest ważne. Trzeba krzyczeć z dachów, aż wszyscy się dowiedzą.

Rose znowu zaczęła płakać, chociaż czuła, że nie ma prawa do łez, skoro jej cierpienie jest nieistotne i znikome w porównaniu z tym, przez co przeszli inni.

— Przepraszam — szepnęła.

— Ja również. Proszę, nie płacz już. — Odwrócił głowę i ucałował jej rękę. — Powiedzieć ci coś, co cię rozbawi?

Nie sądziła, że coś może ją rozbawić, ale teraz, kiedy Edward był tutaj, bardzo czuły i wesoły, na co nigdy przedtem sobie nie pozwalał, myślała tylko o jednym — jak bardzo za nim tęskniła.

— Musisz się postarać.

Obrzucił ją zaskakująco szelmowskim uśmiechem.

— Wcześniej wpadłem do mojego klubu i jakiś facet z ministerstwa spraw wewnętrznych uznał, że musi przejść cały bar i kategorycznie mi obwieścić, że... i to jest bezpośredni cytat: „Ta twoja dziewczyna to prawdziwe utrapienie”.

Rose aż zagulgotała ze śmiechu.

— To nie był mój pan Costello, prawda?

— Prawdopodobnie szef twojego pana Costello.

— Mam nadzieję, że mu wyjaśniłeś, jakim utrapieniem jest jego ministerstwo ze swoją zbyt rozbudowaną biurokracją, z którą zdaniem pracowników wszyscy mamy sobie radzić!

— Niczego takiego nie zrobiłem. — Oderwał się od jej rąk. — Rose, jest za zimno, a my jesteśmy zbyt dobrze wychowani, żeby siedzieć tu, w rynsztoku.

Wstał i wyciągnął rękę. Rose pozwoliła mu się postawić na nogi.

— Było tak dużo osób, a kiedy zamykali na klucz drzwi do Rainbow Corner, zrobiło mi się tak strasznie smutno. Bałam się, że nic dobrego już nigdy się nie zdarzy. Czuję się potwornie, że to mówię, ale tęsknię za wojną. W pewnym sensie to był wspaniały okres, prawda? Nie było tak?

Długo żyła z niepewnością wojny, a teraz każdy dzień był taki sam. Życie wydawało się jakieś mniej ważne. Dobre sytuacje nie były rzadsze, krótsze czy znacznie pogodniejsze w porównaniu z tymi paskudnymi, którym z kolei nie towarzyszyło prawdziwe zło czy skrajna rozpacz. Bez ekstremalnych doznań Rose czuła się zagubiona i dreptała w miejscu, a horyzont ani się nie przybliżał, ani nie oddalał. Więc tak, trochę tęskniła za wojną.

— Co oznacza, że wszyscy jesteśmy bohaterami, czyż nie? — zauważył Edward, biorąc ją pod rękę i kierując ku wyjściu z bocznej uliczki. — Niezależnie od tego, czy na to zasłużyliśmy.

Edward bez wątpienia był cichym bohaterem. Ratował życie, ewakuował wdowy i sieroty, i nawet teraz, kiedy inni odwieszali mundury do szafy, on mścił się za ludzi, których życia nie zdołał ocalić.

— Ja raczej nie jestem bohaterką — nie zgodziła się Rose. — Przecież uciekłam do Londynu dla emocji i przygód, a także dlatego że nie chciałam dać się wysłać do Land Girls i nosić sztruksowe pumpy.

— Miałaś heroiczne momenty. Wszyscy mieliśmy — stwierdził Edward dobitnie i być może miał rację. Może na swój sposób byli bohaterami.

Wyszli teraz na Piccadilly, ludzie spieszyli na ostatnie pociągi i autobusy na przedmieścia.

— Możemy gdzieś pójść? — spytała, ponieważ nie chciała ostatniego wspomnienia o Rainbow Corner zalewać łzami, nie chciała też wracać do mieszkania Edwarda. Jeszcze nie. — Gdzieś, gdzie możemy potańczyć.

— I napić się szampana. Odpowiednim miejscem wydaje mi się American Bar w Savoyu. Poszukajmy taksówki.

Ale taksówek nie było.

— Można by pomyśleć, że trwa wojna! — mruknęła Rose, kiedy szli Coventry Street. — Będzie dziwnie, gdy wszyscy ci amerykańscy żołnierze raz na zawsze odpłyną do domu i przestaniemy słyszeć ich akcent. Ty nie brzmisz ani trochę z amerykańska.

— Mieszkam w Anglii od ukończenia ósmego roku życia, więc wszelki obcy akcent, jaki miałem, wypleniono ze mnie w szkole podstawowej — wyjaśnił Edward. Trzymali się teraz za ręce, a Rose miała na sobie jego płaszcz, ponieważ łatwiej było go nosić, niż spierać się o to, czy powinna go założyć. — Gdy skończę sprawy w Niemczech, muszę na jakiś czas wrócić do Nowego Jorku.

Rose stanęła jak wryta na środku ulicy.

— Przrzekłeś, że po Niemczech wrócisz. Do mnie. Nie powiedziałeś, że znowu wyjedziesz.

Zagapił się na swoją rękę, którą Rose wcześniej trzymała, nie rozumiejąc, dlaczego ją puściła.

— Widzisz... No cóż. Pomyślałem, to jest... Miałem nadzieję, że polecisz ze mną.

— Ale tutaj jest zbyt dużo do zrobienia. Przybywa tyle osób i żadna nie nadaje się do pracy. Potrzebują mieszkań, jedzenia, ciepłych ubrań. Jak w tej sytuacji mam lecieć do Nowego Jorku? — zapytała i nie wiedziała, dlaczego zastanawia się nad przyczynami, wymówkami czy przeszkodami, które mogłyby ją zatrzymać, ale przecież ktoś już jej obiecał cały świat i ta obietnica okazała się równie pusta jak jego serce.

Edward odsunął się od niej o krok.

— Byłoby łatwo zatrudnić osobę, która cię zastąpi, ale jeśli postanowisz, że chcesz zostać tutaj, wówczas nie będę cię namawiał do zmiany zdania — oznajmił chłodno. — Pomyliłem się. Wybacz mi.

To była kolejna sprawa, z której powodu Rose tęskniła za wojną. Bo wojna bardzo wszystko upraszczała, sprowadzając sprawy do „tak” lub „nie”, czarne lub białe, przetańczyć lub przesiedzieć. Obecnie życie było o tyleż bardziej skomplikowane. Rząd nie wydawał użytecznych broszurek, w których obywatel mógł wyczytać, co robić. Rose nie potrafiła powiedzieć Edwardowi, że go kocha, ale wiedziała, że chce z nim być, póki on będzie kochał ją.

— Nie uświadomiłeś sobie do tej pory, że często mówię coś, czego tak naprawdę nie myślę? — spytała. — Jeśli potrafisz wytrzymać w pobliżu kogoś takiego, w takim razie tak, nadal bardzo chcę pójść z tobą do American Bar, a później może polecieć do Nowego Jorku — wyjaśniła, a Edward wcale nie wyglądał na zagniewanego, już nie. Nawet wyciągnął do niej rękę i Rose ją chwyciła. — Słyszałam pogłoski, że w Ameryce nie ma reglamentacji. Że można po prostu wejść do sklepu i kupić, co się chce. Zupełnie nie wiem, jak mogą na to pozwalać — zażartowała.

— To najprawdopodobniej jakaś okrutna plotka. Jestem pewny, że muszą racjonować pewne towary, w przeciwnym razie byłoby to z ich strony po prostu niegrzeczne. — Edward ciągle mówił trochę drętwo. — A poza tym, kiedy wrócimy z Nowego Jorku, zamierzam kupić jeszcze jeden dom. Chciałabyś

zamieszkać nad morzem, Rose?

— Być może — odrzekła, ale nie zamierzała powiedzieć nic więcej. Najpierw Edward musiał ponownie wyjechać i wrócić. Później pewnie czekała ich wycieczka do Nowego Jorku i dopiero wtedy Rose się zastanowi, czy chce mieszkać nad morzem.

— Wydaje mi się, że byłoby przyjemnie mieć mały domek gdzieś w hrabstwie Kent lub Sussex. Na wsi, lecz także blisko morza. — Zerknął na nią z ukosa. — Kiedy jestem w moim pustym pokoju hotelowym w Norymberdze i czytam zeznania świadków, nagle zamykam oczy i wyobrażam sobie, że siedzimy we dwoje w angielskim ogrodzie, z jabłonkami i krzewami róż we wszystkich kolorach, w jakich istnieją. Słyszę śpiew ptaków, zagłuszających odgłos fal uderzających o brzeg. Na pewno istnieje gdzieś w Anglii taki ogród?

Uśmiechnął się do niej wstydliwie, żałując, że tak dużo wyznał, ale jego słowa uradowały Rose. Przechodzili właśnie obok stacji Charing Cross. Niedługo dotrą do Savoya.

— Tęskniłam za tobą — szepnęła. — Strasznie się cieszę, że wróciłeś.

Anthony Eden (właśc. Robert Anthony Eden, 1. hrabia Avon) — polityk brytyjski, trzykrotny minister spraw zagranicznych, premier w latach 1955–1957 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Fragment starej szkockiej pieśni *Auld Lang Syne*, przeł. Wojciech Mann („Gazeta Wyborcza”, 8.01.2008) (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ XXXVI

— Tęskniłam za tobą — powiedziała Rose do Leo następnego ranka. — Strasznie się cieszę, że wróciłeś.

— Ja też za tobą tęskniłem, Rose. — Bardzo delikatnie podniósł jej dłoń, tę, w której nie było kaniuli, i pocałował jej przegub dokładnie tam, gdzie kiedyś jej tętno z pewnością wybijało gorączkowy rytm. Teraz było słabe i nitkowate. Poczul zapach czegoś nieco przejrzałego, jak kwiatów, które już poprzedniego dnia opadły i zaczęły gnić. — Chciałem, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi.

Uśmiechnęła się. Niezręcznie poklepała go po policzku.

— Tak bardzo za tobą tęskniłam. Obiecuj, że już nie wyjedziesz.

— Nie wyjadę.

Gryzło go poczucie winy. Ponieważ wczoraj go nie było, odprawiał pokutę przy jej łóżku od wieczora do rana. Wczorajszy dzień był straszny. Prawdopodobnie nie tak straszny dla niego, jak dla Jane, która została w pokoju i przez wiele godzin przebywała z Rose, a gdy opuszczała sypialnię, wyglądała jak ktoś, kto ledwo uniknął zderzenia z dziesięcotonową ciężarówką, ale i tak się poharatał.

Czas Rose wyraźnie się kończył. Tygodnie zmieniały się w dni, a dni skurczyły do godzin. Godziny, które Leo zmarnował na jazdę do Leytonstone i z powrotem z George'em w dzień, kiedy Leyton Orient grał na własnym stadionie. Siedzieli w metrze i George znienacka powiedział:

— Ustaliliśmy, że kiedy Rose poczuje zbliżający się koniec, już się ze mną nie zobaczy. Twierdziła, że byłoby to dla nas obojga zbyt okrutne. Ale ten dzień nadszedł za szybko i nie miałem sposobności się z nią pożegnać.

Potem na nowo się rozplakał i chociaż pociąg był pełen kiboli, a testosteron aż buzował wokół nich, Leo wziął George'a za rękę bez obawy, że ktoś każe im się wynosić.

Kiedy jednak dotarli do magazynu z obrazami Rose, kobieta przy biurku nie chciała wpuścić Leo do środka bez dwóch dowodów tożsamości i podpisanego pozwolenia. Nie obchodziło ją, że Leo działa pod presją czasu.

Nakrzyczał na nią. Obrzucił obelgami. A gdy zaczął płakać, George delikatnie odsunął go na bok i oznajmił: „Mój drogi chłopcze, przestań powodować takie zamieszanie. Mogę wpisać nas obu”; gdyby się nad tym zastanowił, sam by wpadł na to, że George jest oczywiście pełnomocnikiem Rose.

Obraz stał teraz oparty o ścianę sypialni, ale — nawet jeśli symbolizował znikającą między nimi przepaść — Leo nie mógł go zwrócić Rose. Krawędź klifu, ciemne morze... zbyt prorocze. Znowu chciało mu się płakać.

Może te emocje zawdzięczał odstawieniu alkoholu i pigułek. Nie był już odrętwiały, teraz odczuwał wszystko.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Agnieszka, która kończyła nocną zmianę, i Neta, która zaczynała dzienną, weszły ponownie załadować pompę, zmierzyć ciśnienie krwi i temperaturę Rose, zmienić pościel i sprawić, „by pani Beaumont było trochę wygodniej”.

„Jest pewna prawda w wyświechtanym banale «żyć szybko, umrzeć młodo, zostawić po sobie piękne zwłoki»” — pomyślał Leo, kiedy opuszczał pokój, chociaż nie był pewny, czy się kwalifikuje. Na pewno żył szybko. Boże, tak szybko kiedyś żył.

— Dzień dobry, kochany. — Jane powoli pokonywała schody z pełną tacą. — Przemknęło mi przez myśl, że jesteś gotów na śniadanie.

Dotarła do niego i postawiła tacę na okolicznościowym stoliku, który ustawiono przed apartamentem Rose wraz z dwoma fotelami. Zasiadli do śniadania. Kiedy Jane upomniała Leo, że zostawia okruszyny w maśle, na chwilę atmosfera zrobiła się napięta, lecz znalazł pociechę w tych przyziemnych sprawach.

— Boże, teraz czuję się paskudnie, ponieważ z przyjemnością zjadłem grzankę z dżemem i wypilem dzbanek herbaty, która parzyła się akurat tyle, ile trzeba.

Jane zastygła z nożem w dżemie malinowym.

— Ja już sama nie wiem, jak się czuję, więc zamiast myśleć, zajadam uczucia — wyznała, podnosząc jako dowód kawałek upieczonego przez Lydię tostu na zakwasie.

— Dzień dobry. — Odwrócili się i powitali doktora Howarda, który uchylił drzwi do apartamentu Rose na tyle szeroko, że się przez nie prześlizgnął, a potem je za sobą zamknął, jak ktoś, kto wchodzi do pokoju, w którym odbywają się nieprzeniknione rytuały.

— Obudziła się? — Głos Jane opadł do szeptu, jak gdyby wszelkie głośniejsze słowa mogły przenikać ściany.

— Nie na długo, lecz powiedziała, że tęskniła za mną i cieszy się, że wróciłem. — Leo znowu łzy stanęły w oczach. — Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak wiele to dla mnie znaczy. — Również ściszył głos. — Nawet jeśli ona dziś odejdzie, miałem swój moment.

Jane wzięła go za rękę, a Leo podniósł do warg jej usmarowane dżemem palce, tak jak wcześniej z Rose, i ucałował kostki. Skóra Jane była ciepła od herbaty i tętniła życiem.

— Dużo wczoraj mówiła — zadumała się. — Głównie o przeszłości, ale stwierdziła też, że gdy będzie gotowa, chce nas tam widzieć oboje. Oznajmiła także, że bardzo się cieszy z twojego przyjazdu do domu.

Jane była wytrawną kłamczuchą. Oszukałaby każdy wykrywacz, Leo nie miał co do tego wątpliwości. Chociaż Rose oświadczyła mu to samo, a przecież

obie nie mogły kłamać.

— Słuchaj, sprawy między nami... Rozumiem, że są skomplikowane, ale cieszę się, że zostałaś. Gdyby cię tutaj nie było, nie jestem pewny, czy dałbym sobie radę.

— Naprawdę świetnie sobie radzisz — rzuciła Jane. To oczywiście było kłamstwo i oboje o tym wiedzieli. — Kochany, istnieje szansa, że oddasz mi rękę, żebym mogła jednocześnie pić herbatę i jeść tost?

— Więc wolisz jeść śniadanie niż trzymać mnie za rękę? — spytał ją, ponieważ znów czuł między nimi lekkie napięcie erotyczne. — Boże, jesteś nieczułą paskudą.

Zrobiła nadąsaną minkę.

— Ależ nie, kochany. Jestem po prostu bardzo głodna.

Puścił jej rękę.

— Proszę bardzo zatem, zwracam ci dłoń.

— Daj mi skończyć ten tost, a potem znowu ci ją podam — obiecała i na nowo nie była jego żoną, lecz piękną dziewczyną, z którą flirtował w barze.

Czy gdyby pozostali małżeństwem przez pięćdziesiąt lat i każdego ranka jedliby razem śniadanie, przestałby ją doceniać? A może zawsze by z nią flirtował jak z cudowną, dopiero co poznaną w barze dziewczyną? Uznał, że warto by przemyśleć tę kwestię.

— Pod warunkiem, że najpierw zetrzesz z palców dżem i masło — dociął jej z uśmiechem. — Są trochę wilgotne.

— Tak jak ja cała — odparowała Jane, włożyła do ust lepkie palce, possała je, po czym się uśmiechnęła, a kiedy uniósł brwi...

— Boże! Dość tego! Dość tego! Dość tego!

Przerażony lament był na tyle głośny, że przebił się przez ściany.

Leo znieruchomiał w udręce niezdecydowania. Powinni wejść? Zobaczą coś, czego nie powinni? Rose poczuje się wówczas odarta z godności? Znajdował tak wiele pretekstów, żeby siedzieć tutaj i nie robić...

Wtedy rozległo się przenikliwe zawodzenie i oboje wraz z Jane bez wahania wbiegli do pokoju, w którym Rose, wsparta po bokach przez Netę i Agnieskę, utknęła w drodze do łazienki. Naelektryzowane białe włosy opadały jej na wykrzywioną z bólu twarz, rękoma rozpaczliwie usiłowała chwycić coś w powietrzu przed sobą i nawet dobry stary doktor Howard bezradnie przyglądał się całej sytuacji.

Trzeba było całej ich piątki, żeby zaprowadzić Rose z powrotem do łóżka, ponieważ jęczała pod wpływem każdego ruchu, każdego dotyku, a nawet muskania powietrza o skórę.

Kiedy odzyskała nieco władzy nad własnym zdradzieckim ciałem i przestała wydawać z siebie te potworne odgłosy, Jane odważyła się podejść do łóżka i wzięła

ręce kobiety w swoje.

— Kochana, wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze.

— Nie będzie — upierała się Rose. — Zróbcie coś. Niech to zniknie. Dość tego! Dość tego! Dość tego!

Najwyraźniej była już gotowa odejść. Dlaczego zatem tak bardzo walczyła?

— Niech pan jej coś da — warknęła Jane na lekarza. — Miała nie czuć tak wielkiego bólu.

Leo przyłączył się do niej.

— Tak. Musi pan coś podać.

Doktor Howard pokiwał głową.

— Jesteś pewny?

Patrzył wprost na Leo, który wytrzymał jego spojrzenie, a później potwierdził kiwnięciem.

— Absolutnie pewny. — Potem odwrócił się i spojrzał na Rose, lecz ona tylko pochyliła głowę i niczym mantrę powtarzała monotonicznie pod nosem: „Dość tego! Dość tego! Dość tego!”.

Jane przyglądała się, jak lekarz polecił Necie wstrzyknąć coś prosto do kaniuli w grzbiecie ręki Rose. Długo czekali, aż chora ucichła, po czym zapadła w drzemkę, a wtedy Neta mogła poprawić jej poduszki i ją przykryć.

Jane wciąż ogarniał okropny strach, że Rose czuje cały ten ból i tak strasznie cierpi, ale ponieważ jest uwięziona w wywołanym przez leki otumanieniu, nie może im o tym powiedzieć.

Chociaż doktor Howard twierdził, że jej nerki przestały już działać, wszyscy nadal udawali, że po prostu zasnęła.

— Zadzwońcie do mnie, jeśli coś się zmieni — mruknął przed wyjściem. — Mogą upłynąć godziny albo i dni.

Wcześniej mówił przecież o tygodniach! Najwidoczniej śmierć nie trzyma się planu. Natychmiast gdy lekarz ruszył po schodach w dół, Leo odwrócił się do Jane, a ona rozłożyła ramiona i go przytuliła.

— Przejdziemy przez to — zapewniła go z nagłym przekonaniem. — Bo Rose nas potrzebuje i nie chcemy jej zawieść.

— Nie rób ze mnie bohatera — gderał, lecz pocałował ją w policzek i przynajmniej miał siłę żartować, nawet jeśli żarty były słabe.

Czuwanie trwało dalej. Netę odesłali do kuchni, ale przychodziła co godzinę, wraz z Lydią, która przynosiła herbatę i kanapki albo herbatę i ciasto, albo po prostu samą herbatę, dzięki czemu mogła kontrolować stan Rose.

Rose ciągle spała — z otwartymi ustami, przez które jej ciało starało się wyrzucić toksyny, gdyż nerki już nie spełniły swej funkcji. Jej rżenie łączyło się z innymi dźwiękami, pracą pompy i odgłosami gry, którą Leo włączył w telefonie, co było denerwujące, lecz Jane nie miała siły mu wyznać, że ją to drażni.

Obserwacja odchodzenia umierającej osoby okazywała się zajęciem naprawdę wyczerpującym.

W końcu Jane zeszła na dół, na kolację, a potem stała, drżąc, wraz z Lydią w otwartych drzwiach kuchennych. Wypiły po kieliszku wina, a Lydia wypaliła papierosa, wydmuchując dym kącikiem ust jak dowcipna bohaterka czarno-białego filmu.

Później Jane pospiesznie wróciła na górę, przerażona, że Rose zmarła podczas jej nieobecności. Że jej gwałtowne wdechy stały się coraz rzadsze, aż po prostu ustały. Żadnego wyznania na łożu śmierci. Żadnych ostatnich słów. Po prostu odeszła...

Ale Rose wciąż nie była gotowa. Netę zastąpiła Katya, a Katyę Agnieszka. Jane kazała Leo iść do łóżka i przespać się kilka godzin, on jednak rozsiadł się w fotelu obok niej, oddychając ciężko, a od czasu do czasu przysypiając na okres tak długi, że zaczynał głośno chrapać, co natychmiast go budziło i krzyczał ze strachem: „Nie spałem”.

Za każdym razem, gdy to się działo, Jane się śmiała. Leo również się roześmiał, mówiąc, że ostatnią rzeczą, którą Rose kiedykolwiek usłyszy, nie powinno być hałaśliwe chrząskowanie, z jakim Jane wyjmowała z paczki chipsy.

Na zmianę zwilżali chorej wargi piankowymi lizakami zanurzonymi w wodzie z lodem. Nawet zagrali w pewnym momencie w *Ja, szpieg*, potem jednak weszła Agnieszka, zmierzyła Rose, co trzeba, i zameldowała, że jej ciśnienie jest niskie, ale tętno regularne. Teraz Leo znów spał. Nawet nie chrapał tym razem, a tylko maksymalnie się zwinął na fotelu i Jane została praktycznie sama.

Czuła się bardzo samotna. Rozmyślała nad tym, dlaczego Niemcy ze swoimi dziwnymi kontaminacjami frazeologicznymi nie mają frazy na opisanie posępnego nastroju, który ogarnia człowieka między trzecią a piątą rano, kiedy nie śpią jedynie ludzie umierający.

— Rose? — szepnęła, ponieważ kobieta otworzyła oczy i skupiła na niej wzrok. — Dobrze się czujesz?

— Jestem gotowa. Wszyscy na mnie czekają, ale nie potrafię odejść...

— Dlaczego? — Jane zastanowiła się, czy nie przeżywa przypadkiem jakiegoś dziwnego snu. Sprawdziła to na wszelkie możliwe sposoby, nawet się uszczypnęła, ale nie, takie jej szczęście, że akurat nie spała. — Kochana, rozmawialiśmy o tym. Nie musisz zostawać, jeśli czujesz się gotowa.

— Nie potrafię odejść. — Jane rozumiała wypowiedziane słowa tylko dlatego, że w pokoju panowała zupełna cisza. — Utknęłam.

— Widzisz jakieś światełko? Możesz ku niemu iść? — Na litość boską, o czym ona mówi?! Przecież nie istnieje żadne światło. Żadne niebo. Żadne piekło. Nic ma nic.

— Pomóż mi. Nie mogę iść dalej. Nie mogę. Dość tego! Dość tego! Dość

tego!

— Dobrze, kochana. Jestem tutaj.

— Obiecałaś, że mi pomożesz, kiedy nadejdzie czas. Teraz. To się dzieje teraz!

Jane nie do końca zdawała sobie sprawę, że właśnie na to się zgodziła, gdy przyrzekała Rose, że będzie przy niej w ostatnich chwilach. A może wiedziała, ponieważ zazwyczaj nie zadreślała się tym, co powinna, a czego nie powinna robić. Już się rozglądała po oświetlonym lampą pokoju, szukając czegoś, co pomoże Rose w odejściu. Najlepszą opcją wydawała się poduszka, ale co się zdarzy, jeśli Rose tak naprawdę wcale nie była jeszcze gotowa? Co, jeśli zacznie się szamotać? Walczyć? Nie, to nie był dobry pomysł. Trzeba było zrobić coś innego, chociaż nie była pewna, czy potrafi.

Ale Rose tego chciała. Zaplanowała to sobie.

— Szampan i pigułki? Tego pragniesz, Rose? Dasz radę coś przełknąć?

— Przerwij to, przerwij, przerwij! Proszę, przerwij to.

Skoro Rose utknęła w miejscu, w takim razie w tej chwili nie odejdzie i Jane może się wyślizgnąć z pomieszczenia i po cichu przejść przez dom. Zapaliła papierosa z paczki Lydii i spokojnie wybrała butelkę szampana w ogromnej spizarni z winami — Dom Ruinart rocznik 2002, nie najbardziej kosztowny, lecz prawdopodobnie najsmaczniejszy. Potem wróciła do apartamentu Rose i w łazience, w której pielęgniarki, a nawet doktor Howard, niedbale w ostatnich dniach wszystko zostawiali, otworzyła niezamkniętą na klucz zieloną apteczkę, skąd zabrała paczkę pigułek.

Dobrze o niej świadczyło, że nie myślała na poważnie o ucieczce w noc, chociaż gdy wróciła do pokoju Rose, ponownie przemknęła jej taka myśl przez głowę.

— Gdzie byłaś? — spytał ochryple Leo. A miał przecież spać. — Szampan? Naprawdę?

— Jest dla Rose, czyż nie, kochana?

Rose oczy miała otwarte, ale mamrotała tylko coś niewyraźnie i wyglądała na przerażoną. Jawnie postanowiła jak najbardziej wszystko utrudnić.

— To miły gest, ale skoro ona nie może przełknąć wody, jakim sposobem ma sączyć szampana?

Jane również się nad tym zastanawiała. Jak zamierza bez szarpaniny wlać w Rose szampan z trzema, czterema, a nawet pięcioma czy sześcioma tabletkami temazepamu? Bo wcześniej najbardziej się martwiła, że Rose zacznie walczyć. Chociaż teraz, kiedy Leo się obudził, miała dodatkowe powody do niepokoju.

Ale wszystko po kolei. Zignorowała go, obeszła łóżko, usiadła po drugiej stronie i wzięła Rose za rękę.

— Kochana, nadal chcesz odejść?

Za całą odpowiedź otrzymała mamrotanie, które nie miało sensu. Zadała sobie pytanie, dlaczego człowiekowi tak trudno jest umrzeć, chociaż właściwie wiedziała, kiedy Rose oznajmiła bardzo wyraźnie:

— Chcę odejść. Nie mogę już tego znieść. Pomóż mi. Teraz.

Leo głośno wciągnął powietrze.

— Po prostu zamknij oczy i zaśnij. — Drżał. Był bliski łez. — Wtedy odejdiesz. Wszystko w porządku.

— Kochany, ona nie potrzebuje twojego pozwolenia, lecz pomocy. Mojej pomocy. Rozmawialiśmy o tym. Obiecałam jej.

Rose leżała nieruchomo, tylko jej oczy błyskały, gdy patrzyła to na Leo, to na Jane.

— Zrób to — poleciła. — Pomóż mi.

— Nie możesz! Rose, ona nie może — jęknął błagalnie Leo. — To by nie było właściwe.

— Ale słyszałeś, co lekarz mówił niedawno o... — O nieuleczalnie chorych pacjentach onkologicznych, którzy otrzymali tak dobre leki, że nie musieli przecierpieć ostatniego, straszliwego etapu.

Nie mogła dokończyć zdania, skoro Rose była tutaj, z nimi.

Zamiast tego złapała Leo za rękaw swetra i szarpnęła w róg pokoju.

— Przestań! — syknęła do niego. — Jeśli tego nie zrobię, wówczas Rose spędzi dzień, a może trzy lub cztery albo nawet tydzień, w bólu. W cholernym bólu, którego nie sposób znieść, Leo. A przecież i tak umrze.

— Nie wiesz tego! Może odeszłaby w następnej godzinie, a ty niepotrzebnie będziesz miała na swoim sumieniu jej śmierć. — Próbował objąć dłońmi jej twarz, lecz Jane szarpnęła głowę w tył.

Czuła się pewna swego, póki Leo jej nie dotykał.

— Kochany, nie mam aż tak wrażliwego sumienia, więc mi ono nie przeszkodzi. — Starła się, by jej słowa zabrzmiały najostrzej i najmocniej, jak to tylko możliwe. Twardo jak diament.

To była w sumie prawda. Właśnie dlatego Rose chciała, żeby ona z nią została. Może gdy śmierć depcze po piętach, umierający zyskuje jasność umysłu. Jane nie była tego pewna; wiedziała jedynie, że Rose umie przejrzeć ją na wylot, zajrzeć pod cały ten połysk, całą pozłotę i inne bzdury, aż do wstrętnej prawdy.

Jeśli Rose potrzebowała kata, Jane nim będzie.

— Tak należy postąpić — poinformowała Leo, który nie próbował jej już dotknąć, za to patrzył na nią z odrazą, na którą sobie zasłużyła. Dokładnie tak. — Rose przeżyła swoje życie tak, jak chciała. Teraz postanowiła zdecydować, jak i kiedy pragnie je zakończyć. Musisz to uszanować.

— Nawet jej nie znasz! — wytknął jej Leo obrażonym tonem później, kiedy siedział i patrzył, jak Jane wyciska z blistra tabletki.

— Ale ona zna mnie. — Jane zerknęła na pigułki w rękę, a potem na Rose, która ją obserwowała. Nie czujna, lecz obecna. — Rose, kochana, myślisz, że mogłabyś połknąć te pigułki?

— Oczywiście, że nie może! — Leo był wyraźnie bliski wybuchu. — Do kurwy nędzy, nigdy ci tego nie wybaczę!

— Nie chodzi o ciebie, Leo — odparła Jane nieprzytomnie. — Rose? Możesz wziąć jedną z tych pigułek?

Chciała, żeby Rose wyciągnęła rękę, wzięła pigułki i włożyła sobie w usta. W ten sposób byłby to wyłącznie jej uczynek. Jej ręka. Jane byłaby jedynie obok.

— Nie. Pomóż mi.

Jane mogłaby zmiażdżyć pigułki na proszek, zmieszać je z szampanem, odchylić Rose głowę i wlać jej mieszaninę w gardło. Potrafiła to zrobić. Jak wiele razy wcześniej skłaniała ją w ten sposób do wypicia małej ilości wody?

— Zamierzam rozpuścić je w szampanie, a potem będziesz musiała tylko przełknąć.

Leo nic nie powiedział, może dlatego, że akurat całował Rose w czoło, a potem odgarniał jej cienkie włosy, wraz z nią obserwując, jak Jane próbuje zgnieść cztery pigułki w dwóch łyżeczkach od herbaty. Kiepsko jej szło. Otworzyła szampana z wystrzałem, który zabrzmiał niestosowanie radośnie, nalała nieco do szklaneczki ze zmiażdżonymi pigułkami i zamieszała. Kredowobiałe szczątki szybko wchłonęły szampan i powstała maziowata biała papka.

Mogłaby nakarmić nią Rose. Istniała jednak bardzo cienka granica pomiędzy pomocą komuś w spełnieniu ostatniego życzenia a zabiciem tej osoby — nawet jeśli zabijasz z dobroci serca.

Obiecała to Rose, a już jakiś czas temu przestała składać obietnice, których nie była w stanie dotrzymać.

— No dobrze — wyszeptwała. Podniosła szklanekę i łyżeczkę, po czym przeszła cztery metry i znalazła się przy łóżku. — Włożę ci to do ust, kochana, a potem dam ci do popicia łyk szampana.

Rose zamrugnęła powiekami, a następnie skinęła głową. Przynajmniej Jane uznała, że to kiwnięcie. Może tylko chciała, żeby tak było.

— Rose, kochana? Muszę mieć pewność, że właśnie tego pragniesz.

— Zrób to. — Rose wymówiła te słowa niemal bezgłośnie. — Teraz. Proszę.

— Jesteś pewna? — spytał Leo. — Nie umrzesz sama?

— Zróbcie to.

— Kontynuuj w takim razie — oznajmił Leo i tym razem, kiedy Jane przyciągnęła jego spojrzenie, kiwnął głową.

Rzuciła okiem na zawartość szklanki, po czym nałożyła trochę masy na łyżeczkę. Papki było na oko na pięć pełnych łyżeczek. Zanim wszystko zniknie, Jane będzie musiała co najmniej pięć razy włożyć do ust Rose mieszaninę, pięć

razy odchylić jej głowę i skłonić do popicia. Pięć razy! Pięć razy to za dużo. O pięć kroków za daleko — nawet dla niej.

Odwróciła się, łyżeczka spadła na podłogę.

— Strasznie cię przepraszam, ale nie mogę. Po prostu nie mogę.

— W porządku — wtrącił Leo. Raz jeszcze pocałował zmarszczone czoło Rose. — Ja mogę. Zrobię to.

ROZDZIAŁ XXXVII

Lullington Bay, 1974 roku

Był piękny wrześnieowy wieczór, lato przeciągało się dłużej, nadużywając ich gościnności. Siedzieli w ogrodzie, który mienił się wszystkimi kolorami i cudownie pachniał, chociaż róże, które dosadzali co roku, kwitły w czerwcu i teraz po kwiatach dawno nie było już śladu.

Niemniej jednak, innego kwiecica wokół było dość, toteż tłuste od pyłku pszczoły leniwie tańczyły wśród płatków. Nad głowami krążyły ptaki, a gdyby Rose wsłuchiwała się uważnie, dotarłby do niej lekki chłupot morza.

Kiedyś przechodzili z leżakami przez ogród i przez wydmy na plażę, teraz jednak Edwardowi starczało sił jedynie na krótki spacer z domu do małego zacienionego miejsca w ogrodzie, w którym lubili usiąść.

Zostało mu ledwie parę tygodni życia, chociaż wtedy żadne z nich tego nie wiedziało. Był zapisany na operację w połowie października, więc już zaczęli planować Boże Narodzenie w Palm Springs.

Ale, obojętnie, gdzie przebywali, a do tej pory, zdaniem Rose, objechali już świat przynajmniej dwukrotnie, o osiemnastej była pora na drinka.

W urodziny i przy specjalnych okazjach pili koktajl bellini, tego wieczoru wszakże wybrali gin z tonikiem. Rose zawirowała kostkami lodu w szklance, rozejrzała się po ogrodzie, potem spojrzała na Edwarda, na jego profil i poczuła absolutny spokój. Znajdowała się tu, gdzie była najszczęśliwsza, i z jedyną osobą, która wciąż ją uszczęśliwiała.

— Kocham cię, Edwardzie. — To była najprostsza z prawd, lecz Rose nigdy wcześniej mu tego nie wyznała. Nawet sobie nie uświadamiała. Miłość do Edwarda rosła w niej stopniowo, przenikając wprost do szpiku kości i Rose tak bardzo się do tego uczucia przyzwyczaiła, że nigdy nawet nie pomyślała, by nadać mu nazwę. — Kocham cię od tak dawna i ani razu ci tego nie powiedziałam.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej. Często wypominała mu wiek („jesteś dużo, dużo starszy ode mnie”), teraz jednak odnosiła wrażenie, że choroba i lata, które upłynęły, zniknęły i znów widziała go takim, jakim był w noc zamknięcia Rainbow Corner. Kiedy tańczył z nią w Savoyu i ciągle przeproszał, że depcze ją po palcach. Wciąż był fatalnym tancerzem.

— I ja cię kocham, moja najdroższa dziewczyno — odpowiedział, tak naturalnie i swobodnie, jak gdyby powtarzał jej te słowa przez cały czas, chociaż nie wymówił ich od tamtej nocy, kiedy Rose pod wpływem impulsu odrzuciła jego miłość.

Może także dlatego nigdy nie poprosił jej o rękę, nie, żeby Rose się tym

przejmowała. Jej rodzice go uwielbiali, lecz też nigdy nie mieli mu tego za złe. Chociaż w rozmowach Edwarda i Rose temat małżeństwa się nie pojawiał. Ani temat posiadania dzieci. Ani jego działalności w czasie wojny.

Wiele było między nimi spraw niedopowiedzianych, które ostatecznie okazały się bez znaczenia. Ważne kwestie na pewno poruszyli przynajmniej raz.

— Będę ci teraz codziennie mówiła, że cię kocham — postanowiła. — Czasami nawet dwa razy albo i trzy.

— Jesteśmy parą niemądrych starych głupców, nieprawdaż? — Edward westchnął, a wtedy Rose wstała z łóżka, bardzo delikatnie usiadła na jego kolanach i go pocałowała.

Jego skóra pod jej wargami i dłońmi była ciepła. Edward ją obejmował i gdy tak słuchała szumu morza, pomyślała, że mogłaby tak tu siedzieć do końca świata.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Leo podniósł łyżeczkę z dywanu, odebrał szklankę od Jane i poszedł do łazienki, w której umył jedno i drugie powoli i skrupulatnie.

Nie wiedział, po co Jane się tak męczyła. W łazience na wyciągnięcie ręki leżała płynna morfina w poręcznych fiolkach. Wiadomo było, że Rose nie przydrepta tutaj o własnych siłach, a żadna ze specjalistycznych agencji wynajmujących pielęgniarki nie miała pojęcia o problemach Leo z narkotykami.

Wziął dwie fiołki, podniósł strzykawkę i rozerwał sterylne opakowanie. Potem wrócił do sypialni.

Początkowo nie zobaczył Rose. Widział jedynie poprzepalaną i pożółkłą wiotką jasnoniebieską sukienkę, która ją okrywała, i rękę ułożoną na gorsecie.

Dostrzegł też Jane, która otaczała Rose ramieniem i powoli karmiła ją papką z łyżeczki.

W tym momencie Leo kochał Jane. Dostrzegął, że jest wystraszona, ponieważ znalazła się zbyt blisko Rose i tego mdłego zapachu gnijących lilii. Pewnie obawiała się dotknąć chorej — nie dlatego, że nie chciała jej skrzywdzić, ale może z obawy, że śmierć jest zaraźliwa. Jednak, mimo tych wszystkich lęków, robiła, co musiała.

Leo usiadł na łóżku. Przebił igłą strzykawki plastikową plombę pierwszej fiołki, potem drugiej. Stuknąć, pchnąć tłoczek, aby pęcherzyki powietrza powróciły do fiołki, delikatnie odciągnąć tłoczek. Niektórych rzeczy nigdy się nie zapomina.

— Nie musisz się bać, kochanie — zagruchała Jane, a Leo nie wiedział, czy mówiła do niego czy do Rose, która leżała zupełnie spokojnie, tylko jej wargi się poruszały, kiedy brała małe hausty powietrza.

— Jesteś pewna, że tego chcesz? — spytał Leo.

Rose najpierw nie odpowiedziała. Później jej palce, które spoczywały na górnej części osmalonej sukienki, podniosły się.

— Miałam takie cudowne życie. — Zamknęła oczy. — Było naprawdę cudowne, teraz jednak muszę wrócić do moich przyjaciół.

Wszystko stało się wreszcie takie proste. Leo położył się przodem do Rose, lecz patrzył na Jane, która odwzajemniała jego spojrzenie, opanowana i pewna. Wtedy wstrzyknął zawartość strzykawki w kaniulę. Rose zrobiła jeszcze dwa mozolne wdechy, po chwili trzeci i przestała się ruszać.

Leo chciałby powiedzieć, że w tym momencie poczuł, jak dusza Rose opuszcza jej ciało, ale niczego takiego nie poczuł. Położył rękę na ramieniu zmarłej, a Jane przykryła swoją dłonią jego.

Po chwili, chociaż nie potrafił ocenić, jak długiej, rozległo się pukanie do drzwi.

— Mogę wejść? — spytała Agnieszka.

— Za minutkę — zawołała Jane, podczas gdy on objął palcami nadgarstek Rose. Jej skóra była chłodniejsza, lecz jeszcze niezupełnie zimna. Ciało miękkie, ale już powoli twardniało.

— Odeszła — podsumował.

Rose wyglądała teraz jak nieostra kopia samej siebie. Była pozbawiona życia, swego wspaniałego, niespokojnego ducha. Nieżywa. Martwa. Nie chciał jej zapamiętać w taki sposób, więc uwolnił rękę i opuścił łóżko. Podszedł do drzwi. Otworzył je.

— Rose umarła — powiadomił ją. — Może pani pójść obudzić Lydię, a potem wezwać doktora Howarda?

— Proszę przyjąć moje kondolencje. — Agnieszka nawet nie zajrzała do sypialni, tylko pośpiesznie odeszła.

Leo nie mógł spojrzeć ani na Jane, ani na łóżko. Wszedł do łazienki, opryskał twarz i ręce chłodną wodą, a gdy wyszedł, w pokoju była już Lydia w liliowym szlafroku. Twarz zmarszczona. Płakała.

— Och, moja droga, moja Rose — łkała.

Zgięta, obejmowała sobie brzuch.

Jane zupełnie znieruchomiała i sama wyglądała na nieżywą, lecz kiedy Agnieszka podeszła do łóżka, ocknęła się, odsunęła od ciała i wstała. Objęły się z Lydią, Jane ją tuliła i uspokajała, ale na niego z jakiegoś powodu nie chciała spojrzeć.

Zadzwoiła komórka Agnieszki i kiedy Leo usłyszał pierwsze takty pieśni *Carmina Burana*, roześmiał się. Był pewny, że Rose również by się śmiała, choć zareagowałyby też gniewem. Jeśli istnieje życie po śmierci, utwór ten brzmiał jak idealne uroczyste fanfary, obwieszczające przybycie Rose pod bramy raju.

Agnieszka wyglądała na dotkniętą.

— Doktor Howard stoi przed drzwiami i nikt mu nie otwiera — rzuciła obrażonym tonem.

Od tej pory wszystko potoczyło się bardzo gładko. Leo czekał przed pokojami Rose, podczas gdy Agnieszka i lekarz robili, co trzeba. Kiedy drzwi się otworzyły, Leo był gotów.

— Możemy zamienić słówko? — spytał, poprowadził doktora Howarda do łazienki i wziął puste fiołki. — Muszę panu coś powiedzieć. Ja...

Doktor Howard, w trzyczęściowym garniturze i trzewikach, chociaż była dopiero szósta rano, podniósł rękę, przerywając mu.

— Już podpisałem akt zgonu. W mojej opinii sekcja zwłok nie jest potrzebna. Widziałem Rose wczoraj i, no cóż, można się było tego spodziewać.

— Ale...

— Ciesz się, że byłeś z nią do końca. Jestem pewny, że w twojej obecności znalazła ogromną pociechę. — Lekarz przełożył torbę do drugiej ręki.

— Zostawiłem formularz, który należy oddać, zgłaszając zgon. We wszelkich innych sprawach pomogą ci w zakładzie pogrzebowym. — Leo miał wrażenie, że lekarz recytuje przygotowane wersy. — Proszę, zadzwoń do mnie, jeśli uznasz, że mnie potrzebujesz, ale, Leo, jeśli chodzi o mnie, wszystko jest w porządku.

Leo nie rozumiał. Jeszcze chwila i jego świat zmieni się w krainę chaosu.

— Ale... Nie... Jest pan pewny?

— Absolutnie pewny. Znam drogę do wyjścia. — Patrzył, jak doktor Howard przechodzi sypialnię, mijając ciało, aż zatrzymał się przy drzwiach. — Przyjmij, proszę, moje szczere kondolencje. Rose... Pani Beaumont była naprawdę niesamowitą kobietą. Będę za nią tęsknił bardziej, niż mógłbym to ubrać w słowa.

Weszła Agnieszka i zaczęła pakować sprzęt medyczny, a Leo zszedł na dół, do kuchni, gdzie przy kontuarze siedziała Lydia, nadal w szlafroku, nadal pociągając nosem. Frank kręcił się niecierpliwie.

— Zadzwoń do zakładu pogrzebowego — oznajmił. — Co jeszcze mogę zrobić?

Nie było nic innego do roboty poza wypiciem herbaty, wypaleniem wszystkich papierosów Lydii (choć utrzymywała, że pali tylko dla towarzystwa, ale mówiła tak, odkąd Leo ją znał), a potem ciężko wdychając, ona i Leo powlekli się z powrotem na piętro.

Żadne z nich nie popatrzyło na łóżko. Lydia pomaszerowała prosto do garderoby, a Leo bezwiednie poszedł za nią.

— Rose zostawiła szczegółowe zalecenia. Nie chciała otwartej trumny. Jest tu sukienka, w której chciała zostać... — Lydia nie była w stanie wydobyć z siebie następnego wyrazu. Leo oparł ręce na jej drżących ramionach. — Nie, nie, nic mi nie jest. Myślisz, że powinnam ją teraz przebrać?

— Nie — odparł Leo, wiedząc, że Lydia nie da sobie rady, a on nie potrafiłby jej pomóc. Rose by tego nie chciała. — Przekażemy sukienkę ludziom z zakładu pogrzebowego.

— Ale jej włosy... Byłaby wściekła, że nie ma ułożonych włosów. — Lydia odwróciła się i ukryła twarz w piersi Leo. Obejmował ją, a ona cała się trzęsła od szlochu.

— Spytałyśmy w jej salonie fryzjerskim, czy mogą wysłać kogoś do zakładu pogrzebowego. Będzie dobrze, Liddy. — Nie musiał się zastanawiać, skądś znał właściwe słowa, które należało powiedzieć.

Potem przyjechali pracownicy zakładu pogrzebowego. Zaparkowali czarny prywatny karawan przed drzwiami frontowymi, ponieważ Leo nie zgodził się, żeby ciało Rose wynoszono ukradkiem tylnymi drzwiami. Wraz z Lydią i Frankiem patrzył, jak mężczyźni wywożą owinięte w białe prześcieradło zwłoki (ponieważ nie pozwolił również na plastikowy czarny worek), a następnie przechodzą z nimi przez plac, który Rose tak bardzo kochała.

Była teraz siódma trzydzieści rano. Jak to możliwe, że pora była jeszcze tak wczesna?!

— Muszę iść zgłosić zgon — oświadczył, ale mógł to zrobić dopiero za dwie godziny, więc wrócił do kuchni z Frankiem i Lydią. Wszyscy troje pozostawali w dziwnym stanie zawieszenia. Nie w szoku, nie, lecz jakoś niepewni, ponieważ odeszła Rose, która wyznaczała rytm ich dnia i bez niej nie wiedzieli, co robić.

Lydia wstawiła wodę, lecz Frank powiedział:

— Dość tej choleralnej herbaty. Wypijmy porządnego drinka.

Leo czekał, aż Jane powie: „Szampana, kochany. Tego by Rose chciała” i wtedy zdał sobie sprawę, że jej tu z nimi nie ma.

— Gdzie Jane? — spytał.

— Jane? Gdzieś tutaj, czyż nie? — Ponieważ Lydia wpatrywała się w torebki herbaty i mleko wzrokiem osoby, która nie ma zielonego pojęcia, co z nimi zrobić, Leo wcale się nie zdziwił, że nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała Jane.

— Pewnie wróciła do łóżka — podsunął Frank. — Po śmierci mojej mamy mój tatko przespał większą część tygodnia.

Leo nie znalazł Jane w żadnym z pokoiów na parterze. Na górze nie wrócił do sypialni Rose, a tylko stanął w progu i to wystarczyło — wiedział, że Jane tam nie ma.

Wszedł do swojego pokoju — nie, teraz do ich pokoju. Był pusty. Na oparciu krzesła wisiał rozwieszony ręcznik. Telefon i torebka leżały na łóżku, czyli że Jane nie mogła odejść daleko. Nie potrafił jednak ustalić, dokąd poszła, aż usłyszał jej płacz.

Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby ktoś tak strasznie płakał. Jak gdyby wydzierano z niej wbrew jej woli jeden szloch za drugim. Jak gdyby utknęła w batalii z własną rozpaczą.

— Jane? Gdzie jesteś?

Na moment zapanowała cisza, a potem Leo znów usłyszał żalosne łkanie, straszliwsze niż wszystko, co słyszał od Rose. Dochodziło spod łóżka.

Przykucnął. Zwinięta w kłębek, włosy na twarzy, ręce zatopione we włosach.

— Co tam robisz? Wyjdź.

Nie odpowiedziała i Leo najpierw pomyślał, że może powinien odsunąć łóżko, ale nie chciał jeszcze bardziej zaniepokoić zwiniętej w kokon dziewczyny, więc zamiast tego wyciągnął się na podłodze na całą długość.

— Wiem, że to okropne, co się stało z Rose... — zaczął. — Ja również nie mogę się uporać z tym ogromem nieszczęścia, ale wiesz, jak wielki czuła ból, a teraz nie cierpi. Podjęłaś właściwą decyzję.

— Przestań — wybełkotała niewyraźnie. — Zamknij się. Nie bądź dla mnie miły. Nie zasługuję na to. Jestem odrażająca. Jestem potworem. Kimś absolutnie

najgorszym.

— Ależ nie, nie jesteś — zapewnił ją Leo.

Mówił prawdę. Mógł jej zarzucić parę rzeczy, lecz z pewnością nie była złym człowiekiem. Znał złych ludzi i Jane w niczym ich nie przypominała.

— Och, Leo, przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam.

— Nie masz za co.

— Nie wiesz nawet połowy. — Głos jej ochrypl od długiego płaczu w ciemnościach. — Musiałam to zrobić, to było moje przeznaczenie. Właśnie dlatego Rose chciała, żebym była z nią do końca. Znała mnie. Wszystko wiedziała.

— Nie wszystko. Przez to, że była stara, nie stała się wszechpotężną istotą, która wszystko wie. Jej ukochana artystka to Alice Neel. Co oznacza, że Rose wielu rzeczy nie rozumiała.

— Wiedziała, jaka jestem naprawdę, chociaż nie powiedziałam jej o sobie ani słowa.

Leo wciąż nie przesunął łóżka, nie wyciągnął jej spod niego, nie wystawił jej na światło dzienne. Leżał tylko i patrzył na nią — z troską zamiast potępienia. To się na pewno zmieni.

— Jaka naprawdę jesteś? — spytał i, Boże, nie mogła już dłużej trzymać swojej historii dla siebie. Fakty wyciekały, rozbijając mur, który tak starannie wokół siebie zbudowała.

— Zawsze miałeś jakieś życie, Leo. Nawet jeśli udawałeś, że nie obchodzą cię rodzice, brat, masz rodzinę, korzenie. Masz historię. Jesteś częścią czegoś. A ja przed przyjazdem do Londynu nie miałam nikogo. Praktycznie nie miałam nawet imienia. Ledwo w ogóle istniałam. Skradałam się w ciągłym lęku. Byłam niczym. Gorzej niż niczym. I ciągle czuję się jak... jak jakiś upiór. Nie mam kotwicy. Wydaje mi się, że lada chwila coś mnie zdmuchnie.

Wtedy nie była świadoma istnienia dnia czy nocy, nie było pór roku. Dni nie miały rytmu.

Czasami, wcześniej, chodziła do szkoły, ale tylko póki żyła Baba Jo, bo po jej śmierci nie miała nawet tej kilkugodzinnej oazy w postaci szkoły.

Szybko się nauczyła, że lepiej, gdy ją ignorują, gdy nie rzuca się w oczy, nawet jeśli z tego powodu chodziła głodna. Jej siostry i bracia walczyli o aprobatę i o uwagę, chociaż aprobata nigdy nie nadchodziła, a uwaga rzadko prowadziła do czegoś dobrego. Jane wiedziała, że prędko zwrócą się przeciwko sobie, ponieważ między złodziejami nie ma mowy o honorze, więc przed nimi także się ukrywała.

Już jako Jane stale słyszała o potrzebujących biedakach. Bywała na uroczystych kolacjach z politykami, intelektualistami, ludźmi uszczęśliwiających innych na siłę, którzy w różowym kolorze przedstawiali perspektywy rozwoju przedstawicieli klasy pracującej dzięki oświacie i rzetelnie wykonywanej robocie, sama jednak pochodziła z biedoty, która nie zasługiwała nawet na zainteresowanie

możnych. Z marginesu społecznego, którym gardziły i którego bały się inne rodziny na osiedlu.

Mieszkali w miejscu, w które rada miasta zepchnęła najbiedniejszych i najbardziej niepożądanych. Nazywali tę część osiedla ASBO Alley i była to jedna zdewastowana ulica, na którą po zmroku nie zapuszczał się nikt, nawet policja. Czasami, chcąc się wyrwać, Jane przechodziła przez osiedle do biblioteki. Nie żeby czytać — do głowy by jej nie przyszło, że znajdzie dla siebie coś w tych maleńkich czarnych literkach, które rozciągały się na kartach książek — ale w bibliotece było ciepło, a obok znajdował się sklep, do którego wprawdzie jej rodzina miała zakaz wstępu, lecz Jane знаła miejsce, w którym nie widziała jej kobieta za kasą, więc mogła wepchnąć kielbasę pod górę od dresu.

Było wiele złych momentów — za każdym razem, gdy matka sprowadzała do domu nowego gacha, a każdy następny był gorszy od poprzedniego. Podlejszy. Ostrzejszy. Bardziej wymagający. Potworne chwile, kiedy któryś z nich ją osaczał; i jeszcze paskudniejsze sytuacje. Na przykład tuż przed dniem wypłaty świadczeń, gdy nie było nic do jedzenia i nie można było nic kupić na kreskę — zero alkoholu, pigulek, papierosów, koki — wówczas wszyscy stawali się wredni. Były krzyki. Pękały przedmioty, a czasem i kości. Pewnego razu matka zamierzyła się na jedną z sióstr Jane, która uskoczyła, więc matka trzasnęła pięścią w ścianę.

Jej nikt nie dostrzegał, gdy schowała się w którejś z zawilgoconych sypialni, ale jeszcze lepszym sposobem było wpełzanie pod łóżko, pod którym tkwiła przyczajona tuż przy pokrytej pleśnią ścianie, dzięki czemu nikt nie mógł jej wyciągnąć, no chyba że podniósł łóżko. Zobaczyła je w gorze tego dnia, kiedy matka wdrapała się na piętro na owrzodzonych nogach.

— Ty! Rusz tyłek i biegiem do Grubego Alana. Przynieś mi coś na kredyt.

Musiała matce przyznać — i to była jedyna dobroć, jaką jej okazywała — że wysyłała ją do Grubego Alana po coś na kredyt tylko wówczas, kiedy wyczerpała już wszystkie inne możliwości.

Szła całe dziesięć minut do stojącego w ładniejszej części osiedla domu Grubego Alana. Nie przyszło jej do głowy odmówić matce. Odmowa była dla niej równie niewyobrażalna jak zaproszenie do jednego z przyzwoitych domów, które mijala, odeskowanych i z antenami satelitarnymi; niektóre budynki były naprawdę luksusowe, na posesjach znajdowały się nawet wiszące kosze z kwiatami i klomby.

Dom Grubego Alana nie miał kwietników. Na podjeździe parkowały dwa samochody osobowe oraz biała furgonetka i nie była to dobra wiadomość dla Jane. Czasami Gruby Alan zmuszał ją, żeby klęknęła przed nim, ledwie zamknął za nią drzwi. Wciskał swój członek w jej gardło tak głęboko, że aż się dławiła, a jej nos przylegał wtedy do śmierdzących, zimnych i wilgotnych fałd jego kołyszącego się bandziocha, ale kiedy Gruby Alan gościł u siebie innych mężczyzn... Taki przypadek był najgorszy z możliwych. Jane przestawała myśleć, udawała, że leży

pod łóżkiem, i czekała, aż to się skończy, aż oni wszyscy skończą... Wtedy mogła wyjść z opakowaniem czegoś wartego nie więcej niż dwadzieścia funciaków.

— Kto to, kurwa? — ryknął, gdy zastukała do drzwi.

— Sally mnie przysłała — odparła i usłyszała, jak Gruby Alan się śmieje, a potem zobaczyła przez matową szybę jego duże nieforemne cielsko.

Otworzył drzwi. Weszła. Głowę trzymała spuszczoną, wpatrywała się w jego adidasy, poczuła, że jego tłuste łapsko chwyta ją za kark i pozwoliła mu się pchnąć w dół, zobaczyła, jak drugą ręką sięga w spodnie od dresu, lecz wtedy rozległo się zdecydowane łomotanie do drzwi. Dwa ostre stuknięcia. Przerwa. Dwa ostre stuknięcia. Przerwa.

— Kurwa mać — krzyknął Gruby Alan do niewidocznego gościa. — Daj mi minutę.

Zaciągnął ją siłą przez korytarz. W jednej, pełnej napięcia chwili minęli salon, zza którego drzwi dochodziła muzyka, a raczej heavymetalowe dudnienie, ale Gruby Alan włókł ją za sobą do samej kuchni.

— Nie ruszaj się stąd, kurwa — polecił i zamknął drzwi.

W środku był pies. Ogromny owczarek alzacki imieniem Killer. Gruby Alan traktował go tak, jak traktował wszystko inne, ale pies wcale nie przyjmował tego spokojnie. Obnażał kły, warczał, wydawał pomruki i szczekał. Raz ją ugryzł, bo jego pan kazał jej włożyć dłoń w jego pysk.

Teraz pies siedział nieruchomo, z czujnie postawionymi uszami i gapił się na nią. Jane patrzyła wszędzie, tylko nie na psa. Na puste butelki, puszki i pojemniki po jedzeniu na wynos. Potem spojrzała na stół. Leżały na nim torebeczki i woreczki pełne pigulek i proszków, ponieważ Gruby Alan wiedział, że tylko ją jedną może zostawić w środku, zakazując jej się ruszyć i ona się nie ruszy.

Ale wtedy zobaczyła też pieniądze. Gruby zwitek banknotów zabezpieczonych gumką recepturką. Tak dużo pieniędzy, że nawet nie wydawały się rzeczywiste; bardzo rzadko wcześniej widziała jeden dwudziestofuntowy banknot, a cóż dopiero setki i może dlatego je podniosła — tylko żeby sprawdzić, czy są prawdziwe.

Nie wyobrażała sobie, że pieniądze będą naprawdę coś ważyły. Że niemal nie była w stanie objąć rulonu, tak wiele ich było.

Pies siedział i tylko na nią patrzył, może nie wierzył w to, co widzi.

Nie wiedziała, jak długo tam stała z pieniędzmi w dłoni. Nawet nie myślała, co mogłaby za nie kupić, ponieważ już ich istnienie przekraczało jej zdolności rozumienia. W pewnym momencie w drzwiach stanął Gruby Alan.

— Co, kurwa, robisz? — Nie krzyczał. Nie musiał. — Bierzesz moją pieprzoną forszę, jak mała złodziejka? Podaj mi dobry powód, dlaczego nie powinienem rozciąć ci twarzy od ucha do ucha?

Nie istniały dobre powody. Ani jeden. Gruby Alan podszedł. Obserwowała,

jak się zbliżał. Nie bała się. Właściwie nie. Raczej była zrezygnowana, pogodzona z tym, co ją spotka. Wówczas zobaczyła nóż. Zwyczajny. W zwyczajnych domach zwyczajni ludzie kroili takim nożem warzywa. Podniosła go, a mężczyzna się roześmiał, jak z dowcipu. Powiedział do niej coś, czego nie usłyszała, ponieważ już pchała w niego nóż, już zagłębiała. Nie było to łatwe zadanie. Nóż wcale się nie wsuwał, wcale nie wchodził w sadło jak w masło. Musiała go wciskać. Naprawdę wbijać.

Później cofnęła rękę. Nóż pozostał w miejscu. Wbity tylko na kilka centymetrów.

— Po co to, kurwa, zrobiłaś? — W jego tonie nie było gniewu, raczej ciekawość.

— Nie wiem — odrzekła.

— Wiesz, co z tobą zrobię?

— Nie.

— Wezmę ten nóż, wepchnę ci go w cipę i rozetnę cię aż do dupy, potem zrobię ci jeszcze więcej otworów, a na koniec zawołam kumpli, żeby cię wypieprzyli jeden po drugim. Będziemy cię pieprzyć, aż zdechniesz — dodał radośnie, wyraźnie planując przyjemne popołudnie. — To właśnie zamierzam, kurwa, zrobić.

Wtedy wyciągnęła nóż. Póki tego nie zrobiła, nie było krwi, a potem było jej tak dużo, a Gruby Alan wydał z siebie jeden zaskoczony ryk i właśnie wtedy ogarnął ją tak wielki strach, że dźgnęła go nożem i tym razem dużo łatwiej było jej się przebić przez cały ten tłuszcz, przez wszystkie te zgniłe warstwy. Pchnąć. Pociągnąć. Pchnąć. Pociągnąć. Pchnąć. Mężczyzna na pewno walczył, ale Jane nie mogła sobie tego przypomnieć, chociaż później odkryła na swoim ciele mnóstwo sińców i do dziś nie odzyskała czucia w małym palcu i serdecznym lewej dłoni. Potem jednak Gruby Alan poślizgnął się na własnej krwi, wylądował z tęnym głuchym odgłosem i zaryczał, a Jane usłyszała, że ktoś biegnie korytarzem, więc zostawiła nóż wbity w ciało; tylne drzwi nie były zamknięte na klucz i przez nie wybiegła.

Uciekała. Usłyszała szczekanie i zobaczyła, że pies, Killer, pędzi za nią. Nie, nie za nią, lecz wraz z nią, ponieważ nienawidził Grubego Alana dokładnie tak samo jak ona i wreszcie on również się uwolnił.

Wciąż biegła, biegła za granice osiedla, biegła, aż dotarła do głównej drogi i tam zdjęła górę od dresu, gdyż była pokryta krwią, i wrzuciła ją gdzieś, przez jakiś żywopłot, biegła, aż dotarła do dużego supermarketu i tam zwolniła, uświadomiła sobie bowiem, że mimo tego, co zrobiła, ciągle była nikim, więc może się niepostrzeżenie wślizgnąć do autobusu, który jechał na dworzec, i pojechała wśród tłumu staruszek z wózkami na kółkach i kaszlących palaczy.

Na dworcu się ukryła, czekając, aż pociąg wjedzie na peron. Wsiadła.

Znalazła wolne miejsce i skuliła się na nim, bo chciała być jak najmniejsza, ale przyszedł konduktor i poprosił ją o bilet, a ona udawała, że go ignoruje. Niestety, nie odchodził, a potem zobaczyła, że nadal trzyma wszystkie te pieniądze i mogła za część kupić bilet, ale nie musiała, ponieważ ktoś powiedział: „W porządku. Zapłacę za jej bilet”. Tak oto poznała Charlesa.

Znowu płakała, łzy płynęły wraz z jej wyznaniem. Ciężar, który nosiła w sobie przez te wszystkie lata... och, na pewno ją przytłaczał. Kaleczył ją. Sprawiał, że wewnątrz stwardniała. Jednak nawet teraz nie wydawała się Leo żalosna. Nie wstydziła się swojego czynu. Gdyby nie próbowała zabić Grubego Alana, wtedy nie mogłaby stać się kimś więcej niż cieniem człowieka, którym była. Niestety, każdy cień ma to do siebie, że powraca wraz z zapadnięciem zmroku.

— To wszystko — zakończyła swoją opowieść Jane. — Tym jestem. Teraz wiesz, jaka jestem naprawdę.

Czekała, aż Leo popatrzy na nią ze wstrętem, pokaże, że nie jest w stanie znieść jej widoku. Czekała, aż odwróci się od niej. Aż ją znienawidzi. Aż wyciągnie ją spod łóżka.

On jednak wciąż leżał na podłodze i skupiał wzrok na jej twarzy. W końcu wyciągnął rękę, a wtedy odsunęła się od niego.

— Jane, proszę — szepnął. Te dwa słowa nic jej nie mówiły. — Zgubiłem trochę kilogramów, ale i tak jestem za duży i nie wejdę do ciebie pod łóżko.

— Wcale nie jesteś taki zabawny, jak ci się zdaje — odparowała, a mimo to jej zastygła do tej pory twarz rozjaśniła się w uśmiechu. — Nie możesz w nieskończoność chować się za żartami.

— Tak, zaczynam to rozumieć — przyznał, ponownie wyciągnął do niej rękę i tym razem podała swoją. — Już w porządku. Wszystko będzie dobrze. W tej sprawie musisz mi zaufać.

Nie powiedział nic więcej. Trzymał jej dłoń i raz za razem głaskał kostki jej palców, a ona płakała. Nawet kiedy udało jej się uspokoić, Leo jej nie puścił i miała nadzieję, że może mogliby pozostać tak tu razem na zawsze.

EPILOG

Lullington Bay

W końcu postanowili dać sobie szansę.

Chociaż Leo ani przez chwilę nie podejrzewał, jak trudno jest kochać kogoś, kto nie wierzy w miłość.

Niemniej, delektował się swoim uczuciem do Jane, a równocześnie dziwił go własny sentymentalizm, podobny tandetnej piosence o miłości, którą grają w radiu, lecz ona wymyka się przez otwarte okno w słoneczny dzień.

Pod wpływem miłości do Jane — i Leo krzywi się nawet, kiedy formułuje tę myśl — pragnie stać się lepszym człowiekiem. Nie potrafi sobie wyobrazić, że mógłby kiedykolwiek wrócić do narkotyków. Nie teraz, kiedy wie to, co wie. Złamał się tylko raz — poszedł w tango tej nocy, gdy Jane wyznała swoje zbrodnie. Swoje inne zbrodnie. Informatyk, którego porzuciła (a nie on ją). Długoletnie oszustwo, które zaplanowała. Pomysł czekania tak długo, aż mogłaby dostać przyzwoite alimenty z posiadłości Rose.

Wtedy wyszedł i upił się tak bardzo, że ledwie widział. Wrócił, zwmiotował na róże Rose i zasnął w kuchni na podłodze.

Jane była wściekła.

— Jeśli obiecasz, że nigdy więcej nie doprowadzisz się do takiego stanu, wtedy przyrzeknę, że już nie będę miała przed tobą tajemnic. Musisz mi to obiecać, Leo. Nie mogę być silna za nas oboje. Nie dam rady tak dłużej.

Więc obiecał, ponieważ świat bez Jane byłby zimny i samotny, a on sam szybko by wrócił do paskudnych nawyków. Jane obraca jego świat o sto osiemdziesiąt stopni i zazwyczaj ma rację, z wyjątkiem sytuacji, w których drastycznie się myli.

Dokładnie tak samo jak Leo buduje domy, buduje życie dla nich dwojga. Chce ofiarować Jane rzeczy, których nigdy nie miała, takie, których nie można kupić za pieniądze.

Teraz, kiedy w Lullington Bay jest lato, w weekendy Leo wypełnia dom ludźmi. Przyjeżdża oczywiście George, a także Lydia i Frank, który odnawia domek gościnny kawałek dalej, na wybrzeżu, w Brighton, Mark wraz z rodziną, Fergus z żoną i trzema rudowłosymi, piegawatymi córeczkami. Leo namówił do odwiedzin nawet swoich rodziców, chociaż spędzili później dwa dni w krępującym milczeniu, przerywanym kąśliwymi uwagami, pełnymi tłumionej agresji komentarzami i jedną potężną awanturą z matką w trakcie niedzielnego lunchu, aż Jane i ojciec Leo przeprosili i, chociaż lało jak z cebra, poszli do pubu w miasteczku, w którym się zaprzyjaźnili dzięki uwielbieniu, które oboje żywią do

komedii ze studia Ealing i ciasta daktylowego w sosie toffi.

Teraz w każde niedzielne popołudnie Leo rozmawia z matką przez Skype'a, a ona robi na drutach sweterki dla dwóch skundlonych staffordów — szczeniactków, które wraz z Jane znaleźli w zatoczce przy drodze, kiedy jechali do Hayward Heath na spotkanie ze specjalistą od renowacji drewna.

— Ale psy muszą zostać na parterze, Leo — oznajmiła Jane pierwszej nocy, a potem to zawsze ona pierwsza wstawiała i pocieszała je, kiedy zaczęły skomleć i wyć. Teraz sypiają w koszyku obok ich łóżka.

To jest prawie rodzina. Łączy ich prawdziwa więź.

Leo nadal pozostał hazardzistą, ryzykantem. Może Jane nie wiedziała, czym jest miłość, lecz jeśli Leo będzie ją kochał dostatecznie mocno i wystarczająco dobrze, nawet ona ostatecznie ugnie się i tę miłość odwzajemni. Na to Leo liczy.

Postawił wszystko na czerwone i teraz czeka, aż zatrzyma się koło ruletki.

Kochać Leo to rzecz łatwa, najłatwiejsza na świecie.

Jest naprawdę absolutnie uroczy. Nie w jakiś przesłodzony, ckliwy sposób, który łączy się z niepotrzebnymi nocami poza domem i kwiatami kupionymi na stacji benzynowej w piątkowy wieczór. Albo z naszyjnikami i pluszakami, które mówią: „Kocham cię”. Nie tak wygląda ich miłość.

Ale Jane nie traktuje tej miłości lekko. Był czas, kiedyś, gdy absurdalnie łatwo przychodziło jej powiedzenie: „Kocham cię”, ponieważ to nie była prawda, teraz jednak, kiedy sądziła, że są to być może najważniejsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowie, było jej trudniej, znacznie trudniej. Ponadto, kiedy się komuś wyzna miłość, odkrywa się wszystkie karty, a ona zawsze zachowywała swoje uczucia dla siebie.

Przez długi czas po śmierci Rose miała wrażenie, że wstrzymuje oddech i że wypuściła z płuc powietrze dopiero wtedy, kiedy minął odpowiedni czas i nikt już nie mógł podważyć ustaleń testamentu. Wtedy, kiedy oznajmiła swojemu prawnikowi, panu Whipple'owi, że nie chce rozwodu. Wtedy, kiedy Leo usiadł z Charlesem, wykonawcą ostatniej woli Rose, i wspólnie ustalili, że jego dziedzictwem będzie się zajmował fundusz powierniczy, a Leo zamierza się utrzymywać z pensji za pełnienie funkcji, którą Rose określiła w testamencie jako „dyrektor bez teki”.

— Gdybym miał dostęp do wszystkich tych pieniędzy, mógłbym zejść na manowce — oświadczył. — A naprawdę tego nie chcę.

Z jego pensji i odsetek, które Jane zarabia na inwestycjach zarządzanych przez Charlesa, żyje im się wygodnie. Prowadzą przyjemne życie. Czasami człowiek odkrywa, że zupełnie nie wiedział, czego naprawdę chce.

A Jane chce Leo — teraz, kiedy Leo jest w najlepszym momencie. Wykorzystuje swój czas rozsądnie: pracuje z Markiem przy przerabianiu starych domów komunalnych w stylu art déco w dystrykcie Stoke Newington na domy dla

podstawowych pracowników. Raz w tygodniu zamęcza pewnego architekta i stale odbywa spotkania z przedstawicielami Tate Modern w sprawie wystawy, której jest kuratorem; będzie poświęcona brytyjskiemu pop artowi, a pokazane zostaną przeważnie dzieła z kolekcji Rose.

W ciągu tygodnia mieszkają w przerobionym z dawnych stajni domu w Kensington. Jane pomaga George'owi spakować rzeczy z domu Rose, chodzi na zajęcia, studiuje anatomię i robi notatki, ponieważ szkoli się na instruktorkę jogi. A potem, w piątkowe popołudnie jadą do Sussex.

Dom w Lullington Bay jest wiecznie pełen ludzi, ale Jane woli być sam na sam z Leo i ich dwoma głupiutkimi psami. W piątkowy wieczór szaleją w kuchni, a rano Leo wstaje wcześnie, schodzi na plażę i maluje morze. Jane najbardziej podobają się obrazy, które tworzy w pochmurne dni.

Jane żyje głównie dla tych długich nocy w Lullington Bay, kiedy leży w łóżku w ramionach Leo i jej ręka spoczywa na jego lewej piersi. W tych momentach w końcu wie, co znaczy czuć się bezpiecznie. Oprócz jego miarowego oddechu słyszy słabiutki chlupot morskich fal uderzających o brzeg i ten odgłos rozbrzmiewa echem w jej głowie jak słowa, których ciągle nie ma odwagi powiedzieć.

„Kocham cię, kocham, kocham”.

KODA

Rose jest z powrotem na parkiecie tanecznym Rainbow Corner, za gardło chwyta ją zapach brylantyny i przepoconego jedwabiu. Zespół wciąż gra, światło z żyrandoli odbija się od instrumentów sekcji dętej, a partner podnosi Rose i opuszcza, kręci jej ciałem i wiruje.

Są tutaj wszyscy, których kocha. Ponownie spotkała dziewczyny, jej cudowne, drogie przyjaciółki. Sylvia, taka piękna, wręcz olśniewająca, jak zawsze, tuli się do jakiegoś postawnego żołnierza armii amerykańskiej. Phyllis macha Rose za każdy razem, gdy sunie obok, krzyczy coś, co ginie w rytmie muzyki. Maggie siedzi z drinkiem w dłoni, a jej uśmiech nie jest już mroczny ani tajemniczy.

Czasami Rose się zdaje, że dostrzega Danny'ego. Mężczyzn, z którymi tańczyła. Dziewczyny, które podawały jej chusteczkę do nosa, drobniaki, ramię, na którym mogła się wypłakać. O cholera, nawet Shirley jest tutaj, absolutnie wspaniała w swojej sukience z jasnoniebieskiej tafty. Tak naprawdę jednak Rose nie widzi świata poza Edwardem, który trzyma ją w ramionach i ani razu jej nie podeptał.

Zamierza zostać tu na zawsze. Ponieważ nigdy nie zamykają Rainbow Corner. Nigdy nikogo stąd nie odprawiają.

Kiedy otworzyli drzwi klubu Rainbow Corner, po prostu wyrzucili klucz.

NOTA OD AUTORKI

W historycznych rozdziałach powieści próbowałam ściśle trzymać się faktów. Niemniej, dla dobra dramaturgii dokonałam jednej zmiany: chociaż pierwsze rakiety V-2 rzeczywiście wystrzelono w stronę Londynu ósmego września 1944 roku, nie spadły one na Holborn, lecz na Chiswick, zabijając trzy osoby, oraz na Epping, gdzie nie było ofiar w ludziach.

„Będą pisać o tym klubie książki i kręcić filmy”,

czyli jak zakochałam się w Rainbow Corner

Nie wiem, czy powodem była książka Noel Streatfeild *When The Siren Wailed* [*Kiedy zawyły syreny*], którą przeczytałam w tym okresie życia, kiedy człowiek jest podatny na wpływy, ale zawsze fascynowało mnie życie Brytyjczyków podczas drugiej wojny światowej. Pochłonięłam niezliczone powieści, pamiętniki i dzieła literatury faktu o Home Front, i wyobrażałam sobie, że pewnego dnia napiszę powieść osadzoną w Londynie w tych emocjonujących, niespokojnych czasach.

Potem, kilka lat temu, oglądałam serial dokumentalny *The Making Of Modern Britain*, w którym zobaczyłam pięciominutowy fragment o lokalu Rainbow Corner. Był to klub towarzyski, otwarty pod koniec 1942 roku i prowadzony przez Amerykański Czerwony Krzyż. Do Rainbow Corner mógł przyjść każdy amerykański wojskowy, jeśli chciał choć trochę poczuć się jak w domu.

Nie mogłam uwierzyć, że w żadnym z tekstów, które czytałam, nie było wzmianki o klubie. Przez wiele lat pracowałam przy Orange Street, po drugiej stronie Leicester Square, niedaleko miejsca, w którym Rainbow Corner kiedyś się znajdował na rogu Shaftesbury Avenue i Denman Street. Mijałam to skrzyżowanie setki razy, a w piątki często chodziłam na ciepły lunch do New Piccadilly Café przy Denman Street.

Bardzo się wówczas zainteresowałam Rainbow Corner. Wyobraziłam sobie nastolatkę, która ogląda kronikę filmową Pathé w kinie gdzieś z dala od Londynu i jest właśnie tak samo oczarowana klubem, jak ja siedemdziesiąt lat później. Własne życie wydaje jej się bezbarwne, szare i ponure, aż wchodzi do Rainbow Corner, w którym nagle cały świat eksploduje kolorami, przepychem i dziesiątkami możliwości.

Zaczęłam kreślić powieść o tej dziewczynie z kina, która rozpaczliwie pragnie uciec do Londynu i zobaczyć na własne oczy Rainbow Corner.

Kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do drugiej wojny światowej w roku 1941, amerykańscy żołnierze, którzy stacjonowali w Wielkiej Brytanii, znaleźli się nagle w kraju zniszczonym przez brutalne naloty strategiczne, w którym racjonowano żywność, benzynę i ubrania, a mieszkańcy zachowywali się nieprzyjaźnie. „Przeplącani, niewyżyci seksualnie i zbyt liczni” — tak Brytyjczycy opisywali amerykańskich żołnierzy, którym własny rząd zapewniał wszystko: od mundurów po papier toaletowy (dlatego nazywano ich GI — skrót od *Government Issue*, czyli zapewniany przez państwo).

Amerykański Czerwony Krzyż otrzymał zadanie stworzenia miejsca, w którym stacjonujący z dala od domu żołnierze będą mieli kontakt z tym wszystkim, za czym tęsknili.

Najpierw pojawiły się sławne *clubmobiles*, które witały w portach amerykańskie oddziały i towarzyszyły im do baz; nawet podążyły za nimi do Francji po inwazji, tam serwowały im kawę i pączki.

Później zaczęły powstawać kluby dla amerykańskich żołnierzy, przede wszystkim w Londynie; największym i najbardziej legendarnym z tych przybytków był Rainbow Corner. W miejscu jego powstania początkowo mieściła się słynna restauracja Del Monico's, a obok — Lyons Corner House. Tam otworzono Rainbow Corner jako „Małą Amerykę” dla wszystkich tych żołnierzy, którzy przebywali tak daleko od ojczystego kraju.

Nie musiałam wymyślać na potrzeby mojej powieści żadnych niezwykłych szczegółów związanych z klubem, gdyż Rainbow Corner był naprawdę magicznym miejscem. Składał się z dwóch sal jadalnych i umieszczonego w piwnicy baru szybkiej obsługi (Dunker's Den, czyli Kryjówka Dunkera). Z tego, co wiem, właśnie tam po raz pierwszy w Wielkiej Brytanii podawano coca-colę. W klubie organizowano mecze bokserskie i zapaśnicze, a pięć razy w tygodniu odbywały się tam tańce — z żołnierzami tańczyły angielskie fordanserki, takie jak moje bohaterki: Rose, Sylvia, Maggie i Phyllis. Istniał nawet pokój nazywany „Gdzie jestem?”.

W Rainbow Corner żołnierze mogli sobie także zafundować fryzurę w amerykańskim stylu, kazać wypucować buty i napełnić zapalniczki. Zabawiali ich tam Glenn Miller, Ed Murrow, Fred Astaire i dziesiątki innych znakomitości. Kiedy po raz pierwszy otwarto podwoje klubu pewnej mglistej nocy w listopadzie 1942 roku, kierownik naprawdę wyrzucił klucz w symbolicznym geście, który oznaczał, że póki amerykańskie oddziały będą walczyły w Europie, Rainbow Corner nigdy nikogo nie odprawi z kwitkiem.

Jednym z najcenniejszych moich znalezisk związanych z Rainbow Corner był pożółkły, pachnący stęchlizną egzemplarz czasopisma „Picture Post” z kwietnia 1944 roku z czterostronicową opowieścią o klubie, wzbogaconą fotografiami, które uważnie przestudiowałam. Przewertowałam też relacje kobiet,

które tam pracowały. Wytropiłam nawet mało znany film z 1946 roku, *I Live on Grosvenor Square*, ponieważ reżyser na planie w Welwyn odtworzył piwniczny bar z Rainbow Corner.

Ważną chwilą było dla mnie odkrycie, że kroniki filmowe Pathé są dostępne online. Jedna z nich pokazywała ochotniczki, które w Rainbow Corner pomagały amerykańskim żołnierzom pakować prezenty gwiazdkowe dla rodzin, inna przedstawiała wieczór ostatecznego zamknięcia klubu w lutym 1946 roku.

Głęboko mnie poruszyły słowa Eleanor Roosevelt, które potem umieściłam w mojej powieści, oraz widok tłumu kłębiącego się na ulicy przed zamykanym klubem. Wtedy naprawdę pojęłam, jak szczególnym miejscem Rainbow Corner był dla wszystkich tych kobiet i mężczyzn, którzy w nim bywali.

Wiele miesięcy później, kiedy pisałam rozdział o likwidacji klubu, obejrzałam tę kronikę filmową ponownie. Tym razem szukałam w niej Rose, Mickeya Flynna i Edwarda, ponieważ moi bohaterowie stali się wtedy dla mnie równie realni jak sam lokal. Kiedy słuchałam po raz kolejny słów Eleanor Roosevelt o dziedzictwie Rainbow Corner, z oczu popłynęły mi łzy. A jestem raczej twarda i rzadko płaczę.

Jakiś czas po zamknięciu klubu, w roku 1949, umieszczono na budynku tablicę pamiątkową. „Ta tablica stanowi hołd dla wszystkich amerykańskich żołnierzy, którzy znali Rainbow Corner”. Ale w dziesięć lat później znajdującą się na miejscu klubu restaurację Del Monico’s (wraz z tablicą pamiątkową) zburzono; powstał tam nijaki biurowiec.

Po Rainbow Corner nie ma obecnie śladu, jednakże jego duch przetrwał. Wszyscy marzymy o miejscu, skąd nikt nigdy nie odprawi nas z kwitkiem, które będzie otwarte zawsze, ilekroć zapagniemy gdzieś się schronić — magicznym miejscu, w którym zawsze możemy być sobą.

Sarra Manning,

Londyn, 2015

